

Dawid Gemmell

Troja

Pan Srebrnego Łuku

Dziękuję moim pierwszym czytelnikom: Lawrence'owi Bermanowi, Janowi Dunlopowi, Tony'emu Evansowi, Alanowi Fisherowi, Larry'emu Finlayowi, Stelli Gemmell i Steve'owi Huttowi. Szczególne podziękowania składam Lawrence'owi, który poskładał i w znacznej mierze napisał scenę zatonięcia statku Gershoma. Jestem także wdzięczny moim redaktorom, Selinie Walker z Transworld UK oraz Steve'owi Saffelowi z Del Rey US, którzy pomogli nadać tej książce ostateczną postać, a także redaktorom Ericowi Lowenkronowi i Nancy Webber.

Prolog

Sen to śmierć. Dlatego kurczowo trzymał się dryfujących desek, gdy szalejące morze podrzucało go, to znów pogrążało głęboko w ciemnych dolinach między falami. Migotały błyskawice poprzedzające ogłuszający huk piorunów. Spadła na niego kolejna fala, obracając deski, niemal odrywając go od nich. Ostre drzazgi wbiły mu się w zakrwawione dłonie, gdy zacisnął je jeszcze mocniej. Podpuchnięte oczy piekły go od słonej wody.

Nieco wcześniej tej nocy, po tym jak porywiste wiatry rzuciły galerę na podwodne skały i rozbiły kadłub, tego kawałka strzaskanego pokładu trzymali się czterej mężczyźni. Sztorm powoli wysysał z nich siły, po czym odrywał od desek, a wiatr zagłuszał rozpaczliwe krzyki tonących.

Teraz pozostał tylko człowiek zwany Gershomem – trzymał się dzięki mięśniom swych ramion i barków, zahartowanym przez miesiące harówki w kopalniach miedzi na Cyprze, od machania kilofem i młotem, od noszenia na plecach worków z urobkiem. Jednak nawet jego niemal niespożyte siły zaczęły się wyczerpywać.

Morze uniosło go raz jeszcze, deski nagle stanęły dęba. Gershom przywarł do nich, gdy zalała go fala.

Woda już nie była zimna. Wydawała się ciepła jak w kąpieli i zdawało mu się, że słyszy jej zew. Odpocznij! Chodź do mnie! Zaśnij! Zaśnij w Wielkiej Zieleni.

Sen to śmierć, powtórzył sobie w duchu, zaciskając okrwawione dłonie na poszarpanym drewnie. Przeszywający ból wrócił mu przytomność.

Opodal na wodzie pływało ciało, twarzą w dół. Fala pochwyciła je i obróciła. Gershom rozpoznał zmarłego. Ten mężczyzna zeszłej nocy wygrał w kości trzy miedziane pierścienie, gdy galera spoczywała na wąskim pasie piasku pod osłoną przybrzeżnych skał. Wtedy marynarz się cieszył. Trzy pierścienie, choć to niewielka wygrana, wystarczyłyby na nową opończę lub całą noc z młodą dziwką. Teraz nie wyglądał na uradowanego, gdy tak leżał z szeroko rozdziawionymi ustami, martwymi oczyma patrząc w deszczowe niebo.

Następna fala zalała Gershoma. Chowając przed nią głowę, trzymał się desek. Fala uniosła martwego i po chwili Gershom zobaczył, jak ciało pogrąża się w toni.

Błyskawica jeszcze raz rozdarła niebo, lecz grom przetoczył się nie od razu. Wiatr przycichł i morze się uspokoiło. Gershom wczuł się na połamane deski, zdoławszy unieść i zacząć o nie nogę. Ostrożnie przewrócił się na plecy, dygocząc w chłodzie nocy.

Ulewny deszcz zmywał sól z jego twarzy, oczu i brody. Gershom spojrzał w niebo. Przez dziurę w burzowych chmurach przedarła się smuga księżycowego światła. Wokół nie było widać ani śladu łądu. Niewielkie miał szanse na przeżycie. Wszystkie statki kupieckie trzymały

się blisko brzegu. Mało kto wypuszczał się na głębsze wody.

Burza nadeszła z zatrważającą szybkością, gnana silnym wiatrem wiejącym z wysokich klifów. Galera zmierzała w kierunku zatoki, w której znaleźliby schronienie na noc. Gershom, wiosłujący na sterburcie, początkowo wcale się nie niepokoił. Nic nie wiedział o żeglowaniu i nie widział w tym niczego niezwykłego. Potem, dostrzegłszy zaniepokojone miny wiosłarzy, obejrzał się. Podmuchy wiatru przybrały na sile, spychając statek z kursu, dalej od brzegu. Gershom widział przyładek przy wejściu do zatoki. Wydawał się bardzo bliski. Wiosłarze zaczęli gubić rytm. Dwa wiosła po jego stronie z trzaskiem uderzyły o siebie i powstało zamieszanie. Jedno wiosło się złamało. Gdy ludzie na jednej burcie na moment przestali wiosłować, galera obróciła się bokiem do wiatru.

Przewaliła się przez nią ogromna fala, zalewając Gershoma i pozostałych wiosłarzy na sterburcie. Mocno wyładowany statek zaczął się przechylać. Wpadł w dolinę między grzywaczami i kolejna fala zatopiła go. Gershom usłyszał głośny trzask pękających desek. Morze wtargnęło do środka i przewożąca spory ładunek miedzi galera szybko poszła na dno.

Trzymającemu się połamanych desek Gershomowi przyszło do głowy, że zapewne on sam wydobył pewną część tej miedzi, która przyczyniła się do zagłady statku, na którym płynął.

Przed oczami stanęła mu surowa twarz dziadka.

– Ściągasz na siebie kłopoty, chłopcze.

Tej nocy te słowa niewątpliwie się sprawdziły.

Z drugiej strony, rozmyślał Gershom, gdyby nie praca w kopalni, nie miałby siły, dzięki której przetrwał ten sztorm.

Niewątpliwie dziadek byłby zadowolony, widząc, jak miękkie dłonie Gershoma krwawią i pokrywają się pęcherzami, jak wnuk haruje w kopalni, gdzie zarabia przez miesiąc tyle, ile w domu wydawał w jednej chwili. Noce spędzał w nędznej ziemiance, pod cienkim samodzielnym kocem, a po jego zmęczonym ciele biegały mrówki. Nie miał służącej, która spełniałaby jego życzenia, ani niewolników szykujących mu ubrania. Nikt mu się nie kłaniał. Nikt nie schlebiał. W pałacu i włościach jego dziadka wszystkie kobiety mówiły mu, jaki jest wspaniały, jaki męski i silny. Jakie miłe jest jego towarzystwo. Gershom westchnął. Na Cyprze jedyne dostępne dla górników kobiety mówiły dokładnie to samo – dopóki mężczyzna miał dla nich miedziane pierścienie.

Błyskawica rozjaśniła niebo na południu. Może sztorm mija, pomyślał.

Znów powróciły myśli o dziadku, a z nimi wstyd. Był dla niego niesprawiedliwy. Starzec nie cieszyłby się z upadku Gershoma. Tak jak nie cieszyłby się z publicznej egzekucji, którą kazał wykonać na swym wnuku. Gershom uciekł z miasta i udał się na wybrzeże, gdzie wsiadł na statek płynący na Cypr.

Zostałby tam, gdyby przed kilkoma dniami nie zobaczył w miasteczku grupki Egipcjan. Rozpoznał dwóch z nich, skrybów kupca, który bywał w pałacu jego dziadka. Jeden skryba gapił się na niego.

Gershom miał teraz gęstą brodę, a włosy długie i zmierzwiłone, ale nie był pewien, czy to wystarczyło.

Zabrawszy wszystkie miedziane pierścienie zarobione w kopalni, poszedł do portu i usiadł na brzegu, spoglądając na statki w zatoce.

Podszedł do niego krzywonogi starzec o skórze twardej jak rzemień i pomarszczonej twarzy.

– Szukasz pracy na morzu? – spytał.

– Możliwe.

Mężczyzna poznał cudzoziemski akcent Gershoma.

– Jesteś z Egiptu? – spytał.

Gershom kiwnął głową.

– Egipcjanie dobrzy żeglarze – stwierdził starzec. – A ty masz ramiona dobrego wioślarza. – Przykucnął, podniósł kamyk i cisnął go w fale. – Na kilku statkach szukają ludzi.

– A na tym? – zapytał Gershom, wskazując wielką, smukłą, dwupokładową galereę zakotwiczoną w zatoce.

Była piękna, zbudowana z czerwonego dębu i naliczył czterdzieści wiosł na sterburcie. W zachodzącym słońcu kadłub lśnił jak złoto. Gershom jeszcze nigdy nie widział tak wielkiego statku.

– Tylko jeśli szukasz śmierci – powiedział stary. – Jest za duży.

– Za duży? Dlaczego to źle? – zapytał go Gershom.

– Wielki bóg Posejdon nie cierpi dużych statków. Łamie je na pół.

Gershom roześmiał się, biorąc to za żart.

Stary zrobił urażoną minę.

– Najwyraźniej niewiele wiesz o morzu, młodzieńcze – wycedził. – Co roku aroganccy szkutnicy budują coraz większe statki. A one co roku toną. Jeśli nie bogowie, to co powoduje te katastrofy?

– Przepraszam, panie – rzekł Gershom, nie chcąc jeszcze bardziej go obrazić. – Jednak ten statek nie wygląda na taki, który tonie.

– To nowy statek Złocistego – powiedział starzec. – Zbudowany przez szaleńca, którego nikt inny by nie zatrudnił. Nie ma pełnej załogi. Nawet tutejsi głupcy nie chcieli na nim pływać. Złocisty przywiózł tu więc żeglarzy z dalekich wysp, żeby skompletować załogę. – Zachichotał. – I nawet niektórzy z nich uciekli, kiedy zobaczyli ten statek, chociaż powszechnie wiadomo, że to idioci. Nie, ta łajba zatonie, jak tylko Posejdon przepłynie jej pod kilem.

– Kim jest Złocisty?

Stary zrobił zdziwioną minę.

– Myślałem, że nawet Egipcjanie słyszeli o Helikaonie.

– Chyba słyszałem to imię. Czy to morski wojownik? Zdaje się, że zabił jakiegoś mykeńskiego pirata?

Starzec wyglądał na zadowolonego.

– Tak, to wielki wojownik – potwierdził.

– Dlaczego nazywają go Złocistym?

– Ma niesamowite szczęście. Wszystko, do czego się zabierze, przynosi mu zyski, choć myślę sobie, że będzie nosił inny przydomek, kiedy ta okropna łajba zatonie. – Milczał chwilę. – Ale dryfujemy z wiatrem. Wróćmy na właściwy kurs. Potrzebny ci statek.

– Cóż więc byś mi radził, przyjacielu?

– Znam kupca, który ma dwudziestowiosłową galerę – *Mirion* – odpływająca pojutrze do Troi. Brakuje mu ludzi. Za dziesięć miedzianych pierścieni zaprowadzę cię do niego i zarekomenduję.

– Nie mam dziesięciu miedzianych pierścieni.

– Za rejs dostaniesz dwadzieścia, połowę po podpisaniu umowy. Dasz mi tę połowę, a ja powiem, że jesteś wprawnym wioślarzem.

– Szybko odkryją, że skłamałeś.

Stary wzruszył ramionami.

– Do tego czasu będziecie już na morzu, a kupiec zostanie na lądzie. Kiedy wrócicie, będziesz dobrym wioślarzem i nikomu nie stanie się krzywda.

Gershom słyszał o Troi, o jej wielkich złocistych murach i wysokich wieżach. Powiadano, że heros Herakles walczył tam na wojnie sto lat temu lub dawniej.

– A ty byłeś w Troi? – zapytał starca.

– Wiele razy.

– Powiadają, że jest piękna.

– Tak, miło na nią popatrzeć. Ale to drogie miasto. Dziwki noszą złote ozdoby, a mężczyznę, który nie ma stu koni, uważa się za biedaka. Za miedziane pierścienie nie kupisz tam kubka wody. Jednak w drodze tam i z powrotem jest wiele portów, chłopcze. Na przykład Milet. Oto odpowiednie miejsce dla żeglarzy. Pełno tam piersiastych dziwek, które sprzedałyby ci duszę za miedziany pierścień – chociaż nie duszy będziesz u nich szukał. To najpiękniejszy kawałek ziemi, jaki kiedykolwiek zobaczysz. Zabawisz się jak jeszcze nigdy w życiu, chłopcze!

Nieco później owego dnia, kiedy stary marynarz załatwił mu miejsce w załodze *Miriona*, Gershom zszedł na brzeg, żeby spojrzeć na statek. Nic nie wiedział o takich jednostkach, ale nawet swoim niewprawnym okiem dostrzegł, że galera zdaje się mieć spore zanurzenie. Podeszedł do niego jakiś mocno zbudowany mężczyzna, łysy i z rozwidloną brodą.

– Szukasz pracy? – zapytał Gershoma.

– Nie. Pojutrze odpływam na *Mirionie*.

– Jest przeładowany, a nadciąga sztorm – powiedział mężczyzna. – Pracowałeś już kiedyś na galerze?

Gershom pokręcił głową.

– Niezły statek – jeśli kapitan o niego dba, kadłub nie jest obrosnięty pąklami, a załoga dobrze wyszkolona. *Mirion* nie ma żadnej z tych trzech za let. – Mężczyzna obrzucił go baczny spojrzeniem. – Powinieneś popłynąć ze mną, na *Ksantosie*.

– Na Statku Śmierci? Raczej nie.

Łysy spochmurniał.

– No cóż, każdy człowiek sam podejmuje decyzje, Egipcjaninie. Mam na dzieję, że nie pożałujesz swojej.

Po niebie przetoczył się kolejny grom. Wiatr znów się wzmógł. Gershom ostrożnie przetoczył się na brzuch i chwycił krawędzi deski. Sen to śmierć.

CZEŚĆ PIERWSZA
WIELKA ZIELEŃ

I. JASKINIA SKRZYDEŁ

Przed wylotem jaskini stało dwunastu mężczyzn w sięgających kostek płaszczach z czarnej wełny. Milczeli i nie ruszali się. Wczesnojesienny wiatr był niezwykle chłodny, lecz oni nie chuchali na zziębnięte dłonie. W blasku księżyca błyszcząły ich napierśniki z brązu i zwieńczone grzebieniami z białych piór hełmy, misternie rzeźbione karwasze i nagołenice oraz rękojeści krótkich mieczy tkwiących w pochwach u pasa. Choć jednak metal ziębił ciało, nie drżeli.

Noc była coraz zimniejsza i przed północą zaczęło padać. Potem o ich zbroje zabębnił grad. Oni jednak nadal się nie ruszali.

Później przyszedł jeszcze jeden wojownik, wysoki i zgarbiony, w płaszczu łopoczącym na porywistym wietrze. On też miał na sobie zbroję, lecz jego napierśnik był zdobiony złotem i srebrem, tak jak jego hełm i nagołenice.

– Jest w środku? – zapytał.

– Tak, mój królu – odparł jeden z mężczyzn, wysoki i barczysty, o głęboko osadzonych szarych oczach. – Wezwie nas, kiedy przemówią bogowie.

– Zatem zaczekamy – odparł Agamemnon.

Deszcz przestał padać i król obrzucił swoją świętą spojrzeniem ciemnych oczu. Potem popatrzył na Jaskinię Skrzydeł. W głębi niej dostrzegł migotliwy blask płomieni na skalnych ścianach i nawet z daleka poczuł gryzące i odurzające opary wróżebnego ognia. Kiedy tak patrzył, płomienie przygasły.

Nie nawykł do czekania, toteż wzbierał w nim gniew, ale dobrze go skrywał. Nawet od króla oczekuje się pokory w obliczu bogów.

Co cztery lata król Mykeńczyków w asyście dwunastu najwierniejszych dworzan powinien wysłuchać boskiego przesłania. Ostatnio Agamemnon stał tutaj wkrótce po tym, jak pochował ojca i zaczynał swoje panowanie. Wtedy był zdenerwowany, lecz teraz jeszcze bardziej. Ponieważ przepowiednię, których wówczas wysłuchał, ziściły się. Stał się nieskończenie bogatszy. Żona urodziła mu trójkę zdrowych dzieci, chociaż same dziewczynki. Mykeńskie armie zwyciężały we wszystkich bitwach i pokonały wielkiego bohatera.

Jednak Agamemnon pamiętał także podróż, którą jego ojciec odbył przed ośmioma laty do Jaskini Skrzydeł, i jego szarą jak popiół twarz po powrocie. Nic nie mówił o tej ostatniej przepowiedni, lecz jeden z dworzan powtórzył ją jego żonie i wieść się rozeszła. Wieszczy zakończył przekaz słowami: „Żegnaj, królu Atreuszu. Więcej już nie przyjdiesz do Jaskini Skrzydeł”.

Wielki król-wojownik umarł tydzień przed następnym objawieniem.

Z jaskini wyszła kobieta w czerni. Głowę miała okrytą muślinowym woalem. Bez słowa podniosła rękę, dając znak czekającym mężczyznom. Agamemnon nabrał tchu i poprowadził ich do środka.

Wejście było wąskie, więc zdjęli grzebieniaste hełmy i poszli gęsiego za kobietą, aż dotarli do resztek wróżebnego ogniska. Dym wciąż wisiał w powietrzu i wdychając go, Agamemnon poczuł, że serce zaczyna

mu bić szybciej. Barwy stały się bardziej wyraziste, a ciche dźwięki – chrzęst skóry, szuranie sandałów na kamieniach – głośniejsze, niemal groźne.

Ten liczący setki lat rytuał opierał się na pradawnym wierzeniu, że tylko w obliczu śmierci kapłan może w pełni porozumieć się z bogami. Tak więc co cztery lata wybierano człowieka, żeby umarł dla króla.

Starając się płytko oddychać, Agamemnon spojrzał na chudego starca spoczywającego na pryczy. Twarz leżącego była blada w blasku ognia, a oczy szeroko otwarte i nieruchome. Cykuta już zaczęła działać. Ten człowiek umrze w ciągu kilku minut.

Agamemnon czekał.

– Ogień na niebie – rzekł kapłan – i góra wody sięgająca chmur. Strzeż się wielkiego konia, królu Agamemnonie.

Starzec opadł na posłanie, a kobieta w czerni uklękła przy nim. Uniosła i podtrzymała jego kruche ciało.

– Nie dawaj mi zagadek – rzekł Agamemnon. – Co z królestwem? Co z potęgą Myken?

Oczy kapłana na moment rozbłysły. Agamemnon ujrzał w nich gniew, który jednak zaraz minął, i starzec się uśmiechnął.

– Twoja wola jest tu rozkazem, królu. Ofiarowałbym ci las prawdy, lecz ty chcesz mówić tylko o jednym listku. Dobrze. Wciąż będziesz potężny, gdy następnym razem będziesz kroczył tym kamiennym korytarzem. Ojciec syna.

Potem szepnął coś do kobiety, która podniosła kubek z wodą do jego ust.

– A jakim niebezpieczeństwem stawię czoło? – spytał Agamemnon.

Ciałem starego kapłana wstrząsnął skurcz agonii i z jego ust wyrwał się głośny krzyk. Potem zwiotczał i spojrzał na króla.

– Władca zawsze jest w niebezpieczeństwie, królu Agamemnonie. Jeśli nie będzie silny, zostanie pokonany. Jeśli nie będzie mądry, zostanie obalony. Nasiona zguby są rozsiewane o każdej porze roku i nie potrzebują słońca i deszczu, żeby wzejść. Posłałeś herosa, aby usunąć niewielkie zagrożenie, i tak oto rzuciłeś te ziarna. One teraz wschodzą i z ziemi wyjdą miecze.

– Mówisz o Alektruonie. Był moim przyjacielem.

– Nie był niczym przyjacielem! Był rzeźnikiem i nie słuchał przestrog. Wierzył jedynie w swój spryt, okrucieństwo i siłę. Biedny ślepy Alektruon. Teraz pojmuje, jak bardzo się mylił. Pokonała go własna arogancja, gdyż żaden człowiek nie jest niezwyciężony. Bogowie zsyłają pychę na tych, których chcą zniszczyć.

– Co jeszcze widziałeś? – rzekł Agamemnon. – Mów zaraz! Twoja śmierć już bliska.

– Nie obawiam się śmierci, królu mieczy, królu krwi, królu grabieży. Będziesz żył wiecznie, Agamemnonie, w ludzkich sercach i myślach. Imię twego ojca pokryje kurzem wiatr czasu, lecz twoje będzie wymawiane głośno i często. Wciąż będzie powracało echem, gdy twój ród stanie się wspomnieniem, a wszystkie królestwa rozpadną się w proch. Oto, co widziałem.

– To już bardziej mi się podoba – rzekł król. – Co jeszcze? Spiesz

się, bo mało masz czasu. Nazwij największe zagrożenie, przed jakim stanę.

– Chcesz tylko znać jego imię? Jakże... dziwni są ludzie. Mógłbyś... zażądać odpowiedzi, Agamemnonie. – Głos starca był coraz słabszy i mniej wyraźny. Cykuta docierała do mózgu.

– Powiedz mi jego imię, a sam znajdę odpowiedź.

W oczach starca znów zapalił się gniew, powstrzymując działanie trucizny. Gdy przemówił, jego głos znów był silniejszy.

– Alektruon pytał mnie o imię, gdy byłem tylko jasnowidzem, nie obdarzonym – jak teraz – mądrością konającego. Wymieniłem Helikaona, Złocistego. I co uczynił ten... ten głupiec? Wypląnął na morze w poszukiwaniu Helikaona i sam sprowadził na siebie zgubę. Teraz ty pragniesz poznać imię, królu Agamemnonie. To jest to samo imię. Helikaon.

Stary kapłan zamknął oczy. Zapadła cisza.

– To Helikaon mi zagraża? – zapytał król.

Umierający kapłan znów przemówił:

– Widzę ludzi płonących jak pochodnie i... statek w płomieniach. Widzę bezgłowe ciała... i ogromny gniew. Widzę... widzę wiele okrętów, jak niezliczone stado ptaków. Widzę wojnę, Agamemnonie, długą i straszną, oraz śmierć wielu herosów.

Z przesywającym krzykiem osunął się w ramiona kobiety w czerni.

– Nie żyje? – zapytał Agamemnon.

Kobieta poszukała pulsu, po czym skinęła głową. Agamemnon zaklął. Podeszedł do niego potężnie zbudowany wojownik o włosach tak jasnych, że w świetle lampy wydawały się białe.

– Mówił o wielkim koniu, panie – odezwał się. – Na żaglach okrętów Helikaona jest namalowany wielki czarny koń stający dęba.

Agamemnon nie odezwał się. Helikaon był krewniakiem Priama, króla Troi, a Agamemnon zawarł przymierze z Troją i większością handlowych królestw na wschodnim wybrzeżu. Te przymierza nie przeszkadzały mu finansować pirackich wypraw mykeńskich galer, które plądrowały miasta sprzymierzeńców i przechwytywały kupieckie statki z ich ładunkami miedzi, cyny, ołowiu, alabastru lub złota. Każda z tych galer oddawała mu część łupów. Dzięki nim mógł wyposażyć swoje wojska i obsypywać łaskami dowódców i żołnierzy. Jednak publicznie potępiał piratów i groził im śmiercią, tak więc nie mógł otwarcie ogłosić Helikaona wrogiem Myken. Troja była bogatym i potężnym królestwem, więc sam handel z nią przynosił duże zyski w miedzi i cynie, bez których nie można zrobić zbroi i oręza z brązu.

Wojna z Trojańczykami zbliżała się, ale jeszcze nie był gotów zrobić sobie wroga z ich króla.

Opary wróżebnego ognia nieco zrzedły i Agamemnonowi rozjaśniło się w głowie. Słowa kapłana były bardzo krzepiące. Będzie miał syna, a imię Agamemnon będzie niosło się echem przez wieki.

Jednak starzec mówił także o nasionach zguby i nie należało ignorować tej przestrogi.

Spojrzał w oczy jasnowłosemu wojownikowi.

– Każ rozgłosić, Kolanosie, że ten, kto zabije Helikaona, otrzyma dwa razy tyle złota, ile sam waży.

– Dla takiej nagrody zapołuje na niego każdy piracki okręt na Wielkiej Zieleni – rzekł Kolanos. – Za twym pozwoleniem, mój królu, wypłynę również trzema moimi galerami na jego poszukiwanie. Chociaż nie będzie łatwo wciągnąć go w pułapkę. To zręczny wojownik i nie traci zimnej krwi w bitwie.

– Zatem spraw, żeby stracił tę zimną krew, mój Łamaczu Dusz – rzekł Agamemnon. – Znajdź tych, których Helikaon kocha, i zabij ich. Ma rodzinę w Dardanos, młodszego brata, którego uwielbia. Zaczynj od niego. Niech Helikaon pozna, co to wściekłość i rozpacz. Potem i jego pozbaw życia.

– Wypłynę jutro, panie.

– Zaatakuj go na otwartym morzu, Kolanosie. Jeśli znajdziesz go na łądzie i nadarzy się sposobność, każ go zadźgać, udusić lub otruć. Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz. Jednak ślady nie mogą prowadzić do mojego domu. Na morzu rób, co chcesz. Jeśli weźmiesz go żywcem, zetnij mu głowę. Powoli. Na łądzie niech jego śmierć będzie szybka i cicha. Jako wynik prywatnego sporu. Rozumiesz?

– Tak, mój królu.

– Kiedy ostatnio o nim słyzałem, był na Cyprze – powiedział Agamemnon – gdzie nadzorował budowę wielkiego okrętu. Mówiono mi, że ma być gotowy do żeglugi z końcem lata. To dość czasu, żebyś dał mu się we znaki.

Za ich plecami rozległ się zduszony krzyk. Agamemnon odwrócił się. Stary kapłan znów otworzył oczy. Całe jego ciało dygotało, a ręce podrygiwały spazmatycznie.

– Mija Wiek Herosów! – krzyknął nagle głośno i wyraźnie. – Rzeki są pełne krwi, a niebo ognia! Patrzcie, jak płoną ludzie w Wielkiej Zieleni! – Oczy umierającego przywarły do twarzy Agamemnona. – Koń! Strzeż się Wielkiego Konia!

Krew trysnęła mu z ust, mocząc jasną szatę. Jego twarz wykrzywił okropny grymas, a w szeroko otwartych oczach widniał strach. Potem kolejny skurcz wstrząsnął jego ciałem i z gardła wydobyło się ostatnie tchnienie.

II. BÓG ŚWIĄTYNI

1.

Bogowie przechadzają się w czasie burz. Mała Fia wiedziała o tym, gdyż matka często opowiadała jej o nieśmiertelnych: o tym, że błyskawice to włócznie Aresa, boga wojny, a gromy to odgłos uderzeń młota Hefajstosa. Wzburzone morze oznaczało, że Posejdon pływa sobie w jego głębinach albo jeździ po Wielkiej Zieleni w rydwanie zaprzężonym w delfiny.

Tak więc ośmioletnia dziewczynka próbowała opanować strach, brnąć w górę po błotnistym zboczu, ku świątyni. Wypłowały samodziałowy chiton nie osłaniał jej przed świszczącym wiatrem i ulewnym deszczem smagającym wybrzeże Cypru. Nawet w głowę było jej zimno, gdyż dziesięć dni wcześniej matka obcięła jej złote włosy, żeby pozbyć się pcheł i wszy. Pomimo to chude ciało Fii wciąż było pokryte bąblami i rankami. Większość tylko swędziała, ale rana na kostce po ugryzieniu szczura była opuchnięta i obolała, co jakiś czas pękała i broczyła krwią.

To jednak były drobiazgi, którymi zmierzająca do świątyni dziewczynka wcale się nie przejmowała. Kiedy poprzedniego dnia matka zaniemogła, Fia pobiegła do uzdrowiciela w mieście. Ten gniewnie kazał jej trzymać się z daleka. Nie odwiedzał tych, na których bogowie rzucili kłatwę ubóstwa, i ledwie słuchał, kiedy tłumaczyła, że matka nie podniosła się z łóżka, jest bardzo gorąca i cierpi.

– Idź do kapłana – powiedział.

Tak więc Fia pobiegła przez port do świątyni Asklepiosa, gdzie stanęła w kolejce wraz z innymi szukającymi rady i pomocy. Wszyscy czekający ludzie nieśli jakieś dary. Wielu miało węże w koszykach z wikliny, niektórzy pieski, inni żywność lub wino. Kiedy w końcu przepuszczono ją przez wysokie wrota, napotkała młodego człowieka, który zapytał ją, jaki przyniosła dar. Próbowała powiedzieć mu o chorobie matki, lecz on ją odprawił i wezwał następną osobę z kolejki, starego człowieka z drewnianą kłatką, w której gruchały dwa białe gołębie. Fia nie wiedziała, co robić, i wróciła do domu. Matka nie spała i rozmawiała z kimś, kogo Fia nie mogła zobaczyć. Potem zaczęła płakać. Fia również.

Burza nadeszła o zmierzchu i Fia przypomniała sobie, że w taką pogodę spacerują bogowie. Postanowiła, że sama z nimi porozmawia.

Świątynia Apollina, Pana Srebrnego Łuku, była blisko pochmurnego nieba, a Fia pomyślała, że bogowie lepiej ją usłyszą, jeśli wespnie się wyżej.

Teraz drżała w nocnym chłodzie i martwiła się, że dzikie psy biegające po wzgórzach zwierzną woń krwi z rany na jej kostce. Potykała się w ciemnościach. Uderzyła kolanem o kamień i krzyknęła z bólu. Kiedy była mała i zraniła się, biegła do matki, która tuliła ją i głaskała, aż ból minął. Wtedy jednak mieszkali w większym domu, z ogrodem pełnym kwiatów, a wszyscy wujkowie byli bogaci i młodzi. Teraz byli

starzy i niechłujni i nie przynosili ładnych prezentów, tylko kilka miedzianych pierścieni. Już nie przesiadywali i nie śmiali się z jej matką. Przeważnie wcale się nie odzywali. Przychodzili w nocy. Fie odsyłano na jakiś czas, a oni wkrótce wychodzili. Ostatnio zupełnie przestali przychodzić. Nie było prezentów, pierścieni i niewiele do jedzenia.

Fia wspięła się wyżej. Na szczycie urwiska zobaczyła krąg głązów otaczający świątynię. Nazywano go Skokiem Apollina, ponieważ, jak mówiła jej matka, ten złotowłosy bóg słońca odpoczywał tam kiedyś, zanim odleciał z powrotem do nieba na swoim ognistym rydwanie.

Dziewczynka była już prawie u kresu sił, gdy wreszcie pokonała strome zbocze. Półprzytomna ze zmęczenia, chwiejnie weszła między głązy. Błyskawica rozświetliła niebo. Fia krzyknęła, gdyż w ostrym świetle ujrzała postać z wyciągniętymi w górę rękami, stojącą na samym skraju urwiska. Pod Fią ugięły się nogi i osunęła się na ziemię. W tym momencie chmury rozeszły się i zaświecił księżyc. Bóg opuścił ręce i powoli się odwrócił. Był półnagi i krople deszczu lśniły na jego torsie.

Fia spoglądała na niego szeroko otwartymi, przestraszonymi oczami. Czy to Pan Srebrnego Łuku? Na pewno nie, bo jego włosy były długie i czarne, a Apollo podobno ma włosy z promieni słońca. Twarz tego mężczyzny była wyrazista i surowa, a oczy jasne i twarde. Fia spojrzała na jego stopy, mając nadzieję, że zobaczy skrzydełka przy kostkach, co oznaczałoby, że to Hermes, posłaniec bogów. Hermes był znany z przyjacielskiego stosunku do śmiertelników.

Jednak skrzydełek nie było.

Bóg podszedł do niej i zobaczyła, że jego niebieskie oczy są zdumiewająco jasne.

– Co tu robisz? – zapytał.

– Czy jesteś bogiem wojny? – spytała drżącym głosem. Uśmiechnął się.

– Nie, nie jestem bogiem wojny.

Poczuła bezgraniczną ulgę. Potężny Ares nie uzdrowiłby jej matki. Nienawidził ludzi.

– Moja matka jest chora, a ja nie mam nic na ofiarę – powiedziała.

– Jeśli jednak ją uzdrowisz, będę pracować, pracować i przynosić ci wiele darów. Przez całe życie.

Na te słowa bóg się odwrócił i poszedł z powrotem między głązami.

– Proszę, nie odchodź! – zawołała. – Mama jest chora!

Przyklęknął i wyjął zza głązu gruby płaszcz, a potem usiadł przy niej i okrył nim jej ramiona. Płaszcz był z mięciutkiej wełny.

– Przyszedłeś do świątyni szukać pomocy dla matki? – zapytał. – Czy odwiedził ją uzdrowiciel?

– Nie chciałem przyjść – powiedziała bogu. – Tak więc poszłam do świątyni, ale nie miałam darów. Odesłali mnie z niczym.

– Chodź – rzekł. – Zaprowadź mnie do swojej matki.

– Dziękuję. – Próbowała wstać. Ugięły się pod nią nogi i upadła niezgrabnie, brudząc błotem kosztowny płaszcz. – Przepraszam. Przepraszam – wyjąkała.

– To nic – powiedział, a potem wziął ją na ręce i ruszył w długą

drogę z powrotem do miasta.

Podczas tego długiego marszu Fia zasnęła z głową na ramieniu boga. Obudziła się dopiero wtedy, kiedy usłyszała jakieś glosy. Bóg z kimś rozmawiał. Otworzywszy oczy, ujrzała, że obok niego kroczy olbrzymi mężczyzna. Był łysy, lecz miał rozwidloną brodę. Widząc, że otworzyła oczy, uśmiechnął się do niej.

Zbliżali się już do pierwszych domostw i bóg zapytał ją, gdzie mieszka. Fia zawstydzila się, bo stały tu ładne domy o białych ścianach i czerwonych dachach. Ona z matką mieszkały w szopie na pustkowiu za miastem. Dach przeciekał, a w cienkich drewnianych ścianach były dziury, przez które wchodziły szczury. Za podłogę służyła ubita ziemia i nie było okien.

– Już czuję się lepiej – powiedziała i bóg postawił ją na ziemi.

Zaprowadził ją do swojego domu.

Gdy weszli do środka, kilka szczurów pierzchnęło od posłania matki. Bóg przyklęknął obok niej, wyciągnął rękę i dotknął jej czoła.

– Żyje – powiedział. – Zanieś ją do domu, Wole – powiedział przyjacielowi. – Zaraz tam przyjdziemy.

Bóg wziął Fię za rękę i razem przeszli przez miasto, aż do domu uzdrowiciela.

– To człowiek bardzo skory do gniewu – ostrzegła Fia, gdy bóg załomotał pięścią w drzwi.

Te otwały się gwałtownie i w progu pojawił się uzdrowiciel.

– Co, na Hades... ? – zaczął. Zaraz jednak zobaczył ciemnowłosego boga i Fia dostrzegła gwałtowną zmianę w jego zachowaniu. Jakby nagle się skurczył. – Przepraszam, panie – powiedział z niskim ukłonem. – Nie wiedziałem...

– Weź swoje zioła oraz leki i natychmiast przyjdź do domu Fedry – powiedział bóg.

– Oczywiście. Natychmiast.

Potem poszli dalej, tym razem długą krętą drogą na wzgórze, gdzie stały domy bogaczy. Fii znowu zabrakło sił. Bóg wziął ją na ręce.

– Znajdziemy ci coś do jedzenia – rzekł.

W końcu dotarli do celu. Fia z podziwem spoglądała na pałac za wysokim murem otaczającym piękny ogród, z czerwonymi kolumnami po obu stronach wielkiego wejścia. Gdy znaleźli się w środku, zobaczyła posadzki zdobione kolorowymi kamkami, a na ścianach malunki w żywych barwach.

– Czy to twój dom? – zapytała.

– Nie. Zatrzymuję się tu, kiedy jestem na Cyprze – odparł.

Zaniósł Fię do pokoju o białych ścianach na tyłach domu. Była tam kobieta. Złotowłosa i młoda, odziana w zieloną suknię obszytą złotą nicią. Była bardzo piękna. Bóg przemówił do niej, a potem przedstawił jako Fedrę.

– Daj dziecku coś do jedzenia – powiedział. – Ja zaczekam na uzdrowiciela i sprawdzę, jak czuje się jej matka.

Fedra uśmiechnęła się do Fii, a potem przyniosła trochę świeżego chleba i miód. Dziewczynka zjadła i podziękowała kobiecie, po czym

przez chwilę siedziały w milczeniu. Fia nie wiedziała, co powiedzieć. Kobieta napełniła sobie puchar winem, do którego dołała wody.

– Jesteś boginią? – zapytała Fia.

– Tak mówili mi niektórzy mężczyźni – odparła Fedra z szerokim uśmiechem.

– Czy to twój dom?

– Tak. Podoba ci się?

– Jest bardzo duży.

– Istotnie.

Fia nachyliła się do niej i powiedziała cicho:

– Nie wiem, którym z bogów on jest. Poszłam do świątyni i zobaczyłam go tam. Czy to Pan Srebrnego Łuku?

– Jest panem wielu rzeczy – odparła Fedra. – Chcesz jeszcze chleba?

– Tak, proszę.

Fedra powiedziała jej, żeby się częstowała, a potem przyniosła dzbanek z zimnym mlekiem i nalała jej kubek. Fia wypila. Miało cudowny smak.

– Tak więc – zaczęła Fedra – twoja matka zachorowała, a ty poszłaś do świątyni po pomoc. Zbocze jest bardzo wysokie i zdradliwe. I są tam stada dzikich psów.

Fia nie wiedziała, co powiedzieć, więc siedziała i nie odzywała się.

– To było bardzo odważne – rzekła Fedra. – Twoja matka ma szczęście, że urodziła taką córkę jak ty. Co się stało z twoimi włosami?

– Mama mi obcięła. Miałam pchły. – Znów się zawstydzila.

– Wieczorem każę przygotować ci kąpiel. I znajdziemy jakąś maść na te ukąszenia i zadrapania na twoich ramionach.

Wtedy bóg wrócił. Przebrał się w sięgający kolan biały chiton obsyty srebrną nitką, a długie czarne włosy miał ściągnięte do tyłu i związane w kucyk.

– Twoja matka jest bardzo słaba – powiedział – ale teraz śpi. Uzdrowiciel będzie przychodził codziennie, dopóki nie wyzdrowieje. Obie możecie pozostać tutaj jak długo chcecie. Fedra znajdzie jakąś pracę dla twojej matki. Czy to odpowiedź na twoje modły, Fio?

– Och tak – odparła dziewczynka. – Dziękuję.

– Zastanawiała się, czy jesteś Apollinem – powiedziała z uśmiechem Fedra.

Przyklęknął obok Fii i spojrzał w jej promienne niebieskie oczy.

– Mam na imię Helikaon – powiedział – i nie jestem bogiem. Jesteś rozczarowana?

– Nie – odpowiedziała dziewczynka, chociaż była.

Wtedy Helikaon wstał i powiedział do Fedry:

– Przybywają kupcy. Pobędę z nimi przez jakiś czas.

– Nadal zamierzasz jutro popłynąć do Troi?

– Muszę. Obiecałem Hektorowi, że będę na ślubie.

– Jest pora burz, Helikaonie, a będziesz prawie miesiąc na morzu.

Dotrzymanie tej obietnicy może cię drogo kosztować.

Nachylił się i pocałował ją, a potem wyszedł z pokoju. Fedra usiadła przy Fii.

– Nie bądź zbyt rozczarowana, mała – powiedziała. – On naprawdę jest bogiem. Tylko o tym nie wie.

2.

Kiedy dziewczynka była już wykąpana i w łóżku, Fedra stanęła pod portykiem, patrząc na błyskawice. Wiejący w ogrodzie wiatr, orzeźwiający i chłodny, wypełniał powietrze zapachem jaśminu z krzewów rosnących pod zachodnim murem. Była zmęczona i w dziwnie melancholijnym nastroju. To była ostatnia noc Helikaona na Cyprze. Lato prawie się skończyło i popłynię swoim nowym statkiem do dalekiej o setki stadiów Troi, a potem na północ do Dardanii, gdzie spędzi zimę. Fedra spodziewała się nocy pełnej namiętności i ciepła, dotyku jego muskularnego ciała, smaku jego warg na swoich wargach. Zamiast tego wrócił do domu z na pół zagłodzonym, pogryzionym przez pchły dzieckiem bezzębnej ladacznicy, którą Wól przyniósł tu wcześniej.

Z początku Fedra była zła, ale teraz tylko niespokojna.

Oślonięta przed deszczem, zamknęła oczy i ujrzała dziewczynkę, jej ogoloną głowę pogryzioną przez pchły, mizerną i ściągniętą twarzyczkę, wielkie i wystraszone oczy. Spała teraz w pokoju przylegającym do tego, w którym leżała jej matka. Fedra miała ochotę objąć ją, przytulić i pocałować w policzek. Chciała wygnać cierpienie i strach z tych wielkich, niebieskich oczu. Jednak nie zrobiła tego. Tylko ściągnęła kapę, żeby chuda dziewczynka mogła wgramolić się do szerokiego łóżka i złożyć główkę na miękkim pościeliu.

– Śpij dobrze, Fio. Będziesz tu bezpieczna.

– Jesteś jego żoną?

– Nie. To jeden z moich darczyńców. Jestem jak twoja matka, jedną z panien Afrodyty.

– Nie ma już darczyńców – powiedziała sennie Fia.

– Śpij.

Oczywiście, że nie ma już darczyńców, pomyślała Fedra. Matka małej była brzydka i chuda, przedwcześnie postarzała.

Ty też się starzejesz, powiedziała do siebie w duchu. Chociaż obdarzona młodzieńczym wyglądem, Fedra miała prawie trzydzieści pięć lat. Wkrótce i do niej przestaną przychodzić darczyńcy. Poczowała gniew. A jeśli nawet, co z tego? Jestem już bogata.

Mimo to nie opuszczała jej melancholia.

W ciągu tych osiemnastu lat, od kiedy została panną Afrodyty, Fedra dziewięć razy zachodziła w ciążę. Za każdym razem odwiedzała świątynię Asklepiosa i łykała gorzkie zioła poronne. Po raz ostatni robiła to pięć lat temu. Zwlekała przez miesiąc, rozdarta między chęcią pomnożenia swoich bogactw a rosnącą potrzebą zostania matką. „Następnym razem”, obiecała sobie. „Następnym razem urodzę dziecko”.

Tylko że nie było następnego razu i teraz często śniła o dzieciach płaczących w ciemności, wołających jej imię. Biegła na oślep, usiłując je odnaleźć, i budziła się zrana zimnym potem. Później zaczynała płakać i jej szloch odbijał echem pustkę jej życia.

– Moje życie wcale nie jest puste – mówiła sobie. – Mam pałac i służbę, i dość bogactw, żeby do końca życia obejść się bez mężczyzn.

Zastanawiała się, czy naprawdę.

Przez cały dzień była w kiepskim nastroju i mało się nie popłakała, kiedy Helikaon powiedział, że udaje się do świątyni Apollina. Raz poszła tam razem z nim, przed rokiem, i widziała, jak stał na samej krawędzi urwiska, z wyciągniętymi rękami i zamkniętymi oczami.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytała. – Półka mogła się osunąć. Mogłeś spaść i roztrzaskać się o skały.

– Może właśnie dlatego – odparł.

Ta odpowiedź ją zaskoczyła. Nie miała sensu. Jednak tak wiele w Helikaonie wymykało się wszelkim logicznym wyjaśnieniom. Wciąż usiłowała zrozumieć jego tajemnicę. Kiedy był z nią, nie dostrzegała w nim skłonności do przemocy, o której szeptano. Ani szorstkości, okrucieństwa, gniewu. Na Cyprze rzadko nosił broń, chociaż widziała jego trzy miecze z brązu, hełm z białym grzebieniem, napierśnik i nagolenice, które wkładał do bitwy. Były zamknięte w skrzyni w sypialni na górze, z której korzystał, bawiąc na wyspie.

Zamknięte w skrzyni. Jak jego emocje, pomyślała. W ciągu tych pięciu lat znajomości Fedra tak naprawdę nigdy go nie poznała. Zastanawiała się, czy komukolwiek się to udało.

Wyszła na deszcz i podniosła twarz do ciemnego nieba. Zadrżała, gdy przemokła jej zielona suknia, a owiewający ją wiatr stał się lodowaty. Roześmiała się i weszła z powrotem pod dach. Chłód odegnał zmęczenie.

W świetle błyskawicy wydało jej się, że dostrzega jakąś postać przemykającą pod osłoną krzaków po prawej. Obróciła się w tym kierunku, lecz nie zauważyła nikogo. Czyżby to złudzenie? Lekko zdenerwowana wróciła do domu i zamknęła drzwi.

Ostatni goście Helikaona opuścili jej dom i weszła na górę do jego komnaty. Było tam ciemno, nie paliła się żadna lampa. I pusto. Wyszła na balkon i spojrzała na ogród. W polu widzenia nie było nikogo. Chmury rozeszły się na chwilę i księżyc świecił jasno.

Odwróciła się i zobaczyła na podłodze ślad ubłoconej stopy. Z lękiem rozejrzała się po pokoju. Ktoś tu był. Wszedł przez okno. Wróciwszy na balkon, ponownie spojrzała na ogród.

Coś poruszyło się w cieniu i ujrzała zakapturzonego, odzianego na czarno człowieka biegnącego w kierunku muru. Nagle zza posągu wyszedł Helikaon. W dłoni trzymał sztylet. Mężczyzna zobaczył go i zmienił kierunek ucieczki. Rozpędził się i skoczył, wciągnął się na wysoki mur i zeskoczył na drugą stronę. Chmury znów zasłoniły księżyc i Fedra nie zobaczyła nic więcej.

Przebiegłszy korytarzem i na dół po schodach, dotarła do drzwi, akurat gdy do środka wszedł Helikaon. Zamknawszy drzwi, Fedra zablokowała je antabą.

– Kto to był? – zapytała. Helikaon rzucił sztylet na stół.

– Po prostu złodziej – odparł. – Już go nie ma.

Minawszy ją, przeszedł do kuchni, wziął ręcznik i wytarł sobie twarz oraz ramiona. Fedra poszła za nim.

– Powiedz mi prawdę – zażądała.

Zdjawszy chiton, wycierał resztę ciała. Potem nago przeszedł przez

pokój i napełnił dwa puchary rozcieńczonym winem. Podał jej jeden i zaczął saczyć trunk ze swojego.

– Ten człowiek śledził mnie, gdy szedłem do świątyni. Zauważyłem go. Jest bardzo zręczny i trzyma się w cieniu. Wól i moi ludzie go nie dostrzegli.

– Ty jednak zauważyłeś?

Westchnął.

– Mój ojciec został zamordowany przez najemnego zabójcę, Fedro. Od tej pory jestem... bardziej spostrzegawczy niż inni, rozumiesz?

– Masz wielu wrogów, Helikaonie?

– Wszyscy możni ludzie mają wrogów. Pewni kupcy winni mi są fortunę. Gdybym umarł, nie musieliby spłacać długów. Zabijałem piratów, którzy mieli braci i synów żadnych zemsty. Jednak nie mówmy o tym tej nocy. Zamachowiec uciekł, a ty pięknie wyglądasz.

Gdyby była jego żoną, mogłaby mu powiedzieć, że już nie chce się kochać. Jednak nie jestem jego żoną, pomyślała. Jestem dzieckiem Afrodyty, a on jest moim darczyńcą. Jak ta bezzębna dziewczka w sypialni na górze, jestem zwykłą ladacznicą. Poczula smutek, lecz uśmiechnęła się z przymusem i wpadła mu w objęcia. Jego pocałunek był ciepły, oddech słodki, a ramiona mocne.

– Jestem twoją przyjaciółką? – zapytała go później, gdy leżeli razem na jej szerokim łóżu, gdy jej głowa spoczywała na jego ramieniu, a udo na jego udzie.

– Teraz i zawsze, Fedro.

– Nawet kiedy będę stara i brzydka?

Pogładził jej włosy.

– Co mam ci powiedzieć?

– Prawdę. Chcę usłyszeć prawdę.

Pochylił się nad nią i ucałował w czoło.

– Nie szafuję moją przyjaźnią – rzekł – i nie darzę cię nią z powodu twojej młodości i urody. Jeśli oboje dożyjemy podeszłego wieku, nadal będę twoim przyjacielem.

Westchnęła.

– Boję się, Helikaonie. Boję się starości, tego, że zginiesz lub znudzisz się mną, że stanę się taka jak matka Fii. Dawno temu wybrałam to życie, które przyniosło mi bogactwo i bezpieczeństwo. Teraz zastanawiam się, czy dokonałam dobrego wyboru. Myślisz, że mogłabym być szczęśliwą żoną rolnika lub rybaka i wychowywać dzieci?

– Nie potrafię na to odpowiedzieć. Codziennie podejmujemy decyzje, czasem dobre, czasem złe. I – jeśli jesteśmy dość silni – godzimy się z ich następstwami. Prawdę mówiąc, nie jestem pewien, co mają na myśli ludzie, kiedy mówią o szczęściu. Są chwile radości i śmiechu, zadowolenia z przyjaźni, ale stałe szczęście? Jeśli istnieje, to nigdy go nie odkryłem.

– Może przychodzi tylko wtedy, gdy jesteś zakochany – podsunęła.

– Byłaś kiedyś zakochana?

– Nie – skłamała.

– Ja też nie – odparł i te zwyczajne słowa wbiły się w jej serce jak sztylet.

- Co z nas za smutna para - powiedziała z wymuszonym uśmiechem i przesunęła dłoń po jego płaskim brzuchu. - Ach! - zawołała z udawanym zdziwieniem. - Jest tu ktoś, kto wcale nie wygląda na przybitego. Zdaje się nawet rosnać w oczach.

Helikaon roześmiał się.

- To ty tak na niego działasz.

Chwycił ją w pasie i podniósł, po czym posadził na sobie i mocno pocałował.

III. ŻŁOTY STATEK

1.

Burze z dwóch ostatnich dni ucichły na zachodzie. Niebo było czyste i błękitne, a morze spokojne, gdy Spyros miarowo wiosłował, wioząc pasażera na wielki statek. Po całym poranku przewożenia żeglarzy na *Ksantosa* był zmęczony. Lubił mówić ludziom, że mając osiemdziesiąt lat, jest równie krzepki jak dawniej, ale mijał się z prawdą. Bolały go ręce i ramiona, a serce waliło jak młotem, gdy pociągał wiosłami.

Człowiek nie jest stary, dopóki może pracować. Ta prosta zasada trzymała Spyrosa przy życiu i każdego ranka po przebudzeniu pozwalała z uśmiechem witać nowy dzień. Gdy wychodził, by nabrać wody ze studni, spoglądał na swoje odbicie w wodzie i mówił:

– Dobrze cię widzieć, Spyrosie.

Popatrzył na młodzieńca siedzącego spokojnie na rufie. Włosy miał długie i czarne, związane rzemieniem. Półnagi, nosił zwykłą spódniczkę i sandały. Jego ciało było szczupłe i muskularne, a oczy jasnoniebieskie jak letnie niebo. Spyros nigdy przedtem go nie widział i odgadł, że to cudzoziemiec, zapewne mieszkaniec wysp lub Kreteńczyk.

– Jesteś nowym wiosłarzem, tak? – zapytał go Spyros.

Pasażer nie odpowiedział, tylko się uśmiechnął.

– Cały tydzień przeprowiam takich jak ty – ciągnął stary. – Miejscowi nie popłyną na Statku Śmierci. Tak nazywamy *Ksantosa* – dodał. – Tylko idioci i cudzoziemcy. Bez urazy.

Pasażer miał głęboki głos i akcent potwierdzający teorię Spyrosa.

– Jednak jest piękny – rzekł przyjaźnie. – A szkutnik mówi, że to wytrzymały statek.

– Taak, przyznaję, miło nań spojrzeć – rzekł Spyros. – Bardzo przyjemny widok. – Potem zachichotał. – Jednakże nie ufałbym słowom Szaleńca z Miletu. Wiesz, mój bratanek pracował przy budowie tego statku. Mówi, że Kalkeus przechadzał się, rozmawiając sam ze sobą. Czasem nawet klepał się w czoło.

– Tak, widziałem, jak to robił – przyznał młody mężczyzna.

Spyros zamilkł, czując przyływ lekkiej irytacji. Ten człowiek był młody i najwyraźniej nie pojmował, że bogowie morza nienawidzą dużych statków. Dwadzieścia lat temu widział, jak równie duży statek wypływa z tej zatoki. Odbił dwa rejsy bez żadnych kłopotów, a potem znikł w czasie burzy. Tylko jeden człowiek przeżył katastrofę. Morze wyrzuciło go na brzeg na wschodnim przylądku. Marynarze długie lata powtarzali sobie jego opowieść. Kil pękł i statek w mgnieniu oka przelamał się na pół. Spyros zastanawiał się, czy opowiedzieć o tym temu młodemu wiosłarzowi. Porzucił ten pomysł. Jaki miałoby to sens? Ten człowiek musi zarobić dwadzieścia miedzianych pierścieni i nic go nie powstrzyma.

Spyros powiosłował dalej, czując coraz silniejszy ból w krzyżu. Tego dnia był to jego dwudziesty rejs na *Ksantosa*.

Wokół galery było mnóstwo małych łodzi z ładunkiem. Ludzie pokrzykiwali i próbowali ustawić je jak najbliżej statku. Łodzie zderzały się, co wywoływało potoki przekleństw i gróźb. Spuszczano liny, na których powoli wciągano ładunek na pokład. Zarówno wśród marynarzy *Ksantosa*, jak i załóg łodzi czekających na rozładunek panowała nerwowa atmosfera. Krótko mówiąc, okropny rozgardiasz.

– I tak jest od rana – rzekł Spyros, przestając na moment wiosłować. – Nie wydaje mi się, żeby wypłynęli dzisiaj. Wciągnąć ładunek na tak wysoki pokład. To jeden z problemów takich dużych statków. O tym nie pomyślał, prawda? Mówię o Szaleńcu.

– Winę ponosi właściciel – powiedział pasażer. – Chciał mieć największy statek, jaki kiedykolwiek zbudowano. Ważna była dla niego dzielność morska i wytrzymałość konstrukcji. Nie pomyślał, jakim problemem będzie załadunek i rozładunek.

Spyros puścił wiosła.

– Posłuchaj, chłopcze, najwyraźniej nie wiesz, z kim pozeglujesz. Lepiej nie mów tak w pobliżu Złocistego. Helikaon może jest młody, ale to zabójca, wiesz? Odciał Alektruonowi głowę i wyłupił mu oczy. Powiadają, że je zjadł. To nie jest ktoś, kogo chciałbyś obrazić, rozumiesz?

– Zjadł jego oczy? Tej opowieści nie słyszałem.

– Och, kraży o nim wiele opowieści. – Spyros popatrzył na zamieszanie wokół galery. – Nie ma sensu przepychać się do rufy. Będziemy musieli poczekać, aż kilka z tych łodzi towarowych odpłynie.

Na pokładzie pojawił się wielki łysy mężczyzna z czarną brodą, natłuszczoną i splecioną w dwa warkocze. Grzmiącym basem rozkazał niektórym łodziom trzymać się z daleka, dopóki te najbliżej galery nie zostaną rozładowane.

– Ten łysy to Zidantas – objaśnił Spyros. – Nazywają go Wołem. Inny mój bratanek pływał z nim kiedyś. Wół jest Hetytą. Mimo to zacny człowiek. Mój bratanek kilka lat temu złamał sobie rękę na *Itace* i przez cały rejs nie mógł pracować. Mimo to dostał swoich dwadzieścia pierścieni. Zidantas tego dopilnował. – Obrócił twarz na południe. – Wiatr zmienia kierunek. Będzie dęło z południa. Niezwykle o tej porze roku. To chyba powinno wam pomóc. Jeśli dziś wyjdziecie w morze.

– Wypłyniemy – powiedział mężczyzna.

– Zapewne masz rację, młodzieńcze. Złocisty ma szczęście. Żaden z jego statków nie zatonął, wiesz? Piraci unikają go – i trudno się dziwić, prawda? Nie zadziera się z człowiekiem, który zje ci oczy.

Sięgnął pod ławkę i wyjął bukłak z wodą. Napił się, a potem podał go pasażerowi, który z wdzięcznością przyjął bukłak.

Na pokładzie błysnął brąz i pojawili się dwaj wojownicy, obaj w napierśnikach i w hełmach ozdobionych grzebieniami z końskiego włosia.

– Wcześniej proponowałem, że ich przeprowię – mruknął Spyros. – Nie podobała im się moja łódź. Pewnie była dla nich za mała. No cóż, zaraza na tych Mykeńczyków. Słyszałem ich rozmowę. Nie są przyjaciółmi Złocistego, to pewne.

– Co mówili?

– No, przeważnie mówił ten starszy. Powiedział, że bebechy mu się wywracają na myśl o tym, że żeglują z Helikaonem. Chyba nie można mieć mu tego za złe. Ten Alektruon – ten, który stracił oczy – też był Mykeńczykiem. Helikaon zabił wielu Mykeńczyków.

– Jak powiedziałeś, to człowiek, którego lepiej nie obrażać.

– Zastanawiam się, dlaczego to robi.

– Dlaczego zabija Mykeńczyków?

– Nie, dlaczego pływa na swoich statkach po całej Wielkiej Zieleni. Powiadają, że ma pałac w Troi, ziemie w Dardanii i jeszcze gdzieś na północy. Nie pamiętam gdzie. W każdym razie jest już bogaty i możny. Dlaczego ryzykuje życie na morzu, walcząc z piratami i tym podobnymi łotrami?

Młodzieniec wzruszył ramionami.

– Nic nigdy nie jest takie, jakie się wydaje. Kto wie? Może ma jakieś marzenie. Słyszałem, że pewnego dnia chce pożegłować poza Wielką Zielę, na odległe morza.

– Też to słyszałem – rzekł Spyros. – Tam jest skraj świata z wodospadem spadającym przez wieczność w pustkę. Co za idiota chciałby pożegłować w tę czarną otchłań świata?

– To dobre pytanie, przewoźniku. Może człowiek, który nie jest zadowolony z życia. Szukający czegoś, czego nie może znaleźć na Wielkiej Zieleni.

– Otóż właśnie! Nie ma niczego godnego uwagi, czego człowiek nie znalazłby w swojej wiosce, nie mówiąc już o morzu. Na tym polega problem z tymi bogatymi książętami i królami. Nie rozumieją, co jest prawdziwym skarbem. Widzą go w złocie, miedzi i cynie. Widzą go w stadach koni i bydła. Gromadzą nieprzebrane dobra, budują wielkie składy, których zaciekle strzegą. A potem umierają. I co im wtedy po tych bogactwach?

– A ty wiesz, co jest prawdziwym skarbem? – zapytał młodzieniec.

– Oczywiście. Większość zwykłych ludzi to wie. Kilka ostatnich dni byłem na wzgórzach. Młoda kobieta prawie umarła. Dziecko uwięzło jej w łonie. Jednak przybyłem na czas. Biedna dziewczyna. Była już w kiepskim stanie. Wydobrzeje, a chłopiec jest zdrowy i silny. Patrzyłem, jak ta kobieta bierze dziecko w ramiona i spogląda na nie. Była tak słaba, że w każdej chwili mogła umrzeć. Jednak w jej oczach było widać, że dobrze wie, co trzyma w ramionach. Coś cenniejszego od złota. A ojciec dziecka był wtedy bardziej dumny i szczęśliwszy niż jakikolwiek zwycięski król z pełnego skarbcza.

– Temu dziecku się poszczęściło, że ma takich kochających rodziców. Nie wszystkie ich mają.

– Te, które nie mają, noszą rany w sercach. Te rany są niewidoczne, ale nigdy się nie goją.

– Jak się zwiesz, wioślarzu?

– Spyros.

– Jak to się stało, że jesteś wioślarzem i akuszerem, Spyrosie? To dość odległe od siebie zajęcia.

Stary zachichotał.

– Przez te osiemdziesiąt lat życia sprowadziłem na świat sporo

dzieci. Mam do tego dobrą rękę. Wszystko zaczęło się ponad pięćdziesiąt lat temu. Młoda żona pasterza miała ciężki poród i dziecko urodziło się martwe. Byłem przy tym i wziąłem biedne maleństwo, żeby je wynieść. Kiedy je podniosłem, nagle wypluło krew i zaczęło płakać. Od tej pory ludzie zaczęli mówić, że umiem obchodzić się z dziećmi. Moja żona... słodka dziewczyna... urodziła sześcioro. Tak więc wiedziałem co nieco o trudach porodu. Z biegiem lat coraz częściej proszono mnie, żebym pomagał rodzącym. Wiesz, jak to jest. Wieści się rozchodzą. Jeśli na jakąś brzemienną dziewczynę w promieniu trzystu stadiów przychodzi jej czas, wzywają Spyrosa. Wiesz co? To dziwne. Im jestem starszy, tym większą przyjemność sprawia mi pomoc w powoływaniu nowego życia.

– Jesteś dobrym człowiekiem – powiedział jego pasażer – i rad jestem, że cię poznałem. A teraz weź się do wiosł i przepchnij się do galery. Czas, żebym wszedł na jej pokład.

Stary zanurzył pióra w wodzie i wpłynął między dwie długie łodzie. Dwaj marynarze zauważyli łódkę i spuścili linę między wiosłami. Pasażer wstał, z sakiewki przy pasie wyjął gruby pierścień i podał go Spyrosowi.

Pierścień błysnął w słońcu.

– Czeka! – krzyknął Spyros. – To złoto!

– Podobały mi się twoje opowieści – rzekł z uśmiechem młody mężczyzna – więc nie zjem twoich oczu.

2.

Coś z trzaskiem upadło na pokład i dały się słyszeć gniewne krzyki. Wspiawszy się na górę, Helikaon odkrył, że dwaj mężczyźni upuścili amforę, która rozbiła się na kawałki. Gęste, nie rozcieńczone wino rozlało się po pokładzie i jego odurzający zapach rozszedł się w powietrzu. Olbrzymi Zidantas szamotał się z winowajcami, a inni marynarze stali wokół i okrzykami zagrzewali walczących.

Na widok Helikaona zgiełk natychmiast ucichł i załoga w milczeniu wróciła do swoich zajęć.

Helikaon podszedł do Zidantasa.

– Tracimy czas, Wole – powiedział. – A część ładunku wciąż jest na brzegu.

Przez resztę poranka Helikaon pozostał na wysokim pokładzie rufowym, gdzie dobrze go widzieli pracujący ludzie. Wśród załogi wciąż panowało niemal namacalne napięcie, podsycane obawą przed żeglowaniem na Statku Śmierci. Jego obecność studziła te nastroje i załoga uspokoiła się, a praca zaczęła iść zwawiej. Wiedział, co myślą. Złocisty, błogosławiony przez bogów, płynie z nimi. Tak więc nic złego nie może im się stać.

Ta wiara w niego była dla nich bardzo ważna. Wiedział jednak, że gdyby sam zaczął w to wierzyć, mogłoby się to źle skończyć. Ludzie mówili o jego szczęściu i o tym, że nie stracił żadnego ze swych statków. Owszem, szczęście też odgrywało tu pewną rolę, ale najważniejsze było to, że po każdym sezonie żeglugi te statki były dokładnie sprawdzane przez cieśli, wyciągane na brzeg i oskrobywane ze skorupiaków. Przeprowadzano niezbędne naprawy. Załogi starannie dobierano, a ich

kapitanowie byli bardzo doświadczeni. Żadna z jego pięćdziesięciu galer nigdy nie pływała przeładowana ani niepotrzebnie nie narażała się na niebezpieczeństwo, żeby zwiększyć zyski.

Ponieważ sztorm już ucichł, jednodniowy rejs na kontynent powinien być łagodną próbą dla nowego statku, pozwalając załodze przywyknąć do galery – i do siebie. Uwagi wioślarza na temat miejscowych marynarzy były słuszne. Nielatwo było znaleźć doświadczonych ludzi, którzy zechcieliby popłynąć na *Ksantosie*, więc wciąż brakowało im dwudziestu członków załogi. Zidantas krążył po porcie, szukając marynarzy. Helikaon uśmiechnął się. Mogliby w mgłnieniu oka skompletować załogę, ale Zidantas był surowym sędzią.

– Lepiej mieć za mało, ale dobrych, niż komplet nieudaczników – mówił. – Widziałem dziś jednego człowieka. Egipcjanina. Już zamustrował na *Miriona*. Jeśli spotkam go w Troi, znów spróbuję go namówić.

– Egipcjanie nie nadają się na wioślarzy, Wole – przypomniał Helikaon.

– Ten by się nadał – odparł Zidantas. – Silny. Serce jak dzwon. Ani krztyny słabości.

Lekki wietrzyk przeleciał nad pokładem. Helikaon podszedł do relingu sterburty i zobaczył, że wiele łodzi transportowych już płynie z powrotem do brzegu. Ładowano ostatnie partie towarów. Przy bakburcie ujrzał najmłodszego członka załogi, Ksandra, siedzącego spokojnie i czekającego na rozkazy. Następne dziecko biedy, pomyślał Helikaon.

O świcie tego ranka, gdy szykował się do drogi, przyszła do niego Fedra.

– Musisz to zobaczyć – powiedziała i zaprowadziła Helikaona do sypialni, w której położono chorą.

Jej córka, mała Fia, dostała osobny pokój, ale w nocy przekradła się do matki. Teraz obie mocno spały, a dziewczynka opiekuńczo obejmowała matkę.

– Dziękuję ci, że je przyjąłeś – powiedział, gdy Fedra cicho zamknęła drzwi sypialni.

– Przecież to ty dałeś mi to wszystko, Helikaonie. Jak możesz mi dziękować?

– Muszę iść. Wiesz, że mówiłem poważnie, kiedy powiedziałem temu dziecku, że mogą tu zostać, jak długo zechcą.

– Oczywiście. Fia miała szczęście, że trafiła na ciebie. Uzdrowiciel powiedział, że jej matka zapewne nie dożyłaby ranka.

– Gdybyś czegoś potrzebowała, kazałem Pariklesowi, aby ci to dostarczył.

– Jesteś taki troskliwy. Ze wszystkich moich kochanków ty jesteś mi najdroższy.

Roześmiał się na te słowa i wziął ją w objęcia, podniósł i okręcił w powietrzu.

– A twoja przyjaźń jest bezcenna.

– W przeciwieństwie do mojego ciała – odparła. – Inaczej mieszkałabym w szopie jak matka Fii.

Uśmiechając się na to wspomnienie, popatrzył na statek. Dwaj

mykeńscy pasażerowie stali przy bakburcie. Obaj nosili zbroje i miecze przy pasach. Starszy z nich, brodaty Argurios, gapił się na niego z nie ukrywaną wrogością.

Chciałbyś mnie zabić, pomyślał Helikaon. Pomścić Alektruona. Jednak otwarcie stawilbyś mi czoło. Nie pchnąłbyś sztyletem w plecy, nie wsypał trucizny do kubka.

Stojący przy Arguriosie młodzieniec powiedział coś i wojownik odwrócił się do niego. Helikaon wciąż go obserwował. Argurios był niewysoki, ale muskularny. Jego ręce pokrywała gęsta siatka blizn. Marynarze, uwielbiający opowieści o bitwach i odważnych czynach, w każdym porcie Wielkiej Zieleni opowiadali historie o herosach. Argurios był bohaterem wielu tych opowieści. Walczył w bitwach we wszystkich zachodnich krainach, od Sparty na południu po Tesalię na północy, a nawet na pograniczu Tracji. Wszystkie te opowieści sławiły jego odwagę, w żadnej nie wspomniano o gwałtach, torturach czy morderstwach.

Helikaon wrócił myślami do człowieka, który śledził go na Cyprze. Już myślał, że schwyta zabójcę w domu Fedry. Zidantas z czterema ludźmi czekał za murem. Jednak zamachowiec wymknął się im. Wół powiedział, że znikł jak za sprawą czarów. Helikaon nie wierzył w czary. Zamachowiec był bardzo zręczny – tak jak ten, który zabił ojca Helikaona. Tamtego też nikt nie widział. Wszedł do pałacu, dostał się do komnat króla i poderżnął mu gardło. A ponadto – nie wiadomo dlaczego – obciął mu prawe ucho. Potem znikł. Żaden z gwardzistów go nie widział. Żaden sługa nie zauważył nikogo obcego.

Może i jego tropił taki człowiek.

Helikaon zobaczył nadchodzącego Zidantasa. Za brodatym Hetytą szli dwaj oficerowie.

Zidantas wspiał się na pokład rufowy.

– Jesteśmy gotowi, o Złocisty – zameldował. Helikaon skinął głową i Wół się odwrócił.

– Przygotować wiosła! Do żagli! – ryknął. – Podnieść kotwice!

Załoga pospiesznie zajęła stanowiska, marynarze na dziobie i na rufie zaczęli ciągnąć grube liny, podnosząc z dna morza wielkie kamienne kotwice.

Helikaon spojrzał na Ksandra. Chłopiec szeroko otworzył oczy i wyglądał na przestraszonego. Co chwila spoglądał na brzeg.

– Równaj do pierwszego! – krzyknął Wół.

Rzędy wiosel uniosły się i zanurzyły.

Wielki statek zaczął majestatycznie sunąć przez zatokę.

3.

Dla dwunastoletniego Ksandra podróż na *Ksantosie* była największą przygodą w życiu. Jak długo pamiętał, marzył, by pożegłować po Wielkiej Zieleni. Wysoko w górach Cypru, pilnując kóz dziadka lub pomagając matce i siostrom sporządzać farby do glinianych naczyń, które sprzedawali w osadzie, wyobrażał sobie, że jest na statku i czuje pod nogami rozkołysane morze. W górach często przystawał i tęsknie spoglądał na statki płynące na południe w kierunku Egiptu lub na wschód do Ugarit – a nawet do Miletu i legendarnej Troi o wieżach ze

szczerego złota.

Pamiętał, jak jego ojciec, Akamas, oraz inni marynarze zwodowali *Itakę*. Stał z dziadkiem na plaży, gdy galera unosiła się na wodzie, i patrzył, jak wiosłarze siadają na ławach. Jego ojciec był świetnym wiosłarzem, silnym i niestrudzonym. Ponadto, jak często mówił dziadek, „dobrze było mieć go przy sobie podczas sztormu”.

Ksander z dotkliwą jasnością pamiętał to ostatnie pożegnanie. Ojciec stał i machał ręką, a jego rude włosy jaśniały jak ogień w blasku poranka. Zginął kilka dni później w bitwie z okrutnym mykeńskim piratem, Alektruonem. Ksander wiedział, że ojciec umarł w walce, broniąc swoich przyjaciół i statku. Złocisty przyszedł do ich domu na wzgórzach, usiadł przy Ksandrze i opowiedział mu o odwadze jego ojca. Przyniósł również dary dla matki i dziadka i cicho rozmawiał z obojgiem. Robiąc to, uczynił im wielki zaszczyt, Helikaon bowiem był synem króla. A także półbogiem.

Słyszając to, dziadek prychnął.

– Wszyscy ci szlachetnie urodzeni podają się za potomków bogów – rzekł – lecz są zwyczajnymi ludźmi, jak ty i ja, Ksandrze. Helikaon jest lepszy niż większość z nich – przyznał jednak. – Niewielu wysoko urodzonych pofatygowałoby się z wizytą do pogrążonej w żałobie rodziny.

Odwrócił się i Ksander zobaczył, że płacze. On też zapłakał. Po chwili dziadek objął go ramieniem.

– Nie wstydz się łez, chłopcze. Twój ojciec na nie zasłużył. Był dobrym człowiekiem. Zawsze byłem z niego dumny. Tak jak będę dumny z ciebie. Helikaon mówi, że za rok przyjmie cię do załogi i nauczysz się żeglować. Będiesz dobrym, dzielnym człowiekiem, jak twój ojciec, i przyniesiesz zaszczyt naszej rodzinie.

– Czy będę wiosłarzem, dziadku?

– Nie od razu, chłopcze. Jesteś za mały. Jednak urośniesz. I będziesz silny.

Ten rok strasznie mu się dłużył, ale w końcu wielki statek był gotowy i zaczęto mustrować załogę. Dziadek poszedł z nim do portu tuż przed świtem, udzielając mu tylu rad, że Ksander nie mógł ich zapamiętać.

– Patrz na Zidantasa – tak brzmiała jedna z nich. – To dobry człowiek. Twój ojciec dobrze o nim mówił. Zawsze słuchaj jego poleceń. Staraj się wykonywać je jak najlepiej.

– Dobrze, dziadku.

Starzec spoglądał na wielki statek z dwoma rzędami wiosł i ogromnym masztem. Potem potrząsnął głową.

– Życzę ci szczęścia, Ksandrze. Bądź dzielny. Przekonasz się, że odwaga i szczęście często idą w parze.

Ksander przeprowił się na statek, zanim słońce pojawiło się na horyzoncie, malując *Ksantosa* na kolor jasnego złota. To był piękny widok i Ksander poczuł radość w sercu. Będzie pływał na tym cudownym statku. Nauczy się żeglarstwa i zostanie wielkim żeglarzem, tak jak jego ojciec. Dziadek będzie z niego dumny. Matka też.

Mała wiosłowa łódź wpłynęła pod rząd podniesionych wiosł.

Razem z Ksandrem przyплыnęli na statek trzej inni marynarze, którzy wrzucili swoje węzłki na pokład i sami wspięli się w ślad za nimi po linach. Ksander chciał zrobić to samo, ale krzepki przewoźnik mu na to nie pozwolił.

– Wejdiesz tędy, mały – powiedział, podsadzając go do najniższej położonego luku wiosłowego.

Ksander precyzyjnie przeszedł przez otwór i spadł na wąską ławkę wiosłarską.

Pod pokładem było ciemno i ciasno, lecz gdy jego wzrok oswoił się z półmrokiem, ujrzał wąskie siedzenia wiosłarzy i deski, o które zapierali się, ciągnąc wiosła. Odłożywszy tobolek, usiadł na ławeczce i wyprostował nogi. Dziadek miał rację. Był za mały, żeby się zaprzeć nogami. W przyszłym roku, pomyślał, będę dostatecznie wysoki. Podniósł węzełek, dotarł do wjazdu i wspiął się na pokład.

Byli tam marynarze oraz dwaj pasażerowie w zbrojach. Starszy z nich był posępnym, brodatym mężczyzną o zimnych i twardych oczach. Ksander widywał już takich ludzi. Byli Mykeńczykami, tak jak piraci, którzy zabili jego ojca. Ich wojska przemierzały zachodnie krainy, plądrując miasta i miasteczka, biorąc niewolników i złoto. Mykeńscy piraci często przepływali morze, aby napadać przybrzeżne osady. Dziadek ich nienawidził.

– To ludzie żądni krwi i pewnego dnia staną się prochem – mówił.

Luk głównej ładowni był otwarty i Ksander ujrzał marynarzy znośzących tam różne towary: wielkie gliniane amfory z winem lub przyprawami, duże paczki z glinianymi talerzami, owinięte skórą i zabezpieczone warstwami kory. Był też oręż, topory i miecze, tarcze i hełmy. Marynarze spuszczały na linach inne towary. Ksander podszedł bliżej i zajrzał do ładowni. Była głęboka. Jakiś mężczyzna wszedł po stopniach i prawie na niego wpadł.

– Uważaj, chłopcze – powiedział, przechodząc.

Ksander odszedł od pracujących.

Zbliżył się do relingu i spojrzął na brzeg, gdzie wciąż stał jego dziadek. Starzec dostrzegł go i pomachał ręką. Ksander odpowiedział mu tym samym i nagle poczuł strach. Zaraz miał wyruszyć w rejs i gdy to do niego dotarło, wręcz go przytłoczyło.

Wtem na jego ramieniu spoczęła potężna dłoń. Ksander drgnął i obrócił się. Przed nim stał ogromny łysy mężczyzna z rozwidloną czarną brodą.

– Jestem Zidantas – powiedział. – Ty jesteś synem Akamasa?

– Jestem Ksander. Olbrzym skinał głowę.

– Twój ojciec mówił o tobie z dumą. Podczas tej podróży nauczysz się być użyteczny. Jesteś za mały na wiosłarza i za młody, by walczyć. Tak więc będziesz pomagał tym, którzy mogą to robić. Będziesz nosił wodę wiosłarzom i robił wszystko, co ci się każe. Kiedy pozwolą mi na to obowiązki, pokażę ci, jak wiązać węzły, jak refować żagiel i robić tym podobne rzeczy. Poza tym będziesz się starał nie przeszkadzać i obserwować innych. W ten sposób wiele się nauczysz, Ksandrze. Upłynie trochę czasu, zanim będziemy gotowi pożeglować. Załadunek trwał znacznie dłużej, niż oczekiwaliśmy, i mamy przeciwny wiatr. Tak

więc znajdź sobie jakiś zaciszny kąt i czekaj, aż postawimy żagiel. Wtedy przyjdź do mnie na pokład rufowy.

Zidantas odszedł i Ksander znowu poczuł strach przed nieznanym. Za młody, by walczyć, powiedział Zidantas. A jeżeli zostaną zaatakowani przez piratów? Jeśli zginie jak ojciec albo utonie w Wielkiej Zieleni? Nagle pokoik w domu dziadka wydał mu się cudowny. Ponownie spojrzął za burtę i zobaczył dziadka, idącego w górę długiego zbocza.

Czas płynął i załoga była coraz bardziej zdenerwowana, gdy trudności związane z wciąganiem towarów na wysoki pokład stawały się coraz bardziej dokuczliwe. Przyплыnęła łódź z długą siecią rybacką, w której wciągnięto na pokład najbardziej kruche towary. Wybuchła awantura, gdy dwaj marynarze upuścili dużą amforę z winem. Naczynie pękło i gęste czerwone wino popłynęło po pokładzie. Zaczęła się bójka, gdyż jeden z marynarzy rąbnął pięścią drugiego, nazywając go idiotą. Szarpali się. Zidantas interweniował, łapiąc ich za chitony i odciągając od siebie. Inni marynarze podjudzali walczących, podgrzewając atmosferę.

Nagle, w mgnieniu oka, na statku zapanował spokój i cisza.

Ksander ujrzał Złocistego, który przeszedł przez reling na statek. Był półnagi, odziany tylko w zwyczajną skórzaną spódniczkę. Nie miał miecza ani innej broni, a jednak jego obecność natychmiast uspokoiła załogę, która wróciła do swoich zajęć.

Ksander zobaczył, jak mężczyzna podchodzi do Zidantasa, który wciąż trzymał dwóch winowajców, chociaż przestali się już szarpać.

– Tracimy czas, Wole – powiedział. – A część ładunku wciąż jest na brzegu. Zidantas odepchnął obu mężczyzn.

– Uprzątnijcie ten bałagan – powiedział im. Helikaon spojrzął na Ksandra.

– Jesteś gotów zostać marynarzem, synu Akamasa?

– Tak, panie.

– Boisz się?

– Trochę – przyznał.

– Pewien wielki człowiek powiedział mi kiedyś, że nie ma odwagi bez lęku – rzekł Helikaon. – Miał rację. Pamiętaj o tym, kiedy ze strachu poczujesz mdłości i ugną się pod tobą nogi.

IV. SZALENIEC Z MILETU

1.

Kalkeus zawsze się irytował, kiedy nazywano go Szaleńcem z Miletu. Denerwowało go to, bo nie pochodził z Miletu. Wcale nie przejmował się tym, że nazywano go szaleńcem.

Stał na sterburcie środkowego pokładu diery, patrząc, jak marynarze wciągają wielkie kamienne kotwice. Zbliżało się południe i na szczęście załadunek został zakończony. Przybycie Helikaona ponagliło załogę i Ksantos szykował się do opuszczenia zatoki.

Podmuch wiatru pochwycił słomkowy kapelusz z szerokim rondem i zerwał go z głowy Kalkeusa. Ten próbował go złapać, lecz kolejny podmuch uniósł kapelusz wyżej i przerzucił za burzę. Nakrycie głowy poszybowało nad migoczącą lazurową tonią, wirując i koziółkując. Potem, gdy wiatr ucichł, spadło do wody.

Kalkeus spojrzął na nie tęsknie. Jego niegdyś gęste rude kędziory mocno się przeredziły i oprószyły siwizną. Ponadto na czubku głowy miał łysinę, która w ostrym słońcu spieczę się na raka.

Wioślarz na dolnym pokładzie, widząc pływający kapelusz, wetknął wiosło w wodę, usiłując go podnieść. Prawie mu się to udało, lecz znów powiał wiatr i porwał nakrycie głowy. Drugi wioślarz też spróbował. Kalkeus usłyszał dobiegający z dołu śmiech. Łowienie kapelusza szybko stało się zbiorową grą, której towarzyszył trzask uderzających o siebie wiosel. Po chwili słomkowe nakrycie głowy, tłuczone szerokimi piórami wiosel, straciło pierwotny kształt. W końcu wyłowiono je, zupełnie zdeformowane i przemoczone, po czym wciągnięto na statek.

Młody żeglarz otworzył pokrywę luku, wspiał się na górny pokład i przyniósł ociekające szczątki Kalkeusowi.

– Uratowaliśmy twój kapelusz – oznajmił, tłumiąc śmiech.

Kalkeus wziął od niego nakrycie głowy, powstrzymując się od porwania go na strzępy. Po chwili wrócił mu jednak dobry humor i włożył mokry kapelusz. Woda pociekła mu po twarzy. Młody marynarz nie zdołał już opanować wesołości i parsknął śmiechem. Szerokie rondo kapelusza powoli opadło Kalkeusowi na uszy.

– Tak jest chyba lepiej – orzekł.

Chłopak odwrócił się i pobiegł z powrotem na dolny pokład. Poranne słońce grzało coraz mocniej i Kalkeus doszedł do wniosku, że przyjemnie mieć na głowie ten kawał chłodnej, mokrej słomy.

Na pokładzie rufowym zobaczył Helikaona rozmawiającego z trzema oficerami. Wszyscy trzej byli poważni i zdenerwowani. A czemu nie? – pomyślał Kalkeus. Mieli pożeglować na statku zaprojektowanym i zbudowanym przez Szaleńca z Miletu.

Odwrociwszy się plecami do relingu, powiódł wzrokiem po wielkim dwurzędowcu. Kilku członków załogi przyglądało mu się z mieszanymi uczuciami. Ten nowy statek był obiektem wielu drwin, a Kalkeusa – jako skutnika – traktowano wzgardliwie, a nawet wrogo. Teraz jednak

mieli popłynąć statkiem tego szaleńca i żywili szczerą nadzieję, że jego szaleństwo w istocie jest geniuszem. W przeciwnym razie wszyscy byli zgubieni.

Dwaj mykeńscy pasażerowie również patrzyli na niego, ale z wystudiowaną obojętnością. W przeciwieństwie do marynarzy zapewne nie zdawali sobie sprawy, że ich życie zależy teraz od jego umiejętności. Kalkeus nagle zaczął się zastanawiać, czy przejęliby się, gdyby ktoś im to wyjawiał. Mykeńczycy nie znali strachu – byli rabusiami, zabójcami, gwałtownikami. Tacy ludzie nie obawiają się śmierci. On też uważnie im się przyjrzał. Obaj byli wysocy i szczupli, chłodni i obojętni. Starszy, Argurios, miał czarną, kwadratową brodę oraz puste, beznamienne spojrzenie. Młodszy, Glaukos, najwyraźniej bardzo go podziwiał. Rzadko się odzywał i głównie w odpowiedzi na jakąś uwagę Arguriosa. Chociaż podróżowali przez cywilizowaną krainę i po spokojnych wyspach, byli uzbrojeni jak na wojnę: przy pasach mieli krótkie miecze i sztylety, a ich skórzane spodniczki były obszyte płytkami z brązu. Argurios nosił napierśnik pięknej roboty, wzmocniony na ramionach i torsie zachodzącymi na siebie brązowymi krążkami. Napierśnik jasnowłosego Glaukosa był kiepsko dopasowany i pęknięty na lewym boku. Kalkeus doszedł do wniosku, że Glaukos pochodzi z biednej mykeńskiej rodziny i przyłączył się do Arguriosa w nadziei na poprawę swego stanu. A dla Mykeńczyka droga do tego zawsze wiedzie przez wojnę, grabież, cierpienia i krzywdę słabszych. Kalkeus nienawidził całej tej przeklętej rasy!

Jeśli statek zatonie, pomyślał, ciężar zbroi błyskawicznie pociągnie ich na dno.

Ta myśl wywołała nowy przyływ irytacji. Mój statek nie zatonie, powiedział sobie. Zaczął powtarzać to w myślach. Serce zabiło mu mocniej, a palce zaczęły drżeć. Odwrócił się twarzą do relingu i mocno się go chwycił, po czym stanął nieruchomo, czekając, aż przejdzie mu strach.

Dziesięć lat niepowodzeń i drwin osłabiło jego pewność siebie znacznie bardziej, niż sądził. Sięgnąwszy do sakiewki u pasa, wyjął mały przedmiot ze srebrzystoszarego metalu i powiódł grubymi, spracowanymi palcami po jego lśniącej powierzchni. Westchnął. Oto źródło wszystkich jego nieszczęść i ziarno wszystkich nadziei. Ten kawałek metalu skrywał tajemnicę, która jego zdaniem mogła zmienić nie tylko jego życie, ale i dzieje narodów. Jakże denerwujące było to, że nie potrafił jej rozpoznać.

Te ponure rozmyślenia przerwał mu dudniący głos wydający rozkazy sześćdziesięciu wioślarzom. Zidantas, potężny Hetyta, który był zastępcą Złocistego, przechylił się przez reling pokładu rufowego.

– Równaj do pierwszego! – krzyknął, a jego wygolona czaszka zabłysła w słońcu.

Z dolnego pokładu dobiegł okrzyk pierwszego wioślarza:

– Gotowi! Podnieś! Chwyć. Ciągnij!

Kalkeus nabrał tchu. Pióra wiosel zanurzyły się w błękitnej wodzie i *Ksantos* zaczął wypływać na morze.

Szkutnik nasłuchiwał trzeszczenia drewna, usiłując

zidentyfikować źródło każdego dźwięku, każdego najcichszego, stłumionego jęku. Pospiesznie jeszcze raz się upewnił, że dobrze oszacował masę i rozkład kamiennego balastu, po czym przechylił się, by popatrzeć, jak dziób statku tnie łagodne fale.

Wioślarze na dolnym pokładzie zaczęli śpiewać, zgodnie poruszając wiosłami w rytm piosenki. Powinno ich być osiemdziesięciu, ale nawet bogactwo i sława Helikaona Złocistego nie zdołały przyciągnąć kompletu załogi na Statek Śmierci. Słyszał, jak cypryjscy cieśle szeptali do siebie, ociosując wręgi kadłuba: „Zatonie, gdy przepłynie pod nim Posejdon”.

Gdy przepłynie Posejdon!

Dlaczego ludzie zawsze przypisują boskie cechy siłom natury? Kalkeus wiedział, dlaczego długie statki toną w czasie burz, co nie miało nic wspólnego z gniewem bóstw. Wznoszenie się i opadanie statku na fali powoduje dodatkowe – i nierównomierne – obciążenie środkowej części kilu. Kalkeus zademonstrował to Helikaonowi przed rokiem, gdy obaj siedzieli w słońcu na molo, patrząc na niewielką cypryjską stocznię. Kalkeus oburącz chwycił długi kij, po czym powoli zaczął go wyginać w górę i w dół, na prawo i na lewo. W końcu kij pękł. Im był dłuższy, tym prędzej. Jeśli przydarzyło się to kadłubowi statku na wzburzonym morzu, wyjaśnił Kalkeus, miało to natychmiastowe i okropne skutki. Statek w mgnieniu oka łamał się na dwie połowy.

Konstrukcja statku, wyjaśniał Kalkeus, jeszcze pogłębia ten problem. Zazwyczaj kadłub najpierw jest pokrywany deskami mocowanymi na drewniane czopy. Dopiero potem wzmacnia się konstrukcję od wewnątrz. Kalkeus uważał, że to idiotyzm. Najpierw należy stworzyć mocny szkielet kadłuba, a dopiero potem mocować do niego deski. W ten sposób można zyskać większą wytrzymałość śródkręcia. Były jeszcze inne innowacje, o których Kalkeus mówił podczas tamtego pierwszego spotkania. Osobny pokład, na którym mogą siedzieć wioślarze, pozostawiając na górnym miejscu na ładunek lub pasażerów; naprzemiennie rozmieszczone stanowiska wioślarzy, w zygzakowatej linii wzdłuż burty; pletwy wsporników przymocowanych do kadłuba z przodu i z tyłu, żeby wyciągnięty na brzeg statek nie przechylał się za bardzo na burtę. Kalkeus opisał wszystkie te pomysły i kilka innych.

Helikaon uważnie go wysłuchał, a potem spytał:

– Jak duży statek możesz zbudować?

– Dwukrotnie większy od każdej galery, która teraz pływa po Wielkiej Zieleni.

– Na ile wiosel?

– Od osiemdziesięciu do stu.

Po tych słowach Złocisty siedział w milczeniu, spoglądając niebieskimi oczami w dal. Kalkeus pomyślał, że Helikaon się znudził i zaraz go odprawi. Zamiast tego Helikaon zadał mu szereg drobiazgowych pytań. Jakie drewno byłoby potrzebne? Jak wysoki i gruby musiałby być maszt? W jaki sposób Kalkeus zapewni tak dużemu statkowi dostateczne zanurzenie, nie tracąc zwrotności i szybkości? Kalkeus był zdumiony. Złocisty był młody, miał zaledwie dwadzieścia

lat, i szkutnik nie spodziewał się po nim takiej znajomości rzeczy. Rozmawiali kilka godzin, potem zjedli razem posiłek i znowu rozmawiali do późnej nocy. Kalkeus rysował szkice na mokrej glinie, ścierał je i poprawiał, pokazując elementy poszycia.

– Jak taki duży statek wciągnąć na noc na brzeg? – zapytał w końcu Helikaon. – I jak raniem z powrotem ściągnąć go na wodę?

– Nielatwo byłoby całkiem wyciągnąć go na brzeg – przyznał Kalkeus. – Jednak to nie byłoby konieczne. Przeważnie wystarczyłoby wyciągnąć na piach tylko dziób albo rufę, a potem użyć kamiennych kotwic i lin, żeby utrzymać statek przez noc. Dzięki temu załoga mogłaby zejść na ląd i ugotować sobie wieczerzę na ogniskach.

– Przeważnie? – dociekał Helikaon.

To był największy problem. Większość statków chroniła się przed gwałtowną burzą na brzegu. Małe, lekkie galery można było wyciągnąć na piasek. Jednak statku o takich rozmiarach i ciężarze, jak zaprojektowany przez Kalkeusa, w dodatku z ładunkiem, nie dałoby się całkiem wyciągnąć z wody.

Kalkeus wyjaśnił, na czym polega problem:

– W czasie burzy nie można takiego statku wyciągnąć do połowy na brzeg. Uderzenia fal o rufę, przy dziobie tkwiącym w piasku, rozerwałyby go na pół.

– No to jak uciec przed burzą, Kalkeusie?

– Wcale nie uciekać, Helikaonie. Albo walczyć z falami, albo przeczekać burzę w jakiejś bezpiecznej zatoce lub pod osłoną skalnego cypla. Statek, o którym mówię, nie będzie obawiał się burz.

Helikaon przez chwilę mierzył go przenikliwym spojrzeniem. W końcu odprężył się i obdarzył szkutnika jednym ze swych rzadkich uśmiechów.

– Statek walczący z burzą... – powiedział. – To mi się podoba. Zbuduje my go, Kalkeusie.

Kalkeus był zdumiony – i lekko przestraszony. Znał reputację Złocistego. Jeśli ten nowy statek okaże się porażką, Helikaon może go zabić. Z drugiej strony, jeśli wszystko dobrze pójdzie, Kalkeus znów stanie się bogaty i będzie mógł dalej prowadzić swoje doświadczenia.

Spojrzał młodzieńcowi w oczy.

– Powiadają, że potrafisz być okrutny i niebezpieczny. Mówią, że ścinasz głowy tym, którzy cię obrazili.

Helikaon nachylił się do niego.

– Mówią również, że jestem półbogiem, zrodzonym przez Afrodytę. I że ty jesteś szaleńcem lub głupcem. Czy to ważne, co głoszą plotki? Daj z siebie wszystko, Kalkeusie, a ja cię wynagrodzę, czy ci się powiedzie czy nie. Od ludzi, którzy mi służą, wymagam tylko tego, żeby wkładali serce w swoją pracę. Więcej nie można żądać.

I tak to się zaczęło.

Wiatr wzmógł się, gdy statek wypłynął z portu, i Kalkeus poczuł, że zaczęło mocniej kołysać.

Po wyjściu w morze podniesiono maszt, umocowano reję i spuszczone żagiel. Południowa bryza wydeła płótno. Kalkeus zerknął w

górze. Na żaglu był namalowany wielki, stojący dęba czarny koń. Na jego widok załoga wzniosła chóralny okrzyk.

Kalkeus na uginających się nogach poszedł na dziób.

Nieopodal na sterburcie wyskakiwało z wody i nurkowało stadko delfinów, ich smukłe ciała lśniły w promieniach słońca. Kalkeus spojrział w niebo. Na północy zbierały się czarne chmury.

A *Ksantos* ciął fale, płynąc ku nim.

2.

Argurios z Myken wparł stopy w rozkołysany pokład i spojrział na krępego, rudowłosego Kalkeusa. Wszyscy mówili, że to szaleniec. Argurios miał nadzieję, że to nieprawda. Marzył o śmierci na polu bitwy, w walce z wrogami, która zapewniłaby mu miejsce na Polach Elizejskich. Jadałby w Złotej Sali wykutej przez Hefajstosa i siedział wśród takich herosów jak Herakles, Ormenion czy potężny Alektruon. Te marzenia nie przewidywały utonięcia w morskich falach w pełnym uzbrojeniu. Jeśli jednak miał zginąć na tej przeklętej łodzi, to powinien umrzeć z mieczem w dłoni, w hełmie i napierśniku, jak przystało mykeńskiemu wojownikowi. Dlatego stał w porannym słońcu w pełnym rynsztunku. Z zainteresowaniem obserwował sprawną krzątaninę załogi i przy burtach zauważył stojaki z łukami i kołczanami pełnymi strzał. Były tam też miecze i małe okrągłe tarcze. Gdyby *Ksantos* został zaatakowany, marynarze w mgnieniu oka zmieniliby się w wojowników.

Złocisty niczego nie pozostawiał przypadkowi.

Na wysoko wygiętym dziobie było coś, czego Argurios nie widział na żadnym innym statku. Drewniana konstrukcja w czterech miejscach przyśrubowana do pokładu. Dziwna rzecz, pozornie nie mająca żadnego konkretnego przeznaczenia. Z jej środka sterczał drąg zakończony czymś, co wyglądało jak koszyk. Z początku Argurios sądził, że to jakieś urządzenie służące do załadunku, ale przyjrząwszy mu się dokładniej, stwierdził, że tego koszyka nie sposób spuścić za burtę. Zakładał, że tę tajemnicę uda mu się wyjaśnić podczas prawie miesięcznej podróży do Troi.

Argurios spojrział na rufę, gdzie Helikaon stał przy wielkim wiośle sterowym. Trudno było uwierzyć, że ktokolwiek mógł pokonać Alektruona Szermierza. Był on legendą wśród Mykeńczyków. Ogromny mężczyzna, nieustraszony i silny. Argurios był dumny, że mógł walczyć u jego boku.

Jednak dobrze znano historię tamtego okropnego dnia. Argurios sam słyszał ją z ust jedyne go pozostałego przy życiu. Ten mężczyzna wrócił do Myken na pokładzie kupieckiego statku i został sprowadzony przed oblicze króla Agamemnona. Marynarz był w oplakany m stanie. Kikut jego ręki wciąż krwawił i paskudnie cuchnął. Chudy jak szkielet, miał sine wargi i ledwie stał na nogach. Dla wszystkich było oczywiste, że umiera. Agamemnon kazał przynieść mu krzesło. Opowieść marynarza była ponura i prosta.

Potężny Alektruon był martwy, jego załoga wybita do nogi, a legendarna *Hydra*, z płonącymi pokładami i żaglami, pozostawiona na pastwę fal.

– Jak zginął? – zapytał Agamemnon, zimnymi, twardymi oczami patrząc na umierającego marynarza.

Argurios pamiętał, że ten człowiek nagle zadrżał, gdy wróciły okropne wspomnienia.

– Wdarliśmy się na pokład ich statku i byliśmy bliscy zwycięstwa. Wtedy Złocisty zaatakował. Był jak demon. To było straszne. Straszne. Zarąbał trzech, a potem runął na Alektruona. Walka była krótka. Wbił miecz w kark Alektruona, a potem odciął mu głowę. Walczyliśmy jeszcze przez chwilę, ale kiedy sytuacja stała się beznadziejna, rzuciliśmy broń. A Złocisty, w zakrwawionej zbroi, krzyknął: „Zabić wszystkich prócz jednego!” Wtedy zobaczyłem jego oczy. Ujrzałem w nich szaleństwo. Był opętany. Ktoś złapał mnie i przytrzymał. Wszyscy moi towarzysze zostali zabici. – Mężczyzna zamilkł.

– A potem? – zapytał Agamemnon.

– Potem zawleczono mnie przed Helikaona. Zdjął hełm i stał tam, trzymając w dłoniach głowę Alektruona. Spoglądał w oczy zabitego. „Nie zasłużyłeś, żeby ujrzeć Pola Elizejskie”, powiedział. A potem wykuł Alektruonowi oczy.

Słyszając to, wojownicy zgromadzeni w Sali Lwa wydali chóralny krzyk wściekłości i rozpaczy. Nawet ponury i zwykle obojętny Agamemnon był wzburzony.

– Posłał go ślepego do Podziemi?

– Tak, mój królu. A uczyniwszy to, cisnął jego głowę za burtę. Potem odwrócił się do mnie. – Mężczyzna zacisnął powieki, jakby nie chciał widzieć tego obrazu.

– Co rzekł?

– Powiedział: „Przeżyjesz, żeby opowiedzieć o tym, co tu widziałeś, ale już nigdy więcej nie będziesz rabował”. Potem, na jego rozkaz, dwaj wojownicy rozciągnęli moją rękę na relingu i Złocisty odrąbał mi dłoń.

Marynarz umarł dwa dni po tym, jak opowiedział tę historię.

Kłeska Alektruona podważyła reputację niezwycięzonych wojowników, jaką cieszyli się Mykeńczycy. Jego śmierć była ciężkim ciosem dla ich dumy. Igrzyska na jego pogrzebie były skromne i przygnębiające. Arguriosowi nie dały żadnej satysfakcji, chociaż wygrał inkrustowany drogimi kamieniami puchar za zwycięstwo w rzucie oszczepem. U pogrążonych w smutku wojowników wyczuwało się ogromne zdumienie. Wyczyny Alektruona były legendarne. Prowadził zbrojne wypadki od Samotraki na północy przez całe wschodnie wybrzeże, aż po Fenicję. Raz nawet złupił wioskę oddaloną o niecały dzień jazdy od samej Troi.

Wiadomość o jego klęsce i śmierci przyjmowano z niedowierzaniem. Gdy wieść rozeszła się po wsiach i miasteczkach, ludzie zbierali się w tawernach i na placach, żeby o niej mówić. Argurios miał wrażenie, że w nadchodzących latach każdy Mykeńczyk będzie dokładnie pamiętał, co robił w chwili, gdy usłyszał o śmierci Alektruona.

Argurios ze skrywaną nienawiścią spojrzął na Złocistego. Potem odmówił w myślach modlitwę do Aresa, boga wojny.

– Niechaj mi przypadnie pomścić Alektruona! Niechaj to mój miecz wytnie serce tego przekłętą Trojańczyka!

3.

Wciąż mieli sprzyjający wiatr i *Ksantos* śmigał po falach. Zielone brzegi Cypru powoli znikły w oddali. Na pokładzie rufowym, obok Helikaona, stał potężnie zbudowany Zidantas. Pięćdziesięcioletni Hetyta był najstarszym członkiem załogi i żeglował po tych wodach prawie trzydzieści pięć lat. Przez cały ten czas, w burzach i ulewach, nigdy nie rozbił statku. Prawie wszyscy jego przyjaciele z dzieciństwa nie żyli. Jedni utonęli, gdy ich statki poszły na dno. Inni zostali zamordowani przez piratów. Dwaj zmarli na galopujące suchoty, a jeden został zabity w sporze o zaginioną kozę. Zidantas wiedział, że miał szczęście.

Tego dnia zaczął się zastanawiać, czy to szczęście go nie opuszcza. Na *Ksantosie* tuż przed południem postawiono żagiel i chociaż teraz południowy wiatr im sprzyjał, Zidantas był zaniepokojony.

Zwykle wyruszający z Cypru na północ statek wychodził z portu nie później niż o świcie, żeby jak najszybciej przepłynąć przez otwarte morze dzielące Cypr od skalistego brzegu Likii, a potem zawinąć na noc do jakiejś osłoniętej zatoki. Wszyscy marynarze woleli wyciągnąć wieczorem statek na brzeg i spać na stałym lądzie. Załoga *Ksantosa* nie była pod tym względem wyjątkiem. Byli dzielnymi ludźmi, i śmiałymi w razie potrzeby, ale wszyscy stracili wielu przyjaciół lub bliskich za sprawą kapryśnych i okrutnych bogów morza. Machali na pożegnanie towarzyszom wypływającym na spokojne wody pod lazurowo niebieskim niebem, żeby nigdy więcej ich już nie zobaczyć. Gwałtowne burze, zdradzieckie wody, piraci i podwodne rafy zbierały obfite żniwo wśród ludzi żyjących i pracujących na Wielkiej Zieleni.

Straciwszy z oczu ląd, załoga przycichła. Wielu wioślarzy wyszło na górny pokład, żeby stać przy relingu i popatrzeć na morze. Niewiele mówili. Podobnie jak Kalkeus, zaczęli wsłuchiwać się w skrzypienie drewna i wyczuwać kołysanie statku pod nogami. Z lękiem spoglądali na linię horyzontu, wypatrując oznak gniewu niebios.

Zidantas podzielał i rozumiał ich obawy. Słyszeli, jak marynarze z innych statków kpili z ich nowej galery i wygłaszali ponure przepowiednie na temat losu czekającego tych, którzy nią popłyną. Nazywali ją Statkiem Śmierci. Wielu starszych członków załogi pamiętało również inne duże statki, które poszły na dno. Zidantas wiedział, co myślą. *Ksantos* nieźle sobie radzi, ale co się stanie, kiedy przepłynie pod nim Posejdon?

Spojrzał na milczących marynarzy i nagle poczuł przyływ dumy. Nigdy nie żeglował z tchórzami. Potrafił z daleka rozpoznać wojownika i zawsze dokładnie przyglądał się załodze, zanim do niej dołączył. Ci ludzie teraz obawiali się nieznanego, lecz jeśli rozpęta się sztorm lub zaatakują piraci, wykażą się zręcznością i odwagą. Tak jak wtedy na *Itace*, którą zaatakował Alektruon.

Wspomnienie tamtego dnia wciąż go prześladowało. Westchnął.

Białe mewy śmigały w górze, krażąc i nurkując nad żaglem z czarnym koniem. Wiatr wzmógł się. Zidantas spojrzał na niebo. Nagłe sztormy były częste jesienią i z końcem lata niewiele kupieckich statków wypływało w dalekie rejsy.

– Jeśli wiatr się zmienia... – zaczął.

- Sztorm był zaledwie dwa dni temu – rzekł Helikaon. – Mało prawdopodobne, żeby następny rozpętał się tak szybko.

- Mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe – mruknął Zidantas.

- Przejmij ster, Wole – powiedział mu Helikaon, robiąc mu miejsce. – Uspokoisz się, gdy będziesz miał statek pod kontrolą.

- Uspokoilibym się, gdybym wrócił do domu i posiedział sobie na słoneczku – narzekał Zidantas.

Helikaon potrząsnął głową.

- Masz sześć córek, jak więc mógłbyś posiedzieć sobie spokojnie na słoneczku?

Zidantas odprężył się i obdarzył go szczerbatym uśmiechem.

- Nigdy nie ma spokoju – przyznał, zerkając za burtę. Przypatrzył się rozkołysanemu morzu. – Statek zachowuje się lepiej, niż myślałem. Sądziłem, że będzie się bardziej kołysał. – Zidantas zacisnął na sterze muskularną dłoń. – Jednak byłbym szczęśliwszy, gdybyśmy zaczekali do jutrzejszego ranka. Późno wypłynęliśmy. To kuszenie bogów.

- Jesteś Hetytą – odparł Helikaon. – Nie wierzysz w naszych bogów.

- Nigdy tak nie mówiłem! – mruknął lekko zdenerwowany Zidantas. – Może w różnych krainach są różni bogowie. Nie chcę obrazić żadnego z nich. Ty też nie powinienes. Szczególnie żeglując na nowym statku.

- To prawda – odparł Helikaon – ale nasi bogowie nie są tak bezlitośni jak twoi. Powiedz mi, czy to prawda, że kiedy umiera hetycki książę, palą razem z jego ciałem dwudziestu żołnierzy, żeby strzegli go w podziemnym świecie?

- Nie, już nie. Tak było dawniej – powiedział Zidantas. – Jednak o ile mi wiadomo, Egipcjanie wciąż grzebią niewolników razem ze swoimi faraonami.

Helikaon pokręcił głową.

- Ludzie to aroganckie stworzenia. Dlaczego niewolnik lub żołnierz mieliby po śmierci nadal służyć swemu panu? Co mogłoby ich do tego skłonić?

- Nie wiem – odrzekł Zidantas. – Nigdy nie miałem niewolnika i nie jestem hetyckim księciem.

Helikaon podszedł do relingu i spojrzał na kadłub statku.

- Masz rację. Dobrze się spisuje. Muszę o to zapytać Kalkeusa. Jednak najpierw porozmawiam z naszymi pasażerami.

Helikaon zeskoczył z trzech stopni wiodących na śródokręcie i podszedł do stojących tam Mykeńczyków.

Nawet z wysokości pokładu rufowego i nie słysząc rozmowy, Zidantas widział, że starszy Mykeńczyk nienawidzi Helikaona. Stał sztywno wyprostowany, z kamienną twarzą, palce prawej dłoni trzymając na rękojeści miecza. Helikaon zdawał się nie dostrzegać wrogości starszego mężczyzny. Zidantas zobaczył, że mówi coś, najwyraźniej zupełnie swobodnie. Kiedy w końcu Helikaon odszedł na dziób, aby odszukać Kalkeusa, brodaty Mykeńczyk odprowadził go gniewnym spojrzeniem.

Zidantas był zaniepokojony. Sprzeciwiał się, gdy przed dwoma

dniami Helikaon zgodził się przewieźć Mykeńczyków do Troi.

– Niech płyną na *Mirionie* – powiedział. – Widziałem, że przeładowali go miedzią. Będzie się kołysał jak pijana krowa. Przechorują całą podróż albo pójdą na kolację z Posejdonem.

– Zbudowałem *Ksantosa* do przewozu ładunków i pasażerów – powiedział Helikaon. – A Argurios jest posłem płynącym do Troi. Nieuprzejmie byłoby odmówić mu przeprawy.

– Nieuprzejmie? Zatopiliśmy już trzy mykeńskie galery. Oni cię nienawidzą.

– Pirackie galery – poprawił go Helikaon. – A Mykeńczycy nienawidzą prawie wszystkich. To leży w ich naturze.

Jego niebieskie oczy pojaśniały, a rysy twarzy wyostrzyły się. Zidantas dobrze znał tę minę, która zawsze mroziła go do szpiku kości. Przywoływała krwawe wspomnienia, które najlepiej było zamknąć w najgłębszych zakamarkach umysłu.

Ksantos płynął dalej. Zidantas mocniej chwycił wiosło sterowe. Statek miarowo kołysał się pod jego stopami i Hetyta zaczął się zastanawiać, czy Szaleniec z Miletu istotnie miał rację. Zidantas miał nadzieję, że tak.

Nagle usłyszał okrzyk jednego z członków załogi:

– Człowiek za burtą!

Zidantas popatrzył na morze za sterburta. W pierwszej chwili nie dostrzegł niczego w tej bezkresnej pustce. Potem zauważył kilka połamanych desek unoszących się na wodzie.

Trzymał się ich jakiś człowiek.

V. CZŁOWIEK Z MORZA

1.

Gershom już niemal nie zdawał sobie sprawy, gdzie się znajduje, i ledwie rozróżniał sen od jawy. Skórę na ramionach i rękach miał poparzoną od słońca i stracił czucie w dłoniach, kurczowo zaciśniętych na połamanych deskach. Głosy w jego głowie zachęcały go, by rozprostował palce i zaznał spokoju. Nie słuchał ich.

Przed oczami przesuwały mu się obrazy: widział ptaki o ognistych skrzydłach, jakiegoś człowieka z laską, która wiła się w jego dłoniach i zmieniała w żmiję, trzygłowego lwa o ciele pokrytym łuskami. Potem ujrzał setki ludzi wycinających i obrabiających wielki kamienny blok. Jeden po drugim kładli się na tym kamieniu. I powoli wtapiali się weń, jak w wodę. W końcu Gershom widział tylko dłonie z poruszającymi się palcami, szukające wyjścia z kamiennego grobowca, który same stworzyły. I nieustannie słyszał głosy. Jeden brzmiał jak głos jego dziadka, surowy i nieubłagany. Inny był głosem jego matki i prosił go, żeby zachowywał się jak szlachetnie urodzony, a nie pijany dureń. Próbował odpowiedzieć, ale miał popękane wargi, a język zeszywniał suchy jak kółek. Potem usłyszał młodszego brata, który umarł zeszłej wiosny. „Bądź przy mnie, krewniaku. Jestem tu taki samotny”.

Może wtedy puściłby deski, lecz one przechyliły się i na moment otworzył przekrwione oczy. Zobaczył czarnego konia szybującego w przestworzach. Po chwili coś dotknęło jego ciała i szeroko otworzył oczy. Nad nim unosił się jakiś mocno zbudowany łysy mężczyzna z rozwidloną brodą. Gershom znał go, ale nie mógł sobie przypomnieć skąd.

– Żyje! – usłyszał jego krzyk. – Rzućcie linę. – Potem mężczyzna powiedział do niego: – Już możesz puścić. Jesteś bezpieczny.

Gershom wciąż trzymał się desek. Żaden głos ze snu nie zwabi go w objęcia śmierci.

Deski z trzaskiem uderzyły o burtę statku. Gershom spojrzał w górę i zobaczył rząd wiosła. Z luków wychylali się marynarze. Owiązali go w pasie liną i poczuł, że wyciągają go z wody.

– Puść deski – powiedział brodaty wybawca.

Teraz Gershom chciał to zrobić, ale nie mógł. Stracił czucie w dłoniach.

Brodaty delikatnie porozginał mu palce. Lina naprężyła się. Gershoma wydobyto z wody i przeciągnięto przez reling. Osunął się na pokład. Krzyknął, gdy poparzonymi plecami uderzył o deski – miał wrażenie, że ten krzyk rozrywa mu gardło. Przykucnął przy nim jakiś młody człowiek o czarnych włosach i zdumiewająco niebieskich oczach.

– Przynieście trochę wody – powiedział.

Pomogli Gershomowi usiąść i przytknęli mu kubek do warg. Z początku nie mógł przełknąć ani kropki, tak wyschnięte miał gardło. Krtusił się przy każdej próbie.

– Powoli! – poradził mu niebieskooki. – Potrzyмай wodę w ustach. Pozwól jej spłynąć.

Potrzymał wodę w ustach i spróbował ponownie. Odrobina zimnej wody spłynęła mu do gardła. Nigdy nie zakosztował niczego równie słodkiego i cudownego.

Stracił przytomność.

Kiedy się ocknął, leżał pod prowizorycznym namiotem ustawionym na dziobie. Przy nim siedział jakiś piegowaty chłopiec. Zobaczywszy, że Gershom otworzył oczy, młodzik wstał i pobiegł gdzieś. Po chwili pod namiotem pojawił się wybawca Gershoma i usiadł obok niego.

– Znów się spotykamy, Egipcjaninie. Jesteś szczęściarzem. Gdybyśmy nie mieli opóźnienia, nie znaleźlibyśmy cię. Jestem Zidantas.

– Jestem... wdzięczny. Dziękuję... ci.

Gershom zdołał usiąść i sięgnął po dzban z wodą. Dopiero wtedy zauważył, że ma obandażowane dłonie.

– Mocno je pokaleczyłeś – wyjaśnił Zidantas. – Jednak się zagoją. Pozwól, że ci pomogę.

Mówiąc to, podniósł obciążony skórą dzban. Gershom napił się, tym razem nieco więcej. Z miejsca, gdzie siedział, mógł zobaczyć cały statek i poznał go. Podupadł na duchu.

– Tak – rzekł Zidantas, prawidłowo odczytawszy jego minę – jesteś na *Ksantosie*. Jednak ja znam się na statkach. Ten jest mocny. Ta galera to królowa mórz – i ona o tym wie.

Gershom uśmiechnął się – i skrzywił, gdy pękła mu spierzchnięta dolna warga.

– Odpocznij, człowieku – powiedział mu Zidantas. – Wkrótce odzyskasz siły i będziesz mógł odpracować podróż przy wiosle.

– Nie... znasz... mnie – rzekł Gershom. – Nie... jestem... żeglarzem.

– Może nie. Jednak jesteś odważny i silny. I, na Hadesa, całkiem nieźle pływałeś na tych deskach.

Gershom położył się. Zidantas jeszcze coś mówił, lecz jego głos był tylko rytmicznym pomrukiem i Gershom zapadł w głęboki sen.

2.

Helikaon stał przy wiosle sterowym, łapiąc równowagę, gdy wielki statek ciął fale. Wróciły delfiny, skaczące teraz i nurkujące przed dziobem, a on obserwował je przez chwilę, odprężony i dziwnie spokojny. Tylko na morzu znajdował to upajające poczucie wolności.

Na lądzie rozpraszało go zbyt wiele męczących spraw. Miał flotę liczącą ponad pięćdziesiąt statków, toteż nieustannie musiał rozwiązywać jakieś problemy. Zezwolenia na naprawy, czytanie raportów kapitanów, spotkania ze skrybami i skarbnikami, kontrole zgodności wysyłanych i sprowadzanych ładunków. Jego ziemie też wymagały nadzoru i chociaż miał dobrych ludzi, którzy opiekowali się stadami jego koni i pilnowali granic jego włości, niektóre sprawy tylko on mógł załatwić. Uśmiechnął się, myśląc o młodym Diomedesie. Jego przyrodni brat miał już prawie dwanaście lat i za kilka następnych będzie mógł przejąć część tych obowiązków. Jasnowłosy chłopiec prosił, żeby pozwolono mu popłynąć na *Ksantosie*. Matka zabroniła mu tego.

– Jestem królem – mówił Diomedes. – Ludzie mają mnie słuchać.
– Będiesz królem i ludzie będą cię słuchać – powiedział mu Helikaon. – Jednak na razie, braciszku, musisz być posłuszny królowej.
– To niesprawiedliwe – narzekał Diomedes. – Ty popłynąłeś z Odyseuszem na *Penelopie*, kiedy byłeś młody.

– Byłem wtedy o trzy lata starszy niż ty teraz. Jednak kiedy znów spotkam Odyseusza, poproszę go, żeby kiedyś zabrał cię ze sobą.

– Zrobisz to? Och, to byłoby cudownie. Pozwoliłabyś mi, prawda, mamó?

Szczupła, złotowłosa królową Halizja obrzuciła Helikaona czułym, choć karcącym spojrzeniem.

– Tak – powiedziała. – Jeśli Odyseusz się zgodzi.

– Och, zgodzi się – rzeki Diomedes. – Bo jestem równie odważny jak Helikaon.

– Odważniejszy – powiedział mu Helikaon. – Kiedy byłem w twoim wieku, bałem się wszystkiego.

– Nawet pajaków?

– Szczególnie pajaków.

Chłopiec westchnął.

– Och, Helikaonie, tak chciałbym popłynąć z tobą do Troi. Chciałbym spotkać wuja Priama i Hektora. Czy to prawda, że zamierzasz poślubić piękną Kreuzę?

– Nie, to nieprawda. A co ty możesz wiedzieć o pięknych kobietach?

– Wiem, że powinny mieć duże piersi i przez cały czas całować mężczyzn. A Kreuzy jest piękna, prawda? Puzaniasz mówi, że jest.

– Tak, jest piękna. Ma czarne, długie włosy i ślicznie się uśmiecha.

– To dlaczego jej nie poślubisz? Wuj Priam chciałby tego, prawda? I mama mówi, że to byłoby dobre dla Dardanii. A sam powiedziałaś, że obaj musimy słuchać matki.

Helikaon wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

– To wszystko prawda, braciszku. Jednak twoja mama i ja zawarliśmy pewną umowę. Służę jej wiernie we wszystkich sprawach. Postanowiłem jednak, że ożenię się tylko wtedy, kiedy spotkam kobietę, którą pokocham.

– Czemu nie możesz mieć dwóch? – zapytał chłopiec. – Puzaniasz ma żonę i dwie kochanki. Mówi, że kocha je wszystkie.

– Puzaniasz to łobuz – powiedział Helikaon.

Królowa Halizja przysłała mu z pomocą, ratując przed dalszymi pytaniami:

– Helikaon może ożenić się z miłości, ponieważ nie jest królem i nie musi zważać na potrzeby królestwa. Jednak ty, mały, będziesz królem i jeśli nie będziesz dobrym chłopcem, to wybiorę ci na żonę zezowatą nudziarę z krzywymi zębami... i nogami.

Diomedes roześmiał się, głośno i wesoło.

– Sam wybiorę sobie żonę – rzekł. – Będzie piękna. I będzie mnie uwielbiała.

Tak, na pewno, pomyślał Helikaon. Diomedes będzie przystojnym

mężczyzną, z natury zycznym i troskliwym.

Wiatr wzmagał się i Helikaon napał na wiosło sterowe. Myślam wrócił do córki Priama. Kreuza rzeczywiście była – jak powiedział Diomedesowi – bardzo piękna. Jednak była również chciwa i łakoma, a jej oczy błyszczały tylko wtedy, kiedy odbijał się w nich blask złota.

Tylko czy mogła być inna, zastanawiał się, wychowana w ponurym pałacu przez ojca, który nie cenił nic prócz tego, co mógł złożyć w swoim skarbcu?

Helikaon nie wątpił, że to Priam kazał Kreuzie schlebiać mu i go kokietować. Dardania, leżąca na północ od Troi, nie była bogatą krainą. Nie było tam kopalń dostarczających złota, miedzi, srebra czy cyny. Jednak Dardania była żyzna, a jej pastwiska karmiły stada zadziwiająco silnych i wytrzymałych koni. Ziemia dawała mnóstwo zboża. Dzięki powodzeniu w interesach i rosnącemu bogactwu Helikaon opłacił budowę portów, które zapewniały dostęp do towarów z Egiptu oraz wszystkich innych krain na południu i zachodzie. Dardania bogaciła się i rosła w siłę. To oczywiste, że Priam chciał przymierza z sąsiadem z północy. Niewątpliwie za kilka lat zechce wydać jedną ze swych córek za Diomedesa. Helikaon uśmiechnął się. Może tę dziwną małą Kasandrę albo łagodną Laodike. Uśmiech zgasł mu na ustach. Albo Kreuzę. Myśl o tym, że jego brat miałby poślubić takie stworzenie, była przygnębiająca.

Może jestem dla niej niesprawiedliwy, pomyślał.

Priam nie miał czasu dla większości ze swych pięćdziesięciorga dzieci, które spłodził z trzema żonami i trzydziestoma konkubinami. Te dzieci, którym pozwalał się do siebie zbliżyć, musiały dowieść, że są godne tego zaszczytu. Córki wydawał za zamorskich władców w zamian za sojusze; synów zatrudniał przy pomnażaniu swych skarbów, jako kapłanów lub żołnierzy. Z nich wszystkich tylko dwoje darzył czymś w rodzaju uczucia: Kreuzę i Hektora. Córka знаła sekrety pomnażania bogactw, a Hektor był niezwyciężony w bitwie. Tak więc oboje byli użyteczni i należało ich trzymać przy sobie.

Starego zdawało się bawić to, że wiele jego dzieci spiskowało przeciwko niemu, usiłując go zabić lub zrzucić z tronu. Szpiedzy donosili mu o takich planach i zanim spiskowcy zdążyli wprowadzić je w życie, nakazywał ich uwięzić. W ciągu trzech ostatnich lat Priam skazał na śmierć pięciu swoich synów.

Odepchnąwszy od siebie myśli o Priamie, Helikaon spojrzał w niebo. Było bezchmurne i lazurowo niebieskie, a południowy wiatr wciąż wiał mocno i równo. Pod koniec lata przeważały wiatry z północnego zachodu, które zmuszały wioślarzy do całodniowej harówki przy przeprawie. Nie dziś. *Ksantos* z wydętym żaglem ciął fale, wznosząc się i opadając z majestatyczną gracją.

Helikaon dostrzegł przechadzającego się po śródkrećciu Kalkeusa, jedną ręką przytrzymującego słomiany kapelusz. Od czasu do czasu gwałtowny ruch pokładu sprawiał, że szkutnik tracił równowagę i chwycił się relingu. Był szczurem lądowym i źle się czuł na morzu – tym dziwniejsze było to, że umiał zaprojektować i zbudować tak piękny statek.

Na dziobie Zidantas wyszedł z prowizorycznego namiotu, w którym umieszczono uratowanego rozbitka, i poszedł na pokład rufowy.

– Będzie żył? – zapytał Helikaon.

– Tak. Twardy człowiek. Przeżyje, ale to nie on mnie niepokoi.

Helikaon spojrział mu w oczy.

– Ty zawsze się czymś niepokoisz, Wole. Nigdy nie jesteś szczęśliwy, dopóki nie znajdziesz jakiegoś problemu, który możesz rozgryźć.

– Pewnie tak – przyznał Zidantas – ale nadciąga sztorm.

Helikaon odwrócił się i popatrzył na południe. Zidantas znał się na pogodzie tak, że graniczyło to z magią. Niebo na południu wciąż było czyste i w pierwszej chwili Helikaon pomyślał, że Wól w końcu się pomylił. Potem skupił wzrok na linii horyzontu. Nie była już równa i wyraźna, co świadczyło, że morze zaczyna się burzyć. Popatrzył na czarnego konia. Wiatr wciąż był rześki i sprzyjający, ale zaczął być porywisty.

– Kiedy? – zapytał.

Zidantas wzruszył ramionami.

– Zobaczymy ją, zanim ujrzymy ład. Dopadnie nas, nim dobjemy do brzegu.

Krępy Kalkeus maszerował ku nim ze spuszczoną głową. Wspiął się na trzy stopnie wiodące na pokład rufowy.

– Myślałem o tym, co powiedziałeś – rzekł do Helikaona. – Myślę, że płetwy mogą być odpowiedzią. Jak wiesz...

– Płetwy? – zapytał Zidantas.

Szkutnik obrzucił go zimnym spojrzeniem.

– Przerwywanie to irytujący zwyczaj. Burzy mi rozumowanie. Bądź łaskaw poczekać, aż skończę. – Pochylił się, podkreślając tym wagę swoich słów, ale kapelusz nasunął mu się na oczy. Ze złością zerwał go z głowy i odwrócił się do Helikaona. – Jak już mówiłem... Wiesz, że kazałem przykręcić do kadłuba grube, sterczące deski na dziobie i na rufie, żeby utrzymywały prosto wyciągnięty na brzeg statek?

– Dobry pomysł – pochwalił Helikaon.

– Istotnie. Jednakże mają one również inne zalety. Na morzu te płetwy niwelują skutki małego zanurzenia. Mogłem je zrobić większe. Wtedy ułatwiałyby zadanie sternikowi. O ile wiem, zależnie od prądów i wiatru, musisz kierować statek w lewo lub prawo od punktu, w którym chcesz przybić do brzegu. Uważam, że z tymi płetwami statek będzie płynął prosto i nie będzie zbaczał z kursu. To bardzo użyteczne.

– Cóż, miejmy nadzieję, że te płetwy także dodadzą szybkości – rzekł Zidantas. – Od rufy nadciąga sztorm. Byłoby miło przybić do brzegu, zanim w nas uderzy.

– Och, tego nie możecie zrobić – powiedział Kalkeus.

– Nie możemy przybić do brzegu?

– Oczywiście, że możecie. Wtedy jednak ten sztorm, o którym mówisz, rozbije *Ksantosa*.

– Nie może rozbić nas na lądzie!

Helikaon przerwał tę sprzeczkę:

– Kalkeus chce powiedzieć, Wole, że nie możemy całkiem

wyciągnąć *Ksantos* z wody. Jest na to za duży. Nie mamy na to dość ludzi, a gdybyśmy to zrobili, nie zdołalibyśmy go później spuścić na wodę.

– Właśnie! – potwierdził szkutnik.

– Na pewno możemy wciągnąć go na brzeg do połowy – upierał się Zidantas.

– Wtedy silny sztorm połamałby statek – rzekł Helikaon. – Połowa kadłuba byłaby na lądzie, a druga połowa kołysałaby się na wodzie. Kadłub by pękł.

– No to co zrobimy? – zapytał Zidantas.

– Musimy przetrzymać burzę na otwartym morzu albo znaleźć osłoniętą zatokę – powiedział mu Kalkeus.

– Na otwartym morzu! Oszalałeś?

– Najwyraźniej – odparł Kalkeus. – Zapytaj kogokolwiek. Mimo to mam lepsze rzeczy do roboty, niż przerzucać się inwektywami z imbecylem.

Z tymi słowami opuścił pokład rufowy.

Olbrzym nabrał tchu i przez chwilę nie wypuszczał powietrza z płuc.

– Czasami mam ochotę przyłożyć mu moją pałką. – Westchnął. – Moglibyśmy popłynąć do Pechowej Zatoki, rzucić w niej kotwicę i wiosłować, żeby nie dać się zepchnąć na brzeg.

– Nie, Wole. Nawet przy pełnej obsadzie byłoby to prawie niewykonalne – rzekł Helikaon. – Godzina walki ze sztormem wykończyłaby wioślarzy. A gdyby burza trwała całą noc? Wyrzuciłaby statek na brzeg i roztrzaskała.

– Wiem, ale przynajmniej byśmy przeżyli. Nie ma innego wyjścia.

Helikaon pokręcił głową.

– Jest. Jak powiedział Kalkeus, przetrzymamy sztorm na otwartym morzu.

– Nie, nie, nie! – zawołał Zidantas, pochylając się i zniżając głos. – *Ksantos* jeszcze nie został wypróbowany w ciężkich warunkach. To dobry statek, przyznaję, ale mnie już łamie w gnatach. To będzie silny sztorm, Helikaonie. Uderzy w nas jak młot. – Po chwili dodał: – I załoga tego nie wytrzyma. Już są przestraszeni. Jeśli weźmiemy kurs na brzeg, może stracimy statek, ale będą wiedzieli, że ocala życie. Nawet ty nie zdołasz ich przekonać, żeby popłynęli w środek burzy.

Helikaon spojrzał na przyjaciela i na jego szerokiej, szczerzej twarzy ujrzał lęk. Zidantas uwielbiał sześć swoich córek i przez ostatni rok często mówił, że przestanie żeglować, żeby patrzeć, jak dorastają. Helikaon oddawał mu jego część zysków i Zidantas był teraz bogaty. Już nie musiał ryzykować życia na Wielkiej Zieleni. To była trudna chwila. Zidantas był zbyt dumny, żeby powiedzieć, co mu leży na sercu, ale Helikaon czytał to w jego oczach. Ogromny Hetyta był tak samo przerażony, jak będzie reszta załogi.

Helikaon nie mógł mu spojrzeć w oczy.

– Muszę pokonać ten sztorm, Wole – rzekł w końcu łagodnym głosem. – Muszę wiedzieć, czy *Ksantos* ma serce do walki. Dlatego proszę cię, żebyś stał u mego boku. – Spojrzał na olbrzymia.

– Zawsze stanę przy tobie, kiedy będę ci potrzebny, Złocisty – powiedział Zidantas i trochę się zgarbił.

– Zatem pozwólmy załodze odpocząć. Potem wykonamy kilka manewrów. Zanim się zorientują, że nadchodzi sztorm, będziemy za daleko od brzegu, żeby mogli zrobić coś poza wykonywaniem rozkazów.

– Mamy na pokładzie wielu nowych ludzi – przypomniał Zidantas. – Podejmujesz ogromne ryzyko. Jeśli wiosła zderzą się przy zwrocie lub wśród wiosłarzy wybuchnie panika, pójdziemy na dno.

– Sam wybrałeś załogę, Wole. Nigdy nie zatrudniałeś tchórzy. – I dodał z szerokim uśmiechem: – Będiesz miał co opowiadać wnukom. Pływaliśmy z Posejdonem na największym statku, jaki kiedykolwiek został zbudowany.

Ten wymuszony humor nie rozbawił Zidantasa.

– Będę czekał na to z utęsknieniem – mruknął ponuro.

Helikaon spojrzał na kadłub *Ksantosa*. Miał nadzieję, że Szaleniec z Miletu się nie mylił.

IV. POSEJDON PŁYWA

1.

Ksander zdrzemnął się w słońcu. Jakiś marynarz potknął się o niego i zaklął. Zmieszany Ksander wymamrotał przeprosiny i podniósł się z pokładu. Nagle zdał sobie sprawę, że ktoś go woła. Obrócił się i o mało nie upadł, gdy dziób statku poszedł w górę. Chłopiec zobaczył, że to wzywa go Zidantas, i pobiegł na pokład rufowy.

– Zanieś wodę wioślarzom – powiedział wielki Hetyta. – Na dole musi być piekielnie gorąco. Powiedz Oniakosowi, żeby dał ludziom odpocząć i wypuszczał na górny pokład grupami po dwudziestu.

– Grupami po dwudziestu – powtórzył Ksander.

– No idź już, chłopcze.

– Tak, Zidantasie. – Przystanął. – Gdzie znajdę wodę?

– Bukłaki wiszą na hakach pośrodku obu pokładów wioślarskich.

Ksander podbiegł do wjazdu, otworzył kłapę i zszedł po drabince. Na dole było ciemno i gorąco. Ponieważ statek płynął teraz pod żaglem, wioślarze podnieśli wiosła, mocując rękojeści w skórzanych pętłach. Znalazł worki z wodą, zdjął jeden z haka i zaniósł pierwszemu z wioślarzy na bakburcie, barczystemu młodzieńcowi o gęstych i czarnych, kręconych włosach.

– Gdzie jest Oniakos? – zapytał, gdy marynarz wyjął drewnianą zatyczkę i podniósł worek do ust.

Pociągnął tęgi łyk.

– To ja.

– Zidantas powiedział, żebyś dał odpocząć ludziom i wypuszczał ich na górny pokład dwudziestoma grupami.

– Grupami po dwudziestu – poprawił Oniakos.

– Tak.

– Jesteś pewien, że taki był rozkaz? Zwykle nie odpoczywamy tak blisko ładunku.

– Jestem pewien.

Mężczyzna uśmiechnął się do niego.

– Ty pewnie jesteś Ksander. Twój ojciec opowiadał o tobie. Mówił, że kiedy miałeś siedem lub osiem lat, wybiłeś całe stado dzikich psów.

– To był tylko jeden pies – powiedział Ksander. – Atakował nasze kozy.

Oniakos zaśmiał się.

– Jesteś prawdomówny, chłopcze. Widzę w tobie twojego ojca. – Oddał mu bukłak z wodą. Potem zawołał: – Wychodzimy na słońce, chłopcy! Co trzeci na górę, tylko upewnijcie się, że zostawiacie dobrze przymocowane wiosła!

Mężczyźni zaczęli podnosić się z ławek i podchodzić do luków. Oniakos pozostał na ławie.

– Zanieś wodę tym, którzy zostali – powiedział Ksandrowi.

Chłopiec przeciskał się przez zatłoczony, rozkołysany pokład, podając wodę spoconym wioślarzom. Zobaczył chudego mężczyznę w

średnim wieku, który zakrzywionym sztyletem przekłuwał sobie pęcherze na rękach.

– To na pewno boli – powiedział Ksander.

Wioślarz zignorował go, ale wziął bukłak i zaczął pić.

Obok pojawił się Oniakos, niosąc wiadro na sznurze. Przechylił się przez luk i spuścił je do wody, po czym wyciągnął.

– Włóż do niego dłonie, Attalosi – powiedział. – Słona woda wysuszy te pęcherze i skóra szybko stwardnieje.

Marynarz bez słowa zanurzył dłonie w wodzie, po czym się wyprostował. Oniakos zanurzył w wiadrze cienkie paski płótna.

– Owiążę ci je – powiedział.

– Nie trzeba – odparł wioślarz.

– Zatem jesteś twardszy niż ja, Attalosi – rzekł przyjaźnie Oniakos. – Dłonie często mi krwawią na początku sezonu i wiosło zdaje się parzyć.

– To nieprzyjemne uczucie – przytaknął mężczyzna nieco łagodniejszym tonem.

– Zawsze możesz spróbować bandaży. Jeśli nic nie dadzą, po prostu je zdejmiesz.

Wioślarz kiwnął głową i wyciągnął ręce. Oniakos owinał mokrym bandażem dłonie Attalosa, rozciął końce i zawiązał mu na przegubach.

– To jest Ksander – powiedział, kiedy skończył. – Jego ojciec był moim przyjacielem. Zginął w bitwie w zeszłym roku. Dobry człowiek.

– Zmarli zawsze są dobrymi ludźmi – rzekł chłodno Attalos. – Mój ojciec był nędznym pijakiem i łamał mojej matce kości. Na jego pogrzebie ludzie płakali z żalu, że odszedł taki wielki człowiek.

– Też prawda – przyznał Oniakos. – Jednakże na *Itace*, tak samo jak na *Ksantosie* – byli tylko dobrzy ludzie. Wół nie wybiera nędzników. Ma magiczny dar zagładania w nasze serca. Muszę rzec, że czasami jest to denerwujące. Właśnie dlatego żeglujemy z niekompletną załogą. Wczoraj Wół odrzucił co najmniej dwudziestu. – Oniakos odwrócił się do Ksandra. – Czas, żebyś wrócił do swoich obowiązków – powiedział.

Ksander odwiesił na hak prawie pusty bukłak z wodą i wspiał się na górny pokład. Helikaon przywołał go. Podniósł zapieczętowany woskiem dzban, złamał pieczęć i napełnił dwa miedziane kubki złocistym płynem.

– Zanieś je naszym mykeńskim pasażerom – nakazał.

Ksander ostrożnie zniósł kubki po schodkach i rozkołysanym pokładzie. Niełatwo było utrzymać równowagę, więc był bardzo rad, że nie uronił ani kropelki.

– Pan Helikaon prosił mnie, żebym je przyniósł – powiedział.

Mężczyzna o surowej twarzy wziął od niego kubki bez słowa podziękowania. Ksander umknął, nie patrząc mu w oczy. To był najbardziej przerażający człowiek, jakiego spotkał w swoim życiu. Z drugiego końca pokładu zobaczył, jak obaj Mykeńczycy wyciągają kubki w stronę Złocistego i podnoszą je do ust. Stali tuż przy relingu i Ksander przyłapał się na tym, że ma nadzieję, iż statek nagle podskoczy na fali i wyrzuci ich obu za burtę. Potem zauważył, że starszy wojownik spogląda na niego. Przestraszony, zaczął się zastanawiać, czy tamten czyta w jego

myślach. Mykeńczyk pokazał kubek i Ksander zrozumiał, że powinien odnieść naczynie. Pospiesznie przeszedł przez pokład, zabrał kubki i zaniósł je Zidantasowi.

– Co mam teraz robić? – zapytał.

– Idź popatrzeć na delfiny, Ksandrze – powiedział Wól. – Ktoś cię wezwie, kiedy będziesz potrzebny.

Ksander wrócił tam, gdzie zostawił węzelek ze swoim skromnym dobytkiem. Miał w nim kawałek sera i trochę suszonych owoców. Zgłodniawszy, usiadł i zaczął jeść. W pewnej chwili przeszedł obok niego opryskliwy stary szkutnik i o mało go nie podeptał.

Następne dwie godziny były fascynujące. Helikaon i Zidantas wykrzykiwali rozkazy, a *Ksantos* tańczył na falach. Wioślarze na bakburcie pochylali się nad wiosłami, gdy ludzie na sterburcie wyjmowali swoje wiosła z wody. *Ksantos* płynął naprzód lub zawracał, zmieniał kurs, po czym znów mknął przed siebie, gdy wiosła na obu burtach zanurzały się w wodzie. Ksander cieszył się każdą chwilą – szczególnie gdy młodszy Mykeńczyk osunął się na kolana i zwymiotował. Ten starszy, o kamiennej twarzy, trochę pozieleniał, ale zawzięcie trzymał się relingu, patrząc na morze. W końcu zakończono manewry i Zidantas ogłosił odpoczynek.

Wiatr stał się nieco porywisty i łopotał żaglem z czarnym koniem. Ksander spojrział na południe. Tam niebo było ciemniejsze. Wielu wioślarzy wyszło na górny pokład. Większość, tak jak Ksander, również spoglądała na południe. Kilku zbiło się w gromadkę i chłopiec usłyszał, jak ktoś mówi:

– Posejdon pływa. Będziemy mieli szczęście, jeśli dotrzemy do ładu, nim nadciągnie burza.

– To ten przekłety Egipcjanin – powiedział ktoś inny. Ksander spojrział na niego. Był to barczysty mężczyzna o przeredzonych jasnych włosach i zmierzwionej brodzie. – Posejdon już raz chciał go wziąć, a my mu go odebraliśmy.

Była to niepokojąca myśl i przstraszyła Ksandra. Każdy wie, że Posejdon potrafi się gniewać, ale chłopcu nie przyszło do głowy, że bóg mógłby chcieć śmierci tego śmiertelnika. Mężczyźni rozmawiali. Przyłączyli się do nich inni. Ksander wyczuwał ich strach, gdy radzili, jak najlepiej ułagodzić boga.

– Trzeba rzucić go z powrotem do morza – powiedział mężczyzna ze zmierzwioną brodą. – To jedyny sposób. Inaczej wszyscy umrzemy.

Rozległo się kilka potwierdzających pomruków, ale większość mężczyzn milczała. Tylko jeden sprzeciwił się temu. Pierwszy wioślarz, kędzierzawy Oniakos.

– Trochę wcześniej, by planować morderstwo, nie sądzisz, Epeusie?

– On jestznaczony przez Posejdona – odparł Epeus. – Nie chcę nikogo zabijać, ale tego człowieka nie można uratować. Jeśli bóg go chce, na pewno go sobie weźmie. Chcesz, żeby pociągnął nas ze sobą?

Ksander zauważył, że obaj mykeńscy wojownicy również słuchają tej rozmowy, ale trzymają swoje myśli dla siebie. Gdy wiatr się wzmógł i fale zaczęły mocniej kołysać statkiem, Ksander zostawił marynarzy i

poszedł na pokład rufowy. Był tam mężczyzna w słomkowym kapeluszu, rozmawiał z Zidantasem i Złocistym. Ksander czekał u stóp schodków, nie wiedząc, co robić. Nie chciał patrzeć, jak wyrzucają za burtę rannego, ale obawiał się gniewu Posejdona. Próbował odgadnąć, co zrobiłby ojciec. Czy wyrzuciłby tego człowieka za burtę? Ksander nie sądził, żeby ojciec to zrobił. Ojciec był bohaterem. Tak powiedział Złocisty. Bohaterowie nie mordują bezbronnych.

Ksander wspiał się na pokład rufowy. Złocisty zauważył go.

– Nie bój się tego wietrzyku, Ksandrze – powiedział.

– Nie obawiam się wiatru, panie – rzekł Ksander i powiedział mu, co słyszał.

Zanim Helikaon zdążył coś powiedzieć, przy schodkach zaczęli gromadzić się marynarze. Ksander odwrócił się i zobaczył, że dwaj żeglarze wloką rozbitka ku burcie.

– Posejdon się gniewa! – wrzasnął krępy Epeus. – Musimy oddać mu to, co mu skradliśmy, Złocisty.

Helikaon ominął Ksandra i spojrział na marynarzy. Uniósł dłoń i natychmiast zapadła cisza, przerywana tylko wyciem wiatru. Przez moment Helikaon nic nie mówił, tylko stał.

– Jesteś głupcem, Epeusie – rzekł w końcu. – Posejdon się nie gniewał. Jednak teraz jest zły! – Wskazał palcem wicherzyciela. – To ty ściągnąłeś na nas jego gniew.

– Nic nie zrobiłem, panie! – odparł Epeus i nagle w jego głosie Ksander usłyszał strach.

– Ależ tak! – ryknął Helikaon. – Myślisz, że Posejdon jest takim słabym bogiem, że nie mógł zabić jednego człowieka, który przez dwa dni pływał w morzu? Sądzisz, że nie mógł w mgnieniu oka pociągnąć go na dno, tak jak zrobił z innymi członkami jego załogi? Nie. Wielki bóg morza nie pragnął jego śmierci. Chciał, żeby żył. Żeby Ksantos wyratował tego człowieka. A teraz ty napadłeś na niego i grozisz mu wyrzuceniem za burtę. Być może zgubiłeś tym nas wszystkich. Gdyż teraz, jak wszyscy widzą, Posejdon pływa!

Gdy to mówił, niebo pociemniało jeszcze bardziej. Huknął grom.

– Co mamy robić, panie?! – krzyknął inny mężczyzna.

– Nie możemy uciekać – powiedział mu Helikaon. – Posejdon nienawidzi tchórzy. Musimy zawrócić i jak mężczyźni stawić czoło wielkiemu bogowi, pokazać mu, że jesteśmy godni jego błogosławieństwa. Do żagla! Wszyscy wioślarze na stanowiska i czekać na rozkazy. Wykonać! Natychmiast!

Załoga rozbiegła się na stanowiska, zostawiając oniemiałego Gershoma siedzącego na pokładzie. Zidantas nachylił się do Ksandra.

– Zaprowadź go na śródokręcie. Tam będzie mniej kołysało. Przywiążcie się do masztu. Stawimy czoło burzy.

Ksander zszedł na pokład śródokręcia, który teraz gwałtownie wznosił się i opadał. Chłopiec przewrócił się, wstał i wziął pod rękę Gershoma. Pomógł mu wstać, poprowadził naprzód. Z najwyższym trudem utrzymując równowagę, potykając się, dotarli do masztu. Ksander owinał Gershoma liną i mocno ją zawiązał. Potem rozejrzał się za następną, żeby samemu przywiązać się do masztu. Nie znalazł.

Sztorm spadł na statek, z wyciem wichru siekąc deszczem pokład. Ksander chwycił się liny, którą przywiązał Gershoma. Rozbitek wyciągnął obandażowaną dłoń i przycisnął go do siebie. Przez ryk wiatru chłopiec usłyszał, jak Zidantas wykrzykuje rozkazy wioślarzom. Statek obrócił się i mocno zakołysał, gdy wielka fala uderzyła o kadłub. *Ksantos* powoli ustawił się dziobem na wiatr. Kolejna potężna fala spadła na dziób, omywając główny pokład. Ksander o mało nie puścił liny, gdy fala pochwyciła go i pociągnęła w bok. Gershom krzyknął, ale poranioną dłonią trzymał chiton chłopca i nie puszczał.

Usłyszeli przeraźliwy krzyk. Jeden z mocujących żagiel marynarzy stracił równowagę. Ksander zobaczył, jak nieszczęśnik spada. Jego ciało uderzyło o reling sterburty, wyłamując kawał drewna. W następnej chwili znikło. Zapadł zmrok. Popołudnie przeszło w wieczór, a ten w noc. Ksander trzymał się liny, a sztorm ciskał wielkim statkiem. Chłopiec trzymał się najmocniej jak mógł, lecz po pewnym czasie stracił czucie w palcach i zaczął opadać z sił. Tylko mocny uścisk Gershoma sprawiał, że nie porwały go fale. Ciemność przerywały jedynie oślepiająco jasne błyskawice i potworny huk gromów, które zdawały się rozdzierać statek na kawałki. Rozkołysany pokład to unosił się, rzucając Ksandra w tył, to opadał, popychając go naprzód. Zziębnięty, przemoczony i przerażony chłopiec modlił się, by pozostać przy życiu.

Chociaż coraz bardziej zmęczony, nie puszczał liny. *Ksantos* wpływał w sam środek burzy, to wspinając się na fale, to opadając między nie. Na dziób spływały kaskady wody. Nagle statek zadrżał, gdy zmęczeni wioślarze na bakburcie na moment zgubili rytm. Ściana wody z rykiem runęła na *Ksantosa*. Spadła na Ksandra, uniosła go i uderzyła nim o maszt. Na pół ogłuszony, puścił linę i wysunął się z uścisku Gershoma. Wielki statek mocno się przechylił i Ksander zaczął sunąć po mokrym pokładzie. Błyskawica rozjaśniła niebo. Zobaczył, że zbliża się do dziury w uszkodzonym relingu. Rozpaczliwie usiłował znaleźć coś, czego mógłby się przytrzymać.

Gdy ziejący czernią otwór był już tuż przed nim, Ksander nagle ujrzał błysk wypolerowanego brązu. Mykeński wojownik, Argurios, widząc grożące chłopcu niebezpieczeństwo, puścił reling i rzucił się na pomoc. Zaciśnął dłoń na chitonie chłopca i razem potoczyli się w kierunku dziury w nadburciu. W ostatniej chwili Argurios zdołał chwycić się jakiejś liny. Ksander poczuł, że pokład ucieka mu spod nóg, i nagle zawisł nad szalejącym morzem. Spojrzał w górę i zobaczył, że Mykeńczyk także wisi nad wodą, trzymając się liny. Widząc jego wykrzywioną z bólu twarz, Ksander zrozumiał, że Argurios w ciężkiej zbroi nie zdoła uratować ich obu. W każdej chwili może go wypuścić i Ksander będzie zgubiony.

Jednak nie puścił. *Ksantos* uniósł się i opadł, ciskając Arguriosem o burtę. Chiton Ksandra zaczął się rozdzierać.

Nagle wiatr przycichł, deszcz zelżał i zza chmur wyjrzał księżyc. Dwaj marynarze porzucili swe bezpieczne schronienia i odważyli się przebiec po rozkołysanym pokładzie. Ksander zobaczył, że Oniakos chwyta Arguriosa i wciąga go na pokład. Potem Attalos wyciągnął rękę, złapał Ksandra za ramię i wyciągnął.

Skulony pod relingiem Ksander zaczął się trząść. Nie mógł opanować drżenia rąk. Pojawił się przy nim Złocisty i poklepał go po ramieniu. Potem podszedł do Arguriosa, który stał i masował sobie zdrętwiałe palce. Ksander dostrzegł krew na jego dłoni.

– To był odważny czyn – rzekł Helikaon.

– Nie potrzebuję twoich pochwał – odparł Argurios, odwracając się, i wrócił do swojego towarzysza.

Zidantas przykucnął przy Ksandrze.

– No, chłopcze, czy ucieszył cię twój pierwszy sztorm?

– Nie.

– Ale cieszysz się, że go przeżyłeś, co?

– Och, tak. – Drżenie zaczęło przechodzić. – Myślałem, że umrę.

– Miałeś szczęście, Ksandrze. Straciliśmy tylko jednego człowieka.

– Epeusa?

– Nie. Młodego Likijczyka imieniem Hippolatos. Był dobrym chłopcem.

– Nie rozumiem. Jeśli Posejdon rozgniewał się na Epeusa, dlaczego zabił Hippolatos?

– Życie jest pełne zagadek – powiedział mu Zidantas.

Gdy morze zaczęło się uspokajać, załoga wzniosła chóralny okrzyk radości. Helikaon poszedł do marynarzy, a ci zebrali się wokół niego.

– Posejdon pobłogosławił *Ksantosa*! – zawołał. – Popłynęliśmy z nim i w naszych sercach ujrzaliśmy odwagę. Każdy z was otrzyma podwójną zapłatę.

Teraz wydali jeszcze głośniejszy okrzyk i nastrój znacznie się poprawił. Wtedy Helikaon podszedł do drżącego chłopca i przykucnął przy nim.

– Świat jest pełen strachu, Ksandrze – powiedział – lecz ty dziś byłeś bohaterem.

– Nic nie zrobiłem, panie.

– Widziałem. Najpierw przywiązałeś do masztu Gershoma. Nie siebie. Przedłożyłeś jego bezpieczeństwo nad własne. Twój ojciec byłby z ciebie dumny. Ja też jestem. I widziałem dwóch innych bohaterów. Gershom trzymał cię, chociaż ma pokaleczone i krwawiące dłonie. Argurios zaryzykował życie, żeby cię uratować. Jest wielkość w obu tych ludziach i w tobie też.

2.

Gershom siedział na dziobie *Ksantosa* z kolanami podciągniętymi pod brodę, otartymi plecami i obolałymi ramionami okrytymi kawałkiem szmaty. Chociaż sztorm już przeszedł i na usianym gwiazdami niebie jasno świecił księżyc, on wciąż od czasu do czasu dygotał. Nagłe dreszcze wstrząsały jego ciałem. Zmrużywszy opuchnięte powieki, wpatrywał się w odległy brzeg, pragnąc, by zbliżał się szybciej. Jeszcze nigdy tak bardzo nie marzył o tym, żeby poczuć pod nogami stały ląd. Opoдал Zidantas wychylał się przez reling, bacznie wpatrując się w przejrzystą wodę przed dziobem. Obok niego odziany jedynie w czarną przepaskę biodrową marynarz raz po raz wtykał do wody długą tyczkę z nacięciami i głośno oznajmiał głębokość. *Ksantos* powoli płynął naprzód.

– Jak długo zostaniemy na ładzie? – zapytał Gershom, mając nadzieję usłyszeć od Zidantasa, że kilka dni.

– Tylko przez noc – odparł krótko Zidantas.

Nie patrząc w kierunku rufy, dwukrotnie dał znak prawą ręką sternikowi i Gershom poczuł, jak wielki statek odrobinę zmienia kurs. Mówiono mu, że na tych wodach są niebezpieczne mielizny, więc nie odzywał się, żeby nie przeszkadzać doświadczonemu żeglarzowi. Widział, że większość wiosł jest uniesiona; tylko sześć miarowo zanurzało się i wynurzało z wody, gdy *Ksantos* powoli zmierzał do bezpiecznego brzegu.

Na sterburcie wyrosła wysoka wyspa z wierzchołkiem spowitym gęstą roślinnością, o urwistych ścianach białych od mew i ich odchodów. Gdy statek podpłynął bliżej, Gershom dostrzegł, że wyspa zasłaniała wejście do wielkiej zatoki. Ten widok sprawił, że zaparło mu dech i usłyszał głośnie westchnienie stojącego w pobliżu chłopca, *Ksandra*.

Zatoka była wielka i owalna. Wokół niej wznosiły się wysokie, szaro-białe urwiska. Na środku, na wprost wylotu zatoki, stały na straży dwie strzeliste sine skały, lśniące w świetle księżyca. U ich podnóża przez zieloną gęstwinę spadał migoczący wodospad, po czym pojawiał się jako rzeczka. Gershom dostrzegł mnóstwo budynków wznoszących się labiryntem białych ścian i czerwonych dachów, a na samym szczycie fortecę, zwróconą ku morzu. Ujście rzeki dzieliło na dwoje szeroki pas białego piasku. Inne statki już były wyciągnięte na brzeg i na plaży płonęły ogniska.

Chłopiec z otwartymi ustami spojrzał na Gershoma.

– Jak tu pięknie! – powiedział z oczami błyszczącymi z zachwytu.

Gershom uśmiechnął się do niego i poprawił mu się humor. Ten dzieciak dopiero pierwszy dzień pływał po Wielkiej Zieleni, przeżył silny sztorm i spojrzał śmierci w oczy – a jednak nie zniechęcił się i szeroko otwartymi oczami niecierpliwie wyglądał następnej przygody.

– Gdzie my jesteśmy? Co to za miejsce? – pytał *Ksander*.

Zidantas w końcu oderwał wzrok od wody i wyprostował się, masując sobie krzyż.

– Już jesteśmy bezpieczni – powiedział do marynarza, który kiwnął głową i odszedł z tyczką w ręku. Zidantas odwrócił się do chłopca. – Miejscowi nazywają ją Zatoką Niebieskiej Sowy – rzekł. – Inni zwą ją Pechową Zatoką.

– Dlaczego tu wpłynęliście, jeśli jest pechowa? – zapytał Gershom, myśląc sobie: Miałem już dość pecha, choć wcale go nie szukałem.

Zidantas zaśmiał się bez cienia wesołości.

– My nigdy nie mamy pecha, Egipcjaninie. Mają go inne statki.

Teraz Gershom całkiem wyraźnie widział brzeg. Większość statków znajdowała się razem na prawym brzegu rzeki, lecz trzy czarne statki spoczywały na lewym, z dala od innych. Zobaczył, że Zidantas spochmurniał na ich widok.

– Znasz je? – zapytał Gershom.

– Tak, znam.

– Kupcy rywale?

Nachyliwszy się do jego ucha, żeby nie usłyszał go chłopiec,

Zidantas szepnął:

– Oni kupczą krwią, Egipcjaninie. To piraci.

Ksander wspiał się na najwyższy punkt wysokiego, wygiętego dziobu.

– Patrzcie na tych wszystkich ludzi! – zawołał, wskazując na plażę.

Wokół kilku rozstawionych na plaży straganów zebrał się tłum, wszędzie paliły się ogniska i wciąż rozpalano nowe. Gershom miał wrażenie, że czuje zapach pieczonego mięsiwa. Skurczony żołądek boleśnie przypominał o sobie.

– Tak – powiedział Zidantas – to gwarne miejsce. Królestwo Grubego Króla bogaci się na ściąganych przez niego opłatach. Jednak to bezpieczna przystań – zwykle dla marynarzy ze wszystkich krain. Dobrych i złych. Spotkasz różnych ludzi. Zawijają tu pohandlować i na dziwki. – Mrugnął do Ksandra, który się zaczerwienił. – Jednak głównie przyływają tu na bezpieczne nocne kotwicowisko. Dzisiaj sztorm przygnał do Pechowej Zatoki rozmaite śmieci.

Zawezwany przez Helikaona, łysy, potężnie zbudowany Zidantas pospieszył z powrotem do steru. Po chwili statek wykonał gwałtowny zwrot, aż jego dziób znów celował w otwarte morze.

– Co się dzieje? Dlaczego nie dobijamy do brzegu? – zapytał niespokojnie Ksander, znów stanąwszy obok Gershoma.

Rozbitek nie potrafił na to odpowiedzieć.

– Wiosłuj wstecz! – usłyszeli donośny rozkaz Zidantasa.

Ksantos, z początku niepewnie, zaczął podchodzić rufą do brzegu. Zidantas i dwaj marynarze wyjęli wiosło sterowe z wody, wciągając je przez wąski otwór pozostawiony w nadburciu rufy.

Trzydzieści wiosła zanurzyło się w wodzie koloru wina, wiosłarze zaintonowali melodyjną pieśń i *Ksantos* zaczął dobijać rufą do szerokiej plaży. Opodal stała samotna galera z olbrzymimi szkarłatnymi oczami namalowanymi na dziobie. Marynarze leżeli na piasku wokół niej, lecz na widok *Ksantosa* wielu z nich wstało.

Przy brzegu morze było niemal całkiem spokojne i wysoko uniesiona rufa statku cięła niczym topór łagodne fale. Gershom złapał się relingu. Trzydzieści wiosła nieustannie zanurzało się i wynurzało z wody, tempo i śpiew przybierały na sile, biały pas plaży przybliżał się błyskawicznie...

Gershom mocno chwycił reling i zamknął oczy.

– Dość!

Zapadła cisza, gdy śpiew ucichł, uniosły się wiosła, a potem rufa *Ksantosa* wślizgnęła się na plażę, z chrzęstem odrzucając na boki piach i żwir, szorując kilem o dno. Statek się zatrzymał. Przez chwilę kołysał się z boku na bok, po czym znieruchomiał.

Załoga i ludzie na plaży powitali to chóralnym okrzykiem radości. Ksander i Gershom upadli na pokład, ale chłopiec natychmiast zerwał się na nogi i przyłączył się do wiwatujących.

Z błyszczącymi oczami odwrócił się do Gershoma.

– Czy to nie było podniecające? – zapytał.

Gershom postanowił jeszcze chwilę nie ruszać się z miejsca. Chociaż bardzo chciał poczuć stały ład pod stopami, obawiał się, że nogi

odmówią mu posłuszeństwa.

– Tak – wysapał. – Podniecające to odpowiednie słowo.

Na pokładzie zaczął się ruch. Mężczyźni spieszyli na brzeg, śmiejąc się i żartując ze sobą, gdy wcześniejsze obawy rozwiewały się jak wodna mgielka. Wioślarze mocowali wiosła, pospiesznie susząc je i układając, po czym wyjmowali swój dobytek spod ławek. Helikaon pierwszy wyskoczył na brzeg i Gershom zauważył, że ogląda deski kadłuba. Kłapa ładowni na śródokręciu została podniesiona i Zidantas z ponurym Kalkeusem pospiesznie znikli w brzuchu statku, niewątpliwie szukając uszkodzeń.

Marynarze schodzili z *Ksantosa*, spuszczać się po linach na suchy ląd.

– Chodź, Gershomie! – Ksander, który zabrał swoją skórzaną sakwę, nie cierpliwie przestępował z nogi na nogę. – Musimy zejść na brzeg!

Gershom widział, że chłopiec boi się, że coś go ominie.

– Idź sam. Ja zaraz przyjdę.

Ksander stanął za kilkoma marynarzami czekającymi na zejście na ląd. Kiedy przyszła jego kolej, wspiał się na reling, chwycił linę i powoli opuścił się na plażę. Nie oglądając się za siebie, pobiegł tam, gdzie załoga *Ksantosa* już rozpałała ognisko. Na wielkim statku zrobiło się cicho i Gershom został sam na pokładzie. Zamknął oczy i cieszył się chwilą spokoju.

Przerwał ją głośny okrzyk i Gershom szybko otworzył oczy.

– Hej, Helikaonie! Trojańczyka można poznać po tym, że najpierw pokazuje ci zadek! Jednak jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś robił to całym statkiem!

Rumiany mężczyzna w szafranowym chitonie kroczył plażą ku *Ksantosowi*. Był niewysoki, ale krępy i muskularny, z rozwichrzoną kędzierzawą brodą i długimi włosami barwy miodu. Chiton miał brudny, a skórzane sandały stare i znoszone, ale nosił kunsztownej roboty złoty pas wysadzany klejnotami, a przy nim zakrzywiony sztylet. Na jego widok Helikaon się rozpromienił.

– Ty paskudny stary piracie! – zawołał na powitanie i z wyraźną satysfakcją poklepał burtę *Ksantosa*, dobrnął do brzegu i wziął przybysza w ramiona.

– Masz szczęście, że tu jestem – rzekł nieznajomy. – Będziesz potrzebował nie tylko swojej, ale i mojej załogi, żeby z nadejściem ranka ściągnąć tę tłustą krowę na wodę.

Helikaon roześmiał się, a potem odwrócił i z dumą spojrzął na wielki statek.

– Poradził sobie w burzy, mój przyjacielu. Jest nieustraszony i mocny. Jest wszystkim, o czym marzyłem.

– Pamiętam. Przeplynać między Scyllą i Charybdą, po nieznanym oceanach, aż na koniec świata. Jestem z Ciebie dumny.

Helikaon milczał chwilę.

– To wszystko nie ziściłoby się, gdyby nie ty, Odyseuszu.

VII. ZAGUBIONY BOHATER

Odyseusz patrzył na młodzieńca i ze zdziwieniem stwierdził, że brakuje mu słów. Z nagłego zmieszania wybawiło go kilku członków jego załogi, którzy przybiegli i otoczyli Helikaona. Klepali go po plecach lub ściskali, po czym zaprowadzili tam, gdzie inni czekali, żeby się z nim przywitać.

Odyseusz patrzył na wielki statek i wspominał małego kruczowłosego chłopca, który kiedyś powiedział mu:

– Zbuduję największy statek. Będę zabijał morskie potwory i popłynę na koniec świata, gdzie mieszkają bogowie.

– Powiadają, że oni mieszkają na Olimpie.

– Czy któryś z nich mieszka na końcu świata?

– Tylko jedna straszna kobieta o ognistych oczach. Wystarczy w nie spojrzeć, a spłoniesz jak pochodnia.

Chłopczyk wyglądał na zaniepokojonego. Zaraz jednak zrobił hardą minę.

– Nie będę patrzył jej w oczy – powiedział.

Czas pędzi szybciej niż skrzydlaty Pegaz, pomyślał Odyseusz. Nagle poczuł się stary. Pod koniec roku będzie miał czterdzieści pięć lat. Nabrał tchu, wpadł w melancholijny nastrój. Wtem ujrzał jakiegoś chłopca biegnącego ku nim z *Ksantosa*. Młodzik spoglądał z zachwytem na ogniska, stragany i tłumy ludzi.

– Dokąd to, mały? – zapytał surowo Odyseusz.

Jasnowłosy chłopiec spojrzał na niego.

– Czy to twoja plaża, panie? – zapytał.

– Może. Nie wiesz, kim jestem?

– Nie wiem, panie. Nigdy wcześniej nie żeglowałem.

Odyseusz wciąż robił groźną minę.

– To żadna wymówka, chłopcze. Czy nie mówiono ci o mnie z podziwem? Czy przy waszych ogniskach nie opowiadano legend o moim życiu?

– Nie wiem – odparł szczerze chłopak. – Nie wyjawileś mi swego imienia.

– Jestem królem Itaki i wielkim wojownikiem. Największym żeglarzem na świecie. To ci coś mówi?

– Czy to jest Itaka? – spytał chłopiec.

Odyseusz potrząsnął głową.

– Nie, to nie jest Itaka. Widzę, że masz poważne braki w wykształceniu. No już, idź. Ciesz się przyjemnościami Zatoki Niebieskiej Sowy.

Chłopiec już miał odejść, ale odwrócił się.

– Jestem Ksander – powiedział. – Ja też jestem żeglarzem.

– I to dobrym. Znam się na tym. Jestem Odyseusz.

Ksander znieruchomiał i wytrzeszczył oczy.

– Naprawdę?

– W istocie.

– Zatem słyszałem o tobie. Dziadek mówi, że jesteś największym

łgarzem na świecie i opowiadasz najlepsze opowieści. Opowiedział mi jedną, o tym jak silna burza porwała twój statek i zostawiła go na zboczu góry, a ty rozciąłeś żagiel na pół, przywiązałeś go do wiosel i machając nimi jak skrzydłami, sfrunęliście z powrotem na wodę.

– Jednak na chwilę zgubiliśmy się w chmurach – dodał Odyseusz – i musieli spuścić mnie na linie, żebym znalazł drogę na dół.

Chłopiec się roześmiał.

– Ja żegluję z panem Helikaonem – powiedział. – Był silny sztorm i o mało nie wypadłem za burzę.

– Ja kiedyś też żeglowałem z Helikaonem – powiedział mu Odyseusz. – Był wtedy mniej więcej w twoim wieku. Użyłem swoich czarów, żeby nauczyć go latać.

– On umie latać?

– Jak orzeł. Może później ci o tym opowiem. Jednak teraz muszę się odlać, a nie lubię, jak mnie przy tym ktoś ogląda, więc idź sobie.

Chłopiec pobiegł. Odyseusz, odzyskawszy dobry humor, przeszedł się po plaży. Usiadł na przybrzeżnej skale i spojrzał na otoczonego przez marynarzy z *Penelopy* Helikaona. Domyślał się, że rozmawiają o dawnych czasach.

Dawne czasy.

Minęło dwadzieścia lat, od kiedy Odyseusz po raz pierwszy zobaczył Helikaona. Dwadzieścia lat! Czasem wydawało mu się, że to zaledwie kilka. Odyseusz był wtedy młody, w pełni sił, i doskonale pamiętał, jak piał się stromą ścieżką na szczyt wzgórza, do fortecy Dardanos. Ta skalna warownia stała się stolicą Dardanii pod rządami ojca Helikaona, króla Anchizesa. Powiadano, że wzbogacił się w nieuczciwy sposób i – co było ważniejsze dla kupca – miał piękną młodą żonę. Tak więc Odyseusz piał się po kamienistym zboczu wraz z trzema członkami załogi i dwoma osłami obładowanymi wykwintnymi pachnidłami, drogimi kamieniami i złotem, jedwabiami i różnymi drobiazgami, które mogły się spodobać eleganckiej kobiecie.

Przy bramie pożartował z królewską strażą, oceniając przy tym walory obronne fortecy Wrota miała grube, ale o wiele za szerokie, niewątpliwie przejaw głupiej próżności króla. Jednak mury były wysokie i mocne, z kamiennych bloków zrecznie dopasowanych do siebie bez zaprawy. Wartownicy przy bramie byli dobrze odżywieni i czujni. Spoglądali na niego z zaciekawieniem, czego można się było spodziewać. Jego imię już wtedy było znane, nawet w tej odległej północnej krainie. Nagle ktoś za jego plecami zawołał podniecony:

– Panie, panie, czy to twój statek?!

Odwrócił się i zobaczył siedmio- lub ośmioletniego chłopca o czarnych jak noc włosach i promiennych niebieskich oczach. Chłopczyk wskazywał na plażę, na której spoczywała wyciągnięta na brzeg *Penelopa*, górując nad otaczającymi ją rybackimi łódkami.

– A jeśli nawet, to co z tego, paskudny karle? – warknął.

Chłopiec przestraszył się, ale dzielnie stawił mu czoło.

– Nie jestem karłem, panie, tylko chłopcem. Jestem Eneasze, syn Anchizesa, króla.

Odyseusz obrzucił go groźnym spojrzeniem.

– Myślisz, że w to uwierzę? Jesteś niepodobny do żadnego z chłopców, jakich kiedykolwiek widziałem. Wszyscy chłopcy, których dotychczas spotkałem, mieli cztery ręce. Nie próbuj mnie oszukać, mały. Bo pożałujesz. – Zaciśnął palce na rękojęści sztyletu i zrobił krok naprzód.

Chłopiec nie wiedział, co o tym myśleć – dopóki nie zauważył szerokich uśmiechów gwardzistów. Wtedy parsknął śmiechem.

– Ojciec powiedział mi, że Odyseusz z Itaki będzie naszym honorowym gościem i jest wspaniałym gawędziarzem. Czy opowiesz mi o tych czwororęcznych chłopcach, panie? A ile oni mają głów?

Odyseusz posłał mu krzywy uśmiech.

– Zobaczmy, chłopcze – rzekł. – Zobaczmy.

W tym momencie za plecami malca pojawiła się zasapana kobieta.

– Eneasz, gdzie byłeś? Myślałam, że nigdy cię nie znajdę. Szukając cię, zeszałam aż na plażę. Chodź. Chodź tutaj. Mama chce cię zobaczyć. Jesteś nie dobrym chłopcem – dodała po namyśle.

Złapała go za rękę i pociągnęła uliczką w górę, ku królewskiej siedzibie. Eneasz uśmiechnął się przez ramię do Odyseusza, a potem pozwolił się zaciągnąć po kamiennych stopniach na balkon, gdzie czekała szczupła i piękna, ciemnowłosa kobieta w błękitnej szacie. Przyklękła, by objąć chłopca, który ponownie obejrzał się na Odyseusza i przewrócił oczami.

Odyseusz spotkał się z królem Anchizesem w megaronie, wielkiej kamiennej sali, w której król przyjmował gości i sprawował rządy. Władca był blady, siwowłosy i lodowato niebieskimi oczami zimno mierzył kupca, jakby ten był nie lepszy od pałacowego sługi.

Odyseusz nieraz spotykał takich parweniuszy. Uważał się za zręcznego kupca, który ma na podorędziu cały arsenał sztuczek, od jawnych pochlebstw po ledwie ukryte groźby. Jednak ten król był zimny i obojętny i Odyseusz nie potrafił go rozgryźć. Popijając mocno rozcieńczone wino, rozmawiali o handlu na pobliskich brzegach i Odyseusz opowiedział kilka historyjek, żeby rozbawić Anchizesa. Jednak jego najlepsze opowieści – nawet ta o dziewczycy i skorpionie – ledwie wywołały cień uśmiechu na surowej twarzy króla. Oczy władcy pozostały zimne.

Odyseusz poczuł ulgę, gdy Eneasz, bosy i ubrany tylko w lniany chiton, wbiegł do megaronu i ledwie zdołał się zatrzymać, nie wpadając na króla.

– Ominęło mnie coś, ojczy? Spóźniłem się?

– Ominęło? O czym ty mówisz, Eneasz? – spytał niecierpliwie Anchizes, przenosząc lodowate spojrzenie na ciemnowłosą kobietę, która weszła za chłopcem do komnaty.

– O opowieściach, ojczy. O dzikich bestiach, dwugłowych chłopcach i przygodach na morzu – odparł chłopczyk z zaniepokojoną miną. – Musiałem odrobić lekcje – wyjaśnił Odyseuszowi, który spoglądał na niego z rozbawieniem.

– Jestem zmęczony, chłopcze, i na dziś skończyły mi się już opowieści.

– Chodź, Helikaonie, nie przeszkadzaj ojcu i jego gościowi –

powiedziała jego matka i delikatnie wzięła go za rękę.

Była kobietą o kruchej urodzie, delikatnej białej skórze i oczach, które – jak pomyślał Odyseusz – zdawały się wpatrzone w dal. Widywał już takie oczy i z rozbudzonym na nowo zainteresowaniem przyjrzał się królowej.

– Już ci mówiłem – rzucił szorstko król – żebyś nazywała go imieniem, które mu nadałem. Eneasze. To dumne imię.

Królowa wyglądała na przestraszoną i wyjąkała przeprosiny. Odyseusz zauważył zmianę na twarzy chłopca, który odsunął się od matki i rzekł:

– Kiedy będę starszy, zbuduję największy statek na świecie. Będę wielkim bohaterem. Tak mówią matce bogowie.

Kobieta zmarszczyła śliczne brwi. Uklękła przed synem i ponownie uścisnęła go tak, jak przedtem na balkonie. Zajrzała mu w oczy, jakby czegoś w nich szukała. Chłopiec zrobił wrażenie na Odyseuszu. Był jeszcze mały, a jednak wyczuł strach matki i starał się ułagodzić gniew ojca.

– Znam się na sercach ludzi i bohaterów, chłopcze – powiedział. – I sędzę, że twoja matka ma rację.

– Idźcie już – rzekł król i pstryknął palcami na matkę i dziecko, jakby odprawiał służbę.

Przez trzy dni postoju *Penelopy* w Dardanii chłopczyk towarzyszył Odyseuszowi niczym cień. Żeglarz tolerował jego towarzystwo. Chłopczyk był bystry, inteligentny, ciekawy otaczającego go świata, przyjaźnie nastawiony do ludzi, a zarazem zachowywał niezależność sądu, co kupiec uznał za niezwykle. Fascynowały go statki i wymógł na Odyseuszu obietnicę, że pewnego dnia wróci do Dardanii i zabierze go w rejs na *Penelopie*. Kupiec nie zamierzał dotrzymać słowa, ale obietnica uspokoiła chłopca, który ostatniego dnia stał na plaży i machał ręką, żegnając odpływający statek, dopóki nie zniknął za horyzontem. Tego samego lata zginęła żona Anchizesa, w wyniku tajemniczego upadku z nadmorskiego urwiska. Marynarze plotkowali o tej tragedii. Według jednej z tych opowieści król Anchizes, znany z zimnego serca, zrzucił żonę ze skały. Inni mówili, że zabiła się sama, po latach cierpień zadawanych jej przez męża. Według niektórych bardziej pomysłowych plotkarzy ciałem królowej zaważnęła Afrodyta. Odyseusz natychmiast odrzucił tę wersję. Myśl o tym, że bogini miłości miałyby się zakochać w nijakim, nudnym parweniuszu takim jak Anchizes, była śmiechu warta. Nie, Odyseusz widział oczy królowej. Zażywała opiaty. Wiele wysoko urodzonych kobiet należało do różnych sekt i uczestniczyło w tajemnych rytuałach. Jako chłopiec – zaledwie dwunastolatek – Odyseusz zaryzykował życie, podglądając jedno z takich zgromadzeń w Itace. Biorące w nim udział kobiety zachowywały się bardzo swobodnie, tańczyły i śpiewały, zrzucając z siebie szaty na ziemię. W pewnej chwili na polankę przyprowadzono małego kozła. Kobiety rzuciły się na niego z nożami i posiekały na kawałki, po czym wysmarowały się jego krwią. Wstrząśnięty i przerażony Odyseusz po cichu czmychnął stamtąd.

Mówiono, że żona Anchizesa była kapłanką Dionizosa i jako taka mogła bez trudu zdobyć środki odurzające. To one niewątpliwie odebrały

jej rozum.

W ciągu następnych siedmiu lat Odyseusz kilkakrotnie zatrzymywał się w Dardanii, ale zawsze tylko na jedną noc. Nie widywał króla ani chłopca i nie interesował się nimi, aż pewnego dnia na Lesbos nawiązał rozmowę z pewnym kreteńskim kupcem, który niedawno przyплыł z Dardanii.

Powiedział Odyseuszowi, że król ponownie się ożenił.

– Nudny i nieprzyjemny człowiek – głośno myślał Odyseusz – jednak chyba nawet taka zimna ryba jak on potrzebuje żony.

– Tak – rzekł Kreteńczyk – a nowa królowa urodziła mu syna i dziedzica.

– Syna? – Odyseusz przypomniał sobie czarnowłosego chłopca machającego na plaży tak, jakby zaraz miała mu odpaść ręka. – Przecież on ma syna. Eneasza. Nie słyszałem, żeby umarł.

– Tak jakby umarł – odparł Kreteńczyk. – To już prawie mężczyzna, a mówią, że wszystkiego się boi. Po całych dniach nie wychodzi ze swojej komnaty. Król nie ma dla niego czasu. Ja też bym nie miał – zakończył.

Odyseusz nie miał powodu wracać do Dardanii, ale od tej chwili nieustannie rozmyślał o chłopcu. Nie mogąc o nim zapomnieć, miesiąc później znów piał się stromą ścieżką, aby poprosić o audiencję u Anchizesa. Tym razem przy bramie przyjęto go nieprzyjaźnie i musiał kilka godzin czekać przed królewskim megaronem. Kiedy Anchizes wreszcie raczył go przyjąć, Odyseusz był wściekły. Z trudem powstrzymując gniew, przyjął zaoferowany przez króla puchar wina i zapytał o Eneasza.

Surowa twarz władcy spochmurniała. Odwrócił wzrok.

– Niewątpliwie przybyłeś tu, aby mi coś sprzedać, a właśnie potrzebuję dostawy cyny.

Po długich targach zawarli umowę. Odyseusz wrócił na *Penelope*, zamierzając odpłynąć o świcie, lecz ku jego zdziwieniu późnym wieczorem zawiadomiono go, że król chce się z nim widzieć.

W megaronie panował lodowaty ziąb i niemal nieprzenikniony mrok, rozpraszany tylko przez ogień na kominku. Anchizes był niemal niewidoczny w cieniu rzucanym przez wysokie oparcie rzeźbionego tronu. Wskazał Odyseuszowi fotel i poczęstował go winem. Było grzane, lecz kupiec mimo to zadrżał i mocniej opatulił się wełnianą szatą.

– Jego matka się zabiła – rzekł nagle Anchizes. – Od tej pory chłopiec się zmienił. Ta głupia kobieta powiedziała mu, że jest boginią Afrodytą i zamierza odlecieć z powrotem na Olimp. Potem skoczyła z urwiska. Widział to i chciał pójść w jej ślady, ale złapałem go. Nie chciał wierzyć, że była obłąkana. Tak więc pokazałem mu zwłoki i zobaczył jej zmasakrowane ciało, połamane i sterczące kości. Od tego czasu jest... bezużyteczny. Boi się wszystkiego. Z nikim nie rozmawia i nigdzie nie chodzi. Nie jeździ konno i nie pływa w zatoce. Dlatego mam dla ciebie propozycję.

Odyseusz pytająco uniósł brwi.

– On ma teraz piętnaście lat. Zabierz go ze sobą – rzekł król.

– Nie potrzebuję marynarzy. Szczególnie tchórzy.

Anchizes zmrużył oczy, ale przełknął gniew.

– Postaram ci się to dobrze wynagrodzić.

– Zapłacisz za jego utrzymanie i kłopoty związane z obecnością takiego niezguly na pokładzie?

– Tak, tak – odparł niecierpliwie Anchizes. – Dopilnuję, żeby ci się to opłaciło.

– Wielka Zielen jest niebezpieczna, królu. Twój syn może nie przeżyć tej wyprawy.

Anchizes nachylił się do niego i w blasku płonącego na kominku ognia Odyseusz dostrzegł błysk w jego oczach.

– Przyszło mi to do głowy. Teraz mam drugiego syna. Diomedesa. Jest wszystkim, czym Eneasza nigdy nie będzie. Nieustraszony i bystry, urodzony władca. No cóż, gdyby na morzu doszło do jakiejś tragedii, wynagrodziłbym cię sownie, żebyś mógł wyprawić Eneaszaowi należyty pogrzeb. Rozumiemy się?

Ze stojącego obok stolika wziął jakieś zawiniątko i podsunął je Odyseuszowi. Kupiec rozwinął je i znalazł w środku wspaniałą pas ze skóry i złotych pierścieni, nabijany bursztynami i krwawnikami, oraz zakrzywiony sztylet z rękojeścią z kości słoniowej. Obejrzał je uważnie.

– Ładna rzecz – rzekł niechętnie, wyjąwszy sztylet z pochwy.

– Rozumiemy się? – naciskał król.

– Chcesz, żebym wziął twojego syna i... zrobił z niego mężczyznę – powiedział Odyseusz, ciesząc się grymasem irytacji, który wykrzywił twarz władcy. – W tym celu, oczywiście, musiałby narażać się na wiele niebezpieczeństw. Z takich nasion wyrasta odwaga.

– Istotnie. Wiele niebezpieczeństw – przytaknął król.

– Jutro porozmawiam z chłopcem.

Odyseusz wrócił ze swoim trofeum na *Penelope* i długo rozmyślał o żądaniu króla. Ten człowiek chciał śmierci swojego syna i Odyseusz gardził nim za to.

Przed północą zdjął chiton i skoczył z pokładu *Penelopy* w ciemną toń morza. Pływał po oświetlonej przez księżyc zatoce i chłodna woda rozjaśniała mu myśli. Ten okropny Anchizes zawlókł wrażliwe dziecko, żeby zobaczyło zmasakrowane ciało matki. Cóż w tym dziwnego, że dzieciak żył w strachu?

Odyseusz podpłynął pod skalną półkę sterczącą ze ściany nadmorskiego urwiska. Tam woda była głębsza, a skał mniej. Kąpiel była przyjemna, ale wracając na *Penelope*, nadal nie podjął decyzji.

Odziany w stary samodziślowy chiton, spotkał się z Eneaszem wczesnym rankiem, w pałacowym ogrodzie z widokiem na morze. Kiedy Odyseusz poprzednio tu spacerował, ogród był pełen zieleni i kwiatów, hodowanych z uwagą i troską na przekór nieustannie wiejącym wiatrom i słonemu powietrzu. Od tamtej pory przestano się nim zajmować i teraz ogród był taki sam jak reszta pałacu Anchizesa: kamienisty i jałowy.

Eneasza bardzo urósł w ciągu tych kilku lat, lecz jako piętnastolatek wciąż był niski, niebieskooki i chudy. Miał biały chiton do kolan i długie czarne włosy, związane w kucyk kawałkiem rzemyka. Odyseusz zauważył, że trzyma się z daleka od skraju urwiska i nawet nie spogląda na czekającą w zatoce *Penelope*.

– Mamy wiele zaległości do nadrobienia, chłopcze – zaczął kupiec.
– Czy już zrealizowałeś swoje marzenie?

– Jakie marzenie, panie?

Młodziak spojrział na niego lodowatymi niebieskimi oczami i Odyseusza przeszedł dreszcz. Wydało mu się, że pod tym szklistym spojrzeniem dostrzega żywy błysk, jaki kiedyś widział w oczach małego Eneasza.

– Chciałeś zbudować największy statek na świecie. Nie pamiętasz?

– Byłem wtedy dzieckiem. Dzieci miewają dziwne pomysły.

Eneasza odwrócił się.

Zawsze łatwo wpadającego w gniew Odyseusza zirytował zimny ton głosu młodzieńca.

– Mówią mi, że się boisz – rzekł tonem towarzyskiej pogawędki. – Podobno lękasz się wysokości. No cóż, łatwo to zrozumieć. Twoja matka rzuciła się ze skały. Widziałeś to. Dlatego boisz się wysokości. To zrozumiałe.

Jeśli oczekiwał jakiejś reakcji, to się zawiódł.

– Jednak – dodał – słyszę też, że przy jedzeniu grymasisz jak panienka. Boisz się, że połkniesz ość i się udławisz albo zjesz trującego małża i umrzesz. Już nie jeździsz konno, zapewne w obawie, że spadniesz i się zabijesz. Mówiono mi, że prawie nie wychodzisz ze swojego pokoju. – Nachylił się do Eneasza. – Cóż to za życie wiesz, chłopcze? Co po całych dniach robisz w swoim pokoju? Wyszywasz – jak dziewczyna? Jesteś dziewczyną w przebraniu? Czyżbyś marzył o tym, że pewnego dnia jakiś brutal zechce wepchnąć ci fiuta w tyłek?

Wtedy dostrzegł to, przez moment. Błysk w oczach, rodzący się gniew. Jednak tylko przez moment.

– Dlaczego mnie obrażasz? – zapytał Eneasza.

– Aby wzbudzić twój gniew. Dlaczego go stłumiłeś?

– Jest bezsensowny. Tracąc panowanie nad sobą... – Zawahał się.

– Popelniamy błędy – dokończył niezgrabnie.

– Rzucamy się ze skał. To chciałeś powiedzieć?

Chłopak poczerwieniał.

– Tak – przyznał w końcu. – Chociaż proszę, żebyś już o tym nie wspominał. To dla mnie wciąż bolesne wspomnienie.

Odyseusz westchnął.

– Czasem ból jest konieczny, chłopcze. Bogowie powierzyli mi wielki dar, wiesz? Umiem czytać w ludzkich sercach. Wystarczy mi jeden rzut oka, aby wiedzieć, czy ktoś jest bohaterem czy tchórzem.

– I uważasz mnie za tchórza – rzekł młodzik, ponownie z budzącym się gniewem. – Mój ojciec powtarza mi to codziennie. Jestem maminsynkiem, bezużytecznym stworzeniem. Nie muszę wysłuchiwać tego od cudzoziemskiego żeglarza. Skończyliśmy już?

– Wcale nie jesteś taki. Posłuchaj! Pięć lat temu *Penelopa* wpadła na skały. Jej kadłub pękł i zaczęła nabierać wody. Turlała się po Wielkiej Zieleni jak dzika świnia w bagnie. Straciła szybkość i o mało nie zatonała. Utrzymaliśmy ją na wodzie i doprowadziliśmy do portu. Tam ją naprawiliśmy. Nie uznałem, że jest złym statkiem. Uszkodził ją sztorm. Oceniam ją teraz, kiedy pływa z całym kadłubem. Ty jesteś jak ten

statek. Kiedy twoja matka umarła, pękło ci serce. A odwaga płynie właśnie z serca.

Chłopiec nic nie powiedział, ale Odyseusz widział, że pilnie słucha. Odyseusz odszedł od skraju urwiska i usiadł na trawie.

– Nie ma odwagi bez strachu, Eneasz. Człowiek, który bez niego rzuca się w wir bitwy, nie jest bohaterem. To tylko silny mężczyzna z dużym mieczem. Odwaga polega na pokonywaniu strachu. – Podniósł ręce, skierował otwarte dłonie na zewnątrz i to samo kazał zrobić chłopcu. Potem wyciągnął ręce i przycisnął swoje dłonie do jego dłoni. – Naciskaj – powiedział. Eneasz zrobił to. Odyseusz oparł się. – Oto odwaga i strach, chłopcze. Obie zawsze napierają. Nigdy nie przestają. – Opuściwszy ręce, spojrzął na morze. – A człowiek nigdy nie może ustąpić. Ponieważ jeśli się cofnie, strach pójdzie za nim i odepchnie go o następny krok, i jeszcze jeden. Ludzie, którzy poddają się lękowi, są jak królowie wierzący, że ich zamki powstrzymają wrogów, zamiast zaatakować ich na otwartej przestrzeni i rozproszyć. Wrogowie otaczają zamek i król nie może się wydostać. Powoli kończą mu się zapasy i nagle odkrywa, że zamek wcale nie jest bezpiecznym miejscem. Ty zbudowałeś taki zamek w swojej głowie. Jednak lęk sączy się przez dziury w ścianach i nie masz już gdzie się skryć. W głębi duszy wiesz o tym, gdyż bohater, którego w tobie widzę, mówi ci to.

– Może nie ma we mnie bohatera. A jeśli jestem taki, jak twierdzi mój ojciec?

– Och, ten bohater tam jest, chłopcze! Wciąż słyszysz jego głos. Za każdym razem, kiedy ojciec prosi, żebyś pojeździł konno lub zrobił coś wymagającego odwagi, bohater w tobie chce go posłuchać, tęskni za jego uśmiechem i pochwałą. Czyż nie?

Chłopiec spuścił głowę.

– Tak – przyznał.

– Dobrze! To już coś. Teraz musisz tylko odnaleźć tego bohatera, chłopcze, i wziąć go w ramiona. Mogę ci w tym pomóc. Ponieważ ja znam jego imię.

– Imię? Czyje?

– Tego bohatera w tobie. Chcesz znać jego imię, żebyś mógł go przywołać?

– Tak – odrzekł Eneasz i Odyseusz dostrzegł w jego oczach desperację.

– On zwie się Helikaon.

Twarz chłopca wykrzywił grymas cierpienia i w jego oczach Odyseusz ujrzał łzy.

– Nikt mnie już tak nie nazywa – powiedział. Potem gniewnie otarł łzy. – Spójrz na mnie! Płacę jak dziecko!

– Do licha, chłopcze! Każdy czasem płacze. Ja płakałem tygodniami, kiedy umarł mi syn. Szlochałem, aż zabrakło mi sił. Jednak odpadliśmy od wiatru. Musisz znaleźć Helikaona.

– A jak mam to zrobić?

– No cóż, musisz wyjść z zamku i przegnać swoje obawy. On będzie na ciebie czekał.

– Mów zwyczajnie, bo nie ma żadnych zamków.

Odyseusz współczuł młodzikowi, ale wiedział, że szkód spowodowanych wieloletnimi szyderstwami ojca nie naprawi kilka zręcznych uwag. Prawdę mówiąc, sądził, że potrzeba na to lat. A Odyseusz nie mógł tak długo zajmować się chłopcem ze złamanym sercem.

Nie mógł też zabrać go na pokład *Penelopy* i zabić – obojętnie jakimi bogactwami kusiłby go Anchizes.

Tak więc postanowił zaryzykować.

– Gdybym poprosił, żebyś rzucił się z tego urwiska do morza, ze stu lub więcej stóp, nie zrobiłbyś tego, prawda?

– Nie – odparł Eneasza i w jego oczach pojawił się lęk na samą myśl o czymś takim.

– Oczywiście. To wysoko, a w wodzie mogą być skryte skały, na których można się roztrzaskać. A jednak właśnie tam czeka na ciebie Helikaon, chłopcze. Dlatego zamierzam dać ci powód do tego skoku.

– Nic mnie do tego nie skłoni! – rzekł Eneasza.

– Może nie. Jednak zamierzam skoczyć z tej skały do morza. Nie umiem pływać, więc jeśli nie przyjdiesz mi z pomocą, utonę.

– Nie możesz tego zrobić! – zawołał Eneasza, zrywając się na równe nogi na widok wstającego Odyseusza.

– Oczywiście, że mogę. Helikaon i ja będziemy na ciebie czekać, chłopcze.

Potem bez słowa podbiegł do krawędzi urwiska.

Nawet teraz, po tylu latach, dreszcz przebiegł mu po plecach na to wspomnienie. Poprzedniej nocy widział tę półkę z dołu. Wtedy nie wydawała się taka wysoka. Kiedy jednak stanął na niej i spojrzał w dół, wydało mu się, że powierzchnia wody znajduje się daleko w dole. *Penelopa* wyglądała jak zabawka, a jej załoga jak rój mrówek.

Chociaż nigdy nikomu o tym nie mówił, Odyseusz nagle poczuł lęk.

– Proszę, nie rób tego! – krzyknął chłopiec.

– Muszę – odparł Odyseusz. – Kiedy mężczyzna coś mówi, musi mieć odwagę dotrzymać słowa.

Nabrawszy tchu, rzucił się ze skały. Machał rękami, żeby utrzymać ciało w pionie, i miał wrażenie, że spada przez całą wieczność. W końcu uderzył w wodę z gracją świni pływającej się w sadzawce.

Z trudem wypłynąwszy na powierzchnię, cały obolały, spazmatycznie łapiąc powietrze, Odyseusz zaczął rozpaczliwie młócić rękami wodę, udając, że się topi. Zerknąwszy w górę, zobaczył stojącego na krawędzi urwiska młodzieńca. Czuł się jak głupek. Ten wystraszony chłopiec na pewno nie skoczy i Odyseusz miał wrażenie, że jeszcze pogorszył sprawę. Jednak powiedział mu, że nie umie pływać, więc musiał jeszcze przez chwilę poudawać. Nabrawszy tchu, zanurzył się i pozostał pod wodą jak długo mógł. Potem wypłynął, zrobił kilka wdechów – wciąż machając rękami jak tonący – i znów się zanurzył. Wynurzył się i jeszcze raz spojrzał w górę.

I wysoko w powietrzu ujrzał Eneasza, lecącego z wyciągniętymi rękami, pięknie zarysowanego na tle błękitnego nieba. Skok był tak widowiskowy, że Odyseusz niemal zapomniał, że powinien udawać

tonącego. Gdy Eneasza wynurzył się i podpłynął do niego, Odyseusz znów poszedł pod wodę. Tym razem silna dłoń chwyciła go za rękę i wyciągnęła na powierzchnię.

– Oddychaj głęboko – powiedział młodzieniec, po czym zaczął go holować ku *Penelopie*.

Rzucono im liny i obaj wspięli się na pokład.

Ociekając wodą, Odyseusz stał na pokładzie, ciężko dysząc i patrząc na rozbawioną załogę.

– To jest Helikaon, chłopcy! – zawołał, wskazując młodzieńca. – Jest księciem Dardanii. Uratował mi życie!

Bias – pokryty bliznami ciemnoskóry żeglarz o zmierzwionych włosach – klepnął Helikaona w plecy.

– Widziałem ten skok. Dobra robota, chłopcze.

Odyseusz podszedł do Helikaona i muskularną ręką objął jego ramiona. Nachylił się do jego ucha.

– I co czujesz, skacząc?

– Czuję... – Helikaon usiłował znaleźć właściwe słowa. – Sam nie wiem co.

– Uniesienie? – podsunął Odyseusz.

– Tak, właśnie tak.

– Pokonałeś wroga, Helikaonie. Nie potrafię ci powiedzieć, jaki jestem z ciebie dumny. Znalazłeś drogę do bohatera. Już nigdy jej nie zgubisz. – I odwróciwszy się do swojej załogi, zawołał: – Wioślarze na stanowiska! Przygotować żagiel! Wielka Zieleń czeka!

– Nie rozumiem – rzekł Helikaon.

– Ach, chłopcze, czyżbym ci nie powiedział? Twój ojciec uznał, że morska podróż dobrze ci zrobi. Tak więc teraz jesteś członkiem mojej załogi. Myślę, że będziesz się dobrze bawił.

Siedząc teraz samotnie na plaży, Odyseusz uśmiechnął się na to wspomnienie. Zobaczył, że Helikaon wstaje i rozgląda się. Odyseusz pomachał mu ręką i Złocisty podszedł do niego.

– Obmyślasz następną niezwykłą przygodę? – zapytał Helikaon.

Odyseusz uśmiechnął się.

– Wspominałem dzień, w którym widziałem młodego księcia szybującego w powietrzu niczym orzeł.

VIII. ZATOKA NIEBIESKIEJ SOWY

1.

Ksander czuł się jak jeden z legendarnych herosów, o których dziadek opowiadał nocami przy płonącym kominku, zanim chłopca i jego siostry zmorzył sen. On też dotarł aż do dalekiej obcej ziemi, krainy czarów i tajemnic, gdzie świeciły inne gwiazdy. I spotkał legendarnego Odyseusza. To było jak cudowny sen.

Wzdłuż całej zatoki Ksander widział ściągane na plażę ręczne wózki, pełne drewna na opał. Wokół unosił się zapach pieczonego mięsiwa, a przy wielu ogniskach grano na lirach i fletniach. Zobaczył czarnobrodego Egipcjanina Gershoma, który odszedł na bok i usiadł oparty plecami o głaz. Ramiona miał okryte kawałkiem szmaty i trząsał się. Ksander podbiegł do niego.

– Może przynieść ci jakieś ubranie? – zapytał.

Gershom uśmiechnął się.

– Wolałbym trochę wody. W gardle zaschło mi tak, jakbym połknął pustynię.

Chłopiec pobiegł i wrócił z buklakiem. Gershom ugasił pragnienie. Potem wyciągnął się na piasku i zasnął.

Ksander siedział przy nim przez chwilę, aż zapadła noc. Spojrzał na jasne gwiazdy. Nie potrafił powiedzieć, czy są inne czy nie, ale domyślał się, że tak. Kiedy Gershom zaczął chrapać, Ksander wstał i zaczął się rozglądać. Wzdłuż brzegu stały dziesiątki kramów i wózków, pełne towarów: biżuterii, strojów, garnków, dzbanów, amuletów i oręża. Wszędzie byli handlarze z porozkładanymi na kocach artykułami. Byli tu wróże i jasnowidze, astrologowie i zaklinacze, przepowiadający przyszłość. Wszędzie, gdzie spojrzał, było coś ciekawego. Wmieszał się w tłum, szeroko otwierając oczy z zachwytu.

Przez chwilę oglądał oszałamiającą kolekcję biżuterii, kolczyków, bransolet i miedzianych pierścionków z kolorowymi oczkami. Na następnym straganie były gliniane garnki i kubki, kiepskiej jakości. O niebo gorsze od tych, jakie robiła jego matka. Powiedział o tym sprzedawcy, krzykliwemu człowieczkowi, który go skłął za szczerłość. Ksander odskoczył, gdy handlarz zamierzył się na niego. Wcale się nie bał. Był bohaterem, który nie uląkł się burzy, więc nie obawiał się garncarza.

Przystanął przy straganie z odzieżą. Leżało tam mnóstwo sandałów, płaszczy i sięgających do połowy uda chitonów z twardego lnu. Zawieszane na kijach lampki oświetlały towar. Ksander sięgnął po mały sandał.

– Powinny pójść za pięć miedzianych pierścieni – powiedziała szczerbata kobieta o okrągłej twarzy. – Jednak dziś chcę być szczodra dla tych, którzy pokonali burzę. Pomyślałam, że może oddam je za cztery pierścienie? Jednak widzę, jak na nie patrzysz, marynarzyku, i topnieje mi serce. Dlatego oddam ci je prawie za darmo. Za jedyne trzy miedziane pierścienie.

– Nie mam miedzianych pierścieni – powiedział.

– Nie masz pierścieni – powtórzyła i nachyliła się do niego. – Jednak jesteś ładnym chłopcem, a ja znam człowieka, który kupi ci te sandały, jeśli będziesz dla niego miły. Chcesz go poznać?

Obok Ksandra wyrosła jakaś ogromna postać.

– Nie, nie chce – rzekł Zidantas. Wziął sandał od chłopca i uważnie obejrzał. – Przyklei mu się do nogi na pierwszym deszczu. Równie dobrze mógł by nosić sandały z gliny.

Kobieta przekleła Zidantasa, który roześmiał się.

– Chodź stąd, Ksandrze. Jeśli potrzebujesz sandałów, to na drugim końcu jest stragan z porządnym towarem. Jednak najpierw coś zjedzmy.

Na straganie z jedzeniem dostali po misce gulaszu z kawałkiem zakalcowatego chleba. Zidantas zaprowadził go na kamienisty odcinek plaży, gdzie usiedli z dala od tłumu. Zjedli w milczeniu. Ksander nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo był głodny. Zjadłszy gulasz i chleb, podbiegł do innego straganu, dostał dwa pierniki i podał jeden Zidantasowi. Olbrzymi Hetyta uśmiechnął się.

– Lubię je, ale bolą mnie po nich zęby. Zjedz oba.

Ksander nie potrzebował dalszej zachęty i pochłonał pierniki, a potem oblizał lepkie palce.

– To cudowne miejsce – powiedział.

Zidantas strzepnął okruchy chleba ze swej rozwidlonej brody.

– Tak, to dobra zatoka, a Gruby Król dobrze żywi marynarzy.

Ksander rozejrzał się i niedaleko zauważył Helikaona, gawędzącego i śmiejącego się z marynarzami z innego statku.

– Złocisty ma wielu przyjaciół – powiedział chłopiec.

– Dobrze mieć przyjaciela w Odyseuszu – odparł Zidantas.

Ksander dostrzegł w tłumie żołnierzy w dziwnych stożkowatych hełmach i skórzanych napierśnikach. Byli uzbrojeni w solidne pałki.

– Czy będą się bić? – zapytał.

– Zazwyczaj w nocy dochodzi do bójek – powiedział mu Zidantas. – To nieuniknione tam, gdzie są mocne napitki, bezwstydne dziewczki i kilkuset marynarzy. Jednak żołnierze szybko ich uspokoją. Rozbiją kilka głów.

– Czy ktoś zginie?

Zidantas wzruszył ramionami.

– Znałem kilku takich, którzy tu zginęli. Mieli kruche czaszki. Jednak przeważnie kończy się na bólu głowy.

Ksander znów spojrział na grupkę skupioną wokół Helikaona.

– Dlaczego dobrze mieć przyjaciela w Odyseuszu? – zapytał.

Zidantas się roześmiał.

– Twoje myśli fruują jak motyle, chłopcze. Powinieneś się przespać. Jutro będzie długi dzień.

– Nie jestem zmęczony, Zidantasie, naprawdę. I nie chcę niczego przegapić.

W pobliżu zobaczył wróżbitę czytającego marynarzowi z ręki i usłyszał, jak przepowiada mu bogactwo.

– Skąd on to wie? – szepnął.

– Nie wie.

– To dlaczego ludzie dają mu miedziane pierścienie?
Zidantas znów się zaśmiał.

– Ponieważ są głupi. Ponieważ chcą w to wierzyć. Ponieważ są marynarzami.

– Ty też jesteś marynarzem – przypomniał Ksander.

– Tak, ale ja jestem starym marynarzem. I można by zbudować pałac za te pierścienie, które dałem ludziom obiecującym, że przepowiedzą mi przyszłość.

– Mogę zadać jeszcze jedno pytanie?

– Jesteś jak statek z ładownią pełną pytań. Mam córeczkę, która jest taka jak ty. Mała Tea. Wciąż się domaga odpowiedzi. Skąd się biorą chmury? Jak dostaje się do nich deszcz? Przepłynąłem morze, żeby uciec przed tymi pytaniami, chłopcze.

– Dlatego wypłynąłeś na morze? Naprawdę?

Zidantas roześmiał się.

– Nie, żartowałem. Tęsknię za moimi dziewczynkami – szczególnie za Teą. Zawsze płacze, kiedy wypływam. Kiedy wrócimy, będzie czekała na brzegu razem z matką. Będzie podskakiwała i machała rączkami, i wbiegała w wodę. – Zachichotał. – Dzieci w każdym wieku dają wiele radości, ale pięciolatki są chyba najśłodsze. No, jakie to pytanie?

– Woda w morzu jest błękitna – powiedział Ksander. – Dlaczego nazywają je Wielką Zielenią?

– Oto pytanie, które zadaje każdy żeglarz, gdy po raz pierwszy wypływa w morze. Ja zadawałem je wielokrotnie i otrzymywałem wiele odpowiedzi. Kiedy Posejdon został bogiem morza, zmienił jego kolor, ponieważ lubi błękit. Inni mówią, że tam, gdzie morze jest głębokie i nie pływają żadne statki, lśni niczym szmaragd. Pewien egipski kupiec powiedział mi kiedyś, że Wielką Zielenią nazywano kiedyś potężną rzekę w ich krainie. Nil. Wylewa co roku, zabierając całą roślinność. Wtedy przybiera zieloną barwę. Powiedział, że pierwsi pływający nią ludzie nazwali ją Wielką Zielenią i ta nazwa przyjęła się dla wszystkich wód na świecie. Naprawdę nie wiem, chłopcze. Jednak podoba mi się ta nazwa. Jest w niej jakiś majestat, nie sądzisz?

– Tak – przyznał Ksander. – To cudowna nazwa.

Nagle uśmiech zgasł na wargach Zidantasa i Ksander spostrzegł, że stary żeglarz przygląda się stojącym w pobliżu sześciu mężczyznom. Stali razem i patrzyli na Helikaona siedzącego z Odyseuszem i jego załogą. Nowo przybyli otaczali wysokiego, barczystego wojownika trochę podobnego do Arguriosa, ze sterczącą brodą i bez wąsów. Tylko że ten człowiek był młodszy, a w świetle księżyca jego broda i włosy wydawały się niemal białe. Ksander zobaczył, że białowłosy wojownik kręci głową i odchodzi ze swoimi ludźmi. Siedzący obok chłopca Zidantas uspokoił się.

– Co to za jedni? – zapytał Ksander.

– Mykeńscy kupcy. No, za takich się podają. To rabusie. Piraci.

Kędzierzawy wioślarz Oniakos podszedł do siedzących. Uśmiechnął się do Ksandra i poczochnął mu włosy, a potem przykucnął obok Zidantasa.

- Jest tu Kolanos – powiedział.
- Wiem. Widzieliśmy go.
- Czy mam posłać paru ludzi na statek, żeby przynieśli oręż?

- Nie. Wątpię, żeby Kolanos chciał wszczynać zwadę w zatoce Grubego Króla.

- Złocisty powinien dziś spać na *Ksantosie* – rzekł Oniakos. – Kolanos może nie szukać otwartej zwady, ale niewykluczone, że spróbuje skrytobójczej napaści. Ostrzegłeś Helikaona?

- Nie trzeba – rzekł Zidantas. – Sam ich zauważy. Będę go strzegł przed zamachowcami. Jednak zachowaj czujność, Oniakosie. I ostrzeż paru krzepkich ludzi. Innym nic nie mów.

Zidantas wstał, przeciągnął się i odszedł. Oniakos uśmiechnął się do zdenerwowanego Ksandra.

- Nie bój się, mały. Zidantas wie, co robi.

- Czy ci ludzie są naszymi wrogami? – zapytał przestraszony chłopiec.

- Tak naprawdę, to są wrogami wszystkich ludzi. Żyją, by grabić. Rabują, kradną i zabijają. Potem opowiadają, jacy to są dzielni i honorowi. Mykeńczycy to dziwny naród.

- Argurios jest Mykeńczykiem i uratował mi życie – rzekł Ksander.

- Jak powiedziałem, chłopcze, to dziwni ludzie. Jednak to był odważny czyn. Nie można zarzucić im braku odwagi. Wszystkiego innego – dobroci, współczucia, litości – tak, ale nie odwagi.

- Przecież odwaga jest ważna – rzekł Ksander. – Wszyscy tak mówią.

- Oczywiście – zgodził się Oniakos. – Jednak są różne jej rodzaje. Mykeńczycy żyją walką i wojenną chwałą. Żal mi ich. Wojna to wróg cywilizacji. Nie ma rozwoju poprzez wojnę, Ksandrze. Ona ściąga nas w bagno, wypełnia nasze serca nienawiścią i myślami o zemście. – Westchnął. – Kluczem jest handel. Każdy naród ma coś do sprzedania i coś, co musi kupić. A handlując, uczymy się od siebie nowych umiejętności. Zaczekaj, aż zobaczysz Troję, wtedy zrozumiesz, co mam na myśli. Kamieniarze z Egiptu pomogli wznieść wielkie mury i wieże oraz posągi przy Bramie Scytyjskiej; cieśle z Frygii i Mizji zbudowali świątynię Hermesa, boga podróżników. Złotnicy z Troi podróżowali do Egiptu i nauczyli tamtejszych jubilerów wyrabiać piękną biżuterię. A rozwojowi handlu towarzyszył rozwój wiedzy. Teraz umiemy wznosić wyższe mury, mocniejsze budynki, kopać głębsze studnie, robić barwniejsze tkaniny. Umiemy nawadniać pola i uzyskiwać obfitsze plony, aby wyżywić głodnych. Wszystko to dzięki handlowi. A wojna? Nie warto o niej mówić, chłopcze.

- Przecież wojna czyni bohaterów – spierał się Ksander. – Herakles i Ormenion byli wojownikami i stali się nieśmiertelni. Ojciec Zeus zmienił ich w gwiazdy na niebie.

Oniakos zmarszczył brwi.

- Herakles w pijackim szale zatłukł żonę na śmierć, a Ormenion złożył w ofierze swoją najmłodszą córkę, żeby Posejdon zapewnił mu pomyślne wiatry, gdy zbrojnie wyprawiał się na Krete.

– Przepraszam, Oniakosie. Nie chciałem cię rozgniewać.

– Jesteś po prostu młody, Ksandrze. I nie gniewam się na ciebie. Mam nadzieję, że nigdy nie zobaczysz, do czego zmusza ludzi wojna. Mam nadzieję, że pokój, który teraz mamy, potrwa całe twoje życie. Ponieważ wtedy będziemy świadkami wielkich rzeczy. Wszędzie wokół Wielkiej Zieleni będą szczęśliwi ludzie, zadowoleni i bezpieczni, wychowujący dzieci. – Znów westchnął. – Jednak nie wtedy, kiedy żeglują po nim tacy mordercy jak Kolanos. Nie pod rządami takich władców jak Agamemnon. I na pewno nie, jeśli młodzi będą podziwiali takich rzeźników jak Herakles czy Ormenion. – Znów spojrzął na tłumek otaczający Helikaona. – Pójdę zamienić kilka słów z chłopcami. Nikomu nic nie mów.

Z tymi słowami Oniakos znowu zmierzwił chłopcu włosy i poszedł porozmawiać z załogą *Ksantosa*.

Ksander westchnął. Już nie chciał być bohaterem. Na plaży byli źli ludzie, mordujący tchórzliwie pod osłoną ciemności. Wstał i poszedł za Oniakosem, po czym usiadł obok kilku członków załogi. Rozmawiali i śmiali się. Patrzył na nich. Byli rośli i krzepcy i w ich towarzystwie czuł się bezpieczniej. Wyciągnął się na piasku i oparł głowę na ramieniu. Zasnął niemal natychmiast.

2.

Gdyby nie dwa lata spędzone na Terze, ognistowłosa Andromacha mogłaby nie wiedzieć, jak nudne może być życie. Rozmyślała o tym, stojąc na balkonie nędznego królewskiego pałacu nad Zatoką Niebieskiej Sowy. Nie pamiętała, żeby nudziła się w dzieciństwie, gdy bawiła się w ogrodach pięknego ojcowskiego pałacu w Tebach pod Plakos lub biegła po łąkach w cieniu wzgórz. Wtedy życie wydawało się wolne od trosk.

Dorosłym nie przystoją takie proste przyjemności, więc musiała tkwić w kobiecej części pałacu, za wysokimi murami, pilnowana przez stare matrony. Z początku burzyła się przeciwko temu, ale powoli poddała się tej leniwej atmosferze i niemal nieziemsko spokojnemu otoczeniu. Jej trzy siostry z czasem dołączyły do niej. Ładniejsze od niej, były przedstawiane ewentualnym zalotnikom, aby kiedyś stać się cielnymi krowami władców okolicznych królestw – jak towar wymieniany za paktów lub sojusze. Natomiast wysoką i nieprzystępną Andromachę, przenikliwym spojrzeniem zielonych oczu – onieśmielających, zdaniem jej ojca – gaszącą każdą iskierkę w sercu zalotnika, oddano na innego rodzaju służbę. Przed dwoma laty, po jej osiemnastych urodzinach, ojciec wysłał ją na Terę, aby została kapłanką.

Nie uczynił tego z dobroci serca. Świątynia potrzebowała dziewic królewskiej krwi do odprawiania wymaganych rytuałów i królowie otrzymywali dary w złocie za córki, które przysyłali tu na służbę. Andromacha została sprzedana za dwa talenty srebra. Nie tyle, ile ojciec dostał za dwie córki wydane za członków hetyckiej rodziny królewskiej, i znacznie mniej od sumy obiecanej za najmłodszą siostrę, złotowłosa Palestę, po jej ślubie z trojańskim herosem Hektorem.

Mimo to ojciec był zadowolony, że ta pospolitej urody dziewczyna

o zielonych oczach przydała się na coś. Andromacha dobrze pamiętała ten wieczór, kiedy wyjawiał, co ją czeka. Wezwał ją na swe królewskie pokoje i siedzieli razem na złoconej sofie. Ojciec przez cały ten dzień był na polowaniu, więc śmierdział końskim potem i miał na rękach zaschniętą krew. Nie był atrakcyjnym mężczyzną – nawet wykąpany i odziany w najlepsze szaty bardziej wyglądał na pasterza kóz niż na króla. Ubranie miał poplamione, cofnięty podbródek nie ogolony, a oczy przekrwione ze zmęczenia.

– Udasz się na Terę i zostaniesz kapłanką Minotaura – oznajmił. – Wiem, że to ciężka praca, ale jesteś silną dziewczyną. – Siedziała i nie odzywała się, patrząc na tego brzydkiego mężczyznę. Jej milczenie go rozzłościło. – Tylko siebie możesz o to winić. Wielu mężczyzn lubi kobiety o pospolitej urodzie. Ty jednak nawet nie próbowałaś przypodobać się żadnemu z zalotników, których ci znalazłem. Ani jednego uśmiechu czy słowa zachęty.

– Znajdowałaś samych nudziarzy – powiedziała.

– Z dobrych rodzin.

– No cóż, ojcie, niewątpliwie i tak się wzbogacisz, sprzedając moje siostry.

– Właśnie w tym rzecz! – wybuchnął Ektion. – W twoich ustach wszystko brzmi tak okropnie. Twoje siostry będą cieszyć się dziećmi i bogactwem mężów. Mała Palesta już jest zaręczona z Hektorem. Zamieszka w złotej Troi i poślubi ich największego herosa. On będzie ją uwielbiał, a ona będzie szczęśliwa.

– Co, oczywiście, było twoją największą troską, ojcie – powiedziała łagodnie.

Przeszył ją wzrokiem.

– Co będę robiła na Terze? – zapytała.

– Co? Nie wiem, co te kobiety tam robią. Uspokajają rozniewanego boga. Składają ofiary. Może śpiewają. Nie ma tam mężczyzn.

W tym ostatnim zdaniu usłyszała zjadliwą nutę.

– No, bogom niech będą dzięki – powiedziała. – Czekam na to z niecierpliwością.

Wcale tak nie myślała, ale cieszył ją gniewny błysk w oczach ojca.

Andromacha z ciężkim sercem zeszła na ląd z kupieckiego statku, który zakotwiczył w owalnej zatoce Tery. Miała wieść nudne życie na wygnaniu.

Jednak nie mogła bardziej się pomylić. Z biegiem dni jej życie stało o wiele bardziej urozmaicone. Nauczyła się strzelać z łuku, jeździć na półdzikich kucach, tańczyć na cześć Artemis, pić wino i radować się. Krótko mówiąc, być sobą i nie obawiać się narzekań lub napomnień. Wolne od ograniczeń zdominowanego przez mężczyzn społeczeństwa, kobiety na Terze cieszyły się swobodą. Każdy dzień niósł nowe rozrywki, biegi lub strzelanie z łuku. Były poszukiwania skarbów lub zawody pływackie, a wieczorami dyskusje o poezji lub snucie opowieści. Co kilka tygodni odbywała się uczta na cześć jednego z wielu bogów, podczas której kobiety piły mocne wino, śpiewały, tańczyły i kochały się.

Kapłanki z Tery opiekowały się również świątynią konia, w której odprawiały ceremonie składania ofiar straszliwemu Minotaurowi, mające uspokoić jego zbląkaną duszę. Była to niezwykle ważna praca. Dwieście lat wcześniej zerwał swoje łańcuchy i z ziemi trysnęła lava. Wierzchołek góry eksplodował i Apollo, bóg słońca, był tym tak przygnębiony, że świat na trzy dni pograżył się w ciemnościach. Również Posejdon, rozgniewany na Kreteńczyków, którzy mieli udobruchać Minotaura, spiętrzył olbrzymią falę na Wielkiej Zieleni, niszcząc sady oliwne i winnice Krety, nasączając glebę solą, która nie pozwalała wzrastać nowym roślinom. W owym czasie Kreta była potęgą, lecz ten straszliwy pokaz boskiej mocy upokorzył Kreteńczyków.

Teraz dwieście kapłanek pilnowało Minotaura – chociaż ten i tak czasem szarpał łańcuchy, aż trzęsła się ziemia. Pewnego razu zachodnia ściana dużej sali biesiadnej pękła, niszcząc piękny fresk.

Pomimo tych sporadycznych niepokojów Andromacha cieszyła się tymi dwoma latami wolności. Potem pewnego dnia w środku lata przyszła okropna wieść. Jej siostra Palesta – najśłodsza z dziewcząt, której uśmiech sprawiał, że topniały najzimniejsze serca – przeziębila się i złapała zapalenie płuc. Umarła po kilku dniach. Andromacha nie mogła w to uwierzyć. Ze wszystkich jej siostr Palesta była najsilniejsza i najbardziej energiczna. Była zaręczona z trojańskim księciem, Hektorem, którego miała poślubić na jesieni, żeby przypieczętować przymierze między Tebami a Troją. Łaskawie – jak napisał ojciec – król Troi Priam zgodził się, żeby Andromacha zastąpiła Palestę i poślubiła Hektora.

Tak więc mając dwadzieścia lat i pogodzona z myślą, że do końca życia zostanie niezamężna, Andromacha musiała opuścić Terę i swoje ukochane towarzyski, aby popłynąć do Troi i poślubić człowieka, którego nigdy nie widziała na oczy.

Nie będzie już jeździć na oklep po wzgórzach Tery ani tańczyć i śpiewać podczas dionizjów. Nie będzie już przyciągać cięciwy do policzka i patrzeć na lecącą prosto do celu strzałę ani pływać nago nocą w wodach zatoki. Nie poczuje już namiętnego uścisku Kaliope ani smaku wina na wargach kochanki.

Andromacha poczuła wzbierający gniew i powitała go z zadowoleniem, gdyż pozwalał zapomnieć o nudzie. W Troi będzie zarodową krową i legnie z rozłożonymi nogami na szerokim łożu, żeby przyjąć nasienie sapiącego, spoconego mężczyzny. Potem spasiona jak świnia będzie wrzeszczeć, gdy niemowlę wyjdzie z jej brzucha. I dlaczego? Żeby jej ojciec mógł zaspokoić swoją chciwość.

Nie, pomyślała, nie tylko chciwość. W tych pełnych przemocy, niepewnych czasach naród potrzebuje sprzymierzeńców. Egipcjowie faraonowie nieustannie toczyli wojny z Hetytami, a Mykeńczycy napadali na wszystkich, jeśli tylko wyczuli jakąkolwiek oznakę słabości. Jej ojciec był chciwy, lecz bez traktatów i sojuszy jego ziemie szybko zagarnęłyby któreś z silnych królestw. Małe Teby pod Plakos będą bezpieczniejsze pod ochroną Troi i jej legendarnej konnicy.

Spojrzała na plażę, zobaczyła pałace się ogniska i usłyszała przynoszone przez wieczorną bryzę ciche dźwięki muzyki. Tam była

wolność, jakiej ona nigdy nie zazna. Zwyczajni ludzie, którzy wiodąc zwyczajne życie, śmieją się, żartują, kochają.

Przyszła jej do głowy nowa myśl. Cudowna i kusząca. Wkrótce przyplynie tu statek, który zabierze ją do Troi. Do tego czasu wciąż będzie – jeśli tylko zachowa ostrożność – wolna. Przeszła przez swoją niewielką komnatę, wzięła ciemnozielony wełniany płaszcz z kapturem i zarzuciła go na ramiona. Pasował do jej haftowanej złotą nicią, oliwkowozielonej sukni. Związawszy włosy w kucyk kawałkiem rzemyka, wyszła z pokoju i poszła pustym korytarzem, a potem schodami do otoczonego murem ogrodu. Przy bramie stał strażnik. Na jej widok skłonił się i otworzył bramę.

Przybrzeżne urwiska owiewał łagodny wietrzyk. Andromacha dotarła do głównej bramy i stromej drogi wiodącej na brzeg. Zobaczyli ją dwaj następni strażnicy. Nie znali jej i nie skłonili się, tylko rozstąpili się przed nią, gdy wychodziła na drogę.

Jakie to było łatwe, pomyślała. Jednak komu przysłoby do głowy, że królewska córka i kapłanka z Tery zechce porzucić bezpieczne mury pałacu i wejść między twarde i gwałtowne ludzi morza.

To była trzeźwiąca myśl. Nie miała eskorty ani żadnej broni. Jednak myśl o niebezpieczeństwie nie powstrzymała jej. Tylko trochę przyspieszyła bicie jej serca.

W miarę jak się zbliżała do plaży, muzyka stawała się coraz głośniejsza. Andromacha zobaczyła mężczyzn i kobiety w pijackich płasach. Pary spółkowały w krzakach. Przyjrzała się najbliższej z nich. Mężczyzna miarowo poruszał pośladkami i dostrzegła grubego trzon jego penisa wbijający się w dziewczynę, którą posiadał. Andromacha popatrzyła na nią. Ich spojrzenia spotkały się. Dziewczyna uśmiechnęła się i uniosła brwi. Potem mrugnęła do Andromachy, która odpowiedziała jej uśmiechem i poszła dalej.

Przechodząc między zapchanymi straganami, zauważyła, że leżą na nich głównie tanie i tandetne wyroby. Podszedł do niej jakiś mężczyzna, podnosząc chiton i pokazując swoją męskość.

– Ile za przejażdżkę, dziewczyno? – zapytał.

Andromacha uważnie obejrzała sztywniejący penis, po czym przeniosła spojrzenie zielonych oczu na twarz mężczyzny.

– Kiedy ostatni raz widziałam coś tak małego, wypełzało z dziury w jabłku – powiedziała.

Dwie stojące w pobliżu kobiety parsknęły śmiechem.

– A teraz jest jeszcze mniejszy! – zawołała jedna z nich.

Andromacha poszła dalej, przeciskając się przez tłum. Nieco dalej wokół mężczyzny stojącego przy pustym straganie zebrał się tłum. Kiedy podniósł ręce w górę, rozległy się głośnie owacje.

– Chcecie usłyszeć prawdziwą opowieść?! – ryknął.

– Nie, chcemy usłyszeć jedną z twoich! – wrzasnął ktoś w tłumie.

Mężczyzna ryknął śmiechem.

– Zatem opowiem wam o straszliwym potworze, który miał tylko jedne oko. Był wysoki na dziesięciu chłopa, a zęby miał długie i ostre jak miecze.

Tłum ucichł.

3.

Helikaon lubił występy Odyseusza. Ten nie tylko snuł barwne opowieści, ale również je odgrywał. Tak jak teraz, gdy czterej mężczyźni podnieśli drewniany stragan i poruszali nim, udając, że to rozkołysany pokład. Balansując na nim, Odyseusz gromkim głosem opowiadał o silnej burzy, która zagnała *Penelope* do zaczarowanej wyspy. Kilku członków załogi *Penelopy* zaczęło bić w bębny, oddając tym huk gromów, a inni gwizdali, naśladując wycie wiatru. Helikaon jeszcze nie słyszał tej opowieści, więc usiadł, żeby się nią nacieszyć. Odyseusz nagle zeskoczył ze straganu.

– Znaleźliśmy się na dziwnej plaży – rzekł – otoczonej najniezwyklejszymi drzewami, jakie w życiu widziałem, karłowatymi i poskręcanyimi. Kiedy już sądziliśmy, że jesteśmy bezpieczni, usłyszeliśmy przerażający głos.

Za plecami zebranych sześciu marynarzy z *Penelopy* zawołało chórem: „Czuję krew! Czuję krew!” Tłumem wstrząsnął dreszczyk lekkiego strachu. Okrzyk został idealnie zgrany w czasie z narracją.

– Był to ogromny stwór z jednym okiem pośrodku głowy. Miał długie i ostre zęby. Wybiegł spomiędzy drzew i chwycił jednego z moich ludzi w pasie, podniósł go w górę. A potem rozszarpał tymi straszliwymi zębiskami.

W tym momencie Helikaon zauważył, że kilku członków załogi Kolanosa przeciska się przez tłum i zbliża do niego. Powiódł wzrokiem wokół i zobaczył Zidantasa, Oniakosa i kilku marynarzy z *Ksantosa*. Oni również podchodzili do niego, mając na oku Mykeńczyków.

Odyseusz donośnym głosem opowiadał o swojej przygodzie z cyklopami. Twarz miał błyszcząca, a brodę moką od potu. Słuchacze byli urzeczeni, a występ – jak zwykle – hałaśliwy, zabawny i ujmujący.

Helikaon rozejrzył się. W pobliżu nie było żadnych żołnierzy Grubego Króla. Mykeńczycy byli pozornie nie uzbrojeni, ale jeden z nich miał na sobie skórzany kubrak, pod którym mógł ukrywać nóż. Być może Mykeńczycy nie szykowali niczego. Gruby Król był bezlitosny wobec wszystkich, którzy łamali jego prawa. Większość bogactwa zawdzięczał statkom kotwiczącym w jego zatokach, a głównym powodem ich obecności w jego portach była gwarancja nietykalności dla załóg i ładunków.

Mimo to rozsądek nakazywał ostrożność. Helikaon wmieszał się w tłum, po czym skręcił w lewo, zamierzając obejść zebranych i dołączyć do Zidantasa.

Nagle zobaczył tę kobietę.

Stała na uboczu, ubrana w długi zielony płaszcz i haftowaną suknię. W blasku ognisk i księżyca trudno było poznać kolor jej włosów, ale były długie, falujące i ściągnięte z tyłu głowy. A ta twarz! Wyglądała jak bogini. Nie urodziwa, lecz porażająco piękna. Helikaonowi nagle zaschło w ustach. Nie mógł przestać na nią patrzeć. Zauważyła go i poczuł siłę jej spojrzenia. Było spokojne, ale dziwnie śmiałe. Przełknął ślinę i zrobił krok w jej kierunku. W tym momencie dostrzegł zmianę wyrazu jej twarzy, gdy nagle zobaczyła coś za jego plecami. Helikaon błyskawicznie się odwrócił. Mężczyzna w skórzanym kaftanie był tuż za

nim, z nożem w dłoni. Zabójca rzucił się do ataku. Uchyliwszy się przed pchnięciem, Helikaon złapał przegub napastnika, przyciągnął go do siebie i uderzył bykiem w nos. Ogłuszony zabójca zatoczył się w tył, brocząc krwią z nozdrzy. Helikaon nie puścił go i uderzył jeszcze raz. Pod zabójcą ugięły się kolana i upadł na piasek, wypuszczając nóż. Helikaon podniósł sztylet, wbił go w gardło opryszka i wyrwał. Trysnęła krew.

Ponieważ Odyseusz nadal snuł swoją opowieść, nikt w tłumie nie zauważył tej krótkiej potyczki. Ciało leżało na ziemi, tryskając krwią, tłoczona coraz wolniej przez serce konającego. Helikaon wstał i rozejrzał się za następnymi napastnikami, ale z tłumu wyłonił się tylko Zidantas.

– Przepraszam – rzekł ze zgnębioną miną. – Powinienem być przy tobie. Sprytnie to rozegrali. Obserwowaliśmy niewłaściwych ludzi.

Helikaon stał w milczeniu, patrząc na trupa. Zabójca był młody, o kręconych i ciemnych włosach. Gdzieś tam zostawił żonę, kochankę, rodziców, którzy go wychowali. Bawił się z innymi dziećmi i marzył o świetlanej przyszłości. Teraz leżał tu na piasku, martwy. Ta myśl przygnębiła Helikaona.

– Nic ci nie jest? – zapytał Zidantas.

Helikaon ponownie odwrócił się i spojrzał w kierunku miejsca, gdzie stała ta kobieta. Już jej nie było. Zadrżał. Wtedy poczuł ten znajomy ból, jaki zawsze dokuczał mu po walce: pulsujący i rozchodzący się od karku aż po czubek głowy. Uświadomił sobie, że Wół przygląda mu się z zatroskaną miną.

– Nic mi nie jest, Wole.

Zidantas nie wyglądał na przekonanego. Oniakos przepchnął się przez tłum i dołączył do nich.

– Mykeńczycy wrócili na swoje statki – rzekł. Potem spostrzegł zabitego i zaklął. – Przepraszam, panie, powinienem być tutaj. Zwiedli nas...

– Już to wyjaśniałem – warknął Zidantas. – Mimo wszystko nic się nie stało. Jednego Mykeńczyka mniej na świecie. Krótko mówiąc, udana noc.

Wybuchła radosna wrzawa, gdy Odyseusz zakończył swoją opowieść. Oniakos zaklął.

– Nie usłyszałem zakończenia – narzekał.

– On też nie – rzekł Helikaon, wskazując na trupa. – Zabierajmy się stąd.

Rzuciwszy sztylet obok ciała, poszedł z powrotem do obozowego ogniska załogi *Ksantosa*. Za ich plecami ktoś krzyknął i wokół zabitego zebrał się tłum. Helikaon wziął dzban z wodą i napił się. Potem polał sobie wodą dłonie, zmywając z nich krew. W blasku ogniska zauważył, że chiton też ma zakrwawiony.

Odyseusz przyszedł do ogniska. W rękę trzymał lnianą szmatę i ocierał pot z twarzy. Usiadł obok Helikaona.

– Robię się za stary na takie atletyczne pokazy – rzekł. – Będę musiał powiedzieć kilka mocnych słów tym kozim synom, którzy trzymali stragan.

Niech mnie licho, jeśli nie próbowali mnie zrzucić.

Wyglądał na zmęczonego. Helikaon objął ramiona starszego mężczyzny.

– Cały świat pograży się w smutku, jeśli kiedyś przestaniesz snuć swoje opowieści.

– Tak, dziś wieczór miałem dobrych słuchaczy. Zazwyczaj opowiadając tę historię, mówiłem o dwóch cyklopach. Dziwne, że jeden robi większe wrażenie. Jest bardziej... bardziej przerażający, a zarazem nieco żaloszny. – Nachylił się do Helikaona. – Rozumiem, że ten zabity był z załogi Kolanosa?

– Tak.

– Nigdy nie lubiłem Kolanosa. Kiedyś siedziałem obok niego przy biesiadnym stole. Nie słyszałem, żeby choć raz pierdnął. Nie można ufać człowiekowi, który nie pierdzi podczas uczy. – Helikaon parsknął śmiechem. – Jednak nie lekceważ go, chłopcze – dodał Odyseusz. – To bardzo zły człowiek. W Mykenach nadali mu przydomek Łamacz Dusz.

– Będę się strzegł, przyjacielu. Powiedz mi, czy w czasie występu zauważyłeś może wysoką kobietę w zielonym płaszczu? Wyglądającą jak bogini?

– Prawdę mówiąc, zauważyłem. Stała na prawo ode mnie. Dlaczego? Okradła cię?

– Chyba tak. Skradła mi rozum.

Odyseusz nachylił się, wziął dzban z wodą i pociągnął tęgi łyk. Potem odstawił naczynie i głośno beknął.

– Mężczyzna powinien ostrożnie wybierać sobie kobiety. Albo iść za przykładem Egipcjan i mieć ich tuzin lub dwa. Wtedy jedna czy dwie paskudne nie będą się rzucały w oczy.

– Myślę, że Penelopę zainteresowałby twój pogład na tę sprawę.

Odyseusz zachichotał.

– Tak, z pewnością. Zdzieliłaby mnie w łeb. Jednak ja miałem szczęście, chłopcze. Nie ma na tej ziemi kobiety lepszej od mojej Penelopy. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym dzielić życie z inną. Może znajdziesz taką towarzyszkę w Kreuzie.

Helikaon spojrzał na przyjaciela.

– No nie, ty też? Czy nie ma nikogo, kto nie słyszałby o zamiarach Priama?

– Słyszałem, że odmówiłeś. I że Priam nie jest z tego zadowolony.

– Jego niezadowolenie nic mnie nie obchodzi. A co do Kreuzy... Pamiętam, jak usiłowałeś powiedzieć o niej jakieś dobre słowo. Co w końcu powiedziałeś? Ach tak: „Ona ma ładny głos”.

– Bo ma – rzekł z szerokim uśmiechem Odyseusz. – A ponadto miło na nią spojrzeć. Nawet bardzo miło. I nie jest słaba. Jednak cię rozumiem. Nie jest to kobieta, do której spieszyłbym się tak, żeby ryzykować żeglowanie w czasie burzy. No cóż, mógłbyś ją poślubić, a potem wybudować sobie kilka pałaców wokół Wielkiej Zieleni i w każdym umieścić konkubiny. Powiadają, że najlepsze są Egipcjanki. Możesz sobie zbudować wielki pałac. Siła robocza jest tania. Mówiono mi, że można kupować niewolników na pęczki.

Helikaon potrząsnął głową.

– Nie chcę mieć więcej pałaców, Odyseuszu. – Potarł oczy, czując

nasilający się ból głowy.

– Szkoda, że Fedra nie jest córką króla – ciągnął Odyseusz. – To kobieta, która potrafi ucieszyć serce każdego mężczyzny.

– Ma wiele zalet.

– Jednak nie jesteś w niej zakochany?

Helikaon wzruszył ramionami.

– Nie jestem naprawdę pewien, co to oznacza, przyjacielu. Po czym się to poznaje?

Odyseusz okrył sobie ramiona ręcznikiem i wyprostował się.

– Pamiętasz, jak ćwiczyłeś szermierkę drewnianym mieczem? Wszystkie wypady, zastawy, riposty, prawidłową pracę nóg, utrzymywanie równowagi?

– Oczywiście. Byłeś wymagającym mistrzem.

– I pamiętasz swoją pierwszą prawdziwą walkę, gdy przelano krew, a w powietrzu unosił się strach?

– Tak.

– Wykonujesz takie same ruchy, lecz różnica jest większa niż morze. Tak właśnie jest z miłością, Helikaonie. Możesz spędzać czas z dziewczyną, śmiać się i zaznać ogromnej rozkoszy. Jednak kiedy trafi cię strzała Amora – ach, różnica jest ogromna. Znajdziesz więcej radości w dotyku dłoni czy w uśmiechu, niż kiedykolwiek mógłbyś zaznać w ciągu stu namiętnych nocy z inną. Niebo będzie bardziej niebieskie, a słońce jaśniejsze. Ach, dziś wieczór brak mi Penelopy.

– Sezon już prawie się skończył i na zimę wrócisz do domu.

– Tak, czekam na to niecierpliwie.

Odyseusz ponownie podniósł dzban i napił się wody.

– Diomedes prosił, żeby ci o nim przypomnieć – powiedział Helikaon. – Ma nadzieję, że pozwolisz mu żeglować z tobą, kiedy będzie starszy.

Odyseusz zaśmiał się.

– To dobry, dzielny młodec. Ile ma teraz lat?

– Wkrótce skończy dwanaście i nie jest już taki mały. Wyrósł na dobrego króla, jeśli bogowie pozwolą. Bałem się, że będzie taki jak mój ojciec, zimny i nieczuły. Na szczęście ma charakter po matce.

– Zdziwiłeś mnie tamtego dnia, Helikaonie – rzekł Odyseusz. – Jednak to była przyjemna niespodzianka, przynosząca ci zaszczyt.

Zanim Helikaon zdążył odpowiedzieć, przy ognisku pojawiło się kilku żołnierzy w stożkowatych hełmach i napierśnikach z brązu. Pierwszy nisko się skłonił.

– Panie Helikaonie, król prosi, abys do niego dołączył.

Helikaon wstał.

– Przekaż mu, że jego zaproszenie to dla mnie zaszczyt. Przyjdę niezwłocznie, tylko najpierw wrócę na mój statek i przebiorę się w strój odpowiedni na wizytę w królewskim pałacu.

Żołnierze ponownie się skłonili i odeszli. Odyseusz podniósł się z ziemi.

– Weź ze sobą Arguriosa i jego towarzysza – powiedział. – Jestem pewien, że zechcą spotkać się z królem.

– Nie mam ochoty na towarzystwo Mykeńczyków, Odyseuszu.

- Zatem zrób to dla swojego starego mentora.
- Helikaon westchnął.
- Dla ciebie zszedłbym do Hadesu. Bardzo dobrze. Spędzę ten wieczór, dając im się zanudzać. Jednak zrób coś dla mnie, dobrze?
- Oczywiście, chłopcze.
- Postaraj się odnaleźć tę boginię. Chciałbym się z nią spotkać.
- To zapewne jakaś likijska dziwka, od której coś złapiesz.
- Mimo to znajdź ją. Powinienem wrócić przed świtem.
- Dobrze. Będę się świetnie bawił, czekając w kolejce, żeby z nią porozmawiać, podczas gdy ona będzie się gziła z moimi marynarzami.

IX. PRZEPOWIEDNIA ANDROMACHY

1.

Odyseusz patrzył, jak Helikaon odchodzi na *Ksantosa*. Olbrzymi Zidantas poszedł razem z nim, czujnie wypatrując następnych mykeńskich zabójców. Helikaon chwycił zwisającą linę i wspiał się po niej na statek.

Tej nocy znów dojdzie do rozlewu krwi, pomyślał Odyseusz.

Na myśl o tym, że Helikaon może zginąć, przeszedł go dreszcz. Podczas dwóch lat jego pływania na *Penelopie* pokochał tego chłopca jak syna. Pierwsze tygodnie były bardzo trudne. Odyseusz nie miał nic przeciwko zabijaniu dla zysku. W swoim czasie też był piratem i rabusiem. Jednak myśl o zamordowaniu młodego księcia była dla niego odrażająca. Spoglądał na chłopca coraz bardziej ojcowskim okiem, ciesząc się jego nowo odkrytą wolnością i z dumą widząc, jak młodzik pokonuje swoje wcześniejsze obawy. Dzień po dniu stawiał im czoło. Z twarzą szarą z niemal namacalnego strachu, wspinając się na maszt przy silnym wietrze, żeby pomóc postawić żagiel, czy dzielnie stając z mieczem w dłoni, gdy piracki okręt podpłynął do nich i napastnicy z przeraźliwym wrzaskiem zaczęli przeskakiwać na pokład. I rzucając się w wir walki, chociaż instynkt nakazywał mu uciec i schować się pod pokładem. Serca załogi podbił głównie wiosłowaniem. Skóra na rękach Helikaona była miękka i ilekroć przychodziła jego kolej chwycić za wiosło, ocierał sobie dłonie do krwi. Jednak nigdy nie narzekał, tylko bandażował sobie rany i wiosłował dalej. Odyseusz był pewien, że ojciec chłopca porzuciłby wszelkie myśli o morderstwie, gdyby zobaczył, jakim dzielnym młodzieńcem staje się jego syn.

Dopóki na pokład *Penelopy* nie wszedł zabójca Karpoforus.

Teraz zabójców było wielu. Odyseusz ponownie spojrzął na przybrzeżne urwisko. Może powinien jaśniej wypowiedzieć ostrzeżenie? Może powinien wspomnieć o cenie, jaką Agamemnon wyznaczył za głowę Helikaona?

Nie. Odyseusz nie miał wrogów, co było rzadkością w tych ciężkich i krwawych czasach. Nigdy otwarcie nie opowiadał się po niczyjej stronie – pozostawał neutralny i dlatego mile przyjmowano go w każdym porcie. Nie zawsze było to łatwe. Kiedy Alektruon powiedział mu, że poluje na Złocistego, Odyseusz miał ochotę ostrzec młodzieńca. Jednak nie zrobił tego. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło. Alektruon nie żył, co nie było żadną stratą dla świata, a Odyseusz wygrał wspaniałą błękitny płaszcz na turnieju z okazji jego pogrzebu, pokonując Merionesa w strzelaniu z łuku. Teraz jednak martwy Helikaon był wart dwa razy tyle w złocie, ile waży dorosły człowiek. Niektórzy królowie sprzedaliby go za znacznie mniejszą sumę.

Po pewnym czasie ujrzał, że Helikaon schodzi z wielkiego statku. Młodzieniec miał na sobie granatowy chiton sięgający kolan, a u pasa krótki miecz. Towarzyszący mu Zidantas niósł wielką maczugę. Odyseusz uśmiechnął się. Ach, więc jednak zrozumiał, pomyślał z ulgą.

Helikaon i Zidantas poszli do ogniska rozpalonego przez marynarzy z *Ksantosa*, gdzie siedzieli Argurios i Glaukos. Odyseusz zobaczył, że dwaj Mykeńczycy wstali i poszli z Helikaonem. Obaj mieli zbroje i miecze u boku.

W polu widzenia Odyseusza pojawił się jakiś złotowłosy młodzieniec. Śliczna dziewczyna trzymała go za rękę i uśmiechała się do niego. On nagle objął ją w tali i przyciągnął do siebie. Ona ze śmiechem odchyliła głowę do tyłu, przyjmując pocałunek. Odyseusz uśmiechnął się.

W dzieciństwie marzył, żeby być przystojnym i zręcznym jak ten chłopak, żeby jego uroda była obiektem zazdrości innych mężczyzn i westchnień spoglądających nań kobiet. Był jednak niski, krępy i nazbyt owłosiony. Rudawe kłaki rosły mu teraz nawet na ramionach.

Nie, bogowie w swej nieskończonej mądrości zdecydowali, że Odyseusz będzie brzydki. Doszedł do wniosku, że bardzo musieli się natrudzić, obmyślając i realizując ten plan, ponieważ powiódł im się znakomicie. Ręce miał za długie, palce zbyt powykręcane, a nogi krzywe jak tesalski ujeżdżacz koni. Nawet zęby miał krzywe. A Penelopa pewnego razu wytknęła mu ze śmiechem, że jedno ucho ma większe od drugiego. Stworzywszy tak niedoskonałego człowieka, przynajmniej jeden z bogów ulitował się nad nim. Obdarzył go gawędziarskim talentem. Odyseusz umiał snuć oszłamiająco skomplikowane opowieści i wyczuwać nastroje słuchaczy równie dobrze, jeśli nie lepiej, jak subtelne zmiany kupieckiego rynku. Gdziekolwiek przybił jego statek, zbierał się tłum, który siedział i czekał, aż on zechce coś opowiedzieć. Czasem mówił, że jest zmęczony, albo twierdził, że i tak znają już wszystkie jego opowieści. Wtedy tłum krzyczał i błagał. W końcu Odyseusz z westchnieniem zaczął opowiadać.

W jego opowieściach była magia. Odyseusz zdawał sobie z tego sprawę, chociaż nie miał pojęcia, na czym polega ich czar. Były zmyślane, a jednak zawierały szczyptę prawdy. Jego zastępca, Bias, chodził dumny jak paw, kiedy Odyseusz powiedział słuchaczom, że to on rzucił oszczepem, który złamał skrzydło demonowi ścigającemu ich statek. Potem Bias każdą wolną chwilę na łodzi spędzał na doskonaleniu tej umiejętności. Stał się tak zręcznym oszczepnikiem, że na turnieju po śmierci Alektruona wygrał niewolnicę.

Zeszłego lata, kiedy *Penelope* zaatakowali piraci, jej marynarze walczyli jak herosi, usiłując sprostać reputacji, jaką zawdzięczali opowieściom Odyseusza. A po zwycięstwie zebrali się wokół niego, chwając się swoją odwagą i prosząc, aby podczas najbliższego występu opowiedział o tej ostatniej przygodzie.

Jednak magia tego, co Odyseusz zwał złotoustym kłamstwem, najlepiej podziałała na Helikaona. Dołączył do załogi *Penelopy* jako bojaźliwy młodzian. Tymczasem marynarze traktowali go jak młodego bohatera, który skoczył ze skały na pomoc ich kapitanowi. Uwielbiali go i spodziewali się po nim wielkich czynów. A on dokonywał ich, spełniając powszechnie oczekiwania. Fikcja stała się prawdą. Pozorna odwaga zmieniła się w bohaterstwo. Helikaon, maskotka załogi, stał się Helikaonem poszukiwaczem przygód. Bojaźliwy chłopiec zmienił się w

nieustraszonego mężczyznę.

Odyseusz wyciągnął się na piasku, patrząc w gwiazdy. Wartość darów, jakie otrzymywał za opowiadania, zaczęła przewyższać zyski z handlu na Wielkiej Zieleni. Zeszłego roku, na dworze Agamemnona, w Sali Lwa opowiedział wspaniałą historię o tajemniczej wyspie rządzonej przez królową-czarodziejkę, która przemieniała mężczyzn w świnie. Ciągnął tę opowieść przez cały wieczór i żaden ze słuchaczy nie opuścił sali. Potem Agamemnon dał mu dwa złote puchary inkrustowane szmaragdami i rubinami. Tego samego wieczoru Agamemnon zakłuł pijanego mykeńskiego szlachcica, który wątpił w prawdziwość jego słów.

Przedziwne, rozmyślał Odyseusz, że człowiekowi opowiadającemu kłamstwa płaci się złotem i klejnotami, a mówiącemu prawdę wbija się sztylet w oko.

Po każdym występie nie mógł zasnąć, chociaż zmęczenie ciążyło mu niczym ołowiany płaszcz. Obrócił się na bok i usiadł. Po chwili zszedł nad wodę i przykucnął, żeby narysować twarz na mokrym piasku. Jak zwykle próbował uchwycić piękno swojej żony, Penelopy. I jak zawsze bez powodzenia. Klingą sztyletu uformował rysy, długi i prosty nos oraz pełne wargi, a potem sztychem nakreślił włosy. Nagle obok wygrzebał się długi czarny robak. Odyseusz odskoczył. Krocionóg przemknął po piasku i ponownie się w nim zagrzebał.

Odyseusz zaśmiał się z siebie. Przestraszył się takiego nieszkodliwego stworzenia.

Nagle w myślach zaczął układać historię. Kobieta z wężami zamiast włosów, mieszkająca na tajemniczej wyspie spowitej mgłą. *Penelopa* przybiłaby do tej wyspy w poszukiwaniu słodkiej wody. Jeden z marynarzy by zaginał. Inni poszliby go szukać. Znaleźliby tylko kości...

Nie! – pomyślał. Używałem tego chwytu zbyt często. Odkryli, że... że zamienił się w posąg. Spojrzał w twarz kobiecie z wężami zamiast włosów i jego ciało zmieniło się w głaz. Odyseusz uśmiechnął się.

Spojrzał na stromo pnący się szlak.

– Powodzenia, chłopcze! – szepnął.

2.

Kiedy zaczęła się bójka, Andromacha pospiesznie się odwróciła i weszła między opuszczone stragany. Znalazłszy się tam, obejrzała się za siebie i zobaczyła, że jeden z mężczyzn nie żyje, a drugi stoi nad nim z zakrwawionym sztyletem w ręku. Była wstrząśnięta, chociaż nie aż tak, jak mogłaby być, gdyby wcześniej nie widziała, jak umierają ludzie. Jej ojciec miał zwyczaj osobiście zabijać przestępców, których przyprowadzano na pałacowy dziedziniec i zmuszano, by przed nim ukłękli. Potem próbował na nich rozmaity oręż ze swojej zbrojowni. Jego ulubionym był topór. Ojciec chełpił się, że potrafi ściąć człowiekowi głowę jednym uderzeniem. Zmuszana do oglądania tego Andromacha nigdy nie widziała, żeby mu się to udało. Zwykle potrzebne były dwa uderzenia. Jako dziecko zastanawiała się, dlaczego ludzie wleczeni na miejsce kaźni nigdy się nie opierali. Jedni błagali, inni płakali, ale nie przypominała sobie, żeby któryś próbował uciec.

Przynajmniej to, co widziała tu przed chwilą, było wyrównaną

walką. Zabójca usiłował popełnić morderstwo i zginął. Andromacha zadrżała. W pierwszej chwili ten mężczyzna o długich włosach bardziej wyglądał jej na poetę niż wojownika. Wciąż widziała jego oczy. Były jasnoniebieskie i piękne. Tymczasem okazał się równie krwiożerczy jak mykeński pirat. Nie próbował obezwładnić napastnika, lecz pozbawił go życia. Tylko te oczy...

Myśl o czymś innym, ty głupia dziewucho, skarciła się w duchu.

Poszła między straganami. Warknął na nią jakiś kundel. Andromacha pstryknęła palcami i uciekł z podkulonym ogonem, lecz po kilku krokach zatrzymał się i spojrzał na nią groźnie. Skręciła w prawo i przeszła po skałach, po czym usiadła na brzegu morza. Zdjąwszy sandały, zanurzyła stopy w wodzie i spojrzała na ciemne morze. Poczuli się bardzo samotna. Gdybyż tylko mogła wspiać się na pokład jakiegoś statku i powiedzieć do kapitana: „Zawieź mnie na Terę. Zabierz mnie do domu”.

Gdyby miała poślubić kogoś innego, nie Hektora, z otwartymi rękami przyjęto by ją z powrotem do świątyni. Podziwiano by jej odwagę i kpiono z głupoty mężczyzn. Jednak Hektor był synem Hekabe, królowej Troi, która była największym darczyńcą Świątyni Konia. Kapłanki nie uczyniłyby niczego, co mogłoby urazić potężną fundatorkę. Nie, ciepło powitałyby Andromachę, a potem wsadziły ją na pierwszy statek płynący w stronę lądu, zapewne pod strażą. Pomyślała o Kaliope, wspominając ją nie z łzawego pożegnania, lecz podczas święta Demeter na początku jesieni. Tańczącą pod gwiazdami, z nagim ciałem lśniącem w blasku ogniska. Wysoką, silną i nieustraszoną. Ona nie ścierpiałaby, że wysyłają Andromachę w objęcia niechcianego mężczyzny.

Co było jeszcze jednym powodem, że Andromacha nie mogła tam wrócić. Ze wszystkich kobiet na Terze Kaliope była tam najszcześliwsza. Ponieważ gardziła mężczyznami, wyspa była jedynym miejscem na świecie, gdzie mogła żyć w spokoju, śmiać się beztrudnie i być wolna. Powrót Andromachy i wywołane nim zamieszanie doprowadziłyby do wygnania Kaliope z Tery.

Nad morzem przeleciał zimny wiatr i Andromacha otuliła się płaszczem. Czas płynął. Wiedziała, że powinna wrócić do pałacu Kygonesa, Grubego Króla, ale nie chciała rezygnować z tej odrobiny wolności, jaką miała na tej plaży.

– To nie miejsce dla ciebie – usłyszała męski głos.

Obejrzała się, szykując gniewną odpowiedź. Potem zobaczyła, że to gawędziarz. W świetle księżyca jego brzydota wydawała się niemal nieziemską. Z łatwością mogła sobie wyobrazić dionizyjskie rogi wyrastające mu z głowy.

– A gdzie jest moje miejsce? – odparowała.

– No, w jednej z moich opowieści, oczywiście. Mój przyjaciel miał rację. Rzeczywiście wyglądasz jak bogini. Nie jesteś nią, prawda? – Usiadł na pobliskim głazie. Księżyc był w pełni i zobaczyła, że twarz mężczyzny, choć brzydka, ma jakiś chłopięcy wdzięk. – Jestem Odyseusz – rzekł. – A ty nie odpowiedziałas na moje pytanie.

– Tak, jestem boginią – powiedziała mu. – Sam musisz zgadnąć którą.

– Łowczynią Artemis.
– Nie Afrodytą? Co za rozczarowanie.
– Niewiele wiem o tym, jak naprawdę wyglądają boginie – przyznał – ale myślę, że bogini miłości miałyby większe cycki. A jej oczy byłyby ciepłe i kuszące. Nie, sędzę, że mogłabyś być Artemis. Powiedz mi, że umiesz strzelać z łuku.

Andromacha roześmiała się.

– Umieję strzelać z łuku.

– Wiedziałem! Z jednego z tych małych egipskich czy z prawdziwego frygijskiego łuku z rogu, drewna i rzemienia?

Andromacha uśmiechnęła się.

– Na Terze mieliśmy oba rodzaje i owszem, wolałam frygijski.

– Ja mam łuk, którego nikt prócz mnie nie może napiąć – powiedział jej. – Bawi mnie, gdy patrzę, jak silni mężczyźni sinieją z wysiłku, próbując go naciągnąć. To potężna broń. Kiedyś wypuściłem strzałę i trafiłem w księżyc. Do strzały była przywiązana lina i dzięki niej ściągnąłem mój statek na wodę.

– To musiała być długa lina – zauważyła.

Odyseusz zaśmiał się.

– Podobasz mi się, dziewczyno. Skąd naprawdę jesteś i co tutaj robisz, przechadzając się między dziwkami i marynarzami?

– Skąd wiesz, że nie jestem dziwką?

– Gdybyś była dziwką i tak by cię tu nie było, gdyż nikogo z tych ludzi na ciebie nie stać. No, może oprócz Helikaona. Zatem kim jesteś?

– A kim według ciebie jest dziwka? – odparowała.

– Ach, to ma być gra. Uwielbiam gry. Doskonale... Kim więc jest dziwka? To kobieta umiejąca sprawić, że twardy mężczyzna mięknie; kapłanka Afrodyty dająca radość marynarzom tęskniącym za żonami i domami.

– To nie gra – ucięła ostro Andromacha. – Dziwka to kobieta oddająca swoje ciało niekochanemu mężczyźnie za miedź, błyskotki lub inne podarunki. Czyż nie?

– Wolę moją wersję, ale mam romantyczną duszę. Jednakże oba nasze opisy wydają się prawdziwe – przyznał.

– Zatem jestem dziwką, gdyż oddam moje ciało mężczyźnie, którego nie kocham, w zamian za bogactwa i bezpieczeństwo.

– Ach! – zawołał Odyseusz. – Powinnaś zapytać, czym się różni królewska córka od dziwki. Wtedy odpowiedziałbym: „cena”. Kim jest ten szczęściarz?

Andromacha spojrzała na jego brzydką twarz i już chciała mu powiedzieć, żeby sobie poszedł. Jednak jego towarzystwo było dziwnie miłe i czuła się przy nim tak swobodnie...

– To Hektor, książę trojański – powiedziała i zobaczyła, że szeroko otworzył oczy ze zdziwienia.

– Mogłaś trafić gorzej. Hektor to dobry człowiek.

– Chcesz powiedzieć, że żłopie wino, dopóki nie padnie, beka przy stole i włóczy się po świecie, tocząc wojny i pławiąc się w chwale. Niech nas bogowie bronią przed takimi dobrymi ludźmi. Jesteś żonaty, Odyseuszu?

– Istotnie, jestem. I jestem również najszczęśliwszym człowiekiem na Wielkiej Zieleni, gdyż moją żoną jest Penelopa. A ona mnie kocha. – Zachichotał. – Ilekroć to mówię, czuję bezgraniczne zdumienie. Nie pojmuję, czym sobie na to zasłużyłem.

– Zatem jesteś, tak jak mówisz, szczęśliwy. Jednak spodziewam się, że żeglarze żenią się tylko z miłości. To czyni ich bogatszymi od królów.

– No cóż, pewnie tak. Jednakże powinienem zauważyć, że ja też jestem królem.

– Który razi strzałami księżyc? – zapytała z uśmiechem.

– Wiem, że nie wyglądam na króla, ale naprawdę nim jestem. Moim królestwem jest wyspa Itaka, a moją królową Penelopa. I zanim zapytasz, odpowiem: nie, nie pobraliśmy się z miłości. Mój ojciec zaaranżował nasze małżeństwo. Poznaliśmy się dopiero w dniu ślubu.

– I pewnie pokochaliście się, gdy tylko spotkały się wasze spojrzenia?

– Nie. Myślę, że znienawidziła mnie od pierwszego spojrzenia. Nietrudno zrozumieć dlaczego. Pierwsze miesiące były... powiedzmy, trudne. A potem zachorowałem. O mało nie umarłem. Ona mnie pielęgnowała. Mówiła potem, że majaczyłem w malignie. Nigdy nie powiedziała mi, co wtedy mówiłem, ale później wszystko się zmieniło. Zaczęliśmy ze sobą rozmawiać, potem chodzić na długie spacerunki po nadmorskich skałach. Pewnego dnia... – Wzruszył ramionami. – Pewnego dnia po prostu zdaliśmy sobie sprawę, że się kochamy.

Andromacha spojrzała na tego brzydkiego mężczyznę i ujrzała go w nowym świetle. Za jego bajaniami kryła się ujmująca uczciwość i wdzięk, który niemal niepostrzeżenie przeniknął jej obronny pancerz.

– Widziałaś napad na Helikaona? – zapytał nagle.

Przez moment nie wiedziała, o co pyta, a potem przypomniała sobie atak nożownika.

– To starcie, tak. Helikaon to ten mężczyzna z długimi czarnymi włosami?

– To przyjaciel Hektora. Mógłby opowiedzieć ci o nim znacznie więcej niż ja.

– Dlaczego ten zabójca chciał go zabić?

Odyseusz wzruszył ramionami.

– Noc jest zbyt miła, żeby opowiadać nudne historie o kupcach, piratach i starych urazach. Spytaj mnie o coś innego.

– Czy Helikaon to ten twój przyjaciel, który powiedział, że wyglądam jak bogini?

– Tak. Nigdy nie widziałem go tak urzeczonego. Oczywiście, poznawszy cię, dobrze go rozumiem.

Nachyliła się do niego.

– Skończmy już tę grę, Odyseuszu. Wiem, kim jestem. Wysoką dziewczuchą o pospolitej urodzie, cielną krową trojańskiego księcia. Nie potrzebuję pochlebstw.

– Wcale ci ich nie mówię. To prawda, nie jesteś śliczna. Jeśli jednak mogę wyrazić swoje zdanie, to zgadzam się z Helikaonem. Jesteś piękna.

– On tak powiedział?
– Powiedział, że jesteś boginią. Ja tylko odrobinę ubarwiam jego malowidło.

Zauważyła, że wciąż zerka w górę, na ścieżkę pnącą się do zamku.

– Czy ja cię nudzę, królu Itaki?

Zaśmiał się, zmieszany.

– Nie, wcale nie. Po prostu... czekam na powrót Helikaona.

– Sądysz, że będzie następny zamach na jego życie?

– Och, niemal na pewno.

Zobaczyła, jak odetchnął i odprężył się. Powiódłszy wzrokiem w ślad za jego spojrzeniem, ujrzała grupkę mężczyzn znoszących ścieżką czyjeś ciało.

– Jednak im się nie udało – rzekł uszczęśliwiony.

– On jest twoim synem... czy kochankiem? – zapytała.

– Mój syn umarł – odparł. – Nie, Helikaon nie jest moim kochankiem. Nigdy nie gustowałem w tego rodzaju przyjemnościach. Co za młodu trochę mnie złościło. Miałem wrażenie, że omija mnie coś ważnego, czym cieszą się wszyscy moi przyjaciele. Nie, traktuje Helikaona prawie jak syna. Albo młodszą wersję człowieka, jakim sam chciałbym być. Jeśli moje słowa mają jakiś sens.

– Chciałbyś być przystojny?

– Zaiste! Jak młody bóg!

– Czy wtedy Penelopa kochałaby cię bardziej?

Westchnął.

– Jesteś bystrą kobietą. Wyjawisz mi swoje imię?

– Andromacha z Teb.

– Ach! Znam twojego ojca, Ektiona. Chociaż nie mogę powiedzieć, że bym za nim przepadał.

Andromacha parsknęła perlistym śmiechem.

– Nikt go nie lubi. W jego życiu nie ma nic wartościowego – poza tym, za co można zapłacić srebrem.

– Spotkasz wielu takich jak on. Twój przyszły teść, król Priam, też jest taki. Czy nie uważasz za dziwne, że tacy ludzie płodzą wspaniałe potomstwo? Hektor jest hojny i odważny. Młody Parys delikatny i skrupulatny. Nawet mała Kasandra nie ma w sobie złości. A twój ojciec spłodził cię, Andromacho, i widzę w tobie wielkiego ducha.

– Może mylisz inteligencję z charakterem, Odyseuszu.

– Nie, dziewczyno, ja nie myślę się w ocenie ludzi. Mam dwie umiejętności, które dobrze mi służą. Umiem snuć opowieści i czytać w ludzkich sercach. Ty jesteś jak moja Penelopa. Jak sama mówisz, jesteś inteligentna. A także życzliwa, szczerza i uczciwa. Jesteś też odważna i obowiązkowa. Ojciec powiedział mi kiedyś, że jeśli mężczyzna ma szczęście, znajdzie kobietę, z którą można żeglować w burzy. Ty jesteś taką kobietą. Hektor ma wielkie szczęście.

– Jego szczęście nic mnie nie obchodzi – odparła. – Co z moim?

– Dowiedzmy się – odparł, wstając.

– Jak?

– Znajdziemy Aklidesa. To najlepszy jasnowidz w Likii. No...

przynajmniej kiedy nie jest pijany lub odurzony. Pochodzi z pustynnej krainy leżącej za Fenicją. Wielu jasnowidzów pochodzi z pustyni. On przepowie ci przyszłość.

– Tak, pewnie powie mi, że urodzę dziewięcioro dzieci i będę długo żyła, bogata i szczęśliwa.

– Czyżbyś bała się jasnowidza, Andromacho z Teb? – skarcił ją.

– Ja nie boję się nikogo, Odyseuszu z Itaki.

– Zatem chodź ze mną.

Wyciągnął rękę, a ona pozwoliła mu podnieść się z piasku. Razem poszli między straganami i wzdłuż plaży, mijając spółkujące pary i pijanych żeglarzy, ogniska, wokół których mężczyźni śpiewali sprośne piosenki. W końcu dotarli do małego namiotu rozstawionego u podnóża nadbrzeżnego urwiska. Przed nim stała długa kolejka. Odyseusz zaproponował, żeby wrócili tu później, a teraz poszli poszukać czegoś do zjedzenia. Andromacha nie miała ochoty wracać już do pałacu, więc się zgodziła. Podeszli do straganów z żywnością i Odyseusz nałożył sobie na drewniany talerz stertę mięsiwa i chleba. Andromacha wybrała ciastko z owocami namoczonymi w miodzie, po czym razem wrócili nad wodę i usiedli na murku.

Rozmawiali. Andromacha mówiła o Terze i Świątyni Konia, chociaż nie wspomniała o Kaliope czy innych tamtejszych przyjaciółkach. Natomiast opowiedziała mu o rytuałach, które miały uspokajać śpiącego boga. Odyseusz był równie dobrym słuchaczem jak gawędziarzem i zachęcał ją pytaniami, które świadczyły o zainteresowaniu tematem.

– Byłem kiedyś na Terze – powiedział – na długo zanim zdecydowano, że tylko kobiety mogą uspokoić Minotaura. Dziwne miejsce. Ten głuchy pomruk dobiegający spod ziemi i syk kwaśnych par tryskających z otworów w skale. Z zadowoleniem wróciłem na pokład *Penelopy*. Powiedz mi, czy ty wierzysz w Minotaura?

– Dziwne pytanie jak na człowieka, który widział tyle potworów i demonów.

– W tym właśnie rzecz, dziewczyno. Nigdy nie widziałem żadnego. Jednak podczas moich podróży widziałem gorące źródła i jeziora lawy. Ani razu nie spotkałem Minotaura. Czy ty go kiedyś widziałaś?

– Nikt go nie widział – odparła Andromacha – ale słysząc, jak ryczy i warczy pod ziemią, napierając, próbując uciec. Stare kapłanki przysięgają, że przed laty wyspa była mniejsza, ale szamocząca się bestia podnosi ją z morskich głębin.

– Zatem wierzysz w jego istnienie?

– Naprawdę sama nie wiem. Coś wydaje te dźwięki i sprawia, że ziemia dygocze.

– A jak go uspokajacie?

– Pieśniami, które koją ból w jego sercu, ofiarami z wina. Modłami wznoszonymi do bogów, żeby nie pozwolili mu szaleć. Powiadają, że w dawnych czasach Kreteńczycy składali mu w ofierze dziewice, zmuszając je, by wchodziły do głębokiej szczeliny w skale i szły do jego legowiska. Najwidoczniej to go nie zadowoliło, gdyż przed wieloma laty o mało nie wyrwał się na wolność.

– Mój dziad opowiadał mi o tym – rzekł Odyseusz. – Jak słońce skryło się na wiele dni. A z nieba spadały kamienie i popiół, zasypując wiele wschodnich wysp. Jest taka stara żeglarska legenda o tym, jak morze uniosło się pod niebo z łoskotem armii gromów. Chciałbym to zobaczyć. Byłaby z tego wspaniała opowieść. Czy wiesz, że twoja przyszła teściowa spędziła trzy lata na Terze, a częścią jej wiana był ogromny skarb na zbudowanie Świątyni Konia?

– Tak. Mówią tam o Hekabe z wielkim szacunkiem.

– Silna kobieta. Mądra i bystra jak ty. Piękna jak zimowy ranek i przerażająca jak huragan. Myślę, że ją polubisz.

– Brzmi to tak, jakbyś trochę się jej bał, królu Itaki – powiedziała z uśmiechem Andromacha.

Nachylił się do niej i uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Ona mnie przeraża. Nie wiem dlaczego. Myślę, że nawet Priam się jej boi.

Niebo zaczęło jaśnieć. Noc prawie się skończyła i Andromacha ledwie mogła uwierzyć, że spędziła tyle godzin w towarzystwie obcego człowieka. Ziewnęła i potarła oczy.

– Sądzę, że jesteś trochę zmęczona czekaniem – powiedział brzydki król, podnosząc się, i ruszył ku znacznie krótszej już kolejce. Podeszedłszy do stojących w niej mężczyzn, rzekł: – Słuchajcie, chłopcy, jest ze mną piękna kobieta, która chce poznać swoją przyszłość. Czy ktoś ma coś przeciwko temu, żebyśmy weszli bez kolejki?

Andromacha zobaczyła, że mężczyźni odwracają się i patrzą na nią. Odyseusz zanurzył dłoń w sakiewce u pasa i wyjął kilka miedzianych pierścieni, które wcisnął do ich wyciągniętych dłoni.

Po krótkiej chwili z namiotu wyszedł mężczyzna. Nie wyglądał na uszczęśliwionego. Odyseusz skinął na Andromachę i ruszył naprzód, uniósł kłapę i pochylając głowę, wszedł do namiotu. Andromacha poszła za nim. W namiocie na wytartym kocu siedział mężczyzna w średnim wieku. Paliły się dwie lampy, było bardzo duszno i gorąco. Andromacha usiadła i spojrzała na jasnowidza. Jego prawe oko było mlecznobiałe jak opal, a lewe tak ciemne, że zdawało się nie mieć źrenicy. Twarz miała dziwnie pociągłą i chudą, jakby jego czaszka została zdeformowana.

– Z czym przychodzisz do mnie tym razem, Odyseuszu? – zapytał ci chym, lecz głębokim głosem.

– Z młodą kobietą, która chce poznać swoją przyszłość.

Aklides głośno westchnął.

– Jestem zmęczony. Nadchodzi świt, a ja nie mam czasu na podawanie pannom liczby dzieci i tym podobne banały.

– Zatem zrób to dla starego przyjaciela – rzekł Odyseusz, ponownie otwierając sakiewkę, tym razem jednak wyjął z niej pierścień z jasnego srebra.

– Ja nie mam przyjaciół – mruknął Aklides. Zdrowym okiem zmierzył Andromachę. – No cóż, daj mi dłoń i zobaczmy, co można z niej wyczytać.

Andromacha pochyliliła się i wsunęła smukłe palce w jego spoconą dłoń. Jego ręka była gorąca i dziewczyna wzdrygnęła się, gdy ją zacisnął. Zamknął oczy i siedział w milczeniu, płytko oddychając. Nagle

drgnął i z jego ust wyrwał się głuchy jęk. Z twarzą wykrzywioną okropnym grymasem gwałtownie cofnął rękę i otworzył oczy.

– No? – zapytał Odyseusz, gdy cisza się przedłużała.

– Czasem lepiej nie znać przyszłości – szepnął Aklides.

– Daj spokój, Aklidesie! To niepodobne do ciebie – rzekł Odyseusz i w jego głosie zabrzmiała gniewna nuta.

– No dobrze. Będziesz miała jedno dziecko. Chłopca. – Aklides westchnął. – Sam nic więcej nie powiem. Możesz jednak mnie pytać, o co chcesz.

– Czy zaznam miłości? – zapytała Andromacha głosem zdradzającym znudzenie.

– Będzie ich trzy. Jedna jak Wielka Zieleń, potężna i burzliwa, jedna jak dąb, mocna i prawdziwa, oraz jedna jak księżyc, wieczna i jasna.

– Podoba mi się słowo „burzliwa” – powiedziała sarkastycznym tonem. – Kogo mam wypatrywać?

– Mężczyzny w jednym sandale.

– A ten dąb?

Posłał jej krzywy uśmiech.

– Wstanie z błota uwalany świńskim łajnem.

– Będę czekała na to z ogromną niecierpliwością. A księżyc?

– Przyjdzie do ciebie w bólu i krwi.

– Co za bzdury – warknęła Andromacha. – Odbierz swoje srebro, Odyseuszu.

– Mówię prawdę, kapłanko z Tery – rzekł Aklides. – Byłem zadowolony z dzisiejszego wieczoru, lecz po twojej wizycie nie będę już nigdy. Przez ciebie widziałem upadek światów i śmierć herosów, i jak ocean dotyka czerwonego jak ogień nieba. Teraz zostaw mnie w spokoju!

Andromacha wyszła w noc. Krępy Odyseusz dołączył do niej.

– Zazwyczaj jest zabawniejszy – rzekł.

W oddali na plaży zobaczyła jednego ze strażników Grubego Króla. Robił obchód, trzymając drewnianą pałkę na ramieniu. Stożkowaty hełm z brązu i osłony policzków lśniły w blasku księżyca. Nagle potknął się i zerwał mu się rzemień jednego sandała. Gniewnym kopniakiem odrzucił go i poszedł dalej.

– Jaka szkoda – zauważyła sucho Andromacha. – Oto jest tutaj, ta burzliwa miłość mego życia, i nigdy się nie spotkamy. – Westchnęła teatralnie. – Może powinnam go zawołać, jak myślisz? – Odwróciła się do Odyseusza. – Dziękuję ci za towarzysztwo, królu Itaki. Byłeś miłym przyjacielem w tę gwiazdzistą noc. Teraz jednak muszę wracać do pałacu.

– Będę szczęśliwy, mogąc cię doń odprowadzić.

– Nie, nie będziesz. Zachowaj takie łgarstwa dla swoich słuchaczy, Odyseuszu. Zawrzyjmy umowę. Zawsze będziemy mówić sobie prawdę.

– To będzie trudne. Prawdą często jest nudna. – Uśmiechnął się jednak i rozłożył ręce. – Ale nie mogę odmówić bogini, więc się zgadzam.

– Chcesz odprowadzić mnie do pałacu?

– Nie, dziewczyno, jestem już śmiertelnie strudzony i chcę tylko owinąć się kocem przy ognisku.

- Teraz powiedziałeś prawdę i tak powinno być między przyjaciółmi. Zatem dobrej nocy, gawędziarzu.

Z tym słowami spojrzała na odległą warownię i z ciężkim sercem poszła ścieżką w górę.

X. BIESIADA U GRUBEGO KRÓLA

1.

Powoli idąc w górę zbocza ku warownemu miastu, Helikaon nie mógł przestać myśleć o tej wysokiej kobiecie, którą widział podczas występu Odyseusza. Poza, w jakiej stała – z nieświadomie harmonijną gracją i pewnością siebie; to, jak spojrzała mu w oczy – zuchwale i wyzywająco. Nawet na widok atakującego zabójcy na jej twarzy nie pojawił się lęk. Tylko zmrużyła oczy, patrząc surowo. Przywołując w myślach obraz jej twarzy, Helikaon poczuł, że serce zaczyna mu szybciej bić. Obok niego szedł milczący Zidantas, niosąc na ramieniu wielką, nabijaną ćwiekami pałkę. Argurios i Glaukos zostali nieco z tyłu.

Pomimo że we wgłębieniach skalnej ściany paliło się wiele lampek oliwnych, droga była niebezpieczna. Kamienista i wyboista, biegła skrajem przepaści. Helikaon spojrzał na rozpościerającą się w dole zatokę i pierś wezbrała mu dumą na widok smukłych linii *Ksantosa*. Dostrzegł również maleńką z tej odległości postać Odyseusza. Jego mentor zszedł na brzeg morza i sztyletem kreślił coś w piasku. Helikaon wiedział, co Odyseusz tam robi. Często widywał go przy tym zajęciu podczas tych dwóch lat, które spędził na *Penelopie*. Odyseusz rysował na piasku twarz swojej żony.

Usłyszał, jak idący za nim Glaukos klnie pod nosem, potknąwszy się o kamień.

Mykeńscy wojownicy wyglądali na zaskoczonych, gdy zaprosił ich na spotkanie z królem. Najwyraźniej nie spodziewali się takiej uprzejmości i Argurios niemalże mu podziękował. Helikaon uśmiechnął się na to wspomnienie. Mykeńczykowi chyba usechłby język, pomyślał, gdyby musiał wymówić słowa podziękowania.

Argurios zrównał się z nim i w świetle księżyca załśniły kunsztownie wytłaczane brązowe krażki jego napierśnika.

– Ten król to twój przyjaciel? – spytał.

– Wszyscy rozsądni ludzie są moimi przyjaciółmi, Arguriosie.

Wojownik zmarszczył brwi.

– Nie prowokuj mnie – rzekł. – To nierozsądne.

– Dlaczego miałbym cię prowokować? – odparł zimno Helikaon. – Wszyscy rozsądni ludzie są moimi przyjaciółmi, gdyż ja nie szukam wrogów. Jestem kupcem, nie rabusiem.

Argurios przyjrzał mu się bacznie.

– Jesteś człowiekiem, który zasłużył sobie na nienawiść wszystkich Mykeńczyków. Powinieneś wiedzieć, że wieść o twojej śmierci zostanie powitana z ogromną radością.

– Wcale w to nie wątpię – odparł Helikaon, przystając, i odwrócił się do wojownika. – Mykeńczycy zawsze bardzo się radują, kiedy ktoś cierpi lub popada w nędzę. Jesteście ludem, który bogaci się na śmierci i smutku innych.

Argurios zacisnął dłoń na rękojeści miecza. Przez moment Helikaon myślał, że zaraz rzuci mu wyzwanie. Argurios powiedział

jednak drżącym z tłumionego gniewu głosem:

– Prawo drogi zabrania mi odpowiedzieć na tę zniewagę. Powtórz ją na plaży, to cię zabiję.

Po tych słowach poszedł dalej i Glaukos musiał podbiec, żeby go dogonić. Zidantas zrównał się z Helikaonem i westchnął.

– Ależ wybrałeś nam wesołych kompanów – rzekł.

– Nie ja ich wybrałem, Wole. To Odyseusz podsunął mi ten pomysł.

– Dlaczego?

– Może dlatego, że gdzieś tam przed nami czekają mykeńscy mordercy łaknący mojej krwi.

– Och, to naprawdę ma sens – mruknął Zidantas. – Grozi nam atak morderców, więc Odyseusz radzi ci, żebyśmy sprowadzili im posiłki. Wracajmy na plażę. Wrócimy z naszymi ludźmi.

– Wiesz co, Wole, pod pewnymi względami jesteś jak Mykeńczycy. Nie obchodzą cię inne ludy. Nie, nie wrócimy na plażę. Pójdziemy dalej i zobaczymy, co się stanie.

– To nie jest dobre miejsce do walki – zauważył Zidantas. – Jeden niezręczny krok i człowiek leci w przepaść. A na dół długa droga.

Helikaon nie odpowiedział. Przyspieszywszy kroku, trzymał się blisko Mykeńczyków. Przed nimi ścieżka skręcała w lewo. W skale wykuto stopnie. Helikaon wiedział, że na ich końcu ścieżka się poszerza. I jest tam kilka jaskiń, w których mogliby się ukryć zbrojni.

– Wkrótce? – szepnął Zidantas.

– Myślę, że na końcu tych schodów. Nie atakuj ich, Wole. Zaczekaj i popatrz, co się stanie.

Trzymając się blisko Mykeńczyków, wstąpili na schody. Idący na przedzie Argurios dotarł na górę i nagle przystanął. Helikaon doszedł do niego. Ujrzał sześciu stojących na drodze wojowników w skórzanych napierśnikach i z krótkimi mieczami. Nie zaatakowali, wyglądali na stropionych i zaskoczonych. Jeden z nich spojrzał na Arguriosa.

– Odejdź na bok, bracie, nic do ciebie nie mamy.

– Chętnie bym to zrobił, idioto! – warknął Argurios. – Jednak znasz prawo drogi: jeśli człowiek idzie w towarzystwie innych wędrowców, musi razem z nimi stawiać czoło niebezpieczeństwu.

– To mykeńskie prawo dla mykeńskich podróżnych – spierał się tamten.

– Jestem Mykeńczykiem i towarzyszę Helikaonowi – odparł Argurios. – Nienawidzę go tak samo jak wy, lecz jeśli go zaatakujecie, na mocy tego prawa będę zmuszony walczyć razem z nim. Znaście mnie i wiecie, co potrafię. Wszyscy umrzecie.

– Nie mamy wyboru – powiedział tamten. – To sprawa honoru.

Rozległ się metaliczny zgrzyt, gdy Argurios wyciągnął miecz z pochwy.

– Zatem giń jak człowiek honoru – rzekł.

– Czekajcie! – powiedział Helikaon, wychodząc naprzód. – Nie chcę rozlewu krwi, ale jeśli walka jest nieunikniona, rozstrzygnijmy ją w pojedynku.

Wskazał na wojownika stojącego przed Arguriosem.

– Tylko ty i ja, Mykeńczyku. Albo ten z twoich kompanów, którego ze chcesz wybrać.

– Sam będę z tobą walczył, niegodziwcze! – krzyknął tamten.

Uniósł miecz i ruszył do ataku. Helikaon wyszedł mu naprzeciw, przyjął cięcie na klingę i uderzył barkiem w pierś napastnika, odrzucając go w tył. Mykeńczyk znów zaatakował, siekąc i rąbiąc. Helikaon z łatwością parował i odpowiadał na ciosy. Ten człowiek nie był zręcznym szermierzem, co próbował nadrabiać zawziętością. Helikaon zaczekał na odpowiedni moment, a potem zablokował zamaszyste cięcie, złapał napastnika za nadgarstek i podstawiwszy mu nogę, zręcznie rzucił na ziemię. Mykeńczyk z łomotem upadł na plecy. Helikaon przyłożył sztych do gardła leżącego.

– Walka skończona? – zapytał.

– Tak – odparł zapytany z nienawiścią w oczach.

Helikaon zostawił go i odwrócił się do pozostałych.

– Słyszeliście go – powiedział, chowając miecz do pochwy. – Walka skończona.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch z lewej i błyskawicznie się odwrócił. Człowiek, któremu darował życie, cicho wstał i rzucił się na niego z podniesionym mieczem. Helikaon nie zdążyłby wyjąć swojego. Argurios skoczył między nich i błyskawicznie ciał w szyję napastnika. Mykeńczyk padł ze zduszonym krzykiem, brocząc krwią z rozciętej tętnicy. Gdy ciałem wojownika wstrząsały skurcze agonii, Helikaon zwrócił się do pięciu pozostałych.

– Wracajcie na swój statek – nakazał. – Tu czeka was tylko śmierć, bez żadnej nadziei na zwycięstwo.

Stali nieruchomo i Helikaon widział, że szykują się do ataku. Nagle przemówił Argurios:

– Schowajcie miecze do pochew! Wielki ciężar ległby mi na sercu, gdybym musiał zabić następnych Mykeńczyków. I zabierzcie ze sobą tego zdradzieckiego głupca – rzekł, wskazując na ciało.

Helikaon zobaczył, że tamci porzucili myśl o walce. Schowali miecze do pochew, podnieśli zabitego i poszli schodami w dół. Argurios podszedł do Helikaona i wycedził z furją:

– Wiedziałeś, że oni tu będą? To dlatego mnie zaprosiłeś, Trojańczyku?

– Po pierwsze, Arguriosie, jestem Dardaninem. Jako poseł swego kraju w tej części Wielkiej Zieleni powinieneś wiedzieć, że nie wszyscy mieszkańcy tych stron to Trojanie. Są również Meończycy, Likijczycy, Karowie i Trakowie. Oraz wielu innych. Po drugie, czy podobna, abym poszedł tą ścieżką z dwoma Mykeńczykami, gdybym wiedział, że sześciu innych czeka tu, żeby mnie zabić?

Argurios głośno westchnął.

– Nie, niepodobna – przyznał. Spojrzał Helikaonowi w oczy. – Tej nocy już dwukrotnie miałeś szczęście. Taka łaska bogów nie może trwać długo.

2.

Żywe zaprzeczenie swego przydomka, Gruby Król Kygones siedział

na tronie, odziany w prosty, nie zdobiony chiton, który wisiał na jego chudym ciele jak na kiju od miotły. Podjadał bez apetytu, czujnie przyglądając się gościom. Dwaj egipscy posłowie ledwie skosztowali potraw i byli pogrążeni w cichej rozmowie. Kupiec z Meonii jadł za trzech, ładując jedzenie do przepastnej gardzieli, jakby nie jadł od tygodni, a tłuszcz spływał mu po kilku podbródkach. Dardański książę Helikaon siedział w milczeniu obok brodatego Zidantasa, a towarzyszący im dwaj mykeńscy wojownicy nałożyli sobie kawały wołowego mięsa, ignorując bardziej wykwintne specjały: maczane w miodzie słodyczne, baranie oczy w pieprzu czy pieczone cynadry uprzednio marynowane w winie.

Helikaon również jadł mało i wydawał się zatopiony w myślach.

Król czujnym spojrzeniem obrzucił pozostałych gości, w większości kupców z okolicznych krain, którzy przynieśli w darze jedwab i szkło albo – co ważniejsze – złoto i srebro.

Kygones potarł ospowatą twarz i usiadł wygodniej na tronie, marząc, by czas przyspieszył biegu. Obok pojawił się sługa i napełnił mu kielich czystą wodą. Król zerknął na niego i podziękował skinieniem głowy. Był taki czas, kiedy Kygones sprzedałby duszę za posadę pałacowego sługi, mającego pewność, że będzie jadał przynajmniej raz dziennie i sypiał pod dachem, osłonięty od wiatru i deszczu.

Ciągnąca się niemiłosiernie biesiada wreszcie dobiegła końca. Słudzy wynieśli misy i napełnili puchary winem, a Kygones klaśnięciem w dłoń dał znak do rozpoczęcia występów. Tancerki z Krety poruszały się po pokrytej mozaiką podłodze megaronu, rytmicznie kołysząc się przy muzyce kilku lir. Ich ciała były szczupłe i gibkie, nagie piersi kształtne i jędrne. Ich naoliwiona skóra błyszczała. Muzycy zaczęli grać szybciej, a kobiety wirowały i podskakiwały. Goście uderzali pięściami w stół w rytm muzyki. Kygones zamknął oczy, wracając myślami do dawnych lat. Ojciec zapewniał go, że ciężka praca i oddana służba zapewnią każdemu wieśniakowi szczęście. Jak większość młodych wierzył ojcu i codziennie od świtu do zmierzchu harował w ich niewielkim gospodarstwie. Widział, jak matka zestarzała się przedwcześnie, jak umarli jego dwaj bracia, a trzy starsze siostry zostały sprzedane w niewolę, a w końcu jak ojciec został zamordowany przez Egipcjan podczas trzeciego najazdu. Właśnie wtedy Kygones odkrył prawdziwą tajemnicę szczęścia.

Nie osiąga się go, skrobiąc ziemię zaostrzonym kijem, lecz dzierżąc miecz w krzepkiej dłoni.

Muzyka ucichła i kobiety z gracją opuściły salę. Ich miejsce zajęli akrobaci, żonglerzy, a w końcu aoid z Ugarit, z opowieścią o zaczarowanych bestiach i herosach. Jego recytacja była nudna i Kygones pożałował, że nie zaprosił na ucztę Odyseusza.

Dwaj Egipcjanie wstali, gdy pieśniarz jeszcze mówił, nisko skłonili się Kygonesowi i opuścili megaron. Głos Ugaritczyka ucichł, gdy przechodzili obok niego, i Kygones zauważył, że ta demonstracja złych manier go zdenerwowała. Podniósłszy rękę, dał gawędziarzowi znak, żeby kontynuował opowieść, myśląc przy tym o wychodzących z sali gościach.

Ci Egipcjanie tworzyli dziwną parę. Przybyli z darami: inkrustowaną złotem bransoletą z kości słoniowej i wysadzonym klejnotami sztyletem. I chociaż mówili o handlu i dostawach przypraw, nie byli kupcami. Kygones czekał, aż wyjawią prawdziwy powód swej wizyty, i skrył uśmiech, gdy starszy w końcu rzekł:

– Jest pewna drobna sprawa, królu Kygonesie, o której mój pan kazał cię powiadomić. – Opowiedział o pewnym przestępcy, który w Egipcie zabił dwóch królewskich gwardzistów i uszedł sprawiedliwości. Potem obaj opisali zbrodniarza: wysoki, barczysty i czarnobrody. – Nie posiada żadnych umiejętności, ale jest wojownikiem, więc może zechce wstąpić do twojej armii. Mój pan, zdając sobie sprawę, że schwytanie go może narazić cię na pewne kłopoty, kazał mi przekazać, że wyznaczono nagrodę za jego pojmanie. Pięć sztab złota.

– Wysoki, mówisz?

– W istocie.

– Każę moim dowódcom, żeby go szukali. Ma jakieś imię?

– Nie będzie go używał. Odnaleźliśmy kapitana statku, który żeglował na Cypr z kimś odpowiadającym temu opisowi. Tamten człowiek nazywał się Gershom.

– Zatem może powinniście szukać go na Cyprze.

– Szukamy tam i w każdej innej krainie.

Aojd zakończył swą opowieść i został nagrodzony uprzejmymi, lecz słabymi oklaskami. Skłonił się zebrany i czerwony ze wstydu opuścił megaron.

Kygones wstał, podziękował gościom za to, że zaszczycili go swoim towarzystwem, po czym skinął na Helikaona oraz Mykeńczyków i przeszedł przez pałac do swoich pokoi. Tam wyszedł na balkon i spojrzał na ciemne morze. Nocny wietrzyk był chłodny i orzeźwiający.

– Wyglądasz na zmęczonego, przyjacielu – rzekł Helikaon.

Kygones odwrócił się, żeby go powitać.

– Bitwy są mniej męczące od uczt – rzekł. Spojrzał na dwóch Mykeńczyków stojących za Złocistym. Pierwszy, szczupły, o groźnym spojrzeniu, wyglądał na zahartowanego w bitwach. Drugi był młodszy i z jego oczu wyzierała słabość. Kygones zaczekał, aż Helikaon przedstawi gości, po czym poprosił, aby usiedli. Komnata była duża, z kilkoma sofami, a otwarte drzwi dwóch balkonów pozwalały nocnemu wietrzykowi wywiewać dym zawieszony na ścianach lamp. – Słyszałem o tobie, Arguriosie – powiedział, kiedy goście weszli. – W czasie wojny z Myrmidonami broniłeś mostu. Tamtego dnia zabiłeś siedemnastu wrogów.

Z satysfakcją dostrzegł zdumioną minę Mykeńczyka.

– Nie sądziłem, że ta opowieść rozeszła się tak daleko – rzekł Argurios. – I było ich jedynie dziewięciu. Pozostali zostali tylko ranni i zniesiono ich z pola walki.

– Opowieści o herosach często bywają przesadzone – przyznał Kygones. – Rozumiem, że jesteś bliskim towarzyszem króla Agamemnona.

– Mam zaszczyt być członkiem jego świty.

– Zatem jesteś drugim, który zaszczycił swoją obecnością moją

przystań. Jest tu również szlachetnie urodzony Kolanos. Jesteście przyjaciółmi?

– Większość przyjaźni rodzi się w bitwie. Nigdy nie walczyłem razem z nim – odparł Argurios.

– Mówiono mi, że obecnie uważa się go za pierwszego ze świty Agamemnona, który pokłada w nim wielkie zaufanie.

– Ufa wszystkim członkom swej świty – odparł Argurios. – Swoją pozycję zawdzięczają lojalności wobec króla i usługom, jakie oddali swej krainie.

Kygones skinął głową.

– Rozumiem – powiedział.

Nie lubisz go, wojownika, pomyślał. Czy to zazdrość, czy coś innego? Usiadł na sofie i dał znak gościom, żeby się usadowili. Argurios i Helikaon usiedli na sofach pod ścianami, a Glaukos plecami do drzwi.

– Tej nocy zginęli dwaj ludzie z załogi Kolanosa, jeden na plaży i jeden na drodze do mojego pałacu – rzekł król.

Argurios milczał. Kygones spojrział na Helikaona.

– Zganiłem dowódcę straży. Nie wysłał na plażę dostatecznie licznych patroli. A teraz chciałbym cię prosić o drobną przysługę, Helikaonie, mój przyjacielu. Przyszła oblubienica Hektora czeka tu już prawie dziesięć dni. Bardzo chciałbym wsadzić ją na jakiś statek płynący do Troi.

Helikaon wyglądał na zdziwionego.

– Sądziłem, że już tam jest.

– No cóż, jest tutaj – powiedział Kygones – i współczuję Hektorowi. Te kilka dni, które tu spędziła, wydają mi się latami. Na bogów, ta kobieta ma język, którym mogłaby przeciąć kamień. Dziwię się, że Priam wybrał taką sekutnicę dla swojego najstarszego syna. Trzeba by się upić lub odurzyć, żeby dosiąść tej klaczy. Możesz zdjąć mi ją z karku?

– Oczywiście, przyjacielu. Jednak słyszałem, że dziewczyna jest czarująca i nieśmiała.

– Może taka była Palesta, ale umarła. Teraz Hektorowi zaproponowano jej siostrę, Andromachę. Do niej określenia „czarująca” i „nieśmiała” na pewno nie pasują. – Kygones zachichotał. – Była kapłanką na Terze. Słyszałem różne opowieści o tych kobietach. One nie kochają mężczyzn, to pewne.

– Wszyscy słyszeliśmy opowieści o tych kobietach – rzucił ostro Glaukos. – Jeśli są prawdziwe, to powinno się je zamknąć żywcem w obciążonych skrzyniach i wrzucić do morza.

Kygones ukrył zdumienie, które wywołała ta pełna pasji wypowiedź.

– Interesująca myśl – rzekł po chwili. – Powiedz mi, czy taką samą karę należałoby wymierzyć mężczyznom, którzy szukają przyjemności z innymi mężczyznami?

– Nie mówiłem o mężczyznach – rzekł Glaukos. – Obowiązkiem porządnej kobiety jest zażywać rozkoszy z mężem i z nikim innym.

Kygones wzruszył ramionami i nic nie powiedział. Ten człowiek był idiotą. Król skupił uwagę na Helikaonie.

– Nosisz piękny miecz.

Helikaon wyjął broń z pochwy, odwrócił i podał Kygonesowi. Na solidnej rękojeści nie było żadnych ozdób, lecz klingę pięknie uformowaną i miecz został idealnie wyważony. Zważywszy broń w dłoni, Kygones cofnął się i dwukrotnie ciał powietrze.

– Wspaniały. Jeden z najlepszych, jakie miałem w ręku – orzekł. Sprawdził ostrze, a potem obejrzał klingę w świetle lampy. Okiem doświadczonego wojownika dostrzegł połysk. Miecze z brązu często bywały zdradliwe. Zbyt miękkie wyginały się podczas walki. Zbyt twarde pękały przy uderzeniu. Jednak ten wyglądał inaczej. – Wykuty przez mistrza – powiedział Kygones. – Jeszcze nigdy takiego nie widziałem.

Jak słusznie przewidział Kygones, Helikaon był zbyt bystry, aby nie zrozumieć aluzji.

– Cieszę się, że ci się podoba, przyjacielu, ponieważ przyniosłem ci go w prezencie – rzekł gładko.

Odczepiwszy pochwę od pętli przy pasie, wręczył ją królowi. Kygones zachichotał.

– Wiesz, jak trafić do serca starego żołnierza. Masz! – zawołał do Arguriosa. – Taki wojownik jak ty z pewnością doceni tę broń.

Niedbałym machnięciem ręki rzucił miecz Mykeńczykowi. Argurios zręcznie go złapał i Kygones zauważył błysk uznania w jego oczach, gdy poczuł, jak dobrze jest wyważony.

– Doskonały – w głosie Mykeńczyka brzmiał podziw.

– Kto wie – rzekł Kygones, odebrawszy miecz. – Może niebawem będzie mi potrzebny. Teraz jednak udam się na spoczynek.

Jego goście skłonili się i ruszyli do drzwi.

– Ach! – zawołał król. – Poświęć mi jeszcze chwilę, Helikaonie.

Argurios i Glaukos opuścili komnatę. Helikaon zatrzymał się przy drzwiach. Kygones dał mu znak, żeby je zamknął i wrócił do niego.

– Usiądź i porozmawiajmy – powiedział.

– Myślałem, że jesteś zmęczony, przyjacielu.

– Towarzystwo Mykeńczyków zawsze mnie męczy. – Podniósł dzban z wodą i napełnił sobie puchar. – To nieprzyjemni ludzie. O lwich sercach i gadzich umysłach. Właśnie dlatego chciałem porozmawiać z tobą na osobności. Aczkolwiek Argurios wydaje się lepszy niż większość jego ziomeków. – Kygones bacznie przyjrzał się swojemu gościowi. Helikaon był blady, a w jego oczach widać było napięcie. – Żle się czujesz, przyjacielu?

– Nie. Trochę boli mnie głowa. Ale już mi przechodzi.

Kygones napełnił wodą drugi puchar i podał go Helikaonowi.

– Zwykle mam na plaży dwa razy tyle żołnierzy, kiedy przyplływają statki. Jednak cztery dni temu Hetyci zażądali pięciuset zbrojnych, co znacznie uszczupliło moje siły.

– Pięciuset? Obawiają się egipskiej napaści?

– Już do niej doszło. Egipska armia maszeruje przez Fenicję. Kieruje się na północ. Hektor z tysiącem trojańskiej jazdy dołączył do Hetytów, żeby stawić czoło najeźdźcom. Ten gruby meoński kupiec trzy dni temu widział ich przemarsz. Czekają nas ciekawe czasy. Myślę, że wkrótce świat się zmieni. Jest zbyt wielu królów. I za dużo zbrojnych bez żadnego zajęcia. Imperium Hetytów dogorywa. Coś musi je zastąpić.

– Nie Egipt – rzekł Helikaon. – Są doskonale przygotowani do wojny na pustyni, lecz ich oddziały nie nadają się do walki w północnym klimacie. A Hektor nie da się pokonać. Koń Trojański jest niezwyciężony.

– A Mykeńczycy?

Helikaon zdziwił się.

– Imperium mykeńskie leży na zachodzie. Nie mają statków ani ludzi, żeby najechać wschód.

– Agamemnon jest bardzo ambitny. Teraz jednak nie tym się martwię. Moją największą troską jest sytuacja na morzu. Sezon żeglugowy już prawie się skończył, ale zastanawiam się, czy Egipcjanie nie spróbują wysadzić swoich oddziałów na moim brzegu. To byłaby doskonała dywersja. Aby uporać się z tym zagrożeniem, potrzebowałbym... powiedzmy dziesięć galer, do wiosny.

Kygones uśmiechnął się w duchu, widząc, jak Złocisty spoważniał i zmrużywszy oczy, oblicza w myślach koszty. Nie chciał zerwać przyjacielskich więzów z potężnym królem, ale nie zamierzał też narażać się władcom Egiptu. Jako kupiec potrzebował dostępu do egipskich portów, żeby sprzedawać w nich oliwę z oliwek, ozdobne miedziane naczynia i mykeńskie dzbany. Wywoził zaś z tych portów takie egipskie towary, jak złoto, sól, alabaster i papirus. Kygones usiadł wygodnie. Wiedział, o czym myśli Helikaon. Taki daleki wypad wroga, ze wszystkimi związanymi z odległością niedogodnościami, był bardzo mało prawdopodobny. Natomiast pożyczając Kygonesowi statki i załogi, zarobiłby trochę w czasie chudych zimowych miesięcy, kiedy handel na Wielkiej Zieleni niemal zamierał.

– Dziesięć nie wystarczy, żeby zapobiec inwazji – rzekł niespodziewanie Helikaon.

– Wynająłem również inne. Dlatego jest tu Kolanos. Trzy jego okręty są teraz częścią mojej floty. Na zimę przyplyną tu również inni kapitanowie.

– Sprzedam ci dziesięć statków – rzekł Helikaon. – Będą twoje i będziesz mógł zrobić z nimi, co zechcesz. Na wiosnę odkupię je od ciebie za tę samą cenę – jeśli pozostaną nie uszkodzone. O żagle musisz postarać się sam. Czarny Koń z Dardanos nie weźmie udziału w żadnej wojnie.

– A załogi?

– Tak jak Mykeńczycy, to najemnicy. Zapłacisz im wojenny żołd ze swego skarbcza. Sto miedzianych pierścieni na głowę.

– Ha! A jeśli nie będzie wojny? Pięćdziesiąt pierścieni.

– Dziesięć statków, dziesięć załóg, po sto pierścieni każdemu. No, mój przyjacielu, wiesz, że to dobry interes. Po prostu nie możesz się oprzeć pokusie, żeby trochę się potargować.

– Dobry? Dlaczego na dokładkę nie zedrzesz mi koszuli z grzbietu i nie ukradniesz butów?

– Dałem ci te buty na wiosnę.

Kygones roześmiał się.

– Racja. I to piekielnie dobre buty. Bardzo dobrze, Helikaonie, zgodzę się na siedemdziesiąt pierścieni na głowę. Tylko dlatego, że cię

lubię.

– Ile płacisz Mykeńczykom?

Helikaon chwilę milczał, a jego twarz zmieniła się w kamienną maskę. Kygones zaklął w duchu. Odpowiedział bez zastanowienia. Ta suma była prawdziwa, ale zbyt niska i wzbudziła podejrzenia Złocistego. Potem Helikaon nieco się odprężył. Wzruszył ramionami.

– Przyjaciele nie powinni się spierać o takie drobiazgi – zdecydował. – Niech będzie siedemdziesiąt pierścieni. Przyślę galery z Troi.

– Wspaniale! A teraz naprawdę pójdę do łóżka – powiedział król. – Życzę ci pomyślnych wiatrów i czystego nieba podczas twych podróży.

Mówiąc to, Kygones uświadomił sobie, że naprawdę tak myśli. Zawsze lubił Helikaona.

Co za szkoda, że musi on tej nocy zginąć.

XI. MIECZE W BLASKU KSIEŻYCA

1.

Opuściwszy pokoje Kygonesa, Helikaon przeszedł przez megaron, gdzie sprzątano po uczcie. Rozejrzał się za Zidantasem, po czym przywołał jakiegoś sługę.

– Czy widziałeś mojego towarzysza, wielkiego człowieka z rozwidloną brodą? – zapytał.

– Nie, panie.

Poszedłszy dalej, zapytał kilku innych. W końcu zgarbiony sługa o wodnistych oczach udzielił mu odpowiedzi.

– Widziałem, jak rozmawiał z kapitanem Galeosem, a potem wyszedł.

– Gdzie znajdę kapitana Galeosa?

Kierując się wskazówkami sługi, Helikaon opuścił megaron i wyszedł na taras. Chłodne nocne powietrze zapowiadało deszcz, a od morza wiał zimny wiatr. Helikaon przystanął przy balustradzie i spojrzał na plażę. Ogniska jeszcze płonęły, ale większość marynarzy, którzy o świcie mieli zabrać się do swej ciężkiej pracy, już spała. Wiele straganów zakryto brezentowymi płachtami, a ich właściciele, zakutani w koce, siedzieli przy nich, pilnując towaru przed złodziejami. Stojąc i wdychając rześkie powietrze, Helikaon rozmyślał o wydarzeniach tej nocy.

To zdumiewające, że Mykeńczycy próbowali zabić go na plaży Grubego Króla. Kygones nie znał litości. Przystępcom podrzynano tu gardła. Ten drugi atak, tak blisko pałacu, graniczył z głupotą. A przynajmniej tak mu się wcześniej zdawało.

Teraz już wiedział. Kygones najał Mykeńczyków, żeby pilnowali jego wód, i kupił ich tanio. Kiedy wygadał się, za jaką cenę, Helikaon zrozumiał, że został zdradzony. Mykeńscy wojownicy, tacy jak Kolanos, nie sprzedawali swoich usług za tak niski żołd. Więcej zarobili by na piractwie i grabieży. Zgodzili się na sześćdziesiąt pierścieni, ponieważ na dokładkę zaproponowano im coś ważniejszego i cenniejszego.

Jego życie.

Wszystkie kawałki układanki znalazły się na swoich miejscach. Utrata pięciuset zbrojnych, którymi Kygones wspomógł hetycką armię, nie uszczupliła jego wojsk tak znacznie, żeby zmniejszyć liczbę patroli na plaży. A nawet gdyby, w tłumie powinno być choć kilku żołnierzy, kiedy Odyseusz snuł swoją opowieść. A nie było ani jednego.

Ponadto na ścieżce wiodącej do pałacu było za mało pochodni i żadnych żołnierzy.

Kygones nie potrzebował dodatkowych galer. Zatrzymał Helikaona, żeby Argurios i Glaukos wrócili bez niego. Helikaon już nie musiał szukać dowódcy straży. Wiedział, co się stało. Zidantasowi powiedziano, że Helikaon zostanie na noc w pałacu. Tak więc Wół już wrócił na plażę.

Ukoronowaniem zdrady było to, że Kygones pozbawił Helikaona

jego jedynej broni. Złocisty poczuł, że wzbiera w nim gniew – nie na Kygonesa, ale na siebie. Jak mógł być taki głupi? Wszystko to było wyraźnie widoczne, a on niczego nie widział. Stał tak przez chwilę, aż przeszedł mu gniew i rozjaśniło się w głowie. Kolanos z pewnością posłał więcej ludzi na ścieżkę nad urwiskiem, tak więc powinien pozostać tu aż do świtu albo znaleźć inną drogę na dół. Z początku myśl o pozostaniu w pałacu wydawała się lepszym rozwiązaniem. Kygones z pewnością nie zaryzykowałby gniewu Troi, biorąc aktywny udział w zamordowaniu jednego z jej sojuszników. Jednak zastanowiwszy się nad tym, doszedł do wniosku, że mogliby go zabić w pałacu, po czym porzucić jego ciało na ścieżce. Kygones być może już wydał rozkazy swoim zaufanym sługom.

Wróciwszy na plażę, między swoich ludzi, Helikaon byłby bezpieczny. Tylko jak się tam dostać?

2.

Kolanos, mykeński wojownik, nie należał do cierpliwych. Noc niemal dobiegła końca, a jego ludzie jeszcze nie wrócili. Tak więc, przypasawszy miecz i nałożywszy hełm, pospiesznie poszedł wzdłuż plaży, podążając pnącą się na urwisty brzeg ścieżką. Księżyc wyszedł zza cienkiej zasłony chmur. Wtedy Kolanos zauważył, że ma zakrwawiony chiton – plamy krwi były wyraźnie widoczne na jasnej tkaninie. Na rękach też miał krew. Przystanął, podniósł garść piachu i wytarł nim dłonie.

Większość żeglarzy na plaży już spała. Nieliczni siedzieli przy dogasających ogniskach i grali w kości. Po prawej było ognisko załogi *Ksantosa*. Dostrzegł siedzącego przy nim Arguriosa, Mykeńczyk spoglądał na morze.

Kolanos zawrzał gniewem. Nie lubił tego człowieka. Jego poczucie honoru uważał za śmieszne. Wrogów należy zabijać jak tylko się da. Postępowanie Arguriosa, który obronił Helikaona, dla Kolanosa było zagadką, której nie mógł pojąć. Kiedy Agamemnon się o tym dowie, wpadnie w furję. A Kolanos postara się, żeby król się o tym dowiedział. Argurios może teraz cieszyć się swoją pozycją na dworze, ale szybko ją utraci. Przy odrobinie szczęścia, w zależności od humoru Agamemnona, król może go także wyjąć spod prawa, skonfiskować jego włości, a za jego głowę wyznaczyć nagrodę. Kolanos poczuł przypływ irytacji. Tak pomyślnego rozwoju wydarzeń raczej nie mógł oczekiwać. Argurios, pomimo swego głupiego uporu, z jakim trzymał się dawnych zasad, był jednak bohaterem Mykeńczyków.

Kolanos piał się stromą ścieżką. Na górze, niemal w zasięgu wzroku wartowników przy bramie pałacu, znalazł pięciu ludzi, którym kazał zabić Helikaona. Czaili się w cieniu głębokiej skalnej szczeliny. Kolanos podszedł do nich. W świetle księżyca ujrzał krępa postać Asyryjczyka Habusasa.

- Nie widać go, panie – rzekł wojownik.
- Czy ktoś tędy przechodził?
- Kilku strażników. Kilka dziwek.

Kolanos schował się w cieniu. Habusas poszedł za nim, mówiąc

ściszonym głosem:

– Może został w pałacu na noc.

– Jeśli tak, to Kygones każe go zabić i zrzucić jego ciało na plażę. Miejmy nadzieję, że przyjdzie. Chcę zobaczyć minę tego bękarta, kiedy będzie mu wydłubywał oczy.

– Ktoś nadchodzi! – szepnął jeden ze zbrojnych.

Kolanos wyteżył wzrok. Od strony pałacu nadchodził żołnierz w stożkowatym hełmie i z pałką na ramieniu.

– Idź, zapytaj go o Helikaona – rozkazał Kolanos.

Habusas zawołał na żołnierza, a potem podszedł do niego. Rozmawiali przez chwilę, po czym Habusas wrócił.

– Powiedział, że Trojanin wrócił do komnat królewskich. To wszystko, co wie.

Kolanos spojrzał na niebo. Do świtu została najwyżej godzina.

– Zaczekamy jeszcze chwilę – rzekł.

Czas płynął. Kolanos był coraz bardziej zirytowany. Czyżby Kygones zmienił zdanie? Może postanowił nie zabijać Helikaona?

Nagle Habusas lekko klepnął go w ramię i wskazał w górę ścieżki. Z bramy pałacu wyszedł człowiek w czarnym chitonie i zaczął schodzić w kierunku plaży.

– Złapcie go i przytrzymajcie – powiedział Kolanos, wyciągając sztylet.

Gdy tamten podszedł, Habusas wyszedł z ukrycia, zastępując mu drogę. Pozostali otoczyli zaskoczonego przybysza i przyprowadzili go przed Kolanosa.

Mężczyzna miał czarne, krótko ścięte włosy, a twarz szeroką i obwisłą. Kolanos wepchnął sztylet do pochwy.

– Skąd masz ten chiton? – zapytał szorstko, poznając złoty haft przy szyi.

Zamiast odpowiedzieć, mężczyzna rzucił się do ucieczki. Habusas oraz dwaj Mykeńczycy złapali go i przywlekli z powrotem przed oblicze Kolanosa.

– Zadałem ci pytanie. Odpowiadaj! – rzucił ich dowódca.

– Od trojańskiego księcia, panie.

– Dlaczego dał ci tę szatę?

– Zamieniliśmy się na ubrania. Jestem żołnierzem króla. Trojańczyk powiedział, że chce zrobić kawał przyjaciołom, i pożyczył moje szaty oraz pałkę. Powiedział, że jutro mogę przyjść na plażę, to mi wszystko odda.

Gniew ścisnął gardło Kolanosa. Cofnął się i spojrzał na Habusasa.

– Poślijcie tego człowieka na plażę. Najkrótszą drogą.

Mykeńczycy zaciągnęli szamoczącego się żołnierza na skraj urwiska. Rozpaczliwie czepiał się oprawców. Habusas dwukrotnie uderzył go w twarz, na pół ogłuszając. Kolanos podbiegł ze sztyletem w dłoni i wbił go w pierś nieszczęśnika, po czym wyrwał ostrze. Śmiertelnie ranny żołnierz osunął się na kolana. Mykeńczycy doskoczyli do niego i kopniakami zrzucili z urwiska. Ciało spadło na przybrzeżne skały.

Niebo już pojaśniało.

– Koniec z zasadzkami – rzekł Kolanos. – Dopadniemy go na

morzu.

3.

Helikaon zszedł ze skalnej ścieżki i pomaszerował po kamienistej plaży. Był zmęczony, ale podnosiło go na duchu to, że przechytrzył Mykeńczyków. Kolanos czekał na niego w ciemności z pięcioma ludźmi. To, że uważali, iż będzie ich potrzeba aż tylu, było dla niego komplementem.

Stożkowaty hełm przekrzywił mu się na głowie, gdyż Helikaon nie zacisnął paska pod brodą, a obsyty płytkami z brązu skórzany napierśnik był na niego za duży i ocierał mu skórę na ramionach. Idąc plażą w kierunku ogniska załogi *Ksantosa*, czuł się niezręcznie. Nagle potknął się i pękł mu pasek prawego sandała. Odrzuciwszy go kopniakiem, Helikaon poszedł dalej.

Większość jego ludzi jeszcze spała. Zdjąwszy hełm, rzucił go na piasek, a potem rozpiął napierśnik. Oniakos spostrzegł go.

– Wychodząc, byłeś lepiej odziany – zauważył.

– Czeka nas długi dzień. Powinieneś spać – powiedział mu Helikaon, po czym pomaszerował na *Ksantosa*.

Wspiął się na pokład rufowy. Spali tam dwaj marynarze, a trzeci pełnił wartę. Helikaon otworzył luk i wszedł w stygijskie ciemności pod pokładem. Po omacku znalazł swój kufer i podniósł wieko. Sięgnął doń i wyjął zapasowy chiton, a potem wrócił na pokład i zdjął sięgającą mu do połowy łydki szatę wartownika. Włożywszy swoją odzież, spojrzał w kierunku pałacu.

Zdrada Kygonesa zaskoczyła go. Wprawdzie nie byli przyjaciółmi, ale dotychczas ich wspólne interesy były zyskowe dla nich obu, więc Grubemu Królowi musiano zaproponować naprawdę ogromną sumę, skoro przyłożył rękę do próby zamordowania Helikaona. Żadnego pirata – nawet Kolanosa – nie było stać na przekupienie króla. Nie, tę zapłatę musiano obiecać w imieniu Agamemnona. Helikaon nie widział w tym sensu. Minał ponad rok, od kiedy zabił Alektruona, i od tej pory nie uczynił niczego, co mogłoby obrazić mykeńskiego władcę. Jednak powód wrogości Agamemnona miał teraz mniejsze znaczenie. Najważniejsze było to, ilu innym królom na kupieckich szlakach obiecano fortunę za udział w spisku na jego życie? Ilu wodzom piratów? Lub zabójcom?

Ojciec Helikaona, Anchizes, został zamordowany przez takiego płatnego mordercę. I okaleczony. Zabójca ostrym sztyletem poderżnął królowi gardło, a potem odciął mu ucho. W jaki sposób dostał się do pałacu, pozostawało zagadką. Żaden strażnik nie widział intruza, chociaż jeden zameldował, że widział jakiś cień poruszający się wysoko na wschodnim murze. Jednak uznał, że to mu się tylko przywidziało.

Nawet teraz, po dziewięciu latach, szpiedzy Helikaona wciąż przeszukiwali wsie i miasteczka wokół Wielkiej Zieleni, szukając śladów zabójcy i człowieka, który go wynajął.

Jakiś ruch przykuł wzrok Złocistego – to spychano na wodę mykeńskie galery. Helikaon zauważył jasnowłosego Mykeńczyka stojącego na plaży. Mykeńczyk podniósł głowę i ich spojrzenia się spotkały.

– Ciesz się dniem, Złocisty! – krzyknął Kolanos. – Ten będzie pamiętny!

Helikaon zignorował go i nadal przyglądał się mykeńskim załogom krzatającym się na swoich okrętach. Trzy czarne galery były długie i smukłe, każda z pięćdziesięcioma wioślarzami siedzącymi na górnym pokładzie. Z dziobów sterczały okute brązem tarany. Kolanos, brodząc po pas w falach przyboju, ostatni wszedł na pokład. Po obu stronach dziobu były namalowane czerwone oczy nadające galerze demoniczny wygląd.

Kiedy mykeńskie okręty wypłynęły na zatokę, wioślarze pochyłili się nad wiosłami, a pozostali zaczęli kłaść maszty. Helikaon wiedział, że po wyjściu w morze będą czekać na *Ksantosa*. Galerą z położonym masztem łatwiej manewrować w bitwie. I chcieli, żeby to zobaczył, inaczej pozostawiliby maszty i położyli je dopiero wtedy, kiedy byłiby poza zasięgiem wzroku.

Rzucali mu wyzwanie, którego nie można było zignorować.

Kolanos miał wszelkie powody sądzić, że zwycięstwo będzie jego. Mykeńskie galery były mniejsze oraz szybsze niż *Ksantos*, i miał trzy razy więcej ludzi niż Helikaon.

Jednak nie doceniał geniuszu Kalkeusa, Szaleńca z Miletu.

Na wschodzie wyszło zza skał słońce, malując niebo barwami koralu i złota.

Przeszedłszy z powrotem przez śródokręcie, Helikaon wspiał się na pokład rufowy i spojrział na plażę.

Gdzie, na Hades, podział się Wól? – pomyślał, wypatrując go pośród swoich ludzi.

XII. NADEJŚCIE BURZY

1.

Godzinę wcześniej Andromacha wspięła się długą ścieżką na urwisko, rozmyślając o jasnowidzu, który przepowiedział jej przyszłość. Odyseusz miał rację: ten człowiek nie był zabawny. Tylko skąd wiedział, że była kapłanką z Tery? Może, pomyślała, powinnam podejść do tego mężczyzny w jednym sandale. Uśmiechnęła się. I co by odkryła? Że jest synem wieśniaka z jakiejś zapadłej wioski albo ma żonę i siedmioro hałaśliwych dzieci? Szła dalej, podniesiona na duchu. Rozmowa z Odyseuszem była więcej niż przyjemna. Spotkanie z kimś tak bystrym i inteligentnym, a zarazem miłym i zabawnym było niczym źródłana woda dla wyschniętego języka. Gruby Król miał umysł ostry jak sztylet, ale żadnych ludzkich uczuć – przynajmniej takich, które mogłaby dostrzec.

Wspinając się ścieżką, zaczęła rozmyślać o tym niebieskookim mężczyźnie, którego napadnięto na plaży. Chciał coś do niej powiedzieć, kiedy zaatakował go nożownik. Andromacha zastanawiała się, co zamierzał rzec. Uprzejmie pozdrowić czy bezczelnie zaprosić, by zległa z nim na piasku? Nigdy się tego nie dowie.

U szczytu kamiennych schodów zobaczyła krew na kamieniach. Rozmazana smuga ciągnęła się do krawędzi ścieżki biegnącej skalnym urwiskiem. Andromacha, nie poświęciwszy jej więcej uwagi, ruszyła do bramy twierdzy.

Przeszedłszy przez nią, wspięła się po schodach do kwatery, którą jej przydzielono. Tam czekała na nią jej szczupła, czarnowłosa służąca, Polizja. W świetle pochodni wyglądała na zdenerwowaną, a wchodzącą Andromachę powitała z wyraźną ulgą. Podbiegła do niej.

– Och, gdzie byłaś, pani? Okropnie się niepokoiłam. Myślałam, że zostałam porwana!

– Poszłam się przejść po plaży – powiedziała Andromacha.

– Nie powinnaś. Tej nocy kogoś tam zamordowano.

Andromacha skinęła głową.

– Wiem. Kiedy zbierze się grupka mężczyzn, chyba zawsze dochodzi do morderstw, bójek lub gwałtów?

Polizja zmarszczyła brwi.

– Nie rozumiem. Skoro o tym wiesz, pani, dlaczego tam poszłaś?

Andromacha podeszła do stołu i napełniła sobie gliniany kubek rozcień czonym winem.

– A czemu nie? Nie mogę zmienić świata mężczyzn, ale nie mam ochoty skrywać się w jaskini.

– Miałabym straszne kłopoty, gdybyś zaginęła. Król kazałby mnie wybatożyć... albo stracić.

Andromacha odstawiła kubek i podeszła do niej. Kosmyk czarnych włosów opadł na czoło dziewczyny. Andromacha odgarnęła go, a potem nachyliła się i pocałowała ją w usta.

– Jednak nie zaginęłam – powiedziała. – Jestem tutaj i wszystko będzie dobrze.

Polizja zaczerwieniła się.

– Możesz już wrócić do siebie – powiedziała jej Andromacha. – Prześpij się trochę.

– Chcesz, żebym została z tobą, pani?

– Nie dziś. Idź już.

Kiedy Polizja zostawiła ją samą, Andromacha wyszła na balkon i spojrzała na plażę w dole. Niebo już pojaśniało. Zobaczyła, że trzy mykeńskie galery zepchnięto na wodę i marynarze wchodzą na pokłady. Zdjąwszy ubranie, przewiesiła je przez poręcz krzesła, a potem weszła do łóżka. Zasnęła szybko i śniła o Kaliope. Pływały nocą w zatoce. To był przyjemny sen. Potem Kaliope zaczęła tytułować ją księżniczką, co było dziwne, gdyż na Terze wszystkie były księżniczkami.

– Księżniczko!

Andromacha otworzyła oczy i ujrzała stojącą przy łóżku Polizję. Przez otwarte drzwi balkonu zobaczyła, że niebo jest czyste i błękitne, a słońce jasno świeci. Z trudem usiadła, zasnana.

– Przynieś mi trochę wody – powiedziała.

Polizja zrobiła to i Andromacha zaczęła pić.

– Jest okropne zamieszanie – oznajmiła Polizja. – Król się wścieka, a żołnierze przeszukują plażę.

– Powoli – przerwała jej Andromacha. – Jakie zamieszanie?

– Nowe morderstwa. Jeden ze strażników pałacu został zadźgany i rzucony z urwiska, a jakiś marynarz straszliwie okaleczony. Ktoś mi mówił, że ucięto mu głowę.

– To naprawdę okropne miejsce – szepnęła Andromacha.

Wstała z łóżka, po czym naga wyszła na balkon i zaczerpnęła powietrza. Było rześkie i chłodne.

– Powinnaś wrócić do komnaty, pani. Ktoś może cię zobaczyć.

Andromacha odwróciła się. Sen o Kaliope wciąż był żywy w jej pamięci, a jej ciało rozgrzane i niespokojne.

– I co by zobaczył? – zapytała służącą. Polizja znów się zarumieniła.

– Jesteś bardzo piękna – szepnęła. Andromacha roześmiała się.

– Wczoraj byłam pospolitej urody, a dziś wszyscy mi mówią, że jestem piękna.

Przyciągnąwszy do siebie Polizję, ponownie pocałowała ją w usta. Tym razem dziewczyna rozchyliła wargi i odwzajemniła pocałunek. Nagle ktoś załomotał do drzwi.

– Jesteś ubrana? – zapytał ów ktoś. Poznała głos Kygonesa.

– Chwileczkę! – zawołała.

Polizja pomogła jej włożyć długą zieloną suknię, a potem podbiegła do drzwi, otworzyła je i odsunęła się, pochylając głowę w ukłonie.

Kygones wszedł do komnaty. Był blady i widać było po nim, że jest spięty.

– Dzisiaj odpłyniesz do Troi – oznajmił. – Zbierz swoje rzeczy, a ja odprowadzę cię na brzeg.

– To zapewne będzie podniecający spacer – powiedziała. – O ile mi

wiadomo, na twoim brzegu co chwila kogoś zabijają.

Zesztywniał.

– Miniona noc była wyjątkowa – rzeki. – Nie jesteśmy dzikusami.

– Słyszałam, że komuś jednak ucięto głowę.

– Zbierz się najszybciej jak możesz – odparł, po czym wyszedł.

Andromacha odwróciła się do Polizji.

– Myślę, że spodobałoby ci się życie na Terze – powiedziała.

– Szkoda, że wyjeżdżasz – odparła ze smutkiem dziewczyna.

– Może znów się spotkamy. Taką mam nadzieję. A teraz pomóż mi się spakować, Polizjo. Król się niecierpliwi.

2.

Idąc skalną ścieżką obok Andromachy, Kygones nie był w nastroju do rozmowy. Towarzyszyło im dwudziestu żołnierzy. Dwaj z nich niesli kufry z ubraniami Andromachy. Kygones trzymał dłoń na rękojeści miecza, który dał mu Helikaon. Miał nadzieję, że nie będzie musiał go użyć.

Skąd, na Zeusa, Złocisty wiedział, że będą tu na niego czekać zabójcy?

Gruby Król żałował, że posłuchał Kolanosa i skusił się na nagrodę wyznaczoną przez Agamemnona. To złoto przekraczało wartość dwuletnich zysków, jakie czerpał z zawijających tu statków Helikaona, a śmierć Złocistego nie wpłynęłaby znacząco na przychody Kygonesa. Ktoś inny odziedziczyłby te statki, a one nadal korzystałyby z Zatoki Niebieskiej Sowy. Wszystko wydawało się takie proste. Wycofać żołnierzy i pozwolić, by Kolanos zabił Helikaona. Kiedy to się nie udało, zaprosił Złocistego do pałacu. Czający się na ścieżce ludzie powinni go zabić. Jednak nie. Pozostała im tylko jedna możliwość – kiedy będzie wracał na statek.

Kygones zdołał nawet pozbawić Helikaona miecza – a Złocisty i tak wymknął się zabójcom. Król zadrżał i zaczął się zastanawiać, czy to sami bogowie chronią Złocistego.

Jednak najbardziej dręczyło go inne pytanie: czy on wie?

I jeszcze te dwa trupy. Zabójstwo gwardzisty było zupełnie bezsensowne. Nie trzeba było szczególnej bystrości, aby zrozumieć, że to Kolanos lub jeden z jego ludzi, rozzłoszczony niepowodzeniem planu, dał upust swojej furii, zabijając biedaka, który zamienił się z Helikaonem na ubrania.

Jednak to bezgłowe ciało... To zupełnie inna sprawa. Zabity miał ślady licznych cięć i oparzeń, a przed śmiercią rozpruto mu brzuch. Ręce miał związane, a skóra na nadgarstkach była otarta i poszarpana, co świadczyło, że torturowany wił się w męce, usiłując zerwać więzy.

Z takim barbarzyństwem nawet Kygonesowi trudno było się pogodzić. Zabić kogoś, owszem, ale torturować i kaleczyć? Żaden cywilizowany człowiek nie powinien przykładąć ręki do takich okrucieństw. Zastanawiał się, co na to powie Helikaon. Obejrzał się na swoich żołnierzy. Zostali ostrzeżeni i nakazano im wypatrywać jakichkolwiek oznak zagrożenia.

Na plaży wciąż było tłoczno, ale cicho. Ponure miny marynarzy

świadczyły o tym, że wieść już się rozeszła. Podchodząc do *Ksantosa*, Kygones starał się zachować spokój. Helikaon stał tam, rozmawiając z królem Itaki, Odyseuszem. Kygones słyszał stukanie młotków i zgrzyt pił, dobiegające z wielkiego statku za ich plecami. Spojrzał w górę, ale pokłady były za wysoko, żeby dostrzec, skąd dokładnie dochodzą te dźwięki. Helikaon i Odyseusz przerwali rozmowę, gdy zobaczyli, że zbliża się do nich Kygones.

Król spojrział Helikaonowi w oczy i zadrżał w duchu. Spojrzenie Złocistego było tak lodowate, że Kygones miał wrażenie, że na plaży powiało zimowym chłodem.

– Przykro mi z powodu śmierci twojego człowieka – rzekł król, lecz Helikaon nie odpowiedział i zapadło niezręczne milczenie. Kygones zauważył, że Złocisty bacznie przygląda się przyszłej małżonce Hektora.
– Pozwól mi przedstawić Andromachę, córkę króla Teb pod Plakos.

– To ty masz poślubić Hektora? – zapytał Helikaon.

– Tak kazał mi ojciec – odparła.

Złocisty znów zamilkł i Kygones wykorzystał to.

– Zeszłej nocy zgodziłeś się przewieźć ją do Troi – rzekł.

Helikaon nie spojrział na niego. Nie odrywał oczu od twarzy Andromachy.

– Musisz popłynąć z Odyseuszem – powiedział. – Przed wyjściem z zatoki czekają trzy okręty wojenne. Chcą dokończyć to, co zaczęły zeszłej nocy.

Kygones znów się odezwał:

– Kolanos to... dzikus. Jego okręty nie są już częścią mojej floty.

Złocisty i tym razem mu nie odpowiedział. Przeniósł spojrzenie na morze. Potem uczynił coś tak niezwykłego, że Kygonesowi zrobiło się niedobrze. Książę przyklęknął przy przesiąkniętym krwią worku leżącym na piasku. Otworzywszy go, wyjął odciętą ludzką głowę. Była okaleczona – z wyłupionymi oczami. Krzepnąca krew pokrywała kikut szyi i splamiła dłonie Helikaona.

– Pamiętasz mojego przyjaciela, Zidantasa – powiedział spokojnie, tonem towarzyskiej pogawędki, nie zmieniawszy wyrazu twarzy. Chwyciwszy oburącz głowę, przycisnął ją do piersi. Nagły ucisk sprawił, że jedna z prze ciętych tętnic otworzyła się. Krew zaczęła leniwie ściekać na jego błękitny chiton, lecz on zdawał się tego nie zauważać.

W głuchoj ciszy Kygones słyszał bicie własnego serca. Potem Helikaon znów przemówił:

– Zidantas przybył tu w dobrej wierze, szukając miejsca na nocny spoczynek. Wpłynął do tej zatoki, ponieważ powszechnie wiadomo, że król Kygones zapewnia gościom bezpieczeństwo. Jego żołnierze pilnują porządku. Są wszędzie, nie dopuszczają do zwad. Jednak nie zeszłej nocy. Zeszłej nocy ten porządny człowiek został wywabiony z twojego pałacu. Potem był torturowany. A potem został zabity.

Kygonesowi zaschło w gardle. Obliznął wargi.

– Już wyjaśniałem powód nieobecności żołnierzy – rzekł. – I podzielam twój ból po utracie członka załogi. Jednak zważ na uczucia Andromachy, przyjacielu. Ten okropny widok z pewnością ją przeraża.

Helikaon wyglądał na zaskoczonego.

– Jesteś przerażona, bogini? – zapytał. – Czy widok mojego przyjaciela Zidantasa wywołuje w tobie niepokój?

– Nie – odparła spokojnie. – Nie znałam go. Jednak musiał być dobrym człowiekiem, skoro tak po nim bolejesz.

Kygones zauważył, że te łagodne słowa przedarły się przez pancerz obojętności Helikaona. Lekki tik poruszył mięśniami jednego policzka, gdy księżę starał się opanować. Podniósł odciętą głowę i ucałował jej czoło, po czym schował ją do zakrwawionego worka.

– Tak, był dobrym człowiekiem – rzekł. – Ojcem sześciu córek. Był wierny i odważny. Zasłużył na coś lepszego, nie na taką okropną śmierć z ręki mykeńskich dzikusów.

– Tak, został zamordowany przez dzikusów – powiedział ktoś. – Jednak nie wińcie za ten potworny czyn wszystkich Mykeńczyków.

Kygones odwrócił się i zobaczył przeciskającego się przez tłum Arguriosa.

– Nie jesteś tu mile widziany – rzekł Helikaon. – Widzę, że twój przyjaciel Glaukos wypłynął z Kolanosem i jego mordercami. Może powinieneś być do nich dołączyć. Wtedy spotkalibyśmy się na morzu i mógłbyś spróbować się zemścić.

– To prawda, że chcę pomścić Alektruona – rzekł Argurios. – Jednak zrobiłbym to twarzą w twarz, miecz przeciw mieczowi. Nie morduję moich wrogów, wbijając im sztylet w plecy. I nie torturuję.

– Ach – odparł Helikaon – więc jesteś dobrym człowiekiem i bohaterem. Może zechcesz nam towarzyszyć, kiedy zapolujemy na Kolanosa, żeby oddać go w ręce sprawiedliwości. Nie będziemy musieli daleko szukać.

Kygones zobaczył, że Argurios zeszywniał.

– Kolanos zasługuje na śmierć – powiedział – lecz ja nie mogę podnieść miecza na członka królewskiej świty. Powiadomię jednak mojego króla o tych potwornościach. Mimo to powinieneś pamiętać, Helikaonie, że Kolanos nie jest pierwszym, który odciął komuś głowę i wyłupił oczy.

Helikaon skinął głową.

– Jest w tym szczypta prawdy, aczkolwiek to mykeńska prawda, a więc przekrecona nie do poznania. Alektruon był barbarzyńskim mordercą, zabitym w uczciwej walce, po tym jak niczym nie sprowokowany napadł na neutralny statek. Zidantas był marynarzem, został podstępnie schwyty i poddany torturom. Miał związane ręce. Krew na jego twarzy dowodzi, że oczy wylupiono mu, kiedy jeszcze żył. – Helikaon zamilkł, po czym znów przemówił: – Zeszłej nocy dowiodłeś swego honoru i ocaliłeś mi życie. Jestem twoim dłużnikiem. Tak więc jesteś bezpieczny, Arguriosie. Jednakże, jak już powiedziałem, nie jesteś tu mile widziany.

Kygones spojrzał na mykeńskiego wojownika, który stał zjeżony, z dłonią na rękojeści miecza. Po chwili odwrócił się na pięcie i odszedł. Teraz Helikaon zwrócił się do Kygonesa.

– To już nie jest bezpieczna przystań dla uczciwych żeglarzy – powiedział. – Każę kapitanom moich statków unikać twoich zatok.

Po tych słowach podniósł przesiąknięty krwią worek i odszedł na

Ksantosa.

Kygonesowi zrobiło się niedobrze. Utrata opłat wnoszonych przez pięćdziesiąt statków Helikaona ciężko doświadczy jego skarbiec. Nim minie rok, nie będzie mógł płacić swoim najemnikom, a to oznacza, że bandyci w górach znów zaczną napadać na kupców podążających przez jego ziemie. Następne straty.

Marynarze *Ksantosa* i *Penelopy* razem zaczęli spychać wielki statek na wodę. Gdy zakołysał się na falach, ostatni członkowie jego załogi wspięli się po linach i wioślarze usiedli na ławach. Tajemnicze stukanie młotków nie cichło. Kiedy *Ksantos* piędź po piędzi ruszył wstecz, a potem wykonał zwrot, Kygones zobaczył kilka dziwnych drewnianych urządzeń montowanych na pokładzie. Jednak króla mało one interesowały. Czuł się tak, jakby ktoś pchnął go nożem i życiodajna krew wypływała z rany na piasek.

Wtedy przemówił Odyseusz, zimno i zdecydowanie:

– Statki z Itaki też nie będą tu zawijać, Kygonesie. A kiedy wieść się rozniesie, inni pójda za ich przykładem.

Kygones nie odpowiedział i Odyseusz odszedł. Na plaży panował dziwny bezruch. Nie spychano na wodę żadnego innego statku. Wszyscy wiedzieli, do czego zaraz dojdzie przy wyjściu z zatoki.

Zaczekają, aż bitwa się skończy.

3.

Andromacha w milczeniu szła obok Odyseusza. Rozmowa, której przed chwilą wysłuchała, była fascynująca i pełna ukrytych znaczeń. Kygones był bardzo zdenerwowany, kiedy podchodził do Helikaona. Dlaczego? Chociaż nie lubiła Grubego Króla, musiała przyznać, że nie jest nieśmiały i niełatwo go przestraszyć. W drodze na plażę był spięty i ostrzegł swoich ludzi, aby uważali na wszelkie oznaki wrogich zamiarów. Dlaczego spodziewał się nieprzyjaznego przyjęcia? Przecież to nie jego żołnierze napadli na Helikaona. Odyseusz też był dzisiaj inny. Smutniejszy i jakby starszy. Zerknęła na niego, gdy podchodzili do dogasającego ogniska załogi *Penelopy*. Wyglądał na przestraszonego, był blady i ponury.

Przy ognisku siedziała grupka mężczyzn i jasnowłosy chłopiec o twarzy szarej jak popiół i szeroko otwartych oczach. Odyseusz przyklęknął przy nim.

– *Penelopa* to dobry statek, Ksandrze. Statek, który przejdzie do legendy. Będiesz mógł opowiadać swoim wnukom, że na nim pływałeś.

Chłopiec podniósł głowę.

– Dlaczego oni zrobili to Zidantasowi?

– Posłuchaj mnie, chłopcze. Możesz spędzić całe życie, usiłując zrozumieć postęпки złych ludzi. Ich cieszy co innego niż nas. Uwielbiają zadawać ból, krzywdzić i zabijać. To daje im poczucie siły, gdyż tak naprawdę są puści i bezwartościowi. Zidantas będzie kroczył po zawsze słonecznych Polach Elizejskich, ponieważ bogowie kochają dobrych ludzi.

– Chcę wrócić do domu – rzekł przygnębiony chłopiec.

– Ja też – powiedział mu Odyseusz. – Teraz jednak idź i zjedz

jakieś śniadanie, a potem przynieś mi kawałek ciasta z tamtego straganu.

Dwaj żołnierze postawili na piasku kufry Andromachy. Podziękowała im i odeszli. Potem Odyseusz odwrócił się i patrzył, jak *Ksantos* płynie po wodach zatoki.

Zszedł na sam brzeg. Andromacha dołączyła do niego i przez chwilę stali w milczeniu, spoglądając na wschodzące słońce, rzucające złociste odblaski na błękit morza.

– Co się dzieje, Odyseuszu? – zapytała go. – Chodzi o nadchodzącą bitwę?

Martwisz się o swojego przyjaciela?

Odyseusz nagle zadrżał.

– Boję się, ale nie o jego bezpieczeństwo. Helikaon to wojownik, lecz w jego duszy są mroczne zakamarki, których lepiej nie zgłębiać.

– Nie rozumiem.

Westchnął.

– Czasem, kiedy człowiek głośno mówi o swoich obawach, bogowie słyszą go i czynią je rzeczywistością. Lepiej zaczekajmy i zobaczymy, czy moje obawy są bezpodstawne.

Andromacha stała przy nim, gdy *Ksantos* wypłynął na głębsze wody. Po chwili *Ksander* wrócił z kawałkiem ciasta. Odyseusz podziękował mu. Kiedy chłopiec odszedł, król Itaki znów stał i patrzył w milczeniu.

– Dlaczego zrobili to jego przyjacielowi? – zapytała Andromacha.

– Żeby rozwścieczyć Helikaona, wytrącić go z równowagi. I łatwiej go pokonać. – Zaklął pod nosem. – Jednak *Kolanos* zrobił to przede wszystkim dlatego, że lubi zadawać ból. To nędznik.

– Zdaje się, że to im się udało. Helikaon wyglądał na... załamane.

– Nie uda im się. Znam Helikaona. Kiedy wypłynie z zatoki, będzie myślał trzeźwo. – I z wymuszonym uśmiechem dodał: – Znów nazwał cię boginią.

– Wiem. Dziwię się, że nigdy przedtem o nim nie słyszałam.

– Ach, zapewne słyszałaś. Przyjaciele nazywają go Helikaonem. Naprawdę zwie się Eneasze i jest księciem Dardanii.

– Masz rację, Odyseuszu. Słyszałam o nim. To człowiek, który nie chciał być królem.

– Kryje się za tym znacznie więcej – rzekł Odyseusz. – Może nie tego chciał, ale uszanował wolę ojca. Chociaż ten drań nie zasługiwał na takiego syna. Anchizes był złym człowiekiem. Powinien był urodzić się pokryty łuskami, jak jaszczurka. Wydziedziczył Helikaona i wyznaczył swoim dziedzicem drugiego syna, Diomedesa.

– Dlaczego?

– To długa historia. Opowiem ci ją w drodze do Troi. Jednakże Anchizes został zamordowany tej samej nocy, gdy wpłynęliśmy do jego zatoki. Helikaon od dwóch lat pływał jako członek załogi *Penelopy* i właśnie wyciągnęliśmy statek na brzeg poniżej fortecy jego ojca. Zabójca uderzył w nocy. Król nie żył, a wyznaczony przez niego następca tronu był jeszcze niemowlęciem – królestwu groziła wojna domowa. Naród

może mieć tylko jednego władcę. Czy wiesz, co by się po czymś takim stało w większości królestw?

– Dziecko i jego matka zostaliby zabici – powiedziała Andromacha.

– Albo ludzie wierni królowej próbowaliby zabić Helikaona.

– Właśnie. Część zwolenników królowej przybyła na brzeg, zamierzając go zabić. Załoga *Penelopy* chwyciła za broń. Walczyliby za Helikaona, ponieważ go kochali. Wciąż go kochają. Powinno dojść do walki. – Odyseusz zachichotał. – Na jaja Aresa, czy wiesz, co on zrobił? Mając siedemnaście lat! Kazał wszystkim schować broń, podszedł do ludzi, którzy przybyli go zabić, i powiedział im, żeby zaprowadzili go do królowej. Była w swoich pokojach, otoczona przez wiernych strażników. I była przerażona, bo Halizja – chociaż to miła dziewczyna – nie jest silną kobietą. Helikaon zapewnił ją, że jej dziecko będzie bezpieczne i jej też nic się nie stanie. Potem obiecał spełnić ostatnią wolę ojca i przyrzekł posłuszeństwo Halizji i Diomedesowi. Stał tam bez broni, zdany na jej łaskę, a jednak zwyciężył. Wszyscy podporządkowali się jego woli. A także szczerości, jaka od niego biła. W ciągu kilku następnych miesięcy zreorganizował królestwo i wyznaczył nowych doradców królowej. Bez walki, bez wojny domowej, bez zabijania. Niezwykłe, prawda?

– Istotnie – przyznała. – Dlaczego to zrobił?

– Musisz go o to zapytać. Może nawet ci powie. – Odyseusz zszedł nad samą wodę i usiadł na skale. – Przez jakiś czas żaden statek nie wypłynie z zatoki – powiedział. – Tak więc zjemy śniadanie tutaj.

Zaczął jeść ciasto, które przyniósł Ksander.

– Opowiedz mi coś o Helikaonie – poprosiła Andromacha, siadając przy nim. – Czy ma dzieci?

Odyseusz zachichotał.

– Pytasz, czy jest żonaty? Nie. Czeka na miłość. Mam nadzieję, że ją znajdzie.

– Dlaczego miałby nie znaleźć? Jest młody, bogaty i odważny.

– Tak, jest odważny, lecz miłość wymaga innego rodzaju odwagi, Andromacho.

Uśmiechnęła się.

– Nie widzę w tym sensu.

Odyseusz wzruszył ramionami.

– Jest coś, czego lęka się każdy wojownik, modląc się, żeby nigdy nie musiał tego uczynić, a jednak musi to zrobić, jeśli ma zaznać miłości.

– Następną zagadka, a ja nie jestem dobra w ich rozwiązywaniu.

– Mało kto jest. Wojownicy obawiają się niewoli. Są dumni i butni. Gotowi walczyć do końca za to, w co wierzą. Gotowi podbijać. Miłość nie polega na podbojach. Rzecz w tym, że człowiek może zaznać prawdziwej miłości tylko wtedy, kiedy się jej podda. Kiedy otworzy serce przed ukochaną i powie: „Oto jest! Masz moje serce! Należy do ciebie, możesz je utulić lub zniszczyć”.

Andromacha spojrzała w brzydką twarz króla i poczuła przypływ sympatii do tego człowieka.

– Ach, Odyseuszu – powiedziała. – Teraz rozumiem, dlaczego

Penelopa cię kocha.

Pokraśniał.

– Za dużo mówię – mruknął.

– Sądzisz, że Helikaon obawia się kochać?

– To dobry człowiek. Jednak kiedyś był dzieckiem tragedii i smutku. To wywarło na nim piętno.

Przez chwilę oboje milczeli. W końcu Andromacha powiedziała:

– Mówiłeś, że jest przyjacielem Hektora.

– Więcej. Są sobie bliscy jak bracia. Helikaon przez rok przebywał w Troi, tworząc swoją flotę. Mieszkał u Hektora. Mówiono mi, że raz nawet walczył razem z trojańską jazdą. Jej widok raduje oczy. Najlepsi jeźdźcy na świecie. Lubisz konie?

– Lubię jeździć konno.

– Zatem spodoba ci się życie z Hektorem. Nikt nie wie więcej o koniach i nie hoduje lepszych wierzchowców. Konie to jego pasja.

– Doprawdy, to niepokojące – zauważyła sucho.

Odyseusz roześmiał się.

– A co do uwagi, którą rzuciłaś zeszłej nocy: Hektor się nie upija, a czka, tylko jeśli chce okazać uprzejmość. Co zaś do wypraw wojennych, to nigdy nie spotkałem mężczyzny, który mniej lubiłby wojaczkę i lepiej się na niej znał. Pozostawiony w spokoju, Hektor siedziałby przy swoich koniach i nigdy nie wyruszyłby do boju.

– Lubisz go.

– Istotnie, lubię, Andromacho. W tym pełnym przemocy świecie on jest jak jasny poranek po burzy. Uczyni wszystko co w jego mocy, żeby dać ci szczęście.

– Tego nikt nie może mi dać. Będę szczęśliwa lub nie. Żaden mężczyzna nie da mi szczęścia ani mnie go nie pozbawi.

– Masz surowe zasady, Andromacho. Jednak nie mylisz się co do tego, że nikt z nas nie może zapewnić szczęścia innym. Może ich natomiast unieszczęśliwić.

Znów spojrział w głąb zatoki i ujrzał, że *Ksantos* wypływa na otwarte morze.

– Myślę, że oni pożałują tego, co zrobili Zidantasowi – rzekł. A potem westchnął. – Wszyscy możemy tego pożałować.

XIII. OKRĘT W PŁOMIENIACH

1.

Na pokładzie *Ksantosa* trwała gorączkowa krzątanina. Kolejne cztery maszyny wojenne wymyślone przez Kalkeusa wyniesiono w częściach z ładowni i pod czujnym okiem Oniakosa mocowano do desek pokładu. Ci marynarze, którzy nie brali w tym udziału, wkładali skórzane napierśniki i hełmy, brali łuki, kołczany i miecze. Helikaon dociągnął rzemienie swojej zbroi z brązu. Kątem oka dostrzegł, że zbliża się ku niemu potężna czarnobroda postać. Przez moment myślał, że to Zidantas, i poczuł przyływ otuchy. Potem uświadomił sobie bolesną prawdę i zemdlilo go na wspomnienie straszliwej śmierci przyjaciela. Przed nim stanął Egipcjanin Gershom.

– Powinieneś być zostać na brzegu – rzekł Helikaon, ostrzej niż zamierzał. – Tu potrzebni są tylko wojownicy.

W czarnych oczach Egipcjanina zapalił się gniew.

– Nie jestem żeglarzem, Helikaonie, ale przekonasz się, że potrafię walczyć.

– Pokaż mi dłonie.

Gershom wyciągnął ręce. Obie były zabandażowane i przez płótno sączyła się krew.

– Nie zdołałbyś utrzymać miecza – ocenił Złocisty.

– Nie – przyznał Gershom. – Jednak jeśli pozwolisz, wezmę palkę Zidantasa. Znałem go tylko jeden dzień, ale skoczył po mnie do morza i jestem jego dłużnikiem. A Oniakos mówił mi, że Zidantas zawsze stał przy tobie w boju.

Helikaon skinął głową.

– Tak, stał. – Zacerpnał tchu. – Niech będzie, jak mówisz, Gershomie. Trzymaj się blisko mnie.

Potem zawołał Oniakosa. Czarnowłosy wioślarz przybiegł na pokład rufowy.

– Wiesz, czego możemy oczekiwać po wyjściu z zatoki? – zapytał Helikaon.

– Myślę, że „trójzęba Posejdona” – odparł Oniakos.

– Ja też tak uważam – przyznał Helikaon. – Kolanos będzie na okręcie flagowym, płynącym z przodu, najdalej od nas. Gdy tylko go zobaczymy, wiosłować na sześć. Podejdziemy do niego najszybciej jak można.

Oniakos wyraźnie się zaniepokoił.

– Wtedy wystawimy obie burty na atak pozostałych galer – zauważył. – Jeśli szybko podpłyną, wedrą się na pokład.

Helikaon puścił tę uwagę mimo uszu.

– Na dziobie i na rufie chcę mieć ludzi z linami i hakami, a także dziesięciu naszych najlepszych wojowników gotowych do ataku.

Oniakos skinął głową.

– Myślisz, że manewr kulawego łabędzia wystarczy na trzech przeciwników?

– Nie. Będziemy musieli zniszczyć katapultami co najmniej jedną z galer. Skupcie się na okręcie flagowym. Trzeba go zepchnąć w tył, inaczej uderzą w nas z dwóch stron. Sądzę, że *Ksantos* wytrzymałby zderzenie, ale na każdej z tych galer jest ponad pięćdziesięciu zbrojnych. Gdyby wdarli się na pokład, mieliby ponaddwukrotną przewagę liczebną.

– Sam stanę przy katapulcie na dziobie. Nie chybię, Złocisty.

Oniakos był najzręczniejszym z tych, którzy na Cyprze w tajemnicy uczyli się posługiwać nową bronią. Wybrano do tego najspokojniejszych i najbardziej opanowanych. Helikaon dobrze wiedział, jak ważne jest to, żeby nikt nieostrożny nie miał dostępu do neftaru. Ten żrący, cuchnący płyn był niezwykle łatwopalny, a kiedy zapłonął, niemal nie można go było ugasić. Zalany wodą, płonął jeszcze silniej. Na *Ksantosie* było osiemdziesiąt glinianych kul wypełnionych tym cennym płynem i zalanych woskiem. Każda kula, wielkości męskiej głowy, kosztowała tyle co osiem osłów. Byle nieostrożność mogła zmienić *Ksantosa* w statek płomieni.

– Upewnij się, że ludzie wiedzą, co zamierzamy – ostrzegł Helikaon. – Do ostatniej chwili nie będziemy wiedzieli, na którą galere uderzymy. Nie chcę, żeby wiosła połamały się przy zwrocie albo żeby ktoś upuścił kulę z neftarem.

– Tak, panie – odparł Oniakos.

Helikaon poszedł na rufę, gdzie przy wiosle sterowym leżała nabijana gwoździami pałka Zidantasa. Zważywszy broń w dłoni, dał ją Gershomowi.

– Znajdź sobie napierśnik i hełm – powiedział – a potem wróc tutaj.

Gershom odszedł, a Helikaon zwrócił się do sternika, którym był Epeus o zmierzwionej brodzie.

– Gdzie twoja tarcza?

– Zapomniałem o niej, panie.

– Przynieś ją natychmiast – rozkazał Helikaon i przejął od niego ster. – To ciebie będzie próbował położyć każdy mykeński łucznik.

– Nie trafiają mnie – odparł z szerokim uśmiechem Epeus. – Zeszłej nocy jasnowidz powiedział mi, że dożyję osiemdziesiątki i będę miał dziesięciu synów oraz trzydzieścioro wnucząt.

– Oby miał rację – rzekł Helikaon. – A teraz przynieś tarczę.

Kiedy sternik pobiegł na śródokręcie, Helikaon spojrzał na zatokę i otwarte wody za nią. Niebo było błękitne i bezchmurne, morze spokojne, wiatr słaby. Mykeńskich galer jeszcze nie było widać. Domyślił się, że jedna będzie tuż za cyplem na południu, a dwie pozostałe za wyspą osłaniającą wejście do zatoki – jedna na zachodzie, druga na północy. Mykeńczycy podpłyną do *Ksantosa* z trzech stron, wiedząc, że nawet najzwrotniejsza galera nie zdoła uniknąć ataku przypuszczonego z trzech stron. Będą chcieli staranować *Ksantosa* i wybić dziurę w kadłubie. Kiedy jego okręt zostanie unieruchomiony i zacznie brać wodę, wszystkie galery podpłyną do niego i załogi spróbują abordażu. Kolanos wiedział, że jego galery są szybsze i lżejsze od

Ksantosa, ale nie miał pojęcia o jego machinach miotających i glinianych kulach zapalających, które można z nich wystrzeliwać.

Epeus wrócił z wysoką wygiętą tarczą na lewym przedramieniu. Była zrobiona z czarno-białej krowiej skóry okutej brązem i mogła zatrzymać większość strzał. Za nim przyszedł Gershom. Egipcjanin był bardzo muskularny i choć nie tak potężny jak Zidantas, wyglądało na to, że bez trudu będzie umiał posłużyć się ciężką pałką. Myśli o Zidantasie legły brzemieniem na sercu Helikaona, gdy statek płynął przez zatokę.

Argurios miał rację. Gdyby Złocisty nie okaleczył zwłok Alektruona, Zidantas prawdopodobnie by żył. Helikaon winił się za jego śmierć. W całym swoim życiu miał tylko trzech prawdziwych przyjaciół: Odyseusza, Hektora i Zidantasa. Teraz stracił jednego z nich.

Głos Gershoma wyrwał go z tych ponurych rozmyślań.

– Co to takiego ten „kulawy łabędź”? – zapytał Egipcjanin.

– To manewr, jaki wykonuje statek. Wyobraź sobie łabędzia ze złamanym skrzydłem, który próbuje wzbić się w powietrze. Obraca się w miejscu. Dobrze wyszkolona załoga galery może zrobić to samo. Jeśli to się uda, trzymaj się blisko mnie, gdyż przeskoczę na jeden z ich okrętów, a walka będzie zaciekła.

– Będę przy tobie, Złocisty.

Helikaon obejrzał się. Na plaży dostrzegł maleńką postać Odyseusza, który stał nad samą wodą z piękną Andromachą. W myślach ujrzał jej twarz. Odyseusz często snuł opowieści o ludziach, którzy zakochali się od pierwszego wejrzenia. Helikaon nie wierzył w takie cuda. Miłość z pewnością musiała rodzić się ze zrozumienia i przyjaźni, obopólnego zaufania i posiadania dzieci. Teraz nie był już tego taki pewny.

Zeszłej nocy jej widok poraził go jak piorun. Dzisiaj, choć opłakiwał śmierć przyjaciela, spojrzął na nią i poczuł tęsknotę, jakiej jeszcze nigdy nie doświadczył. Przyszła mu do głowy nagła i niepokojąca myśl. Spojrzął na Gershoma.

– Czy na plaży stałeś dostatecznie blisko mnie, żeby słyszeć moją rozmowę z Grubym Królem?

– Tak.

– Czy pamiętasz, jak nazwałem kobietę, która była z nim?

– Nazwałeś ją boginią.

Helikaon zaklął.

– Miała surową twarz – rzekł Gershom.

– Nie surową. Silną. Tę kobietę przepelniała namiętność i współczucie. Jest mądra, odważna i bezgranicznie wierna.

– Zatem ją znasz? Myślałem, że jest ci obca.

– Zna ją moja dusza.

Ksantos powoli przepłynął obok wyspy osłaniającej wejście do zatoki. Za nią, na zachodzie, Helikaon ujrzał mykeński okręt flagowy *Kolanosa*. Namalowane na dziobie czerwone oczy zdawały się groźnie spoglądać na *Ksantosa*.

– Widzisz go, Oniakosie?! – zawołał Helikaon.

– Tak, panie! – odkrzyknął zapytany.

Helikaon popatrzył na *Ksantosa*. Przy każdej z pięciu machin miotających stało po czterech mężczyzn. W pobliżu klęczeli łucznicy. Przy relingach ustawiono mosiężne kociołki z płonącymi węglami i łucznicy owijali groty strzał namoczonymi w oleju szmatami.

– Przygotować neftar! – rozkazał Helikaon.

Obsady machin natychmiast wykonały rozkaz, napinając je i blokując odciągnięte ramiona. Następnie ostrożnie umieściły w koszach zapieczetowane woskiem gliniane kule.

Ksantos wypłynął na otwarte morze. Na południu zza cypla wyłoniła się druga galera, tnąc wiosłami wodę. Pędziła w ich kierunku. Helikaon zerknął w prawo. Trzecia galera pojawiła się od północy. Zamocowany pod jej dziobem taran z brązu zabłysł w słońcu.

– Wioślarze! – ryknął Helikaon, przenosząc wzrok na zachód, na mykeński okręt flagowy, który szybko zbliżał się do *Ksantosa*. – Tempo sześć!

Ksantos skoczył naprzód, gdy sześćdziesiąt wioseł wbiło się w spokojną błękitną toń. Nabierając szybkości, wielki statek skierował się na krwawooki okręt flagowy Kolanosa. Nieprzyjacielska galera z południa zbliżała się, ale *Ksantos* ją wyprzedził.

Płonące strzały poszybowały w powietrze. Kilka ognistych pocisków trafiło w pokład. Marynarze narzucili na nie mokre szmaty i zdusili płomienie. Galera z północy zbliżała się szybko od sterburty. Zaraz uderzy jak włócznia trafiająca w serce i brązowym taranem przebije kadłub. Helikaon stał i ponuro spoglądał na zbliżający się okręt.

Teraz wszystko zależało od umiejętności ludzi przy machinach miotających.

Nagle dardański książę poczuł dziwny spokój. Wydawało się, że czas zwolnił bieg. Za nim, uzbrojony w nabijaną gwoździami pałkę Zidantasa, stał muskularny Gershom. Nie widać było po nim lęku.

Oniakos wydał rozkaz i obsada maszyny na sterburcie zwolniła zaczep. Drewniane ramię zatoczyło krótki łuk. Kula z neftarem przeleciała w powietrzu i rozbila się na pokładzie podpływającego mykeńskiego statku. Następna poleciała w ślad za pierwszą. I ona trafiła, rozbijając się na kawałki i opryskując żrącym płynem wioślarzy na bakburcie. Łucznicy na *Ksantosie* wetknęli końce strzał w paleniska, a potem wypuścili płonące pociski, które zatoczyły łuk na niebie i spadły na galere.

Buchnął ogień, z niewiarygodną szybkością rozchodząc się po deskach pokładu. Płomienie tryskały wszędzie. Jeden z wioślarzy, opryskany neftarem, rozpaczliwie zaczął bić płonący chiton, lecz wnet zaczęły mu się palić ręce. Dwaj żeglarze wylali na płomienie wiadra wody. Rezultat był przerażający. Płomienie z głośnym szumem wzbily się jeszcze wyżej. Wioślarze w panice porzucili wiosła i galera wykręciła na bakburtę.

Z przepływającego obok *Ksantosa* łucznicy zasypali załogę nieprzyjacielskiego okrętu gradem strzał o brązowych grotach. Mykeńczycy zaczęli skakać do morza, wielu w płonących ubraniach. Nawet tam ogień nie gasł. Kolejne dwie gliniane kule spadły na

śródkręcie galery. Neftar spłynął do ładowni i opuszczony okręt ciężko zakołysał się na fali, a ogień trawił jego wręgi.

Pozostałe cztery maszyny wyrzuciły swe pociski – tym razem na flagowy okręt Kolanosa. Trzy kule wpadły do morza, lecz jedna uderzyła w bakburtę, opryskując wiosłarzy swoją zawartością. Kolejne strzały przeleciały po niebie. Jedna upadła na pokład i Helikaon ujrzał marynarzy usiłujących stłumić płomień kocami i płaszczami. One również zaczęły się palić.

Okręt flagowy zrobił gwałtowny zwrot i umknął z pola walki.

Helikaon już miał wydać rozkaz wiosłarzom, by ruszyli w pościg, gdy nad uchem przeleciała mu strzała i z głuchym stuknięciem wbiła się w reling. Obejrzał się i zobaczył szybko zbliżającą się trzecią galere. Poczul gniew. Nie mógł ścigać uciekającego Kolanosa.

– „Kulawy łabędź” na lewą burtę! – krzyknął.

Wiosłarze na bakburtie głęboko zanurzyli wiosła, a potem wyjęli je z wody, natomiast osada prawej burty zaczęła wiosłować co sił. *Ksantos* zakołysał się i wykonał szybki zwrot. Atakująca galera parła naprzód, usiłując uderzyć taranem w kadłub. Jednak jej kapitan źle ocenił szybkość zwrotu i oba statki znalazły się niemal równolegle do siebie. Wiosłarze na prawej burcie *Ksantosa* wciągnęli wiosła. Mykeńczycy nie zrobili tego równie szybko i wiele ich wiosł połamano się w drzazgi, gdy statki otarły się o siebie. Kilku ludzi na dziobie *Ksantosa* rzuciło haki abordażowe, zaczepiając je o reling niższej galery. Inni zrobili to samo na rufie. Przyciągnęli nieprzyjacielski okręt do burty swojego statku.

Helikaon nałożył hełm z brązu i pobiegł na śródkręcie, gdzie z mieczami w dłoniach czekali jego najlepsi wojownicy. Wspinając się na reling, krzyknął:

– Za Zidantasa!

Potem zeskoczył na pokład nieprzyjacielskiego okrętu. Mykeńska załoga, uzbrojona w miecze, topory i pałki, ruszyła odeprzeć atak. Helikaon ciał mieczem w twarz pierwszego wroga, uderzywszy barkiem, powalił drugiego na pokład, po czym zrobił gwałtowny wypad i przeszył sztychem pierś trzeciego. Czwarty napastnik zamachnął się, mierząc w jego głowę, lecz potężne uderzenie maczugi zważyło go z nóg. Gershom wpadł w tłum, tłukąc pałką Zidantasa w brązowe hełmy i kładąc pokotem Mykeńczyków. Następni wojownicy z *Ksantosa* przeskoczyli na pokład galery. Walka była zaciepła i krwawa. Helikaon zabił kolejnego przeciwnika. Wokół szalała bitwa. Zaatakowali go trzej wojownicy. Sparował mieczem cios pierwszego i nagle pośliznął się na zalanej krwią pokładzie. Padając, rzucił się pod nogi następnego i obalił go na pokład. Obróciwszy się na plecy, zablokował opadającą klingę i ciał w nogi przeciwnika.

Jakiś szczupły marynarz z *Ksantosa*, uzbrojony w dwa zakrzywione sztylety, skoczył mu na pomoc i ciał w gardło napastnika. Helikaon zerwał się z pokładu. Gershom stanął po jego prawej, a marynarz po lewej ręce. Mykeńczycy rzucili się na nich.

Helikaon skoczył im na spotkanie. Gershom i marynarz ruszyli razem z nim i wszyscy trzej wbili się w mykeńskie szeregi, tnąc i zabijając.

Helikaon ujrzał wywijającego mieczem Glaukosa. W przypiływie wściekłości powalił następnego przeciwnika i rzucił się na mykeńskiego wojownika. Z pokładu *Ksantosa* poleciał grad strzał.

Gdy Helikaon dopadł Glaukosa, usłyszał czyjś krzyk:

– Poddajemy się! Rzućcie broń, chłopcy! Litości! Poddajemy się!

I wokół rozległ się szcęk padającej na pokład broni.

Glaukos przez moment mierzył wzrokiem Helikaona. Potem, widząc, że wszyscy wokół niego przestali walczyć, upuścił miecz na pokład. Helikaon spojrział na młodego Mykeńczyka i ujrzał nienawiść w jego oczach.

– Żeglowałeś z Zidantasem – rzekł. – Wiedziałeś, co mu zrobili. Mimo to przyłączyłeś się do nich. Powinienem wypatroszyć cię jak świnię. Jednak nie zrobię tego. Zabiorę cię tam, gdzie czeka Argurios.

Glaukos nic nie powiedział. Helikaon odwrócił się plecami do Mykeńczyka. Szczupły marynarz, który wcześniej przyszedł mu z pomocą, wycierał swoje sztylety. Helikaon podszedł do niego. Mężczyzna nie był młody, miał co najmniej czterdzieści lat.

– Dziękuję ci. Jak się zwiesz?

Mężczyzna miał czarne oczy i kamienną twarz.

– Jestem Attalos.

– Dzielnie walczyłeś i jestem twoim dłużnikiem, Attalosi. – Odwróciwszy się, Helikaon wydał rozkazy załodze: – Przynieść sznury! Przywiązać wszystkich jeńców do relingu. Rzucić liny wszystkim, którzy są jeszcze w wodzie.

Ludzie skoczyli wykonać rozkaz. Mykeńczyków otoczono i przywiązano sznurami do relingu. Potem Helikaon kazał spuścić na galerę ciało Zidantasa. Owinięte w zakrwawiony koc, zostało złożone na środku pokładu. Helikaon wyjął z worka okaleczoną głowę i umieścił ją na przeciętej szyi. Potem wyjął z sakiewki u boku złoty pierścień i umieścił go w ustach Zidantasa – dar dla przewoźnika z Hadesu, żeby przeprowadził go przez ciemne wody rzeki.

W głuchej ciszy uklękł przy zwłokach. Po chwili wstał i spojrział na jeńców.

– To był Zidantas – rzekł. – Niektórzy z was znali go przez krótki czas. Niektórzy z was może nawet byli wśród tych, którzy obezwładnili go i zawlekli do waszego obozu. Był dobrym człowiekiem, ojcem sześciu córek. Żeglował po Wielkiej Zieleni dłużej, niż większość z was chodzi po tym świecie. Był Hetytą i odeślemy go do jego bogów na sposób hetycki. Wszyscy weźmiecie udział w tej ceremonii, żebyście mogli zastanowić się nad swoim udziałem w jego zamordowaniu.

2.

Argurios przez jakiś czas siedział sam na brzegu pogrążony w myślach. Poczynania Kolanosa były jeszcze jedną plamą na honorze Mykeńczyków. Torturowanie i zamordowanie Zidantasa było sadystyczne i niepotrzebne. A jednak nie tylko Kolanos miał ponieść karę za to, co wydarzyło się w zatoce Grubego Króla. Kiedy Agamemnon dowie się, że Argurios ocalał Złocistego, będzie wściekły. Zaczął żałować, że zgodził się pójść do pałacu z Helikaonem. Gdyby został na plaży,

zabójcom mogłoby się udać i taki porządny człowiek jak Zidantas szykowałby się teraz do wyjścia w morze, wróciłby do żony i córek.

I jak młody Glaukos mógł podjąć taką decyzję i związać się z tymi krwawymi mordercami?

Dla Arguriosa było to niepojęte i przygnębiające.

Nagle zauważył, że nieśmiało podchodzi doń Ksander. Chłopiec w jednej ręce trzymał drewnianą miskę, a w drugiej chleb z serem.

– Pomyślałem, że możesz być głodny, panie – powiedział.

Argurios przeszył wzrokiem piegowatego chłopca, po czym skinął głową.

– Jestem głodny.

Wziął od niego miskę i zaczął jeść. Gulasz był rzadki, ale dobrze przyprawiony. Chleb zbyt świeży. Podniósł wzrok i zobaczył, że chłopiec nie odszedł.

– Jeszcze coś? – zapytał.

– Chciałem podziękować, że uratowałeś mi życie.

Argurios zawsze czuł się nieswojo w towarzystwie dzieci, nawet kiedy sam był jeszcze dzieckiem. Teraz nie wiedział, co powiedzieć. Przyjrzał się chłopcu. Ksander był blady i wyraźnie przestraszony.

– Nie bój się mnie – powiedział Argurios. – Nie krzywdzę dzieci.

– Żałuję, że tu przypląnąłem – powiedział nagle Ksander. – Żałuję, że nie zostałem w domu.

– Mnie też czasem się to zdarzało – powiedział mu Argurios. – Dzieciństwo to bezpieczny czas, lecz gdy chłopiec staje się mężczyzną, dostrzega, jaki świat jest naprawdę. Ja też oplakuję Zidantasa. Nie wszyscy Mykeńczycy są tacy jak ci, którzy go zabili.

– Wiem o tym – odparł Ksander, siadając na piasku u stóp Arguriosa. – Ty mnie uratowałeś. I sam o mało przy tym nie zginąłeś. Byłem przerażony. A ty?

– Śmierć mi niestraszna, chłopcze. Ona przychodzi po wszystkich. Szczęśliwcy umierają bohatersko, a ich imiona są pamiętane. Pechowcy umierają powoli, ich włosy stają się białe, a kości kruche.

Argurios zjadł gulasz i chleb. Postawiwszy pustą miskę na kamieniu, wstał, wziął hełm i ruszył tam, gdzie zgromadzili się marynarze z *Penelopy*. Obserwowali zatokę i zastanawiali się, kto powróci zwycięzca.

Odyseusz siedział na uboczu, rozmawiając z odzianą w zielone szaty Andromachą. Była uderzająco piękna. Argurios czuł się w obecności kobiet jeszcze bardziej nieswojo niż przy dzieciach, ale musiał porozmawiać z Odyseuszem. Podchodząc do niego, nagle zauważył, że Ksander idzie razem z nim. Chłopiec podniósł głowę i uśmiechnął się do niego. Argurios już chciał gniewnie zmarszczyć brwi i kazać mu odejść, ale rozbroił go szczerzy uśmiech chłopca.

Podszedł do Odyseusza, który spojrzał na niego i wskazał mu miejsce obok. Potem przedstawił Andromachę. Argurios pospiesznie szukał właściwych słów.

– Przykro mi, że musiałaś oglądać tak okropną scenę – rzekł, myśląc o tym, jak Helikaon wyjął z worka głowę Zidantasa.

– Widywałam już odcięte głowy – odparła chłodno.

Argurios nie wiedział, jak mógłby dalej poprowadzić tę rozmowę. I wcale nie miał na to ochoty. Zwrócił się do Odyseusza.

– Muszę dostać się do Troi – rzekł. – Czy mogę popłynąć z tobą na *Penelopie*?

– Nie wiem, czy mam miejsce na pokładzie – odparł chłodno Odyseusz.

– On uratował mi życie – powiedział nagle Ksander.

– Naprawdę? Chciałbym o tym usłyszeć.

Argurios odwrócił się na pięcie i zamierzał odejść.

– Zaczekaj, zaczekaj! – powiedział Odyseusz. – Niech wysłucham, co chłopak ma do powiedzenia. No już, chłopcze. Opowiedz nam o tym śmiałym czynie.

Argurios przystanął. Nie miał najmniejszej ochoty pozostać z wrogo nastawionym królem Itaki, ale musiał się dostać do Troi. Niechętnie stał i słuchał, jak Ksander pospiesznie opowiada o burzy i dziurze w relingu, przez którą wciągało go szalejące morze. Odyseusz wysłuchiwał uważnie, a potem spojrzał Arguriosowi w oczy. Teraz miał nieco przyjaźniejszą minę.

– Jesteś zadziwiającym człowiekiem, Arguriosie. Na pokładzie *Penelopy* zawsze znajdzie się miejsce dla zadziwiających ludzi. Jednak będzie ciasno.

– To mi nie przeszkadza.

Ktoś coś krzyknął i wszyscy na plaży zerwali się na równe nogi.

Przy wyjściu z zatoki ujrzeli *Ksantosa*, który powoli płynął do brzegu. Holował jedną z wojennych galer. Zaskoczony obrotem wydarzeń Argurios zszedł na brzeg morza i patrzył na podpływające statki. Załoga galery stała wzdłuż obu burt. Gdy statki podpłynęły bliżej, Argurios zobaczył, że wszyscy marynarze są skrepowani i przywiązani sznurami do relingów. Na dziobie ujrzął związanego Glaukosa.

Ksantos wykonał zwrot, kierując się do wyjścia z zatoki i na głębsze wody.

– Co on robi? – zapytał Argurios.

Odyseusz nie odpowiedział, lecz mykeński wojownik zobaczył na jego twarzy przygnębienie, a w oczach lęk. Zaniepokojony Argurios odwrócił się i znów zaczął obserwować statki. Wypłynawszy na głębszą wodę, *Ksantos* zwolnił hol i galera zatrzymała się powoli. *Ksantos* odpływał.

Nagle Argurios zauważył, że z *Ksantosa* przeleciało w powietrzu coś ciemnego i rozbilo się na pokładzie galery. Kilka następnych takich przedmiotów zatoczyło łuk w powietrzu. Związani ludzie zaczęli krzyczeć i wrzeszczeć, szarpiąc więzy. Z *Ksantosa* wystrzelono tuzin ognistych strzał.

Z głośnym szumem z galery strzeliły płomienie. Argurios usłyszał przeraźliwe krzyki i zobaczył płonącego Glaukosa. Ogień spowił jego chiton i zbroję, a po chwili i włosy. Wzdłuż obu burt ludzie palili się jak pochodnie, a ich krzyki rozdzierały uszy. Nad wodą rozchodziły się kłęby czarnego dymu. Argurios nie wierzył własnym oczom. Co najmniej pięćdziesięciu marynarzy umierało w męczarniach. Jeden zdołał uwolnić się z więzów i wskoczył do morza. Zdumiewające, lecz kiedy się

wynurzył, ogień wciąż go trawił.

Na plaży panowała głucha cisza, w której oszołomiony tłum patrzył, jak magiczny ogień pochłania galereę oraz jej załogę.

– Pytałaś mnie, czego się obawiam – rzekł Odyseusz. Argurios zobaczył, że powiedział to do Andromachy. – Teraz widzisz czego.

– To potworne – powiedział Argurios.

Z płonącego okrętu wciąż dochodziły rozpaczliwe krzyki.

– Tak, w istocie – przyznał ze smutkiem Odyseusz.

Z tonącej galery buchały w niebo czarne kłęby dymu, a *Ksantos* powoli znów wypływał w morze.

XIV. PIESN POŻEGNALNA

Przez całe długie popołudnie *Ksantos* przeszukiwał południowy brzeg, szukając galery *Kolanosa*. *Gershom* stał na dziobie. Zabandażowane dłonie wciąż piekły go od maści z octu winnego i oliwy z oliwek, którą nasmarował je *Oniakos*. Stał on tuż obok i spoglądał na horyzont, wypatrując statku, który ścigali. Towarzyszył im cichy marynarz, *Attalos*. Dwukrotnie zauważyli w oddali galere, lecz teraz na wodę opadła mgła i widoczność pogarszała się z każdą chwilą.

– Zgubiliśmy go – oznajmił *Oniakos* i *Gershom* odniósł wrażenie, że powiedział to z ulgą.

Spojrzał przez ramię na rufę, gdzie *Helikaon* stał przy wiośle sterowym. Nikt mu nie towarzyszył, a wioślarze pracowali w milczeniu. Tego dnia nie było śpiewów, śmiechów ani beztroskich rozmów, gdy *Ksantos* płynął za swoją ofiarą. Z początku *Gershom* myślał, że ten ponury nastrój wywołała śmierć *Zidantasa*, lecz w końcu pojął, że kryje się w tym coś więcej. Załoga była spięta i niespokojna. *Gershom* usiłował znaleźć powód tego niepokoju. Czyżby bali się następnej bitwy? Niepodobna, ponieważ widział ich w walce i wiedział, że nie są strachliwi. Ponadto w stoczonych na morzu walce nie ponieśli ciężkich strat. *Sternik Epeus* dostał strzałą w plecy, ale trzymał *Ksantosa* na kursie aż do abordażu. Dopiero potem osunął się na pokład i umarł. Zginęli trzej inni ludzie, jednak najwyraźniej dwaj z nich byli nowymi członkami załogi, nie dość długo na pokładzie, żeby nawiązać głębokie przyjaźnie. Ten brak oznak radości ze zwycięstwa dziwił Egipcjanina.

W końcu zwrócił się do *Oniakosa*.

– Wy, ludzie morza, świętujecie zwycięstwo w bardzo niezwykle sposób – rzekł. – Kiedy my wygrywamy bitwę, śpiewamy i śmiejemy się. Mężczyźni przechwalają się swoim bohaterstwem. Cieszą się, że żyją. A tu mam wrażenie, że jestem na statku umarłych.

Oniakos spojrzał na niego zdziwiony.

– Czy widok tych płonących marynarzy wcale cię nie poruszył, Egipcjo ninie? – zapytał.

Gershom był zaskoczony. Kto oplakuje śmierć nieprzyjaciół?

– Zaatakowali nas – przypomniał. – Pokonaliśmy ich.

– Zamordowaliśmy ich. Okrutnie. Byli ludźmi morza. Mieli rodziny, które ich kochały.

Gershom poczuł gniew. Co to za bzdury?

– Zatem powinni byli zostać w domu ze swymi kochającymi rodzinami – rzekł – a nie torturować i zabijać porządnego człowieka. Kiedy atakuje cię lew, nie zastanawiasz się, czy ma młode, które chce wykarmić. Po prostu go zabijasz.

– Temu nie można zaprzeczyć – przyznał *Attalos*.

Oniakos obrzucił obu gniewnym spojrzeniem.

– Woła zabił *Kolanos*. To on powinien umrzeć za to w męczarniach. Powinniśmy byli zatopić galere, a załogę puścić wolno.

Gershom zaśmiał się.

– Puścić ich? Żeby znów mogli na nas napaść? Czy gdyby zdobyli

Ksantosa, puściliby nas wolno?

– Nie, na pewno nie – powiedział kędzierzawy wioślarz. – Zabiliby nas. Jednak właśnie to odróżnia dobrych od złych. Kiedy postępujemy tak jak oni, stajemy się tacy jak oni. I czym wtedy możemy usprawiedliwić nasze uczynki? Przyjmując ich zasady, zrzekamy się prawa do ich potępienia.

– Ach, zaczyna się filozoficzna dysputa – rzekł Gershom. – Bardzo dobrze. Kiedyś, dawno temu, w Egipcie wybuchł bunt. Faraon schwytał jego przywódców. Doradcy radzili mu, żeby wszystkich zabił. On jednak wysłuchał żądań tych, którzy przeciwko niemu powstali, i próbował je zaspokoić. Wypuścił buntowników. Nawet zmniejszył podatki w zbuntowanych prowincjach. On też był filozofem. Po kilku latach tamci znów się zbuntowali i tym razem pokonali faraona, zabijając go w bitwie. Zabili także jego żony i dzieci. Rządził niecałe pięć lat. Jego miejsce zajął jeden z przywódców buntu. Przeciwko niemu też wzniecono bunt, lecz on pokonał wrogów i pozabijał wszystkich, którzy przeciw niemu powstali. I nie tylko ich, ale także całe ich rodziny. Rządził czterdzieści sześć lat.

– Do czego zmierzasz, Egipcjaninie? Chcesz dowieść, że okrucieństwo prowadzi do postępu? Albo że najbezwzględniejsi zawsze zwyciężają, a dobrzy są skazani na klęskę?

– Oczywiście. Tego dowodzi historia. Jednak ja chciałem tylko wykazać, że niebezpieczeństwo kryje się w przesadzie. Ktoś, kto zawsze jest okrutny, to zły człowiek, a ten, kto zawsze jest litościwy, stanie się ofiarą. To raczej kwestia równowagi lub harmonii, jeśli wolicie. Siły i współczucia, bezwzględności z okazywaną czasem litością.

– Dziś okazaliśmy się bardziej niż bezwzględni – zauważył Oniakos. – Nie sądziłem, że Helikaon jest taki mściwy.

– To nie była tylko zemsta – rzekł Attalos.

– Jak to?

– Mogliśmy spalić ich na morzu i szybciej wyruszyć w pościg za Kolanosem. Zamiast tego podholowaliśmy galerę do zatoki, żeby wszyscy na brzegu mogli zobaczyć ten okropny widok. Każdy żeglarz, który był tam na brzegu, zanieś opowieść o tym w świat. W ciągu kilku tygodni nie będzie na Wielkiej Zieleni portu, w którym nie słyszano by tej opowieści. Myślę, że właśnie o to chodziło.

– Aby cały świat się dowiedział, że Helikaon i jego ludzie to dzikusy?

Attalos wzruszył ramionami.

– Gdybyś był mykeńskim marynarzem, chciałbyś teraz popłynąć przeciwko Helikaonowi? – zapytał.

– Nie – przyznał Oniakos. – Nie chciałbym. Nie sądzę także, aby wielu ludzi chciało teraz mu służyć. Jestem pewien, że kiedy zawiniemy do Troi, wielu członków załogi wymówi mu służbę.

– Ty też? – spytał Gershom. Oniakos westchnął.

– Nie. Jestem Dardaninem i Helikaon to mój pan. Pozostanę mu wierny.

Było ciepło, od południa wiał lekki wietrzyk. Delfiny znów skakały przed dziobem statku i Gershom obserwował je chwilę. Mgła zgęstniała i

usłyszał, jak Helikaon woła do wioślarzy, żeby zwolnili tempo. Pozostawiając na dziobie Attalosa, Oniakos poszedł na rufę. Gershom podążył za nim, mijając marynarzy wciąż stojących przy katapultach. Obaj wspięli się po schodkach na pokład rufowy. Twarz Helikaona była nieprzeniknioną maską.

– Musimy znaleźć jakąś przystań, Złocisty – rzekł Oniakos. – Wkrótce zapadnie zmrok.

Przez następną godzinę *Ksantos* płynął powoli wzdłuż klifu, aż w końcu zawinął do głębokiej, półksiężycowatej zatoczki. Na plaży nie było nikogo i Helikaon kazał obsadom machin miotających znieść kule z neftarem do ładowni. Kiedy to zrobiono, *Ksantos* przybił do brzegu.

Helikaon polecił dwudziestu członkom załogi zostać na pokładzie, na wypadek gdyby mykeńska galera wpłynęła do tej samej zatoki, chociaż Gershom wyczuł, że Złocisty raczej się tego nie spodziewa.

Na brzegu rozpalono ogniska i grupki marynarzy zapuściły się dalej w poszukiwaniu drzewa na opał oraz słodkiej wody. Gershom pozostał na pokładzie. Dłonie wciąż za bardzo go bolały, żeby mógł ścisnąć nimi linę i spuścić się po niej na piach. Helikaon również pozostał na *Ksantosie*. Gdy zapadł zmrok i zapłonęły ogniska, wciąż panował ponury nastrój.

Mgła powoli się rozeszła, a niebo pojaśniało od gwiazd i niektórzy marynarze zapadli w sen. Jednak większość czuwała i Gershom, który zdrzemnął się chwilę na rufie, zauważył, że zebrali się w jednym miejscu i rozmawiają ściszonymi głosami.

Helikaon przyniósł Gershomowi kolację – okrągły ser, trochę suszonego solonego mięsa i bukłak z wodą.

– Jak twoje ręce? – zapytał.

– Szybko się zagoją – odparł Gershom, z wdzięcznością biorąc jedzenie.

Ser był dojrzały, a mięso dobrze przyprawione. Helikaon stanął na rule, spoglądając na plażę i zebranych na niej ludzi. Gershom obserwował go przez chwilę, wspominając, jak przeskoczył na pokład nieprzyjacielskiej galery. Dla załogi wspomnieniem tej bitwy będą płonący ludzie. Gershomowi pozostanie w pamięci ten młody książę w zbroi, wycinający sobie drogę przez mykeńskie szeregi. Jego miecz ciął bezlitośnie i skutecznie, jego atak był niepowstrzymany. Otaczała go aura niezwykłego. To bardziej niż cokolwiek innego zmusiło Mykeńczyków do złożenia broni.

– Obawiam się, że twoja załoga jest niezadowolona – rzekł Gershom, przerywając milczenie.

– To dzielni ludzie, odważni i uczciwi. Zidantas znał się na ludziach. Najmował tylko dobrych. Tej nocy będą o nim myśleć. Tak jak ja.

– Sądzę, że będą myśleć nie tylko o nim.

Helikaon skinął głową.

– Tak, nie tylko – przyznał. – Dobrze dziś walczyłeś, Gershomie. Zidantas byłby dumny, widząc, jak posługujesz się jego pałką. Jeśli chcesz, możesz być członkiem mojej załogi.

– Zamierzałem zejść na ląd w Troi.

– Wielu tak robi – rzekł Helikaon. – Ty jednak powinieneś się zastanowić, czy to rozważna decyzja.

– Dlaczego miałyby być nierozważna?

Helikaon odwrócił się plecami do plaży i Gershom poczuł na sobie jego przenikliwe spojrzenie.

– Jakie przestępstwo popełniłeś w Egipcie?

– Skąd takie pytanie? – wykręcał się Gershom.

– Jesteś ostrożnym człowiekiem, Egipcjaninie, a to zaleta, którą podziwiam. Teraz jednak nie czas na sekrety. Gruby Król powiedział mi, że egipscy posłowie we wszystkich portach poszukują krzepkiego, czarnobrodego zbiega, który może używać imienia Gershom. Obiecano wielką sumę w złocie człowiekowi lub ludziom, którzy oddadzą go w ręce sprawiedliwości. Dlatego pytam ponownie: jakie popełniłeś przestępstwo?

Gershom podupadł na duchu. Nie zdawał sobie sprawy – chociaż powinien – że jego dziadek zada sobie aż tyle trudu, żeby go zabić.

– Zabiłem dwóch królewskich gwardzistów – powiedział.

– Próbowali cię aresztować?

– Nie. Zobaczyłem, jak napastowali kobietę, i chciałem ich powstrzymać. Wyciągnęli miecze. Wtedy ich zabiłem. Byłem pijany i nie panowałem nad sobą. Oczywiście teraz tego żałuję.

– Jeśli napastowali kobietę, miałeś rację, próbując ich powstrzymać.

– Nie, nie miałem. Była niewolnicą i jeśli gwardziści chcieli spółkować z niewolnicą, mieli do tego prawo. Źle postąpiła, stawiając im opór.

– Potem uciekłeś.

– Kara za tę zbrodnię byłoby wyłupienie oczu, a następnie pogrzebanie żywcem. Bez balsamowania, więc nie wkroczyłbym u boku Ozyrysa po Krainie Zmarłych, nie byłoby dla mnie żadnego życia po śmierci. Tak, uciekłem. Jednak wygląda na to, że nie ma dla mnie bezpiecznej kryjówki nigdzie wokół Wielkiej Zieleni.

– Będziesz bezpieczny w Dardanii, jako członek mojej załogi. Tam przezimujemy.

– Przemyślę twoją propozycję, Helikaonie. I dziękuję ci za nią.

Helikaon westchnął.

– Nie dziękuj, Gershomie. Wielu moich marynarzy odejdzie, kiedy dotrzemy do Troi. Nie mogę sobie pozwolić na utratę jeszcze jednego tak dobre go wojownika jak ty.

– Jestem pewien, że mógłbyś ich przekonać, żeby zostali.

Helikaon posłał mu smutny uśmiech.

– Tylko mówiąc im prawdę, a na to nie mogę sobie pozwolić.

– Będziesz musiał wyjaśnić mi tę zagadkę – rzekł Gershom.

– Może to zrobię... kiedy lepiej cię poznam.

– I co teraz?

– Zgubiliśmy Kolanosa, a sezon handlowy prawie się skończył. Na wiosnę podejmę polowanie. I pewnego dnia znajdę go, choćby miało mi to zająć całe życie. Albo ktoś odda go w moje ręce.

– Nie ma na tym świecie siły potężniejszej od nienawiści –

mruknał Gershom.

– Nienawiść to nie zaleta, a jednak ludzie nie potrafią się od niej uwolnić – odparł z goryczą Helikaon. – Jednak nawet wiedząc to, nie spoczne, dopóki Kolanos żyje. Takie zło nie może pozostać bez kary.

– Wyślesz zabójców?

– Nie, sam go znajdę.

Helikaon nabrał tchu, a potem powoli wypuścił powietrze.

– Myślałem o moim ojcu, o tym jak widziałem go ostatni raz – powiedział. – Został zamordowany przez najemnego zabójcę. Morderca obciął mu ucho. Nie wiem po co.

– Nie dowiedziałeś się, kto kazał go zabić?

– Nie. Moi ludzie nadal szukają. Wyznaczyłem nagrodę za informację. Mimo to niczego się nie dowiedziałem. Pewnego dnia jednak prawda wyjdzie na jaw. A wtedy człowiek, który kazał zabić mojego ojca, zginie, tak jak Kolanos. Przysiągłem, że tak się stanie.

Nagle jeden z ludzi na plaży zaczął mówić głośniej. Gershom podszedł do relingu na rufie i spojrzął w dół. Mówił Oniakos.

– Wysłuchaj nas, o Hadesie, panie najgłębszych ciemności – zawołał – gdyż kilku naszych przyjaciół kroczy teraz przez twą krainę w poszukiwaniu Pól Elizejskich!

Załoga zaczęła śpiewać.

Helikaon przeszedł przez reling i zeskoczył na piasek. Żeglarze pozostali na statku zebrali się wokół Gershoma i również zaczęli śpiewać. Była to żałobna pieśń, o śmierci i pożegnaniu. Kiedy się skończyła, Gershom zobaczył, jak Helikaon wchodzi w środek kręgu. Zaczął mówić o Zidantasie, o jego odwadze, miłości, jaką darzył rodzinę i załogę, o jego wierności i wielkości jego ducha. Po nim znów przemówił Oniakos. On też mówił o Zidantasie, a także o Epeusie i innych poległych, lecz jego opowieści były krótsze i bardziej osobiste: o szczodrości i poczuciu humoru Woła, o zamięłowaniu Epeusa do hazardu. Następni ludzie dodawali swoje opowieści i na zakończenie każdej załoga śpiewała „Wysłuchaj nas, o Hadesie”.

Gershom pomyślał, że gdzieś na tym wybrzeżu inna załoga zapewne nuci takie same słowa i oplakuje śmierć przyjaciół, którzy zginęli, atakując *Ksantosa*.

Przecisnąwszy się przez zgromadzony przy relingu tłum, poszedł na śródokręcie i znalazł tam sobie miejsce. Położył się na pokładzie i spojrzął na gwiazdy.

Zastanawiał się, czy bogowie naprawdę słuchają. Czy obchodzi ich choć trochę życie tych, którzy oddają im cześć? Czy złoty Ozyrys oplakuje naszą stratę? Czy Izyda razem z nami jest pogrążona w żałobie? Albo ten grecki bóg, Hades? Lub Jahwe, ponury bóg niewolników z pustyni? Czy zionący ogniem Moloch Fenicjan?

Gershom bardzo w to wątpił.

CZEŚĆ DRUGA
ZŁOTE MIASTO

XV. MIASTO SNÓW

1.

Smutek nie opuścił Helikaona, gdy zmienili kurs i popłynęli wzdłuż brzegu na północ. Czuł, jak wzbiera w nim i łamie mu serce. Czasem wręcz nie mógł oddychać pod jego ciężarem. Gdy *Ksantos* ciał fale nieopodal Zatoki Niebieskiej Sowy, wspomnienia znów wróciły z niezwykłą ostrością i był bliski załamania z żalu po stracie Zidantasa.

Tak dotkliwy ból był dla niego zaskoczeniem. Zidantas był dobrym przyjacielem i wiernym towarzyszem, lecz Helikaon nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo przywykł polegać na jego stałości i oddaniu. Przez całe życie wystrzegał się cieplejszych uczuć, nawiązywania bliskich kontaktów z innymi ludźmi, dzielenia się z nimi swoimi myślami, marzeniami i obawami. Wół nigdy nie był wścibski, nigdy nie pytał Helikaona, co czuje. Dawał poczucie bezpieczeństwa.

Odyseusz powiedział kiedyś Helikaonowi, że człowiek nie może ukryć się przed swoimi lękami, więc musi wyjść i stawić im czoło. Nie można być jak ten król uwięziony w swojej fortecy. Helikaon zrozumiał to. Dzięki temu wyzwolił się i został Złocistym, morskim księciem.

Wiedział jednak, że tylko jego część wyszła z kryjóWKi. Te mury pozostały w jego umyśle i jego dusza została w nich.

Co ten stary wioślarz, *Spyros*, powiedział o dzieciach, które przeżyły tragedię? Że noszą rany w sercu. Helikaon dobrze to rozumiał. Kiedy był mały, miał serce otwarte na oścież. Potem jego matka w złoto-błękitnej sukni, z diademem na głowie, rzuciła się z nadmorskiego urwiska. Malec wierzył, że ona poleci na Olimp, i ze zgrozą zobaczył, jak jej ciało roztrzaskało się na skałach. Potem ojciec zaciągnął go na dół i pokazał jej zmasakrowane zwłoki, okaleczoną twarz z jednym okiem zwisającym z oczodołu. Słowa ojca wyryły się ognistymi literami w sercu chłopca. „Leży tu, ta głupia suka. Żadna bogini. Zwyczajny trup, żer dla mew”.

Jeszcze przez krótki czas serce chłopca pozostało otwarte, gdy szukał podechy u *Anchizesa*. Jednak kiedy próbował mówić o tym, co czuje, był uciszany i karcony za słabość. Najpierw z niego szydzono, potem ignorowano. Pokojówkom i służącym, którzy traktowali go łagodnie i z uczuciem, zarzucano, że utrwalają jego słabość. Szybko zastąpiono ich zimnymi i obojętnymi sekutnicami, które nie miały cierpliwości do pogrążonego w żalu dziecka. W końcu malec nauczył się skrywać uczucia.

Po latach, dzięki *Odyseuszowi*, nauczył się być człowiekiem, śmiać i żartować z ludźmi ze swej załogi, pracować z nimi i dzielić ich życie. Jednak zawsze czuł się obcy. Słuchał, jak z uczuciem opowiadają o swoich najbliższych, o marzeniach oraz obawach, i prawdę mówiąc, podziwiał tych, którzy to potrafili, ale nigdy nie zdołał otworzyć bram swej fortecy i wziąć w tym udziału. Po pewnym czasie przestało to mieć znaczenie. Nauczył się słuchać i rozmawiać.

Odyseusz – tak jak Zidantas – nigdy nie nalegał, by Helikaon rozmawiał z nim o swoich uczuciach. Fedra próbowała i widział ból w jej

oczach, kiedy unikał odpowiedzi i zamykał przed nią bramy swej duszy.

Jednak dotychczas nie zdawał sobie sprawy, że nie zdołał utrzymać przed nimi Woła. Ten niepostrzeżenie wślizgnął się do środka, do najtajniejszych komnat. Jego śmierć zwała mury, pozostawiając Helikaona równie bezbronno jak przed wieloma laty, gdy jego matka, odurzona i zrozpaczona, odebrała sobie życie, skacząc w przepaść.

Ten ból pogłębiało to, że umysł płatał mu figle, nie przyjmując do wiadomości śmierci Woła. Niemal codziennie Helikaon przyłapywał się na tym, że rozgląda się, szukając przyjaciela. Po nocach śniło mu się, że z nim rozmawia i wierzy, że sen jest jawą, a jawa snem. Potem budził się z otuchą w sercu tylko po to, żeby zgroza znów spadła na niego niczym czarna fala.

Słońce zachodziło i powinni znaleźć jakąś przystań na noc. Helikaon kazał wiosłarzom wiosłować, chcąc zostawić za sobą okropne wspomnienia związane z Zatoką Niebieskiej Sowy.

Statek płynął dalej, teraz nieco wolniej ze względu na podwodne skały, i Oniakos posłał na dziób ludzi z długimi tykami, aby sondowali dno i wydawali polecenia wiosłarzom. Helikaon przywołał marynarza i przekazał mu ster, po czym poszedł na lewą burzę, gdzie stanął, patrząc na ciemniejące morze.

– Zabiję cię, Kolanosie – szepnął.

Te słowa nie dodały mu otuchy. Zamordował pięćdziesięciu mykeńskich marynarzy i ten akt zemsty nie ulżył jego cierpieniom. Czy śmierć Kolanosa zrównoważy utratę Woła?

Wiedział, że tysiąc takich jak Kolanos nie jest wartych jednego Zidantasa. Nawet gdyby pozabijał wszystkich Mykeńczyków, nie wróciłoby to życia przyjacielowi.

Znów poczuł ucisk w piersi, dotkliwy ból rozchodzący się z głębi trzewi. Zaczął oddychać powoli i głęboko, usiłując odegnać rozpacz.

Pomyślał o małym Diomedesie i jego matce, Halizji. Przez moment promyk słońca rozjaśnił mroki jego duszy. Tak, pomyślał, w Dardanii znajdzie spokój. Nauczę Diomedesa jeździć na złotych koniach. Przed czterema laty Helikaon sprowadził z Tesalii ogiera i sześć klaczy, z których stworzył spore stado. Silne i smukłe, były najpiękniejszymi rumakami, jakie Helikaon widział w życiu, o złocistej skórze, białych grzywach i ogonach. Miały też dobre usposobienie: były łagodne, spokojne i wcale nie płochliwe. Popędzane, mknęły jak wicher. Diomedes uwielbiał je i spędzał wiele czasu ze źrebakami.

Helikaon uśmiechnął się na pewne wspomnienie. Wkrótce po tym, jak kupił te konie, przed czterema laty, ośmioletni Diomedes siedział na ogrodzeniu zagrody. Jeden ze złotych rumaków podszedł do niego. Zanim ktoś zdążył go powstrzymać, chłopiec wgramolił się na grzbiet zwierzęcia. Przestraszona klacz zaczęła biegać po zagrodzie i stanęła dęba. Diomedes został wyrzucony wysoko w powietrze. Połamałby sobie kości, gdyby w pobliżu nie było Woła. Potężny Hetyta podbiegł i złapał chłopca. Obaj ze śmiechem potoczyli się po ziemi.

Helikaonowi uśmiech zgasł na ustach i znów poczuł przeszywający ból, tak dotkliwy, że aż jęknął.

Stojący w pobliżu szczupły marynarz, Attalos, zerknął na

Helikaona, ale nic nie powiedział.

Nagle Oniakos zawołał Złocistego na dziób. Helikaon podszedł do niego. Na sterburcie widać było wąską zatokę. Nie było w niej żadnych statków.

– Wpłyńcie tam – rozkazał Helikaon.

Później, na plaży, odszedł od ognisk i przez rzadki las wspiał się na przybrzeżne urwisko. Usiadł tam, mając zamęt w myślach.

Usłyszał jakieś szmery za plecami i zerwał się z ziemi. Zobaczył idącego między drzewami Attalosa, niosącego na plecach dwa pełne bukłaki z wodą. Marynarz przystanął.

– Znalazłem strumień – powiedział. – Chcesz wody?

– Tak. Dziękuję. – Helikaon wziął jeden bukłak i napił się.

Attalos stał i czekał w milczeniu.

– Niewiele mówisz – zauważył Helikaon.

Marynarz wzruszył ramionami.

– Niewiele mam do powiedzenia.

– Rzadka cecha u marynarza.

– Kolacja gotowa – rzekł Attalos. – Powinieneś przyjść i zjeść.

– Zrobię to za chwilę.

Nagle, w ciszy lasu, Helikaon nabrał ochoty, żeby porozmawiać z tym milczącym człowiekiem, podzielić się swoimi myślami i uczuciami. Jak zwykle jednak tego nie zrobił. Tylko stał i milczał, patrząc, jak Attalos odchodzi z bukłakami pełnymi wody.

Helikaon jeszcze przez chwilę siedział na urwisku, po czym wrócił do ogniska. Wziął koc i położył się, kładąc głowę na ramieniu. Wokół słyszał ciche rozmowy.

Leżąc tak, znów zobaczył twarz Andromachy – taką, jaką widział w blasku płomieni. Ona również płynęła do Troi. Myśl o tym, że może ją tam zobaczy, dodała mu otuchy.

Zasnął.

2.

Ksander był zawstydzony. Pochorował się i już trzeci raz tego ranka wymiotował za burtę. Łupało go w głowie i ugiwały się pod nim kolana. *Penelopa* była znacznie mniejsza niż *Ksantos* – o połowę krótsza i bardzo zatłoczona, więc nie miał gdzie się schować ze swym wstydem. Na głównym pokładzie znajdowały się ławy dla wiosłarzy i kiedy statek płynął na wiosłach, z jednego końca na drugi można było się przecisnąć tylko wąskim przejściem między rzędami wiosłujących. W przeciwieństwie do lśniącego nowością *Ksantosa* dębowe deski pokładu *Penelopy* były zniszczone i chropowate, a niektóre wiosła wygięte od słońca i słonej wody.

Na niewielkim pokładzie dziobowym, gdzie kazano mu pozostać z innymi pasażerami, póki nie dopłyną do Troi, panował ponury nastrój. Pierwszego dnia Ksander był podekscytowany myślą o tym, że popłynie z legendarnym Odyseuszem, lecz to podniecenie szybko mu przeszło, gdyż niewiele miał do roboty. Patrzył na przesuwający się za burta brzeg i słuchał rozmów. Andromacha traktowała go uprzejmie i rozmawiała z nim o jego domu i rodzinie. Argurios nie odzywał się do niego. W istocie

nie odzywał się prawie wcale. Stał na dziobie jak posąg, spoglądając na fale. Stary szkutnik Kalkeus też posepnie milczał.

Nawet wieczory były ponure. Odyseusz nie rozjaśniał ich swoimi opowieściami, a marynarze z *Penelopy* trzymali się razem, grając w kości lub cicho rozmawiając ze sobą. Pasażerów przeważnie pozostawiano samych sobie. Andromacha często spacerowała wzdłuż brzegu z Odyseuszem, a Argurios siedział na uboczu. Kalkeus wciąż był przygnębiony.

Pewnego wieczoru, gdy schronili się pod drzewami przed ulewnym deszczem, Ksander przypadkiem usiadł obok szkutnika. Ten jak zwykle wyglądał na strapionego.

– Wszystko w porządku? – zapytał chłopiec.

– Jestem przemoczony – prychnął Kalkeus i zamilkł. W końcu stary człowiek westchnął. – Nie chciałem tak na ciebie warknąć – powiedział. – Wciąż boleję nad tym, co zrobiłem. Dotychczas nie miałem niczyjej śmierci na sumieniu.

– Zabiłeś kogoś?

– Tak. Tych wszystkich ludzi na galerze.

– Nie zabiłeś ich, Kalkeusie. Byłeś ze mną na brzegu.

– Jakże byłoby miło, gdyby to proste stwierdzenie było prawdą. Przekonasz się, młody Ksandrze, że życie nie jest takie proste. To ja wymyśliłem miotacze ognia i podpowiedziałem Helikaonowi, żeby zaopatrzył się w neftar. Rozumiesz? Myślałem, że będzie nas chronił przez piratami i rabusiami. Nigdy nie przypuszczałem – jak ostatni głupiec – że może się stać narzędziem mordy. A powinienem był to przewidzieć. Rzecz w tym, że każdy wynalazek sprawia, że ludzie zadają sobie pytanie: czy można go wykorzystać do zabijania, okaleczania, zastraszania? Czy wiesz, że brąz początkowo wykorzystywano do robienia pługów, żeby ludzie mogli łatwiej spulchniać ziemię? Jednak podejrzewam, że nie minęło wiele czasu, a zaczęto wykuwać z niego miecze, włócznie i groty strzał. Złościło mnie, gdy Cypryjczycy nazywali *Ksantosa* Statkiem Śmierci. Jednak okazało się, że to właściwa nazwa.

Zamilkł. Ksander nie chciał rozmawiać o płonących ludziach i śmierci, więc też siedział cicho i patrzył, jak pada deszcz.

Dzień był bezwietrzny i gęsty opar otaczającej statek mgły tłumiał plusk wiosł oraz skrzypienie drewna i rzemieni. Czas włókł się niemilosiernie i wydawało się, że *Penelopa* jest zawieszona w czasie i przestrzeni.

Siedzący obok chłopca stary szkutnik Kalkeus patrzył na swoje dłonie, w których obracał słomiany kapelusz, mnąc sfatygowane rondo, i czasem mamrotał coś do siebie w nie znanym Ksandrowi języku. Pani Andromacha siedziała plecami do nich, spoglądając przed siebie.

W myślach chłopca pojawił się niechciany obraz płonącego statku, krzyki ginących i szum płomieni...

Odepchnął to wszystko od siebie i postarał się myśleć o domu, o matce i dziadku. Chociaż mgła zasłaniała słońce, odgadł, że już dawno minęło południe, i wyobraził sobie dziadka siedzącego na ganku małego białego domu, w cieniu purpurowo kwitnących kwiatów, jedzącego popołudniowy posiłek. Na myśl o jedzeniu znów zrobiło mu się

niedobrze.

Pogrzebał w swoim tobołku i wyjął dwa okrągłe kamyki. Jeden był niebieski z brązowymi plamkami, jak ptasie jajo. Drugi biały i tak przezroczyście, że niemal dało się przez niego patrzeć.

– Zamierzasz je zjeść, chłopcze?

Ksander odwrócił się i ujrzał przyglądającego mu się Kalkeusa.

– Zjeść je? Nie, panie!

– Zauważyłem, jak zagładasz do swojego tobołka, i pomyślałem, że zgłodniałeś. Kiedy zobaczyłem kamienie, myślałem, że je zjesz. Jak kurczak.

– Kurczak? – powtórzył bezradnie chłopiec. – Czy kurczaki jedzą kamienie?

– Istotnie. Pomagają im zetrzeć ziarna, które połykają. Są jak żarna w ich brzuchach.

Stary wyszczerzył nieliczne pozostałe mu zęby i Ksander zrozumiał, że stara się być przyjacielski.

Chłopiec odpowiedział uśmiechem.

– Dziękuję – rzekł. – Nie wiedziałem. Zabrałem te dwa kamyki z plaży, zanim opuściłem dom. Dziadek powiedział mi, że są takie okrągłe i błyszczące, bo przez setki lat były w morzu, tocząc się po dnie.

– Twój dziadek ma rację. Najwyraźniej jest mądrym człowiekiem. Dlaczego wybrałeś akurat te dwa? Czy różniły się czymś od wszystkich innych kamieni?

– Tak. Pozostałe były szare lub brązowe.

– Ach, więc te kamienie to podróżnicy, tacy jak ty i ja. Dawno temu opuściły morza, w których powstały, i zaczęły wędrować po świecie. Teraz zmieszały się z innymi kamieniami i dom stał się dla nich zaledwie odległym wspomnieniem.

Ksander nie znalazł odpowiedzi na tę zaskakującą uwagę, więc zmienił temat.

– Zamierzasz zamieszkać w Troi? – zapytał.

– Tak. Kupię tam kuźnię i wrócę do mojego prawdziwego powołania.

– Myślałem, że jesteś budowniczym statków.

– W istocie jestem człowiekiem wielu talentów – rzekł Kalkeus – lecz moja dusza tęskni za pracą w metalu. Czy wiesz, jak się robi brąz?

– Nie – odparł Ksander, który nie chciał tego wiedzieć. Brąz to brąz. Ksandra nie obchodziło, czy znajduje się go w ziemi, czy rośnie na drzewach.

Kalkeus zachichotał.

– Młodzi są zbyt szczerzy – powiedział dobrodusznie. – Z ich twarzy można wszystko wyczytać.

Sięgnął do kieszeni i wyjął niebieski kamyk. Potem z pochwy przy boku wyciągnął brązowy sztylet. Ostrze zabłysło w słońcu. Pokazał Ksandrowi kamień.

– Z niego pochodzi to – oznajmił. I pokazał sztylet.

– Brąz to kamień?

– Nie, ten kamień zawiera miedź. Najpierw wydobywamy miedź, a potem dodajemy do niej inny metal, cynę. W ściśle odmierzonej ilości. W

końcu otrzymujemy nadający się do obróbki brąz. Czasem, w zależności od jakości miedzi, uzyskujemy kiepski brąz, kruchy i bezużyteczny. Czasem zbyt miękki. – Kalkeus pochylił się. – Ja jednak znam sekret wyrobu najlepszego brązu na świecie. Chcesz go poznać?

Wzbudził ciekawość Ksandra.

– Tak.

– Ptasie gównno.

– Nie, naprawdę chcę wiedzieć!

Kalkeus roześmiał się.

– Nie, chłopcze, to właśnie cały sekret. Z jakiegoś powodu jeśli dodasz przy wytapianiu ptasie gównno, uzyskany brąz jest twardy, ale nadal całkiem giętki, nie kruchy. Właśnie na tym po raz pierwszy zbiłem majątek. Na ptasim gównnie.

Ta dziwna rozmowa zakończyła się, gdy marynarz na oku, siedzący wysoko na maszcie, nagle krzyknął coś i wskazał na południe. Chłopiec zerwał się i spojrzał w tym kierunku. Nie dostrzegł niczego prócz ściany sinej mgły.

Potem usłyszał kolejny okrzyk i zobaczył, że Odyseusz macha na niego z pokładu rufowego. Ksander jak na skrzydłach pomknął tam, gdzie czekał na niego kupiec.

– Wkrótce będziemy w Troi, chłopcze – powiedział Odyseusz. Pociągnął z bukłaka tęgi łyk wody, która pocięła mu po piersi. – Chcę, żebyś trzymał się Biosa. Kiedy wiosłarze odłożą wiosła, położymy maszt, ponieważ zostaniemy kilka dni w mieście. Biosa pokaże ci, jak się kładzie maszt i bezpiecznie go mocuje. Potem chcę, żebyś się upewnił, że pasażerowie nie pozostawią niczego na *Penelopie*.

Poważna mina Odyseusza onieśmieliła Ksandra.

– Tak, panie.

Po raz pierwszy od kilku dni poczuł niepokój. Nigdy nie był w wielkim mieście. Zanim zawinęli do Pechowej Zatoki, nie widział żadnej osady większej od swojej wioski. Dokąd pójdzie, kiedy przypląną do Troi? Gdzie się zatrzyma? Zastanawiał się, czy nie mógłby zostać na *Penelopie*. Z pewnością ktoś będzie pełnił na niej wartę, pomyślał.

– Co mam robić, kiedy dopłyniemy do miasta? Podobno jest bardzo duże, a ja nie wiem, dokąd iść.

Odyseusz zmarszczył brwi.

– Dokąd masz iść, chłopcze? Jesteś wolnym człowiekiem. Zrób to, co robią marynarze. W Troi nie brak domów uciech i tawern oraz wszystkiego innego. A teraz bierz się do roboty.

Zalamany Ksander niechętnie zamierzał odejść.

– Zaczekaj, chłopcze – powiedział Odyseusz. Ksander odwrócił się i zobaczył, że król uśmiecha się do niego. – Żartowałem. Zostaniesz z nami, dopóki nie odpłyniemy. Jeśli Helikaon do tej pory nie wróci, odwożę cię na Cypr. Co zaś do zwiedzania miasta... no cóż, możesz iść ze mną, jeśli chcesz. Mam wiele spraw do załatwienia i muszę odwiedzić wielu ludzi. Może nawet spotkasz króla.

– Bardzo chciałbym iść z tobą, panie! – zawołał ochoczo Ksander.

– Bardzo dobrze. Trzymaj się Odyseusza, to będziesz śniadał z wieśniakami, a obiadował z królami. – Uśmiechnął się. – Spójrz, to ono –

oznajmił. – Miasto snów.

Chłopiec wyteżył wzrok, lecz przez ścianę mgły wciąż niczego nie mógł dostrzec.

– Patrz w górę – poradził Odyseusz.

Ksander zrobił to i przeszedł go dreszcz strachu. Daleko po lewej, wysoko nad mgłą, ujrzał coś, co wyglądało jak czerwone i złote płomienie. Zobaczył wieże i dachy lśniące niczym płynny brąz.

– Czy to miasto się pali? – zapytał z przestachem, gdy znów przypomniał mu się płonący statek.

Odyseusz zaśmiał się.

– Nie słyszałeś o złotym mieście, chłopcze? Jak sądzisz, co to oznacza? Wieże Troi są pokryte brązem, a dach pałacu jest ze złotych dachówek. Błyszczą w słońcu jak wymalowana ladacznica, wabiąc głupców i mędrców pospołu.

Gdy statek podpłynął bliżej i mgła zaczęła się rozchodzić, Ksander po raz pierwszy zobaczył ciągnące się w dal wielkie mury, wyższe, niż sobie wyobrażał. Wznosiły się na rozległym płaskowyżu i musiał zadrzeć głowę, żeby zobaczyć wieże. Na biegnącym wzdłuż brzegu murze naliczył je trzy, małe w porównaniu z tą, która znajdowała się na południu. Mury lśniły, jakby były z miedzi, i Ksander był już gotów uwierzyć, że całe to miasto jest z metalu, błyszczącego niczym świeżo wypolerowana zbroja.

– Pewnie mieszka tu mnóstwo wielkich wojowników – powiedział.

– Tak – rzekł Odyseusz. – To kraina koni i jeźdźców. Legendarnym Trojańskim Koniem – tutejszą konnicą – dowodzi najstarszy syn króla, Hektor. Jest wielkim wojownikiem.

– Znasz go? – Ksander zastanawiał się, czy wkrótce spotka tego księcia-wojownika.

– Ja znam wszystkich, chłopcze. Hektor... – Zawahał się i Ksander zauważył, że Andromacha cicho przeszła po pokładzie i stanęła obok niego. – Hektor jest dobrym jeźdźcem i woźnicą, najlepszym, jakiego ujrzysz w życiu.

– Jest takie piękne – powiedział nagle chłopiec.

Odyseusz znów pociągnął łyk wody z bukłaka, otarł usta i machinalnie strzepnął krople wody z chitonu.

– Czy wiesz, co to jest iluzja, chłopcze?

– Nie, chyba nie – odparł niepewnie Ksander.

– No cóż, iluzja to opowieść albo bajka, jeśli wolisz. Barwna opowieść, za którą kryje się mrok. Troja jest miastem iluzji. Nic tu nie jest tym, czym się zdaje.

Teraz Ksander widział już ziemię wokół miasta na płaskowyżu. Była zielona i żyzna, a na niskich wzgórzach poruszały się maleńkie z tej odległości konie i owce. Pomiedzy płaskowyżem a morzem, przed murami, rozpościerało się ogromne miasto. Ksander dostrzegł kolorowe budynki, a nawet idących ulicami ludzi. Od wielkiej południowej wieży Troi biegł szeroki trakt, który w końcu docierał do brzegu, gdzie wokół setek statków uwijali się tragarze, rozładowując je lub załadowując.

Na widok tego tłumu Odyseusz warknął do Biasa:

– Przez tę przeklętą mgłę przyplłynęliśmy za późno, żeby znaleźć

dobrze miejsce. Na złote jaja Apolla, nigdy nie widziałem tak zatłoczonego portu! Będziemy w połowie Skamandra, zanim *Penelopa* poczuje trochę piasku pod kilem.

Jednak w tym momencie jakiś duży statek zaczęło spychać na wodę i Bias pospiesznie wydał rozkaz sternikowi. *Penelopa* wykonała zwrot i przybiła do brzegu, mijając odpływający statek – szeroki i niski, z purpurowym okiem na dziobie i połatanym żaglem.

– Hej tam, na *Penelopie*!

Z przepływającego statku pomachał im barczysty ciemnowłosy mężczyzna w czerni.

– Hej tam, na *Fajstosie*! Późno zaczynasz rejs! – odkrzyknął Odyseusz.

– Kreteńskie statki pływają po morzach, gdy mężczyźni z Itaki nie wychodzą z łóżek! – zawołał mężczyzna w czerni. – Dobrych snów, Odyseuszu!

– Pomyślnych wiatrów, Merionesie!

Słońce już zaczęło chylić się ku zachodowi, zanim Ksander postawił nogę na piasku Troi. Taszczył ciężkie bagaże: tobolek ze swoimi rzeczami, haftowaną lnianą torbę, którą powierzyła mu Andromacha, oraz dwa duże skórzane worki, wyladowane po brzegi i mocno zawiązane rzemieniami, które kazał mu nieść Odyseusz. Chłopiec spoglądał na niebotyczne mury i zastanawiał się, jak zdoła wnieść te ciężary tak wysoko. Uginały się pod nim kolana, bolała go głowa i raz po raz robiło mu się niedobrze. Postawił bagaże na piasku i ciężko usiadł przy nich.

Na brzegu było tłoczno i hałaśliwie. Przywiezione przez statki towary ładowano na wózki lub osły. Ksander widział beły kolorowych materiałów, stosy obłożonych słomą glinianych naczyń, duże i małe amfory, żywy inwentarz w drewnianych skrzyniach. Nieco dalej na brzegu stał Odyseusz, sprzecząc się z jakimś chudzielcem w szarej przepasce biodrowej. Obaj krzyczeli i gestykulowali i Ksander zastanawiał się niespokojnie, czy zaraz znów poleje się krew. Jednak stojąca obok nich Andromacha nie wyglądała na przejętą. Teraz miała na sobie długą białą szatę, biały szal na ramionach i cienki woal zasłaniający głowę i twarz.

W końcu Odyseusz klepnął mężczyznę w plecy, odwrócił się do Ksandra i dał mu znak, żeby podszedł do nich. Chłopak zrobił to, zmagając się ze skózanymi worami, które obijały mu się o nogi. Odyseusz wskazał stojący w pobliżu sfatygowany powóz zaprzężony w dwa osły.

– Czy to rydwan? – zapytał Ksander.

– Swego rodzaju, chłopcze.

Drewniany pojazd miał dwa koła i cztery siedzenia, po dwa z obu stron ciasnego wnętrza. Chudzielec zajął miejsce na koźle i chwycił wodze.

– Wsiadaj, chłopcze. Szybko – rozkazał Odyseusz.

Ksander złożył torby i wory na podłodze pojazdu, po czym się do niego wdrapał. Odyseusz pomógł wejść Andromasze, która usiadła obok chłopca. Jeszcze nigdy nie znalazł się tak blisko niej. Poczul zapach jej

włosów. Niezgrabnie się odsunął, starając się jej nie dotknąć. Obróciła głowę i przez woal dostrzegł, że uśmiechnęła się do niego. Srebrne koniki morskie obciążające końce woalu zabrzęczały, gdy poruszyła głową, i Ksander poczuł delikatną miękkość materii ocierającej się o jego ramię.

– Czyj to rydwan? – zapytał. – Należy do Odyseusza? Kupił go?

– Nie – odparła. – To powóz dla podróżnych. Zawiezie nas do miasta.

Ksandrowi kręciło się w głowie, takie to wszystko było dziwne. Mdłości jakby trochę mu przeszły, ale było mu bardzo gorąco i marzył o tym, aby poczuć na twarzy chłodną morską bryzę. Pot zalewał mu oczy, więc otarł go ramieniem.

Osiółki szły krętymi uliczkami przez podgrodzie, ciągnąc powóz w górę, ku murom. Chłopiec wyciągał szyję, przyglądając się jaskrawo pomalowanym domom, spowitym kwieciami lub ozdobionym drewnianymi płaskorzeźbami. Były tam domy garncarzy, przed którymi stały na drewnianych straganach stopy naczyń, otwarte kuźnie, w których pracowali kowale w skórzanych fartuchach chroniących przed żarem palenisk, farbiarnie z suszącymi się na wieszakach tkaninami. Czuł zapach rozgrzanego metalu, pieczonego chleba i kwiatów, duszący odór zwierzęcych odchodów i perfum oraz setki innych, nie znanych mu woni. Wszędzie wokół słychać było śmiechy i przekomarzenia, porykiwanie osłów, turkot kół i poskrzypywanie uprzęży, piskliwe głosy kobiet i nawoływania obnośnych handlarzy.

Teraz Ksander widział mury z bliska. Wznosiły się ze skalnego podłoża, początkowo pod tak łagodnym kątem, że wydawało się, iż można na nie wejść, lecz zaraz prostowały się i pięły pionowo ku niebu.

Olbrzymia brama, do której powoli podjeżdżali, stała w cieniu najwyższej wieży, niemal dwukrotnie wyższej od murów. Gdy Ksander wyciągnął szyję, żeby spojrzeć na jej wierzchołek, odniósł wrażenie, że wali się na niego, więc pospiesznie odwrócił wzrok. Przed wieżą był rząd kamiennych piedestałów, na których stało sześć groźnie wyglądających posągów przedstawiających trzymających włócznie wojowników w grzebieniastych hełmach. Ksander zauważył, że kiedy powóz mijał te posągi, woźnica przestał pokrzykiwać na osły i w milczeniu skłonił głowę.

– To Brama Skajska, najważniejsza z bram Troi – rzekł Odyseusz.
– Przez nią można dostać się do miasta od strony morza.

– Jest bardzo duża – powiedział Ksander. – Teraz rozumiem, dlaczego nazywają ją wielką bramą.

– Troja ma teraz wiele bram i wież. Wciąż się rozrasta. Jednak wejść do górnego miasta, w którym mieszkają bogaci i możni, strzegą cztery wielkie bramy.

Kiedy zaprzężony w osły pojazd wjechał w bramę, nagle spowił go półmrok. Choć popołudniowe słońce jeszcze mocno grzało, tu było chłodno i cicho. Chłopiec słyszał tylko miarowe stukanie kopyt i szmer swojego oddechu.

Potem znów wyjechali na światło dnia i Ksander osłonił oczy dłonią, oślepiony słońcem oraz blaskiem złota i brązu. Droga biegła

dalej, lecz za bramą zmieniła się w brukowaną ulicę, wyłożoną takimi samymi kamiennymi blokami, z jakich zrobiono mury. Była tak szeroka, że Ksander wątpił, by zdołał przetrzucić przez nią kamień. Wiodła w górę, między wielkimi budynkami, z których najmniejszy był większy od fortecy Kygonesa w Zatoce Niebieskiej Sowy. Przy tych murach, z których część podobno wzniosły potężne istoty z legend, Ksander czuł się jak mrówka. Szerokie okna i krawędzie dachów były ozdobione błyszczącym metalem i gładkimi deskami. Bramy były otwarte i chłopiec widział za nimi zielone dziedzińce oraz marmurowe fontanny.

Przyglądał się temu, rozdziawiwszy usta. Zerknął na Andromachę, która uniosła woal i rozglądała się z szeroko otwartymi oczami.

– Czy wszystkie miasta są takie jak to? – zapytał w końcu.

– Nie, chłopcze – odparł z rozbawieniem Odyseusz. – Tylko Troja.

Na ulicy było mnóstwo mężczyzn i kobiet, przechadzających się lub jadących rydwanami lub konno. Ich stroje były bogate i barwne, a na ich szyjach i ramionach błyszczały kosztowne ozdoby.

– Oni wszyscy są ubrani jak królowie i królowe – szepnął chłopiec do Andromachy.

Nie odpowiedziała, ale spytała Odyseusza:

– Czy te wszystkie budynki należą do króla?

– Wszystko w Troi należy do Priama – odpowiedział. – Ten nędzny powóz, droga, po której jedzie, i ta sterta jabłek na straganie – wszystko należy do Priama. Te budynki to pałace szlachetnie urodzonych.

– Który z nich jest domem Hektora? – zapytała Andromacha, rozglądając się.

Odyseusz pokazał jej.

– Ten tam. Wznosi się za szczytem wzgórza od równiny na północy. Jednak my jedziemy do pałacu Priama. Po nim dom Hektora wyda ci się wiejską chatą.

Powóz jechał dalej i niebawem ujrzeli pałac. Ksandrowi wydało się, że jego mury są wyższe od murów miejskich. Zobaczył, jak złoty dach lśni, gdy zachodzące słońce oświetliło jego krawędź. Kiedy minęli okute brązem podwójne wrota, ujrzeli znajdujący się przed pałacem portyk z czerwonymi kolumnami, gdzie powóz zatrzymał się i wysiedli. Po obu stronach portyku stały szeregi roślących żołnierzy w napierśnikach z brązu oraz nabijanych srebrem wysokich hełmach zachodzących na policzki, zwieńczonych falującymi na wietrze białymi czubami. Każdy z nich trzymał jedną dłoń na rękojeści miecza, a drugą ścisnął włócznię i wszyscy surowo spoglądali w dal, nieruchomi i milczący jak posągi przed Bramą Skajską.

– To Orły Priama, chłopcze – rzekł Odyseusz, wskazując na żołnierzy. – Najlepsi wojownicy pod słońcem. Patrz, Ksandrze – ciągnął. – Czyż ten widok nie podnosi na duchu?

Ksander odwrócił się i spojrzał tam, skąd przybyli, na błyszczące dachy pałaców, na złote mury i podgrodzie na brzegu morza. Gasnące słońce zabarwiło niebo na różowo i purpurowo, a morze w dole było jak jezioro płynnego złota. W oddali, na horyzoncie, Ksander dojrzał jasną wyspę barwy koralu i złota.

– Co to za wyspa? – zapytał, myśląc, że musi to być jakieś

zaczarowane miejsce.

– Nie jedna, lecz dwie – sprostował Odyseusz. – Ta pierwsza, którą widzisz, to Imbros, lecz ta wysoka góra za nią to Samotraka.

Ksander patrzył jak urzeczony. Niebo pociemniało, pokrywając się na jego oczach krwawoczerwonymi smugami i złoto-czarnymi chmurami.

– A tam? – zapytał, wskazując na północ, gdzie nad szkarłatnym morzem wznosiły się ciemne wzgórza.

– To cieśnina Hellespont, chłopcze, a ta ziemia za nią to Tracja.

Andromacha położyła dłoń na ramieniu chłopca i łagodnie obróciła go twarzą na południe. W oddali, za migoczącą rzeką i rozległą równiną, Ksander ujrzał ogromną górę.

– To święta góra Ida – szepnęła dziewczyna – z której spogląda Zeus. A za nią są małe Teby, w których się urodziłam.

Było tak duszno, że Ksander z trudem łapał oddech. Podniósł głowę i spojrzał na Andromachę, lecz jej twarz zdawała się znikać. Nagle ziemia przekręciła mu się pod nogami i upadł. Zmieszany, próbował wstać, lecz zabrakło mu sił i znów się osunął, twarzą na zimne kamienie. Czyjeś ręce delikatnie obróciły go na wznak.

– Ma gorączkę – usłyszał głos Andromachy. – Musimy go wnieść do środka.

Potem błogosławiony mrok przegnał trawiący go żar, a Ksander zapadł weń i zatonął.

XVI. BRAMA ROGU I KOŚCI

1.

Mgła gęstniała i Ksander nie mógł dostrzec żadnych budynków czy drzew, tylko unoszące się białe pasma, które snuły mu się przed oczami, przesłaniając wszystko. Nie pamiętał, dlaczego krąży w tej mgle, lecz w pobliżu słyszał jakieś głosy. Próbował pójść w ich kierunku, ale nie mógł się zorientować, skąd dobiegają.

– Gaśnie – rzekł jakiś mężczyzna.

Potem rozległ się głos Odyseusza:

– Ksandrze! Słyszysz mnie?

– Tak! – krzyknął chłopiec. – Słyszę! Gdzie jesteś?

Odpowiedziała mu cisza.

Ksander przestraszył się i przerażony, zaczął biec, wyciągając przed siebie ręce na wypadek, gdyby napotkał ścianę lub drzewo.

– Masz pierścienie, żeby położyć mu na powiekach? – *usłyszał czyjś głos.*

Ksander rozejrzał się, ale mgła była gęsta i nikogo nie zobaczył.

– Jeszcze nie mów o śmierci – *usłyszał głos Odyseusza.* – Ten chłopak ma serce. Wciąż walczy.

Ksander z trudem wstał.

– Odyseuszu! – zawołał. – Gdzie jesteś?! Boję się!

Wtedy znów usłyszał jakieś głosy i mgła się rozeszła. Była noc, a on stał na szerokiej plaży, przy wyciągniętym na brzeg Ksantosie. Widział Helikaona i jego załogę stojących wokół dużego ogniska. Mężczyźni śpiewali: „Wysłuchaj nas, o Hadesie, panie najgłębszych ciemności!” Ksander słyszał już tę pjeśń. To była modlitwa za zmarłych. Ruszył w kierunku zebranych, nie chcąc być dłużej sam.

Po drugiej stronie kręgu zobaczył Oniakosa i usłyszał, jak Helikaon mówi o wielkości Zidantasa. Nagle przypomniał sobie okropny widok odciętej głowy wyjmowanej z worka. Dotarłszy do kręgu, zawołał do Oniakosa:

– Nie wiem, jak się tu znalazłem!

Marynarz nie zwrócił na niego uwagi. Ksander przykucnął przed siedzącym, lecz Oniakos nadal go nie dostrzegał.

– Oniakosie! Proszę, odezwij się do mnie!

Wyciągnąwszy rękę, spróbował dotknąć nią ramienia Oniakosa. Dziwne, ale jego dłoń przeszła powietrze, a mężczyzna wciąż nie zwracał na niego uwagi. Ksander usiadł i czekał, aż Helikaon skończy mówić. Potem Oniakos wstał i zaczął opowiadać o Zidantasie i Epeusie. Ksander się rozejrzał.

Czterej mężczyźni stali poza kręgiem, w milczeniu przysłuchując się oracjom.

Jednym z nich był Zidantas. Chłopiec podbiegi do niego.

– Proszę, porozmawiaj ze mną! – powiedział.

– Uspokój się, chłopcze – rzeki Zidantas. – Oczywiście, że z tobą rozmawiam. – Przyklęknął na jedno kolano i objął ramionami

Ksandra.

- Oniakos nie odzywa się do mnie. Czy zrobiłem coś złego?
- Nie zrobiłeś nic złego, synu Akamasa. On cię nie widzi.
- Dlaczego? Ty mnie widzisz.
- Owszem, ja tak.
- Myślałem, że nie żyjesz, Zidantasie. Wszyscy myśleliśmy, że

umarłeś.

- Co ty tu robisz, chłopcze? Zostałeś ranny w bitwie?
- Nie. Popłynąłem do Troi z Odyseuszem. Tylko tyle pamiętam.

Byłem chory. Teraz czuję się lepiej.

- Serce przestaje bić – *powiedział jakiś głos.*
- Słyszałeś to? – zapytał Ksander Zidantasa.
- Tak. Musisz wracać do Troi. I to szybko.
- Nie mogę zostać z tobą? Nie chcę być sam.

- Kroczymy ciemną drogą. To nie dla ciebie. Jeszcze nie. Posłuchaj mnie. Chcę, żebyś zamknął oczy i pomyślał o Troi, o miejscu, gdzie byłeś. Rozumiesz? Leżysz gdzieś w łóżku albo na piasku. Są przy tobie ludzie.

- Wciąż słyszę głos Odyseusza – powiedział Ksander.

- Zatem zamknij oczy i pomyśl o nim. Myśl o Odyseuszu, Ksandrze. Zrób to zaraz! Myśl o życiu! Myśl o błękitnym niebie i rześkim wietrze od morza.

Ksander zamknął oczy. Wciąż czuł obejmujące go ramiona Zidantasa i nagle spłynął nań ogromny spokój. Potem jeszcze raz usłyszał głos Hetyty.

- Jeśli zobaczysz moją Teę, powiedz jej, że przyniosła wiele radości memu sercu. Powiedz jej to, chłopcze.

- Powiem, Zidantasie. Obiecuję.

- Słyszysz mnie, chłopcze? – *zapytał Odyseusz.* – Słuchaj mojego głosu i wróć do nas.

Ksander jęknął i poczuł ciężar przygnia tający mu u pierś. Kończyny miał jak z ołowiu i zaschło mu w ustach. Otworzył oczy i ujrzał brzydką twarz pochylonego nad nim Odyseusza.

- Ha! – wykrzyknął król Itaki. – A nie mówiłem? Chłopak ma serce. – Spojrzał na Ksandra i rozwichrzył mu włosy. – Przez chwilę baliśmy się o ciebie.

Odyseusz pomógł mu usiąść, a potem przytknął do warg kubek z wodą. Ksander napił się z wdzięcznością. Rozejrzał się i zobaczył, że przez okno wpada słoneczny blask, który oświetla jego łóżko. Za plecami Odyseusza stał wysoki, chudy mężczyzna w białym chitonie do kostek. Czarne włosy miał przerzedzone na skroniach i wyglądał na bardzo zmęczonego. Podeszedł do Ksandra i położył chłodną dłoń na jego czole.

- Gorączka opada – orzekł. – Chory musi jeść i odpoczywać. Każę komuś ze służby przynieść mu coś do zjedzenia.

- Kiedy będzie mógł podróżować? – zapytał Odyseusz.

- Nie prędzej niż za tydzień. Gorączka mogłaby wrócić, a chłopak jest bardzo osłabiony

Kiedy mężczyzna wyszedł, Ksander rozejrzał się po pokoiku.

- Co to za miejsce? – zapytał.

– Dom Węży, siedziba uzdrowicieli – wyjaśnił Odyseusz. – Jesteś tu od pięciu dni. Pamiętasz coś?

– Nie. Pamiętam tylko, że widziałem Zidantasa. Kazał mi wracać do Troi. Wydawało mi się, że to się dzieje naprawdę, lecz to był tylko sen.

– Widziałeś jakąś bramę? – spytał Odyseusz.

– Bramę?

– Moja Penelopa mówi, że są dwa rodzaje snów. Jedne przechodzą przez bramę z kości słoniowej i są zwodnicze. Inne przechodzą przez bramę z rogu i są brzemienne w zapowiedzi przyszłych zdarzeń.

– Nie widziałem żadnej bramy – rzekł Ksander.

– Zatem to pewnie był zwyczajny sen – powiedział Odyseusz. – Zostawię cię tutaj, Ksandrze. Sezon żeglugowy prawie się skończył i zanim nadejdzie zima, muszę wrócić do mojej Penelopy.

– Nie! – przeraził się Ksander. – Nie chcę znów zostać sam. Proszę, nie odchodź!

– Nie będziesz sam, chłopcze. *Ksantos* już przyplłynął i jest tu Helikaon. Porozmawiam z nim o tobie. Jednak na razie musisz odpoczywać i robić wszystko, co powie ci uzdrowiciel. Musisz odzyskać siły.

Mówiąc, Ksander zdał sobie sprawę, jaki jest słaby.

– Co mi było? – zapytał.

Odyseusz wzruszył ramionami.

– Miałeś gorączkę. Uzdrowiciel powiedział, że mogłeś zjeść coś zepsutego albo nawdychać się zgniętego powietrza. Jednak już z tobą lepiej, chłopcze. Wkrótce znów będziesz silny. Jak wiesz, umiem czytać w ludzkich sercach. Znam różnice między tchórzem a bohaterem. Ty jesteś bohaterem. Wierzysz mi?

– Wcale nie czuję się jak bohater – wyznał Ksander.

Odyseusz postukał się palcem w policzek pod prawym okiem.

– To magiczne oko, Ksandrze. Nigdy się nie myli. Pytam jeszcze raz, wierzysz mi?

– Tak. Oczywiście, wierzę.

– Zatem powiedz mi, kim jesteś.

– Jestem bohaterem.

– Dobrze. Kiedy znów opadną cię wątpliwości, przypomnij sobie te słowa. Powtarzaj je sobie. Zobaczymy się znowu na wiosnę, jeśli bogowie pozwolą.

2.

Argurios Mykeńczyk nie był człowiekiem skłonny do głębokich rozważań. Żył, aby służyć królowi i swemu ludowi. Nie kwestionował decyzji władcy ani nie zastanawiał się nad tym, czy wojny i podboje są dobre czy złe. Dla Arguriosa życie było surowe i nieskomplikowane. Moźni rządili, słabsi byli sługami lub niewolnikami. To samo dotyczyło narodów.

Jednak ta prosta filozofia życiowa zawierała również zasady króla Atreusza, ojca Agamemnona. Władza i sumienie, siła bez okrucieństwa, miłość ojczyzny bez nienawiści do wrogów.

Dlatego Argurios nigdy nie torturował wroga, nie zgwałcił kobiety, nie zabił dziecka. Nie palił domów i nie starał się zastraszać tych, których pokonał.

Wciąż dręczyły go wspomnienia wydarzeń, które doprowadziły do masakry w Pechowej Zatoce. Zidantas został okrutnie zamordowany. Argurios chciał wierzyć, że Kolanos jest dzikusiem, potworem nie pasującym do porządnych ludzi, jakimi są Mykeńczycy.

Tylko czy tak było naprawdę?

Zastanawiał się nad tym podczas podróży z Odyseuszem, ale dotąd nie znalazł odpowiedzi. Teraz, pnać się długim zboczem ku Bramie Skajskiej, nie podziwiał piękna miasta, nie zwracał uwagi na błyszczące złotem dachy pałacu. Myślał o innych wodzach, którzy zaskarbili sobie łaski króla Agamemnona, okrutnych i bezwzględnych zabójcach, których czyny były plamą na honorze Mykeńczyków. W ciągu ostatnich miesięcy słyszał opowieści, które mroziły mu krew w żyłach.

Wymordowano mieszkańców całej wioski: mężczyzn przywiązano do drzew, rozcięto im brzuchy, a we wnętrzości wbito patyki, żeby nie wypłynęły. Kobiety przed śmiercią zgwałcono. Dowódcą oddziału, który tego dokonał, był Mykeńczyk Kolanos.

Argurios poszedł z tą opowieścią do Agamemnona. Król uważnie go wysłuchał.

– Jeśli jest tak, jak mówisz, Arguriosie, winni zostaną surowo ukarani.

Jednak nie zostali. Od tego czasu Argurios rzadko bywał wzywany przed oblicze króla. Kiedy Agamemnon ostatnio wybrał się do Jaskini Skrzydeł, Argurios nie znalazł się wśród dwunastu, którzy mu towarzyszyli, Kolanos natomiast – tak.

Odepchnawszy od siebie te myśli, Argurios wszedł do dolnego miasta, szukając ulicy Poselskiej. Szybko się zgubił i musiał pytać o drogę. Zatrzymał się przy studni i usiadł w cieniu muru, na którym wyrzeźbiono Artemis Łowczynię. Płaskorzeźba była bardzo udana. Artysta ukazał boginię w biegu, z napiętym łukiem, ścigającą jakiegoś zwierza.

– Chcę, żebyś udał się do Troi – oznajmił król Agamemnon podczas ich ostatniego spotkania.

– Jestem na twoje rozkazy, królu. Co mam tam robić?

– Przyjrzeć się obronie miasta. Wnioski możesz przekazać posłowi Erekosowi. On prześle je mnie.

– Z całym szacunkiem, mój królu, przecież on sam może opisać fortyfikacje. Jakim celom ma służyć moja podróż?

– Moim celem – odparł Agamemnon. – Wiesz równie dobrze jak ja, że same fortyfikacje nie są najważniejsze. To ludzie wygrywają lub przegrywają wojny. Przyjrzyj się żołnierzom. Sprawdź, czy są zdyscyplinowani, i wskaż ich słabe punkty. Troja jest najbogatszym miastem na Wielkiej Zieleni. Ma ogromne bogactwa i jeszcze większe wpływy. Żadne zamorskie przedsięwzięcie nie może się powieść, jeśli Troja jest mu przeciwna. Dlatego Troja musi być mykeńska.

– Zaatakujemy Troję?

– Nie od razu. Może nie będzie to konieczne. Mamy teraz przyjaciół

w królewskiej rodzinie. Jeden z tych przyjaciół może niebawem zostać królem. Wtedy nie będzie trzeba oblegać miasta. Jednakże, jak nauczył mnie ojciec, zawsze mądrze jest mieć więcej niż jeden plan. Popłyniesz z Glaukosem. On jest spokrewniony z posłem Erekosem. Ponadto umie czytać i pisać – a to umiejętności, których ty, jak się zdaje, nie posiadasz.

– Nie, panie.

– Może być użyteczny.

– Ten chłopak nie ma serca. Nie polegałbym na nim w walce.

– Nie jedziesz tam walczyć, Arguriosie.

– Mogę zapytać, co ci doniesiono, panie, w sprawie masakry?

Agamemnon machnął ręką.

– Przesadzone opowieści. Zabito kilka osób, aby uzmysłwić wszystkim, że przeciwstawianie się Mykeńczykom jest bezcelowe. Statek odpływa jutro. Kapitan będzie cię oczekiwał.

Wspomnienie tej ostatniej rozmowy kładło się na nim jak czarny całun. Agamemnon potraktował go gorzej niż oziębłe. Emanowała z niego ledwie skrywana wrogość.

Argurios wstał i poszedł dalej, jeszcze bardziej gubiąc się w labiryncie uliczek. W końcu musiał poprosić o pomoc ulicznego handlarza.

Idąc za jego wskazówkami, znalazł się przed sporym, lecz niepozornym budynkiem wspierającym się o zachodni mur dolnego miasta. Przed drzwiami stał uzbrojony wartownik. Nie nosił zbroi – później Argurios dowiedział się, że napierśnik i hełm mogli nosić w mieście wyłącznie trojańscy żołnierze – lecz po jego zachowaniu Argurios poznał, że to mykeński wojownik. Wysoki i ponury, zwrócił na gościa szare oczy, ale się nie odezwał.

– Jestem Argurios. Z rozkazu Agamemnona przybyłem zobaczyć się z Erekosem.

– Jest w Milecie, panie – powiedział mu wartownik. – Ma wrócić za kilka dni. Udał się na spotkanie z królem.

– Agamemnon jest w Milecie?

Ta wiadomość zaskoczyła Arguriosa. Milet był dużym portowym miastem między Likią a Troją. *Penelopa* przepływała wzdłuż tej części wybrzeża. To irytujące, że był tak blisko króla i nic o tym nie wiedział. Powiadomiłby go o wydarzeniach w Pechowej Zatoce.

Wartownik wskazał mu drogę do domu, w którym podróżny mógł znaleźć łóżko i strawę. Argurios zaniósł tam swój skromny bagaż i dostał pokój z małym oknem wychodzącym na odległe wzgórze. Łóżko było rozklekotane, pokój wilgotny. Argurios nie przejął się tym. Zamierzał tu tylko sypiać.

Przez sześć następnych dni codziennie chodził do domu mykeńskiego posła. Dowiedziawszy się, że Erekos jeszcze nie wrócił, szedł oglądać miasto i sprawdzać jego obronność, zgodnie z rozkazem Agamemnona.

Szybko odkrył, że Troja to nie jedno miasto. Coraz bardziej się bogacąc, szybko się rozrastała, wychodząc na wzgórze i równinę. Dominował nad nią warowny pałac króla. Kiedyś był cytadelą i

obejmował liczne stare budynki, obecnie wykorzystywane na skarbcę lub biura królewskich doradców. Wiodły do niej dwie bramy: jedna do części kobiecej, a druga na dziedziniec przed ogromnymi podwójnymi drzwiami królewskiego megaronu.

Wokół pałacu szerokim kręgiem rozciągało się górne miasto, w którym mieszkali bogaci: kupcy, książęta i szlachetnie urodzeni. Stały tu pałace i wielkie domy ozdobione posągami i kwitnącymi drzewami w przepięknych ogrodach. W kilku dużych kwartałach mieszkali tu rzemieślnicy i artyści wytwarzający towary dla bogatych: jubilerzy, krawcy, płatnerze, garncarze i snycerze. Były tu wykwintne gospody, gimnazjon i teatr. Górnego miasta broniły potężne mury i zmyślnie rozmieszczone wieże.

Za tymi murami znajdowało się nieustannie rozrastające się podgrodzie. W znacznej części było ono nie umocnione. Nie miało murów obronnych, zaledwie szereg szerokich fos, niektóre z nich jeszcze w budowie. Każda silniejsza armia mogłaby bez trudu je zdobyć, lecz niewielkie znalazłaby łupy. Tu prawie nie było pałaców. Znajdowały się tu domostwa uboższych mieszkańców: służby i biednych rzemieślników, farbiarzy lub rybaków. Jak zawsze w takich miejscach w powietrzu unosił się smród używanego w garbarniach palonego wapna i bydlęcego moczu oraz psujących się wnętrzności ryb.

Jednak to nie tutaj rozstrzygnie się wynik ewentualnej bitwy.

Argurios wiedział, że wróg zdoła złupić Troję, tylko jeśli wyłamie wielkie wrota lub wespnie się na jej potężne mury.

Brama Wschodnia byłaby koszmarnie trudna do sforsowania. Mur po obu jej stronach załamywał się do środka, w wyniku czego atakujący musieliby się tłoczyć na niewielkiej przestrzeni, zasypywani z flank strzałami z łuków i pociskami z machin miotających. Nawet średnio ciężki kamień rzucony z takiej wysokości zmiażdżyłby okrytego zbroją człowieka. Same wrota były zaś grube i okute brązem. Trudno byłoby je podpalić.

Jednakże te umocnienia nie były głównym przedmiotem zainteresowania Arguriosa. Jak powiedział Agamemnon, jego największą zaletą była umiejętność oceny żołnierzy, ich wyszkolenia i słabych punktów. Na wojnie zwycięstwo lub klęska zależy od czterech czynników: morale, dyscypliny, organizacji i odwagi. Brak któregośkolwiek z nich to pewna przegrana. Dlatego przyglądał się żołnierzom na murach, oceniał ich czujność i zachowanie. Czy są niedbali lub leniwi? Czy ich dowódcy są stanowczy i zdyscyplinowani? Czy są pewni siebie, czy tylko aroganccy? Na takie pytania Agamemnon chciał poznać odpowiedź. Tak więc Argurios przesiadywał w tawernach i gospodach, przysłuchując się rozmowom żołnierzy, obserwował, jak maszerują lub patrolują ulice. Gawędził z kramarzami i starymi ludźmi wysiadującymi przy studniach i opowiadającymi o czasach, kiedy służyli w wojsku.

Przekonał się, że trojańskie oddziały są bardzo zdyscyplinowane i dobrze wyszkolone. Wywiedziało się też, że Priam regularnie posyła swoje oddziały do Hetytów, jako wsparcie w prowadzonych przez nich wojnach, a nawet wynajmuje swoją jazdę, pieszych i woźniców

rydwanów władcom sąsiednich królestw, żeby żołnierze zahartowali się w walce. Tak więc choć Troja od ponad dwóch pokoleń nie zaznała wojny, jej żołnierze byli zaprawionymi w bojach weteranami. Trudno było ocenić liczbę wojowników, jakich mogła wystawić, ale Argurios sądził, że byłoby ich co najmniej dziesięć tysięcy, w tym tysiąc żołnierzy Trojańskiego Konia, którzy właśnie walczyli pod dowództwem Hektora z Egipcjanami.

Na pierwszy rzut oka Troja wydawała się nie do pokonania, ale Argurios wiedział, że nie ma twierdzy, której nie można by zdobyć. Jak przełamać obronę? Ilu byłoby trzeba ludzi?

Aby pokonać obleżonego wroga, trzeba mieć pięć razy więcej wojska niż on. Trojańczycy mieli dziesięć tysięcy ludzi, tak więc należałoby zebrać co najmniej pięćdziesiąt tysięcy wojowników. To samo w sobie uniemożliwiało mykeńską inwazję, gdyż Agamemnon nie zdołałby zebrać więcej niż piętnaście tysięcy zbrojnych, nawet gdyby wezwał wszystkich mykeńskich wojowników. A nawet gdyby tylu zebrał, stanąłby przed następnym problemem. Jak wyżywić taką armię? Trzeba by plądrować okoliczne ziemie, co wzburzyłoby ludność, wywołując niezadowolenie i bunt. To był trudny problem, ale Argurios postanowił wrócić do swego władcy z konkretnym planem.

3.

Uszy rozrywał mu przeraźliwy kwik i Argurios miał wrażenie, że zaraz pęknie mu głowa. Spojrzał w górę, na wysokie sklepienie owalnego grobowca, usiłując zignorować gęsty odór krwi i strachu oraz odgłosy wydawane przez miotające się, zabijane konie. Żołnienie rumaków szlachetnej krwi w ofierze Zeusowi było jak najbardziej właściwą ceremonią na pogrzebie wielkiego władcy i serce rosło mu na myśl, że król Atreusz na takich pięknych wierzchowcach wyruszy w podróż na Pola Elizejskie.

Oba konie w końcu wyzionęły ducha i zostały zawleczone do króla, leżącego na marach pośrodku grobowca. Atreusz leżał w swej złoto-srebrnej zbroi, mając przy prawym boku ulubiony miecz, a przy lewym trzy nabijane klejnotami sztylety i łuk. Przy wezgielciu postawiono mu złoty kielich z wyrzeźbionym mykeńskim lwem oraz flakony z winem i oliwą. Trzy ukochane psy króla leżały zarżnięte u jego stóp.

Mroczny, wilgotny grobowiec był pełen dworzaków króla, jego pogrążonej w żalu rodziny, doradców i płaczków. Agamemnon był odziany w zwykłą wełnianą szatę. Stał i łzy spływały mu po policzkach. Jego brat Menelaos nie płakał, ale wyglądał na załamane – miał szarą jak popiół twarz i puste spojrzenie.

Tłoczący się w ciemnościach muzykanci i pieśniarze czynili nieznośny zgiełk. Nagle brzęk lutni i lir zaczął cichnąć.

Argurios zrobił krok naprzód, żeby po raz ostatni spojrzeć na swego króla. Zmarszczył brwi. Brodata twarz spokojnie spoczywającego na marach mężczyzny nie była twarzą Atreusza. Nie ta broda, zbyt szeroka twarz. Czyżby uzurpator... ?

Spojrzał wokół, sprawdzając, czy ktoś poza nim to zauważył.

Jednak wokół nie było nikogo. Płaczki i muzykanci, synowie i doradcy – wszyscy znikli. Wielki owalny grobowiec był ciemny i zimny, a powietrze wypełniał odór wilgoci i pleśni.

Był sam. Nikt nie oplakiwał Arguriosa. Nikt nie spostrzegł, że odchodzi i nie zauważony zejdzie do świata podziemi. Nikt nie znał jego imienia.

Pękała mu głowa. W brzuchu też czuł straszliwy ból. Wcześniej nie zważał nań, ale wiedział, że był on tam cały czas. Krzyknął...

Leżał w kamiennej sieni w dotkliwym nocnym chłodzie. Księżyc stał wysoko na niebie i w jego świetle Argurios zobaczył, że chiton ma przesiąknięty krwią. W pobliżu leżały trzy ciała, a obok siebie zobaczył zakrwawiony miecz. Spróbował się podnieść, ale zaraz znów upadł, czując przeszywający ból w plecach i piersi. Zaciśnął zęby i przetoczył się na kolana. Wszystko zawirowało mu w oczach i osunął się na framugę drzwi.

Po chwili ból nieco zelżał i Argurios rozejrzał się. W blasku księżyca zobaczył uliczkę i skromne domostwa. Wtedy sobie przypomniał. Był w Troi.

Ból znów spadł na niego niepowstrzymaną falą. Załupało mu w skroniach i zwymiotował. W wymiocinach dostrzegł krew. Ponownie spróbował wstać, ale zabrakło mu sił. Popatrzył na trupy tych, których zabił. Jeden leżał twarzą do niego. Rozpoznał w nim wartownika, który pełnił służbę siódmego dnia, kiedy Argurios złożył wizytę w domu Erekosy.

Wartownik poinformował go, że Erekos powrócił, i wskazał dziedziniec.

– Zaczekaj tu, panie – powiedział.

Dziedziniec był pusty, nic tu nie rosło. Argurios przeszedł się po nim kilka razy, po czym usiadł na kamiennej ławie i patrzył na zachodzące słońce.

Z budynku wyszli trzej mężczyźni. Pierwszy, wysoki i chudy, miał rzadkie rude włosy. Jego gładko ogolona twarz była poszarzała, a oczy przekrwione, jakby od zimna. Nosił długi ciemny płaszcz, a pod nim chiton i spodnie. Był bez broni. Obaj pozostali, blondyn i brunet, mieli miecze. Argurios spojrzał na nich i poczuł lekki niepokój. Gapili się na niego. Wstał z ławki.

– Wróciłem zeszłej nocy – powiedział rudowłosy bez słowa powitania. Taki przejaw złych manier zirytował Arguriosa, lecz wojownik skrył gniew. – Byłem u króla, kiedy szlachetnie urodzony Kolanos opowiadał o tchórzliwym mordzie, jakiego dokonał Helikaon. Nazwał cię zdrajcą oplacanym przez Helikaona.

– Ach – odparł zimno Argurios. – Nie tylko tchórz, ale i kłamca.

Posel Agamemnona zmrużył oczy i poczerwieniał.

– Szlachetnie urodzony Kolanos twierdził, że zabiłeś członka jego załogi i uratowałeś życie Helikaonowi.

– To prawda.

– Może zechciałbyś się wytłumaczyć.

Argurios zerknął na towarzyszących Erekosowi zbrojnych.

– Jestem Argurios, szlachetnie urodzony członek świty

Agamemnona, Mykeńczyk. Odpowiadam tylko przed moim królem, nie przed jakimś wieśniakiem karierowiczem wysłanym do obcego kraju.

Towarzyszący posłowi zbrojni sięgnęli po miecze, ale Erekos powstrzymał ich machnięciem ręki. Uśmiechnął się.

– Słyszałem pełną relację o wydarzeniach w Likii. Zginęło wielu dobrych Mykeńczyków – włącznie z moim bratankiem Glaukosem. Nie zrobiłeś nic, żeby ich ocalić, a nawet pomogłeś zabójcy Helikaonowi. Nie jesteś tu mile widziany, Arguriosie. Prawa gościnności nie pozwalają na rozlew krwi w moim domu. Wiedz jednak, że Agamemnon skazał cię na banicję. Nie jesteś już Mykeńczykiem. Twoje ziemie zostały skonfiskowane, a ciebie ogłoszono wrogiem Myken.

Argurios wyszedł z domu posła sztywno wyprostowany, z zamętem w głowie. Nie znał się na powinnościach poselskich i ta podróż do Troi nie była po jego myśli. Mimo to był dumny, że może wywieźć się dla swego króla, jaka jest polityczna i militarna sytuacja w królestwie Priama, a potem przekazać te wieści rodakowi przebywającemu za granicą. Sięgnawszy do skórzanej torby, wyjął zapieczętowane listy, które przyniósł dla Erekosa. Rozgniewany, miał ochotę podrzeć te papiirusy i wyrzucić, ale zawahał się, a potem schował je z powrotem. Dał mu je dzień przed wyjazdem główny skryba Agamemnona, gdy Argurios opuszczał pałac. Urzędnik wybiegł za nim na ulicę.

– Słyszałem, że wyruszasz do Troi – powiedział. – Te listy miały być wysłane trzy dni temu, ale głupi sługa zapomniał dać je kapitanowi statku. Zabierzesz je, panie?

Każdy papiirus nosił pieczęć Agamemnona i Argurios przechowywał je z szacunkiem. Nie mógł cisnąć królewskich słów w uliczne błoto.

Wygnanie!

Nie mieściło mu się w głowie, że go na nie skazano, ale najbardziej bolało go to, że zrobił to Agamemnon, któremu tak wiernie służył. Z pewnością król, myślał Argurios, jak mało kto powinien wiedzieć, że nigdy nie sprzedałbym się Helikaonowi ani żadnemu innemu wrogowi mego ludu. Zastanawiał się, czy wszystko, czego w życiu dokonał, przestało się liczyć. W ciągu tych dwudziestu lat, jakie upłynęły, od kiedy osiągnął wiek męski, nigdy nie szukał bogactw ani nie uległ żadnej pokusie, która odciągnęłaby go od służby królowi. Nie kłamał i nie brał udziału w pałacowych intrygach, jakie knuli jedni wielmoże przeciw drugim, żeby wkraść się w łaski Agamemnona. Nawet nie wziął sobie żony, aby móc się całkowicie poświęcić królowi i ludowi.

A teraz ogłoszono go zdrajcą, banitą i pozbawiono włości.

Wychodząc z domu Erekosa, postanowił natychmiast popłynąć z powrotem do Myken i porozmawiać z królem. Na pewno, myślał, Agamemnon zrozumie, że wprowadzono go w błąd. Ta myśl podniosła go na duchu. Wróci do Myken, zdemaskuje Kolanosa jako kłamcę i łotra, i wszystko będzie dobrze.

Był już blisko swojej kwatery, gdy uświadomił sobie, że jest śledzony.

Wtedy zrozumiał, że nie ma dla niego powrotu do ojczyzny. Posłano za nim zabójców. Jego życie – życie zdrajcy i banity – było warte

tylko tyle, ile zaoferował za nie Agamemnon lub Kolanos.

Poczuł zimny gniew i odwrócił się, by poczekać na zabójców. Idąc do domu posła, nie wziął miecza ani sztyletu, więc stał teraz bez broni, patrząc na pięciu nadchodzących mężczyzn.

Ich przywódca był odziany w czarny płaszcz z kapturem. Wystąpił naprzód i przemówił:

– Odstępco, wiesz, jakie niegodziwe czyny ściągnęły na ciebie tę karę.

Argurios spokojnie spojrzał mu w oczy.

– Żadne niegodne czyny nie plamią mego imienia. Jestem Argurios i padłem ofiarą kłamstw nędznego tchórza. Zamierzam wrócić do ojczyzny i porozmawiać z królem.

Tamten zaśmiał się ochryple.

– Twoje życie zakończy się tutaj, zdrajco. Nie będzie żadnych rozmów.

Zabójca skoczył na Arguriosa. W jego dłoni błysnął nóż. Argurios wyszedł mu naprzeciw, złapał za przegub uzbrojonej ręki i wymierzył mu potężny cios w twarz. Gdy przeciwnik padał, oburącz chwycił go za nadgarstek, okręcił i mocnym szarpnięciem wyłamał rękę w stawie barkowym. Zabójca z wrzaskiem upuścił sztylet. Czterej pozostali rzucili się do ataku. Argurios kopniakiem odepchnął unieszkodliwionego pod nogi atakujących, po czym podniósł sztylet.

– Jestem Argurios! – huknął. – Kto podejdzie bliżej – zginie!

Zawahali się, ale wszyscy mieli miecze. Ich ranny herszt, klęcząc na bruku, wrzasnął:

– Zabić go!

Zaatakowali. Argurios skoczył im na spotkanie. Jeden miecz wbił mu się w bok, drugi rozciął lewy bark. Nie zważając na ból, pchnął jednego napastnika w serce, drugiego powalił, kopnąwszy w prawe kolano, a potem starł się z trzecim. Czwarty pchnął go, ale sztych miecza ześlizgnął się po żebrach. Argurios poczuł, że opuszczają go siły. Uderzył napastnika w twarz i bykiem złamał nos drugiemu. Na pół oślepiony przeciwnik zachwiał się. Argurios z półobrotu kopnął go w kolano. Rozległ się ohydny trzask pękających kości i przeraźliwy wrzask bólu. Trzeci zabójca zdołał już wstać. Argurios przetoczył się po bruku, złapał upuszczony miecz i obrócił się w samą porę, żeby odbić cięcie. Zerwał się i uderzył barkiem, odrzucając przeciwnika w tył. Zanim zdążył on złapać równowagę, Argurios przeszył mu mieczem pierś i natychmiast go wyciągnął. Akurat w porę, by odparować wściekle pchnięcie wymierzone w jego brzuch. Potem sam pchnął, wbijając miecz pod brodę napastnika, aż sięgnął mózgu. Wyrwał ostry spiż i pozwolił zabitemu upaść.

Mężczyzna ze strzaskanym kolanem głośno jęczał. Argurios spojrzał w lewo, gdzie stał teraz herszt zabójców. Sztylet trzymał w lewej ręce, a prawa zwisała mu bezwładnie.

– Twój kompan nie może chodzić – rzekł Argurios. – Będziesz musiał mu pomóc dotrzeć do domu uzdrowicieli.

– Przyjdzie jeszcze taki dzień... – wymamrotał zabójca.

– Może, ale nie dla ciebie, szczeniaku. Na starego wilka potrzeba

prawdziwych psów. A teraz się wynoś.

Stał wyprostowany i niewyciężony, gdy tamten pomógł jęczącemu wstać. Potem obaj powoli wtopili się w mrok.

Argurios zdołał jeszcze przez chwilę utrzymać się na nogach.

Nie miał pojęcia, ile czasu upłynęło od tej chwili. Ból brzucha zelżał i było mu zimno, chociaż wciąż czuł ciepłą krew sączącą się z ran. Spróbował wstać, podpierając się jedną ręką, i znów poczuł przeszywający ból. Nagle usłyszał kroki. A więc przyszli dokończyć dzieła. Gniew dodał mu sił i Argurios powoli wstał, zdecydowany umrzeć na stojąco.

W jego polu widzenia pojawiło się kilku żołnierzy w grzebieniastych hełmach. Argurios ciężko oparł się o framugę drzwi.

– Co tu się stało? – zapytał pierwszy żołnierz, podchodząc bliżej.

Świat zawirował Arguriosowi w oczach i Mykeńczyk upadł. Żołnierz upuścił włócznię i złapał go, po czym powoli położył na bruku. Drugi żołnierz zawołał:

– Jednym z zabitych jest Filometor Mykeńczyk! Mówiono, że to świetny wojownik.

Jakiś starszy mężczyzna wyszedł z pobliskiego domu i powiedział do żołnierzy:

– Widziałem wszystko z balkonu. Napadło na niego pięciu ludzi. On nie miał broni, ale pokonał wszystkich.

– No cóż – rzekł żołnierz. – Musimy zanieść go do świątyni. Każdy, kogo chcą zabić Mykeńczycy, zasługuje na to, by żyć.

XVII. ZŁOTY KRÓL

1.

Kiedy Helikaon poprzednio stał na brzegu Troi, był z nim Zidantas. Płynęli na Cypr, aby zabrać *Ksantosa* w dziewiczy rejs. Wydawało się, że od tego czasu minęły wieki.

Statek był już rozładowany, a ładunek przeniesiony do magazynów. Z końcem sezonu w portach było mniej kupców, więc *Ksantos* popłynął dalej na północ do Dardanii ze znacznie mniejszym obciążeniem. Załozde zapłacono i dwudziestu ośmiu wioślarzy zgłosiło, że chce opuścić statek. Oniakos przeszukiwał tawerny, szukając nowych ludzi, którymi mógłby obsadzić *Ksantosa* podczas podróży do domu.

Helikaon spojrział na brzeg i zobaczył, że Odyseusz ze swoją załogą przygotowują *Penelopę* do zwodowania. Smukły stary statek wdzięcznie spłynął na wodę i żeglarze wspięli się na pokład. Odyseusz wykrzykiwał rozkazy. Przez moment Helikaon zapragnął cofnąć czas i znów znaleźć się na pokładzie *Penelopy*, popłynąć przez Wielką Zieleń, by przezimować w Itace. Życie wydawało się wtedy tak nieskomplikowane, obawy nieistotne i związane z łatwymi do rozwiązania problemami: rozdarcie żagla, które można było zszyć, pęcherzami na dłoniach, które można było zabandażować.

Wcześniej tego ranka siedział na plaży z Odyseuszem. Było to ich pierwsze spotkanie od czasu bitwy przed Zatoką Niebieskiej Sowy. Odyseusz powiedział mu o chorobie *Ksandra*, a potem przez chwilę siedzieli w przyjaznym milczeniu.

– Nic nie mówisz o *Zidantasie* – rzekł w końcu Odyseusz.

– On nie żyje. Co jeszcze można powiedzieć?

Odyseusz bacznie mu się przyjrzał.

– Pamiętasz, jak ci mówiłem o zagubionym bohaterze i o tym, że musisz go odnaleźć?

– Oczywiście. Byłem słabym i wystraszonego chłopcem. Jednak jego już dawno nie ma.

– Owszem, był przestraszony, ale nie słaby. Inteligentny i rozważny. A do tego wrażliwy i delikatny. Czasem powinieneś poszukać i jego.

Helikaon zaśmiał się z przymusem. Ochryple.

– On nie przetrwałby w moim świecie – powiedział.

Odyseusz pokręcił głową.

– Twój świat jest pełen gwałtownych ludzi, uzbrojonych w miecze i tarcze, gotowych wyrąbać sobie drogę do tego, co chcą zagarnąć. Czy nie widzisz, że ten chłopiec, którym byłeś, nie pozwala ci być takim samym jak oni? Nie zgub go, Helikaonie.

– Czy on zdołałby zniszczyć galerę *Kolanosa*? Albo pokonać *Alektruona* czy uniknąć zasadzki w Zatoce Niebieskiej Sowy?

– Nie, nie zdołałby – warknął Odyseusz. – Ale też nie spaliłby pięćdziesięciu czy więcej bezbronnych i rannych ludzi. Chcesz pokonać *Kolanosa* czy stać się taki jak on?

Ten wybuch przyjaciela rozgniewał Helikaona.

– Jak możesz tak mówić? Nie wiesz, co noszę w sercu.

– A kto to wie? – odparował Odyseusz. – Okryłeś je zbroją. Jak zawsze.

– Nie muszę tego słuchać – rzekł Helikaon, wstając.

Odyseusz też się podniósł.

– Ilu masz przyjaciół, Helikaonie? – zapytał. – Ja kocham cię jak syna i mówię ci, że się mylisz. Potrafię dostrzec, co nosisz w sercu. Widzę, że cierpisz, i wiem, ile znaczył dla ciebie Wól. Opłakujesz go i czujesz się tak, jak by rozrywano cię na kawałki. Widzisz go we śnie i na jawie. Wciąż go wypatrujesz, wciąż zdajesz się widzieć go kątem oka. Nieświadomie oczekujesz, że pewnego ranka zbudzisz się i zobaczysz go stojącego obok, całego i zdrowego. I umierasz na nowo każdego dnia, kiedy budzisz się i uświadamiasz sobie, że jego już nie ma.

Helikaon zgarbił się i uszła z niego złość.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Patrzyłem, jak umierał mój syn.

Odyseusz usiadł i zapatrzył się na morze. Helikaon po chwili usiadł obok przyjaciela.

– Przepraszam, Odyseuszu. Zapomniałem.

– Nie znałeś go. – Brzydki król westchnął. – Czy teraz chcesz porozmawiać o Wole?

– Nie mogę.

Odyseusz wyglądał na rozczarowanego, ale skinął głową.

– Rozumiem. Jednak mam nadzieję, mój przyjacielu, że pewnego dnia nauczysz się otwierać swe serce. Inaczej zawsze będziesz sam. No cóż, nie będziemy tego roztrząsać. Wróćmy do Kolanosa. Teraz zapewne się przy czai. Wróci do Myken albo poszuka schronienia na pirackiej wyspie na południowy zachód od Samotraki. Tamtejsze wody są zdradliwe i niewiele statków zaryzykuje spotkanie z zimowymi sztormami. A nawet gdyby, to jest tam palisada i kilkuset piratów, którzy mogą jej bronić.

– Znam tę wyspę – powiedział Helikaon. – *Penelopa* przybiła do niej podczas mojego pierwszego rejsu. Piraci otoczyli cię, a ty opowiedziałeś im historię, która wywołała ich śmiech, płacz i gorącą owację. Obsypali cię podarunkami. Wciąż mi się to przypomina. Stę okrutników i barbarzyńców płaczących, gdy opowiadasz o miłości, honorze i odwadze.

– Tak, to była niezapomniana noc – przyznał Odyseusz. – Jeśli Kolanos tam jest, będzie bezpieczny przez zimę. Na wiosnę znów ruszy na morze.

– Wtedy go znajdę, Odyseuszu.

– Spodziewam się. Jednak ważniejsze jest to, żebyś uważał na siebie teraz. Jest wielu zręcznych zabójców. Mając to na uwadze, przyniosłem ci mały prezent.

Poszperał w swoim worku, wyjął kaftan z ciemnobrązowej skóry i podał go Helikaonowi. Był cięższy, niż książę oczekiwał, a pod miękką skórą wyczuł coś twardego.

– Znalazłem go kilka lat temu na Krecie – wyjaśnił Odyseusz.

Helikaon włożył kaftan. Sięgał mu do kolan i miał jedwabną podszewkę.

– To sprytna rzecz – ciągnął król Itaki. – Między jedwabiem a skórą są wszyte cienkie, zachodzące na siebie krążki z kości słoniowej. Zatrzymają pchnięcie sztyletem, chociaż wąpnię, czy wytrzymałyby mocne pchnięcie mieczem, uderzenie toporem lub strzałę wypuszczoną z rogowego łuku.

– To piękny podarunek, przyjacielu. Dziękuję.

– Phi! Na mnie i tak jest za mały. Noś go na łądzie – i staraj się nie chodzić samotnie po mieście.

– Będę uważał – obiecał Helikaon. – Wkrótce popłynę do Dardanii. Tam będę wśród wiernych mi żołnierzy.

– Tak jak kiedyś był twój ojciec – przypomniał Odyseusz. – Nie łudź się, że gdziekolwiek będziesz bezpieczny. I nie zakładaj, że lojalność jest z kamienia.

– Wiem.

– Oczywiście, że wiesz – mruknął przepraszająco Odyseusz. – Słyszałeś o Arguriosie?

– Nie.

– Powiadają, że został wygnany i wyjęty spod prawa. Mówią, że go kupiłeś.

Helikaon ze zdumieniem potrząsnął głową.

– Takiego człowieka jak Argurios nie można kupić. Kto mógł coś podobnego wymyślić?

– Ludzie, których można kupić – odparł Odyseusz. – Wąpnię, czy przeżyje miesiąc. Jak długo zamierzasz pozostać w Troi?

– Jeszcze kilka dni. Muszę złożyć grzecznościową wizytę Priamowi i zobaczyć się z kilkoma kupcami. Dlaczego pytasz?

– Coś tu wisi w powietrzu – odparł stary człowiek, dotykając nosa. – Wyczuwam niepokój w mieście. Podejrzewam, że szykuje się kolejny przewrót pałacowy.

Helikaon roześmiał się.

– Tutaj zawsze szykuje się kolejny przewrót pałacowy. Podejrzewam, że one bawią Priama. Dzięki nim jego pokrętny umysł ma jakieś zajęcie.

– Masz rację – przyznał Odyseusz. – On lubi ryzyko. Kiedyś znałem człowieka, który zakładał się prawie o wszystko. Potrafił postawić na to, który gołąb odfrunie pierwszy z drzewa, pod którym siedział, albo który delfin przepłynie przed dziobem statku. I wciąż podnosił stawkę. Pewnego dnia postawił swoje ziemie, konie, bydło i statki na jeden rzut kośćmi. Przegrał wszystko.

– Uważasz, że Priam jest takim głupcem?

Odyseusz wzruszył ramionami.

– Człowiek kochający ryzyko to człowiek, który chce się sprawdzić. Po każdej zwycięskiej próbie podnosi stawkę. Priam ma wielu uznanych synów i jeden tron do obsadzenia. Wszyscy jego synowie nie mogą na nim zasiać.

– Ma Hektora – przypomniał Helikaon. – On nigdy nie zdradziłby ojca.

– Hektor jest kluczem do tego wszystkiego – odparł Odyseusz. – Kochają i boją się go. Na każdego, kto powstałby przeciwko Priamowi, spadłby gniew Hektora. Już samo to zapobiega wybuchowi wojny domowej. Priam zraził do siebie co najmniej połowę swych dowódców i tylko bogowie wiedzą ilu doradców. Z byle powodu pozbawia ich tytułów i wyznacza na ich miejsce innych. Lubi upokarzać ludzi ze swego otoczenia. Zbyt często publicznie karci synów. To głupiec. Gdyby Hektor poległ w bitwie, jego królestwo rozleciałoby się jak stary żagiel na wietrze.

Helikaon się roześmiał.

– Hektor nie poległ w bitwie. Jest niezwyciężony. Gdyby jego okręt zatonął, on wyłoniłby się z odmetów na jednym z delfinów Posejdon.

Odyseusz uśmiechnął się.

– Tak, otacza go boska aura. – Jego uśmiech przygasł. – Jednak nie jest bogiem, Helikaonie. Jest człowiekiem, chociaż wielkim. A ludzie umierają. Nie chciałbym być w Troi, kiedy to się zdarzy.

– To się nie zdarzy. Bogowie kochają Hektora.

– Niech Ojciec Zeus usłyszy twoje słowa i sprawi, żeby stały się prawdą. – Odyseusz wstał. – Muszę przygotować statek do rejsu. Uważaj na siebie, mój chłopcze – powiedział.

Uściskali się.

– Pomyślnych wiatrów i spokojnego morza, Odyseuszu.

– Byłaby to miła odmiana. Powiedz mi, zobaczysz się z Andromachą?

– Może.

– Wspaniała kobieta. Bardzo ją polubiłem. – Odyseusz roześmiał się. – Chciałbym być przy tym, jak spotka się z Priamem.

Helikaon pomyślał o trojańskim władcy. Potężny i dominujący, usiłował podporządkować sobie wszystkich, z którymi się stykał. Potem przypomniał sobie śmiałe spojrzenie Andromachy.

– Owszem – przytaknął. – Ja też chciałbym to zobaczyć.

2.

– Moja pani, obudź się, moja pani! Och proszę, zbudź się!

Andromacha budziła się powoli. Śniła jej się silna burza i fale unoszące się pod niebo niczym góry. Od czasu spotkania z jasnowidzem Aklidesem męczyły ją dziwne sny, w których widziała mężczyznę w jednym sandale lub potworne sztormy. Raz nawet śniło się jej, że wyszła za hodowcę świń, którego twarz powoli zmieniła się w świński pysk z knurzymi kłami bielejącymi na tle szczeniastych policzków.

Biała pościel na łóżku Andromachy była skotłowana, a jej ciało śliskie od potu. Te sny były pełne strachu i pozostawiały po sobie głęboki niepokój. Usiadła i spojrzała na swoją pokojówkę, Akse. Dziewczyna była w zaawansowanej ciąży.

Zwykle uśmiechnięta i zadowolona z życia Aksa teraz załamywała ręce, a na jej twarzy malował się głęboki niepokój.

– Bogom niech będą dzięki, pani. Myślałam, że nigdy się nie zbudzisz. Przysłano po ciebie – powiedziała, zniżając głos i rozglądając

się, jakby w pokojach Andromachy było pełno szpiegów.

Może tak jest, pomyślała Andromacha. W całym tym pałacu zewsząd wyzierały podejrzliwe oczy. Przy każdej grupce rozmawiających natychmiast pojawiali się słudzy, a rozmowy prowadzono szeptem.

Potrząsnęła głową, starając się oprzytomnieć, po czym postawiła długie nogi na podłodze. Za wysokimi prostokątnymi oknami widziała ledwie jaśniejące nocne niebo.

– Kto przysłał po mnie o takiej porze?

– Król, moja pani. – Aksa natychmiast zaczęła ściągać z Andromachy nocną koszulę. – Musisz szybko się umyć i ubrać, moja pani, i jak najszybciej udać się do króla. Lepiej nie zwlekać.

Andromacha usłyszała w jej głosie panikę i zrozumiała, że jeśli każe Priamowi czekać, król będzie o to winił Akse. Gdy służąca przycisnęła jej do twarzy mokrą gąbkę, wzięła ją od niej.

– Sama to zrobię – powiedziała. – Znajdź moją szafranową suknię i te sandały z cielecej skóry, które wczoraj dała mi Laodike.

Myjąc się, rozmyślała, czemu mogło służyć to siedmiodniowe oczekiwanie na spotkanie z Priamem. Może powinna czuć się zaszczycona. Może inne narzeczone musiały czekać miesiącami, zanim król je przyjął. Spytała o to Laodike, lecz najstarsza córka Priama tylko wzruszyła ramionami. Było tyle związanych z Troją spraw, o których Andromacha nie miała pojęcia. Wiedziała jednak, że pałac Priama nie jest szczęśliwym domem. Oszałamiająco piękny i pełen skarbów, często szczerozłoty, był pomnikiem ostentacji, żywo kontrastującym z zachowaniem przebywających w nim ludzi. Laodike miała zaznajomić Andromachę ze zwyczajami panującymi w pałacu: pokazać, które jego części są dostępne dla kobiet, a do których korytarzy i komnat nie mają one wstępu. Jednak Andromacha dowiedziała się znacznie więcej. Laodike udzielała jej wielu przestroóg. Czego nie robić. Czego nie mówić. Dla kogo mieć uśmiech i uprzejme słowa. Kogo unikać.

Wymieniała nazwiska, lecz większość z nich umknęła z pamięci Andromachy z szybkością pikującego sokoła. Niektóre pozostały, ale dopiero po spotkaniu z tymi, którzy je nosili: Polites o wodnistych oczach czy doradca króla i dowódca konnicy, gruby Antifones. Andromacha byłaby zdumiona, gdyby ten posapujący człowiek zdołał choćby dosiąść konia. Był też Deifobos, książe portu. Częściej nazywany Diosem, był trochę podobny do Helikaona, choć brakło mu emanującej ze Złocistego siły. Ma w oczach lęk, pomyślała.

Uświadomiła sobie, że Aksa przygląda się jej z obawą, marszcząc brwi.

– Te śliczne sandały, moja pani... – wyjąkała.

– Masz je, Akso?

– Tak, pani, ale one... są nieodpowiednie.

– Nie spieraj się ze mną – powiedziała jej. – Boisz się gniewu króla. Ja to rozumiem. Jednak powinnaś się bać również mego gniewu.

Powiedziała to uprzejmie, ale przeszła przy tym Akse wzrokiem i dziewczyna spuściła oczy.

– Przepraszam, pani, ale źle mnie zrozumiałaś. Nie możesz włożyć tych sandałów. Masz spotkać się z królem na wielkiej wieży. Jej stopnie

są zdradliwe i kazał ci wzuć odpowiednie obuwie.

Nieco później, o świcie, podążając kamiennymi uliczkami z drepczącą za nią Aksą i dwoma królewskimi gwardzistami w zdobionych srebrem zbrojach z brązu, Andromacha zastanawiała się, co szykuje dla niej Priam. Żałowała, że nie mogła porozmawiać z Laodike o tak dziwnym wyborze miejsca spotkania.

W ciągu tych siedmiu dni pobytu w Troi słyszała wiele plotek o Priamie – przeważnie pełnych podziwu, ale nieistotnych. Aksa powiedziała jej w zaufaniu, że mówi się, iż ma pięćdziesięciu synów, chociaż królowa urodziła mu tylko czterech. Wiedziano, że za młodu był tęгим ogierem i wielu jego synów, uznanych przez niego czy nie, zamieszkało w Troi, w pobliżu ojca. Król, zasiadający na tronie od ponad czterdziestu lat, wciąż lubił ładne dziewczyny, powiedziała inna służąca, chichocząc. Andromacha poczuła odrażę. Jeszcze jeden starzec nie potrafiący pogodzić się z myślą, że jego chuć słabnie, pomyślała. Jednak bogaci są zazwyczaj możni, a władza to afrodyzjak. A powiadano, że Priam jest najbogatszym człowiekiem na świecie.

Zadziwiła ją ilość skarbów, jakie zobaczyła w królewskim megaronie, w apartamentach królowej, oraz to, ile złota i klejnotów nosi na co dzień Laodike. Zawsze była obwieszona biżuterią: na szyi i przegubach nosiła mnóstwo bransolet, naszyjników i wisiorków, we włosy koloru zboża wplatała złote druciki, a do sukni przypinała ciężkie brosze. Te ozdoby wcale nie czynią jej piękniejszą, pomyślała Andromacha. Biżuteria tylko podkreślała jej małe, orzechowe oczy, długi nos i lekko cofniętą brodę. Lecz wszystko to było niczym przy jej pięknym uśmiechu i łagodnym charakterze, za który była powszechnie lubiana.

– Biedna Andromacho – powiedziała Laodike, obejmując przyszłą bratową. – Nie masz biżuterii, żadnych złotych ozdób, tylko kilka tanich paciorków i trochę srebra. Poproszę ojca, żeby dał ci naszyjniki ze złota, bursztynów i krwawników, kolczyki pasujące do twoich oczu oraz złote łańcuszki dla ozdoby twych cienkich kostek i... – zaśmiała się wesoło – ... wielkich stóp.

– Podobno wielkie stopy są piękne – odparła poważnie Andromacha. – Im większe, tym lepsze.

Teraz uśmiechnęła się pod nosem, spoglądając na te stopy obute w toporne sandały ze sznurkowymi podeszwami, które pożyczyła jej Aksa. Potem popatrzyła w górę. Wielka Wieża Ilionu, dumnie wznosząca się z południowego muru Troi, była niemal dwukrotnie od niego wyższa – największa budowla, jaką Andromacha widziała w całym swoim życiu. Podchodząc do niej, zobaczyła w każdym jej rogu zawsze czuwających strażników. Wydawali się mali jak mrówki. Ich zbroje oraz groty włócznie lśniły we wschodzącym słońcu.

Kiedy zapytała Akse, dlaczego na miejsce spotkania król wyznaczył wielką wieżę, pokojówka stała się dziwnie małomówna.

– To zapewne wielki zaszczyt – powiedziała niepewnie. – Król Priam czasem chodzi tam, żeby popatrzeć na swoje miasto oraz wyglądać najeźdźców na morzu i lądzie. Czuwa nad swoim ludem.

– Czy swoich gości zwykle przyjmuje na tej wieży?

Aksa zarumieniła się i odwróciła wzrok.

– Nie wiem. Nie wiem, co czyni król. To najwyższy budynek w mieście. Zapewne to wielki zaszczyt – powtórzyła.

Andromacha zauważyła jej zaniepokojoną minę. Objęła pokojówkę i uścisnęła.

– Nie boję się wysokości – zapewniła ją. – Nie martw się.

Weszli do wieży przez drzwi tuż przy Bramie Skajskiej. Kamienny mur był bardzo gruby, więc było tu zimno i wilgotno. Andromacha zauważyła wąskie schody wznoszące się spiralą w ciemność. Podniosła głowę i zobaczyła, że wieża jest w środku zupełnie pusta i oświetlona jedynie przez promienie słońca wpadające przez otwory regularnie rozmieszczone w grubych ścianach. Wyrastające ze ścian stopnie ostro pięły się w górę, poprzedzielane podestami łączącymi kolejne odcinki. Wiodły do prostokątka światła na samej górze. Nie było poręczy. Umieszczone w uchwytych na ścianach pochodnie dogasały i jeden z żołnierzy zapalił nową, żeby oświetlać drogę.

– Chcesz, żebym poszła tam z tobą, pani?

W świetle pochodni Andromacha zobaczyła wielkie, wystraszone oczy Aksy oraz jej dłonie, bezwiednie splecione na wydętym brzuchu.

– Nie. Zostań tu. Czekać na mnie – odparła.

– Chcesz wody, pani?

Aksa zaczęła odwiązywać bukłak, który miała przy pasku. Andromacha zastanawiała się chwilę, po czym powiedziała:

– Nie, zatrzymaj ją. Może napiję się później.

Zauważyła, że gwardziści zamierzają odprowadzić ją na górę. Wyciągnęła rękę.

– Dajcie mi pochodnię – zażądała.

Żołnierz trzymający pochodnię niepewnie spojrział na towarzysza, po czym oddał ją Andromasze.

– Zostańcie tutaj – rozkazała im i zanim zdążyli się poruszyć, szybko poszła schodami w górę, lekko stąpając po błyszczących kamieniach.

Pięła się coraz wyżej, a nogi zahartowane po wielogodzinnych spacerach i bieganiu po Terze pewnie niosły ją po stromych schodach. Były bardzo wysokie i Andromacha czuła, że jej ciało raduje się tą gimnastyką, ciężką pracą ud i łydek. Nigdy nie cierpiała na lęk wysokości, ale teraz nie miała ochoty spoglądać w dół, aby sprawdzić, jak wysoko weszła. Zerkała w górę, na prostokąt światła.

Teraz zrozumiała zamysł starego króla. Zaprosił ją na tę wieżę, żeby z niej zakpić, może upokorzyć, mając nadzieję, że Andromacha na widok tych stromych schodów zaleje się łzami i trzeba będzie ją wnosić na górę jak dziecko. Zdumiewało ją, że tak potężny i bogaty władca chce dowieść swojej przewagi nad młodą kobietą. Z takimi drobnymi zaczepkami jakoś sobie poradzę, pomyślała.

W miarę jak zbliżała się do szczytu wieży, stopnie były coraz węższe i wydawały się bardziej kruche oraz śliskie od wilgoci. Andromacha coraz dotkliwiej zdawała sobie sprawę, że po prawej ręce ziele przepaść, i coraz ostrożniej stawiała kroki. Zastanawiała się, dlaczego te stopnie są najbardziej wyslizgane na samym szczycie wieży.

Po chwili zrozumiała i roześmiała się. Przystanęła i wysoko podniosła pochodnię. Około trzydziestu stopni niżej, po drugiej stronie wieży, ujrzała ciemną niszę. Były w niej osadzone wąskie drzwi. Nie zauważyła ich wcześniej, przechodząc. Musiały prowadzić na blanki południowego muru. Stary na pewno przyszedł tamtędy, a jej kazał wchodzić z samego dołu. Priamie, pomyślała, już cię nie lubię.

Z ulgą wyszła na taras wieży. Słoneczny blask oślepił ją, a wiatr rozwiał włosy i na moment straciła orientację. Zaraz jednak rozejrzała się, łapiąc oddech.

Drewniany taras miał wielkość połowy królewskiego megaronu, lecz było na nim tylko czterech wartowników, po jednym w każdym rogu. Stali nieruchomo, spoglądając w dal. Przy krenelażu południowo-zachodniej ściany stał wysoki, barczysty mężczyzna. Wiatr rozwiewał jego długie srebrzysto-złote włosy.

Był mocno zbudowany i opalony. Miał na sobie długi błękitny chiton. Mimo porannego chłodu nie zarzucił płaszcz. Stał bokiem do niej i Andromacha zauważyła wydatny haczykowaty nos oraz mocno zarysowaną szczękę. Wydawał się jej nie zauważać, więc przystanęła, nie wiedząc, co robić.

– No cóż, zamierzasz stać tak cały dzień, dziewczyno? – zapytał, nie odwracając się.

Andromacha podeszła do niego i stanęła z pochyloną głową.

– Jestem Andromacha z Teb.

Król odwrócił się nagle. Zdziwiło ją, jaki jest młody i pełen życia. Był ogromny. Jego wzrost i szerokie bary przytłaczały ją.

– Nie nauczono cię, jak masz się zwracać do swojego króla, dziewczyno? Na kolana.

Stał przed nią, samą swoją obecnością niemal zmuszając ją, żeby uklęknęła. Ona jednak wyprostowała się.

– W Tebach pod Plakos nie klękamy przed nikim, nawet przed bogami.

Priam podeszedł do niej tak blisko, że ujrzała białka jego oczu i poczuła w jego oddechu wypite rankiem wino. Rzekł cicho:

– Nie jesteś już w Tebach. Nie będę powtarzał.

Nagle od schodów dobiegł brzęk metalu i na wieżę wszedł jeden z królewskich gwardzistów. Na hełmie miał czarno-biały czub dowódcy. Pospiesznie podeszedł do króla.

– Panie... – Spojrzał na Andromachę i zawahał się, lecz Priam niecierpliwie dał mu znak, żeby mówił. – Panie, mamy go! Ktoś musiał go ostrzec, bo już wsiadał na egipski statek. Teraz jest przesłuchiwany.

– Doskonale! Potem wezmę udział w przesłuchaniu. – Król znów spojrzał na zatokę. – Czy ta okropność to nowy statek Helikaona?

– Tak, panie, to *Ksantos*. Przypłynął zeszłej nocy.

Te słowa obudziły zainteresowanie Andromachy. Uważnie obserwowała Priamę, ale nie potrafiła orzec, czy tę wiadomość uznał za dobrą czy złą. Po chwili odprawił dowódcę gwardii i ponownie odwrócił się do Andromachy.

– Pozwól, że pokażę ci moje miasto – rzekł, po czym zwinnie wskoczył na blanki, odwrócił się i wyciągnął rękę do Andromachy.

Nie zawahała się, a on chwycił ją za rękę i wciągnął na mur. Wiatr szarpał nią, gdy patrzyła na przepaść u swych stóp.

– Zatem nie klęknie przed mną? – zapytał król.

– Nie uklękę przed żadnym mężczyzną – odparła, szykując się na pchnięcie, które strąci ją z muru w objęcia śmierci. Zamierzała pociągnąć go ze sobą.

– Budzisz moją ciekawość, dziewczyno. Nie ma w tobie strachu.

– Najwidoczniej w tobie także, królu Priamie.

Wyglądał na zdziwionego.

– Strach jest dla słabych. Rozejrzyj się. To Troja. Moja Troja. Najbogatsze i najpotężniejsze miasto na świecie. Nie zbudowali jej tchórze, lecz ludzie, którzy mieli wyobraźnię i odwagę. Codziennie staje się bogatsza, a przez to potężniejsza.

Niespodziewanie, ku zdziwieniu Andromachy, król wyciągnął rękę i zważył w dłoni jej lewą pierś. Nie odsunęła się.

– Nadasz się – orzekł Priam, zabierając dłoń i zbywając sprawę machnięciem ręki. – Urodzisz mi silne dzieci.

W jej sercu poruszył się zimny robak.

– Myślę, że miałeś na myśli dzieci twojego syna, Hektora – poprawiła ostrzej, niż zamierzała.

Zaskoczył ją, przysuwając się do niej. Znowu przytłoczył ją swoją obecnością.

– Jestem twoim królem – szepnął jej do ucha. Poczula jego gorący i duszący oddech. – A Hektora tu nie ma. Może nie wróci do wiosny.

Perspektywa przymusowego oczekiwania w pałacu Priama przez długie zimowe tygodnie poważnie zaniepokoiła Andromachę.

– Teraz możesz odejść – powiedział Priam, odwracając się do niej plecami, i znowu spojrzął na zatokę.

Andromacha zwinnie zeskoczyła z muru i poszła do wyjścia. Nagle Priam zawołał ją. Odwróciła się.

– Rozumiem, że wciąż jesteś dziewicą?

– Jestem, kim jestem, królu Priamie – odparła, nie zdoławszy ukryć gniewu.

– Zatem pamiętaj, kim i czym jesteś – poradził. – Jesteś własnością Priama, dopóki nie postanowi oddać cię komuś innemu.

XVIII. DOM WĘŻY

1.

Dom Węży był większy, niż Ksander sobie wyobrażał. Składał się z czterech ogromnych budynków wzniesionych na planie prostokąta, z otwartym ogrodem w środku, w którym wzniesiono ołtarz Asklepiosa.

Wszędzie było pełno ludzi: kobiet w długich zielonych peplos, mężczyzn w białych chitonach, kapłanów w powiewnych błękitnych i złotych szatach. Wszyscy chorzy stojący w kolejkach nieśli dary: jedni trzymali klatki z białymi gołębiami, inni pachnidła lub przedmioty z miedzi lub srebra. Ksander zauważył, że każdy petent otrzymuje niewielki kawałek papirusu, który przyciska do warg, po czym wrzuca go do dużego miedzianego pojemnika stojącego obok siedzącego przy stole kapłana.

Zadziwiony tym wszystkim chłopiec przeszedł przez tłum, pokręcił się po ogrodzie, a potem postanowił wrócić do swojego pokoju.

Tylko że nie miał pojęcia, jak tam trafić. Wszystkie cztery budynki wyglądały tak samo. Wszedł do jednego, przeszedł korytarzem i znalazł się w wielkiej owalnej komnacie, w której unosił się zapach kadzidła. W niszach stały posągi bogów. U stóp każdego stał duży srebrny puchar i kociołek z rozżarzonymi węglami. Poznał posąg Demeter, bogini urodzaju, po koszyku zboża, który trzymała w ręku, oraz małej Persefonie, którą tuliła do piersi. Innych nie zdołał rozpoznać. Ksander zobaczył dwóch kapłanów, podchodzących po kolei do każdego posągu. Pierwszy nalewał wino do srebrnych pucharów, a drugi wrzucał do kociołków kawałki papirusu.

Wtedy Ksander zrozumiał. Podania petentów przekazywano bogom. Zastanawiał się, jak Demeter odczyta z popiołu ich życzenia.

Wychodząc ze świątyni, zobaczył Machaona, kapłana uzdrowiciela, który go leczył. Ksander zawołał go i Machaon się obejrzał. Był wysoki i przygarbiony, krótkie włosy rzedniały mu na skroniach. Miał zmęczone oczy.

– Widzę, że nabierasz sił, Ksandrze – powiedział.

– Tak.

– Nie przemęczaj się. Dopiero wracasz do zdrowia.

– Tak, panie. Możesz mi powiedzieć, gdzie jest mój pokój?

Machaon uśmiechnął się.

– Ten dom jest jak labirynt. Trzeba czasu, żeby nauczyć się w nim poruszać. Umiesz czytać znaki?

– Nie, panie.

– Jesteś teraz w siódmym ogniu. Każdy z tych budynków jest oznaczony innym symbolem, a każdy pokój ma numer. – Wskazał najbliższe drzwi. – Pierwszy znak na tych drzwiach to symbol żywiołu, od którego pochodzi nazwa budynku. – Ksander uważnie przyjrzał się wrytemu w drewnie symbolowi. – Co ci przypomina?

– Łuk – odparł chłopiec.

– Zapewne tak – przyznał Machaon. – W rzeczywistości ten

odwrócony półokrąg to naczynie. Tak więc to budynek wody. A ten znak pod nim to numer pokoju. Na północy jest ziemia, a jej symbol to krąg, gdyż wszystko pochodzi z ziemi i do ziemi powraca. Ogień znajduje się dokładnie po drugiej stronie tego ogrodu i na każdych drzwiach zobaczysz tam inny półokrąg, wsparty na linii prostej. To wyobrażenie wschodzącego słońca. Budynek po twojej lewej ręce to powietrze. Na jego ścianach zobaczysz jeszcze inny półokrąg, stojący jak żagiel na wietrze.

– Dziękuję, panie. Skąd bogowie wiedzą, kto całował papirus?

Machaon uśmiechnął się.

– Bogowie wiedzą wszystko, Ksandrze. Widzą, co jest w naszych sercach i duszach.

– No to po co im te papirusy?

– To rytuał wiary: wyraz szacunku i uwielbienia. Porozmawiamy o tym jutro, kiedy do ciebie przyjdę. Teraz muszę wrócić do pracy. – Machaon wstał. – Możesz trochę pospacerować. Staraj się jednak nikomu nie przeszkadzać.

Ksander przeszedł przez pusty już ogród i znalazł swój pokój. Był okropnie zmęczony i słaby. Na drżących nogach dowlókł się do łóżka i padł na nie. Pokój kołysał się, jakby był na statku. Ksander usłyszał dźwięk otwieranych drzwi i ktoś wszedł do środka.

To był Helikaon. Ksander próbował wstać.

– Nie ruszaj się, chłopcze – powiedział Złocisty, siadając na łóżku.

– Dziękuję, panie.

– *Ksantos* niebawem odpływa do Dardanii. Machaon uważa, że powinieneś zostać tu przez zimę. Mówi, że trochę potrwa, zanim odzyskasz siły.

Ksander nic nie powiedział. Czuł zarazem ulgę i rozczarowanie. Lubił być członkiem załogi, ale obawiał się następnej bitwy i wciąż miewał koszmarne sny o płonących ludziach.

Helikaon zdawał się czytać w jego myślach.

– Bardzo mi przykro, że podczas pierwszego rejsu byłeś świadkiem takich strasznych wydarzeń. Odyseusz mówił mi, że w gorączce widziałeś Zidantasa.

– Tak, panie. Wszyscy byli na brzegu, a on stał opodal z kilkoma innymi ludźmi. Jednym z nich był Epeus.

– Epeus poległ w bitwie – rzekł Helikaon. – Czy Zidantas coś ci powiedział?

– Tak. Kazał mi myśleć o życiu i wracać do Troi. Chciałem iść z nim, ale powiedział, że kroczy ciemną drogą. Prosił mnie, żebym powiedział jego córce Tei, że dała mu wiele radości.

Helikaon przez chwilę siedział w milczeniu.

– Myślę, że to nie był sen, Ksandrze – rzekł w końcu. – Sądzę, że miałeś wizję. Zostawię w świątyni złoto jako zapłatę za twoje utrzymanie. Na wiosnę nadal będzie dla ciebie miejsce w mojej załodze. Czy mógłbyś zrobić coś dla mnie w zamian?

– Cokolwiek powiesz, panie.

– Jest tu Argurios. Został napadnięty i powiedziano mi, że jest umierający. Chcę, żebyś go odwiedził i zobaczył, czy czegoś mu nie

trzeba. Wynająłem ludzi, żeby go ustrzegli przed ponownym zamachem. Zrobisz to dla mnie?

– Tak, panie, ale Argurios mnie nie lubi.

– Zdziwiłbym się, gdybym usłyszał, że jest ktoś, kogo on lubi.

– Co mam robić?

– On nie chce jeść ani pić. Zanieś mu jedzenie i wodę.

– Dlaczego nie chce jeść?

– Źli ludzie odebrali mu wszystko. Myślę, że on już nie chce żyć.

– Nie zdołam zmusić go do jedzenia, panie.

– Powiedz mu, że rozmawiałeś ze mną, a ja śmiałem się, kiedy usłyszałem o jego cierpieniach. Przekaż mu, że moim zdaniem należy uczcić to, że na świecie będzie jednego Mykeńczyka mniej.

– Znienawidzi cię za to, prawda?

Helikaon westchnął.

– Tak, spodziewam się, że tak. Kiedy odpoczniesz, idź i odszukaj go. Jest w budynku oznaczonym symbolem powietrza, a jego pokój znajduje się tuż przy portyku.

2.

Karpofores zabójca szedł za wchodzącym na pałacowe wzgórze Helikaonem. Minęło prawie dwadzieścia lat, odkąd zabił kogoś w Troi. Od tego czasu miasto bardzo się zmieniło, rozrastając się niemal na wszystkie strony. Po ostatnim morderstwie uciekał przez pastwisko do lasu. Na miejscu tamtego pastwiska wznosiły się teraz tuziny domów wzdłuż wąskich uliczek, a las został wykarczowany i zastąpiły go koszary. Okazały dom kupca, którego zabił, również zniknął. Szkoda, pomyślał zabójca, to był solidny i ładny budynek.

Idący nieco przed nim Helikaon przystanął przy straganie z odzieniem i pogawędził z właścicielem. Karpofores trzymał się z daleka, obserwując tę wymianę zdań. Słońce jasno świeciło nad złotym miastem i na rynku zebrało się sporo ludzi.

Dziwne, pomyślał, że Helikaon zachowuje się tu tak swobodnie. Złocisty wiedział, że w mieście są Mykeńczycy i w każdej chwili może go zaatakować opłacany przez nich zabójca. Karpofores podejrzliwie przyglądał się tłumowi, wypatrując ewentualnego napastnika, szukając malującego się na twarzy napięcia. Postanowił nie oddać nagrody żadnemu innemu zabójcy.

Po chwili Helikaon ruszył dalej.

Karpofores poszedł za nim na następne wzgórze, ku krytemu złotą blachą pałacowi Priama.

Wtedy właśnie zauważył młodzieńca, który wyszedł pomiędzy dwóch budynków. Ciemnowłosa i szczupły, miał na sobie zielony chiton i sandały. U pasa nosił sztylet. Karpofores widział tego człowieka w tłumie na rynku. Przyspieszywszy kroku, zaczął się do niego zbliżać. Gdy Helikaon skrzył za róg, młodzieniec nagle wyjął sztylet i skoczył za nim.

Błyskawicznie wyrwawszy swój sztylet z pochwy, Karpofores rzucił się za nim.

Za rogiem zobaczył, że młodzieniec leży na wznak na ulicy, a nad

nim stoi Helikaon.

– Przepraszam – powiedział Karpoforos. – Byłem trochę zbyt powolny.

– Nonsens, Attalosie. To moja wina, gdyż kazałem ci trzymać się z tyłu – rzekł, uśmiechając się do niego Helikaon. – Miejmy nadzieję, że ten głupiec to najlepszy, jakiego mieli.

– Oby – odparł Karpoforos.

Młodzian był nadal żywy i przytomny, choć jego sztylet trzymał teraz Helikaon. Powalony z nienawiścią spoglądał ma Złocistego. Ten rzucił sztylet na bruk i odszedł. Karpoforos ruszył za nim.

W milczeniu dotarli do bramy cytadeli, gdzie Helikaon okrzyknął wartę, po czym przeszli w cieniu murów na szeroki brukowany dziedziniec.

– Długo zabawię w pałacu – powiedział Karpoforosowi Helikaon – więc idź sobie kupić trochę chleba. Spotkamy się przy tym wejściu o zmierzchu.

Helikaon pomaszerował w kierunku czerwonych kolumn strzegących wejścia do pałacu, a Karpoforos znalazł sobie miejsce w cieniu. Usiadł na kamiennej ławie obok słodko pachnącej, pnącej się rośliny o purpurowych kwiatach. To było przyjemne miejsce i odprężył się. Z ulgą zobaczył odpływającą rankiem *Penelopę*. Od czasu wydarzeń w Pechowej Zatoce Karpoforos musiał dokładnie obmyślać każdy swój krok. Odyseusz znał jego twarz i z pewnością by odgadł, że Karpoforos szykuje zamach na Helikaona.

Przed mniej więcej dziewięcioma laty, jako pasażer *Penelopy*, Karpoforos był niebotycznie zdziwiony, gdy król Itaki zagadnął go podczas jednego z nocnych postojów. Zgodnie ze swym zwyczajem, Karpoforos znalazł sobie miejsce do spania z dala od innych i siedział, patrząc w gwiazdy, kiedy podszedł do niego Odyseusz. Brzydki król przysiadł obok na gładzie.

– Znam cię – powiedział.

Dla Karpoforosa był to szok. Jego najlepszym atutem była anonimowość. Miał twarz, której nikt nie pamiętał, i wystarczyło mu związać ciemne włosy lub zapuścić kozią bródkę, aby zmienić się nie do poznania. I przed tym rejsem do Dardanii nigdy nie spotkał Odyseusza.

Najeżył się.

– Jak to?

Król roześmiał się.

– Wynajął cię jeden z moich przyjaciół. Pewnego dnia widziałem, jak wychodzisz z jego domu. Powiadają, że jesteś najlepszym zabójcą na świecie, Karpoforosie. Niezawodnym.

– Bierzesz mnie za kogoś innego.

– Nie popełniam takich pomyłek – rzekł Odyseusz. – I chciałbym cię wynająć.

– Mówi się, że nie masz żadnych wrogów. Czyjej śmierci miałbyś pragnąć?

Odyseusz wzruszył ramionami.

– Nieważne. Chcę tylko móc powiedzieć, że wynajęłem kiedyś wielkiego Karpoforosa.

– Nie obchodzi cię, kto zginie?

– Ani trochę.

– Proponujesz, żebym po prostu kogoś zabił, a potem przyszedł do ciebie po zapłatę?

– Hmm – głośno zastanawiał się brzydki król. – Widzę, że to byłby nazbyt przypadkowy wybór. – Przez moment milczał. – W porządku, więc może tak: wynajmę cię, żebyś zabił następną osobę, która zechce cię wynająć.

– Ja już wiem, kto chce mnie wynająć. To wpływowy człowiek i dobrze chroniony. Moje usługi są tym droższe, im większe jest ryzyko, jakie podejmuję.

– Podaj cenę.

– Nie chcesz wiedzieć, kim on jest?

– Nie.

Teraz to Karpoforos zamilkł. Spojrzał na plażę, na której załoga siedziała przy ognisku. Jego spojrzenie padło na czarnowłosego księcia, który podróżował z Odyseuszem. W tym właśnie tkwił sęk. W czasie podróży zauważył, że Odyseusz bardzo lubi tego młodego człowieka. Czyżby brzydki król odgadł, że Karpoforosa wynajęto, żeby zamordował księcia? Jeśli tak i jeżeli Karpoforos odrzuci propozycję, Odyseusz każe go zabić. Zabójca popatrzył na Odyseusza i napotkał jego czujne spojrzenie. Ten człowiek był bardzo sprytny. Zamierzał uratować młodzieńca, płacąc za zamordowanie jego ojca, a mimo to, gdyby Karpoforos został schwytany, nie mógłby go obciążyć. W końcu król Itaki wynajmował go pod wpływem kaprysu, żeby zabił anonimową ofiarę.

– Skąd będziesz wiedział, że zlecenie zostało wykonane? – spytał Karpoforos, podejmując grę.

– Obetnij temu człowiekowi ucho i przyslij mi je. Uznam to za wystarczający dowód.

– To będzie kosztowało tyle srebra, ile waży jedna owca.

– Zgoda – ale w Itace mamy bardzo chude owce. Jeszcze jedno. Ten człowiek, o którym mówimy, być może podał już imię osoby, której śmierci pragnie. Albo może je podać, zanim wykonasz moje zlecenie.

– Jest taka możliwość.

W oczach Odyseusza zapalił się lodowaty błysk. Przez moment Karpoforos ujrzał w nim człowieka, o którym krążyły legendy, młodego rabusia, który budził strach we wszystkich osadach wokół Wielkiej Zieleni. Za młodu Odyseusz zyskał sławę groźnego wojownika i zabójcy. Karpoforos zamarł. Nagle poczuł, że jego życie jest jak mały płomyk na wietrze. Jedno niewłaściwe słowo i zostanie zdmuchnięty.

– Sądzę – rzekł Odyseusz – że byłoby niemądrze przyjmować propozycję człowieka, którego zamierzasz zabić. Zgadzasz się ze mną?

– Oczywiście.

– Wspaniale.

Następnie uzgodnili sposób zapłaty. Na plaży słyhać było głośny śmiech marynarzy z *Penelopy*. Karpoforos spojrział tam i zobaczył czarnowłosego księcia żartobliwie siłującego się z zastępcą Odyseusza, Biasem.

- Dobry chłopak - powiedział Odyseusz. - Przypomina mi pewnego młodego marynarza, który kiedyś dla mnie pracował. Został zamordowany. Przez pięć sezonów szukałem mordercy. W końcu zatknąłem jego głowę na włócznie. Moja Penelopa zawsze mi mówi, że jestem bezlitosny i powinienem nauczyć się puszczać w niepamięć urazy. Bardzo bym chciał. - Wzruszył ramionami. - No cóż, jesteśmy tacy, jacy jesteśmy, Karpoforosie. - Klepnął zabójcę w ramię. - Rad jestem, że sobie pogawędziliśmy.

Karpoforosa wciąż irytowało wspomnienie tego, jak został przechrztyony przez króla Itaki. Teraz, kiedy Agamemnon obiecał sowitą zapłatę w złocie, wreszcie spełni się życzenie króla Anchizesa.

Helikaon w końcu padnie pod ciosem sztyletu Karpoforosa.

Początkowo zamierzał zabić go na Cyprze. W ciemnościach wszedł za nim na przybrzeżne skały, lecz wtedy rozpętała się burza, a Helikaon poszedł na samą krawędź urwiska i stanął z wyciągniętymi rękami, jakby szykował się do skoku. Karpoforos zaczął się skradać między wielkimi głazami świątyni. Nie musiał używać sztyletu. Wystarczy szybkie pchnięcie i Helikaon runie na spotkanie wieczności.

Wtedy pojawiło się to dziecko. Karpoforos wycofał się w cień i słuchał, jak przerażona dziewczynka mówi o swojej matce. Z łatwością mógł doskoczyć i wbić ostrze sztyletu między łopatki kłęczącego Helikaona. Jednak nie mógł pozbawić człowieka życia na oczach małego dziecka.

Karpoforos wrócił myślami do tamtej nocy na Cyprze. Wiele się dowiedział zarówno o Helikaonie, jak i o sobie. Stał się arogancki. O mało nie przyplacił tego życiem. Helikaon wiedział, że był śledzony, i rozstawił ludzi wokół domu. Niemal schwytali go w ogrodzie. Na samo wspomnienie zabójcę przeszedł dreszcz podniecenia.

Blask księżyca, który nagle wyjrzał zza chmur, oświetlił biegnącego ku zabójcy Helikaona. Karpoforos zdołał dobiec do muru i w zalegającą za nim ciemność. Wtedy ujrzał Zidantasa. Potężny Hetyta nie dostrzegł go w mroku. Zaraz pojawili się następni. Karpoforos wymknął im się z najwyższym trudem.

Siedząc w cieniu i wspominając, zapadł w drzemkę. Wyczuł jednak czyjaś obecność i ocknął się, chwytając za sztylet. Stary służący, który stanął przed nim, o mało nie upuścił tacy z jedzeniem i pićm. Karpoforos schował sztylet do pochwy.

- Twój pan kazał ci przynieść posiłek - powiedział surowo sługa, stawiając tacę na ławie. Przyniósł dzban z zimną wodą i kubek oraz bochenek chleba i kawałki solonej ryby.

Odszedł bez słowa, a Karpoforos zjadł i napił się. Coraz bardziej lubił Helikaona. Oto szlachetnie urodzony pamiętający o potrzebach tych, którzy mu służą. Zapewne spojrzał przez okno i zobaczył czekającego Karpoforosa. Ojciec Wszystkich przyjmie takiego człowieka z otwartymi ramionami, kiedy Karpoforos go do niego pošle. Karpoforos doszedł do wniosku, że zabijając Helikaona, wyświadczy mu przysługę.

Uspokojony tą myślą, ponownie zaczął podrzemywać, leniwie wspominając pierwszego człowieka, którego zabił. To był wypadek. Pracował wtedy w kamieniołomie. Dłuto pękło mu w rękę. Odłamek

metalowi trafił pracującego obok człowieka w szyję, otwierając tętnicę. Nieszczęśnik skonał, wijąc się w pyle. Karpoforos był przerażony, ale kapłan uspokoił go. Zabójca wciąż pamiętał jego słowa:

– Hades, władca umarłych, zna czas naszych narodzin i naszej śmierci. Tak więc każdy człowiek żyje tyle, ile jest mu pisane. A gdy ten czas się kończy, jego ciało powraca do ziemi.

– Zatem nikt nie umiera wcześniej, niż jest mu pisane?

– Właśnie.

– A więc to władca zmarłych moimi rękami pozbawił go życia?

– Istotnie, mój chłopcze. Dlatego nie powinieneś się o to obwiniać.

Młody Karpoforos wcale nie czuł się winny. Czuł uniesienie. Został namaszczonej przez bogów i stał się sługą Hadesa. To była najważniejsza chwila w jego życiu, która całkowicie je odmieniła.

Ponownie pomyślał o Helikaonie. Nie mógł zabić go dzisiaj, ponieważ Oniakos kazał mu ochraniać Helikaona. Aby być w pobliżu Złocistego, Karpoforos zaciągnął się na jego statek na Cyprze i jako członek załogi przysiągł wiernie mu służyć. Takiej przysięgi nie wolno było zlekceważyć i dlatego Karpoforos tak zawzięcie walczył u boku Złocistego w bitwie przy Zatoce Niebieskiej Sowy.

Teraz jednak zdecydował, że nie może dłużej zwlekać. Święto Demeter wypadało nazajutrz. Dziś wieczorem zrezygnuje ze służby, a jutro zabije Helikaona.

Uspokojony tą myślą, wyciągnął się na ławie i zapadł w głęboki sen.

3.

Helikaon wszedł do wielkiego królewskiego megaronu, w którym czekali petenci mający nadzieję przedstawić królowi swoje prośby. Byli wśród nich kupcy i pospólstwo. W sali było tłoczno i gwarno i Helikaon przeszedł przez nią w pośpiechu. Gwardzista w błyszczącej zbroi oraz hełmie z białym czubem otworzył mu boczne drzwi do pałacowych ogrodów i Złocisty wyszedł na powietrze. Były tam brukowane alejki biegnące między rabatami pełnymi kolorowych kwiatów i kamienne ławki ocienione przez gąszcz pnączy porastających drewnianą pergolę.

Tu również czekali ludzie, lecz z królewskiego rodu. Helikaon zobaczył dwóch synów Priama, kanclerza Politesa i grubego Antifonesa. Polites siedział w cieniu, trzymając na kolanach stertę papirusów. Obaj nosili długie białe szaty i złote pasy królewskich doradców. Od ich ostatniego spotkania z Helikaonem minął prawie rok. Polites wyglądał na zmęczonego, niemal chorego. Jasne włosy miał przerzedzone, a oczy podkrążone. Antifones był jeszcze grubszy. Zza szerokiego złotego pasa wylewał mu się brzuch, miał czerwoną, spoconą twarz i worki pod oczami. Trudno uwierzyć, pomyślał Helikaon, że żaden z tych dwóch jeszcze nie ukończył trzydziestu lat.

Antifones zobaczył go pierwszy i uśmiechnął się.

– Hej, Eneaszu! – zawołał. – Witaj z powrotem!

Zadziwiająco szybko jak na człowieka tej tuszy podszedł do Helikaona, uściskał go i ucałował w oba policzki. Antifones był bardzo silny i Złocisty przez moment obawiał się, że połamie mu żebra. Zaraz

jednak wypuścił go z objęć. Polites nie wstał, ale uśmiechnął się nieśmiało.

– Twoje przygody są na ustach całej Troi – ciągnął Antifones. – Bitwy morskie i palenie pirackich okrętów. Wiedziesz interesujące życie, przyjacielu.

– Dobrze być tu znowu.

Helikaon zauważył, że Antifones użył słowa „pirackich”. Pozostawił to bez komentarza. Troja wciąż była sojusznikiem Myken i nikt nie chciał obrazić Agamemnona. Porozmawiał z nimi chwilę, dowiedział się, że Priam „odpoczywa”, co oznaczało, że baraszkuje z jakąś służącą lub żoną któregoś ze swych synów. Polites wyglądał na zdenerwowanego i zakłopotanego. Może z twoją żoną, pomyślał Helikaon.

– Co słyhać w mieście? – zapytał ich.

Zobaczył, jak ich twarze zmieniają się w maski.

– Och – odparł Antifones – wszystko po staremu. Widziałeś narzeczoną Hektora?

– Spotkaliśmy się.

– Twarda kobieta. Ma oczy jak krzemienie. Kapłanka z Tery, na bogów! Chuda jak kij. Nie ma za co złapać!

Helikaon nie miał ochoty rozmawiać z nimi o Andromasze. Puściwszy ten komentarz mimo uszu, zapytał:

– Są jakieś wieści o Hektorze?

– Tylko plotki – odparł Polites, ocierając załzawione oczy rękawem białej szaty. – Jakiś kupiec doniósł nam, że doszło do walnej bitwy. Nit nie wie, kto zwyciężył.

– Hektor – stwierdził Antifones. – Hektor zawsze zwycięża. Może jest nudnym rozmówcą i nie odróżnia dobrego wina od krowich szczyn, ale nigdy nie przegrywa. Czy to cię nie dziwi?

– Pod jakim względem?

– Zawsze dyplomata! – skarcił Politesa Antifones. – Dobrze wiesz, co mam na myśli. Obaj wychowaliśmy się razem z Hektorem. Nigdy nie lubił się bić, nawet jako dzieciak. Zawsze rozsądny, dobroduszny, uśmiechnięty jak przyglup. Jak, na Hadesa, stał się takim wojownikiem?

Helikaon uśmiechnął się z przymusem.

– No, no, Antifonesie! Pamiętam, że byłeś najszybszym biegaczem w Troi. Czy ktoś nie mógłby ci zadać podobnego pytania? Jak taki świetny atleta mógł zmienić się w takiego grubasa?

Antifones również się uśmiechnął, lecz ten uśmiech nie sięgnął oczu.

– W tym masz rację, Eneaszu. Hektor jest tym, kim jest. Ukochanym dziedzicem. To chyba dla niego dobrze. Jednak władanie miastem to coś więcej, niż sędzi wojownik. Kiedy przychodzi klęska nieurodzaju albo plaga, nie liczy się to, czy król potrafi przedrzeć się rydwanem przez tłum wrogów lub ścinać im głowy.

– I dlatego Hektor jest szczęściarzem, mając takich braci jak wy.

Przed Helikaonem stanął jakiś sługa.

– Król jest gotów spotkać się tobą, panie Eneaszu – powiedział.

Helikaon podziękował mu i bocznymi drzwiami wszedł za nim do pałacu, a potem po szerokich schodach wiodących do apartamentów królowej na samej górze budynku.

– Czy królowa jest u siebie? – zapytał sługę.

– Nie, panie, nadal w swoim letnim pałacu. Jednak król Priam obecnie... korzysta w dzień z jej apartamentów.

Przed drzwiami na końcu schodów stali dwaj królewscy gwardziści. Helikaon rozpoznał jednego z nich, mocno zbudowanego wojownika imieniem Cheon. Żołnierz skinął głową na powitanie i uśmiechnął się, otwierając drzwi do apartamentu królowej, ale nic nie powiedział.

Helikaon wszedł i Cheon zamknął za nim drzwi. Długie muślinowe zasłony lekko powiewały na wpadającym przez szerokie okno wietrze, a w pokoju unosił się zapach mocnych perfum. Przez otwarte drzwi sąsiedniego pokoju Helikaon dostrzegł skotłowane łóżko. Po chwili pojawiła się młoda kobieta, zarumieniona i ze spuszczonej oczami. Minęła Helikaona, otworzyła drzwi i wyszła.

Potem pojawił się Priam z dużym złotym pucharem w jednej i złotym dzbanem w drugiej ręce. Podszedłszy do szerokiej sofy, usiadł, opróżnił puchar i znów go sobie nappełnił.

– No cóż, wejdz i usiądź – powiedział, wskazując krzesło po drugiej stro nie niskiego stołu. – Chyba że zamierzasz przemknąć przez moje miasto, pałac mykeńskich piratów.

Helikaon usiadł i przyjrzał się władcy. W jego włosach dostrzegł więcej srebrnych nitok, ale król wciąż był potężnym mężczyzną.

– Słyszałeś, że Agamemnon był w Milecie? – zapytał Priam.

– Nie. To daleka podróż.

– Odbył wiele takich podróży w ostatnich dwóch latach. Był w Tracji, Frygii, Karii, Likii. Przywozi królom dary, deklaruje przyjaźń i zawiera sojusze.

– Po co mu sojusze po tej stronie Wielkiej Zieleni?

– Istotnie, po co? – Król zamilkł. Oparł się wygodnie. – Widziałeś tę dziewczkę?

– Tak.

– Ładna, ale nudna. Był czas, kiedy wszystkie kobiety wydawały się istotami pełnymi żaru i namiętności. Po całych dniach można było oddawać się miłosnym igraszkom. A teraz tylko: „Tak, królu, cokolwiek sobie zażyczysz, królu. Chcesz, żebym szczekała jak pies, królu?” Dlaczego tak jest, jak ci się zdaje?

– Sam już znasz odpowiedź – powiedział mu Helikaon.

– Zatem powiedz to na głos.

– Nie. Nie przyszedłem tu, żeby się z tobą spierać. Dlaczego przy każdym spotkaniu chcesz mnie sprowokować?

– Nie w tym rzecz – powiedział Priam. – Chodzi o to, że się nie lubimy. Czy mam ci powiedzieć, co sobie pomyślałeś, kiedy zadałem to pytanie?

– Jeśli to cię ucieszy.

– Kiedyś dziewczyny kochały się z Priamem, pięknym młodzieńcem. Teraz tylko służą Priamowi, chutliwemu staremu królowi.

Mam rację?

– Oczywiście. Przecież w głębi serca uważasz, że zawsze masz rację.

Priam ryknął śmiechem.

– Dobrze wiesz, dlaczego mnie nie lubisz, chłopcze. Jestem wszystkim tym, czym ty nie masz odwagi być. Zostałem królem. Ty zrezygnowałeś z tego i pozwoliłeś dźwigać to brzemię małemu Diomedesowi.

– W takich sytuacjach przypominam sobie, dlaczego tak mało czasu spędzam w Troi – rzekł Helikaon, wstając.

– Och, usiądź! – powiedział Priam. – Musimy porozmawiać, więc na chwilę przestańmy się prowokować. Chcesz wina?

– Nie.

– Wróćmy do Agamemnona – powiedział Priam, gdy Helikaon ponownie usiadł. – Spotkałeś go?

– Nie.

– Ja też nie, ale znałem jego ojca, Atreusza. Był wojownikiem – ale musiał nim być. W tamtych czasach ludzie na zachodzie nieustannie toczyli ze sobą wojny. Jednak Agamemnon... ? Ten jest zagadką. Ci, którzy wiernie służyli jego ojcu, w większości zginęli lub zostali zwolnieni ze stanowisk. Teraz otaczają go dzikusy, takie jak Kolanos. Czy wiesz, że Agamemnon przywrócił zwyczaj składania ofiar z ludzi przed bitwą?

– Nie, o tym nie słyszałem. Jednak to mnie nie dziwi. Mykeńczycy to krwiożercza rasa.

– Istotnie, Eneaszu. Mimo to w czasach Atreusza i jego ojca przestrzegali kodeksu ułożonego przez Heraklesa. Sława i służba bogom. Odwaga i umiłowanie ojczyzny. Siła bez okrucieństwa. Pod rządami Agamemnona to wszystko się zmienia. Jego dowódcy to okrutnicy, zachęcający swoich żołnierzy do ekscesów. Moi szpiedzy znoszą mi opowieści o okrucieństwach, jakie popełniają jego wojska w plądrowanych krainach. Mordują kobiety i dzieci, torturują i okaleczają mężczyzn.

– Czemu więc uważasz, że Agamemnon jest zagadką? – spytał Helikaon. – Przecież to tylko jeszcze jeden dzikus z rasy dzikusów.

– To nie takie proste, Eneaszu. Jego dowódcy są żądni krwi, a jednak on nie bierze udziału w ich ekscesach. Podczas uczt nie pije wina, nie śmieje się i nie śpiewa. Siedzi spokojnie, patrząc, jak robią to inni. Moi posłowie donoszą mi, że ma bystry umysł i dobrze mówi o przymierzu z Troją oraz potrzebie wymiany handlowej. A jednocześnie wyposaża pirackie okręty, które napadają nasze osady. Teraz szuka sojuszników wśród władców na wschodzie. Jego wysłannicy zawieźli złote dary do Meonii, Karii, Likii – a nawet do Frygii. Królowie zwykle szukają sojuszników wśród sąsiadów, żeby zapobiec niepotrzebnym wojnom. Przymierze z Troją jest zrozumiałe. Jesteśmy największym handlowym miastem Wielkiej Zieleni. Ale Likia i Frygia? Jaki sens wozić tam dary? Co on ma nadzieję osiągnąć?

Helikaon wzruszył ramionami.

– Mykeńczycy zawsze myślą tylko o wojnie lub grabieży.

– Ja też tak sędzę – rzekł Priam. – I w tym tkwi tajemnica. Moi szpiedzy mówią mi, że Agamemnon jest bardzo inteligentny, a wojna na wschodzie byłaby lekkomyślnym przedsięwzięciem, z góry skazanym na klęskę. Hetyci może nie są już tak potężni jak niegdyś, ale ich armie wciąż wielokrotnie przewyższają liczebnie Mykeńczyków. Egipcjanie również nie pozostaliby bierni. Ponadto, gdyby Agamemnon zaatakował naszych sprzymierzeńców, posłalibyśmy Trojańskiego Konia – a żadna siła na świecie nie sprostą mojemu Hektorowi.

– Wszystko to prawda. A jednak się niepokoisz – przypomniał Helikaon.

– Pasterz zawsze się niepokoi, gdy wokół krążą wilki – zacytował Priam. – Jednak niepokoi mnie też, że Agamemnon kazał zbudować wiele okrętów. Pytanie, do czego zamierza ich użyć? I dokąd je skieruje?

Priam wstał, poszedł do sypialni i wrócił z kawałkiem wyprawionej skóry, na którym naszkicowano mapę Wielkiej Zieleni. Rozłożył ją na stole.

– Za czasów mojego dziada Mykeńczycy zaatakowali Cypr i wciąż tam mieszka wielu mykeńskich osadników. Gdyby Mykeńczycy zaatakowali tę wyspę, mogliby zająć kopalnie miedzi. Jednak Cypr jest sprzymierzony z Egiptem oraz imperium Hetytów, a oba te kraje mają dziesięciokrotnie więcej żołnierzy niż Agamemnon. Ich floty zablokowałyby wyspę. Potem wysadziliby na ląd swe armie i Mykeńczycy zostaliby pobici. – Król przesunął palec na wybrzeże Likii. – Założmy, że najechaliby królestwo Grubego Króla. Mają już kolonie na Rodos i Kos, a także w Milecie. Mogliby być z nich zaopatrywani. Jednak Kygones to doświadczony wódz i dobry wojownik. Co więcej, łączy go przymierze ze mną. Wysłałbym mu na pomoc Trojańskiego Konia, a Mykeńczycy nie mieliby skąd ściągnąć posiłków. To samo można rzec o Milecie i Meonii. Gdziekolwiek spojrzeć, Agamemnon nie ma szans na zwycięstwo. Czy wiesz, co to oznacza, Eneaszu?

– Albo Agamemnon nie jest tak bystry, jak donoszą twoi posłowie – albo coś przeoczyłeś.

– Właśnie! A ja nie wątpię w jego rozum. Czy na wiosnę, gdy twoi kapitanowie popłyną na zachód, poprosisz ich, żeby zbierali informacje?

– Oczywiście.

– Dobrze. A tymczasem moi szpiedzy i wysłannicy nadal będą słać mi raporty. W końcu zamiary Agamemnona staną się jasne. Kiedy płyniesz do domu?

– Za dzień lub dwa. Kiedy złożę uszanowanie królowej.

Twarz Priama wykrzywił grymas bólu.

– Ona umiera – rzekł władca. Zadrzał. – Trudno uwierzyć. Sądziłem, że przeżyje nas wszystkich.

– Przykro mi to słyszeć – powiedział Helikaon. – Słyszałem, że źle się czuje. Czy nic nie da się zrobić?

Priam potrząsnął głową.

– Dostaje opiaty na uśmierzenie bólu. Jednak kapłani mówią mi, że nie przeżyje zimy. Czy wiesz, że nie ma jeszcze pięćdziesiątki? Na bogów, kiedyś była najpiękniejszą kobietą na świecie. Napelniała moje serce żarem i zmieniała moje dni w złoto. Brakuje mi jej, Eneaszu.

Zawsze była moim najlepszym doradcą.

– Mówisz o niej, jakby już umarła.

– Nie widziałem jej od tygodni. Od czasu, gdy kapłani wyjawili mi prawdę. Nie mogę na nią patrzeć. To zbyt bolesne. Znajdziesz ją w letnim pałacu za Skamandrem. Jest tam z Kasandrą i młodym Parysem.

Helikaon wstał.

– Wyglądasz na zmęczonego. Powiniennem dać ci odpocząć.

– Przydałby mi się odpoczynek – przyznał Priam. – Ostatnio niezbyt dobrze sypiam. Jest jednak jeszcze coś, o czym powinieneś wiedzieć – dodał. – Agamemnon wynajął Karpoforosa, żeby cię zabił.

– Słyszałem to imię.

– Oczywiście. Jak wszyscy. Natomiast nie słyszałeś, że to on zamordował twojego ojca.

Powietrze w komnacie nagle jakby się ochłodziło. Helikaon stał nieruchomo, serce mocno biło mu w piersi.

– Skąd o tym wiesz? – zdołał wykrztusić.

– Moi żołnierze wczoraj schwytali pewnego człowieka. Zabrali go na przesłuchanie, podczas którego, naturalnie, umarł. Przedtem jednak zdążył sporo powiedzieć. Ten schwytany negocjował i aranżował zadania wykonywane przez zabójcę. Jeden z moich synów próbował wynająć Karpoforosa, żeby mnie zabił. Jednak Karpoforos już został wynajęty przez agentów Agamemnona, żeby zabił ciebie.

– Który z twoich synów pragnał twojej śmierci?

– Prawdę powiedziawszy, zapewne wszyscy. To nędzna zgraja – z wyjątkiem Hektora. Jednak agent umarł, nie wyjawivszy imienia zdrajcy. Szczerze mówiąc, nie wierzę, żeby wiedział, z którym księciem miał się spotkać. Posłaniec przywiózł mu złoto do Miletu i zaprosił do Troi. Tutaj ktoś miał się z nim skontaktować i zaprowadzić do księcia. Niestety, schwytaliśmy go za szybko. Wprawdzie mamy posłańca, ale okazał się on niezwykle odważnym człowiekiem. Wcale nie jestem pewien, czy zdołamy go złamać.

– Czy wiadomo, jak wygląda Karpoforos? – zapytał Helikaon.

– Około czterdziestoletni, średniego wzrostu i szczupły. Czasem nosi brodę, czasem nie. Niezbyt to pomocne, prawda? – spytał Priam.

– Istotnie. Czy dowiedzieliście się, kto mu zapłacił za zabicie mojego ojca?

– Nie. Najwyraźniej nie zlecił mu tego pośrednik. Ktoś skontaktował się z nim bezpośrednio. Musisz być czujny, Eneaszu. I zważać na to, komu ufasz.

– Mam wokół siebie samych lojalnych ludzi.

– Lojalność można kupić – prychnął Priam. – Agamemnonowi zaś nie brakuje złota.

Helikaon znów poczuł gniew.

– Twoim przekleństwem jest wiara, że wszystko ma swoją cenę – rzekł. Priam uśmiechnął się.

– A twoją słabością jest przekonanie, że nie wszystko można kupić.

XIX. SKRZYDŁA NAD OLIMPEM

1.

Dla królowej Hekabe dni stawały się coraz dziwniejsze. Posągi stojące przy alejce w ogrodzie często uśmiechały się do niej, a wczoraj widziała na niebie białoskrzydłego Pegaza odlatującego na zachód. Zrozumienie, co się kryje za tymi obrazami, wymagało sporego wysiłku. Opiaty mają silne działanie, a posągi się nie uśmiechają. Pegaz wymagał dłuższego namysłu. W końcu doszła do wniosku, że zapewne widziała tylko stado mew. Z drugiej strony miło byłoby pomyśleć, że w obliczu nadchodzącej śmierci potrafi dostrzec więcej i może jednak widziała tego białego konia wracającego na Olimp.

Rozbolał ją krzyż, ale nie miała siły poprawić puchowej poduszki i usiąść wygodniej. Od morza nadleciał chłodny wietrzyk i Hekabe westchnęła. Kochała morze – szczególnie Zatokę Heraklesa. Z ogrodu na wysokim nadmorskim brzegu mogła patrzeć na Wielką Zielęń i wystarczyło jej obrócić głowę, by ujrzeć migotliwy nurt Skamandra i widoczne w oddali złote mury Troi.

Letni pałac był jej ulubioną rezydencją, więc wydawało się najzupełniej słuszne, że właśnie tu umrze. Priam wybudował go dla niej, kiedy byli młodzi, gdy wydawało się, że ich życie i miłość trwać będą wiecznie. Poczula dotkliwy ból w brzuchu, teraz jednak tępy i ćmiący, a nie ostry i przeszywający jak przed kilkoma tygodniami.

Około dwudziestu kroków od niej siedział w cieniu młody książę Parys, ślęcząc nad egipskimi zwojami. Hekabe uśmiechnęła się, patrząc na niego, na jego poważną i skupioną twarz. Nie miał jeszcze dwudziestu pięciu lat, a już zaczynał łysieć, tak jak jego brat Polites. Szczupły i skrupulatny Parys nigdy nie gustował w męskich zajęciach, które tak uwielbiał jego ojciec. Nie lubił jeździć konno i robił to tylko wtedy, kiedy musiał. Słabo władał mieczem i łukiem. Jedynie nauce oddawał się z zapalem. Lubiał rysować rośliny i kwiaty, a jako młodzik spędzał wiele szczęśliwych popołudni, rozcinając łodygi kwiatów i oglądając liście. Priam szybko znudził się chłopcem. Jednak Priama nudzili wszyscy, prędzej czy później – pomyślała.

Zrobiło jej się smutno. W tym momencie Parys podniósł głowę. Zrobił zatroskaną minę, odłożył zwój i wstał.

– Pozwól, że poprawię ci poduszkę, mamó – rzekł, pomagając jej się pochylić, i poprawił posłanie.

Hekabe z wdzięcznością opadła na poduszkę.

– Dziękuję ci, mój synu.

– Przyniosę ci wody.

Patrzyła, jak odchodzi. Nie poruszał się tak zwinnie jak Hektor, a plecy już miał zgarbione od wielogodzinnego przesiadywania nad zwojami. Był czas, gdy i ona była rozczarowana Parysem, lecz teraz była mu wdzięczna za łagodność i okazywane jej współczucie.

– Wychowałam dobrych synów – powiedziała sobie.

Ból znów zaczął się nasilać, więc z mieszka przy pasie wyjęła

buteleczkę i złamała woskową pieczęć. Drżącą dłonią podniosła ją do ust i wypila zawartość. Płyn był gorzki, ale po chwili ból ustąpił i zapadła w drzemkę.

Śniła o małej Kasandrze, o tym strasznym dniu, kiedy trzyletnia dziewczynka dostała zapalenia mózgu. Wszyscy kapłani mówili, że umrze, a jednak tak się nie stało. Większość dzieci nie przeżywała tej choroby, lecz Kasandra była silna i trzymała się życia przez dziesięć dni, w czasie których gorączka trawiła jej drobne ciało.

Wreszcie gorączka opadła, lecz radość Hekabe była krótkotrwała. Radosna i uśmiechnięta Kasandra zmieniła się w ciche, dziwne dziecko, które słyszało głosy i czasem mówiło rzeczy, których nikt nie rozumiał. Teraz, mając jedenaście lat, była zamknięta w sobie i skryta, unikała ludzi i wszelkich bliższych kontaktów, nawet z matką.

Ktoś delikatnie położył dłoń na jej ramieniu. Hekabe otworzyła oczy. Słońce świeciło jasno, skrywając w cieniu pochyloną nad nią twarz.

– Ach, Priamie, jednak przyszedłeś – powiedziała z radością. – Wiedziałam, że przyjdiesz.

– Nie, mammo. To ja, Parys. Przyniosłem ci wodę.

– Wodę. Ach tak. Oczywiście. – Hekabe napiła się, a potem odchyliła głowę na oparcie wiklinowego fotela. – Gdzie twoja siostra?

– Pływa w zatoce z delfinami. Nie powinna tego robić. To duże stworzenia i mogą zrobić jej krzywdę.

– Delfiny nie zrobią jej krzywdy, Parysie. A ona uwielbia pływać. Myślę, że tylko w wodzie jest szczęśliwa.

Hekabe spojrzała w kierunku rzeki. Na równinie pojawił się centaur. Królowa zamrugła, próbując skupić wzrok. Powiadano, że centaury to szczęśliwe stworzenia. Pół ludzie, pół konie, zawsze przynosiły dary. Może ten przybył, aby mnie uleczyć, pomyślała.

– Przybywa jeździec, matko – powiedział Parys.

– Jeździec? Ach tak. Poznajesz go?

– Nie. Ma długie czarne włosy. Może to Dios.

Pokręciła głową.

– Jest jak ojciec. Nie ma czasu dla umierających starych kobiet. – Hekabe osłoniła oczy dłonią. – Dobrze jeździ – zauważyła, wciąż widząc centaura.

Gdy jeździec podjechał bliżej, Parys powiedział:

– To Eneasze, matko. Nie wiedziałem, że jest w Troi.

– Dlatego, że przez cały czas ślęczysz nad tymi twoimi zwojami i papirusami. Idź i powitaj go. I pamiętaj, że nie lubi, kiedy nazywa się go Eneaszem. Woli, by nazywano go Helikaonem.

– Dobrze, będę pamiętał. A ty powinnaś pamiętać, że inni goście czekają na audiencję. Jest tu Laodike z przyszłą żoną Hektora. Czekają cały ranek.

– Już ci mówiłam, że nie jestem w nastroju do rozmów z młodymi dziewczynkami – powiedziała królowa.

Parys roześmiał się.

– Myślę, że spodoba ci się Andromacha, matko. To kobieta, jaką sama wybrałabyś dla Hektora.

- Jak to?
- Nic nie powiem! Sama musisz ją zobaczyć. Byłoby bardzo niegrzecznie przyjąć Helikaona, a zignorować własną córkę i narzeczoną Hektora.
- Umieram i nie przejmuję się takimi drobiazgami jak dobre maniery.
- Wydłużyła mu się twarz i zobaczyła, że stara się powstrzymać łzy.
- Och, Parysie – powiedziała, wyciągając rękę, i pogładziła go po policzku. – Nie bądź takim mazgajem.
- Nie podoba mi się myśl... no wiesz... o tym, że nie będzie cię przy mnie.
- Jesteś dobrym chłopcem. Przyjmę moich gości. Każ służbie przynieść dla nich krzesła i coś do picia.
- Podniósł jej dłoń do ust i ucałował.
- Kiedy będziesz zmęczona – powiedział – i zechcesz, żeby sobie poszli, po prostu daj mi znak. Na przykład... poproś o figi w miodzie albo coś takiego.
- Hekabe zachichotała.
- Nie muszę dawać żadnych znaków, Parysie. Kiedy poczuje zmęczenie, powiem im wszystkim, żeby sobie poszli. Teraz idź i powiedz Kasandrze, żeby do nas dołączyła.
- Och matko, wiesz, że ona nigdy nie robi tego, o co ją proszę. Uwielbia mi odmawiać. Myślę, że mnie nienawidzi.
- Potrafi być uparta – przyznała Hekabe. – No dobrze. Poproś Helikaona, żeby po nią poszedł. On umie z nią postępować.

2.

Ścieżka była stroma i zdradliwa, pokryta żwirem osuwającym się pod jego obutymi w sandały stopami. Helikaon ostrożnie zszedł na plażę, a potem spojrzął na morze i dostrzegł ciemną głowę Kasandry podskakującą na falach obok dwóch smukłych szarych delfinów. Słońce stało wysoko na jasnoblękitnym niebie. Dziewczynka zauważyła go i pomachała. Helikaon odpowiedział tym samym, a potem podszedł do skalnej półki i usiadł.

Spotkanie z Priamem zaniepokoiło go. Król był arogantem i Helikaon go nie lubił. Jednak władca był sprytny. Uważał, że Mykeńczycy szykują zbrojną napaść na któryś z krajów na wschodzie, a jego argumenty były przekonujące. Lud, który żyje wojną, zawsze będzie szukał nowych terenów, które można podbić i splądrować. A wschód doskonale się do tego nadawał. Hetyci byli uwikłani w liczne konflikty. Wojny z Asyryjczykami, Elamitami i Kasytami osłabiły ich siły, a teraz egipski najazd na Fenicję jeszcze bardziej je nadwątlił.

Od morza powiał rześki wietrzyk i Helikaon nabrał tchu, czując smak soli w powietrzu. Kasandra wciąż pływała, ale nie wołał jej. W dawnych szczęśliwych czasach, kiedy mieszkał w domu Hektora, gdzie przebywała Kasandra, przekonał się, że nie znosi, gdy się jej rozkazuje.

Siedział spokojnie w słońcu i czekał. Po chwili zobaczył, że Kasandra zwinnie podpływa do brzegu i wychodzi z wody. Podniosła sięgający kolan chiton, który pozostawiła na głazie, włożyła go i

przybiegła po piasku do siedzącego Helikaona. Szczupła i drobna, o delikatnych, regularnych rysach, Kasandra zapowiadała się na piękną kobietę. Jej długie ciemne włosy były gęste i lśniące, a oczy szaroniebieskie.

– Delfiny się niepokoją – oznajmiła. – Morze się zmienia.

– Zmienia?

– Robi się cieplejsze. To im się nie podoba.

Niemal zapomniał, jakim dziwnym jest dzieckiem, nie odróżniającym fantazji od rzeczywistości. Czasem chodziła nocą po ogrodach, rozmawiając z nimi jak ze starymi przyjaciółmi, chociaż nie było przy niej nikogo.

– Dobrze znów cię widzieć, Kasandro – powiedział.

– Dlaczego? – zapytała niewinnie, z szeroko otwartymi oczami.

– Ponieważ jesteś moją przyjaciółką, a zawsze miło widzieć przyjaciół.

Usiadła na skale obok niego i podciągnawszy kolana, oparła na nich ręce, patrząc na morze.

– Ten duży to Kawala – powiedziała, wskazując na delfiny. – A to jego żona, Wora. Są razem od pięciu migracji. Nie wiem, ile to czasu. Myślisz, że długo?

– Nie wiem – odparł. – Twoja matka ma gości. Zastanawiała się, czy chciałabyś się z nimi spotkać.

– Nie lubię gości – powiedziała dziewczyna, odrzucając na plecy długie ciemne włosy. Krople wody rozprysły się wokół.

– Ja też jestem gościem – przypomniał.

Skinęła głową, jak zawsze z poważną miną.

– Tak, chyba tak. Zatem pomyliłam się, Helikaonie, ponieważ ciebie lubię. Kim są pozostali?

– Laodike i narzeczona Hektora, pani Andromacha.

– Ona strzela z łuku – powiedziała Kasandra. – Robi to bardzo dobrze.

– Andromacha?

– Tak.

– Nie wiedziałem.

– Matka wkrótce umrze.

Powiedziała to beznamiętnie i zimno. Helikaon zachował spokój. Na kogoś innego by się rozgniewał, lecz zachowania Kasandry nie można było osądzać wedle zwykłych norm.

– To cię nie smuci?

– Dlaczego miałoby mnie smucić?

– Nie kochasz jej?

– Oczywiście, że ją kocham. Jest moją najlepszą przyjaciółką. Mama, ty i Hektor. Kocham was wszystkich.

– Jednak kiedy umrze, nie będziesz mogła jej widywać ani obejmować.

– Oczywiście, że będę mogła, głuptasie! Kiedy i ja umrę.

Helikaon zamilkł. Morze było spokojne i piękne i siedząc tu w zacisznej zatoce Heraklesa, miał wrażenie, że na całym świecie panuje pokój.

– Kiedyś marzyłam, że mnie poślubisz – powiedziała Kasandra. – Kiedy byłam mała. Zanim zrozumiałam wszystko. Myślałam, że byłoby cudownie mieszkać z tobą w pałacu.

Roześmiał się.

– Pamiętam, że chciałaś też wyjść za Hektora.

– Tak – potwierdziła. – To też byłoby cudowne. W Egipcie bracia i siostry pobierają się, wiesz.

– Jednak co do mnie zmieniłaś zdanie – powiedział z uśmiechem.

– Czy to dlatego, że słyszałaś, jak chrapię?

– Ty nie chrapiasz, Helikaonie. Śpisz na plecach, z rozłożonymi rękami. Kiedyś siadywałam i patrzyłam, jak śpisz. I słuchałam twoich snów. Zawsze były przerażające.

– W jaki sposób słuchasz snów?

– Nie wiem. Po prostu to robię. Kocham tę zatokę – powiedziała. – Jest bardzo spokojna.

– No to jak, powiesz mi, dlaczego postanowiłaś za mnie nie wychodzić?

– Nigdy za nikogo nie wyjdę. Nie jest mi to przeznaczone.

– Za kilka lat możesz zmienić zdanie. Kiedy dorośniesz. Masz dopiero jedenaście lat. Założę się, że zanim dożyjesz mojego wieku, świat będzie dla ciebie zupełnie inny.

– Będzie inny dla wszystkich – odparła. – Jednak ja umrę, zanim to na stapi, i będę razem z matką.

Helikaon zadrżał.

– Nie mów tak! Dzieci nie powinny tak lekko mówić o śmierci.

Jej szare oczy napotkały jego spojrzenie i ujrzał w nich smutek.

– Będę na skale – powiedziała – wysoko w niebie, a ze mną będą trzej królowie. I daleko w dole zobaczą ciebie. Ta skała zabierze mnie do gwiazd. To będzie wielka podróż.

Helikaon wstał.

– Muszę złożyć wyrazy uszanowania twojej matce. Byłaby szczęśliwa, gdybyś przyszła ze mną.

– Zatem uczynię ją szczęśliwą – powiedziała Kasandra. Odwróciwszy się, spojrzała na zatokę. – Tutaj przybiją – szepnęła. – Tak, jak zrobił to Herakles. Tylko że ich okręty wypełnią całą zatokę. Jak okiem sięgnąć, aż po horyzont. I ta plaża ujrzy krew i śmierć.

3.

Dla Laodike było to okropnie smutne popołudnie. A zaczęło się tak dobrze. Śmiała się i żartowała z Andromachą w swoich pokojach na górze, skąd miała widok na północne równiny. Andromacha przymierzała różne nakrycia głowy i stroje sprezentowane Laodike przez cudzoziemskich posłów. Przeważnie były dziwaczne i świadczyły o głupocie i prymitywizmie ich ludów: drewniany kapelusz z Frygii z woalem tak grubym, że kobieta, która by go włożyła, niemal nic by przezeń nie widziała, albo wysoka stożkowata czapka z Babilonii zrobiona z kutych srebrnych pierścieni i nakładana na sam czubek głowy, przytrzymywana przez pasek pod brodą. Laodike i Andromacha kręciły się po pokojach, zanosząc się śmiechem. W pewnej chwili

Andromacha włożyła kreteńską suknię z grubego lnu, haftowaną złotą nicią. Strój był uszyty tak, że odsłaniał obie piersi, a sztywny gorset ścisnął talię, podkreślając linię bioder.

– To najbardziej niewygodny strój, jaki kiedykolwiek nosiłam – orzekła Andromacha, prostując się i pokazując dumnie sterczące piersi.

Widząc to, Laodike poczuła, że raptownie opuszcza ją dobry humor. Stojąc tak w tej głupiej sukni, ognistowłosa Andromacha wyglądała jak bogini, a Laodike poczuła się niewiarygodnie pospolita.

W drodze do letniego pałacu matki trochę poprawił jej się humor, ale niewiele. Matka nigdy jej nie lubiła. Dzieciństwo Laodike było pasmem nieustannego karcenia. Nie potrafiła spamiętać nazw wszystkich krajów wokół Wielkiej Zieleni, a nawet jeśli zdołała je wymienić, to myliły jej się miasta. Tak wiele z nich miało podobne nazwy: Meonia, Mizja, Mykeny, Kos. W końcu wszystko jej się mieszało. Zapytana przez matkę, wpadała w panikę i bramy jej umysłu zatrzaśkiwały się, odcinając dostęp do wszystkiego – nawet do tego, co wiedziała. Kreuza i Parys zawsze znali właściwe odpowiedzi, tak samo – jak mówiono Laodike – przed nimi Hektor. Nie wątpiła, że ta dziwna mała Kasandra również spełnia wymagania matki.

Może teraz, chora, nie będzie taka szorstka, pomyślała Laodike, gdy dwukółka przejeżdżała po moście nad Skamandrem.

– Jaka ona jest, ta twoja matka? – spytała Andromacha.

– Bardzo miła – odparła Laodike.

– Nie, pytam o to, jak wygląda.

– Och, jest wysoka i czarnowłosa. Ojciec mówi, że była najpiękniejszą kobietą na świecie. Wciąż jest bardzo atrakcyjna. Ma szaroniebieskie oczy.

– Jest szanowana na Terze – powiedziała Andromacha. – Świątynia Konia została w znacznej części wybudowana z jej darowizny.

– Tak. Matka mówiła o tym. Jest bardzo duża.

Andromacha zaśmiała się.

– Bardzo duża? Kolosalna, Laodike. Widać ją z morza, ledwie dostrzeże się Terę. Łeb jest tak duży, że mieści się w nim wielka sala, w której zbiera się pięćdziesiąt kapłanek, żeby modlić się i składać ofiary Posejdonowi. Ślepa to ogromne okna. Jeśli wychylisz się przez jedno z nich, możesz sobie wyobrazić, że jesteś ptakiem, tak są wysoko.

– To brzmi... cudownie – powiedziała ponuro Laodike.

– Jesteś chora? – zapytała Andromacha, nachylając się do niej, i objęła ją ramieniem.

– Nie, nic mi nie jest. Naprawdę – odparła Laodike. Spojrzała w zielone oczy Andromachy i ujrzała w nich troskę. – To tylko...

– Przekleństwo Hery?

– Tak – powiedziała, zadowolona, że niezupełnie kłamie. – Czy nie uważasz za dziwne, że to bogini rzuciła na kobiety klątwę miesięcznych krwawień? Prędzej można by tego oczekiwać po jakimś kapryśnym bogu.

Andromacha roześmiała się.

– Jeśli wierzyć we wszystkie opowieści o bogach, to z pewnością woleliby, żeby kobiety mogły spółkować przez cały czas. Może Hera

zapewniła nam trochę spokoju.

Laodike zauważyła, że woźnica się zgarbił, jakby chciał się odsunąć od rozmawiających pasażerek. Nagle poprawił jej się humor i zaczęła chichotać.

– Och, Andromacho, ty naprawdę cudownie patrzysz na niektóre sprawy.

Usiadłszy wygodniej, spojrzała na mury królewskiego pałacu i poczuła, że opuszcza ją lęk.

Laodike nie widziała matki od kilku miesięcy i kiedy Parys zaprowadził je do ogrodu, nie poznała jej. Na wiklinowym fotelu siedziała siwowłosa staruszka, krucha i chuda, o skórze jak poźółkły pergamin, tak opinającej jej czaszkę, że wydawało się, iż lada chwila pęknie. Laodike stała nieruchomo, nie wiedząc, co robić. W pierwszej chwili pomyślała, że ta staruszka też przysłała z wizytą, lecz wtedy kobieta przemówiła:

– Będiesz tam tak stała, głupia dziewucho, czy ucałujesz matkę?

Laodike zrobiło się słabo. Zaschło jej w ustach i zakręciło się w głowie, tak jak podczas tamtych okropnych lekcji.

– To jest Andromacha – zdołała wykrztusić.

Umierająca królowa przeniosła spojrzenie z córki na jej towarzyszkę. Laodike poczuła wielką ulgę. Andromacha podeszła i pocałowała Hekabe w policzek.

– Przykro mi widzieć cię w takim kiepskim zdrowiu – powiedziała.

– Mój syn powiedział mi, że mi się spodobaś – odrzekła zimno królowa. – Nie cierpię, kiedy się o kimś tak mówi. Natychmiast rodzi się we mnie przekonanie, że nie będę lubiła tej osoby. Zatem powiedz mi, dlaczego miałabym cię polubić.

Andromacha pokręciła głową.

– Nie zamierzam, królowo Hekabe. Zdaje mi się, że w Troi wszyscy uwielbiają takie zabawy. Ja nie. Możesz mnie lubić, jeśli chcesz, albo nie lubić, jeśli musisz. Tak czy inaczej, słońce nadal będzie świecić.

– Dobra odpowiedź – powiedziała królowa. Bystrymi oczami przeszła Andromachę. – Słyszałam, że stałaś na szczycie wieży z Priamem i nie chciałaś przed nim uklęknąć.

– A ty klęknęłaś przed Priamem?

– Ani przed nim, ani przed żadnym innym mężczyzną! – warknęła królowa.

Andromacha uśmiechnęła się.

– No właśnie, królowo Hekabe. Zatem coś już nas łączy. Obie nie umiemy klękać.

Uśmiech królowej przygasł.

– Tak, coś nas łączy. Czy mój mąż próbował już zaciągnąć cię do łóżka?

– Nie. I nie zdoła, jeśli spróbuje.

– Och, na pewno spróbuje, moja droga. Nie tylko dlatego, że jesteś wysoka i urodziwa, ale ponieważ jesteś taka podobna do mnie. A raczej do mnie takiej, jaka byłam kiedyś. Ja również byłam kapłanką na Terze. Ja też byłam kiedyś silna. Biegałam po wzgórzach, strzelałam z łuku i tańczyłam podczas uroczystości. Ja także miałam słodką kochankę, o

pełnych wargach i piersiach. Jak Kaliope przyjęła wasze rozstanie?

Laodike była zaszokowana i zerknęła na Andromachę. Myślała, że przyjaciółka będzie załamana i zawstydzona. Andromacha jednak uśmiechnęła się szeroko.

– Cóż to za miasto – powiedziała. – Wszędzie szpiedzy i intryganci, przed którymi nie ukryje się żaden sekret. Nie sądziłam, że królewski dwór tyle wie o tym, co się dzieje na Terze.

– Królewski dwór nie wie – powiedziała królowa. – Ja wiem. Zatem Kaliope płakała? Czy błagała, żebyś z nią uciekła?

– Czy takie było twoje rozstanie z kochanką?

– Tak. Łamało mi się serce, że muszę ją zostawić. Zabiła się.

– Musiała bardzo cię kochać.

– Jestem tego pewna. Jednak zabiła się dwadzieścia lat później, kiedy narodził w gardle odarła jej ciało z kości, pozbawiając ją mowy i tchu. Rzuciła się z Oka Konia i roztrzaskała na skałach. Teraz ja mam narodzić w brzuchu. Sądzisz, że bogowie ukarali nas obie za folgowanie żądzy?

– A ty?

Hekabe wzruszyła ramionami.

– Czasem się zastanawiam.

– A ja nie – powiedziała Andromacha. – Żli ludzie niszczą ziemię ogniem i mieczem, palą, zabijają i gwałcą. A jednak podobno bogowie ich podziwiają. Jeśli to prawda, to nie wiem, dlaczego mieliby karać kobiety za to, że się kochają. Jeśli jednak się mylę i bogowie naprawdę nienawidzą nas za nasze przyjemności, to nie zasługują na to, żebym oddawała im cześć.

Nagle Hekabe roześmiała się.

– Och, jesteś tak podobna do mnie! I o wiele lepiej pasujesz do mojego Hektora niż twoja nieśmiała siostra. Jednak rozmawialiśmy o Priamie. Nie zgwałci cię. Będzie próbował cię uwieść albo znaleźć jakiś inny sposób, że by cię zmusić do uległości. Potrafi być subtelny. Myślę jednak, że zaczeka, aż umrę. Tak więc masz jeszcze trochę czasu.

– Jak możesz kochać takiego człowieka? – zapytała Andromacha.

Hekabe westchnęła.

– Jest uparty i czasem okrutny. Jest w nim też jednak wielkość. – Uśmiechnęła się. – Kiedy poznasz go lepiej, sama to dostrzeżesz. – Znowu spojrzała na Laodike. – No, dziewczyno, zamierzasz pocałować swoją matkę?

– Tak – odparła pokornie Laodike i podeszła do niej. Nachyliwszy się, zamknęła oczy i cmoknęła matkę w policzek, po czym pospiesznie się cofnęła. Królowa pachniała goździkami. Zapach był mdlący i odurzający.

Studzy przynieśli krzesła oraz zimne napoje i kobiety usiadły przy królowej. Parys odszedł na bok i znów czytał jakiś zwój. Laodike nie wiedziała, co powiedzieć. Upewniła się, że matka umiera, i ta świadomość legła brzemieniem na jej sercu. Znów poczuła się jak dziecko, biedne, samotne i niekochane. Nawet w obliczu śmierci matka nie miała dla niej dobrego słowa.

Ścisnęła ją w żołądku i rozmowa Andromachy z Hekabe była dla

niej niczym uporczywe brzęczenie pszczoł. Matka wezwała służbę, która rozstawiła wokół nich malowane parawany od słońca i chociaż rzucały przez nie cień przynosił ulgę, wcale nie podniósł Laodike na duchu.

A potem przyszedł Helikaon i Laodike znów poczuła przyplwy otuchy. Wstała z krzesła i pomachała do młodego księcia, który szedł z Kasandrą po poźółkłej trawie na szczycie urwiska. Na widok Laodike uśmiechnął się.

– Jesteś jeszcze śliczniejsza, kuzynko – powiedział, biorąc ją w ramiona i przytulając.

Laodike chciaaby, żeby ten uścisk nigdy się nie skończył. Przywarła do niego i pocałowała go w policzek.

– Na bogów, Laodike, musisz zachowywać się jak dziewczyna? – warknęła matka.

Ostry ton głosu Hekabe otrzeźwił ją. Właśnie złamała dworską etykietę. Gość najpierw powinien powitać królową. Helikaon nachylił się i pocałował ją w czoło. Potem mrugnął do niej i bezgłośnie powiedział: „Nie martw się!”

Podszedł i klęknął przy fotelu królowej.

– Przyprowadziłem Kasandrę, tak jak chciałaś.

– Nikt mnie nie przyprowadził – powiedziała Kasandra. – Przyszłam, żeby sprawić ci radość, matko.

– Zawsze sprawiasz mi radość, moja droga – powiedziała Hekabe.

– Usiądź z nami, Helikaonie. Mówiono mi, że walczyłeś z piratami i paliłeś ich żywcem, dosłownie.

– Dzień jest zbyt piękny – powiedział – żeby psuć go opowieściami o rozlewie krwi i okropnościach. A pani Andromacha już zna przebieg bitwy i późniejszych wydarzeń. Oglądała je z brzegu.

– Zazdroszczę ci – powiedziała Hekabe. – Chciałabym zobaczyć, jak ci Mykeńczycy płoną. To psy bez serca, co do jednego. Nigdy nie spotkałam Mykeńczyka, którego bym polubiła – albo obdarzyła zaufaniem.

– Opowiedz matce o przebraniu – zachęciła Laodike. – Jeden z moich służących słyszał o tym od członka twojej załogi.

– Przebranie? – powtórzyła Hekabe, marszcząc brwi.

– Aby wymknąć się zabójcom czyhającym na drodze – wyjaśniła Laodike. – To było bardzo sprytnie. Opowiedz o tym, Helikaonie.

– To drobiazg. Wiedziałem, że zabójcy czekają na mnie w zasadzce, więc przekupiłem jednego z gwardzistów Kygonesa i pożyczyłem jego zbroję. Obawiam się, że to nic dramatycznego. Po prostu przeszedłem obok Mykeńczyków. – Nagle zachichotał. – Jeden z nich nawet zawołał mnie i zapytał, czy widziałem Helikaona.

– Byłeś przebrany za strażnika? – powiedziała Andromacha. – A może zgubiłeś na plaży sandał?

– Tak. Pękł pasek. Dziwne, że o tym wiesz.

– Wcale nie. Widziałam cię.

Laodike spojrzała na przyjaciółkę. Andromacha była bardzo blada i po raz pierwszy, odkąd się poznały, wyglądała na spiętą i zaniepokojoną.

– To był tandetny sandał – dodał Helikaon.

– Opowiedz mi o statku – zażądała Hekabe. – Lubię słuchać o statkach.

Laodike siedziała spokojnie, gdy Helikaon opowiadał o *Ksantosie* i Szaleńcu z Miletu, który go zaprojektował i zbudował. Mówił o morskiej dzielności okrętu i o tym, jak tańczy na wodzie niczym władca mórz. Opowiedział im o sztormie i o tym, jak statek sobie z nim poradził. Laodike słuchała tego z podziwem. Marzyła o tym, żeby odpłynąć jak najdalej od Troi i zamieszkać na jakiejś zielonej wyspie, gdzie nikt nigdy nie nazywałby jej głupią dziewczuchą i nie wymagał, by recytowała nazwy krain, w których nigdy nie postawi stopy.

O zmierzchu Hekabe poskarżyła się na zmęczenie i wezwano dwóch służących, którzy zanieśli ją z powrotem do pałacu. Helikaon odszedł wkrótce po tym. Zamierzał jeszcze tego dnia odpłynąć do Dardanii, ale teraz będzie musiał zaczekać z tym do świtu. Pocałował Laodike i ponownie ją uściskał.

– Ona nie chce być okrutna – powiedział.

Och, chce, pomyślała Laodike, ale odparła:

– Jestem pewna, że masz rację, Helikaonie.

Przyklęknął przy Kasandrze i zapytał:

– Czy i ty mnie uściskasz, mała przyjaciółko?

– Nie.

– Bardzo dobrze – powiedział i zaczął się podnosić.

– Zmieniłam zdanie – oznajmiła pospiesznie. – Pozwolę ci się uściskać, ponieważ to sprawi ci radość.

– Jesteś bardzo łaskawa – powiedział.

Kassandra zarzuciła mu na szyję chude rączki i mocno uściskała.

– Przyjaciele zawsze powinni się uścisnąć – dodał. Potem wstał i odwrócił się do Andromachy.

– Miło było znów cię zobaczyć, pani – powiedział.

Laodike oczekiwała, że podejdzie do Andromachy i ją również weźmie w ramiona, ale nie zrobił tego. Oboje spoglądali na siebie. Zwykle surowa twarz Andromachy złagodniała, a na jej policzkach pojawiły się rumieńce.

– Wrócisz na zaślubiny? – zapytała.

– Nie sądzę. Życzę ci szczęścia. Zawsze wiedziałem, że Hektor to szczęściarz, ale teraz jestem pewien, że pobłogosławili go bogowie.

– A czy pobłogosławili mnie? – spytała cicho.

– Taką mam nadzieję – z całego serca.

– A jej nie uściśniesz? – spytała Kasandra. – Bo powinienesz.

Helikaon miał niepewną minę, ale Andromacha podeszła do niego.

– Sadzę, że powinniśmy być przyjaciółmi – powiedziała.

– Zawsze nimi będziemy, Andromacho. Przyrzekam ci to.

Objął ją i przyciągnął do siebie.

Patrząc na nich, Laodike poczuła lodowate ukłucie lęku. Zobaczyła, jak Helikaon zamknął oczy, i usłyszała jego westchnienie. Posmutniała. Już od kilku lat marzyła o tym, żeby ojciec zaaranżował jej małżeństwo z Helikaonem. Wiedziała, że on jej nie kocha, ale wierzyła, że gdyby to małżeństwo zostało zawarte, potrafiłaby go uszczęśliwić. Uradowała się, kiedy usłyszała, że nie chciał pojąć pięknej Kreuzy.

Powiedział Priamowi, że ożeni się tylko z miłości. Laodike żywiła słabiutką nadzieję, że może pokocha ją. Ta nadzieja niczym iskra rozświetlała jej samotne noce. Teraz zgasła. Jej nigdy tak nie obejmował.

I nagle zrozumiała, że nigdy nie obejmie.

Nigdy nie zaznasz miłości, szepnął mroczny strach w jej sercu.

Andromacha wysunęła się z objęć. Była zaczerwieniona i lekko się chwiała. Pospieszenie odsunęła się od Helikaona i uklękła przy szczupłej Kasandrze.

– Czy my też możemy być przyjaciółkami? – zapytała.

– Jeszcze nie – odparła Kasandra. – Teraz idę popływać. Czekają na mnie delfiny.

XX. ŚWIĄTYNIA

1.

Karpoforos siedział na dachu i patrzył na odległy pałac na szczycie wzgórza za Skamandrem. Był niespokojny. Wieczorem, o zachodzie słońca, rozpocznie się święto Demeter, bogini urodzaju. Lud będzie jej dziękować za letnie zbiory. Będą mocne napitki, dobre wina, półmiski z jedzeniem i wielkimi pieczonymi świniakami. Ludzie będą tańczyć i śpiewać i na jeden dzień zapomną o troskach i kłopotach. Za dziewięć miesięcy na świat przyjdą setki dzieci, wrzeszczących i płaczących. Karpoforos nienawidził takich świąt.

To jednak było szczególne.

Kiedy został powołany na sługę śmierci, popłynął na Samotrakę zasięgnąć rady jasnowidza, który tam mieszkał. Ten człowiek był sławny we wszystkich krajach Wielkiej Zieleni. Mieszkał w jaskini, wyrzekłszy się bogactwa, żeby poszukiwać duchowej doskonałości. Na zboczu poniżej jego jaskini zawsze tłoczyły się dziesiątki ludzi przynoszących dary. Jasnowidz spokojnie siedział na słońcu i od czasu do czasu wzywał kogoś. Potem przemawiał do niego cicho, a petent wysłuchiwał go, po czym odchodził. Ludzie pytali: „Co ci powiedział?” Jednak nigdy nie otrzymywali odpowiedzi.

Karpoforos czekał dziewiętnaście dni. Rankiem dwudziestego dnia, gdy popatrzył na starca, zobaczył, że i on spogląda na niego. Wezwał Karpoforosa. Ten nie mógł w to uwierzyć i obejrzał się za siebie, czy ktoś za nim nie stoi. W końcu wstał i wszedł po zboczu.

Jasnowidz nie był tak stary, jak Karpoforos myślał. Choć brode miał siwą, jego twarz nie była pomarszczona.

Karpoforos usiadł przed nim na ziemi.

– Jakiej rady szukasz? – zapytał jasnowidz.

– Zostałem powołany, by służyć Wielkiemu Ojcu – powiedział mu Karpoforos. – Jednak potrzebuję rady.

– W jaki sposób zostałeś powołany?

Karpoforos opowiedział mu o śmierci robotnika i o tym, że uświadomił sobie wtedy, iż ma służyć bogu, wysyłając dusze w najdłuższą z podróży.

– Sądysz, że Hades każe ci zabijać ludzi?

– Tak – odparł z dumą Karpoforos.

Mędrzec spojrział na niego z nieprzeniknioną miną, wielkimi niebieskimi oczami wpatrując się w ciemne oczy przybysza.

– Ilu dotychczas zabiłeś?

– Dziewięciu.

– Zaczekaj, aż porozumiem się z duchami – rzekł jasnowidz i zamknął oczy.

Minęło tyle czasu, że Karpoforos zaczął podejrzewać, iż mędrzec zasnął. Ten jednak nagle otworzył oczy.

– Każdy człowiek wybiera taką lub inną drogę, Karpoforosie. Gdybym ci powiedział, że uległeś złudzeniu i Władca Zmarłych wcale cie

nie powołał, uwierzyłbyś mi? Odpowiedz szczerze.

– Nie. Bóg uczynił mnie swoim sługą.

Jasnowidz skinął głową.

– Powiedz mi, czy wierzysz, że chciałby, abyś zabijał dzieci?

– Nie.

– A kobiety?

– Nie wiem. Czy on tego chce?

– Nie będziesz zabijał dzieci ani kobiet. I nie zabijesz nikogo między świętem Demeter a świętem Persefony. Gdy ziemia śpi, ty również będziesz odpoczywał. A po każdym zleceniu, które wykonasz, darujesz połowę swej zapłaty na biednych i potrzebujących. – Wskazał na sztylet, który Karpoforos miał u boku. – Daj mi tę broń. – Karpoforos wyciągnął sztylet z pochwy i podał jasnowidzowi. To był dobry sztylet, z rękojeścią zdobioną srebrem i głowicą w kształcie lwiego łba. – Tylko tą bronią będziesz wykonywał swe zadania. Nigdy trucizny, miecza czy sznura. Ani gołych rąk, włóczni czy łuku. A kiedy złamiesz lub zgubisz ten sztylet, nie będziesz więcej służył wielkiemu bogu. Jeśli złamiesz któreś z tych poleceń, zakończysz życie, nim minie siedem dni.

– Będzie tak jak mówisz, święty.

Przez te wszystkie lata Karpoforos bez wahania przestrzegał tych zaleceń. W trzech miastach ufundował przytulki dla ubogich i bezdomnych. Ani jedna kobieta czy dziecko nie padły pod ciosem jego sztyletu, o który wielce dbał i używał tylko do wykonywania swych zleceń, nie chcąc zniszczyć ostrza. Oprócz tego sztyletu nosił jeszcze dwa inne, których używał do innych celów, i nimi właśnie posługiwał się podczas bitwy przy Zatoce Niebieskiej Sowy.

Tego dnia przypadła święto Demeter i tego wieczoru sztylet z głowicą w kształcie głowy lwa zakończy ziemską wędrówkę Helikaona.

Rankiem patrzył, jak księżę przejeżdża po moście nad Skamandrem na rumaku pożyczonym z królewskich stajen. Być może wróci wieczorem, a potem, po zmroku, pójdzie przez miasto do portu. Po drodze przetnie plac przed świątynią Hermesa. Tam będą tłumy.

Powinienem z łatwością zabić go na placu, pomyślał Karpoforos. Wystarczy podejść ze sztyletem ukrytym w rękawie. Helikaon powita mnie szerokim uśmiechem. Wtedy szybko i zręcznie wyjmę sztylet i przeciągnę nim po jego gardle. Potem wtopię się w tłum i zniknę. Helikaon będzie mógł znaleźć Pola Elizejskie i cieszyć się wiecznością w towarzystwie bogów i herosów.

Karpoforos westchnął.

Powinienem z łatwością zabić go na placu.

Zabicie Helikaona okazało się o wiele trudniejszym zadaniem od wszystkich jego ostatnich zleceń. Złocisty był ostrożnym, inteligentnym człowiekiem, bystrym i rozważnym. Jeszcze gorsze było to, że Karpoforos w pewnej chwili uświadomił sobie, że wcale nie ma ochoty go zabić. Ostatnio trapiły go dziwne myśli, wątpliwości i troski. Nigdy wcześniej ich nie miał. Kochał swoją pracę i był bezgranicznie dumny z tego, że został wybrany przez Hadesa. Jednak jako członek załogi *Ksantosa* zaczął mieć wątpliwości. Przez całe życie był samotnikiem, zadowolonym ze swojej samotności. Co więcej, nie lubił tłumów. Sądził, że podróż na

Ksantosie będzie nieprzyjemna i męcząca, lecz znalazł w niej pociechę. Oniakos nawet uściskał go wczoraj na plaży, po tym jak Karpoforos oznajmił, że odchodzi. Dziwnie się czuł. Później próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz ktoś go uściskał. Nie pamiętał. Zapewne matka musiała go kiedyś tulić, ale chociaż bardzo się starał, nie mógł sobie przypomnieć ani jednego jej uścisku.

– Będzie nam ciebie brakowało, Attalosie – powiedział mu Oniakos. – Wiem, że *Złocisty* bardzo wysoko cię ceni. Będzie bardzo rozczarowany, gdy usłyszy, że już nas opuściłeś.

Takie rozstanie było dla zabójcy czymś zupełnie nowym. Zdumiało go to, że jest bliski łez. Nie wiedząc, co powiedzieć, odszedł z zapłatą w miedzi w sakiewce.

Noc przedrzemał w bramie naprzeciw bramy pałacu, a o świcie obudził się i zaczął czekać na Helikaona.

Siedząc na dachu, usłyszał śmiech bawiących się na dole dzieci. Wstał i spojrział na nie. Pięciu chłopców grało w piłkę zrobioną z kłębka starego sznura. Potem zauważył szóste dziecko, siedzące na uboczu. Chłopiec był chudy mały i miał smutną minę.

Nie siedź tam tak, pomyślał Karpoforos. Idź i przyłącz się do nich. Nie odsuwaj się. Znajdź przyjaciół.

Jednak chłopiec tylko siedział i patrzył. Karpoforos poczuł przygnębienie. Miał ochotę podejść do małego i porozmawiać z nim. Jednak nie mógł.

I co bym mu powiedział? – zadawał sobie pytanie. – Dlaczego miałby mnie wysłuchać?

Nagle jeden z grających, wysoki i szczupły chłopiec o rudych włosach, opuścił kolegów i usiadł obok malca. Objął go ramieniem. Mały uśmiechnął się. Wyższy pociągnął go za rękę i zaprowadził do pozostałych.

Karpoforos poczuł ulgę. Siedział i patrzył, jak grają, aż rozeszli się do domów. Malec się śmiał.

– Kto wie, kim teraz się staniesz? – szepnął do siebie Karpoforos.

I znów posmutniał.

W gasnącym świetle dnia ujrzał jeźdźca wracającego przez most na Skamandrze. Było za ciemno, aby dojrzeć rysy, ale rozpoznał styl jazdy Helikaona: jedna ręka trzymająca wodze, druga lekko spoczywająca na udzie.

Karpoforos patrzył, jak *Złocisty* oddaje wierzchowca, zamienia kilka słów z koniuszym, a potem wchodzi do pałacu. Po krótkiej chwili – teraz w ciemnym skórzanym kaftanie i z dwoma mieczami u pasa – pomaszerował ulicą w kierunku portu.

Wsunąwszy sztylet do rękawa, Karpoforos zszedł z dachu i ruszył za nim.

2.

Idąc do portu, Helikaon myślał o Andromasze. Wciąż czuł ciepło jej ciała przyciśniętego do niego w tym pożegnalnym uścisku i pamiętał zapach jej włosów, który budził w nim tęsknotę. Teraz żałował, że nie opuścił Troi wcześniej i odwiedził umierającą Hekabe.

Spojrzał na niebo i niskie chmury na zachodzie. Zastanawiał się, czy zgrzeszył czymś przeciwko Afrodycie. Może składał jej mniej ofiar niż innym bogom. Ironia losu. Nie chciał się żenić, chyba że z miłości, a teraz, kiedy spotkał kobietę ze swych marzeń, ona miała wyjść za innego. Co gorsza, miała poślubić jego najlepszego przyjaciela.

Teraz nie czas o tym rozmyślać, ostrzegł się w duchu, widząc, że wydłużają się cienie.

Przecisnął się przez tłumy odzianych w kolorowe szaty Trojańczyków, wypełniających targowiska, szukających okazji u zamykających kramy handlarzy. Uśmiechnęła się do niego jakaś ulicznica, zakołysała ciężkimi piersiami i oblizała umalowane wargi. Odmownie potrząsnął głową i straciła zainteresowanie, a jej olśniewający uśmiech przygasł.

Pozostawiwszy tłumy za plecami, jeszcze czujniej poszedł w dół zbocza, w kierunku portu. Mykeńscy szpiedzy z pewnością wiedzieli, że to jego ostatni dzień w Troi. Domyśla się, że odpłynie o świcie. Jeśli szykują następny atak, to teraz, kiedy wraca na *Ksantosa*.

Wiał chłodny wiaterek z zachodu i pokropił deszczyk. Helikaon spojrzał na wznoszące się przed nim budynki. Zbliżał się do wąskiej uliczki wiodącej na szeroki plac przed świątynią Hermesa, boga podróży. Tam będzie wielu ludzi: żeglarzy składających ofiary w intencji bezpiecznego rejsu oraz ludzi mających wyruszyć w drogę i proszących boga o błogosławieństwo.

Idealne miejsce na zasadzkę na samotnego żeglarza wracającego na statek.

Czując rosnące napięcie, wszedł w uliczkę prowadzącą ku świątyni. Przed sobą zobaczył człowieka w płaszczu z kapturem. Mężczyzna gwałtownie się odwrócił i ruszył z powrotem na plac.

W Helikaonie wezbrał zimny gniew. Ten człowiek stał na czatach. Wracając na plac, dał swoim kompanom znak, że Helikaon nadchodzi. Ilu ich będzie? Serce zaczęło mu mocniej bić. Tym razem będą chcieli mieć pewność. Zaatakują go ośmiu lub dziesięciu zabójców. Na pewno nie więcej, ponieważ przeszkadzaliby sobie nawzajem. Najwyżej dziesięciu, zdecydował. Co najmniej dwaj zajdą go od tyłu, odcinając mu odwrót w głąb ulicy, którą teraz szedł. Pozostali otoczą go, a potem zaatakują.

Helikaon przystanął i zmówił modlitwę do boga wojny.

– Wiem, że ci Mykeńczycy czczą cię ponad wszystkich innych bogów, potężny Aresie, lecz ci tam na placu to tchórze. Proszę cię, abys dziś pobłogosławił moją broń.

Potem poszedł dalej.

Wchodząc na plac, rozejrzał się na boki. Zauważył, że od tyłu zachodzi go dwóch zakapturzonych mężczyzn. Odcinali mu odwrót.

Zobaczył przeciskającego się przez tłum Attalosa.

W tym momencie czterej mężczyźni odrzucili płaszcze, wyciągnęli miecze i rzucili się na niego. Mieli skórzane napierśniki i okrągłe, również ze skóry hełmy. Helikaon sięgnął po swoje dwa miecze i skoczył im na spotkanie. Tłum wokół pierzchnął. Nadbiegali następni Mykeńczycy. Helikaon zablokował wściekłe pchnięcie i wbił miecz w

gardło napastnika. Jeden z przeciwników ciął go w bok. Poczuł silny ból – lecz ukryte pod skórzanym kaftanem krążki z kości słoniowej uchroniły żebra przed złamaniem. Helikaon na odlew uderzył mieczem w skórzany hełm Mykeńczyka. Głownia przecięła skórę i ciało, łamiąc szczękę. Helikaon błyskawicznie zmieniał pozycję, atakując i parując ciosy. Chociaż całą uwagę skupiał na napastnikach, widział, że Oniakos oraz kilku najwaleczniejszych członków załogi wybiegli z ukrycia i zaatakowali Mykeńczyków. Brząk brązu uderzającego o brząz niósł się echem po placu. Tłum cofnął się, pozostawiając środek placu dla walczących. Machając mieczem trzymany w prawej ręce, a krótszy trzymając jak sztylet w lewej, Helikaon odbił pchnięcie i ciął w obojczyk napastnika. Ostrze wbiło się głęboko i z gardła Mykeńczyka wydobył się okropny krzyk.

Helikaon błyskawicznie odwrócił się i ujrzał, jak Attalos wbija sztylet w oko Mykeńczyka. Chiton Attalosa był zbroczony krwią.

Mykeńczycy rzucili się od ucieczki. Helikaon zobaczył, jak wysoki zabójca powalił marynarza i rzucił się w kierunku wąskiej uliczki. Gershom odciął mu drogę i uderzył pałąk Zidantasa. Mykeńczyk ze strzaskaną czaszką runął na bruk.

Dwaj pozostali napastnicy rzucili broń, lecz zostali bezlitośnie zabici.

Helikaon zobaczył Attalosa. Marynarz powoli szedł ku niemu ze sztyletem ociekającym krwią i nagle się zachwiał. Helikaon upuścił miecze i doskoczył do niego. Ranny osunął się w jego ramiona. Książę powoli położył go na bruku. Attalos poruszył ręką i ostrze sztyletu ześlizgnęło się po chitonie Helikaona.

– Wszystko w porządku, Attalosisie – powiedział Helikaon, wyjmując broń z jego ręki. – Walka skończona. Pozwól, że obejrzę twoje rany.

Attalos otrzymał głębokie pchnięcie tuż nad prawym biodrem. Z rany sączyła się krew. Potem Helikaon zauważył drugą ranę – na piersi. Ta krwawiła obficie. Oniakos przykucnął obok Helikaona.

– Ośmiu Mykeńczyków zginęło, ale straciliśmy pięciu ludzi, a trzech jest rannych.

– Czy uzdrowiciel czeka na *Ksantosie*?

– Tak, Złocisty, tak jak kazałeś.

– Zatem zanieśmy rannych na statek.

– Dajcie mi... mój sztylet – wyszeptał Attalos.

Helikaon położył dłoń na ramieniu mężczyzny.

– Musisz odpocząć, Attalosisie. Nie przemęczaj się. Twój sztylet będzie bezpieczny. Przechowam go dla ciebie.

– Wygląda na to, że jednak zostaniesz z nami, Attalosisie, mój przyjacielu – rzekł Oniakos. – Nie martw się. Szybko opatrzymy ci te zadrapania.

Helikaon wstał i rozejrzał się po placu. Wokół zbierali się ludzie, patrząc na zabitych. Nadbiegł oddziałek trojańskich żołnierzy, którzy rozstawili się wokół z dobytymi mieczami. Helikaon podszedł do nich. Ich dowódca wyszedł mu na spotkanie. Helikaon nie znał go.

– Co tu się stało? – zapytał Trojanin.

– Mykeńscy mordercy próbowali mnie zabić.

– A czemu mieliby to robić?
– Jestem Eneasze z Dardanii, znany jako Helikaon.
Słyszając to, oficer natychmiast zmienił ton.
– Przepraszam, panie. Nie poznałem cię. Jestem nowy w mieście. –
Spojrzał na trupy i rannych marynarzy. – Czy jacyś zabójcy zdołali
uciec?
– Nie zauważyłem, by któremuś się to udało.
– Będę musiał powiadomić o tym mojego dowódcę.
– Oczywiście – powiedział Helikaon i zwięźle opisał przebieg
napaści. Gdy zakończył, Trojanin podziękował mu i chciał odejść. –
Zaczekaj – powiedział Helikaon. – Nie zapytałeś mnie, dlaczego
Mykeńczycy chcieli mnie zabić.
Żołnierz uśmiechnął się krzywo.
– Och, jestem w mieście dostatecznie długo, żeby to wiedzieć – od
parł. – Splamiłeś Wielką Zieleni ich krwią.
Helikaon wrócił do swoich ludzi. Ciężko rannych zaniesiono na
noszach do Domu Węży, a pozostałych doprowadzono na plażę, gdzie
czekał uzdrowiciel Machaon. Pięciu zabitych również zaniesiono na
brzeg i ułożono na piasku przed *Ksantosem*. Helikaon po kolei klęknął
przy poległych, wkładając każdemu do ust srebrny pierścień.
– Dlaczego to robisz? – zapytał Gershom.
Helikaon wstał.
– To opłata dla Charona. Każda dusza musi przepłynąć się przez
czarną rzekę, żeby dotrzeć do Pól Elizejskich. On je przewozi.
– Wierzysz w to?
Helikaon wzruszył ramionami.
– Sam nie wiem. Jednak to również znak szacunku dla zmarłych i
hołd dla ich odwagi.
Podszedł do nich wysoki siwowłosy mężczyzna w długim płaszczu
z wizerunkiem konia, godłem rodu Priama, i skłonił się przed
Helikaonem.
– Mój panie Eneaszu, przynoszę złe wieści od króla – powiedział.
– Czy Priam zachorował?
– Nie, panie. To wieści z Dardanii.
– Zatem mów, człowieku.
Posłaniec zawahał się, po czym nabrał tchu. Unikał spojrzenia
Helikaona.
– Doszły nas wieści, że oddział mykeńskich piratów pod osłoną
ciemności wdarł się do cytadeli Dardanos. – Znow się zawahał. – To nie
był napad rabunkowy. Przybyli tam mordować.
Helikaon stał nieruchomo.
– Szukali mnie?
– Nie, panie. Polowali na młodego króla.
Zimny strach przeszył serce Helikaona.
– Powiedz mi, że go nie znaleźli.
– Przykro mi, panie. Zabili Diomedesa, a także zgwałcili i ranili
jego matkę. Przeżyła, ale są obawy, że nie pożyje długo.
Część członków załogi, a wśród nich Oniakos, zebrała się wokół.
Nikt nic nie mówił. Helikaon usiłował wziąć się w garść. Zamknął oczy,

ale wciąż widział promienną twarz uśmiechniętego Diomedesa, jego złociste włosy lśniące w słońcu. Cisza przedłużała się.

– Piraci zostali odparci, panie. Jednak większość z nich dotarła do czekających na nich statków.

– Jak zginął chłopiec?

– Nasączyli jego szaty oliwą, podpalili i zrzucili go z urwiska. Szaty królowej również nasączyli oliwą, ale wódz Pauzaniasz i jego ludzie odbili ją. Mykeńczycy nie zdążyli jej podpalić i zapewne dlatego ją dźgnęli. Nikt nie zna imienia dowódcy piratów, wiadomo tylko, że był nim młody wojownik o białych włosach.

Helikaon odszedł od posłańca oraz milczącej załogi i stanął, spoglądając na morze. Oniakos dołączył do niego.

– Jakie są twe rozkazy, mój królu? – zapytał.

– Odpłyniemy w nocy. Wracamy do domu, do Dardanos – powiedział mu Helikaon.

CZEŚĆ TRZECIA
ZIMOWE BURZE

XXI. CZŁOWIEK PRZY BRAMIE

Habusas Asyryjczyk siedział na szczycie nadmorskiego urwiska, spoglądając na morze. Na północnym wschodzie górzysta wyspa Samotraka była skąpana w słońcu, lecz tutaj, nad małą Pitros, ciężkie chmury rzucały czarne cienie na klifowe brzegi i skalistą ziemię za nimi. Morze było spienione i wzburzone, a porywisty wiatr smagał fale. Habusas podniósł do ust dzban z winem i napił się. Wino było tanie i kiepskie, ale smakowało mu. W oddali słyszał śmiech swoich dzieci, trzech chłopców biegających z długimi kijami w dłoniach i udających wojowników. Pewnego dnia, pomyślał z dumą, popłyną ze mną, a wtedy będą mieli prawdziwe miecze.

To był dobry sezon i niezłe zdobycze. Kolanos poprowadził ich do wielu zwycięstw i Habusas wrócił na zimę na swoją wyspę z worem łupów. Złote obrączki i bransolety, brosze ze srebra i lapis-lazuli, pierścionki z krwawnikami i szmaragdami. Tak, dobry sezon – nie licząc okropności Zatoki Niebieskiej Sowy. Wielu dobrych ludzi zginęło tamtego dnia, pochłoniętych przez ogień.

Jednak zemścili się, atakując Dardanos. Habusas z przyjemnością wspominał widok młodego króla w płonących szatach, spadającego z krzykiem z urwiska. Jeszcze milej wspominał królową. Chędożenie to zawsze dobra rzecz, ale najprzyjemniejsza z niewoloną kobietą. Która prosi i błaga, żeby ją oszczędzić.

Ach, jak ona błagała!

Habusas był zdziwiony, kiedy się dowiedział, że przeżyła. Zwykle zadany przez niego cios sztyletem był śmiertelny. Mógł się tylko domyślać, że to pośpiech sprawił, iż tym razem ostrze nie sięgnęło serca. Żołnierze królowej przebili się do niej szybciej, niż się spodziewał. Szkoda, bo Habusas ze swymi żołnierzami już namoczył jej szaty w oliwie i za chwilę zobaczyłby, jak płonąc, spada z urwiska, żeby dołączyć do syna.

Pomyślał o Helikaonie. Serce rosło mu w piersi na myśl o jego udreće.

Ostatni statek, który przyplłynął na Pitros przed ponad trzema tygodniami, przywiózł wieści z kontynentu. Helikaon wrócił do Dardanos. Wszędzie było poruszenie i niepokój. Zamordowanie chłopca poruszyło ludzi – tak jak przewidział Kolanos.

I jakże musiało złościć Helikaona, że ludzie, którzy zaatakowali fortecę, teraz bezpiecznie zimują na Pitros, chronieni przez szalejące morze i to, że wyspa należy do Mykeńczyków. Nawet gdyby Helikaon zdołał przekonać swoich wojowników, żeby narazili się na gniew Posejdona, nie mógł zaatakować wyspy, nie wywołując wojny, której nie mógł wygrać.

Kolanos obiecał, że z nadejściem wiosny znów zaatakują Dardanos – tym razem z pięćdziesięcioma statkami i ponad tysiącem wojowników. Habusas był rad, że królowa wciąż żyje. Już sobie wyobrażał jej przerażenie na widok przybywających po nią wojowników i słyszał jej rozpaczliwe krzyki, gdy będzie zdzierał z niej szaty. Krew żywiej zaczęła krążyć mu w żyłach. Nigdy przedtem nie zgwałcił

królowej. Chociaż niczym się to nie różniło od innych gwałtów, świadomość jej pozycji ogromnie go podniecała.

Habusas odwrócił się, by popatrzeć, jak słońce zaczyna chylić się ku zachodowi. Jego trzech synowie zebrali się wokół niego. Przytulił ich. To dobrzy chłopcy i bardzo ich kochał.

– No, łobuzy – powiedział. – Czas wracać do domu na kolację.

Najstarszy, Balios, wskazał na morze.

– Spójrz, ojcze, statki!

Habusas zmrużył oczy. W oddali, na wschodzie, zobaczył cztery okręty. Ich wiosła poruszały się w szybkim tempie. I powinny, pomyślał, bo zapada mrok i z pewnością nie chcieliby, aby zastał ich na morzu. To dziwne, że w ogóle wypłynęli w tak niespokojny czas. Widocznie mieli kiepski sezon i ich kapitanowie rozpaczliwie szukali łupów.

Habusas miał nadzieję, że im się poszczęściło, gdyż część ich bogactw spłynie do niego. Habusas był właścicielem wszystkich dziwek na Pitros. Poczul głęboką satysfakcję. Miał trzech udanych synów, kochającą żonę i był coraz bogatszy. Ci obcy bogowie pobłogosławili go. I powinni, pomyślał. Przed każdą wyprawą składał im wszystkim ofiary: byki dla Zeusa, Hery, Posejdona i Aresa, jagnięta dla Hefajstosa, Hermesa i Hadesa. Nawet pomniejsi bogowie dostawali od niego dary, gdyż nie chciał narażać się na Parkom czy złośliwej Eris. Habusas był bardzo religijny i bogowie nagradzali jego wiarę.

Jego najmłodszy syn, sześciolatek Kletis, biegł wzdłuż krawędzi urwiska. Habusas zawołał do niego, żeby uważał, a potem kazał Baliosowi wziąć go za rękę.

– Dlaczego zawsze muszę go pilnować? – spierał się Balios. Miał trzynaste lat, był już prawie mężczyzną i zaczynał szarpać pęta dziecinnego wieku. – Dlaczego nie Palikles? On nigdy nie ma nic do roboty.

– A właśnie że mam! – odparł Palikles. – Pomagałem matce zaganiać kozy, kiedy ty chowałeś się w sianie z Persią.

– Dość tych kłótni – uciął Habusas. – Rób, co ci każe, Baliosie.

Trzynastolatek podbiegł i chwycił małego Kletisa, który wrzasnął prze raźliwie. Balios zamierzył się na niego.

– Nie bij brata! – krzyknął Habusas.

– Jest taki denerwujący.

– To dziecko. Dzieci są irytujące. Czy ja cię kiedyś uderzyłem?

– Nie, ojcze.

– To bierz ze mnie przykład.

Balios odszedł, ciągnąc za sobą opierającego się Kletisa.

– A zatem – szepnął Habusas do dziesięcioletniego Paliklesa – twój brat ugania się za śliczną Persią.

– Nie musi się uganiać – mruknął Palikles. – Ona jest gorsza niż jej matka.

Habusas zaśmiał się.

– Miejmy nadzieję. Jej matka to jedna z moich najlepszych dziwek.

Palikles przystanął i spojrzał na morze.

– Następane statki, ojcze – powiedział.

Habusas zobaczył, że pierwsze cztery galery są już blisko brzegu, lecz za nimi płynie siedem następnych.

Zbierały się burzowe chmury, a morze było coraz bardziej wzburzone. Idący przodem Balios krzyknął:

– Jeszcze pięć, ojcze!

Pokazywał na północ, za długi cypel.

Strach przeszył Habusasa jak lodowa włócznia. Nagle pojawił się Helikaon przybywa, żeby się zemścić. Szesnaście okrętów! To oznaczało co najmniej ośmiuset wojowników. Habusas zamarł, niemal nie wierząc własnym oczom. Tylko szalenie mógł wypłynąć na Wielką Zieleń w porze sztormów. I jak zamierzał ująć przed gniewem Mykeńczyków? Habusas nie był głupcem. Postawił się na miejscu Helikaona i natychmiast znalazł odpowiedź. Dardanin mógł uniknąć wojny, tylko nie pozostawiając przy życiu nikogo, kto mógłby wskazać go jako najeźdźcę.

Zabije nas wszystkich! Ludzie Helikaona przetrząsną wyspę i wymordują wszystkich jej mieszkańców.

Habusas pobiegł w kierunku osady i częstokołu, a chłopcy za nim.

Dobiegając do pierwszych domów, wrzasnął ku najbliższym stojącym ludziom:

– Bierzcie broń! Jesteśmy atakowani!

Biegł do swojego domu, ostrzegając wszystkich napotkanych po drodze. Mężczyźni wychodzili z budynków o białych ścianach, pospiesznie dociągając rzemienie zbroi, i chwytali za miecze.

Jego żona, Worja, usłyszała zamieszanie i stanęła w progu.

– Przynieś mój hełm i topór! – zawołał. – Potem zabierz chłopców na wzgórze, do jaskiń! Ruszaj się!

Strach w jego głosie przeraził ją i znikła w głębi domu. Pobiegł za nią i wyjął ze skrzyni napierśnik. Włożył go przez głowę i zaczął zapinać. Mały Kletis stał w drzwiach, płacząc. Balios i Palikles stali za nim z przestraszonymi minami.

Żona Habusasa wróciła i podała mu hełm. Nałożył go i pospiesznie zawiązał pasek pod brodą.

– Idźcie z matką, chłopcy – powiedział, wając w dłoni bojowy topór.

– Będę walczył razem z tobą, ojcze – powiedział Balios.

– Nie dziś, chłopcze. Zostań z matką i braćmi. Idźcie na wzgórze.

Chciał przytulić ich wszystkich i powiedzieć, że ich kocha, ale nie było na to czasu. Przecisnąwszy się obok chłopców, pobiegł w kierunku palisady. Na Pitros było ponad dwustu mężczyzn zdolnych do walki, a otoczony częstokołem fort był dobrze zaopatrzony w łuki i strzały. Mogli w nim odeprzeć każdy atak! Zaraz jednak stracił animusz. Nie zatrzymają ośmiuset dobrze uzbrojonych ludzi.

Obejrawszy się, ujrzał gromadzących się na brzegu żołnierzy. Ich tarcze, hełmy, zbroje i groty włóczni lśniły w dogasającym słońcu. Sprawnie formowali szyk. Przeniósłszy wzrok na wzgórze nad osadą, zobaczył kobiety i dzieci kierujące się ku względnie bezpiecznym jaskiniom.

– Niech ci dranie tu przyjdą! – zawołał do zbierających się piratów.
– Będą musieli zeżreć własne flaki!

Wiedział, że to nieprawda, i po ich minach poznał, że oni także to wiedzą. W walce na morzu nie ustępowali nikomu. Podczas wypadów na ląd lekko uzbrojeni piraci mogli poruszać się szybko, uderzać niespodziewanie i szybko zniknąć z łupem. Na lądzie przeciwko zdyscyplinowanym oddziałom nie mieli szans. Habusas wiedział, że umrze. Nabrał tchu. Przynajmniej jego synowie przeżyją, gdyż jaskinie są głębokie, a Balios zna takie miejsca pod ziemią, gdzie żaden opancerzony żołnierz nie odważy się wczłogać.

– Panie! – zawołał jeden z jego ludzi, wskazując na uciekające kobiety i dzieci. Przed nimi zza wzgórza wyłonił się szereg zbrojnych, maszerują cych powoli z nastawionymi włóczniami. Kobiety i dzieci zawróciły do miasta, uciekając przed nadchodzącymi żołnierzami.

Habusasa ogarnęła rozpacz. Widocznie do zachodniego końca wyspy przybiły inne statki. Mieszkańcy zostaną zmasakrowani.

– Za palisadę! – krzyknął do zebranych wojowników.

Pognali co sił w nogach, skręcili w wąską ulicę i wypadli na równinę przed drewnianym fortem. Żołnierze nieprzyjaciela byli już niedaleko. Będzie mało czasu, żeby wprowadzić za częstokół wszystkich mężczyzn, a zdecydowanie za mało, żeby schroniły się tam kobiety.

Habusas dobiegł do fortu i zobaczył tłum swoich ludzi kłębiących się przed zamkniętą bramą i tłukących w nią pięściami.

– Co się dzieje, na Hadesa?! – krzyknął do ludzi stojących na parape tach. – Otwierać bramę! Szybko!

– A dlaczego mielibyśmy to zrobić? – powiedział ktoś zimnym głosem.

Habusas spojrział w górę – na twarz Helikaona. Złocisty nie miał na sobie zbroi i był odziany jak zwykły marynarz – w stary, znoszony chiton. Towarzyszący mu mężczyźni ubrani byli podobnie, lecz w dłoniach trzymali łuki ze strzałami na cięciwach.

Serce podeszło Habusasowi do gardła. Nie licząc świąt i zgromadzeń, fort zawsze był pusty. Helikaon najwidoczniej wylądował ze swoimi ludźmi wcześniej i po prostu niepostrzeżenie go zajął.

– To mykeńskie terytorium – rzekł, dobrze wiedząc, że traci czas.

Żołnierze maszerujący z plaży byli już blisko. Szli w zwartym szyku, z uniesionymi tarczami i nastawionymi włóczniami. Uciekające ze wzgórz kobiety z dziećmi zaczęły przybywać i przeciskać się do swoich mężów i kochanków. Balios stanął obok ojca, trzymając stary wyszczerbiony sztylet. Habusas z mocno bijącym sercem spojrział na syna. Zastanawiał się, jak bogowie mogą być tak okrutni.

– Rzućcie broń – rozkazał Helikaon.

Habusas wpadł w gniew.

– Żebyś mógł nas spalić, ty bękarcie? Na pewno nie! Naprzód, chłopcy! Zabić ich wszystkich!

Habusas rzucił się na nadchodzących żołnierzy, a jego ludzie za nim, z donośnym bojowym okrzykiem. Z palisady posypał się na nich grad strzał, a żołnierze skoczyli na nacierających. Walka była krótka i zaciekła. Lekko uzbrojeni Mykeńczycy nie mogli się mierzyć z

ciężkozbrojnymi żołnierzami. Habusas zabił dwóch Dardanów, zanim został pchnięty w udo. Gdy padał, jeden z napastników uderzył go tarczą w skroń.

Kiedy odzyskał przytomność, odkrył, że ręce ma związane na plecach i leży pod palisadą. Rana w udzie paliła żywym ogniem i krew przemoczyła mu spodnie. W jasnym świetle księżyca widział wszędzie wokół ciała towarzyszy, z którymi walczył ramię w ramię przez tyle lat. Ani jeden nie uszedł z życiem. Habusas z trudem ukląkł i wstał, po czym zataczając się, zaczął szukać swoich synów. Krzyknął, gdy zobaczył zwłoki Baliosa. Chłopiec został pchnięty włócznią w gardło i leżał na wznak.

– Och, mój synu! – powiedział Habusas ze łzami w oczach.

Nieco dalej ujrzał Helikaona rozmawiającego ze starym żołnierzem. Pamiętał go z napadu na Dardanos. To wódz... Pauzaniasz, właśnie. Stary zauważył go i wskazał Helikaonowi, który odwrócił się i zmierzył Habusasa złowrogim spojrzeniem.

– Pamiętam cię z Zatoki Niebieskiej Sowy – powiedział. – Byłeś z Kolanosem na urwisku. Stałeś za nim podczas bitwy na morzu. Ty jesteś Habusas.

– Zamordowałeś mojego syna. Był jeszcze dzieckiem.

Helikaon przez chwilę nie odzywał się i Habusas ujrzał nienawiść w jego oczach. Kiedy jednak przemówił, jego głos był zimny i beznamiętny – co czyniło go jeszcze bardziej przerażającym.

– Nie miałem czasu oblać go oliwą i zrzucić płonącego z urwiska. Może jednak masz jeszcze innych synów. Znajdę ich.

Te słowa smagneły Habusasa jak ognisty bicz.

– Nie rób im krzywdy, Helikaonie! Błagam cię!

– Czy ona błagała? – zapytał Helikaon nienaturalnie spokojnym tonem. – Czy królowa prosiła o życie swego syna?

– Proszę! Zrobię wszystko, co zechcesz! Moi synowie są całym moim życiem! – Habusas upadł na kolana. – Moje życie za ich życie, Helikaonie. Oni nic nie zrobili tobie ani twoim bliskim.

– Twoje życie już do mnie należy. – Helikaon wyjął miecz z pochwy i przyłożył go do gardła Habusasa. – Jeśli jednak powiesz mi, gdzie znajdę Kolanosa, może okażę łaskę twoim dzieciom.

– Odpłynął stąd trzy dni temu. Ma wrócić na wiosnę z pięćdziesięcioma statkami. Nie wiem, gdzie jest teraz. Przysięgam. Powiedziałbym ci, gdybym wiedział. Zapytaj mnie o coś innego. O cokolwiek!

– Dobrze. Czy to Kolanos podpalił mojego brata i zrzucił go z urwiska?

– Nie. On tylko wydał rozkaz.

– Kto spalił mojego brata?

Habusas podniósł się z klęczek.

– Jeśli ci to powiem, nie zabijesz mojej rodziny?

– Jeżeli uwierzę w to, co mi powiesz.

Habusas wyprostował się.

– To ja podpaliłem chłopca. Tak, i to ja zgwałciłem królową. Radowały mnie ich krzyki i chciałbym pożyć dłużej, żeby naszczać na

twoje prochy!

Helikaon stał nieruchomo i Habusas zobaczył, jak mięśnie jego prawego policzka drgają w nerwowym skurczu. Miał nadzieję, że rozwścieczy go tak, że Helikaon zabije go jednym szybkim pchnięciem w szyję. Niestety, Helikaon cofnął się i wepchnął miecz do pochwy.

– Teraz mnie spalisz, bękarcie? – zapytał Habusas.

– Nie. Nie spłoniesz.

Helikaon odwrócił się i skinał na dwóch żołnierzy. Zawlekli go do bramy fortu i przecięli więzy. Natychmiast uderzył jednego, zwalając go z nóg. Drugi rąbnął go drzewcem włóczni w skroń. Osłabiony utratą krwi Habusas zachwiał się. Następny cios pozbawił go przytomności i rozciągnął na ziemi.

Ocucił go ból rozchodzący się od przegubów i stóp, rwał w ramionach i pachwinach. Otworzył oczy i krzyknął. Ręce miał szeroko rozłożone i przybite do drewnianych wrót. Krew kapłała z ran i czuł, jak brązowe ćwieki ocierają o kości przegubów. Spróbował wyprostować nogi, żeby odciążyć ramiona. Poczł potworny ból i wrzasnął. Nogi miał nienaturalnie zgięte i uświadomił sobie, że stopy również przybito mu do bramy.

Zobaczył stojącego przed nim Helikaona. Wszyscy inni żołnierze odeszli.

– Widzisz statki? – zapytał Helikaon.

Habusas spojrział na niego i zobaczył, że Helikaon wskazuje na plażę. Galery najeźdźców leżały wyciągnięte na brzeg. Helikaon powtórzył pytanie.

– Widzę... je...

– Jutro o świcie wszystkie kobiety i dzieci z tej osady znajdą się na tych statkach. Są teraz niewolnikami. Jednak nie będę szukał twojej rodziny ani się na niej mścił. Będą żyli.

Z tymi słowami odszedł. Wiatr wzmógł się, lekko kołysząc otwartą bramą. Habusas jęknął, gdy ćwieki rozdarły mu ciało. Brama otworzyła się szerzej i zobaczył, że ciała jego ludzi zabrano. Zawleczono je do pobliskich domów i poprzybijano do drzwi lub ogrodzeń. Niektórzy zostali przygwożdżeni włóczniami do ścian, innych powieszono na sznurach zwisających z górnych okien.

Potem zobaczył ciało syna, leżące na ziemi, z rękami złożonymi na brzuchu i głową przechyloną w bok. W jasnym blasku księżycy Habusas dostrzegł błysk metalu w ustach chłopca. Ktoś umieścił w nich srebrny pierścień, opłatę dla Charona.

Mimo bólu Habusas był mu za to wdzięczny.

Złapał go skurcz. Mimo woli poruszył nienaturalnie wykręconymi nogami i przeszła go nowa fala bólu. Jego ciało bezwładnie zwisło na przybitych do bramy rękach. Habusas krzyknął. Usiłował zapomnieć o bólu. Zastanawiał się, jak długo będzie tak wisiał, zanim umrze.

Do północy? Do jutra? Kilka dni? Czy ścierwojady zaczną pożerać go żywcem? Czy będzie musiał patrzeć, jak dzikie psy ucztują na ciele jego syna?

Nagle coś poruszyło się na prawo od niego. Helikaon wracał przez plac, trzymając w dłoni miecz.

– Nie jestem Kolanosem – rzekł.
Jednym błyskawicznym pchnięciem wbił miecz w pierś i serce
Habusasa.
I ból ustał.

XXII. FRYGIJSKI ŁUK

1.

Jesienne miesiące miały koszmarnie wolno. Ponura, monotonna szarość nieba, przerywana tylko przez gwałtowne burze i ulewne deszcze, zgasła nawet ognisty temperament Andromachy. Starła się jakoś wypełniać sobie czas przyjemnościami, lecz kobiety w pałacu nie miały ich wiele. Nie mogły jeździć konno ani brać udziału w wieczornych rozrywkach w mieście. Nie było zabaw, podczas których mogłyby śpiewać i tańczyć. Co dzień coraz bardziej tęskniła za Terą oraz wolnością, jaką się tam cieszyła.

Na jakiś czas nudę rozproszyło przybycie nowej pokojówki, Trakijki Alezji, która na jakiś czas zastąpiła dotychczasową. Dziewczyna była chętna i posłuszna, lecz bliskość jej ciała w szerokim łożu tylko przypominała An-xxxdromasze, jak bardzo tęskni za Kaliope. Kiedy Alezja wróciła do swych poprzednich obowiązków, Andromacha wcale za nią nie tęskniła i nie próbowała uwieść jej następczyni.

Pod koniec roku kupiła na targu w podgrodziu frygijski łuk. Ta znakomita broń była tak twarda, że z początku sprawiała kłopoty nawet jej – wprawnej łuczniczce. Była zręcznie zrobiona z kilku warstw rogu i drewna, a wraz z nią Andromacha kupiła gruby, zrobiony z czarnej skóry ochraniacz przedramienia.

Wzięła łuk na strzelnicę na północ od miasta, gdzie wielu trojańskich łuczników doskonaliło swoje umiejętności. Był to jeden z rzadkich słonecznych dni i Andromacha, w sięgającym kolan białym chitonie i sandałach, świetnie się bawiła przez większość poranka. Trojańczycy z początku traktowali ją uprzejmie, ale protekcyjnie. Kiedy jednak zobaczyli, co potrafi, zebrali się wokół niej, dyskutując o zaletach jej łuku.

Następnego dnia Andromacha została wezwana przed oblicze Priama, do jego komnat. Król był rozgniewany i skarcił ją za pokazywanie się nisko urodzonym.

– Żadna Trojanka wysokiego rodu nie chodziłaby półnago między wieśniakami – powiedział.

– Jeszcze nie jestem Trojanka – przypomniała, daremnie próbując powstrzymać złość.

– I możesz nigdy nią nie zostać! Mógłbym odesłać cię w niesławie do domu i zażądać zwrotu posagu.

– Cóż to byłaby za tragedia – odpaliła.

Spodziewała się wybuchu gniewu. Zamiast tego król niespodziewanie parsknął śmiechem.

– Na bogów, kobieto, przypominasz mi Hekabe, pełną złości i żaru. Tak, jesteś do niej bardzo podobna. – Zobaczyła, jak przenosi wzrok na jej piersi i przesuwając nim po jej ciele. Nagle niebieski peplos wydał się jej cieniutki i przezroczysty. Priam zrobił głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze z płuc. – Nie możesz łamać trojańskich zwyczajów – ciągnął, z czerwoną twarzą, ale pojednawczo. – Kobiety z pałacu w publicznych

miejskach noszą długie suknie, nie pokazują się w chitonie po kolana. Nie strzelają z łuków. Ty jednak możesz strzelać ze swego. Zrobiłaś wrażenie na ludziach, a to dobrze. Członkowie rodziny panującej zawsze powinni robić wrażenie.

– To nie było trudne – zauważyła. – Łuki, w jakie ich wyposażyleś, są znacznie gorsze. Nie mają odpowiedniego zasięgu ani siły przebicia.

– W przeszłości dobrze nam służyły.

– Zdziwiłoby mnie, gdyby strzała z trojańskiego łuku zdołała przebić choćby skórzany napierśnik. A obecnie coraz więcej wojowników nosi lepsze zbroje.

Król przez chwilę siedział i milczał.

– Bardzo dobrze, Andromacho. Dziś po południu będziesz mi towarzyszyć w pałacowych ogrodach i zobaczymy, jak dobrze spisują się trojańskie łuki.

Wróciwszy do swojej komnaty z widokiem na północne wzgórze, zastała czekającą na nią Laodike. Ta ostatnio – a ściśle mówiąc od spotkania z Hekabe – nie była już tak wylewnie przyjacielska. Andromacha składała to na karb szoku, jakim był widok tak chorej i słabej matki. Jednak dziś była jeszcze smutniejsza. Zwykle obwieszona biżuterią, miała na sobie prosty, niczym nie zdobiony jasnozielony peplos do kostek. Jasne włosy, zazwyczaj z wplecionymi złotymi lub srebrnymi drucikami, teraz rozpuściła na ramiona. Dziwne, pomyślała Andromacha, ale bez kosztownych ozdób Laodike wyglądała atrakcyjniej, jakby piękne i błyszczące klejnoty tylko podkreślały pospolitość jej urody. Powitawszy przyjaciółkę pocałunkiem w policzek, powiedziała jej o wyzwaniu Priama.

– On chce cię zawstydzić – powiedziała cicho Laodike.

– Co masz na myśli?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Taki już jest. Lubi robić z ludzi głupców. Matka jest taka sama.

Dlatego są tak dobrze dobraną parą.

Andromacha usiadła przy niej i objęła ją.

– Co się stało, Laodike?

– Nic mi nie jest – odparła Laodike z wymuszonym uśmiechem. – Miałaś jakieś wieści od Helikaona?

To pytanie zaskoczyło Andromachę.

– Dlaczego miałabym mieć? – zapytała.

– Och, nie wiem. Zastanawiałam się, czy nie przysłał jakichś wieści, o których nie wiem. Nikt mi nic nie mówi.

– Nie. O ile mi wiadomo, nie było żadnych wiadomości z Dardanii.

Laodike trochę poprawił się humor.

– Mówią, że na placu przed świątynią zabił dwudziestu Mykeńczyków. Był niczym młody bóg. Tak słyszałam. Miał dwa miecze i pozabijał wszystkich nasłanych zabójców.

Andromacha też słyszała te najwidoczniej przesadzone opowieści o wyczynach Helikaona i z głębokim smutkiem patrzyła, jak *Ksantos* odpływa o świcie. Spojrzała na Laodike i nagle zrozumiała, że ta młoda kobieta jest zadurzona w Helikaonie. Zrobiło jej się jeszcze smutniej. Widziała, jak Helikaon powitał ją w pałacu Hekabe, i nie zauważyła, aby

okazywał jej jakieś szczególne względy. Owszem, prawil jej komplementy, ale nie było w tym żadnego uczucia. Nagle zrozumiała, dlaczego Laodike sądzi, że oni oboje mogą do siebie pisać. Helikaon nie krył się z tym, że pragnie Andromachy.

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że twój ojciec chce mnie zawstydzić? – spytała, próbując zmienić temat.

– Przez cały czas prowadzi takie gierki. Nie wiem dlaczego. Nie robi tego tylko z Kreuzą i Hektorem, ale wszystkich pozostałych wcześniej czy później to dotyka.

Andromacha roześmiała się.

– Nie zdoła mnie zawstydzić, każąc mi strzelać z łuku, Laodike. Zapewniam cię.

– Urządzi zawody – powiedziała Laodike. – Zobaczysz. Wystawi Diosa albo Agatona. To wspaniali łucznicy. A ojciec sprosi tylu ludzi, ilu tylko zmieści się w ogrodach, żeby zobaczyli, jak pokonuje cię jeden z jego synów. Zobaczysz – powtórzyła.

– Będą musieli być bardzo, bardzo dobrzy – powiedziała jej Andromacha. – A tłum wcale mnie nie peszy.

– Chciałabym być taka jak ty – powiedziała Laodike z westchnieniem. – Gdybym była... – Zawahała się i uśmiechnęła łagodnie. – No cóż, nie jestem, więc to nie ma znaczenia.

Andromacha wzięła ją za rękę.

– Posłuchaj – szepnęła. – Cokolwiek we mnie widzisz, w tobie to także jest. Jesteś dobrą kobietą i jestem dumna, że mam w tobie przyjaciółkę.

– Jestem dobrą kobietą – powtórzyła Laodike. – Jednak skończyłam już dwadzieścia trzy lata i nie mam męża. Wszystkie moje ładne siostry, oprócz Kreuzy, są już zamężne.

– Och, Laodike! Nie masz pojęcia, jakie jesteśmy podobne. Ja byłam naj mniej urodziwa z mojej rodziny. Nikt mnie nie chciał. Dlatego ojciec wysłał mnie na Terę. Dopiero kiedy umarła moja młodsza siostra, Priam zaakceptował mnie jako narzeczoną Hektora. Nie jesteś pospolita. Masz piękne oczy i czarujący uśmiech.

Laodike zarumieniała się. Potem spojrziała Andromasze w oczy.

– Pamiętam, jak Palesta przybyła do Troi. Lubiłam ją, ale była bardzo nieśmiała. Spodobała się ojcu, ale matka wcale jej nie polubiła. Powiedziała, że nie jest godna być żoną Hektora. Mówiła, że wybrano niewłaściwą siostrę. Rozumiesz, już wtedy o tobie wiedziała.

– Sama nie wiem. Biedna Palesta. Była słodką dziewczyną.

– Podoba ci się Helikaon? – zapytała Laodike.

Andromacha nie chciała o tym mówić i obawiała się, że prawda mogłaby zniszczyć jej przyjaźń z Laodike. Jednak nie chciała kłamać.

– Tak, podoba – odparła.

– A on jest tobą zauroczony. Widziałam.

– Mężczyźni zawsze wielbią to, czego nie mogą mieć. Mam poślubić Hektora, więc nie pozwólmy, by rozdzieliły nas myśli o mężczyznach. Jesteś moją przyjaciółką, Laodike. Kocham cię jak siostrę. Pójdiesz później ze mną do ogrodów? Dobrze byłoby mieć w pobliżu przyjazną duszę.

– Oczywiście. A potem muszę pójść do świątyni Asklepiosa. Matka potrzebuje więcej opiatów.

– Pójdę z tobą. Mam tam małego przyjaciela, który pomaga w świątyni. Nazywa się Ksander.

Było wczesne popołudnie, gdy obie kobiety zjawiły się w największym z pałacowych ogrodów. Tak jak przewidziała Laodike, było tam co najmniej sto osób. Andromacha poznała wielu z nich, lecz mimo to wielu imion nie pamiętała. Priam siedział na rzeźbionym złożonym tronie ustawionym na kamiennym podwyższeniu. Obok niego stała jego córka Kreuza, ciemnowłosa piękność, smukła i władcza. Miała zimne oczy i spoglądała na Andromachę z nie skrywaną wzdrganą. Wyglądający na łagodnego człowieka przygarbiony Polites również towarzyszył królowi, tak jak gruby Antifones i szczupły Dios. Andromacha ponownie zauważyła jego niezwykle podobieństwo do Helikaona. Był z nimi jeszcze jeden mężczyzna, wysoki i barczysty, o rudych włosach. Andromacha nie spotkała go wcześniej.

– To mój przybrany brat, Agaton – szepnęła Laodike. – Mówiłam ci, że to będą zawody.

Na drugim końcu ogrodu, w odległości około sześćdziesięciu kroków, Andromacha zobaczyła wózek na dużych kołach. Do jego wysokiego boku przymocowano skórzany napierśnik. Z przodu i z tyłu wózka były przywiązane długie sznury.

– Strzelałaś kiedyś do ruchomego celu? – zapytała Laodike.

– Nie.

– Dziś będziesz. Słudzy ciągną za te sznury, przesuwając wózek tam i z powrotem.

Priam podniósł się z tronu i rozmowy zamarły. Agaton i szczupły Dios wzięli łuki i podeszli do Andromachy. Laodike cofnęła się o kilka kroków.

– Dziś będziemy świadkami zawodów – rzekł donośnym głosem Priam. – Andromacha z Teb pod Plakos uważa, że trojański łuk to kiepska broń, i zamierza nam dowieść swoich niezrównanych umiejętności. Moi wodzowie, Agaton i Deifobos, dumnie zaprezentują nam łuczniczą sztukę Trojańczyków. A oto nagroda dla zwycięzcy.

Wyciągnął rękę i podeszła doń Kreuza. Podąła mu cudownej roboty hełm, inkrustowany srebrem i ozdobiony na czole wizerunkiem Apollina napinającego łuk.

Priam podniósł hełm w górę i oksydowany metal zabłysł w popołudniowym słońcu.

– Niech Pan Srebrnego Łuku obdarzy zwycięstwem najlepszego! – zawołał król.

Andromacha poczuła wzbierający gniew. To było trofeum wojownika, nagroda dla mężczyzny, a więc taki wybór był ledwie skrywaną zniewagą dla łuczniczki.

– Czy zaszczycisz nas, strzelając pierwsza, Andromacho? – zapytał Priam.

– Byłoby to niestosowne, królu Priamie – odparła słodko Andromacha. – Przecież, jak mi mówiono, kobieta powinna podążać za

mężczyzną.

– Zatem niech strzela Agaton – rzekł Priam, opadając na fotel.

Barczysty książę wystąpił naprzód, nakładając strzałę na cięciwę. Na jego rozkaz słudzy na końcu ogrodu chwycili za sznury i powoli przeciągnęli wózek w lewo. Potem ludzie po prawej zaczęli szybko ściągać go z powrotem po brukowanej alejce.

Agaton wypuścił strzałę, która trafiła i przebiła skórzany napierśnik. Tłum przyjął to owacjami. Potem wystąpił Dios. On również trafił w napierśnik. Obie strzały lekko przechyliły się w dół, co dowodziło, że nie wbiły się głęboko.

Andromacha wybrała strzałę z czarną brzechwą i zacisnęła palce na cięciwie. Obserwując strzelających przed nią, oszacowała czas, w jakim strzała dolatuje do celu, i szybkość wózka. Mimo to dobrze byłoby wypuścić kilka strzał na próbę. Uspokoila się i skupiła na łuku. Wózek pojawił się na wprost niej. Biorąc poprawkę, wypuściła strzałę. Czarnopióry pocisk wbił się głęboko w napierśnik.

Każdy łucznik wypuścił jeszcze sześć strzał. Ani jedna nie chybiła i napierśnik zaczął przypominać jeża. Zainteresowanie tłumu nieco osłabło i zarządzono krótką przerwę, podczas której słudzy zabrali zniszczony napierśnik i powymywali strzały.

Andromacha zerknęła na rywali. Obaj wyglądali na spiętych, jakby na coś czekali. Zauważyła, że Priam rozmawia z jakimś żołnierzem, który zaraz pobiegł gdzieś, precyzyjnie się przez tłum gości.

– Co się dzieje? – zapytała księcia Agatona.

– Teraz dopiero zaczną się prawdziwe zawody – odparł gniewnie. Nabrał tchu. – Chyba powinnaś się teraz wycofać, pani Andromacho.

– Dlaczego miałabym to zrobić?

– Ponieważ nie będziemy strzelać do tarcz. Obawiam się, że ojciec ma inne plany.

Gdy to mówił, z budynku na końcu ogrodu wyszli żołnierze. Prowadzili trzech związanych mężczyzn w skórzanych napierśnikach. Ustawiono ich przed wózkiem. Następnie żołnierze, z włóczniami wymierzonymi w stronę więźniów, ustawili się w dwuszeręgu przed tłumem gości. Król wstał.

– Ci nędznicy – powiedział – to spiskowcy. Uwięziono ich wczoraj. Uparci buntownicy, którzy nie chcieli wyjawić imion swych kompanów.

Andromacha spoglądała na więźniów. Byli w oplakany stan, mieli zakrwawione twarze i podbite oczy. Domyśliwszy się, co zaraz nastąpi, odeszła na bok. Priam zauważył to.

– Nie podoba ci się to, dziewczyno? No cóż, to męskie zajęcie. – Odwrócił się z powrotem do tłumu. – Ci zdrajcy zasługują na śmierć, lecz ja jestem litościwy. Przeciąć im więzy. – Wziąwszy włócznię od stojącego obok gwardzisty, rzucił ją tak, że wbiła się w trawę sześćdziesiąt kroków od więźniów. – Jeśli któryś z nich dobiegnie do tej włóczni, zostanie jedynie wygnany. Puścić pierwszego! Niech w moim imieniu wystąpi Deifobos.

Jeden z żołnierzy wyciągnął sztylet z pochwy przy pasie i podszedł do pierwszego więźnia, chudego mężczyzny w średnim wieku. Przeciął

ostrzem sznury krępujące mu ręce. Mężczyzna stał nieruchomo, złowrogo spoglądając na siedzącego w głębi ogrodu króla. Potem nabrał tchu i zaczął biec zygzakiem. Dios podniósł łuk. Więzień przyspieszył. Strzała trafiła go w szyję i wyszła przez kark. Zachwiał się i runął. Zaczął się dławić i poczerwieniał. Andromacha odwróciła wzrok, ale nie mogła nie słyszeć groteskowych odgłosów, jakie wydawał umierający, spazmatycznie łapiąc powietrze. W końcu zapadła cisza.

– Teraz drugi! – zawołał Priam.

Uwolniono mocno zbudowanego mężczyznę z gęstą brodą. On również zmierzył króla gniewnym wzrokiem. Kiedy przecięto mu więzy, nie pobiegł, lecz pomaszerował przez ogród. Księżę Agaton wycelował. Nagle brodacz uskoczył w prawo i rzucił się biegiem ku włóczni. Agaton wypuścił strzałę. Trafiła biegnącego w pierś, ale nie przebiła napierśnika i więzień nie zwolnił kroku. Teraz strzelił Dios. Jego strzała również trafiła w cel, ale brodacz dobiegł do włóczni i chwyciwszy ją, rzucił się na Priama. Ten manewr zaskoczył wszystkich. Jeden z gwardzistów zastąpił mu drogę, lecz więzień uderzył go barkiem i obalił na ziemię.

W chwili, gdy dopadał króla, czarnopióra strzała trafiła go w plecy. Wbiła się głęboko i przeszła serce. Przez moment stał nieruchomo, a potem runął, wypuszczając włócznię, która z brzękiem upadła na kamienie.

Andromacha opuściła frygijski łuk, patrząc na człowieka, którego zabiła. Agaton podszedł do niej.

– Wspaniały strzał. Uratowałaś króla.

Priam przestąpił przez ciało.

– Teraz – krzyknął – wszyscy widzicie, dlaczego ta kobieta została wybrana na oblubienicę mojego Hektora! Wznieście okrzyk na cześć Andromachy!

Tłum posłusznie zaczął wiwatować. Po chwili król dał znak żołnierzom stojącym na końcu ogrodu, a ci odprowadzili ostatniego więźnia.

Miesiąc później Andromacha dowiedziała się, że Priam kazał dostarczyć swoim łucznikom tysiąc frygijskich łuków.

2.

Dopiero późnym popołudniem Andromacha zdołała wymknąć się z ogrodu. W wyniku wydarzeń tego dnia jej pozycja na dworze nagle znacznie wzrosła, więc otoczyli ją życzliwi i pochlebcy. W końcu udała, że jest zmęczona, i przemknęła się do Laodike czekającej na nią w swoich pokojach. Przyjaciółka podbiegła do niej i uściskała.

– Byłaś wspaniała, Andromacho! – zawołała. – Jestem z ciebie dumna. Twoje imię jest na ustach wszystkich.

Andromacha pocałowała ją w policzek, po czym wymknęła się z uścisku.

– Kim był człowiek, którego zabiłam?

– Kapitanem Orłów. Wszyscy uważali go za bohatera. W jaki sposób człowiek staje się zdrajcą, jak sądzisz?

– Nie wiem. Jednak był dzielny. Mógł po prostu podnieść włócznię i przyjąć karę banicji. Zamiast tego wybrał pewną śmierć, bo nawet

gdyby zabił Priama, gwardziści otoczyliby go i usiekli. Nie mówmy już o tym. Spacer do świątyni to właśnie to, czego mi trzeba.

Dzień był nadal słoneczny, choć w oddali widać było deszczowe chmury, gdy obie kobiety wyszły z pałacu.

– Myślę, że Agaton był pod wrażeniem – powiedziała Laodike. – Nie mógł oderwać od ciebie oczu.

Andromacha roześmiała się.

– Jego widok też robi wrażenie. Dlaczego do tej pory go nie widywałam?

– Spędza większość czasu na wschód od miasta. Dowodzi trackimi najemnikami i jest niemal równie dobrym dowódcą jak Hektor. Są sobie bardzo bliscy.

– Czy są podobni do siebie?

Laodike zachichotała.

– Pytasz, czy Hektor jest przystojny?

– Tak.

– Jak młody bóg. Ma złociste włosy, niebieskie oczy i uśmiech, którym zdobywa serca wszystkich.

– I jest najstarszym z synów Priama?

Laodike znów zaśmiała się.

– Tak i nie. Jest najstarszym z synów m a t k i, a więc prawowitym dziedzicem. Jednak ojciec miał dwadzieścia cztery lata, kiedy poślubił matkę. I miał innych synów ze swoimi kochankami. Najstarszym był Troilus. Teraz miałby prawie czterdzieści lat.

– Nie żyje?

– Ojciec w ubiegłym roku skazał go na banicję. Umarł w Milecie. Niektórzy uważają, że został otruty. Ja też tak sądzę.

– To bez sensu – powiedziała Andromacha. – Jeśli Priam chciał jego śmierci, to dlaczego nie zabił go w Troi?

Laodike przystanęła i odwróciła się do niej.

– Powinnaś zrozumieć, że zanim matka zachorowała, Troja miała dwoje władców. Matka nienawidziła Troilusa. Myślę, że nienawidzi wszystkich synów ojca, których nie urodziła. Kiedy Troilus uknuł spisek, by zrzucić ojca z tronu, uważała, że powinien zostać stracony. Ojciec odmówił. – Laodike wzruszyła ramionami. – I tak umarł.

– Hekabe kazała go otruć?

– Nie wiem, Andromacho. Może umarł śmiercią naturalną. Jednak zdziwiłaby cię liczba ludzi, którzy umarli młodo, naraziwszy się mojej matce.

– Zatem cieszę się, że jej się spodobałam. Ile lat ma Hektor?

– Prawie trzydzieści.

– Dlaczego nigdy się nie ożenił?

Laodike odwróciła głowę.

– Och, zapewne z powodu wojen i bitew. Powinnaś go o to zapytać, kiedy się tu zjawi. Będą wielkie parady i uroczystości dla uczczenia jego zwycięstw.

Andromacha wiedziała, że coś przed nią ukrywają, ale postanowiła nie nalegać. Zamiast tego powiedziała:

– Rzeczywiście musi być wielkim wojownikiem, jeśli mówi się o

jego zwycięstwach, zanim jeszcze doszło do bitew.

– Och, Hektor nigdy nie przegrywa – odparła Laodike. – Trojańska konnica jest niezwyciężona.

Andromacha uważała takie stwierdzenie za naiwność. Przypadkowo wystrzelona strzała, ciśnięta włócznia lub silny cios mogą zakończyć życie każdego człowieka. Jednak nie próbowała tego tłumaczyć i obie poszły przez rynek, przystając czasem, by obejrzeć wystawiane towary. W końcu dotarły do domu uzdrowicieli.

Usiadły w ogrodzie na tyłach i Laodike posłała służbę na poszukiwanie uzdrowiciela Machaona. Inny sługa, mężczyzna w podeszłym wieku, przyniósł im puchary z sokiem wyciśniętym z różnych owoców. Andromacha nigdy nie piła czegoś tak cudownie słodkiego. Napój miał kolor zachodzącego słońca.

– Z czego on jest? – spytała.

– Z owoców z drzew Egiptu oraz Fenicji. Mają różne kształty i kolory. Jedne są złociste, inne żółte lub zielone. Niektóre są łagodne, a inne tak piekące, że oczy łzawią. Jednak kapłani dodają do soku miodu. To bardzo orzeźwiający napój.

– W Troi jest tyle nowych rzeczy – zauważyła Andromacha. – Nigdy nie widziałam tylu kolorów. Suknie kobiet, malowidła na ścianach. – Roześmiała się. – Nawet napoje mają rozmaite barwy.

– Ojciec twierdzi, że handel powoduje rozwój cywilizacji. Narody i ludzie uczą się od siebie i doskonalą swoje umiejętności. Mamy w Troi egipskich farbiarzy. Zaczęli robić różne próby z barwnikami sprowadzanymi z Frygii i Babilonu. Otrzymali wiele cudownych barw. Jednak nie chodzi tylko o szaty. Hektor sprowadził konie z Tesalii. Wielkie zwierzęta. Wysokie na szesnaście dłoni. Pokryły nasze kłaczki, a one dały nam wspaniałe rumaki bojowe. Do Troi przybywają ludzie różnych zawodów i umiejętności. Ojciec mówi, że pewnego dnia będzie nas podziwiał cały świat.

Andromacha słuchała, jak Laodike mówi o Priamie i jego marzeniach. Było oczywiste, że podziwiał ojca, i równie jasne, że on nie ma dla niej czasu. Laodike umilkła.

– Chyba cię zanudzam – powiedziała. – Przepraszam.

– Gdzież tam. To fascynujące.

– Naprawdę? Nie mówisz tego tylko z grzeczności?

– A dlaczego miałabym myśleć inaczej?

Andromacha objęła Laodike ramieniem i cmoknęła w policzek.

Do ogrodu wszedł kapłan i uzdrowiciel Machaon. Wygląda na okropnie zmęczonego, pomyślała Andromacha. Twarz miał bladą, a na czole pot. Chociaż młody, już zaczynał łysieć i lekko się garbił.

– Pozdrawiam cię, córko króla – rzekł. – Zawsze miło cię widzieć. I ciebie, Andromacho z Teb.

– Jak się miewa Ksander? – spytała Andromacha.

Miody uzdrowiciel uśmiechnął się.

– To dobry chłopiec i bardzo wrażliwy. Kazałem mu zajmować się umierającymi. Ma wielki dar podnoszenia ich na duchu. Jestem rad, że u nas został. – Odwrócił się do Laodike i podał jej niewielką, zawiniętą w płótno paczuszkę. – Te powinny wystarczyć na następny tydzień.

Jednak należy pamiętać, że wkrótce nawet tak silne opiaty nie zdołają uśmierzyć bólu.

– Matka mówi, że czuje się trochę lepiej – powiedziała Laodike. – Może wyzdrowieje.

Uzdrowiciel pokręcił głową.

– Ona nie może wyzdrowieć. Tylko siła woli i odważny duch utrzymują ją w krainie żywych. W tej paczuszce jest mała buteleczka, zapieczętowana zielonym woskiem. Kiedy ból stanie się nie do zniesienia – a tak będzie – powinnaś otworzyć fiolkę i zmieszać jej zawartość z winem. Potem podać matce do wypicia.

– I to uśmierzy ból?

Zmarszczył brwi.

– Tak, Laodike. To uśmierzy ból. Trwale.

– Czemu więc nie podać jej tego od razu? Ona bardzo cierpi.

– Przepraszam, że nie wyraziłem się jasno. Ten środek ma pomóc twojej matce w ostatnich chwilach życia. Kiedy go zażyje, zapadnie w głęboki sen i w spokoju odejdzie na tamten świat.

– Chcesz powiedzieć, że to trucizna?

– Właśnie. W ostatnich dniach życia twoja matka będzie straszliwie cierpieć. Ból będzie nie do zniesienia. Rozumiesz? Pozostanie jej już tylko kilka godzin życia. Sądzę, że będzie lepiej, jeśli uwolnisz ją od cierpień. Jednak wybór należy do ciebie.

– Nie mogłabym otruć matki – powiedziała Laodike.

– Oczywiście, że nie – powiedziała Andromacha. – Jednakże możesz powtórzyć jej to, co powiedział ci zacny Machaon. I możesz dać jej tę buteleczkę. Niech sama zdecyduje.

– Dziękuję ci, pani Andromacho – rzekł Machaon. – Tak, oczywiście, to będzie właściwe. – Spojrzał na nią, wyraźnie chcąc coś dodać.

– Jeszcze coś? – spytała.

– Rozumiem, że podróżowałaś z mykeńskim wojownikiem imieniem Argurios.

– Tak – odparła. – To twardy i nieprzyjemny człowiek.

– Ach! Zatem nie będę cię niepokoił problemem, jaki z nim mam. Myślałem, że może... jesteście przyjaciółmi.

– Jak to możliwe – zapytała – że lekarz ma problemy z wędrownym wojownikiem?

– Nie słyszałaś? Napadło go kilku Mykeńczyków. Został ciężko ranny. Wciąż jest z nim źle, może umrzeć. Jednak nie mogę go zmusić, żeby odpoczywał, pani. Uparcie stara się zapracować na swoje utrzymanie i dach nad głową. Wyjaśniłem mu już, że wszystkie koszty pokrywa pan Helikaon, ale to tylko go złości. Rąbie drewno i nosi wodę. Ima się wszelkich żmudnych zajęć, do których mamy służbę. Skutkiem tych i innych niepotrzebnych wysiłków kilkakrotnie porozrywał szwy. Próbowałem mu wyjaśnić, że jego ciało zostało poważnie uszkodzone. Nie może prawidłowo oddychać i męczy go byle wysiłek. Jednak on mnie nie słucha. Obawiam się, że wkrótce wyzionie ducha, a wtedy pan Helikaon będzie mnie o to winił.

– Porozmawiamy z nim, Laodike i ja – obiecała Andromacha. –

Gdzie on jest?

– Widziałem go przed chwilą za Domem Ziemi. Próbuje naprawić stary mur. Niepotrzebnie. Ten mur niczemu już nie służy. Jednak Argurios znosi tam wielkie kamienie i męczy się.

Machaon wyjaśnił im, gdzie znajdują Arguriosa, i obie kobiety tam poszły. Laodike nie była uszczęśliwiona.

– Nie lubię Mykeńczyków – powiedziała. – Nie obchodzi mnie, czy on umrze.

– On pomógł Helikaonowi w Zatoce Niebieskiej Sowy – powiedziała Andromacha. – Zabił mykeńskiego zabójcę. Może dlatego został teraz napadnięty.

– Pewnie miał swoje nieprzyjemne powody, żeby to zrobić – powiedziała Laodike. – Jak wszyscy Mykeńczycy.

XXIII. RANIONY LEW

1.

Argurios ledwie oddychał. Powietrze nie dochodziło mu do płuc, jakby bogowie umieścili ciężką skrzynię na jego piersi. Białe plamki tańczyły mu przed oczami i był bliski omdlenia. Chwiejnie przeszedł kilka kroków, czując ból wszystkich mięśni od dźwiganego kamienia. Nawet nogi trzęsły mu się i bolały, szczególnie łydki. Ponuro dowlókl się do szczeliny w starym murze i wepchnął w nią głaz. Świat zakołysał mu się w oczach i Argurios musiał usiąść. Spojrzał na swoje drżące dłonie.

Nie był przygotowany na taką okropną słabość. Widział, jak jego przyjaciele ginęli w bitwach lub umierali na nieuleczalne choroby. On jednak zawsze był silny. Mógł biec wiele stadiów w pełnym uzbrojeniu, a potem walczyć. Jego wytrzymałość była legendarna. A teraz z trudem przenosił kilka nędznych kamieni, by naprawić mur.

Pot zalał mu oczy, lecz Argurios był zbyt zmęczony, żeby go otrzeć.

Spojrzał na drugi koniec starej zagrody dla koni i zobaczył dwóch mężczyzn siedzących w cieniu. Obaj byli uzbrojeni w miecze i sztylety. W ciągu minionych tygodni kilkakrotnie próbował z nimi porozmawiać, lecz zawsze go unikali, a on nie miał siły, żeby za nimi gonić. Z początku myślał, że to następni zabójcy, zamierzający go zabić i zażądać nagrody od Erekosy. Ten chłopiec... Ksander, powiedział mu, żeby się nimi nie przejmował.

– Kim więc są?

Ksander stropił się.

– Nie powinienem był tego mówić.

– Jednak powiedziałaś. Teraz wyjaśnij resztę.

– Mają cię chronić, panie.

I tak Argurios dowiedział się, że to ludzie wynajęci przez Helikaona. To było niepokojące odkrycie.

– Mówiłeś mi... że on jest rad z tego, że umieram – przypomniał Argurios.

Chłopiec miał speszoną minę.

– Kazał mi tak powiedzieć. Myślał, że dzięki temu zaczniesz walczyć z chorobą.

Argurios zaklął pod nosem. Świat oszalał. Przyjaciele i rodacy pragnęli jego śmierci, a wrogowie najmowali ludzi, żeby utrzymać go przy życiu. Gdzieś na Olimpie bogowie zaśmiewali się z tego groteskowego żartu.

Gdy mijały tygodnie, a jego stan wcale się nie poprawiał, Argurios zaczął żałować, że to nie mykeńscy skrytobójcy. Przynajmniej zakończyłby życie z bronią w ręku.

Ktoś zasłonił słońce i Argurios podniósł głowę. Patrząc pod słońce, ujrzał dwie sylwetki stojących przed nim kobiet.

– Czego chcecie? – zapytał szorstko, biorąc je za kapłanki przychodzą ce go karcić.

– Miło byłoby usłyszeć uprzejme powitanie – odparła

Andromacha.

Argurios z trudem dźwignął się z ziemi.

– Słońce... świeciło mi w oczy – wyjaśnił, łapiąc oddech. – Nie... poznałem cię.

Na jej twarzy malowało się zaskoczenie. Argurios bardzo schudł, oczy miał zapadnięte i podkrążone, a ręce i nogi cienkie i słabe.

– Usiądźmy wszyscy – powiedziała Andromacha. – To moja przyjaciółka, królewska córka, Laodike.

Argurios zamrugał i spojrzał na Laodike. Była wysoka, miała długie jasne włosy, a w oczach pogardę. Odwróciwszy się z powrotem do Andromachy, zapytał:

– Po co... tu przyszedłeś?

– Mykeńcy są grubiańscy – rzekła Laodike. – I źle wychowani. Chodźmy, Andromacho. Jest za gorąco, żeby tu tak stać.

– Tak, wejdź do środka – powiedziała jej Andromacha. – Ja posiedzę jeszcze chwilę z tym wojownikiem.

Laodike skinęła głową.

– Poczekam na ciebie pod tamtymi drzewami – odrzekła i odeszła, nie odezawszy się słowem do Arguriosa.

– Powinnaś... iść z nią – rzekł Mykeńczyk. – Nie mamy... o czym... mówić.

– Lepiej usiądź, zanim upadniesz – rozkazała Andromacha, siadając na murze.

Argurios osunął się obok niej, zaskoczony tym, że słucha rozkazów kobiety. Zawstydzził się. Nawet w tak drobnych sprawach przestał być mężczyzną.

– Wiem, czego ci trzeba – powiedziała.

– Czego mi trzeba?

– Żebyś wrócił do sił. Kiedy byłem młodsza, mój ojciec brał udział w bitwie. Koń pod nim padł i przygniótł go. Potem ojciec – tak jak ty – ledwie oddychał. Powłóczył nogami jak starzec. Tak było przez kilka miesięcy. Aż pewnego dnia usłyszeliśmy o wędrownym lekarzu. Leczył ludzi w małych wioskach, podążając do Egiptu. Był Asyryjczykiem. Sprowadziliśmy go do ojca.

– I... uzdrowił go?

– Nie. Powiedział mu, jak ma sam się uzdrowić.

Argurios otarł pot z czoła i spojrzał na młodą kobietę. Mgła zasnuwała mu oczy, rwał się oddech. Jednak poczuł przyływ nadziei.

– Powiedz – zażądał.

– Pokażę ci to, Arguriosie. Jutro rano, niezależnie od pogody, przyślę po ciebie powóz. Zawiezie cię na nadmorskie urwisko. Zabierz ze sobą Ksandra, bo znowu chciałabym go zobaczyć. A teraz zostawię cię, żebyś skończył swoją pracę.

Wstała.

– Poczekaj! – rzekł Argurios, z trudem podnosząc się z murka. – Zaprowadź mnie... do córki króla.

Szła powoli razem z nim. Dwukrotnie zachwiał się i musiała go podtrzymać. Miał ochotę odtrącić jej ramię, ale tylko jej siła utrzymywała go na nogach. Nie był to daleki spacer, ale zanim dotarli w

cień drzew, Argurios był zupełnie wyczerpany.

Laodike siedziała na ławce. Wojownik nabrał tchu.

– Nie wszyscy... Mykeńczycy... są źle wychowani. Prze... praszam za mój... brak manier. Czuję się... nieswojo w obecności... kobiet. Szczególnie... pięknych kobiet.

Spodziewał się ostrej odpowiedzi, lecz Laodike złagodniała. Podniosła się z ławki i stanęła przed nim.

– Przepraszam przyjęte – powiedziała. – Ja również przepraszam za szorstkie słowa. Jesteś ciężko ranny i powinnam wiedzieć, że cierpisz.

Arguriosowi nic więcej nie przychodziło do głowy. Milczenie przedłużało się i stawało niezręczne. Wtedy przemówiła Andromacha:

– Zaprosiłam Arguriosa, żeby towarzyszył nam jutro. To pomoże mu wrócić do zdrowia.

Laodike roześmiała się.

– Czy ty nie śpisz po nocach, obmyślając, czym by tu zirytować mojego ojca? – zapytała.

2.

Ksander lubił swoją pracę w Domu Węży. Czuł się tam potrzebny. Ludzie wyglądali na zadowolonych z jego obecności i w miarę jak płynęły tygodnie, wiele się nauczył o ziołach i lekach, leczeniu i diagnozowaniu. Okłady z wilgotnych ręczników zmniejszały gorączkę, sproszkowana kora pewnych drzew uśmierzała ból. Jatrzące się wrzody można było wyleczyć okładami z wina i miodu. Chcąc dowiedzieć się więcej, chodził za Machaonem i patrzył, jak nastawia on połamane kości lub przekłuwa cysty i czyraki.

Jednak pomimo entuzjazmu do wszystkiego co związane z medycyną, z przyjemnością wyszedł tego dnia pod gołe niebo. Jechali powozem z Arguriosem. Chmury na niebie zapowiadały deszcz, ale przedzierało się przez nie słońce, a świeże powietrze niesło zapach morza.

Zerknął na Arguriosa. Mykeńczyk sprawiał wrażenie ciężko chorego. Twarz miał ściągniętą i tak wychudłą, że wyglądał jak starzec. Ksander rano pomógł mu się ogolić i przyciął czarną brodę. Uczesał mu długie włosy, dostrzegając więcej siwych nitek na skroniach. Ksander z trudem przypomniał sobie twardego jak żelazo wojownika, który uratował go na *Ksantosie*.

W ciągu tych kilku miesięcy, które minęły od napadu, Argurios bardzo wolno wracał do zdrowia. Machaon powiedział Ksandrowi, że jedno pchnięcie przebiło płuco Arguriosa, a drugie przeszło niebezpiecznie blisko serca. Rany spowodowały obfity krwotok wewnętrzny.

– Ale wydobrzeje? – zapytał chłopiec.

– Może nigdy nie odzyskać pełni sił. Takie głębokie rany często powodują powikłania.

Ksander rozejrzał się. Powóz przejeżdżał po szerokim moście nad Skamandrem. Chłopiec zastanawiał się, czy jada do tego białego pałacu, który widział na szczycie wzgórza na południowym zachodzie. Mówiono, że królowa mieszka z kilkoma córkami w letnim pałacu.

Powóz podskoczył na wyboju. Argurios skrzywił się.

– Wszystko w porządku? – spytał Ksander.

Argurios skinął głową. Bardzo rzadko się odzywał, ale co wieczór, gdy odwiedzał go Ksander, w milczeniu słuchał, jak chłopiec opowiada o całym dniu pracy z chorymi, ziołach i swoich odkryciach. Z początku Ksander myślał, że go zanudza.

– Za dużo mówię, Arguriosie? – zapytał go pewnego wieczoru. – Dziadek mówi, że za dużo. Mam cię zostawić w spokoju?

Argurios posłał mu jeden ze swych rzadkich uśmiechów.

– Mów dalej, chłopcze. Powiem ci... kiedy się... znudzę.

Powóz zjechał z drogi i skręcił w węższą dróżkę wiodącą ku urwisku. U jej wylotu, w cieniu karłowatego drzewa, siedzieli dwaj gwardziści. Wstali na widok nadjeżdżającego powozu. Ich srebrzone brązowe zbroje błyszczały w słońcu.

Woźnica, garbaty mężczyzna z gęstą siwą brodą, oznajmił:

– Goście pani Andromachy.

Jeden z żołnierzy, wysoki i barczysty młodzieniec w hełmie zwieńczonym czubem z końskiego włosia, podszedł do powozu.

– Ty na pewno jesteś Ksander – rzekł.

– Tak.

Młody żołnierz minął chłopca i bacznie przyjrzał się Arguriosowi. Zmarszczył brwi.

– Na bogów, człowieku, wyglądasz, jakby niewiele życia ci zostało. Będziesz potrzebował pomocy, żeby dojść na brzeg?

– Nie.

Argurios podniósł się z siedzenia i zszedł z wózka.

– Nie chciałem cię obrazić, wojowniku – rzekł żołnierz. – Sam dwa lata temu byłem ranny i moi towarzysze musieli mnie nieść.

Argurios spojrzał na niego.

– Gdzie była ta... bitwa?

– W Tracji. Dostałem pchnięcie włócznią w pierś. Grot przebił napierśnik i złamał mi kilka żeber.

– Twardzi przeciwnicy... ci Trakowie.

– To prawda. Nieustępliwi. Mamy ich tu teraz spory oddział. – Mężczyzna zachichotał. – Lepiej mieć ich przy sobie niż przeciwko.

Argurios poszedł dalej. Ksander za nim. Droga była stroma, lecz dość szeroka. Mimo to, gdyby Argurios stracił równowagę, spadłby i roztrzaskałby się na skałach na dole. Młody żołnierz szedł obok niego.

– Uważałbym za zaszczyt, Arguriosie, gdybyś pozwolił mi towarzyszyć ci w drodze na brzeg.

Argurios wyprostował się, słysząc swoje imię.

– Słyszałeś... o mnie?

– Wszyscy żołnierze o tobie słyszeli, człowieku. Kiedy byłem chłopcem, opowiadano mi o obronie partyjskiego mostu. Mówi się, że bronieś go cały dzień.

– Nie aż tak długo... – rzekł Argurios. – Chociaż... na bogów... wydawało się, że minął cały dzień. – Wziął się w garść i spojrzał na żołnierza. – Chodźmy więc.

Ksander poszedł za dwoma mężczyznami, którzy powoli schodzili

na brzeg. Widział, że zebrała się tam grupka ludzi, a kilku mężczyzn pływało w zatoce. Chłopiec zastanawiał się, czego szukają. Może ostryg, pomyślał. Jednak miał wrażenie, że pływają bez celu. Nie nurkowali i nie podpływali do brzegu. Inni brodzili w wodzie i Ksander usłyszał ich śmiech.

U podnóża urwiska rozstawiono pięć żółtych baldachimów, a obok nich stoły z jedzeniem i napitkami. Daszki były bardzo jasne – niemal równie złociste jak słońce. Ksander przypomniał sobie, jak matka barwiła materiały na żółto, używając łupin cebuli albo szafranu. Jednak tamte tkaniny nie miały takiego połysku. I szybko blakły.

Idący przodem Argurios potknął się. Trojański żołnierz wziął go pod rękę i podtrzymał. Argurios nie wyrwał mu się, wbrew oczekiwaniom Ksandra. Kiedy dotarli na brzeg, Trojańczyk podziękował Arguriosowi za towarzystwo. Mykeńczyk zapytał ponuro:

– Jak masz na imię, żołnierzu?

– Polidoros – odparł pytany.

– Zapamiętam... to imię.

Ksander rozejrzał się. Zobaczył, jak Andromacha opuszcza grupkę kobiet i idzie ku niemu po piasku. Miała na sobie krótki jasnozielony chiton, a rozpuszczone rude włosy opadały jej na ramiona. Ksander pomyślał, że jest piękna. Uśmiechnęła się do niego, a on się zaczerwienił.

– Witaj na królewskiej plaży, Ksandrze.

– Czego szukają ci ludzie? – zapytał, wskazując pływaków.

– Niczego. Pływają dla przyjemności. A ty umiesz pływać?

– Dziadek mnie nauczył. Powiedział, że marynarz powinien umieć utrzymać się na wodzie.

– No cóż, dzisiaj popływasz. – Zwróciła się do Arguriosa. – Ty także, wojowniku.

– Dlaczego miałbym... to robić? – zapytał. – To nie ma sensu.

– Może ma większy sens niż naprawianie muru zagrody, która już nie jest zagrodą – zauważyła. – Chodź i usiądź na chwilę, to opowiem ci o asyryjskim lekarzu.

Zaprowadziła ich pod jeden z baldachimów. Argurios oddychał z wysiłkiem i z wyraźną ulgą przyjął jej zaproszenie.

– Mój ojciec nie mógł normalnie oddychać – powiedziała Andromacha. – Lekarz kazał mu codziennie pływać. A ponadto nauczył go inaczej oddychać.

– Na ile sposobów... człowiek może oddychać?

– Pokażę ci. Jednak najpierw popływaj trochę z Ksandrem. Powoli i ostrożnie. Nie przemęczaj się.

– To głupota. Nie powinienem był... tu przychodzić.

– Jednak przyszedłeś, wojowniku – odrzekła Andromacha. – I jeśli chcesz wrócić do sił, zrobisz to, co ci powiem.

Ksander spodziewał się, że Argurios wybuchnie gniewem. Tak się jednak nie stało. Spojrzał w jej zielone oczy.

– Muszę... odzyskać siły – rzekł w końcu.

Z trudem wstał i próbował zdjąć z siebie samodziałowy chiton. Ksander pomógł mu przy tym i rozwiązał Mykeńczykowi sandały. Nagie

ciało Arguriosa było blade i wychudłe i chłopiec ujrzał wiele starych szram na ramionach, barkach, nogach i piersi. Świeże rany były krwistoczerwone i wyglądały odrażająco. Z rozcięcia na boku sączyły się ropa i krew, a trzy pozostałe były zasklepione grubymi strupami. Kiedy jednak odwrócił się, aby pójść w kierunku morza, Ksander zauważył, że na plecach nie ma żadnych blizn.

– Idź z nim, Ksandrze – powiedziała Andromacha. – Może potrzebować twojej pomocy.

Ksander zdjął chiton i sandały, po czym dogonił Arguriosa, gdy ten wchodził do błękitnej wody.

Pływali razem w milczeniu. Argurios z trudem łapał oddech. Po chwili podpłynęła do nich Andromacha. Nadal miała na sobie jasnozielony chiton, lecz tak oblepił on jej ciało, że równie dobrze mogłaby być naga, pomyślał Ksander, starając się nie patrzeć na jej piersi i sterczące sutki. Podpłynęła do Arguriosa.

– Wyciągnij się na wodzie – powiedziała – a ja cię podtrzymam.

Posłuchał.

– A teraz chcę, żebyś zamknął oczy i rozluźnił mięśnie. Potem zacznij powoli oddychać. Chcę, żebyś wciągał oddech, licząc do czterech, i trzymał go w płucach, licząc do sześciu. Potem bardzo powoli masz wypuszczać po wietrze, licząc do dziesięciu. Cztery, sześć i dziesięć.

Ksander obserwował ich przez chwilę, lecz zgłodniawszy, podpłynął do brzegu, wyszedł z wody i ubrał się. Potem poszedł do stołów z jadłem. Stały na nich misy z figami, jęczmiennym chlebem i solonymi ośmiornicami, pokrojonym mięsiwem, serami i pieczywem. W jednych dzbanach była woda, a w innych wino. Wysoki i zgarbiony sługa stał, patrząc na niego.

– Można coś zjeść? – zapytał go Ksander.

– A co byś chciał, mały?

Ksander wskazał chleb i poprosił o trochę sera oraz fig. Mężczyzna odłamał kawałek ciemnego chleba, a potem odkroił kawałek sera i umieścił go na drewnianym talerzu razem z garścią fig.

– Pewnie będziesz musiał to czymś popić – rzekł z uśmiechem. Podniósł dzban i napełnił gliniany kubek złocistym płynem. – Spróbuj – zachęcił.

Ksander upił łyk. Płyn był gęsty i cudownie słodki. Chłopiec podziękował słudze, wrócił pod baldachim, po czym usiadł i zaczął jeść. Andromacha wciąż była w wodzie z Arguriusem. Na plaży pojawili się inni ludzie. Z wody wyszedł jakiś ciemnowłosy mężczyzna. Przez moment Ksander myślał, że to Helikaon, ale nie. Potem pojawiła się młoda kobieta w czerwonej sukni i usiadła przy nim.

– Ty na pewno jesteś Ksander – powiedziała. – Andromacha mówiła mi o tobie.

– Tak, to ja. A kim ty jesteś?

– Jestem Laodike. Przyjaźnisz się z tym Mykeńczykiem?

– Nie wiem, czy on ma jakichś przyjaciół.

– Jednak lubisz go.

– Tak. Uratował mi życie.

– Chciałabym o tym usłyszeć – powiedziała. I Ksander opowiedział

jej o burzy. Słuchała uważnie, a potem ponownie spojrzała na morze, obserwując Andromachę i wojownika.

– Jak myślisz, dlaczego ryzykował życie, żeby cię ocalić? – zapytała w końcu.

– Nie wiem. Odyseusz mówi, że tak właśnie postępują bohaterowie. A Argurios jest bohaterem. Wszyscy o tym wiedzą.

– Ja nie wiedziałam – przyznała. – Jednak w Troi jest pełno bohaterów. Trudno oczekiwać, że ktoś spamięta imiona ich wszystkich.

Andromacha i Argurios wyszli z wody. Ksander wstał, wziął chiton Mykeńczyka i podbiegł do niego.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Zmęczony – odparł wojownik, biorąc chiton, i włożył go. Odwrócił się do Andromachy. – Jestem ci wdzięczny – powiedział.

– Zdaje się, że już trochę lepiej oddychasz – zauważyła.

– Chyba tak.

Podeszło do nich kilku mężczyzn. Ksander zauważył tego, który był podobny do Helikaona. Wyglądał na rozgniewanego.

Stanął przed Andromachą.

– Jak śmiesz okrywać niesławą ród Priama? – powiedział.

3.

Ksander był wstrząśnięty i przestraszony. Rozejrzał się wokół i zobaczył rozgniewane twarze innych ludzi. Andromacha również miała zdziwioną, a nawet niepewną minę. Zaraz jednak otrząsnęła się z zaskoczenia.

– Nie rozumiem cię, Diosie – powiedziała.

– Jestem księżę Deifobos. Tylko równi mi pozycją lub ci, których uważam za przyjaciół, mogą nazywać mnie Diosem. Ty do nich nie należysz. A ta plaża należy do rodziny królewskiej. Jesteś na niej gościem i nie masz prawa spraszać tu obcych. Jednak ten brak dobrego wychowania błędnie przy tym nierządym zachowaniu, jakie musieliśmy oglądać. Wszyscy wiemy, jakim obrzydliwym praktykom oddają się kapłanki na Terze. Przenoszenie ich tutaj nie będzie tolerowane.

– To ja zaprosiłam Arguriosa – powiedziała Laodike, przecisnąwszy się przez rosnący tłum. Ksander usłyszał w jej głosie nerwowy ton. Miała spuszczone oczy.

– Niczego innego nie można po tobie oczekiwać, siostrze. Nigdy nie byłaś najostrzejszą strzałą w kołczanie.

Laodike zdawała się kurczyć pod wzgardliwym tonem jego głosu. Nagle Argurios wystąpił naprzód i kiedy przemówił, Ksander ujrzał zmieszanie na twarzach wszystkich obecnych.

– Skończyłeś, szczeniaku? – zapytał Mykeńczyk. Powiedział to tak szorstkim i zimnym tonem, że Dios mimo woli cofnął się o krok. Poczzerwieniał. Argurios zrobił krok naprzód. – Książę, tak? Zdaje mi się, że... w Troi roi się od książąt. Musisz być... najsłabszym z miotu.

Ksander rozdziawił usta. Choć był młody i niedoświadczony, natychmiast zrozumiał, że sytuacja stała się niebezpieczna. Dios przez moment stał nieruchomo, zbyt zaskoczony, by coś powiedzieć. Potem zmrużył oczy.

– Obraziłem cię, szczeniaku? – warknął Argurios. – Zatem przynieś miecze, to wytnę ci twoje przeklęte trojańskie serce!

– To zaszło już za daleko – rozległ się głos za plecami zebranych. Wysoki i barczysty młodzieniec o złotorudych włosach przecisnął się przez tłum. – Nikt tu nie użyje miecza. – Spojrzał uważnie na Arguriosa. – Słyszałem o tobie, Mykeńczyku. Jesteś dzielnym wojownikiem, lecz twoje serce pragnie tego, na co nie masz siły. – Zwrócił się do Andromachy. – Nie znam zwyczajów twojej krainy, przyszła szwagierko. Tutaj w Troi szlachetnie urodzone kobiety nie pływają razem z mężczyznami. Jest to uważane za... niemoralne. Jednak jeśli nikt ci tego nie wyjaśnił, nie można mieć ci tego za złe. – Potem odwrócił się do rozzłoszczonego Diosa. – Mój bracie, nie wątpię, że nasz ojciec dowie się o tym i sam rozsądzi sprawę. Jednak teraz porzućcie myśl o walce.

– Ten nędznik mnie obraził! – wybuchnął Dios.

– I owszem – przyznał młodzieniec. – Jednak jak sam widzisz, jeszcze nie wygoiły mu się ciężkie rany i nie może walczyć. Tak więc na razie zapomnij o urazie. Jeśli nadal będziesz chciał pomścić zniewagę, kiedy Argurios wróci do pełni sił, będziesz mógł to zrobić.

– I zrobię! – upierał się Dios. Przeszył Arguriosa gniewnym spojrzeniem. – Jeszcze się spotkamy.

Mykeńczyk tylko kiwnął głową. Dios odszedł z gromadką młodych ludzi. Tłum zrzędiał.

– Jak się zwiesz? – zapytał nowo przybyłego Argurios.

– Jestem Agaton. A teraz usiądźmy w cieniu i porozmawiajmy o mniej nagłych sprawach. Dios jest zapalczywy, ale nie złośliwy. Nie chciałbym, żeby zginął – nawet z ręki wielkiego bohatera.

Ksander pomyślał, że Agaton to najszlachetniejszy człowiek, jakiego spotkał. Wyglądał niczym młody bóg. Miał ciemnoniebieskie oczy i był o wiele wyższy od Arguriosa.

Andromacha położyła dłoń na ramieniu księcia.

– Doskonale to rozegrałeś, Agatonie – powiedziała.

Wrócili pod baldachim. Ksander ruszył za nimi niezauważony. Laodike podeszła do Agatona i ucałowała go w oba policzki.

– Jesteś taki podobny do Hektora – powiedziała.

– Wcale nie jesteście podobni, siostrze. Wierz mi.

Argurios wyciągnął się na rozłożonym na piasku kocu i zdawał się drzemać. Laodike usiadła obok Agatona, a Ksander przy Andromasze. Nadal nikt się do niego nie odzywał.

– Dziś rano przysły wieści o Hektorze – rzekł Agaton. – Doszło do wielkiej bitwy w miejscu zwanym Kadesz. Doniesienia są skąpe, ale wygląda na to, że Egipcjanie prawie zwyciężyli. Powstrzymała ich tylko szarża Trojańskiego Konia.

– A widzisz? Mówiłam ci! – powiedziała Laodike do Andromachy. – Hektor zawsze zwycięża.

– Czy walka już się zakończyła? – zapytała Andromacha.

– Nie. Bitwa nie została rozstrzygnięta. Jednak obie strony poniosły ciężkie straty. Na razie nie znamy szczegółów.

– Niech licho weźmie szczegóły – mruknęła Laodike. – Hektor zwycięży i odbędzie się wielka parada.

– Mam nadzieję, że masz rację, siostró. Jednak doniesiono nam, że nasza konnica została odcięta i do zmroku nie dołączyła do armii Hetytów. Musimy modlić się do bogów, żeby Hektora nie było między poległymi.

– Nie mów tak! – skarciła go Laodike. – Nie chcę tego słuchać.

Książę zerknął na Andromachę.

– Przejdziesz się ze mną po plaży? – zapytał. – Jest kilka spraw, o których bardzo chciałbym z tobą pomówić.

– Jeśli tylko nie jest to coś niemoralnego – powiedziała Andromacha, zwinnie się podnosząc.

Ksander patrzył, jak odchodzą. Laodike wyglądała na przygnębioną.

– Mogę przynieść ci coś do picia? – spytał ją Ksander.

– Nie, nie jestem spragniona. – Spojrzała na Arguriosa. – Jaki on chudy i blady. Może powinienś przynieść mu jakiś nektar z owoców. Matka twierdzi, że dobrze robią na krew. Jest bardzo zapalczywy, nieprawdaż? – dodała. – Bardzo ryzykował, denerwując Diosa. No wiesz, on jest zręcznym i bardzo szybkim szermierzem.

– To szczeniak – wycedził Argurios, siadając na kocu. – I masz rację. Jestem zbyt chudy.

– Nie chciałam cię obrazić, panie – powiedziała zmieszana Laodike. – Myślałam, że śpisz.

– Nie obraziłaś mnie. A ostatnio... nie mogę spać... na leżąco. Gdy siedzę, łatwiej mi oddychać. – Argurios spojrzał na Ksandra. – Nektar z owoców? To brzmi zachęcająco.

Ksander pobiegł do stołu z jedzeniem i przyniósł kubek gęstego złocistego soku. Podał go wojownikowi, który wypił napój do dna.

– Jesteś dobrym chłopcem – rzekł, stawiając pusty kubek na piasku. – Zaczynam się... zastanawiać, dlaczego... nigdy nie miałem... niewolników.

– Nie jestem twoim niewolnikiem – powiedział Ksander.

Argurios zastanawiał się chwilę.

– Źle się wyraziłem... chłopcze. Oczywiście, że... nie jesteś. Jesteś moim przyjacielem. To dla mnie... wiele znaczy.

– Dlaczego nigdy nie miałeś służącego? – zapytała Laodike. – Czy w twoim kraju nie jesteś sławnym bohaterem?

– Nigdy... nie chciałem mieć. Zawsze byłem... żołnierzem. Kiedyś miałem chłopaka, który... nosił mi tarczę. Porządny młodzieniec. Zginął w Tesalii.

– A w twoim domu?

Potrząsnął głową.

– Mój ojciec nie był bogaty. Ja... dorobiłem się kilku gospodarstw i... niewolników, którzy je dla mnie uprawiają. – Spochmurniał. – Jednak one już nie są moje. Jestem banitą. Wyjęty spod prawa. – Popatrzył na mo rze. – Myślę, że... jeszcze trochę popływam.

Z trudem wstał, poszedł nad wodę i ściągnął chiton.

– Dziwny człowiek – zauważyła Laodike.

– Nazwał mnie przyjacielem – rzekł uszczęśliwiony Ksander.

– Powinieneś być zaszczycony. Taki człowiek nie szafuje swoją

przyjaźnią.

XXIV. ZAPOWIEDŹ WOJNY

1.

Andromacha cieszyła się spacerem z Agatonem. Pod pewnymi względami przypominał jej Odyseusza. Uśmiechnęła się na samą myśl. Odyseusz był brzydkim starym gawędziarzem i byłby rad z tego, że porównała go z trojańskim księciem. Jednak nie chodziło o wygląd, lecz o swobodne i przyjacielskie zachowanie. Słuchała, jak mówił o swojej miłości do miasta, i w jego słowach wyczuła szczere uczucie. Przystanęli pod skalnym nawisem. W górze gęstniały chmury i niebo robiło się ołowianoszare. W końcu zamilkł i zapatrzył się na morze.

– Czy teraz porozmawiamy o sprawie, która najbardziej leży ci na sercu? – zapytała.

Uśmiechnął się krzywo.

– Tak. Masz umysł ostry jak miecz.

– Jestem bystra. Dlaczego to przeraża tylu ludzi?

– Nie potrafię tego wyjaśnić, chociaż wiem, że to prawda. – Zamilkł, po czym spojrzał jej w oczy. – Chciałem porozmawiać o Hektorze. Wieści nie są tak dobre, jak przedstawiłem je Laodike. To słodka dziewczyna, ale uwielbia naszego brata, więc nie chciałem jej zaniepokoić. Doniesiono nam, że Hektor poprowadził zuchwały atak, aby odciągnąć jedno skrzydło Egipcjan. Manewr się powiódł, ale po raz ostatni widziano go, jak wyrąbywał sobie drogę przez sam środek nieprzyjacielskich szeregów. Hetyci musieli się wycofać. Hektor nie wrócił do ich obozu, chociaż niektórym jego jeźdźcom się to udało. Powiedzieli, że został odcięty z pięćdziesięcioma ludźmi w jakimś ślepo zakończonym wozie, gdzie atakowały go tysiące nieprzyjaciół.

– Sądzisz, że zginął?

– Mam nadzieję, że nie. Modlę się, żeby tak nie było! Hektor to mój najlepszy przyjaciel i przyrodni brat. Jednak nie tylko o to chodzi. Hektor jest sercem Troi. Gdyby poległ, zapanowałby chaos. Możesz to sobie wyobrazić? Braci walczących o pierwszeństwo? Wybuchłaby wojna domowa.

– Nie widzę powodu – powiedziała Andromacha. – Priam jest silnym władcą.

– Och, jest silny – przyznał Agaton – ale znienawidzony. Niewielu ze swych synów nie upokorzył lub publicznie nie zawstydził. Ponadto są swary między braćmi. Głębokie różnice zdań, a nawet nienawiść. Tylko Hektor trzyma nas wszystkich razem. Po pierwsze dlatego, że go kochamy. – Agaton uśmiechnął się. – Po drugie, ponieważ zabiłby każdego, kto podniósłby rękę na ojca.

– To wszystko jest fascynujące – odparła Andromacha – ale co ma wspólnego z przyszlą oblubienicą Hektora? Jeśli on zginął, to wrócę na Terę, do moich przyjaciółek.

– Mam nadzieję, że wybierzesz inną drogę – odparł.

– Dlaczego miałabym to robić?

– Ja również nie jestem żonaty, Andromacho. I przez dwadzieścia

osiem wiosen nigdy nie spotkałem kobiety, która rozpalalaby mnie tak jak ty. Tak więc – chyba że jest już ktoś, kto zajął miejsce w twoim sercu – chciałbym prosić, żebyś uważała mnie za konkurenta.

Andromacha uśmiechnęła się.

– Cóż to za dziwne miasto, Agatonie. Niemoralne jest, jeśli kobieta pływa razem z mężczyzną, ale mężczyzna może uwodzić narzeczoną brata? Istotnie, trochę potrwa, zanim pojmę te zasady.

Westchnął.

– Dobra riposta, Andromacho. Pomyśl jednak o tym, co ci powiedziałem. Jeśli otrzymamy wieści, że Hektora nie ma, poproszę ojca o twoją rękę.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, przybiegł do nich młody żołnierz.

– Król cię wzywa, panie – powiedział do Agatona.

– Muszę iść. Zastanów się nad tym, co powiedziałem.

– Och, na pewno się zastanowie – zapewniła go, patrząc, jak odchodzi. Nosił się godnie, lecz spoglądając na niego, widziała innego młodego księcia, o czarnych włosach i oczach błyszczących tłumioną namiętnością.

„... chyba że jest już ktoś, kto zajął miejsce w twoim sercu... ”
Znów pomyślała o tamtej nocy w Zatoce Niebieskiej Sowy i o młodzieńcu ze złocistego statku, którego ujrzała w tłumie. I o następnym poranku, gdy zobaczyła, jak załamany trzyma w dłoniach odciętą głowę przyjaciela. Jednak przede wszystkim pamiętała jego ramiona, obejmujące ją w pałacu Hekabe.

– Och – szepnęła, spoglądając na szeroką błękitną zatokę. – Jeśli Hektor nie żyje, niechaj przypłyńie po mnie ten złocisty okręt.

2.

Dla Helikaona pierwsze tygodnie po wypadzie na Pitros były nużące i wyczerpujące. Jego koleżeńskie stosunki z dardańskimi żołnierzami i urzędnikami zastąpił urzędowy chłód, za którym krył się lęk.

Nie był już księciem mórz, kupcem i jednym z nich. Był Helikaonem Podpalaczem, mścicielem, bezlitosnym zabójcą. Słudzy odwracali oczy, gdy przechodził. Nawet ludzie, których znał od lat, jak Oniakos lub wódz Pauzaniasz, ostrożnie dobierali słowa, nie chcąc go obrazić. Atmosfera w cytadeli była napięta i duszna. Za jej murami zaś szalały zimowe burze, błyskawice przecinały niebo i gromy przetaczały się nad ziemią.

Wszędzie panowało zamieszanie. Zamordowanie młodego króla wywołało poczucie niepewności i strach wśród większości mieszkańców.

Dardanie byli zlepkiem wielu różnych ludów: przybysze z Tracji zasiedlili północne wybrzeże; Frygijczycy, uchodźcy z Mizji i Lidii założyli dziesiątki niewielkich wiejskich osad w niegdyś pustym sercu kraju, na wschód od stolicy. Kupcy – Egipcjanie, Amoryci i Asyryjczycy – zbudowali ośrodki handlowe na południu, powiązane z Troją. Nawet w najlepszych latach urodzaju i kwitnącego handlu często dochodziło do animozji i zamieszek między różnymi ludami zamieszkującymi te ziemie.

A od czasu śmierci Diomedesa napięcie jeszcze wzrosło. Niewielka

osada mykeńskich uchodźców została zaatakowana i rozwścieczony tłum rozsiekał pięciu mężczyzn. Frygijska społeczność wznieciła bunt, wywołany kradzieżą owcy. Dwie kobiety z Mizji poskarżyły się, że zostały zgwałcone przez wędrownych hetyckich kupców. Ruszyli za nimi mściciele i siedmiu mężczyzn zginęło w zasadzce.

Dardańskie oddziały rozesłano po wzgórzach i dolinach oraz wzdłuż bezludnego brzegu morza, żeby zaprowadziły porządek. W panującym chaosie pojawiły się bandy rabusiów i bezrobotnych najemników, które atakowały leżące na uboczu wioski oraz karawany kupieckie.

Problem pogłębiały prawa wprowadzone przez ojca Helikaona, Anchizesa. Wszystkie ziemie Dardanii były własnością króla, a ci, którzy zbudowali domy, gospodarstwa lub kupieckie faktorie, byli jedynie dzierżawcami. Czynsze były wygórowane – połowa wszystkich zbiorów, produktów lub zysków. Helikaon wiedział, że ludzie zaakceptują takie prawo jedynie pod dwoma warunkami. Po pierwsze, jeśli król i jego żołnierze ochronią ich przed bandytami i rabusiami, a po drugie – jeżeli kara za nieposłuszeństwo wobec królewskich rozkazów będzie szybka i straszna.

Napad na fortecę podważył zaufanie ludu. Jeśli żołnierze nie potrafili ochronić Diomedesa i królowej Halizji, to jak mogli zapewnić bezpieczeństwo mieszkańcom? Ponadto strach, jaki budził w mieszkańcach Anchizes, znacznie osłabił pod łagodnymi rządami królowej Halizji i wodza jej armii, Pauzanasza.

Helikaon zwołał spotkanie przywódców lokalnych społeczności, zapraszając ich do fortecy. Zaniepokojeni i niepewni, zgromadzili się we wspartej na wielkich kolumnach ogromnej sali tronowej otoczeni przez zimne posagi wojowniczych królów Dardanii.

Przed spotkaniem Pauzanasz zalecił Helikaonowi pojednawczość.

– To dobrzy ludzie, mój królu – powiedział do Helikaona. – Są przestraszeni, to wszystko.

Helikaon lubił starego żołnierza. Nieustraszony w boju, wiernie służył królowej Halizji.

– To prawda, co mówisz, Pauzanaszu – rzekł, gdy stali na szerokim balkonie komnat królewskich, wychodzącym na morze. – Jednak odpowiedz mi na jedno pytanie. Czy kiedy ruszasz do boju, zastanawiasz się, czy żołnierze nieprzyjaciela zostawili w domach dzieci? Czy są dobrymi ludźmi? Czy ich sprawa jest równie słuszna jak twoja?

– Nie, oczywiście, że nie. Jednak lud nie jest twoim wrogiem.

– A co nim jest?

Wódz wyglądał na stropionego. Podrapał rudą brodę.

– Ja... nie rozumiem pytania, mój królu.

– Grozi nam anarchia i to, co zdarzy się tu dzisiaj, albo w końcu doprowadzi do zjednoczenia, albo rozpadu Dardanii w wyniku nieustannych buntów. Zrozum, Pauzanaszu: każde królestwo opiera się na sile tarczy i miecza. Ludzie muszą wierzyć, że tarcza władcy ich osłoni. Muszą także mieć pewność, że w razie nieposłuszeństwa spadnie na nich jego miecz. Wiara w tarczę została nadwątlona przez atak na fortecę. Strach przed mieczem również znikł. Co jest naszym wrogiem?

Nasza armia liczy piętnaście setek zbrojnych. Jeśli lud nie będzie nam ufał i nie będzie się nas bał, zostaniemy obaleni. Wódz jakiejś zbrojeckiej bandy skrzyknie armię. Do naszych zatok wpłyną okręty jakiegoś innego kraju. Nasz nieprzyjaciel, Pauzanaszu, właśnie zbiera się w sali tronowej.

Stary wódz westchnął.

– Co mam robić, mój panie?

Później, gdy przygnębiony Pauzanasz odszedł do swojej kwatery, Helikaon wysłał posłańca do królowej, prosząc, żeby go przyjęła.

Halizja przeżyła pchnięcie sztyletem, ale wciąż była tak słaba, że nie opuszczała swoich komnat. Jej pokojowe mówiły, że całymi dniami siedzi i w milczeniu spogląda na morze. Wieczorem pomagają jej położyć się do łóżka, na którym leży z otwartymi oczami, patrząc na księżycowe cienie na suficie. Helikaon odwiedził ją już trzy razy. Siedziała i nie odzywała się, kiedy mówił. Miała nieobecne spojrzenie. Helikaon nawet nie wiedział, czy w ogóle go słyszała.

Sługa wrócił.

– Pokojowa królowej czeka na ciebie, panie – oznajmił.

Helikaon odprawił go i przeszedł po otwartej galerii do komnat Halizji. U drzwi stali dwaj gwardziści. Rozstąpili się przed nim.

Pokojowa – młoda, pulchna i żółtowłosa – wyszła z jednego z pokoi na tyłach, żeby go powitać.

– Dziś chyba czuje się trochę lepiej – powiedziała. – Odzyskała rumieńce.

– Mówiła coś?

– Nie, panie.

Rozejrzawszy się, przypomniał sobie, jak przybył pierwszy raz. Był jeszcze młodzieńcem. Wrócił do ojczyzny po dwóch latach pływania na *Penelopie*. Tej samej nocy, kiedy Helikaon na plaży podejmował załogę pożegnalną uczta, jego ojciec został zamordowany. Tamtego dnia wszystko się zmieniło. Królowa, obawiając się o życie swoje i dziecka, wysłała żołnierzy, żeby go zabili. Pauzanasz i inni wierni mu ludzie pospieszyli mu z pomocą. Zanim doszło do walki, Helikaon zaryzykował. Dowódcą ludzi wysłanych, by go zabić, był potężnie zbudowany żołnierz imieniem Garus. Helikaon podszedł do niego.

– Ty i ja pójdziemy sami zobaczyć się z królową – rzekł.

– Nie, panie, oni cię zabiją – ostrzegął Pauzanasz.

– Nikt dzisiaj nie zginie – zapewnił go Helikaon, chociaż sam wcale nie był tego taki pewny.

Skinął na Garusa, żeby poszedł przed nim, i zaczął wspinać się długą stromą ścieżką do fortecy na szczycie urwiska. Zauważył, że Garus dotyka rękojeści swego miecza. W pewnej chwili wojownik przystanął i powoli się odwrócił. Miał przenikliwe niebieskie oczy, a twarz szeroką i szczerą.

– Królowa jest dobrą i urodziwą kobietą, a mały Diomedes to wspaniały chłopiec – rzekł. – Zamierzasz ich zabić?

– Nie – odparł Helikaon.

– Mam na to twoje słowo?

– Masz.

– Bardzo dobrze, panie. Idź za mną.

Przeszli wzdłuż tarasu do komnat królowej. Stali tam dwaj gwardziści.

Obaj mieli tarcze i długie włócznie. Garus dał im znak, żeby się rozstapili, a potem zapukał we framugę drzwi.

– To ja, Garus – powiedział. – Mogę wejść?

– Możesz wejść – usłyszeli kobiece głosy. Garus otworzył drzwi i wszedł, a potem odsunął się, przepuszczając Helikaona. Kilku żołnierzy zerwało się na równe nogi.

– Spokojnie! – powiedział Helikaon. – Jestem sam.

Spojrzał na młodą królową i ujrzał w jej jasnych oczach zarazem strach i dumę. Obok niej stał złotowłosy chłopczyk. Spoglądał na Helikaona, odchyliwszy lekko głowę na bok.

– Jestem twoim bratem, Helikaonem – powiedział do chłopca. – A ty jesteś Diomedes.

– Jestem Dio – poprawił go chłopczyk. – Tata nie wstanie, więc nie zjemy śniadania. Nie możemy, prawda, mamó?

– Wkrótce zjemy śniadanie – powiedział Helikaon.

Przyjrzał się królowej. Kiedy Anchizes poślubił tę smukłą, jasnowłosą dziewczynę, Helikaon nie został zaproszony na wesele. Przez cały rok, zanim odpłynął na *Penelopie*, rozmawiał z nią tylko kilka razy, a i to wymieniając tylko zdawkowe uprzejmości.

– Nie znamy się, Halizjo – rzeki. – Mój ojciec był twardym i zimnym człowiekiem. Nie pozwolił nam się poznać. Może moglibyśmy się lepiej zrozumieć. Wtedy wiedziałabyś, że nigdy nie kazałbym zabić mojego ojca ani jego żony czy syna. Nie musisz się niczego obawiać z mojej strony.

– Chciałabym ci wierzyć – szepnęła.

– Możesz, królowo – rzekł Garus.

Helikaon był zdziwiony, ale nie okazał tego.

– A teraz – powiedział – powinnaś pomyśleć o śniadaniu dla syna. Potem porozmawiamy o uroczystościach pogrzebowych.

Teraz zadrżał na to wspomnienie i poszedł do komnaty na tyłach. Halizja siedziała skulona na fotelu, owinięta kocem. Bardzo schudła i miała ciemne kręgi pod oczami. Helikaon przysunął sobie krzesło i usiadł obok niej. Pokojowa myliła się. Królowa wcale nie wyglądała lepiej. Helikaon wziął ją za rękę. Była zimna. Królowa jakby nie poczuła jego dotknięcia.

Słońce wyjrzało zza chmur, oblewając morze złotym blaskiem. Na stoliku obok Helikaon zobaczył nietkniętą miskę z polewką i chleb.

– Musisz jeść – powiedział łagodnie. – Musisz odzyskać siły.

Pochyliwszy się, podniósł miskę, nabrał łyżkę i podniósł ją do jej ust.

– Tylko trochę, Halizjo – zachęcił. Nie zareagowała.

Helikaon odstawił miskę na stolik i siedział w milczeniu, obserwując tańczące na falach rozbłyśki słońca.

– Żałuję, że nie zabrałem go ze sobą w rejs – powiedział. – Chłopiec kochał cię. Smuciłby się, gdyby widział cię w takim stanie. – Mówiąc to, przyglądał się jej, ale nie zmieniła wyrazu twarzy. – Nie

wiem, gdzie jesteś, Halizjo – szepnął. – Nie mam pojęcia, gdzie teraz błądzi twój duch. Nie wiem, jak do ciebie dotrzeć i sprowadzić cię do domu.

Siedział przy niej i milczał, trzymając ją za rękę. W ciszy czuł, jak żal wzbiera w nim niby rzeka napierająca na tamę. Zawstydzony swoją słabością, usiłował skupić myśli na bieżących problemach. Zaczął się trząść. Zobaczył śmiejącego się w słońcu młodego Diomedesa i Zidantasa zaśmiewającego się razem z nim po upadku ze złocistego kuca. Zobaczył, jak Wół chwyta chłopca i podrzuca go wysoko w powietrze, a potem łapie i przyciska do piersi. Tama pękła.

Schował twarz w dłoniach i oplakiwał umarłych. Zidantasa, który kochał go jak syna. Diomedesa, złotowłosego chłopca, który nigdy nie stanie się mężczyzną. Syna Habusasa Asyryjczyka, który zginął razem z ojcem. I kobietę w błękitno-złotej szacie, która rzuciła się z tych skał przed tyłoma laty.

Poczuł dłoń na ramieniu i ktoś klęknął przy nim, gładząc go po głowie. Pochylił ją ku niej, a ona pocałowała go w policzek.

Potem przemówiła.

– Zabrali mojego małego chłopca – powiedziała. – Zabili mojego Dio.

– Wiem, Halizjo. Tak mi przykro.

Była taka krucha, a jej ciało było zimne nawet w promieniach słońca.

Helikaon objął ją, przytulił i siedzieli razem, gdy słońce powoli zapadało w Wielką Zielen.

3.

Andromacha jeszcze nigdy nie była tak rozgniewana. Gniew wzbierał w niej, od kiedy przybyła do tego gównianego miasta z jego armią kłamców, podsłuchiwczy, szpiegów i pochlebców. A Kreuza jest najgorsza z nich wszystkich, pomyślała, ta dziewczka o twardych zimnych oczach i złośliwym języku, która ma słodki uśmiech jedynie dla swojego ojca.

Tydzień wcześniej Kreuza zaprosiła Andromachę do siebie. Była przyjacielska i powitała przyszłą bratową uściskiem oraz cmoknięciem w policzek. Jej pokoje były dokładnie takie, jakich Andromacha spodziewała się po ulubionej córce króla – z dwoma szerokimi balkonami, pięknie urządzone, kapiące złotem, pełne malowanych waz, kunsztownie rzeźbionych mebli i wspaniałych draperii. Na podłodze leżały grube dywany, a na ścianach były piękne malowidła. Kreuza miała na sobie bladoniebieską suknię. Na szyi nosiła długi i kunsztownie spleciony srebrny łańcuszek, krzyżujący się pod piersiami i owinięty wokół smukłej talii. Była zarumieniona i Andromacha zorientowała się, że piła. Napełniła złoty puchar winem, dołała trochę wody i podała gościowi. Andromacha upiła łyk. Wino było mocne, lecz i tak wyczuła w nim gorzcy domieszki odurzającego korzenia. Używano go podczas ceremonii i biesiad, jako środka pobudzającego i zmniejszającego zahamowania. Andromacha go nie lubiła, chociaż Kaliope zażywała go regularnie. Kreuza usiadła tuż przy niej na

szerokiej kanapie i podczas rozmowy wyciągnęła rękę, ujmując dłoń Andromachy.

– Powinnyśmy się zaprzyjaźnić – powiedziała z promiennym uśmiechem i błyszczącymi oczami o nienaturalnie rozszerzonych źrenicach. – Mamy tyle wspólnych... zainteresowań.

– Naprawdę?

– Och, nie bądź taka nieśmiała, Andromacho – szepnęła Kreuza, przysuwając się do niej. – W królewskim pałacu niewiele jest sekretów, których nie znam. Jaka była ta szczupła Alezja? Zadowalała cię? Sama ją dla ciebie wybrałam.

– A czemuż miałabyś to robić? – spytała Andromacha, wracając myślami do młodej trackiej służącej i wspominając, jak łatwo dała się uwieść.

– Chciałam wiedzieć, czy naprawdę... mamy wspólne... zainteresowania.

Kreuzą przysunęła się jeszcze bliżej i objęła Andromachę. Ta ujęła jej rękę w przegubie, zdjęła ze swych ramion i wstała. Kreuza wstała razem z nią, ze zdziwioną miną.

– Co się stało? – zapytała.

– Nic się nie stało, Kreuzo.

– Odrzucasz moją przyjaźń? – W oczach Kreuzy pojawił się gniew.

– Nie przyjaźń – odparła Andromacha, siląc się na uprzejmość.

– Zatem chodź do mnie – powiedziała Kreuza, przysuwając się.

Andromacha zrozumiała, że nie zdoła taktownie zakończyć tego spo tkania.

– Nie będziemy kochankami – powiedziała Kreuzie. – Jesteś bardzo piękna, lecz ja cię nie pożadam.

– Nie pożadasz mnie? Ty arogancka suko! Precz sprzed moich oczu!

Andromacha wróciła do swoich pokojów przybita. Nie zamierzała zrażać do siebie Kreuzy i wiedziała, że będzie miała z nią kłopoty.

Mimo to nie zdawała sobie sprawy, jak wielka jest jej nienawiść.

To Akxa padła ofiarą zemsty Kreuzy. Mała pokojówka cierpiała w milczeniu, od kiedy rozeszła się wieść, że Hektor i jego ludzie polegli. Jej mąż, Mestares, nosił tarczę Hektora i był jednym z tych, którzy zaginęli wraz z nim. Jakby tej niepewności i obaw o męża było mało, Akxa przed dziesięcioma dniami urodziła syna. Chcąc wrócić do swoich obowiązków, zostawiła go u bliskiej krewnej w podgrodziu i w dzień towarzyszyła Andromasze.

Poprzedni dzień zaczął się jak każdy inny. Razem z inną służącą Akxa przyniosła kilka wiader gorącej wody, przygotowując kąpiel, do której wsypała wonności i płatki róż. Jednak kiedy Andromacha półnaga weszła do łaźni, znalazła pokojówkę leżącą na posadzce.

Przykucnęła przy niej.

– Akxa! Co się stało?

– Przepraszam, pani. – Akxa usiadła z trudem. – Od kiedy urodziłam, jestem słaba. Mój syn to duży chłopczyk. Już mi przeszło. Dam sobie radę.

– Nie, nie dasz. – Andromacha spojrzała na nią i zobaczyła szarą ze zmęczenia twarz. – Posiedź tak przez chwilę i opowiedz mi o twoim synku. Ma już imię?

– Nie, pani. Mój mąż je wybierze. Kiedy wróci.

Znów skrzywiła się z bólu i z jej ust wyrwał się jęk zmęczenia, cierpienia i rozpacz.

– Chodź. – Andromacha zaczęła rozwiązywać wełniany szal, którym Aksa była owinięta w talii. – Musisz odpocząć. Wstań.

Objęła dziewczynę i pomogła jej wstać. Rozwiązała tasiemki fartucha, który upadł na podłogę.

– Teraz zdejmij chiton – powiedziała. – Weźmiesz kąpiel. Poczujesz się lepiej.

– Och nie, pani! – zawołała z przest్రachem Aksa. – Nie mogę. Będę miała kłopoty. Proszę, nie każ mi tego robić.

– Nonsens – odparła ze śmiechem Andromacha. – Jeśli tak nakazuje ci skromność, wejdź do kąpeli w koszuli.

Aksa obrzuciła ją udręczonym spojrzeniem, ujrzała zdecydowanie na twarzy Andromachy i niechętnie weszła do ciepłej kąpeli. Siedziała w wodzie sztywno wyprostowana, ze zgnębioną miną.

– Odpręż się i połóż – powiedziała Andromacha, kładąc dłonie na jej ramionach. – Widzisz, czy to nie przyjemne?

Aksa posłała jej słaby uśmiech i odparła:

– To bardzo dziwne uczucie, pani. Wydaje się to nienaturalne.

Odyskując pewność siebie, poruszyła ręką wodę i patrzyła, jak kręgi unoszą płatki róż.

Andromacha roześmiała się i pogładziła jej gęste włosy.

– Je też będzie trzeba umyć.

Nagle usłyszały szelest zasłon i obie się obejrzały. W drzwiach stała Kreuza. Nic nie powiedziała, tylko z promiennym uśmiechem odwróciła się i wyszła.

Aksa niezgrabnie wygramoliła się z wanny. Woda ściekała z jej lnianej koszuli na podłogę.

– Widziała mnie. Będę miała kłopoty – jęknęła.

– Nonsens – powtórzyła Andromacha. – Nikomu nie pozwolę ci skrzywdzić.

Były to puste słowa. Kiedy dziś się obudziła, znalazła przy swoim łóżu inną służącą, dziewczynę o okrągłej twarzy, która dopiero solidnie przyciśnięta powiedziała jej, że Aksa tego ranka na rozkaz króla została wychłostana i wygnana z pałacu.

Andromacha natychmiast udała się do megaronu, gdzie znalazła Priama siedzącego wśród jego doradców. Ledwie panując nad gniewem, zapytała:

– Co uczyniłeś z moją służącą?

Priam wygodnie usiadł na tronie i machnięciem ręki odprawił swoich doradców. Cofnęli się o kilka kroków, ale pozostali w pobliżu. Priam przyglądał jej się przez chwilę. Wydało jej się, że w jego oczach dostrzega satysfakcję, chociaż przemawiał uprzejmie.

– Twoją służącą, Andromacho? Wszyscy słudzy w tym pałacu są moi. Ci siwobrodzi ze swoimi barwnymi szatami i kosztowną biżuterią

też należą do mnie. Tak jak ty.

– Powiedziano mi... – Andromacha powstrzymywała gniew, starając się myśleć trzeźwo. – Powiedziano mi, że została wychłostana i wyrzucona z pałacu. Chciałabym wiedzieć dlaczego. Była dobrą służącą i nie zasłużyła na takie traktowanie.

Priam pochylił się i wyczula zapach wina w jego oddechu.

– Dobra służąca – syknął – nie figluj nago z córką króla. Nie oddaje się miłosnym igraszkom w kąpielni, z płatkami róż na piersiach.

Wśród doradców rozległy się rozbawione szepty.

– Zostałeś źle poinformowany w kwestii miłosnych igraszek – odparła Andromacha. – Aksa była wyczerpana i cierpiała. Kazałam jej odpocząć i wziąć kąpiel.

Twarz Priama pociemniała.

– I pomyślałaś, że możesz jej zażyć razem z nią? Co się stało, to się stało. W przyszłości zachowuj się rozważnie.

– Tak też zrobię albo dopilnuję, żeby nie szpiegowali mnie ludzie mający wiadra gówna zamiast głów – odpaliła Andromacha, przestając panować nad gniewem. – Wychłostać należałoby tę złośliwą sukę...

– Dość! – ryknął Priam, zrywając się na równe nogi. – Jeśli chcesz wstawić się za swoją służącą, rób to na kolanach!

Andromacha znieruchomiała. Duma nakazywała jej odwrócić się plecami do tego brutala i aroganta i z wyniosłą miną wymaszerować z sali. Jednak to przez nią biedna Aksa została wychłostana i upokorzona. Ostrzegała ją, lecz dumna Andromacha nie słuchała. Tak, mogła zachować dumę i wyjść z tej komnaty, ale cóż potem byłaby warta jej duma?

Zaschło jej w ustach, ale zamknęła oczy i uklękła przed królem.

– Chciałam prosić... – zaczęła.

– Milcz. Mam ważne sprawy do załatwienia. Pozostań tak, dopóki nie pozwolę ci mówić.

Teraz jej upokorzenie było całkowite. Priam zebrał wokół siebie swych dworzan i omawiali sprawę państwa. Czas płynął i kolana zaczęły ją boleć od klęczenia na zimnej posadzce. Jednak nie poruszyła się i nie otworzyła oczu.

Po pewnym czasie przestała nawet przysłuchiwać się ich rozmowie. W pewnej chwili poczuła na twarzy ciepłe promienie słońca i uświadomiła sobie, że jest już po południu.

Kiedy Priam przemówił do niej i otworzyła oczy, zobaczyła, że doradcy ze skrybami już opuścili salę.

– No? – powiedział. – Proś.

Spojrzała na niego. Teraz wydawał się znużony, a jego oczy straciły blask.

– Czy wina lub niewinność nie mają dla ciebie znaczenia, królu Priamie? – zapytała go łagodnie. – Czy nie jesteś najwyższym sędzią Troi? Czy z twego tronu nie płynie sprawiedliwość? Gdybym oddawała się miłosnym igraszkom z młodą służącą, jak to ujałeś, wcale bym się z tym nie kryła. Jestem, kim jestem. Nie kłamie. Aksa jest żoną człowieka, który nosi tarczę Hektora. Zaledwie kilka dni temu urodziła syna. Czy w swoim długim życiu znałaś wiele kobiet skłonnych do miłosnych

igraszek tuż po położeniu, gdy ciało jest rozdarte i posiniaczone, a piersi nabrzmięte od mleka?

Wyraz twarzy Priama zmienił się. Król znów usiadł na tronie i gładził szaro-siwą brodę.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że to żona Mestaresa. Wstań. Dość długo klęczałaś.

Zaskoczyła ją ta nagła przemiana. Podniosła się z klęczek i milczała.

– Zaszło nieporozumienie – powiedział. – Każę jej to wynagrodzić. Chcesz ją z powrotem?

– Istotnie, chcę.

Obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem.

– Nie chciałaś klęknąć przede mną, gdy od tego mogło zależeć twoje życie. Teraz zrobiłaś to dla służącej.

– To moja głupota sprawiła, że cierpi. Ja kazałam jej wejść do kąpieli. Myślałam, że to uśmierzy ból.

Kiwnął głową.

– Tak jak uważałaś, że dobrze będzie pływać nago na mojej plaży z mykeńskim wojownikiem? Albo strzelać z łuku razem z moimi żołnierzami? Jesteś dziwną kobietą, Andromacho. – Potarł oczy, a potem sięgnął po kubek z winem i opróżnił go. – Wydajesz się budzić gwałtowne uczucia we wszystkich, którzy cię znają – dodał. – Deifobos chciałby cię wygnać z Teb. Kreuza chciała, żeby cię wychłostano i okryto niesławą. Agaton chce cię poślubić. Nawet nudna mała Laodike rozkwitła przy tobie. Odpowiedz mi, Andromacho z Teb: czy gdybym ci powiedział, że możesz uratować Akse, jedynie idąc ze mną do łóżka, uczyniłabyś to?

– Tak – odparła bez wahania. – Dlaczego tego nie powiedziałaś?

Potrząsnął głową.

– To dobre pytanie, Andromacho, na które sama musisz sobie odpowiedzieć.

– Jak mogę to zrobić? Nie znam twoich myśli.

Podniósłszy się z tronu, skinął na nią i przeszedł przez całą długość megaronu, a potem po schodach wiodących do apartamentów królowej. Andromacha była zaniepokojona, ale nie tym, że może ją zniewolić. Podczas rozmowy ani razu nie spojrzał na jej piersi czy nogi, a jego oczy nie miały zwykłego wyglądającego wyrazu. Król dotarł na górę schodów i skręcił w prawo, po czym przeszedł po galerii na balkon znajdujący się wysoko nad królewskimi ogrodami. Andromacha dołączyła tam do niego.

W ogrodach na dole kłębił się tłum ludzi rozmawiających ściszonymi głosami. Andromacha zobaczyła Agatona rozmawiającego z grubym Antifonesem, a za nimi Laodike siedzącą z Kreuzą. Laodike miała pochyloną głowę, a Kreuza żywo gestykulowała. Wokół było wielu doradców w białych szatach i szlachetnie urodzonych z żonami i córkami.

– Każdy, kogo tam widzisz – powiedział cicho Priam – chce czegoś od króla. A zarazem każdy dar dla jednego jest postrzegany jako zniewaga dla kogoś innego. Są pośród nich ludzie mi wierni. I są wśród

nich zdrajcy. Są tacy, którzy mogą dopuścić się zdrady, których lojalność można kupić za rami. Skąd król ma wiedzieć, komu ufać, a kogo zabić, kogo nagrodzić, a kogo ukarać?

Andromacha była spięta i niespokojna.

– Nie wiem – odparła.

– Zatem naucz się, Andromacho – powiedział. – Gdyż jeśli bogowie pozwolą, pewnego dnia zostaniesz królową Troi. Wtedy spojrzysz z tego balkonu i wszyscy, których zobaczysz, będą chcieli porozmawiać z tobą lub twoim mężem. Będziesz musiała znać ich myśli, marzenia i ambicje. Ponieważ lojalni czy zdrajcy, wszyscy będą mówili to samo. Wszyscy będą się śmiali z twoich żartów i płakali, kiedy będziesz smutna. Będą ci obiecywali wieczną miłość. Tak więc ich słowa będą bezwartościowe. Chyba że będziesz znała myśli ukryte za tymi słowami.

– A ty znasz ich myśli, królu Priamie?

– Wiem dostatecznie dużo o ich myślach i ambicjach, żeby pozostać przy życiu. – Zachichotał. – Mimo to pewnego dnia jeden z nich mnie zaskoczy. Wbije mi sztylet w serce, wsypie truciznę do kubka albo wznieci rebelię, żeby stracić mnie z tronu.

– Dlaczego uśmiechasz się na myśl o tym?

– A dlaczego nie? Ktokolwiek mnie zastąpi, będzie silny i sprytny, a więc dobrze przygotowany do swej roli.

Teraz uśmiechnęła się Andromacha.

– Albo będzie głupim szczęściarzem.

Priam kiwnął głową.

– Wtedy nie będzie rządził długo. Inny z moich sprytnych synów zrzuci go z tronu. Wróćmy jednak do twojego pytania. Dlaczego nie zażądałem twojego ciała jako zapłaty? Pomyśl o tym, a wtedy znów porozmawiamy. – Spojrzał na gęsty tłum na dole. – A teraz muszę pozwolić, by moi poddani, za równo lojalni, jak i zdrajcy, przedstawili mi swoje petycje.

Wróciwszy do swoich pokoi, Andromacha zarzuciła na plecy zielony płaszcz z kapturem i opuściła pałac, kierując się ku podgrodziu i ubogiej dzielnicy, w której mieszkały żony ubogich oficerów. Zapytawszy o drogę kilka kobiet stojących przy studni, trafiła do mieszkania zajmowanego przez Aksę i dwie inne żony. Było małe i ciasne, z brudną podłogą. Akxa siedziała na tyłach budynku, w cieniu, z niemowlęciem w ramionach. Zobaczyła Andromachę i próbowała wstać.

– Och usiądź, proszę – powiedziała Andromacha, przykucając obok niej. – Tak mi przykro, Akso. To była moja wina.

– Mestares będzie na mnie zły, kiedy wróci do domu – powiedziała Akxa. – Okryłam go hańbą.

– Nikogo nie okryłaś hańbą. Widziałam się z królem. On wie, że to była pomyłka. Wynagrodzi ci ją. A ja chcę, żebyś wróciła. Och, Akso! Powiedz, że wrócisz!

– Oczywiście, że wrócę – odparła ponuro Akxa. – Jakże inaczej wyżyłabym siebie i dziecko? Będę tam jutro.

– Możesz mi wybaczyć?

Niemowlę w ramionach Aksy zaczęło cicho kwilić. Młoda kobieta odsłoniła ciężką pierś i dała ją dziecku. Mały przez chwilę bezskutecznie

trącał ją noskiem, zanim zaczął ssać. Aksa westchnęła. Spojrzała na Andromachę.

– Jaka to różnica, czy wybaczę czy nie? – zapytała. – Nazywają nas służącymi, a naprawdę jesteśmy niewolnicami. Żyjemy lub umieramy z powodu kaprysów innych. Zostałam wychłostana za to, że widziano mnie w kąpieli. Czy ciebie za to wychłostano?

– Nie. Jednak możesz mi wierzyć, że wolałabym być na twoim miejscu. Czy możemy być przyjaciółkami, Akso?

– Jestem twoją służącą. Muszę robić to, co mi każesz.

Andromacha zamilkła, patrząc, jak Aksa kończy karmić dziecko i przyciska je do ramienia, gładząc po plecach.

– Bardzo cię zranili? – zapytała w końcu.

– Tak, bardzo – odparła ze łzami w oczach Aksa. – Jednak nie uderzeniami sznura z węzłami. Jestem żoną Mestaresa, który nosi tarczę. Walczył w dziesięciu bitwach za króla i Troję. Teraz może nie żyje i po całych dniach obawiam się wieści o jego śmierci. A co oni robią, żeby ulżyć mi w cierpieniach? Batożą mnie i wyganiają z pałacu. Nigdy tego nie wybaczę.

– Nie – odparła Andromacha, wstając. – Ja też nie. Zobaczymy się jutro, Akso.

Mała służąca popatrzyła na nią i złagodniała.

– Poszłaś wstawić się za mną u króla – powiedziała. – Tobie wybaczę. Jednak żadnych więcej kąpieli.

Andromacha uśmiechnęła się.

– Żadnych kąpieli – obiecała.

Wróciwszy do pałacu, Andromacha przeszła przez prywatną część królewskich ogrodów. Wciąż było tam około dwudziestu osób, cieszących się cieniem i zapachem kwiecia. Pod odległym murem i ażurowym daszkiem Kreuza rozmawiała z Agatonem. Miała na sobie białą suknię obszytą złotą nicią. Gdy odchyliła głowę do tyłu, udając beztroski śmiech, wiatr rozwał jej kruczoczarne włosy.

Agaton zauważył nadchodzącą Andromachę i posłał jej wymuszony uśmiech. Jest zmieszany, pomyślała. Natomiast Kreuza spoglądała na nią ze złośliwą satysfakcją.

– Jak się masz, piękna pani? – zapytał Agaton.

– Dobrze, księżę Agatonie. Dziś rano widziałam się z królem. Słyszałeś o nieporozumieniu z moją służącą?

– Tak – odparł. – Przykro mi było to słyszeć.

– Mnie też. Jednak król już przywrócił ją do łask i pośle jej coś w darze na przeprosiny. – Obróciła się do Kreuzy. – Sądzę, że teraz rozumie, iż biedna Aksa jest tylko ofiarą ludzkiej złośliwości. Pewnej pożałowania godnej, zidiociałej kreatury powodowanej zazdrością i niechęcią.

Kreuza zamachnęła się i mocno spoliczkowała Andromachę. Ta doskoczyła do niej i z całej siły uderzyła w szczękę. Cios okręcił Kreuzę i powalił na ziemię. Próbowwała się podnieść, ale znów upadła.

Agaton przyklęknął przy półprzytomnej kobiecie i pomógł jej wstać. Krew ciekła jej z rozciętej wargi, a biała suknia była umazana błotem.

Andromacha nabrała tchu i odwróciła się. Tym ucichł i wracając do pałacu, czuła na sobie spojrzenia wszystkich obecnych.

XXV. MILCZĄCA GŁOWA

1.

Eunuch Cthosis włożył na to spotkanie swoje najnowsze szaty, ale nikt tego nie zauważył. To było najbardziej irytujące. Sięgająca do kostek suknia była czarna jak noc i obszyta srebrną nicią. Wspaniała szata! Był przekonany, że będą mu jej zazdrościli wszyscy obecni. Jeszcze nikt nie wyprodukował czarnego barwnika, który trwale farbowałby tkaninę. Skutkiem tego były dwa poważne problemy. Po pierwsze, na deszczu barwnik puszczał i na kilka dni plamił ciało. Po drugie, farba śmierdziała, dopóki szata nie została parokrotnie uprana, wtedy już jednak była matowo szara.

Cthosis przez całe lata doskonalił proces farbowania, aby wyeliminować te problemy. Kora dębu z karłowatych drzew znad Morza Czarnego dostarczała lepszego barwnika, lecz uzyskanie jej pochłonęło większość jego finansowych zasobów. Tamtejsze prądy były tak silne i zdradliwe, że przepłynięcie statkiem przez Hellespont i na Morze Czarne było prawie niemożliwością. Wszelkie towary trzeba było transportować ładem.

I oto siedział tu teraz, wśród sześćdziesięciu najbardziej wpływowych ludzi w Dardanii, i żaden z nich nie wspomniał o jego szacie. Zastanawiał się, czy jako Egipcjanin nie wie o jakiejś niechęci do czarnego koloru zakorzenionej wśród mieszkańców północnych wybrzeży. No cóż, pomyślał, na wiosnę wyśle statek takich szat do Memfis i Luksoru. Egipcjanie zapłacą dużo złota za coś równie dobrego. Mimo to brak uznania tutaj był rozczarowujący.

Podniesione głosy przerwały mu te rozmyślania. Frygijski handlarz bydła, którego imienia Cthosis nigdy nie mógł zapamiętać, wrzeszczał na hetyckiego kupca, potrząsając mu pięścią pod nosem. Niedługo dojdzie do wymiany ciosów i cała narada zamieni się w zwykłą bijatykę. Z uwagi na to Cthosis przezornie przesunął się pod ścianę i stanął pod budzącym respekt posągami uzbrojonego we włócznię wojownika w hełmie. Cthosis nie był waleczny i nie miał ochoty dać się wciągnąć w jakąś karygodną awanturę – szczególnie w tej nowej szacie.

W gruncie rzeczy, gdyby narada nie była okazją do pokazania się w niej, Cthosis w ogóle by się na niej nie pojawił.

Ludzi łatwo rozgryźć. Kiedy czasy są dobre, zajmują się swoimi sprawami i uśmiechają do sąsiadów. Wystarczy jednak odrobina lęku i niepewności, aby te uśmiechy zniknęły. Żeby wybuchły spory i waśnie. Jeśli burza zniszczy plony, krzyczą: „Kto jest temu winien?!” Nie kaprysy pogody, skądże. Nie, to z pewnością złośliwy urok rzucony przez zawistnego sąsiada. Zapewne przez wiedźmę. A jeśli zbiory wszystkich zostały zniszczone, to winien jest król, który z pewnością rozgniewał czymś bogów.

W Egipcie nie było inaczej. Strach i oskarżenia, głupcy gromadzący się na ulicach, potem zamieszki i niepotrzebne ofiary.

Dawno temu, kiedy Cthosis był małym chłopcem, widział, jak

piorun uderzył w drzewo, pod którym spokojnie pasło się stado bydła. Krowy spłoszyły się i rzuciły do ucieczki, w czasie której połowa stada spadała z urwiska.

Ludzie i bydło. Niewielka różnica, pomyślał.

Okaleczonemu dziecku, jakim był, ciężko żyło się w Egipcie. Jednak przynajmniej mieszkańcy pałacu cieszyli się poezją i malarstwem, a wieczorami siadywali, by rozmawiać o pięknie zachodzącego słońca. Malowidła ścienne przedstawiały piękne statki żeglujące po wielkich rzekach lub faraonów przyjmujących hołdy wasalnych władców.

Och, nie oszukuj się, głupcze, skarcił się w myślach. Oni wcale nie byli inni. Tutaj w Dardanii nie obcinali jąder dziesięcioletnim chłopcom, żeby mogli kręcić się między kobietami z pałacu, przynosząc im puchary z winem, płaszcze i nakrycia głowy. Ten straszny ból był niczym w porównaniu z tym, że ojciec sprzedał go właśnie w tym celu.

Cthosis westchnął. Ta zdrada wciąż bolała, nawet po piętnastu latach.

Kurz z pomnika osiadł na rękawie jego szaty. Strzepnął go machinalnie. Robiąc to, kikutem małego palca zawadził o luźny szew. Zadrżał na wspomnienie tego dnia sprzed trzech lat, kiedy stracił ten palec. Cthosis biegł po jakąś błyskotkę zostawioną przez jedną z księżniczek w ogrodzie. Skręciwszy za róg, wpadł na księcia Ramzesa, który aż się zatoczył. Książę zareagował w typowy dla niego, gwałtowny sposób. Popchnął sprawcę na malowaną kolumnę. Cthosis przygotował się na cięgi, ale Ramzes wyrwał z pochwy miecz i ciał. Cthosis zasłonił się ręką. Ostrze obcięło mu mały palec i wbiło się w serdeczny. Cthosis stał skamieniały, patrząc na kikut. Nagle uświadomił sobie, że to jeszcze nie koniec. Ramzes doskoczył do niego, przycisnął koniec miecza do piersi i szykował się do pchnięcia.

Śmierć była tuż, gdy czyjaś silna dłoń chwyciła Ramzesa za płaszcz i odciągnęła.

– Wynoś się stąd, eunuchu – rzekł książę Ahmose.

Cthosis nie potrzebował zachęty i uciekł do kobiecej części pałacu, gdzie służące zajęły się nim i wezwały królewskiego medyka.

Siedział tak z krwawiącą, okaleczoną dłonią, wstrząśnięty do głębi. Zaczął dygotać. Potem płakać. Kiedy opowiedział kobietom, co się stało, nagle umilkły i zaczęły nerwowo spoglądać w stronę drzwi.

Wtedy zrozumiał, że Ramzes przyśle po niego i dokończy to, co zaczął. Cthosis uderzył księcia. Nieważne, że przypadkowo. Kara będzie taka sama, jakby zrobił to umyślnie.

Siedział przygnębiony, gdy nubijski medyk przygotowywał opatrunek na kikut. Drugi zraniony palec, powiedział, jest złamany i trzeba będzie wziąć go w łubki. Nagle kobiety czmychnęły. Cthosis poczuł, że łyzy znów cisną mu się do oczu. Znów groziła mu śmierć.

Jednak do komnaty nie wszedł przerażający Ramzes, lecz potężny książę Ahmose. Powiedział coś cicho do Nubijczyka, który stał ze spuszczoną głową. Żaden niewolnik nie mógł patrzeć w oczy księciu.

– Jesteś zwolniony ze służby, eunuchu – powiedział głębokim głosem książę.

Cthosis mimo woli podniósł oczy.

– Zwolniony, panie?

Ahmose nie był urodziwy. Miał zbyt nieregularne rysy, nazbyt wydatny nos, za szeroką brodę. Z dołkiem, który wyglądał jak blizna. Jednak jego oczy były czarne i wspaniałe.

– Lepiej wyjedź jeszcze tej nocy – powiedział cicho książę. – Najlepiej w podróż w jakieś odległe miejsce. – Wcisnął mu do ręki sakiewkę. – Jest tu złoto i kilka błyskotek, pierścienie i tym podobne rzeczy. Powiedziano mi, że mają pewną wartość.

Z tymi słowami odszedł.

Mieszek zawierał czternaście małych złotych monet i kilka pierścionków z oczkami ze szlachetnych kamieni. Był tam też szmaragd wielkości gołębiego jajka. Z tą fortuną Cthosis popłynął do Dardanii.

W wielkiej sali tronowej znów rozległy się wrzaski i Cthosis gwałtownie wrócił do rzeczywistości. Popatrzył na tłum. Byli w nim ludzie wielu narodowości. Hetyci w swoich dziwnych wełnianych spodniach, wysocy i rudowłosi Frygijczycy, przybysze z Samotraki, Myken i Lidii. Wszyscy nosili stroje swoich krain. Trzej Babilończycy stojący na drugim końcu sali mieli brody ufryzowane w kędziory gorącymi żelazkami. Co za głupota w taką wilgotną, jesienną pogodę! Byli Trojańczycy – handlarze koni i wytwórcy rydwanów – którzy narazili się Priamowi i przenieśli się do Dardanii. Oni również stali na uboczu, z pogardą spoglądając na zgłębiony tłum.

– Ty nędzny synu ohydnej świni! – krzyknął ktoś.

Dziwna zniewaga, pomyślał Cthosis. Czy nazwanie kogoś synem pięknej świni byłoby komplementem? Dwaj adwersarze rzucili się na siebie. Doszło do wymiany ciosów i szamocząc się, upadli na posadzkę.

Cthosis zastanawiał się, czy wyjść. Wśród tylu rozgniewanych ludzi nikt nie zauważyłby nieobecności jednego kupca. Jednak nie wyszedł. Chciał zobaczyć nowego króla. Wiele słyszał o Helikaonie kupcu i trochę o Helikaonie wojowniku. Jednak o charakterze tego człowieka wiedział tylko tyle, ile wynikało z tego, że zrezygnował ze swych praw do tronu na rzecz małego Diomedesa, swego przyrodniego brata. Takie postępowanie nie świadczyło o tym, że jest człowiekiem ambitnym i bezlitosnym.

A tutaj był potrzebny ktoś bezlitosny. Helikaon powinien wejść do sali tronowej w zbroi i z ognistym mieczem, żeby uciszyć ten tłum.

Dwóch walczących rozdzielono, wciąż jednak obrzucali się obelgami.

Nagle otworzyły się wielkie drzwi sali tronowej i wmaszerowali do niej żołnierze w zbrojach i hełmach z brązu, z długimi włóczniami i tarczami. W milczeniu sformowali dwa szeregi i stanęli plecami do ścian. Tłum zamilkł i patrzył na drzwi. Cthosis ujrzał, jak wchodzi przez nie szczupły młody mężczyzna. Długie czarne włosy miał związane z tyłu rzemykiem. Jego chiton był bladozielony, z lekkim niebieskim odcieniem. Zapewne jagody ligustru, pomyślał Cthosis, i za mało soli w warze.

Młodzieniec wszedł na podium na końcu sali tronowej i przystanął obok długiego stołu. Potem odwrócił się i popatrzył na zebranych.

Ludzie wciąż rozmawiali ze sobą i wybuchła następna kłótnia. Młodzieniec podniósł rękę. Wszyscy żołnierze natychmiast zaczęli uderzać włóczniami o brązowe tarcze. Hałas był ogłuszający.

W sali zapadła cisza.

– Dziękuję wszystkim za przybycie. Jestem Helikaon, król – powiedział młodzieniec.

– Mam nadzieję, że to warte naszego czasu! – krzyknął ktoś z tyłu.

– Wyjaśnijmy sobie coś – powiedział spokojnie Helikaon. – Nikt nie będzie mi przerywał. Następny człowiek, który się odezwie, kiedy ja mówię, gorzko tego pożałuje. Dam każdemu z was sposobność do wypowiedzenia swoich myśli – i wówczas wam również nikt nie będzie przerywał. To jedyny sposób zapewniający jednomyślność.

– A kto mówi, że potrzebna nam jednomyślność?! – zawołał ten sam człowiek.

Helikaon podniósł rękę. Dwaj żołnierze wystąpili z szeregu, złapali krzykacza – rudowłosego Frygijczyka – i wywlekli go z sali tronowej.

– Wy wszyscy tutaj – ciągnął Helikaon – macie swoje żale. Panuje wrogość, nienawiść, niezgoda. Musimy położyć temu kres. Osiągniemy to, omawiając nasze problemy i rozwiązując je. Niemal wszyscy przybyliście tutaj z odległych krain. Jednak kiedy umrzecie, wasze kości spoczną w ziemi Dardanii i staną się jej częścią. Wasze dusze zostaną tutaj, przy waszych dzieciach, które także staną się częścią tej ziemi. Będą Dardanami. Nie Frygijczykami, Meończykami, Trojanami, Lidami, ale Dardanami.

Helikaon zamilkł, gdy przez tłum zaczął przeciskać się żołnierz niosący niewielki wąż. Podeszedł do podwyższenia i zatrzymał się. Helikaon skinął na niego. Żołnierz wszedł na podium, rozwinął zawiniątko i wyjął z niego odciętą głowę. Cthosis zamrugnął ze zdumienia. Żołnierz położył głowę na stole, skąd martwymi oczami spoglądała na tłum. Krew sączyła się z przeciętej szyi i kapała na posadzkę. Była to głowa tego rudowłosego mężczyzny, który zaledwie przed chwilą został wywleczony z sali.

– Zamierzam teraz – rzekł Helikaon, wciąż spokojnym i przyjacielskim tonem – wezwać tu każdego z was, żeby przedstawił, co mu leży na sercu. Nie będę tego robił według jakiejś określonej kolejności i nie powinniście czuć się urażeni, jeśli zostaniecie wezwani później. Czy są jakieś pytania?

Ludzie, wstrząśnięci, stali w milczeniu, patrząc na odciętą głowę.

– Dobrze – rzekł Helikaon. – Zatem zaczynajmy. Ja wypowiem się pierwszy. Każdy z tu obecnych żyje i umiera za moim przyzwoleniem. Każdy mieszka na mojej ziemi i podlega moim prawom. Przestrzegajcie tych praw, a będzie się wam dobrze powodzić. Moi żołnierze będą was chronić i będziecie się bogacić. W razie potrzeby możecie przyjść po pomoc do mnie lub do moich dowódców. Jeśli nie będziecie przestrzegać moich praw, gorzko tego pożałujecie. A jakie to prawa? Bardzo proste. Będziecie oddawać mi królewską część waszych zysków, zbiorów lub stad. Nie użyjecie broni przeciwko mnie ani żadnemu człowiekowi będącemu pod moją ochroną. A to dotyczy wszystkich, którzy przestrzegają moich praw. Nie będzie krwawych waśni. Skargi będziecie

składać na moje ręce lub ręce tych, których wyznaczę. Tak macie dochodzić sprawiedliwości. Wyroki będą ostateczne. Jeśli ktoś popełni morderstwo, zostanie skazany na śmierć, a cała jego rodzina sprzedana w niewolę. Jego ziemie, dobra i nieruchomości staną się moją własnością.

Cthosis słuchał przemówienia młodzieńca. Oprócz niego nikt inny z obecnych w sali tronowej nie odezwał się słowem. Helikaon nie wspomniał o zabitym ani nawet nie zerknął w stronę odciętej głowy. Kontrast między jego starannie dobranymi słowami a tym upiornym widokiem mroził krew w żyłach. Kiedy skończył mówić, kazał wezwać skrybę. Garbaty mężczyzna w średnim wieku wszedł do sali i pospiesznie przycisnął się do podwyższenia. Niósł wiklinowy kosz pełen glinianych tabliczek. Żołnierz przyniósł mu krzesło i skryba cicho usiadł na końcu stołu, jak najdalej od odciętej głowy.

– Ten człowiek – oznajmił król – zapisze wasze skargi, a ja przejrzę je później i rozpatrzę. – Wskazał na wysokiego, brodatego Frygijczyka. – Teraz rozpocznijmy dyskusję. Najpierw podaj swoje imię, a potem przedstaw skargę.

Mężczyzna odkaszlnął.

– Jeśli ja przedstawię, panie, a tobie nie spodoba się to, co usłyszysz, czy moja głowa również ozdobi twój stół, tak jak głowa mojego biednego brata?

– Możesz mówić swobodnie. Nie zostaniesz ukarany. Zaczynj od swojego imienia.

– Jestem Folus z Frygii i hoduję konie na sprzedaż do Troi. Moi ludzie osiedlili się o dzień jazdy od fortecy i mamy prawo do wody zagwarantowane przez królową Halizję. Kilka miesięcy temu handlarz bydła zagnał swoje stada na nasze ziemie. Kiedy mój brat protestował, został pobity pałkami. Bydło zamuliło wodę i zniszczyło brzegi strumienia. Jak mam hodować konie bez wody?

I tak się zaczęło.

Cthosis stał spokojnie, gdy zebrani kolejno mówili o swoich problemach, obawach i przyczynach sporów z sąsiadami. Król słuchał ich kilka godzin, po czym ogłosił przerwę i powiedział, że nazajutrz spotkają się znowu. Następnie zaprosił ich wszystkich na ucztę na głównym dziedzińcu i po tych słowach zszedł z podwyższenia i ruszył ku drzwiom na końcu sali.

Kiedy mijał Cthosisa, nagle przystanął.

– To bardzo ładna szata, mój przyjacielu – rzekł. – Nigdy takiej nie widziałem. – Podeszedł bliżej i powąchał. – Nie czuję zapachu barwnika. Czy była już prana?

– Istotnie, panie. Trzykrotnie.

– Nadzwyczajne. Skąd ją masz?

– Sam wytworzyłem tkaninę i barwnik, panie.

– Jeszcze lepiej. Porozmawiamy później. Taka czarna jak węgiel szata przyniesie sporo złota w każdym kraju Wielkiej Zieleni.

Uśmiechnął się do Cthosisa i wyszedł.

Żołnierze wymaszerowali za nim i zamknęli za sobą drzwi. Przez chwilę nikt się nie odzywał. Potem frygijski hodowca koni podeszedł do

podwyższenia, ukłęknał i położył dłoń na odciętej głowie.

– Nigdy nie nauczyłeś się słuchać, bracie – rzekł. – Jednak zawsze byłeś dobrym chłopcem. Będzie mi ciebie bardzo brakowało.

Chwycił zawiniątko, lecz zawahał się. Cthosis podszedł do niego.

– Nie sądzę, żeby król miał coś przeciwko temu, żebyś zabrał tę głowę – powiedział.

– Tak sądzisz?

– Jestem tego pewien.

Mężczyzna westchnął.

– Zapłacił wysoką cenę za kilka nieopatrznych słów.

– Istotnie.

Cthosis opuścił salę i wyszedł na dziedziniec. Niektórzy przybyli już tu przyszedli i cicho rozmawiali. Cthosis przecisnął się przez gromadkę, zmierzając ku otwartej przestrzeni nad ścieżką wiodącą od bramy fortecy do podnóża urwiska.

Długi szereg sług przechodził przez bramę, niosąc kosze z jadłem przygotowanym na ucztę.

Przyglądał im się bez większego zainteresowania. Nagle spojrzął uważniej. Przez bramę przechodził potężnie zbudowany mężczyzna, niosąc na barkach barana.

Cthosis pospiesznie ruszył ku niemu, przekonany, że się pomylił. Jednak kiedy podszedł bliżej, serce mocniej zabiło mu w piersi. Mężczyzna nosił teraz gęstą brodę, ale tych wspaniałych oczu nie można było pomylić z innymi. Był to książę Ahmose.

Czy to cud? Drugi syn wielkiego faraona pracował jako sługa w fortecy Dardanos.

Mężczyzna zauważył go i uśmiechnął się.

– Wygląda na to, że wykorzystałeś swoją szansę, eunuchu – rzekł.

Cthosis spuścił głowę i skłonił się.

– Och, nie trzeba – powiedział Ahmose. – Jak widzisz, nie jestem już wnukiem faraona. Tak jak ty, jestem zbiegiem, za którego wyznaczono nagrodę.

– Przykro mi, panie. Byłeś dla mnie dobry.

– Nie musisz się litować. Jestem zadowolony. Służysz tutaj?

– Nie, panie. Jestem kupcem. Wyrabiam i sprzedaję ubrania. Byłoby dla mnie zaszczytem, gdybym mógł dostarczyć ci odzienie.

– Możesz przestać tytułować mnie panem... Cthosisie, tak?

– Tak, panie. Och... przepraszam.

Ahmose zaśmiał się.

– Teraz jestem znany jako Gershom.

– Jakie to dziwne – zauważył Cthosis. – Dawno nie słyszałem tego słowa. Mój lud tak nazywa cudzoziemców.

– Dlatego je wybrałem. Jesteś z pustynnego ludu?

– Tak... a raczej byłem. Zanim ojciec sprzedał mnie do pałacu.

– Dziwna rasa – rzekł Gershom. – Jednak nie mogę tu stać i rozmawiać o dawnych czasach. Czeka mnie praca przy przygotowaniu waszej uczy. – Klepnął Cthosisa w ramię. – Ramzes był wściekły, kiedy się dowiedział, że cię uwolniłem. Kosztowało mnie to dwieście talentów srebra i mojego najlepszego bojowego rumaka.

- Zawsze będę ci wdzięczny, panie. Gdybyś kiedyś czegoś potrzebował...

- Nie obiecuj, przyjacielu. Tych, którzy mi pomagają, mogą spotkać poważne przykrości.

- Mimo to, gdybyś czegoś potrzebował, wystarczy mi powiedzieć. Wszystko, co mam, jest do twojej dyspozycji.

2.

Helikaon opuścił zgromadzonych i wyszedł z pałacu. Stary wódz Pauzanasz próbował go zatrzymać, lecz on tylko pokręcił głową i odprawił go machnięciem ręki. Wspiąwszy się po wyslizganych stopniach na koronę muru, uniósł twarz ku niebu i oddychał głęboko, uspokajając się. Żołądek przestał podchodzić mu do gardła.

Zauważywszy przyglądającego się mu strażnika, wrócił do budynku i poszedł do starych królewskich komnat, na pokoje, które zajmował jako dziecko. Na podłodze leżał kurz, a drzwi na balkon były zasłane pajęczynami. Odgarnawszy je, wyszedł. Stare, rozklekotane krzesło wciąż tam stało, choć drewno wyblakło i popękało od słońca. Przyklęknął i przesunął palcami po wyrzeźbionym na oparciu koniu.

Na tym tronie zasiadał jako dziecko – król wymyślonego świata, w którym wszyscy byli zadowoleni i nie było wojen. W tamtych czasach nigdy nie marzył o bitwach i sławie. Zostawił krzesło, usiadł na zimnej posadzce i oparł głowę o niską balustradę balkonu. Zamknął oczy i zobaczył odciętą głowę leżącą na stole. Ten obraz stapiał się z innym – głowy Zidantasa.

Niemal słyszał słowa Woła. *Uważasz, że ten chłopiec w sali zasłużył na śmierć, żebyś mógł dopiąć swego? Nie mogłeś ich przekonać słowami, siłą swego umysłu? Czy wszystkimu, co robisz, musi towarzyszyć śmierć?*

Helikaon spoglądał na krzesło i widział małego chłopca, który na nim siedział.

- Czasem – powiedział mu – to konieczne. Kiedyś widziałem, jak Odyseusz otworzył pierś marynarzowi, żeby wyjąć tkwiący w niej grot strzały. Czasem trzeba brutalnie wypłenić zło.

Nie oszukuj się, odrzekł Wól. Nie próbuj uzasadniać zła i przedstawiać go jako dobro. Tak, ci ludzie będą cię teraz słuchać. Tak, królestwu już nie grozi anarchia. Tak, jesteś królem. Ojciec byłby z ciebie dumny!

W Helikaonie wezbrał gniew. To nie Wól do ciebie mówi, powiedział sobie. To twoja własna słabość. Ten człowiek został ostrzeżony, ale puścił ostrzeżenie mimo uszu. Jego śmierć pozwoliła dokonać tego, czego nie osiągnąłbym rzeką słów. Oto prawda!

Prawda to ladacznica, która ma wiele strojów, usłyszał w myślach głos Odyseusza. Widzimi się, że potrafi usprawiedliwić każdy postępek, obojętnie jak straszny.

W oddali przetoczył się grom i powiał zimny wiatr.

Helikaon wstał i obrzucił jeszcze jednym spojrzeniem swój dawny pokój, po czym wrócił do pokojów na parterze, gdzie umieszczono rannych marynarzy z jego załogi. Porozmawiał z każdym z nich, a potem

poszedł poszukać Attalosa.

Znalazł go w bocznym ogrodzie, z obandażowaną pierśią i bokiem. Siedząc samotnie w cieniu późno kwitnącego drzewa, strugał kawałek drewna. Helikaon podszedł do niego.

– Medyk mówi, że miałeś szczęście, mój przyjacielu. Sztylet o włos ominął twoje serce.

Attalos skinął głową.

– Dla ciebie też był to szczęśliwy dzień – rzekł.

– Zawsze dobrze mieć przy sobie przyjaciół. Zdziwiłem się, widząc cię tam. Oniakos powiedział, że postanowiłeś odejść.

– Ja też byłem zdziwiony – przyznał Attalos.

Helikaon usiadł obok niego. Mężczyzna nadal strugał kawałek drewna.

– Jeśli zechcesz wrócić do Troi, kiedy wydobrzejesz, dopilnuję, żebyś dostał dobrego konia i sakiewkę złota. Jednak zapraszam cię do pozostania w Dardanos i korzystania z mojej gościny przez zimę.

Attalos odłożył nóż i zgarbił się.

– Nic mi nie jesteś winien.

– Jestem coś winien każdemu, kto decyduje się walczyć u mego boku – szczególnie ludziom, którzy są już członkami mojej załogi.

– Po prostu tak wyszło. Miałem powody, żeby tam być. – Attalos przez moment siedział i milczał. Potem spojrzał na Helikaona. – To jeszcze nie koniec, wiesz.

– Wiem. Zabójcy Karporosowi zapłacono, żeby pozbawił mnie życia. Mówią, że jest najlepszym zabójcą wokół Wielkiej Zieleni. To on zamordował mojego ojca. Tutaj, właśnie w tej fortecy.

– Oniakos mówił mi, że nikt nie wie, kto zabił Anchizesa.

Helikaon usiadł naprzeciw Attalosa.

– Dowiedziałem się o tym dopiero niedawno. – Spojrzał na ogród. – To takie spokojne miejsce. Bawiłem się tu jako dziecko.

Attalos nic nie powiedział i znów zaczął strugać kawałek drewna.

– Odpoczywaj i wracaj do sił, Attalosisie. Gdybyś czegoś potrzebował, po proś, a zaraz ci to dostarczą.

Helikaon wstał, szykując się do odejścia.

– Nie jestem dobrym człowiekiem – powiedział nagle Attalos. Twarz miał czerwoną. – Wszyscy uważają mnie za dobrego człowieka. Nie podoba mi się to!

Ten wybuch zaskoczył Helikaona. Attalos zawsze sprawiał wrażenie chłodnego i opanowanego. Ponownie usiadłszy naprzeciw niego, bacznie mu się przyjrzał.

– Nikt z nas nie jest całkiem dobry – powiedział cicho Helikaon. – Dzisiaj kazałem zabić kogoś tylko po to, by dowieść, że nie żartuję. Może był dobrym człowiekiem. Wszyscy mamy wady, Attalosisie. Wszyscy dźwigamy brzemie naszych czynów. I myślę, że wszyscy za nie odpowiemy. Wiem o tobie tylko tyle, że okazałeś się lojalnym członkiem załogi i dzielnym towarzyszem. Wiem również, że zatrudnił cię Zidantas. Wól był dobrym sędzią ludzkich charakterów. Twoja przeszłość nie ma tu żadnego znaczenia. Liczą się tylko twoje obecne i przyszłe czyny.

– Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość są jednym – odparł

Attalos, wciąż zgarbiony. – Są, jakie są. I my jesteście tacy, jacy jesteście. Nic się nie zmienia.

– Nie wiem, czy to prawda. Moje życie odmieniło się już trzykrotnie. Raz, kiedy byłem mały i umarła mi matka. Ponownie, gdy Odyseusz przyплыł i zabrał mnie na *Penelope*. I wtedy, kiedy został zamordowany mój ojciec. To wspomnienie wciąż mnie prześladowuje. Odplynąłem stąd jako bojaźliwy chłopiec. Ojciec powiedział, że mną pogardza. Wróciłem jako mężczyzna, mając nadzieję, że będzie ze mnie dumny. – Helikaon zamilkł, zaskoczony tym, że dzieli się swoimi myślami z tym prawie obcym człowiekiem. Zauważył, że Attalos mu się przygląda. – Zwykle nie jestem taki rozmowny – rzekł zmieszany.

– Człowiek, który mówi swojemu dziecku, że nim gardzi – rzekł drżącym głosem Attalos – nie jest wart szczerzych szczyn. Czemu więc przejmować się tym, czy będzie dumny czy nie? – Wepchnął sztylet do pochwy, odrzucił strugane drewno i wstał. – Jestem zmęczony. Pójdę odpocząć.

Helikaon pozostał na miejscu, a szczupły marynarz wrócił do fortecy. „Nie jest wart szczerzych szczyn”. Prosta prawda zawarta w tych słowach przebiła wrzód jątrzącego się od lat niepokoju. Jakby nagle zdjęto mu ciężar z piersi. Anchizes nie był dla niego dobrym ojcem i nigdy się nim nie interesował. Był zimny i wyrachowany i przez długie lata dręczył osierocone i samotne dziecko. Attalos miał rację. I mroczny cień Anchizesa znikł z jego myśli niczym mgła w promieniach słońca.

XXVI. SKOK AFRODYTY

1.

Ta jesień i zima w Dardanii były najsroźsze, jakie pamiętano. Gwałtowne sztormy smagały wybrzeże. Wezbrane rzeki występowały z brzegów i zrywały mosty. Powodzie zmyły kilka niżej położonych wiosek. Z chaosu korzystały bandy rabusiów i bezpańskich najemników, żerujące na ludności.

Helikaon przemierzał ziemie Dardanii na czele swych wojsk, tropiąc złoczyńców. Jeszcze na początku zimy stoczył trzy bitwy. Dwie nie przyniosły rozstrzygnięcia, gdyż najemnicy uciekli w góry. W trzeciej okrążył i rozbił oddział liczący około siedmiuset zbrojnych. Przywódców kazał stracić, a około stu ocalałych sprzedać w niewolę.

Posłańcy z Troi nie przynosili dobrych wieści. Hektor wciąż się nie odnalazł, chociaż krótka wojna między Hetytami a Egipcjanami już się zakończyła. Po raz ostatni widziano trojańskiego księcia, kiedy walczył z przeważającymi siłami wroga, nie mając drogi ucieczki. Helikaon nie wierzył, by zginął. Ten człowiek był uosobieniem życia. Gdyby przygniotła go góra, wygrzebałby się spod niej. Gdyby pochłonęło go morze, wynurzyłby się na grzbiecie delfina.

Hektor był niezwyknięty.

Mimo to, w miarę jak upływały tygodnie, Helikaon coraz bardziej się niepokoił.

A jeśli to niewiarygodne okaże się prawdą?

Priam był zniechęcony przez większość swoich synów i wielu popleczników. Gdyby został obalony, wybuchłaby wojna domowa. Wszystkie przymierza stałyby się nieważne. Wojna nieuchronnie rozprzestrzeniłaby się i objęła wszystkie krainy na wschodnim wybrzeżu, gdzie synowie Priama zawarliby nowe sojusze. Handel bardzo by ucierpiał i strumień pieniędzy przestałby płynąć. Kupcy, wieśniacy, handlarze i hodowcy straciliby dochody. Nie mogąc sprzedać swego towaru, zaczęliby zwalniać pracowników. I coraz więcej ludzi nie miałoby na jedzenie. To z kolei doprowadziłoby do niepokoju i powiększenia się zbrojnych band. Agamemnon i Mykeńczycy nie posiadaliby się z radości. O ileż łatwiej mogliby zrealizować swoje plany, gdyby armie wschodu same się osłabiły w takim powszechnym rozlewie krwi.

Gdy z północy powiały pierwsze zimne wichry zimy, Helikaon wrócił do fortecy Dardanos. Królowa Halizja wydobrzała z odniesionych ran, ale rzadko pokazywała się publicznie. Helikaon próbował wciągnąć ją w obowiązki związane z rządzeniem, ale odmówiła.

– Wszyscy wiedzą, co mi uczyniono – powiedziała. – Widzę to w ich oczach.

– Ludzie kochają cię, Halizjo. I powinni. Jesteś dobrą królową. Postęпки niegodziwców tego nie zmieniają.

– Wszystko się zmieniło – odparła. – Słońce przestało dla mnie świecić.

Zostawił ją w spokoju, gdyż nie znalazł słów, które przeniknęłyby przez mury jej smutku. Tego popołudnia przyszedł do niego Pauzaniasz i powiedział, że z Troi przybył mykeński poseł.

– Odprawić go? – Stary wódz wyglądał na zdenerwowanego.

– Dlaczego miałbym to zrobić?

– On może wiedzieć o ataku na Pitros.

– Jestem pewien, że wie.

– Nie obawiasz się wojny z Mykeńczykami?

– Przyprowadź go do mnie, Pauzaniasz, a potem zostań ze mną, ale nic nie mów.

Poseł, chudy, rudowłosy mężczyzna, przedstawił się jako Erekos. Wszedł do megaronu i nie skłonił się.

– Pozdrawiam, królu Helikaonie. Mam nadzieję, że zastałem cię w dobrym zdrowiu.

– Istotnie, Erekosie. W czym możemy ci pomóc?

– Otrzymaliśmy niepokojące wieści z wyspy Pitros. Niedawno przybił tam statek. Znalaziono setki ciał. Wszystkie domy były puste i splądrowane, a kobiety i dzieci zniknęły.

– Uważaj to za mój dar dla króla Agamemnona.

– Twój dar? Wyspa Pitros to mykeńską ziemią.

– Rzeczywiście i taka też pozostaje – rzekł Helikaon. – Ponadto stała się ostoją piratów i z jej zatok ich galery napadały na statki kupieckie lub przybrzeżne osady. Zapewne wiesz, że moja forteca także została zaatakowana, a mój brat zabity.

Helikaon zamilkł. Przyglądał się wysłannikowi. Erekos odwrócił wzrok.

– Tak, doszły do nas... wieści o... tej zbrodni – wydukał. – Odrażającej. Jednak nie miałeś prawa wprowadzać zbrojnych oddziałów na mykeńską wyspę, nie spytawszy o zgodę króla Agamemnona.

– Mylisz się, Erekosie. Mój ojciec, Anchizes, zawarł z królem Atreuszem pakt, zgodnie z którym nasze kraje obiecały sobie pomagać w walce z piratami i rabusiami. Czyż mógłbym lepiej pomóc synowi Atreusza, niż przeganiając piratów z mykeńskiej wyspy, aby Wielka Zieleni stała się bezpieczniejsza dla mykeńskich statków kupieckich?

Erekos stał i milczał poblady.

– Chcesz, abym przekonał króla, że najechałeś mykeńską ziemię, aby złożyć mu w ten sposób dar?

– A jakże inaczej to nazwać? – zapytał Helikaon. – Dwustu martwych piratów i wyspa powróciła pod mykeńskie władanie. Możesz zapewnić króla, że z nadejściem wiosny moja flota nadal będzie polować na piratów i zabijać ich wszędzie, gdziekolwiek uda nam ich dopaść.

– Nie najedziesz ponownie mykeńskich ziem, królu Helikaonie.

– Mykeńskich ziem? – odparł z udawanym zdziwieniem Helikaon.

– Na bogów, czyżby piraci podbili następny kawałek mykeńskiego terytorium? To przykra wiadomość.

– Nie podbili – odparł Erekos. Jego głos brzmiał piskliwie i lekko się łamał. Poseł nabrał tchu, próbując się uspokoić. – Mówię, królu Helikaonie, że Mykeńczycy poradzą sobie ze wszystkimi piratami, którzy mogliby szukać schronienia na mykeńskiej ziemi.

– Ach, rozumiem – pokiwał głową Helikaon. – To kwestia dumy. Rozumiem i nie chciałbym zawstydząć króla Agamemnona. Tyle ostatnio wycierpiał. To musiało być dla niego okropnie irytujące.

– Irytujące? Nie rozumiem.

– To, że dwaj członkowie jego świty zeszli na złą drogę. Najpierw Alektruon, który – jak zrozumiałem – był ulubieńcem króla. Potem Kolanos też stał się piratem. Och, prawie zapomniałem, jest jeszcze Argurios, który podobno został ogłoszony zdrajcą i banitą. A teraz król dowiedział się, że piraci opanowali całą mykeńską wyspę... – Helikaon z udawanym współczuciem potrząsnął głową. – Zaczynam się zastanawiać, jakie jeszcze nieszczęścia mogą na niego spaść. Zapewnij jednak króla o mojej przyjaźni. A teraz zechcesz zostać i zjeść z nami obiad, Erekosie?

– Nie, królu Helikaonie – chociaż dziękuję ci za uprzejmość. Muszę wracać do Troi. Są tam pewne sprawy, które wymagają mojej uwagi.

Kiedy Erekos ich opuścił, Pauzanasz z szerokim uśmiechem na ustach podszedł do króla.

– Świetnie się bawiłem, mój królu. Z trudem powstrzymywałem się od śmiechu.

– Agamemnonowi nie będzie do śmiechu, kiedy to usłyszy.

– Myślisz, że wypowie nam wojnę?

– Wątpię. Jak mógłby wypowiedzieć wojnę przyjacielowi, który mu pomógł?

– Przecież to byli jego piraci.

– Istotnie, byli. My to wiemy i on to wie, ale nie inni królowie wokół Wielkiej Zieleni. Gdyby wypowiedział wojnę Dardanii z powodu ataku na piratów, przyznałby się, że to on stoi za pirackimi napadami.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz, mój królu.

2.

W środku zimy z Troi przybył inny posłaniec, Nasiq. Był to młody frygijski skryba zatrudniony przez jednego ze współników Helikaona. Przywiózł zwoje i wiadomości dotyczące zamówień na nadchodzący sezon handlowy oraz rozliczenia z poprzedniego. Ponadto był gawędziarzem i niepoprawnym plotkarzem. Helikaon lubił jego zimowe wizyty.

– Jakie wieści, Nasiq, przyjacielu? – zapytał, gdy usiedli przy posiłku w królewskich komnatach.

Szczupły Frygijczyk podniósł ze srebrnej misy pulpecik jagnięcy w liściu winorośli.

– Och, mój drogi panie, jest tyle do opowiadania. Od czego mam zacząć?

– Co z Hektorem?

– Żadnych wieści. Wielu żołnierzy Trojańskiego Konia wróciło już do miasta. Inni pozostali w Kadesz z hetyckimi wojskami, szukając go. Nie wygląda na to, żeby miały przyjść jakieś dobre wieści. Kiedy widziano go ostatnio, razem z pięćdziesięcioma swoimi ludźmi był otoczony przez znacznie liczniejszych nieprzyjaciół i już zapadała noc.

– Jakie nastroje w mieście?

– Rozmaite. Dwaj synowie Priama, Isos i Pammon, uciekli z Troi. O ile mi wiadomo, mieli być aresztowani.

– Znam ich obu. Żaden nie ma dość sprytu, by zorganizować przewrót, ani zwolenników, których mógłby nakłonić do buntu.

– Zgadzam się. Musieli służyć komuś innemu. Gruby Antifones został pozbawiony tytułów i jest trzymany pod strażą w domu. Spotykał się w tajemnicy z mykeńskim posłem Erekosem.

– Zetknąłem się z nim – rzekł Helikaon. – Zimny i nieprzyjemny człowiek. Jednak zdziwiłbym się, gdyby to Antifones był zdrajcą. Jego bardziej interesuje jedzenie niż władza. Prędzej Polites. Nie jest wojownikiem, ale ma bystry umysł.

– A Priam podobno dosiada jego żony. Plotka głosi, że dwaj synowie Politesa są ciekawie skoligaceni. Ich ojciec jest zarazem ich dziadkiem.

Helikaon zachichotał i pokręcił głową.

– Doprawdy jesteś okropnym plotkarzem, Nasiq. Wstydzę się, że to mnie bawi. – Uśmiech zgasł mu na ustach. – Jednak to może być Polites albo Agaton.

– Agaton zawsze był równie lojalny jak Hektor – przypomniał Nasia.

– Głównie z powodu Hektora. Są dobrymi przyjaciółmi. Jednak Priam nie faworyzuje Agatona. Nigdy tego nie robił. Porównuje go z Hektorem. Pamiętam, jak kiedyś publicznie powiedział, że Agaton i Hektor są jak dwa identyczne posągi, tylko że jeden odlany ze złota, a drugi z miedzi. – Helikaon zaklął. – Priam to niemiły człowiek i zawsze potrafi znaleźć zniewagę, która rani najdotkliwiej.

– Czy jest tam ktoś na wysokim stanowisku, kogo Priam nie obraził? – zapytał Nasiq.

– Zapewne nie. Porozmawiajmy o czymś innym. Może o pani Andromasze?

– Ach, mam o niej cudowne opowieści! – Nasia zawahał się. – Jesteś z nią zaprzyjaźniony?

– A jaka to różnica dla tych opowieści?

– Sam nie wiem. Cała Troja o niej mówi... z wielu powodów. Dobrych i niedobrych.

– Nie chcę słyszeć o niej niczego złego – uciał ostro Helikaon. Przez otwarte drzwi balkonu wpadł wiatr i zatrzepotał płomieniem lampy. Nasiq przez chwilę siedział i milczał. Potem uśmiechnął się krzywo.

– Jesteś więc wyjątkiem.

Helikaon odprężył się.

– Opowiadaj – zachęcił.

– Bardzo dobrze. Słyszałeś, że uratowała królowi życie?

Helikaona najpierw to zaskoczyło, a potem rozbawiło.

– Czy to jedna z tych bajek w stylu Odyseusza, zakończona sprytną i zabawną puentą?

– Nie, to prawda – rzekł Nasiq.

Helikaon słuchał, gdy Frygijczyk opowiadał o zawodach łuczniczych i o tym, jak Andromacha zabiła zamachowca.

– Ten zdrajca dopadł króla i już miał mu zadać cios włócznią, gdy

strzała Andromachy przebiła mu serce. Król chwalił ją przed tłumem, mówiąc, że w istocie jest godną oblubienicą dla Hektora.

– Na bogów – szepnął Helikaon – taka kobieta to skarb.

– Książę Agaton najwyraźniej zgadza się z tobą. Powiadają, że poprosił Andromachę, żeby za niego wyszła, jeśli Hektor nie wróci.

– Czy ona... przyjęła oświadczenia Agatona?

– Nie wiem – odparł Nasiq. – Oczywiście byłaby głupia, gdyby odmówiła. On jest młody, bogaty, a... w pewnych okolicznościach... może któregoś dnia zostanie królem.

– Co jeszcze możesz mi powiedzieć o Andromasze?

Nasiq zachichotał.

– Pływała z nagim mężczyzną na oczach członków królewskiego rodu.

– To plotka czy prawda? – spytał Helikaon, wstrzymując gniew.

– Prawda, panie. Mój przyjaciel był w tym czasie na królewskiej plaży. Córka króla, Laodike, zaprosiła na plażę rannego mykeńskiego wojownika. Podobno została z niego tylko skóra i kości. Ledwie dychał. Andromacha poszła z nim pływać.

– Argurios – rzekł Helikaon.

– Tak, to był on. Mówią, że jest sławny.

– Mów dalej.

– Kiedy wyszli z wody, książę Deifobos naskoczył na nią, a wtedy Mykeńczyk go wyzwał. To powinno być zabawne. Taki szkielet chce walczyć na miecze. Jednak Deifobos się przestraszył. Agaton przyszedł mu z pomocą i załagodził sytuację. O kim jeszcze chciałbyś usłyszeć?

– Czy to miałeś na myśli, mówiąc o niedobrych powodach?

Nasiq wyciągnął się na fotelu.

– Teraz wciągasz mnie na niebezpieczny grunt, Złocisty. Już jasno dałeś do zrozumienia, że ta dama jest twoją przyjaciółką i nie chcesz słyszeć o niej nic złego. Co mam ci powiedzieć?

Helikaon przez chwilę nie odzywał się.

– Opowiedz mi wszystko – rzekł w końcu.

– Kiedy tutaj przybyłem, pałacowa służba mówiła o człowieku, który obraził cię podczas ostatniego zebrania. Podobno jego głowa została wystawiona na publiczny widok. Ja lubię swoją głowę.

– Twoja głowa jest bezpieczna, Nasiq. Jesteś zbyt dobrym plotkarzem, żeby cię zabijać. Moje zimowe wieczory byłyby bez ciebie zbyt nudne.

– Bardzo dobrze, ale pamiętaj, że sam o to prosiłeś. Kreuza twierdziła, że zastała ją figlującą nago ze służącą. Doniosła o tym królowi, który kazał służącą wychłostać i wygnać z pałacu. Andromacha była wściekła i publicznie oskarżyła Kreuzę o intrygowanie. Ta spoliczkowała ją, a Andromacha uderzyła ją pięścią. Mówią, że to był piękny cios. Podbródkowy, według jednego ze świadków. Kreuza straciła przytomność i musiano ją zanieść do łóżka. Wszyscy oczekiwali, że Andromacha zostanie w niesławie odesłana do ojca. Jednak Priam postanowił zignorować ten incydent. Zapewne dlatego, że zawdzięcza jej życie. Teraz pałac trzęsie się od plotek o królu i Andromasze.

– Dość już usłyszałem – rzekł stanowczo Helikaon. – Jak się ma

królowa Hekabe?

– Wciąż trzyma się przy życiu. Nawet przyjmuje gości. Najmłodsza córka króla Sparty bawi w jej pałacu. Oficjalnie jest tam po to, żeby znaleźć odpowiedniego męża. Jednak powszechnie uważa się, że ojciec przysłał ją do Troi, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo. Mykeńskie wojska gromadzą się przy granicach Sparty. Na wiosnę zapewne będzie wojna. A mała spartańska armia nie zdoła powstrzymać sił Agamemnona.

Rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł Pauzaniasz.

– Przepraszam, że przeszkadzam, panie – powiedział. – Muszę porozmawiać z tobą... na osobności.

Nasiq wstał.

– Sprawy królestwa zawsze mają pierwszeństwo – powiedział, uśmiechając się do Pauzaniaza, i opuścił pokój.

– Co się stało? – zapytał Helikaon.

– Królowa opuściła swe pokoje. Jej pokojowa twierdzi, że widziała, jak idzie w kierunku Skoku Afrodyty. – Stary dowódca zbladł. – Przepraszam, mój królu. To moje niedopatrzenie.

– Znajdę ją – rzekł Helikaon.

3.

Pnać się kamienistą ścieżką w słabym świetle poranka, Halizja ledwie rozróżniała mgłę, która unosiła się znad skraju przepaści i płożyła wokół jej bosych nóg, od czarnych oparów zasnuwających jej myśli. Ludzie mówią o złamanym sercu, ale mylą się. Złamanie to coś kompletnego. Zakończonego. Minionego. A to uczucie nigdy jej nie opuszczało. Jak nie gojąca się rana, głęboka i poszarpana, jakby szczęki z brązu wbiły się w miękką tkankę jej serca. Umysł stał się okrutnym wrogiem, jedynie na krótkie chwile zapominając o rzeczywistości. Czasem nie pamiętała, że Dio został zamordowany. Spoglądała na czyste niebo i uśmiechała się, zadając sobie pytanie – tylko przez chwilę – gdzie on jest. Potem nagle przypominała sobie prawdę i brązowe szpony znów zaciskały się na jej zranionym sercu.

Poranny wietrzyk był chłodny zapowiedzią deszczu. Od dawna nie szła tą ścieżką. Nazywali tę skałę Skokiem Afrodyty, chociaż tylko szeptem i za plecami starego króla. Jego pierwsza żona rzuciła się z tego urwiska na poszarpane skały kilkaset stóp niżej. Halizja wiele razy słyszała tę opowieść.

Podeszła do krawędzi klifu i spojrzała w dół. Na morzu zalegała gęsta mgła i królowa zaczęła się zastanawiać, jak by to było, gdyby zrobiła jeszcze jeden krok, runęła w przepaść i zakończyła swą udrękę.

Opadły ją wspomnienia. Przypomniła sobie jasne dni dzieciństwa w Zelei, gdy razem z braćmi przepędzała w lecie stada koni z pastwisk nad ciemną rzeką Aesipos do miast na wybrzeżu. Całymi dniami jej stopy rzadko dotykały ziemi, gdy jechała owinięta ciepłym kocem na grzbiecie łagodnej klaczy, słuchając odgłosów nocnego życia równin.

Dio też był już nieustraszonym jeźdźcem i zamierzała zabrać go na nocną wycieczkę, rozbić obóz pod gwiazdami...

Niebo jaśniało, lecz spowijająca jej umysł mgła wciąż gęstniała. Halizja przystanąła i osunęła się na klęczki. Siły opuszczały ją jak woda

wyciekająca z pękniętego kubka. Wydawało jej się, że za plecami słyszy kroki, ale nie mogła się odwrócić.

Jej udreżony umysł ponownie wrócił do przeszłości, do miłych wspomnień z pierwszych dni pobytu w Dardanos. To prawda, że nie była wtedy szczęśliwa: miała dopiero siedemnaście lat, tęskniła za domem i bała się starszego od siebie mężczyzny, którego miała poślubić. Teraz jednak uważała, że był to dobry czas, ponieważ szybko zaszła w ciążę i urodziła Diona. Anchizes nie był złym mężem, a kiedy przestał myśleć o Eneasz, ona stała się matką syna, w którym pokładał wszystkie swe nadzieje. Podarował Dionowi konika, wspominała z uśmiechem, którego wyrzeźbił z jasnego drzewa. Zabawka była toporna, gdyż nie był zręcznym rzeźbiarzem, ale dorobił jej grzywę oraz ogon ze złotej blachy i wstawił błękitne oczy z lapis-lazuli.

Przypomniała sobie błękitne oczy Garusa, swego osobistego strażnika. Miał miękkie jasne rzęsy, które delikatnie opadały na policzki, gdy zasypiał. Lubiła go budzić, patrzeć, jak otwiera oczy i spogląda na nią z miłością i podziwem.

Padł w ostatniej rozpaczliwej walce, z piersią przeszytą włócznią i mieczem tkwiącym w brzuchu, wciąż usiłując obronić ją i jej syna. Umarł, zanim ją zgwałcili. Cieszyła się z tego. Nie widział i tego, jak zrzucili Diona z muru fortecy.

Usłyszała ciche zawodzenie. Dochodziło z jej własnych ust, ale nie mogła go powstrzymać.

– Halizjo! – dobiegł ją z mgły inny głos. – Halizjo!

Wróciła myślami do dzieciństwa i ojca trzymającego ją w ramionach, uśmiechającego się do niej. Rزتaczał woń koni i wygarbowanych skór, które zawsze nosił. Wyciągnęła rękę i pociągnęła za natłuszczone kędziory jego brody. Roześmiał się i mocno ją przytulił.

Poczuła, jak obejmują ją jego ramiona, delikatnie i czule.

– Halizjo. To ja, Eneasz. Wróć do mnie.

Eneasz. Nazywali go Helikaonem. W jej umyśle było wielu Eneasz, wielu Helikaonów. Był nieśmiały, bojaźliwy chłopiec, którego ledwie zauważała, zaprzątnięta miłością do swojego dziecka. Pewnego dnia znikł, odpłynawszy na obcym statku, i Anchizes powiedział, że już nigdy nie wróci. Jednak wrócił, tamtego strasznego dnia. Gdy Anchizes zginął, była pewna, że Eneasz zmusi ją do samobójstwa albo każe ją zabić razem z jej synem. Jednak nie zrobił tego. Znow odpłynął po kilku dniach, pozostawiając Diona na tronie, a ją bezpieczną pod opieką Garusa i starego Pauzanasza. To były najszcześniejsze lata...

– Halizjo, spójrz na mnie. Patrz na mnie!

Popatrzyła, ale to nie ojciec trzymał ją w objęciach. On miał piwne oczy – te były niebieskie. Pamiętała niebieskie oczy...

– Halizjo! – Potrząsnęły nią silne dłonie. – To ja, Eneasz. Powiedz: Eneasz.

– Eneasz. – Zmarszczyła brwi i rozejrzała się. Zobaczyła zdradliwą krawędź klifu i szare morze w dole. – Co ty tu robisz?

– Twoja pokojówka widziała, jak tu szłaś. Obawiała się o twoje życie.

– Moje życie? Ja nie mam życia. – On znow przyciągnął ją do

siebie i oparła policzek na jego ramieniu. – Mój syn był całym moim życiem, Eneaszu – powiedziała spokojnie. – Bez niego nie ma dla mnie życia.

– On teraz spaceruje po zielonych Polach Elizejskich – rzekł. – A twój strażnik... zwał się Garus?... trzyma go za rękę.

– Wierzysz w to? – zapytała, badawczo spoglądając mu w oczy.

– Tak, wierzę.

– Czy wierzysz również w moc snów?

– Snów?

– Kiedy leżałam... myśląc, że umieram... miałam wiele snów, Eneaszu. I wszystkie prócz jednego były przerażające. Widziałam morze pełne statków przewożących okrutnych ludzi. Widziałam wojnę, Eneaszu. Widziałam upadek królów i śmierć herosów. Och... i tyle śmierci. – Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. – Czy wierzysz w moc snów?

Odprowadził ją dalej od krawędzi urwiska i usiedli na zielonym zboczu.

– Odyseusz mówi, że są dwa rodzaje snów – powiedział. – Jedne zrodzone z mocnego wina i obfitości jadła, a drugie zesłane przez bogów. To oczywiście, że śnisz o przelewie krwi i wojnie. Napadli na ciebie źli ludzie. Twój umysł jest pełen obrazów ich niegodziwości.

Jego słowa wlały się strumieniem w jej serce i uczepiła się nadziei, że są prawdziwe. Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. Potem westchnęła.

– Garus kochał mnie. Zamierzałam cię zapytać, czy miałbyś coś przeciwko naszemu małżeństwu. Tamtej nocy odebrali mi obie moje miłości, Eneaszu. Mojego Diona i Garusa o wielkim sercu.

– Nie wiedziałem. I nie, nie sprzeciwiałbym się temu. Był dobrym człowiekiem. Jednak jesteś jeszcze młoda, Halizjo, i piękna. Jeśli bogowie pozwolą, znów znajdziesz miłość.

– Miłość? Mam nadzieję, że nie, Eneaszu. Tak, ona była jedyną jasną i radosną częścią tego snu. Jeśli jednak on miałby się ziścić, czy to nie oznaczałoby, że ziszczą się również inne wizje, wojny i śmierci?

– Nie mam odpowiedzi na takie obawy – rzekł. – Wiem tylko, że jesteś królową Dardanii i lud cię kocha. Nikt nie zwróci się przeciwko tobie i dopóki żyję, już nikt ci nie zagrozi.

– Kochają mnie teraz – powiedziała ze smutkiem. – Czy nadal będą mnie kochać, kiedy narodzi się potwór?

– Jaki potwór?

– Bestia w moim brzuchu – szepnęła do niego. – To zło, Eneaszu. To Mykeńczyk.

Ujął jej dłoń.

– Nie wiedziałem, że jesteś brzemienna. Przykro mi, Halizjo. – Westchnął. – Jednak to nie potwór. To tylko dziecko, które będzie cię kochało tak jak Dio.

– To będzie chłopiec, ciemnowłosy i szarooki. To też widziałam.

– Zatem będzie księciem Dardanii. Ludzie stają się źli, Halizjo. Nie wierzę, że tacy się rodzą. Obojętnie jak zostali poczęci.

Odprężyła się w jego ramionach.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Eneaszu.
– Przyjaciele nazywają mnie Helikaonem. Chciałbym, żebyśmy byli przyjaciółmi.

– Jesteśmy – powiedziała. – I zawsze będziemy.
Uśmiechnął się.

– To dobrze. Za kilka dni wyruszam do Troi. Chcę, żebyś razem z Pauzaniaszem spotykała się z przywódcami ludu i rozwiązywała problemy. Oni ci ufają, Halizjo. A teraz, kiedy zobaczyli, jaki potrafisz być bezwzględny, będą bardziej skłonni usłuchać twoich mądrych rad. Czy jesteś gotowa znowu być królową?

– Zrobię, jak mówisz – odparła. – Ze względu na naszą przyjaźń.

I wtedy znów miała wizję, jasną i promienną. Helikaon stał przed nią w białym chitonie obszytym złotą nicią, a w dłoni trzymał naszyjnik z drogich kamieni.

Zamknęła oczy i modliła się żarliwie, żeby nigdy nie przyniósł jej tego daru.

4.

Młody hetycki jeździec galopował po równinie, nisko pochylony nad końskim karkiem, w rozwianym w pędzie długim płaszczu w królewskie zielono-żółte pasy.

Ponownie spojrzął na zachodzące słońce i zobaczył, że chowa się za horyzontem. Po zmroku nie mógł jechać przez ten nieznany kraj, więc pochylił się jeszcze niżej, popędzając wierzchowca. Chciał dotrzeć do Troi przed zachodem słońca.

Był w drodze od ośmiu dni i pięciokrotnie zmieniał konie, początkowo codziennie w królewskich garnizonach. Jednak w tym nie widniejącym na żadnych mapach zachodnim krańcu imperium nie stacjonowały oddziały wojska i ten rumak musiał donieść go aż do Troi. Od kiedy opuścił Salapę, ostatnie cywilizowane miasto państwa Hetytów, podążał drogą, której wyuczył się na pamięć: niech wschodzące słońce grzeje cię w plecy, zachodzące masz mieć między uszami konia, a po czterech dniach zobaczysz wielką górę zwaną Ida. Tam skęcisz na północ i dotrzesz do Troi oraz morza.

Posłaniec imieniem Huzziyas nigdy nie widział morza. Przez całe swoje dziewiętnaście lat mieszkał w stolicy, Hattusas, albo w pobliżu niego, w samym sercu hetyckiego imperium. To była jego pierwsza ważna misja jako królewskiego posłańca i zamierzał wykonać ją szybko i sprawnie. A kiedy już to zrobi, popatrzy sobie na to morze. Kolejny raz podniósł dłoń do piersi i nerwowo dotknął listów schowanych pod skórzanym kaftanem.

Teraz jechał po rozległej zielonej równinie. Przed sobą widział oświetlony słońcem płaskowyż. Jego ostatnie promienie odbijały się od czegoś. Troja ma złote dachy, powiedzieli mu, ale on się zachnął.

– Macie mnie za głupca? – zapytał. – Jeśli ma dachy ze złota, to dlaczego nie przyjdą bandyci i ich nie ukradną?

– Zobaczysz – odparli.

Kiedy dotarł do miasta, już prawie zapadł zmrok. Nie widział nic prócz unoszących się nad nim wielkich ciemnych murów. Nagle jego

pewność siebie wyparowała i znów poczuł się jak mały chłopiec. Poprowadził zmęczonego wierzchowca na południe, tak jak mu kazano, aż dotarł do wysokiej drewnianej bramy. Jednak jej połowa była uchylona i czekało tam na niego sześciu milczących mężczyzn. Byli pod bronią, w zbrojach oraz w grzebieniastych hełmach i siedzieli na wysokich rumakach.

Odkaszlnął, żeby oczyścić gardło z pyłu drogi, po czym wypowiedział słowa w obcym języku, których go nauczono:

– Przybywam z Hattusas. Mam wiadomość dla króla Priama!

Wpuszczono go i powoli przejechali przez bramę. Dwaj jeźdźcy trzymali się przed nim, dwaj po bokach i dwaj za nim. Jadąc ciemnymi ulicami, nie odzywali się. Huzziyas rozglądał się z zaciekawieniem, ale w świetle pochodni niewiele mógł zobaczyć. Powoli pięli się ku cytadeli.

Minęli bramę pałacu i stanęli przed wielkim budynkiem wspartym na rzędach czerwonych kolumn i oświetlonym setkami pochodni. Jeźdźcy czekali, nie zsiadając z koni, aż przyszedł jakiś mężczyzna w długiej i białej szacie. Miał szarą twarz i podkrążone, załzawione oczy. Spojrzał na Huzziyasa.

– Jesteś królewskim posłańcem? – warknął.

Huzziyas z ulgą usłyszał hetycką mowę.

– Jestem – odparł z dumą. – Jechałem kilka dni i nocy, żeby dostarczyć ważną wiadomość trojańskiemu władcy.

– Daj mi ją.

Mężczyzna niecierpliwie wyciągnął rękę. Hetyta wyjął cenny list. Zrolowano go na kawałku drewna i opatrzono królewską pieczęcią, a następnie umieszczono w drewnianej tulei, której oba końce również zapieczetowano. Huzziyas uroczyście wręczył rurę mężczyźnie o załzawionych oczach, który prawie wyrwał mu ją z rąk, złamał pieczęcie, ledwie rzuciwszy na nie okiem, i rozwinął zwój.

Zmarszczył brwi i Huzziyas ujrzał na jego twarzy rozczarowanie.

– Wiesz, co tu jest napisane? – zapytał młodego posłańca.

– Wiem – odparł dumnie Huzziyas. – Napisano, że król przybywa.

XXVII. UPADEK KSIĘCIA

1.

Od pierwszego spotkania z Arguriusem Laodike coraz częściej myślała o tym mykeńskim wojowniku. To było bardzo dziwne. Nie był przystojny, jak Helikaon czy Agaton. Miał kanciaste i nieregularne rysy. Z pewnością nie był czarujący i chyba nie najbystrzejszy. A mimo to niezwykłym niepokojącym sposobem zdominował jej myśli.

Na plaży czuła niemal matczyną chęć, by pomóc mu wrócić do sił, patrzeć, jak znów staje się takim mężczyzną, jakim był kiedyś. A przynajmniej od tego się zaczęło. Teraz myślała o nim niemal obsesyjnie i zdała sobie sprawę, że za nim tęskni.

Ksander opowiedział jej o żołnierzu, który zaprowadził Arguriosa na plażę i odnosił się do niego z ogromnym szacunkiem. Laodike знаła Polidorosa, więc przywołała go pewnego popołudnia, gdy jasnowłosy żołnierz miał wolne i szedł przez pałacowy ogród.

– Ładny dzień – zaczęła. – Chyba pierwszy w tym roku.

– Istotnie – odparł. – Czy potrzebujesz czegoś?

– Nie, wcale nie. Chciałam... podziękować ci za uprzejmość, jaką okazałeś temu rannemu Mykeńczykowi. Mówił mi o tym ten chłopak, Ksander.

Teraz zrobił rozbawioną minę i Laodike zmieszała się jeszcze bardziej.

– Przepraszam. Najwyraźniej spieszysz się, a ja cię zatrzymuję. Idziesz do podgrodzia?

– Tak, mam się spotkać z rodzicami mojej narzeczonej. Najpierw jednak muszę znaleźć dla nich jakiś prezent.

– Jest taki złotnik – powiedziała – przy ulicy Thetis. Robi przepiękne posążki bogini Demeter oraz małej Persefony. Mówią, że one przynoszą szczęście.

– Słyszałem o nich, ale obawiam się, że nie stać mnie na coś takiego.

Laodike poczuła się głupio. Oczywiście. Był żołnierzem, nie szlachcicem. Nie posiadał bogatych włości, stad ani statków. Polidoros czekał i sytuacja stawała się niezręczna. W końcu Laodike nabrała tchu.

– Co wiesz o tym Mykeńczyku? – zapytała.

– To wielki wojownik – odparł z ulgą Polidoros. – Słuchałem opowieści o nim, kiedy byłem chłopcem. Walczył w wielu bitwach i za panowania starego króla dwukrotnie zwyciężył w mykeńskich igrzyskach. Słyszałaś o partyjskim moście?

– Nie.

– Mykeńczycy cofali się. Rzadko się to zdarza! Przeszli po moście, ale nieprzyjaciel był tuż za nimi. Argurios stanął na moście i rzucił wrogom wyzwanie. Jeden po drugim stawali przeciwko niemu, lecz on pokonał każdego, kto przeciwko niemu wystąpił.

– Dlaczego nie rzucili się na niego hurmem? Przecież jeden człowiek nie zdołałby ich zatrzymać?

– Zapewne nie. Może cenili jego odwagę. A może chcieli sprawdzić się w walce z najlepszym. Nie wiem.

– Dziękuję, Polidorosie – powiedziała. – A teraz idź już i znajdź ten prezent.

Skłonił się i odwrócił, żeby odejść. Pod wpływem nagłego impulsu Laodike wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia. Młody żołnierz był wstrząśnięty.

– Idź do tego złotnika – powiedziała z uśmiechem. – I powiedz mu, że ja cię przysłałam. Wybierz ładny posążek i każ mu przyjść do mnie po zapłatę.

– Dziękuję. Ja... nie wiem, co powiedzieć.

– Zatem nic nie mów, Polidorosie.

Tego popołudnia poszła do Domu Węży – oficjalnie, aby odebrać następne lekarstwa dla Hekabe. Jednak tak naprawdę to kręciła się tam, aż zauważyła Arguriosa. Rąbał drzewo. Stała w cieniu kępy drzew i przyglądała mu się. Trochę przybrał na wadze, a jego ruchy były zwinne i zręczne, topór wznosił się i opadał, rąbiąc drwa na równe szczapy.

Stała przez chwilę, usiłując wymyślić coś, co mogłaby mu powiedzieć. Żałowała, że nie włożyła bardziej kolorowej sukni, a do niej tego złotego naszyjnika z dużym szafirem. Wszyscy mówili, że jest ładny. Potem przypomniała sobie ponurą prawdę i podupadła na duchu. Masz pospolitą urodę, powiedziała sobie. Nawet sterta złota i biżuterii tego nie zmieni. I zaraz wyjdiesz na idiotkę.

Odwróciła się i zamierzała wrócić do pałacu, ale zrobiła za ledwie kilka kroków, gdy zza rogu budynku wyszedł uzdrowiciel Machaon i zobaczył ją. Skłonił się nisko.

– Nie wiedziałem, że tu jesteś, Laodike – rzekł. – Czy stan twojej matki się pogorszył?

– Nie. Ja tylko... wyszłam na spacer – odparła, rumieniąc się.

Spojrzał nad jej ramieniem na wciąż pracującego Arguriosa.

– Jego ozdrowienie to zdumiewająca rzecz – powiedział. – Oddycha prawie normalnie i szybko wraca do sił. Oby wszyscy moi pacjenci wykazywali taką determinację. Jak się masz, Arguriosie?! – zawołał.

Mykeńczyk wbił topór w pień i odwróciwszy się, ruszył ku nim przez trawę. Laodike starała się oddychać normalnie, ale była bliska paniki.

– Pozdrawiam – rzekł Argurios.

– Ja ciebie również, wojowniku – powiedziała. – Widzę, że już prawie wydobrzałeś.

– Tak, znów czuję się silny.

Zapadła cisza.

– No cóż – przerwał ją z domyślnym uśmiechem Machaon. – Muszę zajrzeć do moich pacjentów.

Skłoniwszy się ponownie, odszedł.

Laodike stała, nie wiedząc, co powiedzieć. Spojrzała na Arguriosa. Policzki miał ogolone, brodę przyciętą, a pierś błyszcząca od potu.

– Ładny dzień – zdołała wykrztusić. – Jak na tę porę roku, chciałam powiedzieć.

Niebieskie niebo było usiane chmurami, lecz w tym momencie

słońce świeciło jasno.

– Cieszę się, że przyszedłeś – powiedział nagle Argurios. – Ciągłe o tobie myślałem – dodał niezręcznie, nie odrywając od niej oczu.

Nagle zdenerwowanie opuściło Laodike i poczuła, że jest zupełnie spokojna. W głębokiej ciszy, która zapadła po jego ostatnich słowach, zauważyła, że Argurios jest wyraźnie skrepowany.

– Nigdy nie umiałem mówić inaczej jak prosto z mostu – rzekł.

– Może chciałbyś pospacerować chwilę w słońcu. Chociaż najpierw chyba powinieneś włożyć chiton.

Przeszli przez ogrody i do podgrodzia. Argurios niewiele mówił, lecz milczenie wcale im nie przeszkadzało. W końcu usiedli na kamiennej ławce przy studni. Obejrzawszy się, zauważyła dwóch mężczyzn, którzy przyszli za nimi i usiedli nieco dalej pod murem.

– Znasz ich? – zapytała, wskazując palcem.

Spochmurniał.

– Wynajął ich Helikaon, żeby mnie chronić. Na noc przychodzą inni i stoją pod drzewami.

– To miło z jego strony.

– Miło!

– Dlaczego to cię złości?

– Helikaon to mój wróg. Nie chcę mu niczego zawdzięczać. – Spojrzał na dwóch ochroniarzy. – I nawet niewykształony mykeński żołnierz przepędziłby tych głupców w gnieniu oka.

– Jesteś dumny ze swych ziomków.

– Jesteśmy silni. Nieustraszeni. Tak, jestem dumny.

Do studni podeszła gromadka kobiet z pustymi wiadrami. Laodike i Argurios poszli dalej, w górę zbocza i ku Bramie Skajskiej. Przeszli pod nią, wspięli się po schodkach na wysoki mur i pomaszerowali wzdłuż blanków.

– Dlaczego zostałeś skazany na banicję? – zapytała Laodike.

Wzruszył ramionami.

– Przez kłamstwa, którym dano wiarę. Nie mogę tego pojąć. Na królewskim dworze są ludzie, których mowa jest niczym miód. Sączą pochlebstwa do królewskich uszu. Ze starym królem mogłem rozmawiać. Atreusz był żołnierzem – był wojownikiem. Można było usiąść z nim przy ognisku, jak z każdym towarzyszem broni.

Znów zapadła cisza. Nie niepokoiła Laodike, która dobrze się czuła w towarzystwie Arguriosa, ale on był coraz bardziej zakłopotany.

– Nie umiem rozmawiać z kobietami – rzekł niezręcznie. – Nie wiem, co je interesuje. Żałuję, że nie wiem.

Roześmiała się.

– Życie – powiedziała. – Narodziny i dorastanie. Kwiaty, które zakwitają i więdną, pory roku przynoszące słońce lub deszcz. Stroje odzwierciedlające piękno, które nas otacza: błękitu nieba, zieleni traw, złota słońca. Jednak najbardziej interesują nas ludzie. Ich życie i marzenia. Czy masz w Mykenach rodzinę?

– Nie. Moi rodzice umarli przed laty.

– Nie masz żony?

– Nie.

Laodike znów zamilkła. Spojrzała na zatokę. Teraz było w niej niewiele statków, nie licząc kilku łodzi rybackich.

– Byłeś bardzo nieuprzejmy dla Diosy – zauważyła.

– Nie podobało mi się, jak do ciebie mówił – odparł i znów ujrzała w jego oczach gniew.

Słońce było już nisko na niebie.

– Muszę wracać – powiedziała Laodike.

– Odwiedzisz mnie jeszcze?

Jego zdenerwowanie było wyraźnie widoczne, co dało jej pewność siebie, jaką rzadko odczuwała w obecności mężczyzn.

– Może przyjdę jutro.

Uśmiechnął się.

– Mam nadzieję – powiedział.

Przez dziesięć dni odwiedzała go codziennie i razem chodzili na mury. Niewiele rozmawiali, ale te spacerowanie cieszyły ją bardziej niż cokolwiek w jej dotychczasowym życiu. Szczególnie ta chwila, gdy potknęła się na schodach, a on ją podtrzymał. Przytuliła się do niego i oparła głowę na jego ramieniu. To była wspólna chwila i Laodike pragnęła, żeby trwała wiecznie.

2.

Andromacha pomyślała, że jeszcze nigdy nie widziała tak wysokiego człowieka jak król Hetytów. Hattusilis był jeszcze wyższy niż Priam i prawie w tym samym wieku, ale idąc, garbił się, i była przekonana, że ma chore stopy, gdyż powłóczył nogami, jakby bał się je unieść wyżej.

Był tak chudy, że niemal wycieńczony, a czarne włosy miał natłuszczone i częściowo zakryte dopasowaną mycką. Rozglądając się po wielkim, pełnym złota megaronie Priama, wyglądał dziwnie nie na miejscu w swoim zwykłym skórzanym stroju do konnej jazdy. Wjechał do miasta na koniu, ale Andromacha wiedziała, że Hetyci obozowali przez noc na równinie Simoeis, żeby ich król mógł odpocząć, oraz że większość drogi ze stolicy przejechał on w obszernym, wygodnym rydwanie.

Hattusilis nosił dwa zakrzywione miecze – jeden za pasem, a drugi obnażony w dłoni. Andromacha domyślała się, że długie negocjacje prowadzone od rana przez obie strony dotyczą głównie zgody na to. Towarzyszyła mu świta eunuchów i doradców we wzorzystych kolorowych spódniczkach ściągniętych pasami z plecionych złotych drutów, niektórzy spowici w jaskrawe szale, inni półnagzy. Wszyscy byli nie uzbrojeni.

Tuż obok króla stał jeden ogromny, półnagi strażnik, tak muskularny, że Andromacha doszła do wniosku, iż pełni raczej funkcję ozdobną niż użyteczną.

Hattusilis III, władca Hetytów, doszedł do połowy długości megaronu i przystanął. Priam, stojący przed swoim rzeźbionym i złotym tronem, wyszedł mu na spotkanie w towarzystwie Politesa i Agatona. Przez chwilę obaj patrzyli sobie w oczy, po czym Priam skinął głową. Czy trojański król kiedykolwiek przedtem uklonił się komuś?

Andromacha wątpiła, by tak było. Domyśliła się, że nawet przed Hattusilisem uczynił to jedynie powodowany niepokojem o Hektora.

– Bądź pozdrowiony – rzekł Priam głośno, lecz bez entuzjazmu. – Jesteśmy zaszczytzeni, mogąc powitać cię w Troi. – Każde z tych uprzejmych słów przychodziło mu z widocznym trudem. Dodał beznamyślnie: – Nasz lud się raduje.

Łysy człowieczek w szacie w żółto-zielone pasy powiedział coś cicho do Hattusilisa. Andromacha zrozumiała, że to tłumacz.

Król Hetytów uśmiechnął się krzywo i przemówił. Człowieczek przetłumaczył:

– Troja jest cennym wasalem wielkiego królestwa Hetytów. Król uprzejmie interesuje się swoimi poddanymi.

Priam poczerwieniał z gniewu. Wycedził:

– Ten wasal ma zaszczyt toczyć bitwy za władcę Hetytów. Powiedziano nam, że Trojański Koń zapewnił królowi wielkie zwycięstwo w bitwie pod Kadesz.

Hattusilis odparł:

– Wielka armia Hetytów obróciła wniwecz ambicje faraonów na wiele pokoleń. Jesteśmy wdzięczni Troi za jej dzielną konnicę.

Priam nie zdołał dłużej skrywać niecierpliwości.

– Mój syn nie wrócił spod Kadesz. Czy przynosisz wieści o jego losie?

Hattusilis podał obnażony miecz muskularnemu strażnikowi, po czym przycisnął obie dłonie do serca. W megaronie zapadła głucha cisza. Łysy tłumacz powiedział:

– Żałujemy, że Hektor zginął. Poległ waleczną śmiercią za sprawę królestwa Hetytów. – Hattusilis mówił dalej. – Hektor był naszym dobrym przyjacielem. Stoczył dla nas wiele bitew. – Nie odrywał spojrzenia od twarzy Priama i Andromacha dostrzegła w jego oczach szczerą troskę. – Opłakujemy go, jakby był naszym własnym synem.

Andromacha usłyszała obok ciche westchnienie i objęła ramieniem Laodike, która oparła się o nią bezwładnie. Hektor nie żyje, pomyślała Andromacha. Hektor naprawdę nie żyje. Rozmaite myśli przelatwały jej przez głowę, ale bezlitośnie przegnała je, żeby wysłuchać słów Priama.

Król spoglądał w czarne oczy Hattusilisa.

– Mój syn nie mógł zginąć – rzekł, ale głos mu zadrżał.

Hattusilis skinął ręką i dwaj hetyccy żołnierze podeszli do nich, taszcząc ciężki drewniany kufer. Na kolejny jego gest otworzyli zamki i odrzucili wieko, które z głuchym łoskotem upadło na posadzkę.

Król Hetytów rzekł:

– Leżał wśród ciał swoich ludzi. Zostali schwytani w pułapkę, otoczeni i zabici przez Egipcjan. Zanim go odnaleziono, zwłoki uległy rozkładowi, więc na dowód, że nie żyje, przywiozłem jego zbroję.

Priam podszedł do skrzyni i wyjął wielki napierśnik z brązu, inkrustowany srebrem i złotem. Andromacha dostrzegła wzór przedstawiający złocistego konia mknącego po srebrzystych falach. Laodike powiedziała cichym, zduszonym głosem:

– Hektora. To zbroja Hektora.

Hattusilis wyjął ze skrzyni bogato zdobione złotą urnę.

– Zgodnie ze zwyczajem naszego ludu spaliliśmy ciało i umieściliśmy prochy Hektora w tym naczyniu.

Podał urnę Priamowi, ten jednak się nie ruszył. Szybkim krokiem podszedł do nich Polites i wziął prochy z rąk Hattusilisa.

Andromacha jeszcze nigdy nie miała tak mieszanych uczuć. Współczuła Laodike z powodu śmierci brata, dzieliła smutek widoczny na twarzach zebranych w megaronie ludzi: żołnierzy, doradców i pałacowej służby. Współczuła nawet Priamowi, który stał z oszołomioną miną, trzymając napierśnik, i z przygnębieniem spoglądał na urnę z prochami syna.

A zarazem w jej sercu wzbierała radość. Podniosła dłonie do ust w obawie, że z gardła wyrwie się jej radosny okrzyk. Była wolna!

Nagle Priam odwrócił się i chwiejnym krokiem podszedł do tronu. Przyciskając zbroję do piersi, osunął się na siedzisko. Wśród świty Hattusilisa rozszedł się jęk zgrozy. Nikomu nie wolno usiąść w obecności władcy Hetytów. Andromacha spojrzała na Agatona, spodziewając się, że książę załagodzi sytuację, lecz on stał jak urzeczony, wpatrując się w ojca, wstrząśnięty i zrozpaczony. Andromacha współczuła mu. Nagle ciemnowłosey Dios zbliżył się do Hattusilisa i nisko się przed nim skłonił.

– Wybacz, panie. Mój ojciec pograżył się w smutku. Nie zamierzał okazać ci braku szacunku. Priam i synowie Priama jak zawsze są twoimi najwierniejszymi poddanymi.

Król przemówił i słowa tłumacza odbiły się głośnym echem w cichym megaronie.

– Nie żywię urazy. Gdy ginie wielki heros, ludzką rzeczą jest okazać uczucia. Odwaga Hektora przeważyla szalę bitwy na naszą korzyść. Niczego innego po nim nie oczekiwałem. Dlatego uznałem za konieczne przybyć do tego odległego miasta, aby wszyscy wiedzieli, iż Hektor został uszanowany przez tych, którym tak bohatersko służył.

Po tych słowach Hattusilis odwrócił się na pięcie i wyszedł z megaronu.

3.

Tuż przed świtem zakapturzona i okutana w płaszcz postać wymknęła się przez Bramę Dardańską do podgrodzia. Jeden z wartowników zauważył twarz wychodzącego i odwrócił się, żeby zapytać o coś towarzysza, lecz ten właśnie opowiadał dobry kawał o Hetycie, koniu i ośle, więc pierwszy żołnierz tylko się roześmiał i nic nie powiedział. W końcu nie ma powodu, żeby zatrzymywać kogoś wychodzącego z twierdzy.

Zakapturzony człowiek przeszedł przez wschodnią dzielnicę do miejsca, gdzie trojańscy budowniczy kopali szeroką fosę mającą zatrzymać konie i rydwany. Domy przylegające do wykopu zostały opuszczone, gdy podczas robót znaleziono mnóstwo dzbanów grzebalnych sprzed wielu pokoleń, które teraz ostrożnie wykopywano i przewożono w inne miejsce, na południowy wschód od miasta.

W słabym wieczornym świetle mężczyzna odnalazł biały dom, na

którego drzwiach widniał żółty znak przypominający ślad zwierzęcej łapy. Rozejrzawszy się, pospiesznie wszedł do opuszczonego budynku i zaczął w ciemnej sieni. Po chwili nadeszli dwaj inni.

– Jesteś tu? – zapytał cicho mężczyzna o rzadkich rudych włosach.

Zakapturzony wyszedł z cienia.

– Jestem tu, Erekosie – powiedział.

Głos mykeńskiego posła zdradzał niepokój.

– Bez imion, proszę, książę.

Zakapturzony prychnął.

– To miejsce zostało dobrze wybrane. Nikt nie zbliżył się tu na sto kroków. Boją się, że duchy zmarłych krążą wokół miejsca ich pochówku.

– Może mają rację – rzekł nerwowo poseł.

– Nie traćmy czasu na religijne dysputy – warknął trzeci mężczyzna, wojownik o białych włosach. – Śmierć Hektora to dar bogów. Musimy wykorzystać tę szansę.

Na moment zapadła cisza.

– A co z Hetytami, Kolanosie? – spytał chłodno zakapturzony mężczyzna. – Uważasz, że powinniśmy wzniecić bunt podczas pobytu króla w Troi? Czy masz pojęcie, ile wojska mogą przysłać tu jego synowie? I zrobią to, pokrzykując z radości. Niezależność Troi opiera się na trzech prostych faktach. Płacimy ogromne podatki na sfinansowanie hetyckich wojen, miasto leży daleko od centrum ich imperium i wysyłamy im na pomoc naszych najlepszych wojowników. Mimo to są tacy, którzy spoglądają na Troję z zawiścią i chciwością. Nie możemy ich obrazić ani dać im okazji do napaści.

– Wszystko to prawda, książę – wtrącił Erekos – ale gdybyśmy nawet poczekał na odjazd króla, czy on nie wyśle wojsk na pomoc Priamowi?

– Nie, jeśli Priam zginie – rzekł zakapturzony. – Powszechnie wiadomo, że Hattusilis za nim nie przepada. A kto go lubi? Król ma daleko ważniejsze zmartwienia niż domowe problemy Troi. Hetycka armia odmaszeruje o świcie. Kiedy Hattusilis usłyszy, że Priam nie żyje, pošle do niego posłańca z propozycją podtrzymania przymierza. Wierzę, że ją przyjmie. Musimy być cierpliwi i poczekać jeszcze dziewięć dni.

– Łatwo ci być cierpliwym, siedząc w swoim pałacu – prychnął Kolanos. – Niełatwo ukrywać tak długo cztery galery.

– Niełatwo? – warknął zakapturzony. – W tym przedsięwzięciu nic nie będzie łatwe. Mam wierne mi oddziały, lecz ich lojalność może się skończyć, kiedy zacznie się walka. Łatwo? Myślisz, że będzie łatwo pokonać Orłów? Każdy z nich to weteran wielu bitew. Zostali wybrani ze względu na odwagę i umiejętności. Wycwiczył ich Hektor.

– I zginą tak jak on. Jeszcze nigdy nie stawiali przeciwko Mykeńczykom – odparł Kolanos. – Mam najlepszych. Niepokonanych. Orły ich nie powstrzymają.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz – powiedział książę. – Będziemy mieli również przewagę wynikającą z zaskoczenia. Mimo to jest niezwykle ważne, żebyśmy trzymali się planu. Oprócz Orłów zginą tylko

ludzie znajdujący się w chwili ataku w megaronie. Będzie tam Priam ze swymi synami i doradcami. Należy ich szybko zabić i zająć cały pałac przed świtem.

– Dlaczego czekać dziewięć dni? – spytał Erekos. – Czemu tak długo?

– Król wciąż zmienia oddziały strzegące górnego miasta – odparł książę. – Potrzebuję tego czasu, aby się upewnić, że oba oddziały są mi oddane.

– Mając dwa tysiące zbrojnych przeciwko setce Orłów, po co w ogóle nas potrzebujesz? – zapytał Kolanos.

– Nie będę miał dwóch tysięcy zbrojnych. Musisz zrozumieć złożoność sytuacji, Kolanosie. Moi ludzie będą walczyć za mnie, nie zadając żadnych pytań. Inne trojańskie oddziały zaczną mi wiernie służyć, dopiero kiedy zostanę królem. Żołnierzami strzegącymi bram będzie dowodził jeden z moich ludzi. Postara się, żeby trzymali bramy zamknięte i pozostali na stanowiskach. Jednak nie może kazać im zaatakować pałacu i zabić króla. Dlaczego potrzebuję ciebie i twoich ludzi? Ponieważ Trojan nie można użyć do zabicia Priama i jego synów. Mój oddział zajmie obie bramy pałacu, opanuje mury i zaatakuje gwardzistów. Wtedy, gdy król i jego poplecznicy zostaną otoczeni w pałacu, ty i twoi Mykeńczycy wedrzecie się do megaronu i pozabijacie wszystkich.

– A co z królewskimi córkami i innymi kobietami w pałacu? – spytał Kolanos.

– Moi ludzie mogą zażyć przyjemności ze służącymi. Królewskim córkom nie może stać się krzywda. Jednak jest tam jedna kobieta, imieniem Andromacha. Wysoka, rudowłosa i nazbyt dumna. Jestem pewien, że twoi ludzie znajdą jakiś sposób, żeby nauczyć ją pokory. Miło mi będzie usłyszeć jej błagania.

– I usłyszysz je, przyrzekam ci – rzekł Kolanos. – Nie ma nic równie słodkiego po bitwie jak piski niewolonych kobiet.

Erekos przerwał mu:

– Nie powinieneś myśleć o gwałtach, dopóki bitwa się nie zakończy, Kolanosie. Powiedz mi, książę, co z innymi żołnierzami stacjonującymi blisko miasta? W koszarach w podgrodziu jest silny oddział piechoty, a na równinie Simoeis obozuje jazda.

Książę uśmiechnął się.

– Jak już mówiłem, bramy pozostaną zamknięte do świtu. Dobrze znam dowódców obu tych oddziałów. Przysięgną mi wierność – jeśli Priam zginie.

– Mogę o coś prosić? – wtrącił Kolanos.

– Oczywiście.

– Chcę, żeby ten zdrajca Argurios został zaproszony na tę noc do megaronu.

– Postradałeś zmysły? – warknął Erekos. – Chcesz, by stanął przeciw nam największy mykeński wojownik?

Kolanos roześmiał się.

– Nie będzie uzbrojony. Czyż nie, książę?

– Tak. Wszyscy pozostawiają oręż przy bramie. Król nie pozwala, by

noszono przy nim sztylety czy miecze.

Jednak Erekos wciąż nie był przekonany.

– Nie miał broni, gdy pokonał pięciu dobrze uzbrojonych zabójców. Uważam, że to zbyt duże ryzyko. Wielu twoich wojowników darzy go szacunkiem. Nalegam, żebyś wycofał tę prośbę, Kolanosie.

– Król Agamemnon chce jego śmierci – rzekł Kolanos. – Chce, żeby posiekali go dawni towarzysze. To będzie odpowiednia kara za jego zdradę. Nie wycofam prośby. Co ty na to, książę?

– Zgadzam się z Erekosem. Jeśli jednak tego chcesz, dopilnuję, aby tak się stało.

– Chcę.

– Zatem tak będzie.

XXVIII. O STAROŻYTNYCH BOGACH

1.

Gershom nie lubił jeździć konno. Konie w Egipcie były małe, a ich podskakujący chód sprawiał, że ciężki jeździec nieznośnie obijał sobie tyłek. Ponadto czuł się śmiesznie, gdy długie nogi zwisały mu prawie do ziemi. Jednak jazda na wyhodowanym w Tesalii koniu, którego dosiadał teraz, była przyjemnością. Wysoki na szesnaście dłoni złocisty rumak o białej grzywie i ogonie niemal frunął nad równiną. W pełnym, wyciągniętym galopie tylko nieznacznie podrzucał zadem i Gershom rozsiadł się wygodnie, ciesząc się szybkością. Helikaon jechał obok niego, na bliźniaczo podobnym wierzchowcu. Razem mknęli po otwartej przestrzeni, pod bladym, pochmurnym niebem. W końcu Helikaon wstrzymał konia i poklepał go po smukłej szyi. Gershom zatrzymał się obok.

– Wspaniałe zwierzęta – pochwalił.

– Dobrze do szybkiej jazdy – rzekł Helikaon – ale kiepskie w boju. Zbyt płochliwe i skłonne do paniki, gdy słyszą brzęk mieczy i świst strzał. Krzyżuję je z naszymi kucami. Może ich źrebaki będą mniej nerwowe.

Zawrócili i pojechali z powrotem tam, gdzie zostawili jucznego kuca. Zwierzę pasło się na zboczach. Helikaon wziął go na postronek i ponownie ruszyli na południowy zachód.

Gershom ucieszył się, kiedy wyruszyli. Forteca Dardanos – choć nie tak wygodna i piękna jak pałace w jego ojczyźnie – przypominała mu jednak świat, który utracił, tak więc był rad, że towarzyszy wracającemu do Troi Złocistemu.

– Nie sądzę, żeby ten kupiec mnie zdradził – powiedział, gdy jechali.

– Może nie uczyniłby tego rozmyślnie – odparł Helikaon – ale ludzie lubią plotkować. Troja jest większa i ryzyko, że ktoś cię tam rozpozna, będzie mniejsze.

Gershom spoglądał na posępną okolicę. Stary wódz Pauzaniusz ostrzegł Helikaona, że w górach są bandyci, i nalegał, żeby wziął eskortę żołnierzy. Helikaon odmówił.

– Obiecałem uczynić te ziemie bezpiecznymi – powiedział. – Miejscowi przywódcy już mnie znają. Widok króla przejeżdżającego przez ich włości bez zbrojnej eskorty doda im otuchy.

Pauzaniusz nie był przekonany. Gershom również w to nie wierzył.

Kiedy ruszali w tę podróż, był przekonany, że Helikaon chce uwolnić się od Dardanos oraz wszystkich królewskich powinności i obowiązków. Jednak z każdą godziną Helikaon był coraz bardziej spięty.

Tej nocy, gdy obozowali na wzgórzach w kępie cyprysów, Gershom zapytał:

– Co cię niepokoi?

Helikaon nie odpowiedział, tylko dorzucił chrustu do ogniska i w milczeniu usiadł przy nim. Gershom nie naciskał. Po chwili Helikaon

przemówił.

– Lubieś być księciem?

– Tak, lubieś – chociaż nie aż tak, jak mój przyrodni brat, Ramzes. On rozpaczliwie pragnął zostać faraonem, prowadzić egipskie armie do boju, wybudować swoje wielkie kolumny w świątyni w Luksorze, zobaczyć swoją twarz wyrzeźbioną na ogromnych posagach. Ja po prostu lubieś, jak przymilały się do mnie piękne kobiety.

– I nie przejmowałeś się tym, że te kobiety przymilały się do ciebie, ponieważ musiały?

– A dlaczego miałbym się tym przejmować? Rezultat był taki sam.

– Tylko dla ciebie.

Gershom zachichotał.

– Wy, ludzie morza, za wiele myślicie. Pałacowe niewolnice były tam dla mojej przyjemności. Taka była ich rola. Co za różnica, czy chciały być niewolnicami czy nie? Kiedy jesteś głodny i postanawiasz zabić owcę, czy zastanawiasz się, co ona o tym sądzi?

– Interesujące spostrzeżenie – zauważył Helikaon. – Przemyśle to.

– Nie powiedziałem tego po to, żebyś nad tym rozmyślał – upierał się Gershom. – To stwierdzenie miało zamknąć dyskusję, a nie ją pogłębić.

– Celem dyskusji jest zgłębić temat, a nie zamknąć.

– Bardzo dobrze. Zatem podyskutujmy o twoim pytaniu. Dlaczego zapytałeś, czy lubieś być księciem?

– Może po prostu chciałem nawiązać rozmowę.

– Nie. Przede wszystkim chciaeś odwieść mnie od wypytywania, czym się martwisz. Drugi powód był bardziej złożony, ale powiązany z pierwszym.

– No, teraz mnie zaintrygowałeś – rzekł Helikaon. – Wyjaśnij mi to.

Gershom potrząsnął głową.

– Potrzebujesz wyjaśnienia, Złocisty? Nie sądzę. W Egipcie mamy posagi mitycznych zwierząt, które mnie fascynowały. Stworzenia z łbami orłów, cielskimi lwów i ogonami węży. Dziadek powiedział mi, że w istocie uosabiają ludzi. Wszyscy jesteśmy dziwnymi zwierzętami. Jest w nas dzikus, który wyrwałby wrogowi serce i pożarł je na surowo. Jest kochanek układający pieśni dla kobiety, która zawładnęła jego duszą. Jest ojciec, który tuli dziecko i zginałby w jego obronie. Te trzy stworzenia to jeden człowiek. I jest ich więcej. Każdy z nas jest sumą tych, którymi kiedyś był: upartym dzieckiem, aroganckim młodzieńcem, oseskiem. Każdy strach przeżyty w dzieciństwie tkwi gdzieś tutaj. – Postukał w skroń. – I każdy bohaterski czy tchórzliwy czyn, hojny czy złośliwy postępek.

– To fascynujące – rzekł Helikaon – ale czuję się tak, jakbym wpłynął w mgłę. Do czego zmierzasz?

– Właśnie do tego. Nasze życie to jak żeglowanie we mgle, w nadziei na promień słońca, który pozwoli nam zobaczyć, gdzie jesteśmy.

– Ja wiem, kim jestem, Gershomie.

– Nie, nie wiesz. Czy jesteś człowiekiem, który przejmuje się skrywanymi pragnieniami pałacowych niewolnic, czy człowiekiem, który ucina głowę odzywającemu się nie w porę wieśniakowi? Jesteś bogiem,

który ocalił dziecko na Cyprze, czy szaleńcem, który spalił żywcem pięćdziesięciu ludzi?

– Ta rozmowa straciła urok – rzekł zimno Helikaon.

Gershom wpadł w gniew.

– Rozumiem – powiedział. – Tak więc możemy dyskutować jedynie o sprawach, które nie dotyczą poczynań Złocistego. Stajesz się prawdziwym królem, Helikaonie. Tylko patrzeć, a otoczysz się pochlebcami, którzy będą ci szeptać do ucha, jaki to jesteś wielki, i nie krytykować tego, co robisz.

Wziął koc i położył się twarzą do ognia. Mocno biło mu serce. Noc była chłodna i wiatr niósł zapach deszczu. Gershom był zły na siebie za ten wybuch. Lubił młodego księcia i bardzo go podziwiał. Helikaon potrafił być dobry i lojalny. Był również odważny i miał zasady. Gershom wiedział z doświadczenia, że to rzadkie zalety. Jednak znał też niebezpieczeństwa, przed jakimi stanie Helikaon, umocniwszy swą władzę. Po chwili odrzucił koc i usiadł. Helikaon siedział oparty plecami o drzewo, z kocem narzuconym na ramiona.

– Przepraszam, przyjacielu – powiedział Gershom. – Nie powinienem ci prawić morałów.

– Nie powinienes – odparł Helikaon. – Jednak myślałem o tym, co mi powiedziałaś. W twoich słowach była prawda. Twój dziadek jest mądrym człowiekiem.

– Tak. Czy znasz opowieść o Ozyrysie i Secie?

– O egipskich bogach walczących ze sobą?

– Tak. Ozyrys to bóg bohater, Pan Światła. Set to jego brat, istota zła i zdeprawowana. Nieustannie walczą ze sobą. Dziadek opowiadał mi o nich, kiedy byłem mały. Mówił, że każdy z nas nosi w sobie Ozyrysa i Seta. Wszyscy jesteśmy zdolni do współczucia i miłości, nienawiści i okropnych czynów. To smutne, lecz potrafimy radować się jednym i drugim.

– Prawda – rzekł Helikaon. – Czuję to, gdy płonęli ci marynarze. Zawstydzają mnie to wspomnienie.

– Dziadek by powiedział, że kiedy paliłeś tych marynarzy, w twojej duszy dominował Set. A Ozyrys odczuwa wstyd. Dlatego nie lubisz być królem, Helikaonie. Taka władza sprawia, że Set zdobywa przewagę. A ty obawiasz się człowieka, jakim byś się stał, gdyby Ozyrys w tobie został zabity.

Gershom zamilkł. Helikaon dorzucił dREW do ognia, po czym podszedł do jucznego kuca i przyniósł chleb oraz suszone mięso. Zjedli w milczeniu. Potem Helikaon wyciągnął się przy ognisku i nakrył się płaszczem.

Gershom zdrzemnął się. Noc robiła się coraz zimniejsza i zagrzmiało. Błyskawica rozświetliła niebo. Helikaon obudził się i obaj pobiegli do uwiązanych koni. Zwierzęta były przestraszone, strzygły uszami. Helikaon i Gershom odprowadzili je daleko od drzew, na otwarty teren.

Zaczął padać deszcz, z początku słaby, potem ulewny.

W świetle błyskawicy Gershom dojrzał jaskinię na zboczu. Wskazał ją Helikaonowi i powiedli wierzchowce w górę. Nie było to łatwe.

Złociste rumaki – tak jak ostrzegał Helikaon – były płochliwe, stawały dęba i usiłowały się wyrwać. Juczny kuc zachowywał się spokojniej, ale nawet on szarpał sznur, gdy grzmiało. Obaj mężczyźni byli bardzo zmęczeni, kiedy w końcu dotarli do jaskini.

Wprowadzili konie do środka i uwiązali je. Potem obaj usiedli przy wylocie, patrząc na przetaczającą się nad ziemią burzę.

– Kiedyś lubiłem burze – rzekł Gershom. – Jednak od kiedy rozbił się statek... – Zadrżał na samo wspomnienie.

– To szybko minie – powiedział Helikaon. Spojrzał na Gershoma. – Dziękuję ci za szczerość.

Gershom zachichotał.

– To moje przekleństwo – mówię, co myślę. Trudno mi przypomnieć sobie kogoś, kogo wcześniej czy później nie obraziłem. Zamierzasz długo pozostać w Troi?

Helikaon pokręcił głową.

– Wezmę udział w pogrzebie Hektora. – Nagle zadrżał. – Sam dźwięk tych słów mrozi krew.

– Byliście przyjaciółmi?

– Więcej niż przyjaciółmi. Wciąż nie mogę pogodzić się z tym, że on nie żyje. – Nagle uśmiechnął się. – Jakies pięć lat temu pojechałem w pole z Hektorem. Priam wysłał go z dwustoma wojownikami Trojańskiego Konia do Tracji, żeby pomógł tamtejszemu królowi pozbyć się rabusiów. Ścigaliśmy nieprzyjaciela w zalesionym terenie i wpadliśmy w zasadzkę. Kiedy wyrwaliśmy się z okrążenia, zobaczyliśmy, że Hektora nie ma pośród nas. Ktoś przypomniał sobie, że widział, jak uderzył go w głowę ciśnięty kamień. Zapadała noc, ale pospiesznie wróciliśmy na pole bitwy. Bandy ci zabrali ciała swoich zabitych. Leżało tam sześciu naszych, ale nie było wśród nich Hektora. Zrozumieliśmy, że został pojmany. Wiedzieliśmy, że Trakowie torturują jeńców – obcinają im palce i wydłubują oczy. Wysłałem zwiadowców na poszukiwanie ich obozu. Znaleźliśmy go tuż przed świtem i gdy podkradaliśmy się tam, usłyszeliśmy śmiechy. W blasku ogniska zobaczyliśmy Hektora. Stał z wielkim kielichem wina w ręku. Zabawiał pijanych rabusiów uciesznymi opowieściami, a oni rycieli ze śmiechu. – Helikaon westchnął. – Taki pozostanie w mojej pamięci.

– Jednak miałeś jeszcze inny powód, żeby wyruszyć w tę podróż – rzekł Gershom.

– Jesteś jasnowidzem, Gershomie?

– Nie, ale widziałem, jak rozmawiałeś z narzeczoną Hektora, i słyszałem, jak nazwałeś ją boginią.

Helikaon roześmiał się.

– Owszem, tak powiedziałem. Rzeczywiście, zakochałem się w niej, Gershomie. Jeśli ona czuje do mnie to samo, uczynię ją moją żoną, chociaż zapewne będę musiał zapłacić za nią Priamowi górę złota.

– Jeśli czuje do ciebie to samo? – powtórzył Gershom. – A co to za różnica? Kup ją tak czy siak.

Helikaon przecząco pokręcił głową.

– Możesz kupić złoto świecące jak słońce i diamenty jasne jak księżyc. Nie możesz jednak kupić słońca. Nie możesz mieć księżycyca.

2.

Z nadejściem świtu Laodike owinęła się szalem i wyszła z pałacu. Ulice były ciche i puste, nie licząc kilku bezpańskich psów szukających odpadków. Lubiła spacerować, szczególnie na świeżym powietrzu wczesnego ranka. Pomyślała, że wie o mieście i jego codziennym życiu zapewne więcej niż jakikolwiek żołnierz czy robotnik. Wiedziała, który piekarz jeszcze przed świtem pierwszy wystawi świeży chleb. Znała prostytutki i ich stałe trasy równie dobrze jak rozlokowanie trojańskich oddziałów. Wiedziała, kiedy pod koniec zimy w górach urodziło się pierwsze jagnię, bo obdarzony licznym potomstwem stary pasterz Poimen otworzył wtedy swój jedyny dzban z winem, a potem odsypiał pijaństwo na ulicy, nie wpuszczony do domu przez swoją małą, jędzowatą małżonkę.

Laodike szła przez miasto i nogi przeniosły ją po nowym moście nad fosą, a potem w kierunku Skamandra.

W dolinie rzeki zalegała gęsta szara mgła. Za nią wzgórza były jeszcze różowe od jutrzeńki, choć za jej plecami słońce już zaczęło wznosić się na niebie. Nie było słyhać nic prócz piania kogutów i pobekiwania owiec w oddali.

Poszła w kierunku grobowca Ilosa, na niewielkim wzgórzu między miastem a rzeką. Ilos był jej pradziadkiem i trojańskim bohaterem. Hektor często przychodził tutaj, kiedy miał kłopoty, żeby porozmawiać z przodkiem. Dlatego ona też tu przyszła, mając nadzieję znaleźć pociechę.

Dotarła do sterty kamieni i usiadła na niskiej, wygryzionej przez owce trawie, twarzą do miasta. Kiedy znieruchomiała, znów ogarnął ją smutek i łzy napłynęły jej do oczu.

Jak on mógł zginać? Jak bogowie mogli być tak okrutni?

Laodike wciąż go widziała: dodający otuchy zaraźliwy uśmiech, jasne włosy błyszczące w słońcu. Był jak świt, pomyślała. Ilekroć wchodził do komnaty, wszyscy czuli się lepiej. Gdy była mała i bała się czegoś, Hektor zawsze był dla niej opoką. I tylko on mógł przekonać Priama, żeby wydał ją za Arguriosa.

Poczuła wstyd i poczucie winy. Smucisz się, ponieważ odszedł na Pola Elizejskie, czy myślisz tylko o sobie?

– Tak mi przykro, Hektorze – szepnęła.

Potem znów zaczęła płakać.

Padł na nią cień i podniosła głowę. W słońcu, jasnym i oślepiającym, stała jakaś postać. Gdy zapłakana Laodike ujrzała błyszczący napierśnik, przez moment pomyślała, że to duch brata przyszedł ją pocieszyć. Potem uklękł przy niej i zobaczyła, że to Argurios. Nie widziała go od pięciu dni i nie wysłała mu żadnej wiadomości.

– Och, Arguriosie, nie mogę przestać płakać.

Objął ją ramieniem.

– Widzę smutek na twarzach wszystkich mieszkańców miasta. Musiał być wielkim człowiekiem i żałuję, że go nie poznałem.

– Skąd wiedziałeś, że tu będę?

– Mówiłaś mi, że kiedy uginasz się pod brzemieniem kłopotów,

lubisz spacerować o brzasku po mieście. Mówiłaś o starym pasterzu z tych wzgórz.

– A jak odgadłeś, że będę tu dzisiaj?

– Nie odgadłem. Od pięciu dni każdego ranka czekałem o świcie przy Bramie Skajskiej.

– Przepraszam, Arguriosie. Nie pomyślałam. Powinnam była wysłać do ciebie posłańca.

Zamilkli.

– Gdzie twoja straż przyboczna? – zapytała po chwili Laodike.

Uśmiechnął się, co rzadko mu się zdarzało.

– Jestem już silniejszy i szybszy. Idąc kilka dni temu przez miasto, nagle zawróciłem i podszedłem do nich. Powiedziałem, że już nie potrzebuję ich usług, a oni zgodzili się zostawić mnie w spokoju.

– Tak po prostu? Zwyczajnie?

– Porozmawiałem z nimi... stanowczo – rzekł.

– Nastraszyłeś ich, prawda?

– Niektórych ludzi łatwo przestraszyć – odparł.

Jego twarz była tuż przy jej twarzy i patrząc mu w oczy, Laodike poczuła, jak mija ból i smutek ostatnich kilku dni. Oto twarz, którą tak często przywoływała w myślach. Jego oczy nie były jednolicie piwne, jak jej się zdawało, ale z orzechowymi i złotymi drobinami, a jego brwi miały ładny kształt. Przyglądał jej się uważnie i spuściła wzrok. Czowała ciepło rozchodzące się w dole brzucha i szorstki materiał sukni ocierający się o jej skórę.

Poczuła dotyk jego dłoni i zobaczyła, jak lekko przesuwają ją po jej skórze, ledwie muskając jasne włosy. Ciepło zmieniło się w żar.

Wyciągnęła rękę i zaczęła rozwiązywać paski napierśnika Arguriosa. Jego silna dłoń zacisnęła się na jej dłoni.

– Jesteś królewską córką – przypomniał.

– Nie chcesz mnie?

Zaczerwienił się.

– Nigdy w życiu niczego tak bardzo nie pragnąłem.

– Król nigdy nie pozwoli nam się pobrać. Każe ci wyjechać z Troi. Wyśle mnie gdzieś. Nie mogę znieść tej myśli. Jednak mamy tę chwilę. Cieszymy się nią, Arguriosie!

Puścił jej dłoń. Jeszcze będąc dzieckiem, pomagała Hektorowi nakładać i zdejmować zbroję. Niewiele umiem, powiedziała sobie, ale to potrafię. Zrecznie rozwiązała rzemienie i Argurios zdjął pancerz.

Położywszy obok napierśnika miecz, zaprowadził ją w kamienny krąg obok grobowca Ilosa i tam położyli się na trawie. Potem pocałował ją i przez długą chwilę nie robił nic innego. Wzięła go za rękę i podniosła ją do swojej piersi. Jego dotknięcie było delikatne – znacznie delikatniejsze, niżby sobie życzyła. Przycisnęła wargi do jego warg, smakując go głodnymi ustami. Jego dłonie nabrały pewności siebie i chwyciwszy za rąbek jej sukni, uniosły ją. Laodike podniosła ręce i zrzuciła suknię. Po chwili oboje byli nadzy. Laodike radowała się obecnością ciepłego ciała przy swoim ciele, dotykiem twardych mięśni. Potem przyszedł krótkotrwały ból i wspaniałe poczucie zjednoczenia z ukochanym.

Później leżała oszołomiona, uradowana i zadowolona. Ciało miała rozgrzane i spełnione, była zawstydzona i zmęczona. Powoli poczuła twardą trawę pod sobą i nierówności wbijające się w jej plecy.

Ułożyła się na boku, z głową w zgięciu łokcia Arguriosa. Uświadomiła sobie, że od jakiegoś czasu nie odezwał się słowem. Przekręciła się i spojrzała na niego, spodziewając się, że śpi, lecz on spoglądał w niebo i jak zwykle miał poważną minę.

Laodike nagle poczuła lęk. Czyżby żałował tego, co zrobił? Czy zostawia teraz?

Odwrócił się, aby na nią popatrzeć. Widząc wyraz jej twarzy, zapytał:

– Coś cię boli? Zraniłem cię?

– Nie. To było cudowne. – Czuję się głupio, ale nie mogła się powstrzy mać i powiedziała: – To była najwspanialsza rzecz, jaka przydarzyła mi się w życiu. Pokojówki mówiły mi... – Zawahała się.

– Co ci mówiły?

– Mówiły, że to jest bolesne i nieprzyjemne. Trochę bolało – zakończyła – ale nie było nieprzyjemne.

– Nie było nieprzyjemne – powtórzył z uśmiechem.

Potem znów ją pocałował, długo i czule.

Wyciągnęła się wygodnie, nie mając już żadnych wątpliwości. Wyraz jego oczu powiedział jej wszystko, co chciała wiedzieć. Nigdy nie była tak szczęśliwa. Wiedziała, że będzie to pamiętać do końca życia.

Nagle usiadła, przy czym szal opadł z jej nagich piersi, i wskazała na wschód.

Wielkie stado łabędzi, bezgłośnie bijąc skrzydłami powietrze, przelatywało nad miastem w kierunku morza. Laodike dotychczas nie widziała więcej niż dwa łabędzie naraz, więc z podziwem spoglądała na setki przelatujących jej nad głową ptaków, które na chwilę niczym chmura przesłoniły słońce.

Oboje w milczeniu patrzyli, jak stado odlatuje na zachód i w końcu znika w szarej mgłę na horyzoncie.

Laodike poczuła, że coś dotknęło jej łydki, i spojrzała na nią. Na jej nodze leżało miękkie białe pióro, nieruchome, jakby było tam zawsze. Podniosła je i pokazała kochankowi.

– Czy to znak? – zapytała.

– Ptaki to zawsze znak – odparł cicho.

– Zastanawiam się, co oznacza.

– Łabędzie łączą się w pary na całe życie – powiedział, przyciągając ją do siebie. – To oznacza, że nigdy się nie rozstaniemy. Jutro porozmawiam z twoim ojcem.

– Nie zechce się z tobą widzieć, Arguriosie.

– Myślę, że zechce. Zostałem zaproszony na jutrzejsze uroczystości pogrzebowe.

Laodike była zdziwiona.

– Dlaczego? Przecież sam mówiłeś, że nie znależ Hektora.

– To samo powiedziałem posłańcowi, który dwa dni temu przyszedł do świątyni. Powiedział mi, że książę Agaton zażądał mojej obecności.

- Tylko tyle powiedział?
- Nie, jeszcze obsypał mnie pochlebstwami – odparł.
Laodike roześmiała się.
- Mówił, że jesteś wielkim wojownikiem i bohaterem, więc przystoi, żebyś wziął udział w ceremonii?
- Coś w tym rodzaju – mruknął.
- Takie zaproszenie to wielki zaszczyt. W rodzinie panuje niezgoda. Mój ojciec rozgniewał wielu swoich synów, którzy nie przyjdą. Antifones jest *w* niełasce, tak samo jak Parys. I inni. – Westchnęła. – Nawet w takiej chwili gra z ludzkimi uczuciami. Naprawdę sądzisz, że cię wysłucha, Arguriosie?
- Nie wiem. Niewiele mam do zaoferowania poza moim mieczem. Jednak miecz Arguriosa ma pewną wartość.
Przytuliła się do niego i przesunęła dłonią po jego boku.
- Miecz Arguriosa ma ogromną wartość – zapewniła.

XXIX. KREW BOHATERÓW

1.

Antifones z okna na górze patrzył na odchodzącego i ze zgrozy ścisnęło go w żołądku. Odwrócił się do paleniska, na którym leżał półmisek z wędzoną rybą i podplomyki. Zjadł trochę ryby i popił ją nie rozcieńczonym winem, słodkim i gęstym. Na chwilę zapomniał o obawach, ale wiedział, że powrócą. Wpadł we własne sidła.

Zawsze lubił i podziwiał Agatona. Chociaż mieli różne matki, byli niemal rówieśnikami i bawili się razem w dzieciństwie. Wtedy nawet byli do siebie podobni, jasnowłosi i niebieskoocy. Przybywający do królewskiego megaronu goście często mylili ze sobą trzech najstarszych synów Priama – Hektora, Agatona i Antifonesa. Skrzywił się na wspomnienie słów Priama:

– Są podobni z wyglądu, ale nie z charakteru. Pamiętajcie: Hektor jest dzielny, Agaton przebiegły, a Antifones głupi!

Goście uśmiechali się grzecznie, a król z zimnym uśmiechem obserwował reakcje trzech chłopców.

Antifones wiedział, że nie jest głupi. Z biegiem lat zdał sobie sprawę, że jest bystrzejszy, niż sądzi większość ludzi. To on pierwszy zrozumiał, że lepiej sprowadzać wino z Lesbos, niż uprawiać winorośl na terenach leżących na północ od miasta, które można wykorzystać pod zagrody dla koni. Hodowla silnych koni i ich sprzedaż do wszystkich krajów wokół Wielkiej Zieleni przyniosła Priamowi większe zyski niż handel winem. I to Antifones wpadł na pomysł zreorganizowania skarbcza i zapisywania królewskiego stanu posiadania literami zapożyczonymi od Hetytów i pisanymi na egipskim papirusie.

I po tym wszystkim, z typowym dla niego poczuciem humoru, Priam uczynił swoim kanclerzem Politesa, a grubego Antifonesa dowódcą Trojańskiego Konia. Wiedział, że ludzie śmieją się z tego tytułu: niewielu starało się to ukryć. Już od wielu lat nie mógł dosiąść konia.

Ponownie podszedł do okna i spojrzał na cichą uliczkę. W przeciwieństwie do większości królewskich synów mieszkał w podgrodziu, w pobliżu piekarni, sprzedawców win i wytwórców serów, które uwielbiał. Codziennie po południu, po poobiedniej drzemce, przechadzał się ulicami i wędrował między straganami, wybierając najdojrzalsze figi i najśłodsze ciastka z miodem. Czasem powoli dochodził na odległy koniec miasta, gdzie młoda kobieta imieniem Thaleia sprzedawała granaty z korzeniami i orzechy w miodzie. Taka długa wyprawa stanowiła spory wysiłek, ale nie mógł dosiąść konia i nie chciał używać lektyki w obawie, żeby się nie złamała. Już raz mu się to przydarzyło, przed dwoma laty. Wciąż się tego wstydził i od tej pory z niej nie korzystał.

Jednak ten wstyd był niczym w porównaniu z tym, jaki czuł teraz.

Kiedy dowiedział się o spisku na życie króla, chętnie się do niego przyłączył. Priam był tyranem, a zabójstwo tyrana to zaszczytne zadanie. Król bogacił się kosztem całego miasta. Antifones, mający

dostęp do skarbcza, najlepiej o tym wiedział. Dzieci w podgrodziu głodowały w zimie, niewolnicy na polach umierali latem z wyczerpania, a prywatny skarbiec Priama był pełen złota i drogich kamieni, przeważnie pokrytych grubą warstwą kurzu. Hektor, broniąc ojca, powiedziałby, że owszem, król bywa szorstki, ale nie skąpi na obronę miasta. Jednak Antifones wiedział, że tak nie jest. Najemnicy z Tracji byli kiepsko opłacani, a miejskim budowniczym wciąż nie nakazano wzmocnić słabych murów po zachodniej stronie miasta.

Teraz, kiedy Hektor zginął, pazerność Priama przekroczy wszelkie granice.

Antifonesa zaproszono do udziału w buncie, ponieważ Agaton dostrzegł jego umiejętności, które będą potrzebne do zreorganizowania urzędów, powtórnego negocjowania traktatów z sąsiadami oraz przemyślenia strategii obronnej. Przez kilka ostatnich dnia Antifones gorączkowo układał plany, do późnej nocy pracując nad swoimi wizjami przyszłej Troi, po śmierci ojca. Jednak podczas dzisiejszego spotkania Agaton zburzył jego nadzieje i pogrążył go w rozpacz.

– To dziś wieczór, bracie. Musisz trzymać się z dala od pałacu.

– Zamierzacie zabić go po stypie?

Agaton przecząco pokręcił głową.

– Podczas niej. Moi Trakowie dostali rozkaz, aby zabić wieczorem wszystkich naszych wrogów.

Antifones miał wrażenie, że w jego piersi otwiera się otchłań.

– Wszystkich naszych wrogów? Jakich wrogów? Mówiłeś mi, że wynajęciu Karpoforosa, żeby zabił naszego ojca.

Agaton wzruszył ramionami.

– Taki był mój pierwotny zamysł, ale nigdzie nie można go znaleźć. Jednak pomyśl, bracie. Samo zabicie ojca i tak byłoby zaledwie początkiem. Dios i wielu innych natychmiast zaczęłyby spiskować przeciwko nam. Nie rozumiesz? Wybuchłaby wojna domowa. Jedni władcy przybrzeżnych królestw przyłączyliby się do nas, ale inni poszliby za Diosem. – Podniósł rękę. i powoli zacisnął ją w pięść. – W ten sposób zmiążdżymy ich wszystkich i Troja nie będzie musiała toczyć wojny z sąsiadami.

– Powiedziałeś „wszystkich naszych wrogów”. O ilu mówimy?

– Tylko o tych, którzy mogliby zwrócić się przeciwko nam. Tylko o tych, którzy śmiali się, kiedy ojciec z nas drwił. Tylko o tych, którzy szydzili z nas za naszymi plecami. Jest ich około setki. Och, Antifonesie, nie masz pojęcia, jak długo czekałem na tę chwilę!

Wtedy spojrział Agatonowi w oczy i po raz pierwszy ujrzał głębie nieprawości przyrodniego brata.

– Zaczekaj! – zawołał z rozpaczą. – Nie możesz pozwolić, żeby Trakowie buszowali w pałacu. To barbarzyńcy! A co z kobietami?

Agaton roześmiał się.

– Z kobietami? Takimi jak Andromacha? Zimnymi i wzgardliwymi? Wiesz, co powiedziała? Nie mogę cię poślubić, Agatonie, bo cię nie kocham. Na bogów, będę patrzył, jak niewolą ją moi Trakowie. Oni oduczą ją pychy. Po dzisiejszym wieczorze nie będzie tak wyniosła.

– Nie możesz na to pozwolić! Trojańskie oddziały nie mogą zabijać

trojańskich książąt! Jak będą potem patrolować ulice miasta? Czy morderca ojca ma siedzieć w jakiejś tawernie i opowiadać, jak poderżnął gardło królowi Troi?

– Oczywiście masz rację, bracie – rzekł Agaton. – Myślisz, że nie przyszło mi to do głowy? Kiedy Trakowie opanują mury, przybędą nasi sprzymierzeńcy. To oni zabiją wszystkich w megaronie.

– Nasi sprzymierzeńcy? O kim mówisz?

– Po zmroku na brzegu wylądował oddział Mykeńczyków. To oni zabijają naszych wrogów.

Antifones siedział w milczeniu, usiłując przetrwać tę nową wiadomość. Ojciec mówił o tym, że Agamemnon buduje wielką flotę, i zastanawiał się, do czego zostanie wykorzystana. Teraz było to oczywiste. Agaton dał się zwieść Mykeńczykom. Będzie królem jedynie z nazwy. Prawdziwym władcą zostanie Agamemnon, który wykorzysta Troję do dalszej ekspansji na wschód.

Teraz zupełnie inaczej spojrzał na Agatona.

– Och, mój bracie – szepnął. – Coś ty uczynił?

– Uczynił? Tylko to, co planowaliśmy. Zostanę królem, a ty będziesz moim kanclerzem. A Troja będzie silniejsza niż kiedykolwiek.

Antifones nic nie powiedział. Agaton siedział w milczeniu, obserwując go.

– Wciąż jesteś ze mną, bracie? – zapytał.

– Oczywiście – odparł Antifones, ale nie mógł mu przy tym spojrzeć w oczy. Znowu zapadła cisza. Potem Agaton wstał.

– No cóż, mam wiele do zrobienia – rzekł. – Zobaczymy się jutro. – Podeszedł do drzwi i obejrzał się z dziwną miną.

– Żegnaj, Antifonesie – powiedział cicho.

Antifones zadrżał na wspomnienie tej chwili.

Cienie wydłużyły się i na ulicach zrobiło się cicho. Antifones spojrzał na mury miasta, złociście lśniące w gasnących promieniach słońca.

Ogarnęła go rozpacz. Nic nie mógł zrobić. Gdyby zawiadomił o tym Priama, musiałby ujawnić swój udział w spisku, a to oznaczało śmierć za zdradę. Nawet gdyby na to przystał, jak miałby dostać się do króla? Agaton obstawiał wszystkie dojścia do pałacu i kto wie ilu oficerów i żołnierzy przeszło na jego stronę.

Pomyślał o ludziach, którzy mieli umrzeć tej nocy. Na stypie przyjdzie ponad sto osób. Będzie tam Polites, Helikaon i Dios. Przed oczami stawała mu twarz za twarzą. Tak, wielu z nich – jak zauważył Agaton – drwiło z grubego Antifonesa. Wielu śmiało się, gdy kpił z niego Priam. Jednak w większości byli to dobrzy ludzie, wiernie służący Troi.

Spojrzał na wzgórze, na pałac Helikaona z kamiennymi kołnami przy bramie. Nie dostrzegł tam wartowników, ale spora liczba wchodzących i wychodzących wskazywała na to, że Helikaon jest w swoich pokojach.

Antifones zaczerpnął tchu. Jego śmierć będzie niczym w porównaniu z okropnościami czekającymi niewinnych ludzi w pałacu. Postanowił posłać wiadomość Helikaonowi. On na pewno zdoła dotrzeć do króla.

Zawołał swojego służącego, Thoasa, i podszedł do drzwi. Przed nimi ujrzał jasnowłosego trackiego żołnierza pochylającego się nad ciałem Thoasa i ocierającego zakrwawiony sztylet o chiton starego sługi.

Dwaj inni stali w sieni, z mieczami w dłoniach.

Antifones zrozumiał, że zginie. Jednak świadomość tego, zamiast ściągnąć na niego obezwładniające przerażenie, była niczym promień słońca przedzierający się przez chmury. Przez całe życie bał się czegoś – rozczarowania ojca, niepowodzeń, odrzucenia. Teraz przestał się bać.

Napotkał spojrzenie niebieskich oczu Traka.

– Był moim służącym – rzekł spokojnie Antifones, wskazując na martwego Thoasa. – Zwyczajnym człowiekiem o dobrym sercu.

– No cóż – odparł z szerokim uśmiechem Trak. – Może będzie ci służył w Podziemiu, grubasie.

Zwinnie wstał i ruszył na Antifonesa. Był młody i – jak wielu trackich najemników – miał twarde i okrutne oczy. Antifones nie poruszył się. Żołnierz przystanął.

– No cóż, masz tyle sadła, że nie uciekniesz – powiedział. – Chcesz błagać o życie?

– Nie zamierzam o nic prosić trackiego kozojeba – odparł chłodno Antifones.

Mężczyzna zmrużył oczy i z gniewnym pomrukiem skoczył na księcia. Antifones wyszedł mu naprzeciw, potężnym lewym ramieniem odbił pchnięcie sztyletem, a prawą rąbnął napastnika w szczękę. Uderzenie poderwało Traka w powietrze. Uderzył tyłem głowy o mur i osunął się na posadzkę. Pozostali dwaj żołnierze podnieśli miecze i rzucili się na Antifonesa, który z rykiem skoczył im na spotkanie. Miecz ciał go w bok, plamiąc krwią powiewną błękitną szatę. Antifones złapał napastnika i czołem uderzył go w twarz. Mężczyzna zwiotczał w jego uścisku, półprzytomny.

Antifones poczuł przeszywający ból. Drugi Trak zaszedł go od tyłu i dźgnął w plecy. Wyrwał miecz z rany i zamachnął się do następnego ciosu. Wciąż trzymając półprzytomnego żołnierza, Antifones odwrócił się i cisnął nim w napastnika. Ten uskoczył. Antifones dopadł go. Trak pchnął go mieczem w brzuch. Pięść Antifonesa trafiła go w podbródek i rzuciła na ścianę. Przykleknąwszy na jedno kolano, Antifones podniósł upuszczony miecz. Zastawiwszy się nim od zamaszystego cięcia, pchnął w gardło przeciwnika. Nie trafił, nigdy nie był zręcznym szermierzem. Sztych przebił policzek Traka, przeciął skórę i ześlizgnął się po zębach, zanim przeszedł na wylot. Z bulgoczącym okrzykiem najemnik ponownie próbował dźgnąć Antifonesa, ten jednak odskoczył i ciał go w skroń. Trak zatoczył się i prawie upadł. Antifones uderzył go jeszcze trzy razy, ostatnim ciosem przecinając tętnicę.

Drugi zabójca usiłował wstać. Antifones podbiegł do niego. Ująwszy miecz jak sztylet, wbił go tuż przy obojczyku, wkładając w to pchnięcie wszystkie siły. Trak wydał przeraźliwy krzyk i padł z mieczem wbitym tak głęboko, że z ciała sterczała tylko rękojeść.

Krew zboczyła szatę Antifonesa. Czuł, jak spływa mu po brzuchu i plecach. Był podniecony i oszołomiony. Powoli wrócił do pierwszego

Traka. Podniósł upuszczony przez niego sztylet i klęknął przy nieprzytomnym zabójcy. Złapał za napierśnik przy szyi i obrócił go na plecy. Mężczyzna jęknął i otworzył oczy. Antifones przyłożył mu sztylet do gardła.

– Ten grubas – powiedział – jest trojańskim księciem, a w jego żyłach płynie krew herosów i królów. Kiedy będziesz w Hadesie, możesz przeprosić Thoasa. Możesz mu powiedzieć, że grubas bardzo go ceniał.

Trak wybałuszył oczy i próbował coś powiedzieć. Antifones wbił mu sztylet w gardło, wyrwał ostrze i patrzył na tryskającą z okropnej rany fontannę krwi. Potem upuścił sztylet i osunął się na framugę drzwi.

„Żegnaj, bracie” – powiedział Agaton. Antifones wiedział, że w jego ostatnim zimnym spojrzeniu kryje się okropne znaczenie. Agaton opuścił jego dom, a potem nasłał na niego trackich morderców. A dlaczego nie? Zamierzał zabić większość swoich braci.

Krew wciąż płynęła z ran. Antifones zamknął oczy. Nie obawiał się ciemnej drogi. W istocie sam się dziwił, jak spokojnie to przyjmuje. Pomyślał o Hektorze i uśmiechnął się. Czy zdziwiłby się, widząc, jak pokonałem trzech zabójców?

Potem znów pomyślał o spisku na życie Priama oraz jego synów i doradców.

Z wysiłkiem podniósł się z posadzki. Zataczając się, poszedł na tyły domu i narzucił na siebie długi płaszcz z szarej wełny, żeby zakryć zbroczone krwią szaty. Potem powoli przeszedł przez ogród i wydostał się na boczną uliczkę. Nie widział wyraźnie kamieni bruku. Wydawało się, że spowija je mgła, jak o brzasku nad wodami Skamandra. Falowały i kołysały się, i przy każdym chwiejnym kroku bał się, że znikną w ciemności.

Zgiął się, od czego rany w boku i w plecach zabolowały go jeszcze bardziej, ale z cichym jękiem zrobił następny krok. Potem jeszcze jeden.

Krew wciąż płynęła, ale płaszcz zasłaniał rany i nieliczni mijający go na ulicy ludzie nie zwracali na niego uwagi. Myśleli, że jest pijany lub po prostu za gruby, żeby iść normalnie, więc odwracali głowy rozbawieni lub zmieszani. Nie zauważali, że zostawia krwawe ślady.

Dotarłszy do pałacu Helikaona, przez moment stał w cieniu kamiennych rumaków. Ujrzał sługę idącego przez kamienny dziedziniec do głównego wejścia i zawołał go. Służący rozpoznał go i podbiegł. Antifones ciężko opierał się o postument jednego z posągów.

– Pomóż mi – wyszeptał, nie wiedząc, czy naprawdę wypowiedział te słowa, czy tylko je pomyślał.

Stracił przytomność, a potem poczuł dotyk rąk. Usiłowano go podnieść. Bezskutecznie. Za dużo ważył.

Otworzył oczy i zobaczył pochylonego nad sobą barczystego czarnobrodego mężczyznę.

– Musimy wnieść cię do środka – powiedział mężczyzna z egipskim akcentem.

– Helikaon... muszę porozmawiać... z Helikaonem.

– Nie ma go tu. Daj mi rękę.

Antifones podniósł rękę. Kilku służących stanęło za nim.

Egipcjanin pociągnął, podnosząc Antifonesa. Znów stanąwszy na nogach, Antifones ciężko oparł się na ramieniu Egipcjanina i powoli dotarł do drzwi pałacu Helikaona. Kiedy wszedł przez nie, znów ugięły się pod nim nogi i Egipcjanin ostrożnie opuścił go na posadzkę.

Klęknął przy nim i wyjął sztylet.

– Zamierzasz mnie zabić? – spytał Antifones.

– Ktoś już tego próbował, mój przyjacielu. Nie. Posłałem po medyka, ale muszę obejrzeć twoje rany i powstrzymać krwawienie. – Ostrze sztyletu przecięło szatę Antifonesa. – Kto ci to zrobił?

Antifones miał wrażenie, że spada w bezdenną przepaść. Próbował coś powiedzieć. Twarz Egipcjanina falowała mu przed oczami. – Zdrajcy... – wymamrotał. – Chcą... zabić wszystkich.

Potem pochłonęła go ciemność.

2.

Argurios spokojnie siedział w świątynnym ogrodzie, polerując szmatą napierśnik. Zbroja była stara i niektóre z zachodzących na siebie płytek były popękane. Na lewym boku dwóch brakowało. Pierwszą strzaskął cios topora. Argurios dobrze to pamiętał. Młody tesalski żołnierz przedarł się przez mykeńskie szeregi i zabił dwóch wojowników. Był wysoki, barczysty i nieustraszony. Argurios skoczył na niego z wysoko uniesioną tarczą i nastawionym mieczem. Tesalczyk zareagował błyskawicznie, przyklękając i uderzając toporem pod tarczą. Cios złamał Arguriosowi dwa żebra i byłby rozpruł mu brzuch, gdyby nie ten solidny stary pancerz. Pomimo przeszywającego bólu Argurios nadal walczył i śmiertelnie ranił przeciwnika. Po bitwie odnalazł umierającego i usiadł przy nim. Rozmawiali o życiu, o nadchodzących żniwach i wartości dobrego miecza.

Kiedy ta krótka wojna się zakończyła, Argurios pojechał do Tesalii i odnalazłszy dolinę, z której pochodził ten człowiek, zwrócił topór oraz zbroję jego rodzinie.

Powoli i starannie Argurios polerował każdą płytkę. Tego wieczoru zamierzał porozmawiać z Priamem i chciał wyglądać jak najlepiej. Wątpił, czy ta rozmowa się powiedzie, i na myśl o rozstaniu z Laodike ścisnęło go w piersiach.

Co zrobisz, zadawał sobie pytanie, jeśli król ci odmówi?

Prawdę mówiąc, nie wiedział, więc odepchnął od siebie te obawy.

Skończywszy czyścić napierśnik, zabrał się do hełmu – pięknego, z jednego kawałka brązu. Podarował mu go król Atreusz. Wyścielony grubą warstwą miękkiej skóry, łagodzącej impet uderzeń, hełm dobrze służył Arguriosowi. Patrząc nań, podziwiał zręczność płatnerza. Uformowanie tego wysoko sklepionego hełmu z wygiętymi osłonami policzków musiało zająć rzemieślnikowi kilka tygodni. Delikatnie przesunął palcami po grzebieniu, w którym przy szczególnie uroczystych okazjach był zatknięty czub z końskiego włosia. Tego wieczoru nie będzie go nosił. Był sfatygowany i należało go wymienić na nowy. Starannie wypolerował hełm. Gdyby nie był wojownikiem, chętnie nauczyłby się sztuki odlewania brązu. Miecze powinny być twarde, ale nie nazbyt kruche; hełmy i zbroje wymagały innego, bardziej miękkiego

rodzaju brązu, który wygina się i amortyzuje ciosy. Aby uzyskać pożądaný rezultat, do miedzi dodawano więcej lub mniej cyny.

W końcu zadowolony ze swego dzieła, odłożył błyszczący hełm i zajął się nagolenicami. Nie były nadzwyczajnej jakości. Darował mu je król Agamemnon i były one dowodem na to, że Argurios traci jego łaski.

Jeszcze nie skończył, gdy zobaczył idącą między drzewami Laodike. Była w żółtej jak słońce sukni ściągniętej szerokim pasem haftowanym złotą nicią. Włosy miała rozpuszczone, a na widok uśmiechu, którym go powitała, serce urosło mu w piersi. Odłożywszy nagolenice, wstał, a ona wpadła w jego ramiona.

– Mam dobre przeczucia – powiedziała. – Dziś rano obudziłam się i wszystkie moje obawy znikły.

Ujął jej twarz w dłonie i pocałował. Stali przez chwilę, nic nie mówiąc. Potem zerknęła na jego zbroję.

– Będiesz wspaniale wyglądał wieczorem – powiedziała mu.

– Chciałbym móc spojrzeć na siebie twoimi oczami. Kiedy ostatnio widziałem swoje odbicie, ukazywało mężczyznę w podeszłym wieku o kanciastych rysach twarzy i siwych włosach.

Podniosła rękę i pogłaskała go po policzku.

– Nigdy nie widziałam przystojniejszego mężczyzny. Nigdy. – Uśmiechnęła się do niego. – Tu jest bardzo gorąco. Może powinniśmy pójść do twojego pokoju, gdzie jest chłodniej?

– Jeśli pójdziemy do mojego pokoju, nie będzie ci chłodno – powiedział.

Laodike roześmiała się i pomogła mu pozbierać zbroję. Potem razem poszli przez ogród.

Później, gdy leżeli nadzy na wąskim łóżku, mówiła o nadchodzącej stypie.

– Nie będzie na niej kobiet – powiedziała. – Arcykapłanka Ateny odpra wi osobną ceremonię w kwaterach kobiet. Jest bardzo stara i nudna. Niezbyt cieszy mnie ta perspektywa. Wasza stypa będzie znacznie bardziej ekscytująca. Będą tam bardowie śpiewający pieśni o bohaterstwie Hektora i gawędziarze. – Nagle skrzywiła się i przycisnęła dłoń do ust. Łzy popłynęły jej z oczu.

Argurios objął ją ramieniem.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że on nie żyje – szepnęła.

– Był bohaterem. Bogowie wyprawia wielką ucztę na jego powitanie.

Usiadła i otarła łzy z oczu.

– Kasandra denerwuje wszystkich, mówiąc, że on ożyje, powstanie z martwych. Hekabe tak się zirytowała, że odesłała ją do pałacu ojca, aby posłuchała kapłanki i pogodziła się z prawdą. Jak myślisz, czy zmarły może ożyć?

– Nigdy nie widziałem, żeby komuś się to udało – odparł Argurios.

– Podobno Orfeusz zszedł do Podziemi i poprosił, żeby zwrócono mu żonę. Bezskutecznie. Współczuję ci, Laodike. Był wojownikiem, a wojownicy giną. Myślę, że nie chciałby umrzeć inaczej.

Uśmiechnęła się na te słowa.

– Och, nie Hektor! On nienawidził być wojownikiem.

Argurios usiadł obok niej.

– Jak to możliwe? Wszyscy wokół Wielkiej Zieleni słyszeli o bitwach stoczonych przez Hektora.

– Nie potrafię tego wyjaśnić. Hektor jest... był... niezwykły. Nienawidził waśni i sporów. Kiedy był w Troi, większość czasu spędzał w swoim gospodarstwie, hodując konie i świnie. Jest taki wielki dom, pełen dzieci, synów poległych trojańskich żołnierzy. Hektor płaci za ich naukę i utrzymanie. Z najwyższą niechęcią mówił o wojnie. Powiedział mi, że nawet zwycięstwo pozostawia mu gorzki smak w ustach. Kiedyś powiedział, że wszystkie dzieci należałoby zmusić do przejścia po pobojowisku, żeby zobaczyły pokiereszowane ciała. Może wtedy nie wyrosłyby na mężczyzn marzących o wojennej chwale.

– Jak powiedziałaś, niezwykły człowiek.

Argurios wstał z łóżka i włożył chiton. Otworzył okno i wyrzał na świątynny dziedziniec. Przed stołami zebrał się spory tłum i kapłani zbierali petycje.

– Dzisiaj przydarzyło mi się coś dziwnego – powiedział. – Zszedłem do dolnego miasta, szukając snycerza, który zreperowałby mój napierśnik. Zobaczyłem tam trackich żołnierzy. Wielu piło. Byli hałaśliwi i niezdyscyplinowani.

– Tak, widziałam kilku, idąc tutaj. Agaton będzie zły, kiedy się o tym dowie.

– Jeden z nich zatoczył się i wpadł na mnie. Powiedział: „Powinieneś zostać w ukryciu”. Jestem pewien, że nie znam tego człowieka. Potem inny go odciągnął i powiedział mu, że jest głupcem.

– Nie wiem, dlaczego wrócili tak szybko – powiedziała mu Laodike. – Ojciec bardzo pilnuje zmiany oddziałów. A przecież Trakowie byli tu zaledwie tydzień temu. Przez pewien czas nie powinni pełnić służby w mieście.

– Powinnaś wrócić do pałacu – rzekł Argurios. – Muszę się przygotować.

Laodike włożyła suknię, a potem podeszła do skrzyni pod przeciwległą ścianą. Leżał tam miecz i pochwa, sztylet z wąską klingą i dwa zapieczętowane woskiem zwoje.

– Pisałeś listy? – zapytała.

– Nie. Nigdy nie opanowałem tej sztuki. Dano mi je w Mykenach, żebym je doręczył posłowi Erekosowi.

Podniósłszy jeden, Laodike złamała pieczęć.

– Co robisz? – spytał Argurios. – To listy od króla.

– On już nie jest twoim królem – przypomniała. – Skazał cię na banicję. Jestem ciekawa, o czym pisze.

– To pewnie jakieś zamówienia – rzekł.

Laodike rozwinęła zwój i rzuciła okiem na treść.

– Tak – powiedziała. – Pisze o ładunkach miedzi oraz cyny, i każe Erekosowi dopilnować zwiększenia dostaw. – Czytała dalej. – Jest tu też coś o przekazaniu złota „naszym przyjaciółom”. Straszne nudy. – Otworzyła drugi list. – Tu to samo. Jest jakieś imię. Karpoforos. O zapłacie w złocie za wykonanie zadania. I podziękowania dla Erekosa za

szczegółowy opis zmiany oddziałów. – Odłożyła papirus na komodę. – Twój król pisze nudne listy. – Wróciła do Arguriosa i pocałowała go. – Nie zobaczymy się dziś wieczór, ale będę tu jutro, żeby się dowiedzieć, jak przebiegło twoje spotkanie z ojcem. Pamiętaj, że to bardzo dumny człowiek.

– Ja też – rzekł Argurios.

– No cóż, staraj się go nie rozzłościć. Jeśli odmówi, po prostu skłoń się i odejź. Nikt nie zdoła nas rozłączyć na długo, mój ukochany. Jeśli mnie gdzieś wyśle, jakoś prześlę ci wiadomość.

– Dobrze widzieć, że nabierasz pewności siebie.

– Wierzę w znak od łabędzi – powiedziała mu.

A potem, po jeszcze jednym długim pocałunku, opuściła komnatę.

Argurios znów podszedł do okna. Słońce chyliło się ku zachodowi.

Wróciwszy do zbroi, skończył polerować nagolenice, a potem krążki z brązu naszyte na starą skórzaną spódniczkę. Na końcu wyczyścił karwasze, sprezentowane mu przed dwoma laty przez Kalliadesa, który zdjął je zabitemu Ateńczykowi i przyniósł odpoczywającemu po bitwie Arguriosowi.

– Dziękuję, że uratowałeś mi życie, Arguriosie – powiedział.

Argurios nie przypominał sobie, kiedy i jak to zrobił.

– Miałem hełm z węzem – wyjaśniał Kalliades. – Zostałem zбитy z nóg i przeciwnik już miał mi przebić włócznią gardło. Ty skoczyłeś na niego i odbiłeś cios tarczą.

– Ach, tak – powiedział Argurios. – Rad jestem, że przeżyłeś.

– To dla ciebie – powiedział Kalliades, podając mu karwasze.

Kilku przyjaciół Kalliadesa stało w pobliżu, zachowując pełen szacunku dystans. Argurios poznał Jednouchego Banoklesa i Erutrosa, znanego z upodobania do rubasznych żartów. Byli też inni, nowi żołnierze, których nie znał.

Przyjawszy prezent, powiedział:

– Są bardzo dobre. Możecie odejść.

Żołnierze odeszli. Wspominając to, Argurios żałował, że nie przemówił do nich, nie zachęcił, by podeszli i porozmawiali.

Spojrzał na pas z mieczem i pochwą. One też wymagały czyszczenia, ale nie zamierzał zabierać miecza do pałacu.

Na komodzie leżały zwoje papirusu, pokryte niezrozumiałymi dla niego znakami. Miedź i cyna do wyrobu oręża. Złoto dla „naszych przyjaciół”. Ci przyjaciele to na pewno trojańscy zdrajcy. Co do zmian oddziałów, to z pewnością chodziło o żołnierzy strzegących miasta. Argurios nie umiał czytać ani nie potrafiłby zrobić sobie zbroi. Nie znał się na uprawie ziemi, tkaniu lnu czy wełny.

Natomiast doskonale znał się na strategii i wojnie.

Jeśli Agamemnon chciał wiedzieć, kto kiedy strzeże miasta, to oznaczało, że mógł uzyskać przewagę w chwili, gdy jakiś konkretny oddział pilnował Troi. W przeciwnym razie nie miałyby znaczenia, jacy żołnierze stoją na murach.

Już nie jesteś królewskim strategiem, skarcił się w duchu Argurios. Ambicje Agamemnona już cię nie obchodzą.

No, chyba że Priam zgodzi się, byś poślubił Laodike. Wtedy

zgodnie z prawem zostaniesz synem króla i Trojańczykiem. Jakże nieprawdopodobna wydawałaby się taka myśl, kiedy wyruszał z Helikaonem na *Ksantosie*.

Na zewnątrz cienie wydłużały się. Argurios założył nagolenice, a potem napierśnik i spódniczkę. Na końcu zapiał paski karwaszy i wstał.

Podszedł do drzwi – i przystanął. Obejrzał się i jego wzrok padł na miecz w pochwie.

Pod wpływem nagłego impulsu wziął go i poszedł do pałacu.

CZEŚĆ CZWARTA
TARCZA BOHATERA

XXX. KREW NA ŚCIANACH

1.

Dla Helikaona był do irytujący dzień. Poszedł do pałacu, żeby odszukać Andromachę, ale zastał zamknięte bramy. Gwardzista stojący na murach nad bramą powiedział mu, że na rozkaz Agatona nikomu nie wolno wejść aż do zmroku. Tak więc Helikaon wrócił do Domu Kamiennych Koni, narzucił na koński grzbiet lamparcia skórę i pojechał na drugi brzeg Skamandra, do pałacu Hekabe, mając nadzieję, że znajdzie tam Andromachę.

Pałac był jednak prawie wyludniony. Najmłodszy syn Hekabe, skrupulatny Parys, siedział w cieniu drzew, patrząc na zatokę. Obok niego śleczła nad pergaminami krępa młoda kobieta o pospolitej, otwartej twarzy i jasnorudych włosach.

– Matka śpi – powiedział mu Parys, odkładając zwój, który trzymał. – Miała ciężką noc.

– Przykro mi to słyszeć. Szukam Andromachy.

– Była tu wczoraj z Laodike. Dziś wszyscy są w mieście, szykują się do ceremonii.

– A ty nie?

Parys uśmiechnął się nieśmiało.

– Nie zostałem zaproszony. Agaton wie, że nie lubię tłumów. Tutaj jestem o wiele szczęśliwszy. – Zerknął na młodą kobietę. – Och, przepraszam, kuzynie – rzekł. – To Helena. Mieszka u nas.

– Jestem Helikaon – powiedział jej.

– Słyszałam o tobie – powiedziała cicho, napotykając jego spojrzenie, zaraz jednak odwróciła wzrok i się zaczerwieniła.

– Helena podziela moje zainteresowanie historią – powiedział Parys, patrząc na nią czule.

– Umiesz czytać? – zapytał ją Helikaon, starając się być uprzejmym.

– Parys mnie uczy – odparła.

– Zatem nie będę wam dłużej przeszkadzał – powiedział Złocisty. – Muszę wracać do domu i przygotować się do ceremonii.

Parys wstał i poszedł z Helikaonem przez cichy pałac.

– Czy ona nie jest wspaniała? – zapytał z ożywieniem w głosie.

Helikaon uśmiechnął się.

– Zdaje się, że jesteś zakochany.

– Myślę, że tak – odparł uszczęśliwiony młodzieniec.

– Kiedy ślub?

Parys westchnął.

– To bardzo skomplikowane. Ojciec Heleny toczy wojnę z Mykeńczykami. Nie znam się na bitwach i strategii, ale Antifones mówił mi, że Sparta przegra tę wojnę. Tak więc jej ojciec zginie albo stanie się wasalem Agamemnona. Tak czy inaczej, Helena będzie poddana Agamemnona.

– Ona jest Spartanką? Parysie, przyjacielu, ona nie jest dla ciebie.

Młody książę zjeżył się.

– Owszem, jest – zaprotestował. – Ona jest dla mnie wszystkim!

– Nie to miałem na myśli. – Helikaon nabrał tchu, porządkując myśli. – Król Sparty nie ma synów. Jeśli Sparta padnie, Helena zostanie poślubiona jednemu z dowódców Agamemnona, dzięki czemu będzie mógł rościć sobie prawa do tronu. Nawet gdyby Sparta jakimś cudem wygrała wojnę, córka króla zostanie wydana za jakiegoś wysoko urodzonego Spartanina, którego wybiorą na następcę tronu.

Parys był zdruzgotany.

– A gdyby ojciec wstawił się za nami?

Helikaon zawahał się. Lubił tego spokojnego młodego księcia. Ze wszystkich synów Priama był on najmniej podobny do ojca. Parysa nie interesowała wojna ani podboje, ani polityczne intrygi. Nigdy nie brał udziału w zawodach ani nawet nie próbował nabrać biegłości w posługiwaniu się mieczem, włócznią czy łukiem.

– Parysie, mój przyjacielu, sam powiedziałeś, że nie znasz się na strategii i bitwach. Ktokolwiek poślubi Helenę, będzie miał prawo do tronu Sparty. Czy sądzisz, że Agamemnon pozwoliłby na to trojańskiemu księciu? Nawet Priam, z całą swoją potęgą, nie zdołał tego zmienić. Zapomnij o tym.

– Nie mogę. My się kochamy.

– Książęta nie żenią się z miłości, Parysie. Obawiam się, że czeka cię rozczarowanie – rzekł Helikaon, chwytając białą grzywę swojego rumaka, i wskoczył na niego. Ubódłszy wierzchowca piętami, pojechał z powrotem ku mostowi nad Skamandrem.

Rozmowa z Parysem zaniepokoiła go. Jechał do Troi z przekonaniem, że zdoła zdobyć rękę Andromachy, ale czy i jego nie zaślepiło uczucie? Dlaczego Priam miałby pozwolić na taki związek? Dlaczego nie miałby wydać jej za Agatona? Albo uczynić swoją nałożnicą?

Ta ostatnia myśl wywołała przyływ gniewu, a z nim obrazy, od których zrobiło mu się niedobrze. Jadąc w kierunku miasta, układał coraz bardziej nierealne plany. Przejeżdżając przez Bramę Skajską, brał już pod uwagę porwanie Andromachy i ucieczkę do Dardanos.

Oszalałeś? – pytał się w duchu.

Jego mała armia, złożona głównie z pospolitego ruszenia, nie zdołałaby oprzeć się wojskom Troi. Takie działanie byłoby nieszczęściem dla królestwa. Starając się myśleć trzeźwo, rozważył, co może zaoferować Priamowi. Pograżony w kalkulacjach, powoli jechał przez miasto do Domu Kamiennych Koni.

Na dziedzińcu ujrzał około dwudziestu żołnierzy, a podchodząc, zauważył krew na bruku.

– Co tu się dzieje? – zapytał młodego trackiego oficera.

Ten rozpoznał go.

– Ktoś został napadnięty, panie Eneaszu – rzekł. – Twój sługa odmawia nam wstępu.

Przeszedłszy obok oficera, Helikaon załomotał pięścią w drzwi.

– Kto tam? – usłyszał głos Gershoma.

– Helikaon. Otwórz.

Usłyszał zgrzyt podnoszonej antaby i drzwi się otworzyły. Najpierw

zobaczył leżące na podłodze ciało nakryte dwoma płaszczami. Dywan, na którym leżało, był przesiąknięty krwią. Chociaż twarz zabitego była zakryta, Helikaon natychmiast domyślił się, że to Antifones. Nikt inny w Troi nie był aż tak opasy. Tracki oficer wszedł za nim i spojrzął na trupa.

– Nie wiedzieliśmy, co robić, panie – rzekł Gershom z niskim ukłonem. – Ten człowiek wtoczył się tu, pytając o ciebie. Potem upadł i umarł.

Helikaon uważnie spojrzął na Gershoma. Egipcjanin nigdy przedtem nie zachowywał się służalczo i nikomu się nie kłaniał. Napotkawszy jego spojrzenie, wyczuł, że za tym wszystkim kryje się znacznie więcej. Helikaon odwrócił się do trackiego oficera.

– Ten martwy człowiek to Antifones, syn Priama. Proponuję, żebyś posłał powóz i kazał zawieźć ciało do pałacu.

– Tak uczynię, panie – rzekł Trak. Odwrócił się do Gershoma. – Czy powiedział coś przed śmiercią?

– Próbowałem, panie – odparł Gershom z uniżonym ukłonem. – Wciąż pytał o pana Helikaona. Powiedziałem mu, że go tu nie ma. Próbowałem zatamować krwawienie, ale rany były zbyt głębokie. Wkrótce umarł. Nie mogłem go ocalić.

– Dlaczego nas nie wpuściłeś? – zapytał żołnierz.

– Byłem przestraszony, panie. Jestem obcy w tym mieście. Jakiś człowiek przychodzi i umiera, a potem uzbrojeni ludzie łomoczą do drzwi. Nie wiedziałem, co robić.

Ta odpowiedź najwyraźniej zadowoliła oficera.

– Każę przysłać tu wóz – powiedział Helikaonowi i wyszedł.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, Gershom klęknął przy trupie i odchylił połę jego płaszcza, odsłaniając twarz. Antifones miał otwarte oczy. Helikaon zobaczył, jak poruszył powieką. Z bocznego pokoju wyszedł uzdrowiciel Machaon.

– Co tu się dzieje? – zapytał zdumiony Helikaon.

Gershom podniósł głowę.

– Napadli na niego traccy żołnierze przysłani przez jego brata Agatona – powiedział normalnym tonem, bez udawanej służalczości.

Machaon również ukląkł przy Antifonesie i jeszcze bardziej odchylił płaszcz. Górna połowa ciała księcia była zboczona krwią i Helikaon dostrzegł równe rzędkie szwów założonych na liczne rany. Machaon obejrzał je, a potem położył dłoń na sercu rannego.

– Jest silnym mężczyzną – orzekł – i zdaje się, że gruba warstwa tłuszczu uchroniła go przed śmiercią.

– Dlaczego Agaton ci to zrobił? – zapytał rannego Helikaon.

– Byłem strasznym głupcem. Nie dostrzegałem prawdy. Myślałem, że tak jak ja, Agaton chce się zemścić na Priamie za wszystkie krzywdy i zniewagi. Jednak z niego aż się wylewa nienawiść. Nie tylko do Priama – do każdego, kto kiedykolwiek go uraził. Dziś wieczorem dojdzie do masakry. Tysiąc Traków i około dwustu Mykeńczyków zaatakują pałac. Wszyscy mężczyźni w megaronie mają zostać zabici. Wszyscy książęta, doradcy, szlachetnie urodzeni. Wszyscy. Próbowałem go przekonać, że to szaleństwo. Przesłał trzech żołnierzy, żeby mnie zabili. – Antifones

uśmiechnął się ze znużeniem. – Zabiłem ich. Hektor byłby ze mnie dumny, nie sądzisz?

– Byłby. Co z kobietami?

Uśmiech zgasł na ustach Antifonesa.

– Nasze siostry będą bezpieczne. Wszystkie pozostałe staną się łupem wojennym – rzekł. – Nie dostrzegałem, ile w nim nienawiści. Zaślepiła mnie moja niechęć do Priama. Musisz uciekać z miasta. Kiedy Priam zginie, Agaton naśle na ciebie zabójców.

– Priam jeszcze żyje – przypomniał mu Helikaon.

– Nic nie zdołasz zrobić. Wielkiej bramy strzeże oddział dowodzony przez jednego z ludzi Agatona. Mają rozkaz nie opuszczać posterunków i nie otwierać wrót do świtu. Nie przyjdą z pomocą Priamowi. A w pałacu jest zaledwie około stu Orłów. Nie zdołają powstrzymać tak licznych sił wroga.

– A pani Andromacha? Gdzie ona jest?

– Och, znalazła się na liście jego wrogów. Odrzuciła go, Eneasz. Powiedział, że z przyjemnością popatrzy, jak gwałcą ją Trakowie.

2.

Nadeszło popołudnie i zbliżała się stypa. Andromacha stała na balkonie swojego pokoju, spoglądając na zielone wzgórza na północ od miasta. Na zboczach pasły się owce, a w oddali dostrzegła dwóch wjeżdżających na wzniesienie konnych. Jak dobrze, pomyślała, byłoby uwolnić się od Troi. Jak cudownie byłoby pojechać po tych wzgórzach, przed siebie.

– Chciałaś na dziś zwykłą białą szatę – przerwała jej te rozmyślenia Aksa, wychodząc na balkon. Pokojówka trzymała w rękach dwie identyczne szaty. Andromacha wskazała jedną z nich. Aksa obejrzała hafty i wydawszy usta, pobiegła po swoją szkatułkę z przyborami do szycia. Uzbrojona w igłę i srebrną nitkę, wygodnie usiadła na taborecie. Andromacha zauważyła, że porusza się zwinnie, a jej siniaki zaczynają znikać.

– Kasandra jest w pałacu – oznajmiła Aksa, mrużąc krótkowzroczne oczy przy szyciu. – Wróciła wczoraj. Plotkuje się, że królowa straciła do niej cierpliwość. Mała wciąż powtarzała, że Hektor ożyje. To musi być trudne dla matki mieć takie nawiedzone dziecko.

– Ona nie jest nawiedzona – poprawiła ją Andromacha. – Parys mówił mi, że Kasandra o mało nie umarła w niemowlęctwie. Miała zapalenie mózgu.

– Biedactwo – rzekła Aksa. – Mojemu chłopcu to nie grozi. Mam amulet. Jest na nim błogosławieństwo Persefony. Kupił go Mestares.

Wypowiedziawszy imię męża, Aksa przestała szyc i jej pospolita, pulchna twarz ściągnęła się z żalu. Andromacha usiadła przy niej. Nie wiedziała, co jej powiedzieć. Wizyta króla Hetytów rozwiała wszelkie nadzieje na powrót Hektora i jego ludzi.

Aksa otarła łzy stwardniałą od pracy dłonią.

– Nie mogę. Nie wolno mi płakać – powiedziała. – Muszę dopilnować, żebyś ładnie wyglądała na stypie.

– Andromacho! – Trzasnęły drzwi, zaszeleściły zasłony i w progu

pojawiła się Kasandra ze zmierzwionymi czarnymi kędziorami. Ciągnęła za sobą po podłodze rąbek długiej niebieskiej sukni. – Chcę wyjść do ogrodów. Laodike mi nie pozwala. Nie chce mnie puścić.

Tuż za nią pojawiła się Laodike.

– Kasandro, nie przeszkadzaj Andromasze. Dziś jest smutny dzień. Powinniśmy być cicho i pozostać w swoich pokojach.

– Ty nie jesteś smutna. – Kasandra przeszła siostrę spojrzeniem szaro-niebieskich oczu. – Twoje serce śpiewa jak ptak. Słyszę je.

Laodike zarumieniła się, a Andromacha uśmiechnęła się do niej. Domyślała się, że w życiu Laodike pojawił się jakiś mężczyzna. W ostatnich tygodniach dziewczyna nabrała pewności siebie, a poprzedniego dnia miło było widzieć ją tak szczęśliwą. Andromacha miała nadzieję, że Laodike zwierzy się jej, ale rzadko ją widywała, a kiedy miały okazję porozmawiać, nie mówiły o miłości. Andromacha zgadywała, że Laodike zapewne związała się z jakimś żołnierzem i dlatego musi trzymać to w sekrecie.

– Moje serce nie śpiewa, nieżnośne dziecko! – wykrzyknęła Laodike. – Naprawdę jesteś irytująca! A ja mam mnóstwo pracy. Muszę powitać arcykapłankę, która mnie onieśmiela.

– Zostaw Kasandrę u mnie – zaproponowała Andromacha. – Lubię jej towarzystwo.

Laodike westchnęła.

– To dlatego, że nie musiałaś długo go znosić.

Obrzuciła Kasandrę groźnym spojrzeniem, które jednak zaraz złagodniało, gdy mała przechyliła głowę na bok i uśmiechnęła się do siostry.

– Wiem, że mnie kochasz, Laodike – powiedziała.

– Nic nie wiesz! – Zwróciła się do Andromachy. – Bardzo dobrze, zostawię ją z tobą. Jednak ostrzegam, że do wieczora będziesz miała siwe włosy i zmarszczki.

Kiedy Laodike odeszła, Andromacha powiedziała:

– Nie rozumiem, dlaczego nie miałybyśmy przejść się po ogrodzie. No, Aksa, daj mi suknię. Lekko wystrzępiony rąbek mnie nie przeraża. Nikt nie będzie patrzył na moje stopy.

Aksa najwyraźniej nie była zadowolona z tej decyzji, ale oddała białą suknię Andromasze, która zdjęła zieloną i przebrała się w nią. Pokojówka przyniosła jej piękny pas ozdobiony srebrnymi łańcuszkami.

Opuściwszy pokój, wszystkie trzy poszły korytarzami kobiecej części pałacu i przez wysokie dębowe drzwi intarsjowane złotem oraz kością słoniową. Za nimi były schody wiodące do komnat królowej, a potem następne, schodzące do megaronu Priama. Uwijali się tam słudzy, czyniąc przygotowania do wieczornej wielkiej stypy. Już przybywali pierwsi goście i Andromacha zauważyła Politesa oraz Diosa. Ten ostatni obrzucił ją potępiającym spojrzeniem. Dios wciąż żywił do dziewczyny niechęć za zajście na plaży i od tamtej pory nie odzywał się do niej.

– Dlaczego ludzie jedzą tyle pieczonego mięsa, kiedy ktoś umrze? – zapytała Kasandra, patrząc na służbę wnoszącą kawały wołowiny.

Andromacha wzruszyła ramionami.

- Tak nakazuje tradycja. Gdy ginie taki bohater jak Hektor, ludzie lubią siadywać razem i rozprawiać o jego wielkości. Podobno bogowie też biorą udział w uczcie i zaprasza się ich, żeby jedli i pili w hołdzie dla wojownika.

Andromacha rozejrzała się po megaronie. Była tu już kilkakrotnie, ale jeszcze nie miała okazji dokładnie mu się przyjrzeć. Ściany były obwieszane orężem i zbrojami. Aksa, która teraz wykorzystywała każdą okazję, żeby przysłużyć się swej pani, zaczęła wyjaśniać, skąd wziął się ten oręż.

- Tutaj - powiedziała, wskazując na przeciwległą ścianę - wisi broń Heraklesa. To jego włócznie, a tym wielkim młotem zwałił zachodni mur.

Andromacha spojrzała wyżej. Nad ich głowami wisiało pięć tarcz. Cztery były wypolerowane i lśniące, a piąta powyginana i matowa, starożytna. Szeroka u góry i wąska pośrodku, była starannie wykonana i ozdobiona dziesięcioma kręgami z brązu. Tarczę ozdobił ryt przedstawiający olbrzymiego dziewięciogłowego węża oraz wojownika uzbrojonego w miecz i pochodnię. Srebrne sploty węża otaczały i osłaniały uchwyt.

- Wspaniała - powiedziała Andromacha.

- To tarcza Ilosa, jednego z największych wojowników Troi - wyjaśniła uszczęśliwiona Aksa. - Legenda mówi, że tylko największy bohater może zdjąć ją z tej ściany. Król ofiarował ją Hektorowi, ale on nie chciał jej przyjąć. Książę Agaton poprosił o nią w zeszłym roku, po zwycięskiej bitwie na wschodzie. Król odparł, że jeśli Hektor nie uważa się za godnego ją nosić, to nikt inny nie powinien.

- Teraz to może się zmienić - powiedziała Andromacha. - Zapewne Agaton zostanie następcą Priama?

- Priam przeżyje wszystkich swoich synów - powiedziała nagle Kasandra, zimnym i obojętnym głosem.

Andromacha poczuła, że włosy stają jej dęba i zimny dreszcz przechodzi jej po plecach. Oczy Kasandry nagle stały się wielkie i przestraszone.

- Na tych ścianach jest krew! - zawołała i pobiegła po schodach na górę, do komnat królowej. Słyszeli stukot jej sandałków na kamiennych stopniach. Andromacha ruszyła za uciekającą dziewczynką.

Jednak Kasandra biegła bardzo szybko, omijając służących, zwinnie manewrując w tłumie. Andromacha podążała za nią tak szybko, jak mogła, nie tracąc godności. Nie mogła podkasać długiej sukni i pobiec, więc szła rażnym krokiem, aż dotarła do kobiecej części pałacu i swojej komnaty. Jej drzwi otworzyły się i wyszła z nich Kasandra, trzymając łuk Andromachy i kołczan pełen strzał.

- Będzie ci potrzebny - powiedziała. - Oni nadchodzą.

XXXI. POCZĄTEK OBLEŻENIA

1.

Gdy Argurios poszedł do pałacu Priama, zerwał się wiatr. Na targowisku handlarze z trudem przytrzymywali lniane daszki straganów. Wydymały się na wietrze, który porwał jeden i uniósł wysoko, niczym żagiel. Kilku mężczyzn ruszyło w pościg, budząc śmiech licznych gapiów.

Słońce zachodziło za odległymi wyspami Imbros i Samotraką, a nad miastem zbierały się deszczowe chmury Argurios przeszedł placem przed świątynią Hermesa, walcząc z porywistym wiatrem. Miał nadzieję, że dotrze do pałacu, nim zacznie padać. Nie chciałby stanąć przed królem Priamem w ociekającej deszczem zbroi.

Prawdę mówiąc, w ogóle nie cieszyła go myśl o spotkaniu z tym człowiekiem.

Jak daleko sięgał pamięcią, rozmowa zawsze przychodziła mu z trudem. Nieuchronnie mówił coś, co irytowało rozmówcę lub – w najlepszym razie – wywierało złe wrażenie. Tylko w obecności bardzo niewielu ludzi czuł się swobodnie. Jednym z nich był król Atreusz i Arguriosowi wciąż go brakowało.

Wspomniał pewną noc przy obozowym ognisku. Argurios wdał się w gwałtowną sprzeczkę z jednym z dowódców Atreusza. Później rozbawiony król kazał mu usiąść, głęboko oddychać i uspokoić się. Atreusz z trudem powstrzymywał śmiech, co jeszcze bardziej rozżłościło Arguriosa.

– Nie widzę w tym niczego zabawnego – warknął.

– Oczywiście, że nie – odparł przyjaźnie Atreusz. – Jesteś Argurios. Ciebie nic nie bawi. Jesteś poważnym człowiekiem i zawsze mówisz prawdę.

– Prawdę należy cenić – upierał się Argurios.

– Istotnie. Jednakże prawda ma wiele twarzy. Powiedziałeś Rostidesowi, że jest durniem, bo bez rozpoznania przypuścił atak na pozycje nieprzyjaciela.

– Bo to prawda.

– Zgadzam się. Jednak to ja dałem Rostidesowi rozkaz do ataku. Czy jestem durniem?

– Tak – odparł Argurios – ponieważ to nie zmienia sytuacji. Nie przeprowadzono rozpoznania i dlatego nasi ludzie wpadli w zasadzkę.

– Masz całkowitą rację, mój przyjacielu – rzekł Atreusz i uśmiech zgasł mu na wargach. – Postąpiłem impulsywnie, co w tym wypadku nie było rozsądne. Ty postąpiłeś równie pochopnie, obrażając Rostidesa bez rozeznania sytuacji. Co, wedle tych kryteriów, ciebie też czyni durniem. Czyż nie?

– Przepraszę go.

– Postąpiłbyś rozsądnie. Wiesz, Arguriosie, zawsze ceniłem twoją uczciwość. I zawsze będę ją cenił. Królowie lubią otaczać się pochlebcami. – Nagle zaśmiał się. – Ja również zebrałem ich sporo wokół

siebie. Mimo to powinno się mieć choć jedną osobę, która mówi prawdę. Postaraj się jednak pamiętać, że nie wszyscy myślą tak jak ja.

– Nie potrafię być kimś innym, niż jestem, panie.

– Wiem. Dlatego miejmy nadzieję, że obaj będziemy żyć długo, co? Atreusz umarł dwa lata później. I teraz Argurios dobrze rozumiał, co stary król miał na myśli. Agamemnon nie był podobny do ojca. Nie potrzebował nikogo, kto mówiłby mu prawdę.

A Priam potrzebował?

Argurios w to wątpił.

Przystanął i spojrział na coraz niżej wiszące chmury.

– Przez całe moje życie, ojcze Zeusie, o nic cię nie prosiłem – rzekł. – Bądź dziś przy mnie i poprowadź mnie tak, abym nie utracił Laodike.

W oddali przetoczył się grom. Argurios spojrział na morze. W zachodzącym słońcu ujrzał cztery galery o czarnych żaglach powoli płynące w kierunku brzegu. W ostatnich promieniach słońca błyszcząły hełmy i tarcze wojowników stojących na pokładach.

Argurios poszedł dalej, układając w myślach przemowę do Priama.

Kiedy wyszedł na otwartą przestrzeń za bramą, zobaczył kilku wystrojonych trojańskich arystokratów rozmawiających z gwardzistami Priama. Usłyszał podniesione głosy.

– To oburzające! – powiedział któryś. – Nawet sztyletu? Jak mamy jeść? Czyżby na stypie Hektora podawano tylko zupę?

Za bramą, nieco z boku, stały dwa długie stoły. Piętrzyły się na nich miecze, sztylety i noże.

– Przykro mi, panie – powiedział żołnierz. – Taki otrzymaliśmy rozkaz. Nikt nie może wnieść broni do megaronu. Będzie tutaj czekała do odebrania przy wyjściu.

W mówiącym to Argurios rozpoznał Polidorosa, żołnierza, który zaprowadził go na plażę tamtego dnia, kiedy pływał z Andromachą. Wciąż narzekając, gość z trzaskiem położył sztylet na stole i odszedł. Ponieważ zapadał zmrok, z pałacu wyszli słudzy z pochodniami, które umieścili w uchwytach na murach wieży bramnej. Wzdłuż drogi wiodącej do drzwi pałacu postawiono lampy na stojakach.

Argurios zaczekał, aż przejdzie ostatni z trojańskich wielmożów, i podszedł do Polidorosa. Młody żołnierz miał udręczoną minę, ale uśmiechnął się na widok Mykeńczyka.

– Sam zaopiekuję się twoją bronią, panie – rzekł. – Czy to tym mieczem walczyłeś na moście partyjskim?

– Nie. Tamten złamał się dawno temu.

Nagle usłyszeli stukot kopyt. Złocisty rumak galopem przemknął przez bramę. Helikaon zeskoczył z konia. Miał na sobie napierśnik i hełm, a na plecach dwa miecze w pochwach.

– Gdzie jest dowódca straży?! – zawołał.

Z cienia za bramą wyszedł wysoki żołnierz.

– Jestem Aranes, panie. Musisz zostawić tu broń, na rozkaz księcia Agatona.

– Musisz zamknąć bramę pałacu, Aranesie – rzekł Helikaon. – Przybywają zdrajcy, żeby zabić króla. Są tuż za mną. A pomagają im

mykeńskie oddziały. Ich statki właśnie przybijają do brzegu.

– Co to za bzdury? Jesteś pijany?

– Czy wyglądam na pijanego? Książę Antifones został napadnięty. Agaton jest zdrajcą i jego Trakowie idą tu wymordować wszystkich. A teraz zamknij tę przeklętą bramę, bo wszyscy zginieją.

Żołnierz potrząsnął głową.

– Będę musiał porozmawiać z dowódcą. Mamy rozkaz nie zamykać bramy.

Helikaon przez moment stał i milczał, a potem błyskawicznie doskoczył do Aranesa i uderzył go w szczękę. Żołnierz okrzykiem się na pięcie i upadł twarzą na bruk. Kilku gwardzistów rzuciło się ku nim, sięgając po miecze.

– Posłuchajcie! – zawołał Helikaon. – Śmierć nadchodzi! Zbierzcie wszystkich! I na bogów, zamknijcie tę bramę!

– Róbcie, co mówi! – krzyknął Polidoros, biegnąc do bramy.

Argurios ruszył za nim i zaczęli zamykać jedną połowę wrót. Żołnierze rzucili się do drugiej.

Cięnięty oszczep z trzaskiem wbił się w deski.

Z ciemności wypadli uzbrojeni ludzie, wznosząc bojowe okrzyki.

A brama wciąż była otwarta.

2.

Helikaon odwrócił się, usłyszawszy stuk wbijającego się w bramę oszczepu. Traccy żołnierze pędzili ku bramie. Jedni mieli oszczepy lub włócznie, inni krótkie miecze. W mgnieniu oka zauważył, że wojownicy są tylko w lekkich skórzanych napierśnikach i okrągłych skórzanych hełmach. Nie mieli tarcz. Na ten widok wpadł w gniew. Nawet nie wrócili do koszar po bojowe zbroje, tak pewni, że im się powiedzie. Spodziewali się zastać tu jedynie nielicznych gwardzistów i setkę bezbronnych ludzi oplakujących poległego bohatera.

Wyrwawszy z pochew na plecach dwa miecze, Helikaon zaatakował nacierających Traków. Nie myślał o chwale. Ani o śmierci. Nie myślał o niczym – wiedziony dziką, zuchwałą żądzą zemsty na tych zdrajcach, chcąc ujrzeć, jak padają zalani krwią, krzycząc ze strachu.

Kilku Traków rzuciło się do wrót, usiłując je otworzyć na oścież. Około dwudziestu Orłów pchało z drugiej strony, chcąc je zamknąć. Helikaon przemknął przez prześwit, ciał w gardło jasnowłosego wojownika mieczem trzymany w prawej ręce, a tym w lewej przeszył szyję drugiego. Tym nagłym atakiem zaskoczył Traków. Kilku z nich próbowało go powstrzymać, inni wycofali się w popłochu, przerażeni gradem zadawanych przez niego ciosów. Miecze z brzękiem uderzały w jego zbroję, a po chełmie ześlignęła się ciśnięta weń włócznia.

Znalazł się w samym ich środku. Wokół leżały ciała zabitych, a jego miecze migotały, unosząc się i opadając. Mimo bitewnej furii zdał sobie sprawę, że zapuścił się za daleko. Teraz otaczali go i niebawem zdolają go unieruchomić lub zwalić z nóg. Ledwie to pomyślał, ogromny Trak skoczył na niego, uderzając barkiem w pierś. Helikaon zatoczył się w tył, ale jeszcze zdążył wbić miecz w jego policzek. Czyjaś dłoń chwyciła go i podtrzymała. Helikaon ujrzał obok siebie Arguriosa. Jakiś Trak

podbiegł i próbował pchnąć Mykeńczyka włócznią. Argurios uchylił się i zabił napastnika morderczym ciosem, który rozplątał mu czaszkę.

– Zabić wszystkich! – ryknął Argurios donośnym, władczym głosem.

Następni gwardziści Priama przybiegli do bramy, wysocy, barczyści i silni.

W pełnym rynsztunku i z ciężkimi brązowymi tarczami, wbili się w szeregi Traków. Napastnik wycofał się, żeby się przegrupować.

Helikaon już chciał na nich ruszyć.

– Nie teraz! – krzyknął Argurios, znów chwytając go za ramię. – Z powrotem do bramy!

Helikaon ochłonął z bitewnej gorączki i razem z innymi pobiegł do wrót. Trakowie, za późno zrozumiałwszy, co się dzieje, rzucili się za nimi.

Helikaon wpadł do środka ostatni. Brama zatrzasnęła się, a Polidoros i jeszcze jeden żołnierz zaryglowali ją grubą drewnianą belką.

Z pałacu wybiegali ludzie.

– Weźcie łuki! – zawołał Helikaon do żołnierzy. – Idźcie na mury! Zaraz pojawią się następni. – A odwróciwszy się do Arguriosa, powiedział: – Dziękuję ci.

– Było ich zaledwie pięćdziesięciu – rzekł Argurios. – To z pewnością szpica. Ilu jest wszystkich Traków?

– Tysiąc.

– I mówisz, że przybyli Mykeńczycy?

– Tak mi powiedziano.

– Chyba ich widziałem. Kiedy tutaj szedłem, do brzegu przybijały cztery galery. Może być ich więcej. Myślałem, że to trojańskie okręty.

Król Priam przecisnął się przez tłum.

– Co się tu dzieje, na Hadesa? – zapytał Helikaona.

Miał oddech przesycony winem i lekko się chwiało.

– Zdrada – odparł Helikaon. – Trakom Agatona rozkazano zabić wszystkich w pałacu. A kiedy tu rozmawiamy, maszeruje na nas dwustu mykeńskich wojowników.

Priam potarł oczy i zaczerpnął tchu.

– To szaleństwo – rzekł. – Dwie setki Traków? Gdy tylko ta wieść dotrze do innych garnizonów, przybędą tu tysiące zbrojnych. Poza tym jest już po zmroku. Wszystkie bramy będą zamknięte. Żaden Mykeńczyk nie wejdzie do miasta.

– Mylisz się, panie – odparł Helikaon. – Żołnierzom przy Bramie Skajskiej kazano ich wpuścić i zamknąć za nimi wrota. Żadne inne oddziały nie wejdą do miasta. Gwardia pałacowa to twoi jedyni lojalni żołnierze, jacy pozostali w górnym mieście. Jesteśmy zdani na siebie.

Priam przez chwilę nic nie mówił, a potem obrócił się do najbliższego Orła.

– Przynieś mi zbroję – rozkazał. Odwróciwszy się z powrotem do Helikaona, powiedział: – Powstrzymamy ich. Na bogów, dowiedzą się, jaką cenę trzeba zapłacić za zdradę.

– Nie utrzymamy się długo na murach pałacu – rzekł Argurios. – Nie są dostatecznie wysokie i nie mamy dość ludzi. Tamci pewnie już szukają drabin, wozów, desek... wszystkiego, co pozwoli im wspiąć się

na blanki.

– Czy ja cię znam? – spytał Priam, mrużąc oczy w świetle pochodni.

– Jestem Argurios, królu Priamie.

– Ten Argurios?

– Mimo to.

– I t y walczysz razem ze mną?

– Na to wygląda.

Podpity król nagle się roześmiał, jednak bez cienia wesołości.

– Zabrali mi mojego Hektora. Jego brat pragnie mojej śmierci, a moje miasto jest atakowane. Teraz z pomocą przychodzi mi mykeński bohater. – Sposępniał. – Och, bogowie zaiste są dla mnie łaskawi!

– Podzielam twoje uczucia – rzekł Argurios. – Wcale nie marzyłem o tym, żeby walczyć za Troję. Jednak o kapryсах bogów porozmawiamy innym razem. Teraz musimy uzbroić wszystkich twoich gości we wszelką broń, jaka jest w pałacu. Balkony wychodzące na dziedziniec trzeba obsadzić łucznikami. I nawet jeśli to zrobimy, będziemy mieli niewielkie szanse.

Priam posłał mu chłodny uśmiech.

– Bohater mówi o szansach, Arguriosie? Gdzie ta przeklęta zbroja?

– Król odwrócił się i chwiejnie ruszył na poszukiwanie broni.

Stojący na murach gwardziści zaczęli szyc z łuków w szeregi nacierających Traków.

– Nie zdołamy długo utrzymać tych murów – powtórzył Argurios, tym razem do Helikaona. – Wróć z drabinami, linami i hakami. Wyroją się tu jak mrówki.

– Wiem. – Helikaon zwrócił się do Polidorosa. – Idź do środka. Niech wszyscy starsi doradcy i słudzy pójdą do apartamentów królowej, jak najdalej od megaronu. Potem zabarykadujcie wszystkie wejścia. Dopilnuj, żeby pozamykano i zatarasowano wszystkie okna. Jeśli znajdziecie narzędzia, każ pozabijać je gwoździami.

Oficer, którego wcześniej ogłuszył, już się podniósł, ale wciąż był oszołomiony. Helikaon podszedł do niego.

– Ilu żołnierzy stoi przed drzwiami do kobiecej części pałacu? – zapytał.

– Ani jeden – odparł oficer, pocierając szczękę. – Brama jest zamknięta. Nie można przejść.

– Zatem wróg wdrze się tam na mury, nie napotykając żadnego oporu! – wybuchnął Helikaon. – Arguriosie, zostań tu i obejmij dowodzenie obroną. – Ty! – zawołał do Aranesa. – Weź dwudziestu dobrych szermierzy i za mną!

3.

Stojąc przed drzwiami swojej komnaty w głębi pałacu, Andromacha spojrzała w szare oczy Kasandry i zobaczyła w nich strach.

– Kto nadchodzi? – zapytała łagodnie.

Kassandra zamrugwała.

– Miecze, sztylety i włócznie. – Rozejrzała się szeroko otwartymi oczami. – Krew na ścianach. Krew... wszędzie. Proszę, weź łuk.

Dziewczynka zaczęła drżeć. Andromacha podeszła do niej i Kasandra podała jej łuk i kołczan z dwudziestoma czarnopiórymi strzałami. Andromacha zawiesiła go na ramieniu.

– No, już! Mam łuk. Uspokój się, mała. Nikt cię nie skrzywdzi.

Wyciągnawszy wolną rękę, Andromacha ujęła dłoń Kasandry.

– Chodźmy na dół i posłuchajmy kapłanki. Podobno to straszna nudziara. Później posiedzimy sobie i porozmawiamy w blasku gwiazd.

– Helikaon przybywa po ciebie – powiedziała Kasandra, gdy trzymając się za ręce, szły szerokim korytarzem ku sali zgromadzeń w kobiecej części pałacu.

– Dlaczego miałyby to robić? – spytała Andromacha.

– Bo cię kocha – odparła dziewczynka. – Wiedziałaś o tym, prawda?

Andromacha westchnęła.

– Helikaon jest w Dardanii.

Kasandra potrząsnęła głową.

– Siedział na złocistym koniu i jechał ulicami. Boi się o ciebie. On wie, że poleje się krew. Powiedział mu grubas.

Nagle dziewczynka zaczęła płakać. Andromacha położyła łuk na stojącej w niszy sofie i usiadła, przyciągając Kasandrę. Tuląc dziewczynkę i całując jej czarne włosy, próbowała ją uspokoić. Słyszała wiele opowieści o tym dziwnym dziecku i wiedziała, że w żaden sposób nie zdoła rozwiązać jej złudzeń, rak więc, tuląc ją do piersi, czekała, aż mała przestanie płakać.

Siedziały tak przez pewien czas.

– Nie chcę widzieć tego wszystkiego – powiedziała Kasandra, odsuwając się i siadając plecami do ściany. – Nienawidzę tego. Czasem nie potrafię odróżnić tego, co teraz, od tego, co wtedy.

– Jesteśmy tu teraz, ty i ja – powiedziała Andromacha. – Siedzimy tu razem.

– Ty i ja – powtórzyła Kasandra. Popatrzyła na korytarz. – Spójrz tam. Co widzisz?

Andromacha powiodła wzrokiem tam, gdzie mała pokazywała palcem.

– Widzę tkaninę wiszącą na ścianie. Bardzo ładną.

– Nie! Przed tą tkaniną.

– Korytarz?

Kasandra zgarbiła się. Andromacha zobaczyła, jak uśmiecha się do czegoś i macha ręką.

– Co ty widziałaś? – zapytała.

– To nie ma znaczenia. Delfiny powiedziały mi, że morze się zmienia. Są wystraszone. Ja też się boję. Wszystko się zmienia, Andromacho.

– Dlaczego powiedziałaś, że Helikaon mnie kocha? Czy on ci to powiedział?

Kasandra posłała jej nieśmiały uśmiech.

– Ja kocham Helikaona. Lubię mu się przyglądać, gdy śpi. Helikaon jest teraz. Jest Panem Srebrnego Łuku.

– Myślisz, że Helikaon jest Apollinem?

– Nie, głuptasie! Helikaon to Helikaon.
Andromacha uśmiechnęła się do małej.
– Nie rozumiem.
– Nikt tego nie rozumie. No cóż, nikt z tych, którzy czują deszcz lub skwar.

– Czyż nie czują tego wszyscy ludzie?
– Musimy iść! Przygotuj łuk. Musimy uratować Laodike. Musimy zaprowadzić ją do mężczyzny z tarczą.

Andromacha nie wiedziała, co mogłaby jeszcze powiedzieć temu dziwnemu dziecku, tak więc założyła cięciwę na łączysko i w milczeniu poszły do sali zgromadzeń.

Była tam już gromadka około dwudziestu kobiet w powiewnych szatach, obwieszonych złotą i srebrną biżuterią. Służba kręciła się między nimi, roznosząc złote puchary z winem. Andromacha zobaczyła Laodike i pomachała do niej. Przy wielkich podwójnych drzwiach stała wysoka siwowłosa kobieta w ceremonialnym złocistym hełmie.

– To kapłanka – szepnęła Kasandra. – Nie lubię jej. Wygłasza fałszywe proroctwa.

– Jeśli są fałszywe – rzekła Andromacha – to ludzie z pewnością zrozumieją to, kiedy jej przepowiednie się nie spełnią.

– Nie, ponieważ ona jest bardzo sprytna – odparła Kasandra. – W zeszłym roku kupiec Pandates poszedł do niej i zapytał, czy jego żona zajdzie w ciążę. Kapłanka powiedziała mu, że bogowie darzą go łaską, ale musi być cierpliwy. Powiedziała, że będzie miał syna, jeśli niczym nie obrazi bogów. Statek Pandatesa utonął, a on razem z nim. Wtedy oznajmiła, że obraził Posejdona.

– Może obraził – mruknęła Andromacha.

– Po dzisiejszym wieczorze – dodała Kasandra – będzie mówiła prawdę, a jej proroctwa będą się spełniały. Tyle że nikt nie będzie ich słyszał.

Andromacha miała wrażenie, że rozmowa z Kasandra jest jak łapanie motyla. Ilekroć myślisz, że już masz go w garści, on sobie odlatuje.

– Niewiele jest tu kobiet – ośmieliła się zauważyć. – Czy Hektor nie miał przyjaciółek?

– Wszyscy kochali Hektora – odparła Kasandra. – Będą szczęśliwi, kiedy tu przybędzie. Trzymaj łuk w gotowości.

Laodike podeszła i dołączyła do nich. Miała na sobie jasnożółtą suknię i złoty drut wpleciony w jasne włosy.

– To nie miejsce na łucznicze popisy – powiedziała, marszcząc brwi.

– Wiem. Wyjaśnię później. Nie widzę tu Kreuzy.

– Ona zawsze się spóźnia – powiedziała Laodike. – Kreuza lubi dramatyczne wejścia. Myślę, że będzie rozczarowana. Przyszło niewiele ludzi. Są żony najbliższych doradców ojca, ale nie ma przyjaciółek Hektora. – Nachyliła się do niej. – Och, moja droga, kapłanka zaraz przemówi. Zaczyna się najnudniejsza część wieczoru.

– Nie będzie mówiła długo – szepnęła Kasandra, cofając się o krok, pobladła.

Nagle odwróciła się i pobiegła z powrotem korytarzem. Siwowłosa kapłanka uniosła w rękach ceremonialny złoty hełm i zaczęła recytować:

– Ateno, wysłuchaj swych dzieci! Bogini mądrości, usłysz swoich wiernych. Niechaj nasze słowa i ból popłyną do ciebie, daj nam spokój i zrozumienie w tych dniach żałoby.

Nagle drzwi gwałtownie rozwarły się na oścież i do sali wpadli traccy żołnierze z mieczami i włóczniami w dłoniach. Kobiety stały wstrząśnięte. Mężczyznom nie wolno było wchodzić do kobiecej części pałacu, a już na pewno przeszkadzać w świętej ceremonii.

Kapłanka była oburzona. Rzuciła się na nich z krzykiem, każąc im natychmiast wyjść i grożąc klątwą Ateny. Wtedy zdarzyło się coś, co zaskoczyło Andromachę. Krepy Trak uderzył kapłankę pięścią, obalając ją na podłogę. Ceremonialny hełm spadł jej z głowy, potoczył się po posadzce i uderzył o nogę stołu. Na moment zapadła głucha cisza. Potem kapłanka wycelowała palec w żołnierza.

– Niechaj bogini zabije cię i przeklnie twoją rodzinę aż do dziewięciu pokoleń! – wrzasnęła.

Trak roześmiał się i ciał mieczem. Kapłanka zasłoniła się ręką i głownia wbiła się w nią. Trysnęła krew. Drugi cios przeciął jej szyję. Kobiety z krzykiem rzuciły się do ucieczki. Żołnierze skoczyli za nimi, próbując je złapać.

Laodike podbiegła do wojownika, który wciąż wbijał miecz w konającą kapłankę.

– Ty tchórzliwy psie! – krzyknęła.

– Ty też chcesz, suko? – odparł, rzucając się na nią.

Andromacha szybko nałożyła strzałę i przyciągnęła cięciwę do policzka. Gdy żołnierz dopadł Laodike i podniósł miecz do ciosu, czarnopióra strzała rafiła go w oko. Zrobił kilka chwiejnych kroków w tył, upuścił miecz i osunął się na podłogę.

– Laodike! – krzyknęła Andromacha.

Młoda kobieta zaczęła biec ku niej. Tracki żołnierz rzucił oszczepem i trafił ją w plecy. Laodike krzyknęła i potknęła się. Andromacha przeszła strzałą gardło oszczepnika. Następni Trakowie wdzierali się do sali zgromadzeń. Laodike osunęła się na Andromachę. Jakiś żołnierz pędził na nie. Andromacha wypuściła strzałę, która przebiła jego skórzany napierśnik i pierś, zachwiał się, ale parł naprzód z uniesionym mieczem. Nie mając czasu naciągnąć cięciwy, Andromacha upuściła łuk i skoczyła mu na spotkanie, trzymając strzałę jak sztylet. Osłabiony raną żołnierz zadał słabe pchnięcie. Odbiła miecz ręką i wraziła brązowy grot strzały w jego szyję. Padł ze zduszonym bulgotem.

Podniósłszy łuk, Andromacha nałożyła następną strzałę na cięciwę. Spojrzała na Laodike, która upadła na podłogę i usiłowała wyczołgać się na korytarz. W jej plecach wciąż tkwił długi czarny oszczep.

Inne kobiety przebiegły obok Andromachy, uciekając. W sali panował chaos.

Nagle pojawili się gwardziści – Królewskie Orły pod dowództwem Helikaona. Natarli na Traków.

Andromacha podbiegła do Laodike. Złapała oszczep i wyrwała go z rany. Laodike krzyknęła i opadła na podłogę. Odrzuciwszy oszczep, Andromacha złapała ją za rękę i postawiła na nogi.

– Oprzyj się na mnie – zachęciła. – Musimy się stąd wydostać.

Przybiegali następni gwardziści i przyłączali się do walki. Andromacha na pół niosła Laodike ku podwójnym drzwiom wiodącym na górę, do komnat królowej. Kilku gwardzistów już tam było. Jeden z nich chwycił Laodike w ramiona.

– Zanieś ją w bezpieczne miejsce – rozkazała Andromacha.

– Dziś wieczór nigdzie nie jest bezpiecznie – odparł ponuro. – Jednak za niosę ją na górę. Będziemy bronić tych drzwi jak długo się da.

4.

Helikaon z Orłami wyparli Traków z sali zgromadzeń. Wszyscy ci trojańscy żołnierze byli weteranami wielu bitew i walczyli z bezlitosną wprawą. Dobrze uzbrojeni, osłonięci tarczami i hełmami, powoli zepchnęli przeciwników ku podwójnym drzwiom wiodącym na zewnątrz. Wprawdzie Trakowie mieli liczebną przewagę nad dwudziestoma obrońcami, lecz bez tarcz i tylko w lekkich skórzanych napierśnikach ponosili bardzo ciężkie straty. Helikaon walczył z zimną furją, a jego dwa miecze unosiły się i opadały z zatrważającą szybkością.

Pierwsze szeregi Traków cofnęły się w nieładzie, a potem rzuciły się do ucieczki, wpadając na towarzyszy próbujących wejść do sali. Zapanowało straszne zamieszanie, gdy uciekający usiłowali przedrzeć się przez własne szeregi. Orły nacierały dalej, wbijając miecze w nie osłonięte plecy i boki. Trakowie poszli w rozsypkę i zaczęli uciekać.

Helikaon krzyknął na gwardzistów, rozkazując im się cofnąć. Większość usłuchała go, lecz czterech w bitewnym szale pogoniło za Trakami. Wycofawszy się do sali zgromadzeń, Helikaon kazał zamknąć podwójne drzwi. Były na nich dwa uchwyty na drewnianą antabę, lecz tej nigdzie nie było widać. Niepotrzebna od dziesięcioleci, najwyraźniej została usunięta. Helikaon posłał dwóch Orłów na poszukiwania. Odgłosy walki w sieni przed drzwiami ucichły i Helikaon odgadł, że Trakowie zawrócili i zabili czterech ścigających ich gwardzistów. Nie zostało im wiele czasu na zamknięcie drzwi. Trakowie wkrótce przegrupują się i znów zaatakują.

– Pozbierajcie te włócznie! – zawołał, wskazując na broń martwych Traków.

Orły skoczyły wykonać rozkaz i po chwili w obejmie rygła wetknięto dziewięć włóczni o grubych drzewcach.

– To nie zatrzyma ich długo – powiedział jeden z gwardzistów.

Helikaon rozejrzał się po sali. Zginęło ponad czterdziestu Traków, ale zobaczył też ciała ośmiu Orłów i pięciu kobiet, dwóch w podeszłym wieku, czterech innych gwardzistów było rannych.

– Nic więcej nie możemy tu zrobić – rzekł Helikaon i poprowadził ich z powrotem za drugie drzwi, wiodące do komnat królowej i megaronu. Były grube i dębowe, a ponadto miały zasuwę, więc kazał je zamknąć i zabarykadować.

Postawiwszy przy nich dwóch gwardzistów, wszedł po schodach na górę, do komnat królowej. W największej znalazł ocalałe kobiety. Jedne były tylko wystraszone, inne wstrząśnięte i oszołomione. Laodike leżała na sofie, a Andromacha i Kasandra stały przy niej. Jej haftowana suknia była zbroczona crwią. Helikaon wepchnął miecze do pochew i podszedł do nich.

Jakaś kobieta w średnim wieku zastąpiła mu drogę.

– Co się dzieje? – zapytała, łapiąc go za rękę.

Była przestraszona i drżąca, nienaturalnie blada.

– Zostaliśmy napadnięci – powiedział jej spokojnie. – Są ranni, którzy porzebuja pomocy. Będzie ich więcej. Możesz poszukać igieł i nici, a także podrzeć prześcieradła na bandaże?

Uspokoila się.

– Tak, mogę to zrobić.

– Dobrze. Przygotuj inne kobiety, niech będą gotowe zająć się rannymi.

– Kto stoi za tą zdradą? – zapytała.

– Agaton.

Zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

– Zawsze go lubiłam – powiedziała.

– Ja też.

Zostawił ją i klęknął przy sofie. Laodike straciła wiele krwi i była senna, zerknął na Andromachę.

– Włócznia – szepnęła. – Trafiła ją w plecy. Zatamowałam krwawienie, jej serce jest silne. Myślę, że wyjdzie z tego.

Helikaon wyciągnął rękę i delikatnie odgarnął kosmyk włosów z czoła Laodike. Otworzyła oczy.

– Helikaon! – zawołała z szerokim uśmiechem. – Czy zdrajcy zostali zabici?

– Jeszcze nie.

– Zabili kapłankę. To było okropne. Byli pijani?

– Nie, Laodike. To zamach na życie twego ojca.

– Antifones lub Dios – powiedziała. – Albo obaj.

– Nie, to Agaton.

– Och, nie – szepnęła. – To nie może być prawda.

– Niestety jest. Kazał zabić Antifonesa i wszystkich obecnych dziś w pałacu.

– Ty i on byliście przyjaciółmi – powiedziała Laodike. – Nie rozumiem. Czy jest tutaj Argurios?

– Tak. Na dole, na dziedzińcu, organizuje obronę.

– Obronę? – W jej głosie zabrzmiało rozbawienie.

– Trakowie Agatona otoczyli pałac, a mykeńskie oddziały spieszą im z pomocą.

– Co z naszymi oddziałami?

– Żołnierze w mieście są wierni Agatonowi. Myślę, że to będzie długa noc.

Laodike westchnęła i skrzywiła się.

– Czuję się tak, jakby kopnął mnie koń.

– Tak to jest z ranami kłutymi – powiedział jej. – Muszę już iść.

Odpoczywaj i zbieraj siły.

– Tak zrobię. Jestem bardzo zmęczona. Powiedz Arguriosowi, żeby uważał na siebie. Nie chcę, żeby coś mu się stało.

– Argurios? – Helikaon spojrzął na nią pytająco.

– Pobierzemy się – powiedziała. – To nasze przeznaczenie.

Helikaon uśmiechnął się, a potem nachylił się i pocałował ją w czoło.

– Cieszę się z waszego szczęścia – powiedział jej i wstał. Andromacha wstała razem z nim. – Przejdź się ze mną – zaproponował.

Wyszli na galerię nad szerokimi schodami wiodącymi do królewskiego megaronu. Poniżej widzieli ludzi zdejmujących broń i tarcze ze ścian.

– Cieszę się, że przybyłeś – powiedziała Andromacha. Helikaon spojrzął w jej zielone oczy.

– Przybyłem dla ciebie – rzekł.

– Dlaczego?

– Myślę, że wiesz.

– Możliwe. Może jednak zostało nam mało czasu na te słowa.

Ujął jej dłoń i uniósł do ust. Spodziewał się, że z trudem będzie znajdował odpowiednie słowa, ale nie.

– Kocham cię, Andromacho – powiedział. – Zakochałem się, gdy tylko cię ujrzałem w Zatoce Niebieskiej Sowy. Od tamtego wieczoru nieustannie jesteś w moim sercu i myślach. Jeśli przeżyjemy tę noc, czy wrócisz ze mną do Dardanii?

– Tak – odparła po prostu.

Pocałował ją. Gdy ich wargi spotkały się, zapomniał o niebezpieczeństwie. Wszystko inne przestało istnieć i wiedział, że ta cudowna chwila pozostanie wyryta w jego pamięci przez resztę życia.

Gdy w końcu odsunęli się od siebie, natychmiast wróciła ponura rzeczywistość.

Przez resztę życia. To może być zaledwie ta jedna noc.

– O czym myślisz? – szepnęła.

Uśmiechnął się.

– Przez całe życie czekałem na tę chwilę i nie wiedziałem o tym. Pomyślałem, że wolę być tu teraz, z tobą, niż w jakimkolwiek innym miejscu wokół Wielkiej Zieleni.

XXXII. WŁÓCZNIE W NOCY

1.

Bramę zamknięto i Argurios stanął spokojnie na pałacowym dziedzińcu, mając za sobą pierwszą potyczkę z rebeliantami. Nad nim, na wysokich murach około czterdziestu Orłów uzbrojonych we frygijskie łuki czekało na następny atak. Za plecami słyszał rozkazy wydawane w megaronie. Stał w milczeniu, z ciężkim sercem.

Przybył tu jako mykeński banita, chcąc uzyskać zgodę Priama na zaślubiny z jego córką. Teraz został wplątany w wojnę domową. Myśl o walce nie niepokoiła go. Całe swe dorosłe życie spędził, walcząc. Niepokoiło go natomiast co innego, gdy tak stał w ciszy poprzedzającej atak: to, że będzie miał przeciwko sobie mykeńskich wojowników. Jeśli Agamemnon zgodził się wesprzeć Agatona niewielkim oddziałem, będą w nim jego najlepsi żołnierze. Argurios na pewno z większością z nich walczył ramię w ramię, świętował zwycięstwa, oplakiwał stratę wspólnych znajomych. Przed oczami przepływały mu twarze: Kalliadesa Wysokiego, Menidesa Oszczepnika, Banoklesa Jednouchego, Erutrosa Żartownisia, Ajaksa zwanego Rozbijaczem Czaszek...

Czy oni właśnie teraz maszerowali ku cytadeli?

A jeśli tak, to jakże on, mykeński wojownik, ma podnieść przeciw nim broń?

Czy mógłby pchnąć Kalliadesa Wysokiego i patrzeć, jak pada? Czy mógłby posłać Banoklesa do Podziemi?

A jednak ci ludzie przybywali tu, aby zabić ojca kobiety, którą kochał. Jaki czekałby ją los, gdyby zwyciężyli? Przynajmniej na to pytanie potrafił odpowiedzieć. Chociaż Argurios nigdy w życiu nie zgwałcił żadnej kobiety, wiedział, że to powszechne po bitwie.

Na myśl, że miałoby to spotkać Laodike, znów wezbrał w nim gniew. Nie, nie pozwolę na to, zdecydował. Prędzej wytnę Agamemnonowi serce z piersi, niż pozwolę, żeby Laodike stała się krzywdą.

Szybko podszedłszy do muru, pokonał dwadzieścia stopni i dotarł do miejsca, gdzie Polidoros stał przy blankach. Argurios wystawił przez nie głowę i szybko się rozejrzał po przedpolu. Pod murem nie było wrogów, lecz widział, że zbierają się oni w ciemnych, wąskich uliczkach około osiemdziesięciu kroków dalej.

– Szukają drabin – rzekł Argurios.

– Znajdą ich mnóstwo – odparł Polidoros. – W Troi wciąż się coś buduje.

Mury były zaledwie dwukrotnie wyższe od dorosłego mężczyzny. Jeśli nieprzyjaciel podstawi pod nie wozy, będzie mógł przeskakiwać z nich na blanki. Argurios obejrzał się na pałac. Na lewo i powyżej drzwi znajdował się długi balkon z wysokimi oknami. Gdy wróg otworzy bramę, będzie mógł podstawić drabiny do murów pałacu, wspiać się na nie i wtargnąć do budynku od góry. Mając więcej ludzi, Argurios mógłby utrzymać zewnętrzne mury nawet kilka dni. Z trzystoma wojownikami

mógłby obronić pałac przed całą hordą. Rozwścieczało go to, że ma taką fortecę i za mało ludzi, żeby obsadzić jej mury.

– Idę do środka – powiedział Polidorosowi. – Muszę obejrzyć megaron i obmyślić plan obrony. Jeśli zaatakują, zanim wrócę, zasypcie ich gradem strzał i powstrzymajcie pierwszy atak. To bardzo ważne.

– Wytrzymamy, Arguriosie – mruknął Polidoros. – Nawet całą noc, jeśli będzie trzeba.

– To nie będzie cała noc. Wyjaśnię więcej, kiedy wrócę.

Polidoros uśmiechnął się.

– Będę miał co opowiadać moim dzieciom, gdy dorosną, co? Walczyłem u boku Arguriosa.

– Masz dzieci?

– Nie. Jednak człowiek powinien myśleć o przyszłości.

Argurios zbiegł po schodach i pognął przez dziedziniec. W megaronie wszystkie drzwi oprócz głównych zostały zabarykadowane. Ujrzał Priama siedzącego na tronie, okrytego ozdobną, złotą i srebrną zbroją, trzymającego na kolanach grzebieniasty hełm. Wszędzie byli uzbrojeni ludzie. Pozdejmowali ze ścian prawie wszystkie tarcze i włócznie. Obok króla stał książę Dios. Nie nosił zbroi, lecz miał miecz u pasa.

Argurios podszedł do nich. Priam podniósł głowę.

– Czy te psy uciekły? – zapytał, już trzeźwy, choć oczy miał przekrwione i zmęczone.

– Nie, królu Priamie. Zbierają drabiny. Wkrótce wrócą. Musimy ustawić łuczników na balkonie nad drzwiami. Trzydziestu powinno wystarczyć. Kiedy nieprzyjaciel uderzy wszystkimi siłami, każę ludziom na murach wycofać się do megaronu.

– Kim jesteś, żeby wydawać rozkazy? – warknął Dios, obrzucając go gniewnym spojrzeniem.

– To Argurios – rzekł chłodno Priam. – Walczy u mego boku.

– Powinniśmy posłać wszystkich naszych ludzi na mury – pienił się Dios. – Możemy powstrzymać wroga.

– Co ty na to, Arguriosie? – spytał Priam.

– Gdybyśmy mieli trzystu zbrojnych, zgodziłbym się z księciem Diosem. Jednak mając tak niewielu, ryzykujemy, że wrogowie przełamają naszą obronę. A wtedy zostaniemy rozsiekani. Nie możemy do tego dopuścić. Uważam, że powinniśmy odeprzeć pierwszy atak na mury, a potem spokojnie się wycofać. Kiedy zaatakują ponownie, zasypimy ich strzałami z balkonu.

– A potem zabarykadowujemy drzwi? – zapytał Priam.

– Nie, królu. Zostawimy je otwarte.

Priam był zdziwiony.

– Wyjaśnij mi to – rzekł.

– Wróg może zaatakować nas z wielu stron. Choćby przez drzwi do ogrodów. Mogą przynieść drabiny i wspiąć się na balkon. Albo wedrzeć się tylnym wejściem. Chcemy, żeby zaatakowali tam, gdzie jesteśmy najsilniejsi. Otwarte drzwi będą zaproszeniem, któremu nie zdołają się oprzeć. Przyciągną ich jak końskie łajno muchy, a my ich tu zatrzymamy. Przynajmniej dopóki nie przybędą Mykeńczycy.

- Na Parki, ojciec - rzekł Dios - jak możemy ufać temu człowiekowi? On też jest Mykeńczykiem.

Argurios zrobił głęboki, uspokajający wdech.

- Istotnie, jestem. Możecie mi wierzyć, że wolałbym być teraz gdziekolwiek indziej, byle nie tu. Jeśli Mykeńczycy zwyciężą, zostaną zabity, a razem ze mną wszyscy. Teraz jednak mamy mało czasu na przygotowania i ani chwili na dawanie upustu osobistym urazom. - Zwrócił się do króla. - Jeśli masz kogoś lepszego ode mnie, mianuj go dowódcą, a ja stanę i będę walczył tam, gdzie mi każe.

- Jestem królem - odparł zimno Priam. - Sam będę dowodził. Sądzisz, że jestem tak słabowity i leciwy, że nie zdołam utrzymać miecza?

- To nie kwestia twojej siły czy umiejętności - odparł Argurios. - Gdybym dowodził napastnikami, modliłbym się, żebyś zrobił właśnie to, co chcesz zrobić. Jeśli zginiesz, oni zwyciężą. Każdy napastnik będzie próbował cię zabić. Twoja zbroja lśni jak słońce i każdy atak będzie kierowany na ciebie. Każdy cios miecza czy włóczni, każda strzała. Twoi ludzie będą walczyć dzielnie - ale tylko dopóki będzie król, za którego warto się bić.

W tym momencie do megaronu przyszedł Helikaon i stanął obok Diosa.

- Zabarykadowaliśmy tylne wejścia - oznajmił - ale nie wytrzymają długo. Jakie są twoje rozkazy?

Priam milczał przez chwilę.

- Argurios radzi, żebym nie brał udziału w walce. Co ty na to?

- Dobra rada. W tej bitwie będziemy bronić nie tylko pałacu, ale i twojego życia.

- Pozwól mi dowodzić za ciebie, ojciec - nalegał Dios.

Priam pokręcił głową.

- Masz za mało doświadczenia i - jak mówi Argurios - nie ma czasu na narady. Ludzie pójdą za tobą, Eneaszu. Wiem o tym. Argurios też jest znany wszędzie wokół Wielkiej Zieleni jako strateg i wojownik. Co ty na to?

- Niewiele wiem o oblężeniach i jeszcze mniej o mykeńskiej taktyce - odparł Helikaon. - Posłucham rozkazów Arguriosia.

- Zatem niech tak będzie. - Priam nagle się roześmiał. - Mykeński banita dowodzący obroną mojej cytadeli? To mi się podoba. Kiedy zwyciężymy, możesz mnie prosić, o co zechcesz. Otrzymasz to. Jesteśmy na twoje rozkazy, Arguriosie.

Argurios odwrócił się do Diosa.

- Ty będziesz dowodził obroną górnych balkonów. Weź trzydziestu dobrych łuczników oraz ludzi, którzy nie mają zbroi. Balustrady balkonów osłonią ich przed strzałami. Wróg przyniesie drabiny. Odpierajcie atak jak długo się da, a potem wycofajcie się do megaronu i obsadźcie górne piętra budynków na tyłach.

Dios, blady i wściekły, z trudem powstrzymywał gniew.

- Rób, co mówi! - warknął Priam.

- To szaleństwo - odparł Dios. - Jednak usłucham cię, ojciec. Jak zawsze.

Z tymi słowami odszedł.

– Obejrzyjmy pole bitwy – rzekł Argurios i ruszył przez megaron. Priam i Helikaon poszli za nim. Argurios doszedł do podnóża schodów. Były dostatecznie szerokie, żeby zmieścili się na nich dwaj stojący obok siebie wojownicy. Spojrzał na galerię nad nimi i na prawo. – Tam umieścimy łuczników. Będą mieli dobry widok na całą salę. Musimy tam zgromadzić jak najwięcej strzał. A także włóczni i oszczepów, jeżeli je mamy. Co jest za ta galeria?

– Komnaty królowej – odparł Priam. – Są duże i rozległe.

Argurios poszedł na górę, a Helikaon i Priam za nim. W komnatach królowej zobaczył Laodike na zakrwawionej sofie i siedzącą przy niej na podłodze Andromachę. Na ten widok zapomniał o wszystkim. Zdjął hełm, podszedł do Laodike i ujął jej dłoń. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

– Co się stało? – zapytał.

– Jestem ranna – powiedziała mu Laodike. – Nie przejmuj się. To nic. – Uniosła rękę i pogładziła go po twarzy. – Cieszę się, że tu jesteś. Rozmawiałeś z ojcem?

– Jeszcze nie. Nie mogę tu z tobą zostać. Jest wiele do zrobienia. Wróć, kiedy będę mógł. Teraz odpoczywaj.

Ucałowawszy jej dłoń, wstał i wrócił tam, gdzie czekali król z Helikaonem. Dopiero wtedy zauważył zdumioną minę Priama. Argurios minął ich i podszedł do tylnych schodów. Potem zawrócił i przeszedł przez kilka komnat.

– Balkony są prawie niedostępne – orzekł. – Tak więc wróg będzie musiał przejść przez megaron. Sądzę, że zdołamy powstrzymać Traków przy drzwiach. Z Mykeńczykami to co innego.

– Wycofamy się na schody – rzeki Helikaon.

– Zrobimy to, ale czas będzie w tym odgrywał najważniejszą rolę – odparł Argurios, wracając na galerię nad schodami. – Musimy ich sprowokować i skłonić do ataku. Nie możemy dać im czasu do namysłu. W przeciwnym razie zrozumieją, że galeria jest kluczem do zwycięstwa. Kiedy wedrą się do megaronu, wystarczy im przynieść drabiny i wspiąć się. W ten sposób ominęliby schody i otoczyli nas.

– A jak ich sprowokujemy? – zapytał Priam.

– Zobaczą mnie i ruszą do ataku. Ja będę głównym jego celem. Wycofamy się na schody. Natrą na nas. Ich serca będą pełne pychy bitewnego zapachu. Staniesz przy mnie, Helikaonie?

– Staną.

– To dobrze, bo chociaż tak bardzo pragną mojej śmierci, to ciebie nienawidzą. Na nasz widok zapomną o taktyce. A teraz muszę wracać na mury.

– Jeszcze chwilę – rzekł Priam. – Jak to możliwe, że moja córka żegna cię pocałunkiem?

Argurios dostrzegł w oczach króla gniew.

– Powiedziałeś, że jeśli przeżyjemy tę noc, spełnisz każde moje życzenie. Moim życzeniem jest poślubić Laodike. Kocham ją. Tylko czy to odpowiednia pora, aby o tym dyskutować?

Priam odprężył się, po czym rzekł z zimnym uśmiechem:

– Jeśli jutro nadal będę królem, podyskutujemy o tym dłużej.

Argurios przez chwilę stał i milczał. Potem zwrócił się do Helikaona.

– Zorganizuj obronę megaronu. Potem pilnuj murów. Musimy odeprzeć pierwszy atak, zadając im ciężkie straty. To zniechęci najemników. W odpowiedniej chwili przyjdź nam z pomocą.

– Możesz na to liczyć – rzeki Helikaon.

– Zaczekaj na właściwy moment, Złocisty.

I z tymi słowami odwrócił się, pomaszerował do podwójnych drzwi i wyszedł na dziedziniec.

2.

Polidoros wyjrzał przez otwór w zębach krenelażu. Trakowie gromadzili się w cieniu budynków. Na ten widok poczuł gniew, ale szybko go opanował. Poprzedniego dnia rodzice Kasilii w końcu zgodzili się na ślub – częściowo dzięki wstawiennictwu Laodike, która złożyła im wizytę i porozmawiała z matką Kasilii. Przyniosła też prezent jej ojcu – złoty puchar inkrustowany rubinami. Ten dowód jego dobrych stosunków ze szlachetnie urodzonymi wreszcie ich przekonał. Kasilia nie posiadała się z radości, a Polidoros uważał się za najszcześliwszego człowieka na świecie.

Teraz miał wrażenie, że było to częścią jakiegoś ponurego figla spletanego mu przez bogów. Polidoros nie był głupcem. Wiedział, że gwardzistów jest za mało, by obronić pałac przed Trakami, nie mówiąc już o Mykeńczykach. Kiedy Trakowie zbiorą dość drabin, żeby wdrzeć się na mury, bitwa będzie przegrana. Orły zadadzą nieprzyjacielowi ciężkie straty, ale koniec był pewny. Kasilia będzie go oplakiwać, oczywiście, ale jest młoda i ojciec znajdzie jej innego zalotnika.

Argurios wspiał się na parapet i stanął obok młodzieńca.

– Co robi nieprzyjaciel?

– Zbiera siły. Jeszcze nie widziałem żadnego Mykeńczyka.

– Pojawia się, kiedy brama stanie otworem.

– Jaki jest plan bitwy? – spytał Polidoros.

– Utrzymać się tu przez chwilę, a potem wycofać się do pałacu.

– Drzwi pałacu są mocne – zauważył Polidoros – ale nie oprą się długo.

– Nie będą musiały – powiedział Argurios. – Nie zamierzam ich zamykać. Chcę, żeby wróg wdarł się przez nie. Uderzymy z góry i zatrzymamy go w sieni.

– Chyba barykadując te drzwi, zyskalibyśmy więcej czasu?

– Owszem – przyznał Argurios. – A także osłabilibyśmy ducha obrońców, którzy musieliby słuchać uderzeń toporów o drzwi. Lepiej stawić wrogowi czoło. Mój ojciec zwykł mówić, że ludzki mur jest mocniejszy od kamiennego. W wielu bitwach widziałem, że to prawda.

Polidoros uniósł głowę i popatrzył w mrok. Blisko jego głowy w blanki uderzyła strzała, odbiła się i poleciała dalej.

– Tej nocy wszyscy umrzecie! – krzyknął ktoś z ciemności i wydał tracki okrzyk wojenny.

Potem rozległ się inny głos:

- Jesteś tam, zdrajco Arguriosie?
- Jestem tu, szczeniaku! – odkrzyknął Argurios.
- To mnie cieszy! Wkrótce się zobaczymy.

- Nie, dopóki trzymam miecz w dłoni, ty tchórzliwy robaku. Znam cię, Kolanosie. Będziesz krył się w mroku, gdy odważni ludzie będą ginąć za ciebie. – Nachylił się do Polidorosa. – Przygotuj się! Nadchodzą.

Polidoros chwycił swój frygijski łuk i nałożył strzałę na cięciwę. Wzdłuż muru wszyscy gwardziści poszli za jego przykładem.

Nagle usłyszeli tupot nóg i donośny okrzyk bojowy Traków.

Orły wychyliły się zza muru i zasypały atakujących gradem strzał. Polidoros wystrzelił ponownie i zobaczył, jak wojownik niosący drabinę pada na ziemię. Jego towarzysze podnieśli drabinę. Na Traków spadał grad strzał, lecz łuczników było za mało, żeby powstrzymać atak. Dziesiątki drabin oparto o mury. Wystrzelona przez wroga strzała odbiła się od napierśnika Polidorosa. Druga świsnęła mu nad uchem.

Trakowie zaczęli wdzierać się na mury. Puściwszy łuk, Polidoros chwycił krótki miecz i tarczę. Obok niego Argurios czekał z mieczem w ręku.

- Odsuń się trochę – rzekł spokojnie. – Zrób mi trochę miejsca.

Polidoros przesunął się w prawo.

Pojawili się pierwsi Trakowie. Polidoros doskoczył i pchnął pierwszego w twarz. Trak rozpaczliwie usiłował wspiać się na mur, lecz Polidoros uderzył ponownie i napastnik spadł. Teraz noc wypełniły odgłosy walki, wrzaski bólu i wściekłości, szczęk mieczy i trzask tarcz. Kilku wojowników wdarło się na mur na prawo od Polidorosa. Rzucił się ku nim i wbił miecz w pierś pierwszego. Klinga weszła głęboko i utknęła. Nie mogąc jej wyrwać, Polidoros zrzucił przeciwnika z muru na kamienie dziedzińca, a potem uderzył tarczą w twarz drugiego. Obok młodzieńca pojawił się Argurios, siekąc i kłując. Podniósłszy upuszczony miecz, rzucił go Polidorosowi, po czym odwrócił się, by odeprzeć kolejny atak.

Na całym obwodzie muru Trakowie zdobywali przyczółki. Orły jednak nie ustępowały. Polidoros zobaczył, że prawie jedna trzecia jego ludzi poległa. Wtem ujrzał Helikaona i około trzydziestu gwardzistów pędzących przez dziedziniec. Wbiegli po schodach na mury i dołączyli do obrońców. Lekkozbrojni Trakowie cofnęli się. Kilku zeskoczyło z muru na ulicę. Inni szybko schodzili z drabin. Odrzuciwszy tarczę, Polidoros chwycił łuk i posłał uciekającym strzałę.

Czuł uniesienie. Żył i zwyciężał.

Argurios podszedł do niego.

- Zaprowadźcie naszych rannych do megaronu – powiedział. – I pozabierajcie zabitym broń oraz zbroję. Zbierzcie również miecze i włócznie nieprzyjaciół. Zróbcie to szybko, bo nie mamy dużo czasu. Wkrótce uderzą znowu.

- Pokonamy ich – powiedział Polidoros. – Orły są niezwyciężone.

Stary wojownik uważnie mu się przyjrzał.

- To był dopiero pierwszy atak. Teraz uderzą mocniej i szybciej. Rozejrzyj się. Straciliśmy czternastu zabitych i sześciu rannych. Połowę walczących na murach. Następnym razem zgnieliby nas. Dlatego nas tu nie będzie. Rób, co mówię.

Z młodego żołnierza opadło całe podniecenie. Zbiegł po schodach z murów, wykrzykując rozkazy. Inni żołnierze wybiegli z megaronu, żeby pomóc zbierać broń. Argurios ruszył po koronie muru, nie zwracając uwagi na strzały, które od czasu do czasu przelatywały obok.

3.

Argurios przeszedł między obrońcami pozostałymi na murach. Tak jak Polidoros, byli teraz podnieceni, gdyż starli się z wrogiem i pokonali go. Panował radosny nastrój i Argurios nie chciał go psuć, przedstawiając im bezlitosną rzeczywistość. Pierwszy atak był pospieszny i nieprzemyślany. Nieprzyjaciel próbował szerokim frontem wdrzeć się na mury. Lepiej atakować w dwóch miejscach, rozciągając linię obrony, a potem uderzyć w środku. Następny szturm będzie lepiej przygotowany.

Mimo to Argurios był zadowolony. Pierwsza potyczka dodała obrońcom ducha, a pozbawiła go napastników. Nadwątlila pewność siebie Traków. Dowódcy wroga z pewnością wiedzieli, że teraz muszą szybko zwyciężyć, żeby odbudować morale. Zapewne Agaton już zebrał oficerów i stara się dodać im otuchy przed następnym atakiem. Zapewnia, że zwycięstwo jest pewne, i obiecuje im bogactwa.

Argurios przywołał najbliższego stojącego żołnierza.

– Idź na balkon, do księcia Diosy. Powiedz mu, że opuścimy mury przed następnym atakiem. Poproś, żeby wstrzymał swoich łuczników, dopóki nieprzyjacieli nie wyjdą na dziedziniec. Tam, stłoczeni, będą łatwym celem. Potem idź do pana Helikaona. Niech pięćdziesięciu zbrojnych z tarczami przygotuje się do obrony drzwi pałacu.

Zarzuciwszy tarczę na plecy, żołnierz zbiegł po schodkach i przez wybrukowany dziedziniec.

Argurios wystawił głowę przez blanki. Wschodził księżyc, oblewając ulice i domy srebrnym blaskiem. Mykeńczyk ujrzał stojących w gotowości Traków i kręcących się między nimi oficerów. Wciąż nie było widać Mykeńczyków.

Można się było tego spodziewać. Byli najlepszymi z najlepszych i nie używano ich w tak wczesnej fazie bitwy. Pojawiają się, kiedy będziemy zmęczeni, pomyślał, i uderzą jak młotem w serce obrony. Strzały i włócznie będą przeciwko nim praktycznie bezużyteczne. Dobrze opancerzeni i osłonięci wysokimi, wygiętymi tarczami z nabijanej brązem oślejskiej skóry, uzbrojeni w ciężkie włócznie i miecze, natrą w zwartym szyku, spychając obrońców w tył. Włócznie dadzą im przewagę nad uzbrojonymi w miecze Orłami. Jediną szansą pokonania takiego oddziału było rozbicie szyku. Można było tego dokonać na otwartej przestrzeni pola bitwy, ale nie w czterech ścianach megaronu. Argurios wiedział, że gwardziści są zdyscyplinowani i dobrze wyszkoleni. Czy jednak zdołają powstrzymać doborowy oddział Mykeńczyków? Wątpił w to.

Czas płynął, a Trakowie nadal nie atakowali.

Polidoros wrócił na mury, a potem z pałacu wyszedł Helikaon i dołączył do nich.

– Kiedy przybędą Mykeńczycy? – zapytał.

– Gdy brama będzie otwarta. – Argurios odwrócił się do Polidorosa. – Wróc do pałacu i zbierz najwyższych i najsilniejszych Orłów. Nie więcej niż trzydziestu. Niech na razie nie biorą udziału w walce. Kiedy pojawią się Mykeńczycy, będziemy potrzebowali najlepszych żołnierzy. Dopilnuj, żeby mieli nie tylko miecze, ale także ciężkie włócznie.

– Tak, Arguriosie.

Kiedy Polidoros odszedł, Argurios znów wyjrzał za mur.

– Myślę, że już niedługo.

– Musi być ci ciężko – rzekł Helikaon, gdy Argurios usiadł.

Mykeńczyk poczuł gniew, ale przełknął go. Spojrzał na siedzącego obok młodzieńca.

– Niedługo będę zabijał moich towarzyszy. Będę walczył ramię z ramię z tym, którego przysiągłem zabić. „Ciężko” to mało powiedziane.

– Bywają takie chwile – odparł łagodnie Helikaon – kiedy niemal można usłyszeć śmiech bogów. Naprawdę mi przykro, Arguriosie. Żałuję, że poprosiłem, abys mi towarzyszył w drodze do pałacu Kygonesa. Gdybym wiedział, ilu przysporzę ci cierpień, nigdy bym tego nie zrobił.

Gniew opuścił Arguriosa.

– Nie żałuję tego, co zrobiłem tamtego dnia – powiedział. – Dzięki temu poznałem Laodike. Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, że żyłem w mroku. Kiedy ją ujrzałem, jakby wzeszło słońce. – Zamilkł na moment, zmieszany swoją wylewnością. – Chyba gadam jak głupiec.

– Nie. Mówisz jak zakochany. Czy czułeś się tak, jakby niewidzialna pięść uderzyła cię w pierś? Czy język przysechł ci do podniebienia?

– Właśnie! Doświadczyłeś tego?

– Za każdym razem, gdy widziałem Andromachę.

Nagle Orzeł po lewej krzyknął:

– Nadchodzą! Argurios wstał.

– Teraz zaczyna się naprawdę – rzekł.

4.

Książę Agaton patrzył, jak jego Trakowie pędzą na mury. Teraz nie wznosili bojowych okrzyków, tylko z ponurą determinacją myśleli o zabijaniu, zwycięstwie i o bogactwach, jakie im obiecał. Chciałby być wśród nich, wspiać się po drabinie na mury i wyrąbać sobie drogę do Priama. Chciał być przy tym, jak król padnie na kolana, błagając o darowanie życia. Jednak na razie nie mógł być z nimi. Śmierć Priama oznaczała jego zwycięstwo, lecz gdyby sam zginął w ataku, długie lata spisków i intryg poszłyby na marne. Ruszyłby ciemną ścieżką Hadesu jako nieudacznik.

Nieudacznik.

W oczach Priama zawsze nim był. Kiedy Agaton pokonał zbuntowanych Hetytów pod Rhesos, ojciec skarcił go za ciężkie straty.

– Hektor zmiażdżyłby ich z połową twoich ludzi i dziesięciokrotnie mniejszymi stratami.

Żadnych parad dla Agatona. Żadnego wawrzynowego wieńca.

A czy kiedyś było inaczej? Miał dziesięć lat i bał się ciemności oraz ciasnych, mrocznych pomieszczeń, kiedy ojciec zabrał go do podziemnych jaskiń Cerbera. Priam opowiedział mu o demonach i potworach zamieszkujących jaskinie, a także o tym, że wybrawszy złą drogę, można trafić prosto do Podziemi. Ojciec niósł pochodnię. Agaton trzymał się blisko niego, coraz bardziej przestraszony. Schodzili coraz głębiej. Doszli do podziemnego strumienia. Ojciec zgasił pochodnię i odsunął się. Agaton wrzasnął, błagając ojca, żeby wziął go za rękę.

Odpowiedziała mu cisza. Wydawało mu się, że całą wieczność kulił się w ciemności, zapłakany i przerażony.

Potem zobaczył światło. To był jego starszy o rok brat Hektor, niosący płonąca pochodnię.

– Nie ma ojca. Porwały go demony – jęknął Agaton.

– Nie, jest na zewnątrz i czeka na ciebie.

– Dlaczego mnie tu zostawił?

– Myślał, że wyleczy cię tak z lęku przed ciemnością.

– Możemy już iść?

– Nie mogę wyjść z tobą, Agatonie. Ojciec nie wie, że tu jestem. Wszedłem od południa. Zgasimy pochodnię i weźmiesz mnie za rękę. Poprowadzę cię, aż zobaczysz światło dnia. Potem pójdziesz sam.

– Dlaczego on mnie nienawidzi, Hektorze?

– On tylko chce, żebyś był silny. Teraz zgaszę pochodnię. Jesteś gotowy?

Hektor powoli poprowadził go przez tunele, trzymając się blisko ścian. Agaton nie bał się, gdyż czuł ciepły uścisk dłoni Hektora i wiedział, że brat go nie zostawi. Mrok powoli zaczął ustępować i Agaton ujrzał przed sobą świetlone słońcem ściany jaskini.

– Zobaczymy się później, braciszku – powiedział Hektor, znów znikając w ciemnościach.

Agaton wyszedł z jaskini i zobaczył ojca, matkę oraz około dwudziestu doradców siedzących w promieniach słońca. Priam przyjrzał się wychodzącemu Agatonowi.

– Na bogów, chłopcze, czyżbyś płakał? Przynosisz mi wstyd.

Otrząsnawszy się z tych wspomnień, patrzył, jak jego Trakowie pną się na mury. Dziwne, ale nie słyszał odgłosów walki. Obok niego pojawił się białowłosy Kolanos.

– Wycofali się do cytadeli – powiedział.

Nagle usłyszeli wrzaski rannych i konających. Agaton zrozumiał, co się stało. Łucznicy zasypali gradem strzał stłoczonych na dziedzińcu Traków. Odwrócił się i zawołał jednego z oficerów dowodzących odwodami.

– Poślij tam łuczników! – krzyknął. – Wrogowie stoją na balkonie nad drzwiami. Przyszpilcie ich!

Oficer zebrał swoich ludzi i stu łuczników pobiegło do drabin.

To powinno być takie proste. Ludzie Agatona powinni wmaszerować do pałacu, zlikwidować nielicznych gwardzistów i pozwolić, by Mykeńczycy dokonali masakry. Zamiast tego zastali zabarykadowane drzwi i zorganizowaną obronę.

Kto by pomyślał, że grubas Antifones pokona zabójców? Agaton

nie miał cienia wątpliwości, że tłuścioch żył dostatecznie długo, żeby ostrzec Helikaona. Agaton słyszał, że jeździec na złotym rumaku wyprzedził maszerujących na cytadelę Traków. Tylko Helikaon hodował takie wierzchowce. Potem przyszła wieść, że wojownik w mykeńskiej zbroi rozproszył jego wojowników, którzy zamierzali zaatakować bramę.

Helikaon i Argurios. Ci dwaj nie byli częścią jego planu. Stali się nią na życzenie Kolanosa.

W ostatecznym rezultacie mogli jedynie odwlec nieuniknione, ale i to było irytujące.

Drzwi na dziedziniec otworzono na oścież.

– Przygotuj swoich ludzi – powiedział do Kolanosa, po czym przeszedł przez dziedziniec na spotkanie przeznaczenia.

XXXIII. TARCZA ILOSA

1.

Argurios wszedł do megaronu, przeciskając się między trzema szeregami Orłów szykujących się do obrony szerokich drzwi. Podszedł do niego Helikaon z wygiętą tarczą na plecach.

– Upewnij się, że wiedzą, iż muszą utrzymać tę pozycję – rzekł Argurios. – Jeśli wróg zacznie się cofać, nie mogą go ścigać.

– Już im to powiedziałem – odparł Helikaon. – Kiedy spodziewasz się Mykeńczyków?

– Niebawem.

Argurios zostawił go i przeszedł po mozaikowej posadzce. Potrzebował tarczy, lecz ze ścian zdjęto prawie wszystkie zbroje i oręż. Potem zobaczył ją. Starodawną tarczę, pięknej roboty, zdobioną jasnoniebieskim wzorem. Na środku była wyrzeźbiona scena przedstawiająca walkę wielkiego herosa Heraklesa z dziewięciogłową Hydram. Pożyczywszy włócznię od jakiegoś żołnierza, wsunął jej grot pod uchwyt i zdjął tarczę ze ściany.

Zarzucił ją na plecy i podszedł tam, gdzie stał Polidoros z około trzydziestoma gwardzistami, roslymi i barczystymi, o posępnych twarzach. Przyjrzał im się uważnie, zaglądając w oczy. Dwóch nie był pewien, więc odesłał ich do Helikaona, żeby bronili wejścia. Pozostali czekali na jego rozkazy.

– Kiedy przybędą Mykeńczycy – powiedział im – chcę, żebyście sformowali trzy szeregi za plecami obrońców i na mój rozkaz...

Nagle na zewnątrz rozległy się wrzaski i wojenne okrzyki, gdy Trakowie rzucili się w kierunku drzwi. Gwardziści mocniej chwycili broń i poprawili tarcze.

– Popatrzcie na mnie i posłuchajcie – rzekł spokojnie Argurios. – Na was też wkrótce przyjdzie kolej. Macie stawić czoło Mykeńczykom. Zaatakują w zwartym szyku. Runą do drzwi, próbując rozproszyć obrońców. Gdy to zrobią, żołnierze Helikaona rozstąpią się na boki. My przypuścimy kontratak. W ten sposób uderzymy z trzech stron. My powstrzymamy wroga, a ludzie Helikaona będą atakować ich z boków. Czy to jasne?

– Jasne, panie – odparł Polidoros. – Tylko jak długo trzydziestu może powstrzymać dwustu?

– Nie wiem – odrzekł Argurios – ale tak rodzą się legendy. Zostaniemy zepchnięci w tył. Wycofamy się powoli ku schodom wiodącym do komnat królowej. Utrzymamy szyk i nie damy się rozproszyć. Każdy z was będzie walczył za swoich towarzyszy, jakby byli jego rodzonymi braćmi.

Przerzucił tarczę na pierś i zacisnął lewą rękę na uchwycie. Zobaczył, że Orły gapią się na nią ze zdumieniem.

– Jak bracia – rzekł Polidoros. – Nie zawiedziemy cię, Arguriosie.

– Zatem sformujemy szyk. Trzy szeregi.

Orły ustawiły się w szyku, Argurios pośrodku pierwszego szeregu.

Przed nimi Helikaon i jego wojownicy walczyli z Trakami.

Argurios nabrał tchu i powoli wypuścił powietrze z płuc. Pochodnie migotały w uchwytach na ścianach, a odgłosy bitwy odbijały się echem w megaronie. Na schodach wiodących na balkony nad drzwiami Argurios zobaczył sprowadzanych na dół rannych. Tracący łucznicy zaczęli zbierać żniwo wśród ludzi Diosy. Kilku gwardzistów Helikaona również padło i inni odciągali ich poza zasięg strzał.

Długa noc nie miała końca.

2.

Andromacha podniosła się z podłogi i stojąc przy śpiącej Laodike, popatrzyła na komnatę królowej. Co chwila wprowadzano nowych rannych, niektórych z okropnymi ranami. Opatrywał ich główny medyk Priama, Zeotos. Jego długa biała szata była cała zakrwawiona, a dłonie umazane krwią po łokcie. Stary medyk przyszedł niedawno i od razu ruszył do Laodike.

– Nic jej nie będzie – zapewniła Andromacha. – Krwawienie prawie ustało i teraz mocno śpi.

– Po tej nocy wszyscy zapadniemy w głęboki sen – odparł z przygnębieniem.

Aksa z kilkoma innymi służącymi pomagały szlachetnie urodzonym, bandażując i zszywając rany. Nawet mała Kasandra cięła prześcieradła na bandaże. Pod ścianą leżało sześć ciał, bez broni i pancerzy. Nie było dość miejsca, żeby ułożyć je rzędem, więc spoczywały jedno na drugich, obejmując się ramionami.

Andromacha wyszła z komnaty na galerię nad schodami. Leżały tam kołczany ze strzałami i sterta oszczepów. Przeszła na sam koniec galerii i spojrzała na megaron. Przy drzwiach szalała bitwa i wśród walczących dostrzegła Helikaona. Jego jasna zbroja z brązu lśniła złościście w blasku pochodni.

Za obrońcami stała następna grupa obrońców z wysokimi tarczami i ciężkimi włóczniami.

Nieco na prawo zobaczyła króla i około tuzina jego doradców. Wielu z nich było w podeszłym wieku, ale wszyscy mieli miecze lub włócznie, a kilku nawet tarcze. Z góry Andromacha widziała dziedziniec przed megaronem. Zgromadziły się tam setki Traków. Wydawało się niepojęte, że ta garstka obrońców tak długo zdołała ich powstrzymać.

Z pierwszej linii znoszono następnych rannych. Zobaczyła, jak Priam skinał na swoich doradców i kilku z nich podbiegło, podtrzymując rannych i na pół niosąc ich ku schodom. Jeden żołnierz – nieco starszy, zapewne po czterdziestce – krwawił z głębokiej rany na szyi. Bezwładnie obwisł w objęciach niosących go ludzi, a potem osunął się na posadzkę.

Andromacha widziała, jak krew z jego szyi zaczęła płynąć wolniej i żołnierz umarł. Niemal natychmiast otoczyli go inni, zdjęli mu napierśnik i nagolenice. Po chwili martwy gwardzista był jeszcze jednym ciałem, które bezceremonialnie porzucono pod ścianą, żeby nie zawadzało żywym. Zabity leżał na plecach, głowa opadła mu na bok i niewidzącymi oczami spoglądał na Andromachę. Nagle zaszumiło jej w głowie i wszystko to zaczęło wydawać się nierealne. Szczęk oręża ucichł,

a ona spoglądała w oczy leżącego na dole trupa. Śmierć od życia dzieliło zaledwie jedno uderzenie serca. Wszystkie marzenia, nadzieje i ambicje przepadły w jednej krótkiej chwili.

Zaschło jej w ustach i rodzący się strach ścisnął jej żołądek.

Czy ona również za chwilę będzie martwa?

Czy Helikaon padnie z rozciętym gardłem, a jego odarte ze zbroi ciało zostanie porzucone pod ścianą?

Trzęsły się jej ręce. Wkrótce wrogowie przedrą się przez szeregi zmęczonych obrońców i wpadną do megaronu. Wyobraziła sobie, jak biegną do niej, z twarzami wykrzywionymi wściekłością i żądzą. Dziwne, ale ten obraz ją uspokoił.

– Nie jestem ofiarą czekającą na rzeź – powiedziała głośno. – Jestem Andromacha.

Kassandra przybiegła z komnat królowej.

– Potrzebujemy więcej bandaży – powiedziała.

Andromacha wyciągnęła rękę.

– Daj mi nożyczki.

Kassandra zrobiła to, a Andromacha zaczęła obcinać swoją długą białą szatę tuż nad kolanami. Kassandra klasnęła w dłonie.

– Pomogę ci! – zawołała, gdy Andromacha próbowała oderwać pas materiału.

Chwyciła nożyczki i szybko przecięła materiał do końca. Cały dół sukni odpadł.

– Moją też! Moją też! – zawołała Kassandra.

Andromacha uklękła przy malej i pospiesznie rozcięła cienką szatę. Kassandra chwyciła szarpie i pobiegła z nimi do rannych. Andromacha wróciła za nią i wzięła swój łuk. Ponownie wyszła na galerię, znalazła kołczan pełen strzał i zarzuciła go na ramię.

– Strach pomaga wojownikowi – mówił jej ojciec. – Jest niczym ognisko. Rozgrzewa mięśnie, dodając sił. Panika przychodzi wtedy, gdy strach wyrywa się spod kontroli, pochłaniając odwagę i dumę.

Gdy spoglądała na toczącą się na dole bitwę, wciąż czuła lęk.

Jednak nie paniczny.

3.

Dwustu dwunastu mykeńskich wojowników stało spokojnie przed świątynią Hermesa, czekając na wezwanie do boju. Nie wyczuwało się wśród nich napięcia, pomimo dochodzących z oddali odgłosów walki i wrzasków konających, które odbijały się echem po ulicach miasta. Jedni żartowali, inni gawędzili ze starymi kompanami. Wysoki Kallides, z tarczą zarzuconą na plecy, przeszedł wzdłuż rzędu posągów przed drzwiami świątyni, podziwiając, jak pięknie są wykonane. W blasku księżyca wydają się żywe, pomyślał, spoglądając na twarz Hermesa, opiekuna podróżujących. Była to młoda twarz, niemal chłopięca, a skrzydelka przy piętach zostały pięknie uformowane. Wyciągnął rękę i przesunął grubymi paluchami po kamieniu. Dołączył do niego Banokles Jednouchy.

– Powiadają, że sprowadzili egipskich rzeźbiarzy – powiedział. – Miałem wuja, który kiedyś był w Luksorze. Mówił mi, że stoją tam

posągi wielkie jak góry.

Kalliades zerknął na przyjaciela. Banokles już włożył masywny hełm i jego głęboki głos był nieco stłumiony.

– Pewnie pocisz się w tym jak świnia – zauważył Kalliades.

– Lepiej być gotowym – odparł Banokles.

– Na co?

– Nie ufam tym Trojańczykom. Na murach mają tysiąc zbrojnych.

Kalliades zachichotał.

– Ty nigdy nikomu nie ufasz. Otworzyli nam bramy, no nie? Służą nowemu królowi. Nie będzie żadnych problemów.

– Żadnych? – odparł Banokles. – Twoim zdaniem nie ma żadnych problemów? Miało nie być bitwy. Trakowie mieli zająć cytadelę, a my mieliśmy wybić gości, którzy przyszli na stypę. Coś poszło nie tak, Kalliadesie.

– Naprawimy to, kiedy nas wezwą. – Kalliades wskazał na posąg kobiety, trzymającej w jednej ręce snopek zboża, a w drugiej miecz. – Poznaje większość bogów, ale kim jest ona?

Banokles wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Zapewne to jakaś trojańska bogini.

Mocno zbudowany wojownik z równo przyciętą czarną brodą wyłonił się z bocznej uliczki i podszedł do nich.

– Jakie wieści, Erutrosie? – zapytał go Banokles.

– Dobrze i źle. Brama jest otwarta – odparł zapytany. – To już niedługo.

– A źle? – dociekał Banokles.

– Rozmawiałem z Kolanosem. Argurios jest z Trojańczykami.

– Na Hadesa, nigdy nie sądziłbym, że to możliwe – rzekł Kalliades.

– Kiedy rozeszły się wieści, że zdradził, nie wierzyłem w nie ani przez moment.

– Ani ja – przyznał Banokles.

– No cóż, mam nadzieję, że to nie ja go zabiję – powiedział Erutros.

– Ten człowiek to legenda.

Kalliades odszedł od swoich przyjaciół. Nie obawiał się nadchodzącej bitwy ani walki w obcym mieście. Jego zdaniem ludzie dzielili się na lwy i owce. Mykeńczycy byli lwami. Wszyscy, których można było podbić, byli owcami. Był to naturalny podział, który Argurios doskonale rozumiał. W istocie to Argurios wyłożył Banoklesowi tę prostą filozofię.

A teraz Argurios, Mykeński Lew, walczył razem z owcami. To nie miało sensu. Jeszcze gorsze było to, że Kalliadesem i jego przyjaciółmi dowodził Kolanos. Nazywano go Łamaczem Dusz, ale bliższy prawdy byłby przydomek Nędznik. Po raz pierwszy, od kiedy tu wylądowali, Kalliades poczuł niepokój.

Walczył razem z Arguriosem w Parcie, w Tesalii i na ateńskich równinach. Oblegał z nim i łupił miasta, i stał z nim ramię w ramię w tuzinach potyczek oraz bitew. Arguriosa nigdy nie interesowały łupy i bogactwa. Całe życie poświęcił służbie dla króla. Na świecie nie było dość złota, aby kupić kogoś takiego jak Argurios. Więc jak to możliwe, że zdradził Mykeńczyków i sprzymierzył się z trojańskim wrogiem?

Banokles podszedł do Kalliadesa.

– Orły zatrzymały Traków przy drzwiach pałacu. Jest z nimi ten rzeźnik Helikaon.

To była lepsza wiadomość. Myśl, że podły Podpalacz zapłaci za swe odrażające zbrodnie, podniosła Kalliadesa na duchu.

– Jeśli bogowie pozwolą – rzeki – utnę mu głowę.

– I wyłupisz oczy?

– Oczywiście, że nie! Myślisz, że jestem pogańskim dzikusiem, jak on? Nie, wystarczy mi jego śmierć.

Banokles się roześmiał.

– No cóż, możesz sobie polować na Podpalacza. Kiedy wybijemy gwardzistów, ja poszukam sobie jakiejś ładniejszej zdobyczy. Jeszcze nigdy nie spałem z królewską córą. Podobno wszystkie córki Priama są piękne. Mają wielkie cycki i szerokie zady. Myślisz, że pozwolą mi zabrać jedną do domu?

– A po co ci ona? – odparł Kalliades. – Za złoto, jakie nam obiecano, będziesz mógł sobie kupić sto kobiet.

– To prawda, ale królewska córka to coś specjalnego. Szczególna zdobycz, którą można się pochwalić.

– Wydaje mi się, że ty nigdy nie potrzebowałeś szczególnego powodu do przechwałek.

Banokles zaśmiał się szczerze rozbawiony.

– Kiedyś myślałem, że jestem największym samochwałą wokół Wielkiej Zieleni. Potem poznałem Odyseusza. Ten to potrafi się chęłpić. Daję głowę, że potrafiłby ułożyć wspaniałą bohaterską opowieść o sraniu w krzakach.

Wokół nich Mykeńczycy zaczęli formować szyki. Kalliades zobaczył krążącego między nimi Kolanosa.

– Czas zapracować na naszą zapłatę – rzekł czarnobrody Erutros, nakładając hełm.

Kalliades wrócił po swój hełm, tarczę i włócznię. Banokles poszedł z nim. Gdy Kalliades szykował się do bitwy, Banokles zdjął hełm i przyglądał długie jasne włosy.

– Teraz, kiedy czas włożyć hełm, ty go zdejmujesz – skarcił go Kallia des.

– Pocę się jak świnia – odparł z szerokim uśmiechem Banokles.

Stanęli wraz ze swoimi towarzyszami i czekali na rozkaz Kolanosa.

– Wiecie, czego się po was oczekuje, Mykeńczycy! – zawołał Kolanos. – Pałacu broni garstka królewskich gwardzistów. To noc krwi. To noc rzezi. Wytoczcicie z nich krew. Zabijcie wszystkich. Nie zostawcie nikogo żywego.

4.

Ciała zabitych Traków piętrzyły się przed drzwiami pałacu, a tuziny innych, zastrzelonych przez łuczników z balkonów, zasłały dziedziniec. Helikaon opuścił miecz, gdy pozostali przy życiu Trakowie wycofali się na bezpieczną odległość, za bramę.

Orły wokół niego odpoczywały i w końcu zrobiło się cicho. Helikaon zwrócił się do walczących z nim wojowników:

– Teraz przyjdą Mykeńczycy – powiedział. – Kiedy zaatakują, zajmijcie pozycje po prawej i lewej stronie drzwi.

– Niewielu nas pozostało – rzekł wysoki żołnierz, spoglądając na pozostałych obrońców.

Drzwi broniło teraz ledwie dwudziestu gwardzistów. Argurios i jego dwudziestu ośmiu zbrojnych stali nieco z tyłu, z tarczami i włóczniami, gotowa do boju.

– Może to dobra chwila, żeby zamknąć drzwi – podsunął inny wojownik.

– Nie – rzekł Helikaon. – Nie wytrzymałyby długo. I dałoby im to czas na zabranie zwłok. A te spowolnią ich atak, gdyż będą musieli po nich deptać.

– Nigdy nie walczyłem z Mykeńczykami – powiedział pierwszy. – Podobno to dobrzy wojownicy.

– Myśla, że są najlepszymi wojownikami na świecie – powiedział Helikaon. – Tej nocy poznają smutną prawdę.

Podszedł do Arguriosa. Jego ludzie stali w trzech szeregach. Polidoros przesunął się w prawo i Helikaon stanął obok Arguriosa.

Nikt się nie odezwał i zapadła głucha cisza. Potem z balkonu zbiegł książę Dios, a za nim jego łucznicy.

– Nie mamy już strzał – powiedział.

– Zabierz swoich ludzi na ostatni balkon – rzekł Argurios. – Tam są pełne kołczany.

– Masz za mało ludzi, żeby ich tu powstrzymać – powiedział Dios. – Pomożemy wam.

– Nie – odparł Argurios. – Twoi ludzie nie mają zbroi. Zostaliby posiekani na kawałki. Brońcie schodów.

Dios odszedł bez słowa i znów zapadła cisza. Z miejsca, w którym stał, Helikaon widział dziedziniec. Był pusty, nie licząc martwych i konających. Tyłu już umarło tej nocy i tyłu jeszcze miało przed świtem wyruszyć ciemną drogą. Czas płynął wolno. Helikaonowi zaschło w ustach.

Nagle usłyszał miarowy tupot nóg.

– Nadchodzą! – zawołał jeden ze zbrojnych przy drzwiach.

W tym momencie znów pojawił się książę Dios, w srebrnym napierśniku i brązu, niosąc wysoką tarczę. Na głowie miał gwardyjski hełm, u boku krótki miecz, a w dłoni ciężką włócznię.

Podszedł do Arguriosa.

– Czy masz coś przeciw temu, żeby walczyć z najsłabszym szczeniakiem z miotu? – zapytał z krzywym uśmiechem.

– Będzie to dla mnie zaszczytem, książę Deifobosie – odparł łagodnie Argurios.

– Mów mi Dios – powiedział z uśmiechem młodzieniec. – I spróbuj zapomnieć, że czasem bywam pompatycznym głupcem.

– Jak my wszyscy – rzekł mu Argurios. Potem podniósł głos, zwracając się do czekających wojowników. – Nie mierzcie w korpus – przestrzegł. – Oni mają dobre zbroje, które odbiją cios. Uderzajcie w szyje, uda lub ręce.

Helikaon spojrzał na dziedziniec. Mykeńczycy sformowali zwarty

szyk, ustawiając się ósemkami. Potem ruszyli w kierunku pałacu. Gdy podeszli bliżej, rzucili się biegiem.

Orły przy drzwiach rozstąpiły się na boki. Mykeńczycy zwolnili, natrafiwszy na wał trackich trupów.

Argurios mocniej ścisnął włócznie.

– Za króla i Troję! – krzyknął.

I Orły ruszyły do boju.

XXXIV. UTRACONY OGRÓD

1.

Andromacha całym sercem była przy tych dzielnych ludziach na dole. Patrząc na nich z wysokiej galerii, doskonale widziała, jak nierówną toczą walkę. Wydawało się, że całe setki ciężkozbrojnych mykeńskich wojowników z brutalnym impetem napierają na trzy szeregi Orłów. Mimo to atak Mykeńczyków się załamał, gdy gwardziści przy drzwiach zaatakowali nacierający oddział, rąbiąc i siekąc mykeńskie flanki.

Żaden łucznik na galerii jeszcze nie strzelał, żeby nie trafić swoich. Jednak powoli, w miarę jak ciężkozbrojni Mykeńczycy wdzierali się do megaronu, tłocząc się w drzwiach, niektórzy z łuczników zaczęli szyc w tę zwartą masę. Większość strzał odbijała się od wielkich tarcz, ciężkich hełmów napierśników najeźdźców. Mimo to walczący w centrum musieli osłaniać się tarczami i ich napór osłabł.

Argurios nie ustępował pola, zabijając bez litości, oszczędnymi ruchami. Jego włócznia przeszywała kolejnych przeciwników, jego tarcza była murem, którego nie mogli pokonać. Stojący obok niego Helikaon walczył równie skutecznie i Andromacha widziała, że to on zabił pierwszego Mykeńczyka. Wkrótce padli kolejni zabici i walka stała się jeszcze bardziej zażarta. Co najmniej dwóch Mykeńczyków ginęło za każdego zabitego Orła.

Za mało.

Nalóżywszy strzałę na cięciwę, starannie wycelowała – i czarnopióra strzała świsnęła w powietrzu, trafiając w szczelinę mykeńskiego hełmu. Trafiony sunął się na posadzkę, pod nogi towarzyszy.

Walka trwała i gwardziści byli powoli spychani w tył. Linia obrony wygięła się w półokrąg. Andromacha i inni łucznicy nadal ostrzeliwali walczących, zabijając bądź raniąc jedną strzałą na dziesięć.

Orły cofały się, a Mykeńczycy próbowali ich otoczyć i odciąć od schodów. Stojący na środku trojańskiej linii obrony Argurios, Helikaon i Dios walczyli zaciekle, ale flanki cofały się szybciej. W każdej chwili Mykeńczycy mogli okrążyć obrońców.

Andromacha dostrzegła to zagrożenie.

– Mierzcie w skrzydła! – zawołała do stojących obok łuczników.

Na Mykeńczyków na lewej flance posypał się grad strzał. Musieli podnieść tarcze i cofnąć się, co pozwoliło Trojańczykom wyrównać szyk.

Na tyłach wroga Andromacha dostrzegła białowłosego Kolanosa, który ponaglał swoich ludzi, ale trzymał się z dala od walczących.

Nagle poczuła, że ktoś szarpie ją za postrzępiony chiton. Spojrzała w dół i zobaczyła, że stoi przy niej Kasandra.

– Musisz przyjść. Szybko – powiedziała dziewczyna.

Andromacha z trudem słyszała ją przez szczęk mieczy i tarcz oraz krzyki rannych. Przyklękła i przyciągnęła ją do siebie.

– Co się stało?

– Laodike! Ona umiera!

– Nie, tylko odpoczywa – powiedziała Andromacha.

Kasandra pokręciła głową.

– Musisz przyjść – powiedziała.

Andromacha pozwoliła, by mała chwyciła ją za rękę i powiodła do komnat królowej. Teraz było w nich pełno rannych. Zobaczyła Akse, pomagającą przenieść rannego żołnierza na szeroki stół, przy którym medyk Zeotos w zbroczonej krwią szacie usiłował ratować rannym życie.

Kasandra odeszła, a Andromacha pospieszyła do leżącej na sofie Laodike. Twarz młodej kobiety była nienaturalnie blada i lśniąca od potu, a jej wargi i powieki sine. Andromacha uklękła przy niej i wzięła ją za rękę. Palce wydawały się sztywne i spuchnięte. One również były sinoblade.

– Zeotosie! – krzyknęła. Odgłosy walki przybliżyły się i Andromacha wyczuwała, że bitwa wkrótce się skończy. Teraz jednak ją to nie obchodziło. – Zeotosie! – krzyknęła ponownie.

Stary medyk stanął przy niej. Jego twarz zdradzała bezgraniczne znużenie.

– Co się z nią dzieje?! – zawołała Andromacha.

Zeotos chwycił Laodike, obrócił ją na bok i nożykiem rozciął jej suknię. Andromacha zobaczyła ogromny czarny siniak sięgający od ramienia do biodra.

– Dlaczego nikt mi nie powiedział, że odniosła taką ranę? – rzekł Zeotos. – Myślałem, że została ledwie draśnięta.

– Sądziłam, że wydobrzeje – odparła Andromacha.

– No cóż, niestety – odparł medyk. – Jest umierająca. Miecz lub włócznia przebiła jakiś organ wewnętrzny. Ma wewnętrzny krwotok. Kona.

– Przecież coś chyba możesz dla niej zrobić?

Zeotos zgarbił się.

– Za chwilę nie będę już mógł zrobić nic dla nikogo. Jesteśmy zgubieni. Ona także. Wszyscy umrzemy.

Po tych słowach wrócił do rannego na stole.

Przyszedł Priam. Miał miecz w dłoni. Spojrzał na umierającą córkę.

– Śmierć będzie dla niej wybawieniem – rzekł. Spojrzał na Andromachę. – Kiedy przyjdą, nie walcz. Nie stawiaj oporu. Kobiety nieraz bywały gwałcone i jakoś to przeżywały. Żyj, Andromacho – powiedział i ruszył ku galerii.

Mała Kasandra wyszła z kryjówki za sofą.

– Nie chciałam, żeby ojciec mnie zobaczył – powiedziała. – Jest na mnie zły.

– Nie jest zły, mała.

Kasandra złapała Andromachę za rękę.

– Owszem, jest. Odkąd powiedziałam mu, że Hektor wraca do domu. Przestanie się złościć, kiedy go zobaczy. Już wkrótce.

– Och, Kasandro. – Andromacha wyciągnęła ręce i przytuliła dziewczynkę. – Hektor nie żyje.

– Nie! – wykrzyknęła Kasandra, wyrrywając się jej. – Posłuchaj

mnie. Ja też myślałam, że on nie żyje. Jednak głosy mi powiedziały. A potem pokazały.

– Co ci pokazały?

– Wspinaczkę na urwiska. Niebezpieczeństwa i przygody. Długą podróż rzeką...

– Powoli! – powiedziała Andromacha. – Opowiedz mi wszystko spokojnie. Jakie urwiska?

Kassandra nabrała tchu.

– Hektor i jego ludzie byli w potrzasku. Zapadła noc. Hektor wiedział, że wróg o świcie znów zaatakuje, więc zamienił się zbroją z zabitym żołnierzem. Potem razem ze swoimi ludźmi wspięli się na urwisko. Hektor jest w tym dobry. Czasem wdrapywaliśmy się...

– Wróć do tej opowieści – przerwała jej Andromacha. – Co się stało po tym, jak wspięli się na urwisko?

– Minęły trzy dni, zanim dotarli do wielkiej rzeki, a potem znaleźli statek, którym dopłynęli do morza. Podróż była długa. Dlatego nie mieliśmy od niego wieści. Jednak dziś już tu jest. Proszę, uwierz mi, Andromacho. Hektor wkrótce tu będzie, z mnóstwem żołnierzy. Będzie.

Nagle Laodike krzyknęła i otworzyła napuchnięte powieki. Zobaczyła Andromachę, która ponownie uścisnęła jej dłoń i pocałowała w policzek.

– Odpoczywaj, siostrze – szepnęła.

– Myślę, że umieram. Och, Andromacho! – Łza spłynęła jej z oka i Laodike zamrużyła, powstrzymując następne. – Nie chcę umierać!

Andromasze również łzy napłynęły do oczu i przygryzła wargę.

– Tak mi przykro... – powiedziała.

Laodike westchnęła.

– To wszystko było zbyt piękne. Argurios i ja... mieszkalibyśmy w pałacu nad Skamandrem. Byłam tam wczoraj. Tam jest tak... pięknie... Ja... siedziałam w ogrodzie... w ogrodzie... – Jej głos ścichł. Po chwili odezwała się znowu: – Gdzie jest Argurios?

– Walczy. Za ciebie. Za nas wszystkich.

– Zwycięży. Jak mój Hektor. Zawsze zwycięża. Bardzo chce mi się pić.

Kassandra pobiegła poszukać wody. Niewiele jej było i wróciła z pucharkiem, w którym było zaledwie kilka łyków.

Andromacha przytknęła naczynie do warg umierającej Laodike. Ta napiła się i opadła na sofę.

– Znajdziesz go dla mnie, Andromacho? – poprosiła. – Przyprowadź go do mnie. Ja... nie chcę umierać... sama.

– Znajdę go.

Laodike zamknęła oczy i uśmiechnęła się.

– Znajdź... mojego... Arguriosa – wyszeptwała.

2.

Argurios czuł uniesienie. Wszystko przebiegło zgodnie z jego planem i teraz przyszedł moment, na który czekał. Kiedy stanął na schodach, mając obok siebie Helikaona, a za plecami Polidorosa i Diosa, nieprzyjacielski atak został powstrzymany. Mykeńczycy musieli teraz

atakować dwójkami, podchodząc do stojących wyżej przeciwników, podczas gdy tłum ich towarzyszy kłębił się na dole, bez osłony przed sypiącymi się z góry strzałami i oszczepami rzuconymi z galerii. Tak więc było jak na tamtym partyjskim moście – cała bitwa toczona na bardzo niewielkiej przestrzeni przez równorzędne siły. Teraz ogromna przewaga liczebna Mykeńczyków nie miała już żadnego znaczenia, gdyż przeciwko obrońcom schodów mogli stawać tylko po dwóch.

Argurios uderzył tarczą kolejnego przeciwnika. Pchnął włócznią, trafiając między hełm a kołnierz napierśnika. Wojownik zachwiał się i upadł. Argurios kopnął go w bark, zrzucając pod nogi następnych. Kolejny Mykeńczyk parł w górę. Potknął się o spadającego i Helikaon zabił go jednym ciosem.

Raz po raz kolejni wojownicy atakowali stojących na schodach, ci jednak odpierali każdy atak i straty napastników rosły.

Tak jak przewidział Argurios, Mykeńczycy już nie byli zdolni trzeźwo myśleć. Chcieli już tylko zabić tych, którzy stawiali im tak nieugięty opór. Zaślepieni, nie brali pod uwagę innych możliwości. Argurios wiedział, co sobie myślą. Jeszcze jedno uderzenie i cytadela będzie ich. Wystarczy pokonać tych kilku obrońców na schodach i zwyciężą.

Ich atak jednak został zatrzymany. Argurios i Helikaon, pewnie stojąc na stromych schodach i mocno dzierżąc tarcze, włóczniami razili nieprzyjaciół, zagradzając im drogę niczym ścianą.

Mykeńczycy tracili ludzi, nie posuwając się ani o krok. Argurios wiedział, że zaczął ich drażnić robak zwątpienia. To nie była zwyczajna bitwa. Nie mieli dokąd się wycofać, żadnego bezpiecznego obozu, do którego mogliby wrócić po całym dniu walki. Znaleźli się w pułapce tak samo jak Trojańczycy. Jeśli do świtu nie zdołają zdobyć tej cytadeli i zabić króla, Priamowi przybędą na pomoc tysiące żołnierzy – z fortów na równinach nad Skamandrem lub z koszar w podgrodziu.

Argurios walczył dalej, nie czując zmęczenia, z wyostrzonymi wszystkimi zmysłami. Teraz walczył o coś więcej niż o życie i honor. Walczył o miłość, zdecydowany nie dać sobie odebrać szansy na szczęście z Laodike. Oczami duszy widział jej twarz, jej słodki uśmiech i promienną obecność. Nie pozwolił żadnemu mykeńskiemu wojownikowi wdrzeć się na te schody.

Włócznia ześlizgnęła się po jego pancerzu, odrywając dwie następne płytki z brązu. Argurios wykonał półobrót w prawo i uderzył. Niecelny cios trafił w okryty naramiennikiem bark, pozbawiając mykeńskiego żołnierza równowagi. Helikaon kopnął atakującego go Mykeńczyka, zrzucając go ze schodów, a potem okręcił się i przeszył włócznią gardło przeciwnika Arguriosa. Potem obaj bohaterowie zasłonili się tarczami przed atakiem następnych.

Kilka chwil później mocno pchnięty Helikaon stracił równowagę. Argurios zablokował pchnięcie, które rozplątałoby gardło Złocistego, a potem uderzył Mykeńczyka tarczą, odrzucając go w tył. Helikaon wstał i walczył dalej.

Schody były teraz śliskie od krwi i walka toczyła się bez chwili przerwy. Łucznikom na galerii zabrakło strzał, więc mogli tylko

bezradnie przyglądać się walczącym.

Priam z mieczem w dłoni czekał na szczycie schodów, patrząc na tych dwóch mężczyzn, którzy stali pomiędzy triumfem a katastrofą.

Trudno było uwierzyć, że to ludzie z krwi i kości, gdyż walczyli jak bobowie, niezłomni i niestrudzeni. Jeszcze przed chwilą król był przekonany, że bitwa jest przegrana. Teraz nie był już tego taki pewien. Dostrzegł światełko nadziei. Rozejrzał się wokół. Na twarzach wszystkich malowała się ponura determinacja, a także podziw i duma z tego, na co patrzyli.

Po raz pierwszy od wielu lat Priam z dumą spoglądał na swojego syna Deifobosa, który stał za Arguriusem, gotowy zająć jego miejsce w potyczce na schodach.

Przeniósłszy spojrzenie na Mykeńczyków, nie dostrzegł w nich cienia wahania. Nie byli przestraszeni ani zbici z tropu. Z ponurymi i zaciętymi minami cierpliwie czekali, aż przyjdzie ich kolej zmierzyć się z obrońcami schodów.

Światełko nadziei zgasło. Nawet ci dwaj dzielni wojownicy nie zdołają powstrzymać tych żądnych krwi barbarzyńców. Niebawem Helikaon lub Argurios padnie i zacznie się morderczy szturm na górne kondygnacje pałacu.

No cóż, pomyślał Priam. Pokażę tym dzikusom, jak umiera król.

Mocno trzymając w dłoni miecz, stanął za ostatnimi obrońcami.

3.

Kalliades wypluł krew i przycisnął gałgan do twarzy. Włócznia Arguriosa trafiła hełm, rozdzierając mu policzek. Miał szczęście. Grot o włos ominął oko. Ranny, został sromotnie zrzucony kopniakiem ze schodów i teraz siedział przy tylnych drzwiach, a przy nim Banokles, z wysoką tarczą zarzuconą na plecy.

– Przynajmniej nie mają już strzał – powiedział Banokles, podając Kalliadesowi świeży opatrunek. Krew płynęła strumyczkiem. – Już myślałem, że cię dostał – dodał.

– Cholernie mało brakowało – odparł Kalliades, znów plując krwią.

– Zabił Erutrosa. Rozciął mu gardło.

– Widziałem.

Kalliades spojrział na schody.

– Powinniśmy się wycofać – rzekł. – Zabrać drabiny. Wtedy moglibyśmy uderzyć z kilku stron.

– Oni nie utrzymają się długo – rzekł Banokles.

– To Argurios – przypomniał Kalliades. – On może tak walczyć całą noc.

– No cóż – odparł Banokles. – Kiedy król zrobi cię wodzem, będę ci nosił drabiny. A na razie nie zamierzam się wychylać.

– Trzeba mnie pozszywać, bo wykrwawię się na śmierć – narzekał Kalliades.

Razem wrócili do megaronu. Było tam już około czterdziestu rannych Mykeńczyków, opatrywanych przez towarzyszy. Kalliades zdjął

hełm i usiadł na tronie Priama. Banokles też ściągnął hełm, a potem sięgnął do sakiewki przy pasie i wyjął zakrzywioną igłę oraz motek nici. Usiłował otrzeć krew gałganem, ale płynęła zbyt obficie.

– Naprawdę oszpecił ci twarz – zauważył. – Na szczęście zawsze byłeś paskudnym sukinsynem.

– Nie gadaj, tylko szyj! – warknął Kalliades.

Odchylił głowę i zacisnął zęby, czując piekące ukłucia igły i zaciskanych szwów. Banoklesowi ślizgały się palce, zalewane wypływającą z rany krwią, ile w końcu krwawienie ustało.

– Zamierzasz jeszcze raz zmierzyć się z Arguriusem? – zapytał Banokles, nawiązując ostatni węzeł.

Kalliades pokręcił głową.

– Już spełniłem swój obowiązek. Nie chcę być tym, który go zabije. Niech ktoś inny pośle jego duszę ciemną drogą. Może teraz jest naszym wrogiem, ale jego śmierć mnie zasmuci.

– No cóż, ja tam wracam – powiedział Banokles. – Jeśli ktoś nie wyrąbie nam drogi, nigdy nie dosiędę jednej z córek Priama.

– Niechaj Ares poprowadzi twoją włócznię – rzekł Kalliades.

– Zawsze to robi – odparł Banokles, nakładając hełm.

Wziąwszy włócznię, ogromny wojownik wrócił do walczących.

Kalliades czuł rosnące przygnębienie. Całe to przedsięwzięcie zmieniało się w kupę koziego łajna. Argurios podszedł ich i zwabił tam, gdzie chciał z nimi walczyć. Kolanos był idiotą, że tego nie dostrzegął. Nie pokonają Arguriosa. Noc powoli minie, a rankiem całe miasto zwróci się przeciwko nim.

Niektórzy ranni znów chwyтали za broń. Inni leżeli bezwładnie, a ich krew rozlewała się po posadzce.

Krótką i łatwą potyczką, a potem mnóstwo łupów. Oto, co obiecał im Kolanos.

Nagle zobaczył go, idącego przez megaron z łukiem w dłoni. Kolanos nie miał hełmu i białe włosy opadały mu na ramiona.

Na ten widok Kalliades zaczął jeszcze gorzej myśleć o tym człowieku. Bohaterowie nie używają łuków. Walczą mieczem i włócznią, stawiając czoło wrogom, oko w oko, jeden na jednego.

Nagle usłyszał dobiegający z oddali głos rogu. Głuchy dźwięk odbił się echem w ciemnościach. Potem jeszcze raz i znowu.

Kolanos przystanął i wrócił do stojącego nieopodal trojańskiego księcia, Agatona. Kalliades nie słyszał ich rozmowy, ale widział, że Agatona zaniepokoiło to granie rogu. Wyglądał na przejętego i spiętego i wciąż nerwowo spoglądał w kierunku drzwi.

Kolanos pobiegł z powrotem do walczących. Agaton ruszył w przeciwną stronę i Kalliades zobaczył, jak znika w mroku nocy.

Kalliades pozostał na swoim miejscu, zamyślony. Gdyby wiedział, że jego przeciwnikiem będzie Argurios, nie podjąłby się tego zadania. Nie ze strachu przed tym człowiekiem, gdyż Kalliades nie bał się nikogo. Po prostu dlatego, że Argurios miał pewien niesamowity dar: nigdy nie przegrywał.

Ten przeklęty róg wciąż grał. Teraz zdawał się przybliżyć. Kalliades z trudem wstał i wyszedł na dziedziniec, gdzie roilo się tu od

Traków. Dyskutowali z ożywieniem.

– Co się dzieje? – zapytał Kalliades.

– Wielkie bramy zostały otwarte – odpowiedział mu ktoś. –

Nadciągają trojańskie wojska.

Potem inny Trak wbiegł na dziedziniec, krzycząc:

– Hektor wrócił! Książę powrócił! Ratujcie się!

Trakowie znieruchomieli na moment, zaraz jednak rzucili się do bramy pałacu.

Kalliades zaklął i wbiegł do megaronu.

XXXV. OBIETNICA ŁABĘDZIA

1.

Argurios wciąż walczył, a Helikaon przy nim. Stary wojownik zaczął odczuwać zmęczenie i wiedział, że wkrótce będzie musiał się wycofać, ustępując miejsca Diosowi lub Polidorosowi. Jeszcze nie całkiem wylizał się z ran odniesionych jesienią podczas ataku zabójców. Zaczęły go boleć ręce i z trudem chwytął oddech.

Odbił pchnięcie włócznią, uderzył przeciwnika tarczą, a potem z impetem trafił swoją włócznią w jego hełm. Potężny cios odrzucił głowę Mykeńczyka do tyłu, pozbawiając go równowagi. Argurios rąbnął go barkiem, obalając na stojącego niżej wojownika. Obaj napastnicy stoczyli się ze schodów. Na moment w mykeńskich szeregach powstała wyrwa, gdy mężczyźni gramolili się z podłogi.

Argurios usłyszał grający w oddali róg. Zerknął na Helikaona.

– To wezwanie do broni! – zawołał Helikaon. – Nadchodzą posiłki!

Ludzie na galerii przyjęli to radosnymi okrzykami, a wielu z nich zaczęło szydzić z Mykeńczyków i grozić im.

– Jesteście skończeni! – ryknął ktoś. – Jak szczury w pułapce!

Jednak Mykeńczycy nie uciekli. Zamiast tego przypuścili kolejny atak na schody. Argurios podjął walkę. Złamała mu się włócznia, gdy uderzył nią w tarczę. Odrzucił ją i chwycił miecz. Jego przeciwnik, ogromny wojownik, rzucił się na niego i zwałił go z nóg. Jego włócznia śmignęła ku twarzy Aruriosa. Przekreściwszy się na bok, Argurios kopnął go i trafił w kostkę. Przeciwnik zachwiał się. Argurios zerwał się z ziemi i pchnął mieczem w tę rękę, w której Mykeńczyk trzymał włócznię. Sztych wbił się w biceps. Argurios próbował wyrwać klingę, ale utkwiała mocno. Zmuszony puścić broń, Argurios odchylił się do tyłu i kopnął przeciwnika w biodro. Mykeńczyk stoczył się ze schodów. Inni wojownicy przeskakiwali nad nim.

– Arguriosie! – krzyknął Polidoros, wciskając swoją włócznię w dłoń wojownika, który natychmiast odwrócił się i skoczywszy naprzód, wbił grot włóczni w gardło następnego napastnika, łamiąc mu kark.

Stojący u podnóża schodów Mykeńczycy odwrócili się i ruszyli z powrotem przez megaron, żeby stawić czoło przybywającym oddziałom. Argurios nie widział ich, ale słyszał odgłosy walki.

Nagle zauważył Kolanosa, stojącego pod ścianą z łukiem w dłoni.

W tym momencie mykeński żołnierz skoczył na Helikaona i zwałił go z nóg. Na pół ogłuszony Helikaon próbował przetoczyć się na bok. Stojący nad nim Mykeńczyk uniósł włócznię do śmiertelnego pchnięcia, lecz doskoczył doń Argurios i przyjął je na swoją tarczę.

Coś ostrego i gorącego wbiło się w jego bok, przeszło między żebrami i doszło do piersi. Zachwiał się, wyprostował i przeszył włócznią wojownika stojącego nad Helikaonem. Gdy ten padł, pozostali zawrócili i zbiegli ze schodów.

Argurios chciał za nimi pobiec, ale nagle ugięły się pod nim kolana i opadł na schody. Tarcza Ilosa zsunęła mu się z ramienia. Spojrzał na strzałę tkwiącą w jego boku. Trafiła w miejsce, gdzie brakowało płytek z brązu.

Helikaon i Polidoros zanieśli Arguriosa na galerię i delikatnie

położyli na podłodze. Rana paliła go żywym ogniem i zacisnął z bólu zęby. Helikaon zdjął mu hełm z głowy i uklęknął obok. Polidoros chwycił za brzechwę strzały, zamierzając ją wyrwać.

– Nie! – powstrzymał go Argurios. – Ta strzała i ja jesteśmy teraz nierozłączni. Ona mnie zabiła. A zarazem jeszcze przez chwilę utrzyma mnie przy życiu. Jeśli ją wyciągniesz, ujdzie ze mnie krew i życie.

– Nie! – upierał się Polidoros. – Sprowadzę medyka. On znajdzie jakiś sposób, żeby ją wyjąć. Będziesz żył, Arguriosie. Musisz żyć.

Pobiegł.

Argurios westchnął i spojrzał na Helikaona.

– Ten chłopiec nie zna się na ranach – rzekł. – Jednak my się znamy, Złocisty.

– Tak – przyznał Helikaon, zdejmując hełm. – Przykro mi, Arguriosie.

Wtedy nadszedł król Priam i przyklęknął z drugiej strony wojownika. Przez chwilę nic nie mówił, a potem wyciągnął rękę i uściśnął dłoń Arguriosia.

– Powiedziałem, że możesz mnie prosić, o co chcesz – rzekł.

– Nie mam już o co prosić, królu Priamie. – Uśmiechnął się ponuro. – Gdybym mógł, zszedłbym tam i uratował moich rodaków, a potem powiodł ich z powrotem do Myken. Wielu z nich to moi przyjaciele.

– Czy mogę coś dla ciebie zrobić? Albo dla twojej rodziny?

– Nie mam rodziny. Niczego nie potrzebuję.

Priam westchnął i wstał.

– Dziękuję ci, Mykeńczyku. Tarcza Ilosa wróci na swoje zaszczytne miejsce na ścianie mojego pałacu. Od tej pory będzie znana jako tarcza Arguriosia. Nikt nigdy nie zapomni, czego dziś dokonałeś.

Z tymi słowami król, w eskorcie swoich Orłów, odszedł do megaronu.

Polidoros wrócił z medykiem Zeotosem, który jedynie potwierdził to, co Argurios już wiedział. Strzała tkwiła zbyt głęboko. Polidoros uklęknął przy umierającym wojowniku. Miał łzy w oczach.

– Nie potrafię wypowiedzieć, jaki jestem dumny, że walczyłem razem z tobą, Arguriosie – wykrztusił.

– Zachowaj tę dumę dla siebie, chłopcze. Dobrze się spisałeś. A teraz dołącz do swoich towarzyszy. Daj mi chwilę posiedzieć w spokoju.

Polidoros nachylił się i ucałował Arguriosia w czoło. Potem wziął swój niecz i ruszył za królem.

Wtedy pojawiła się Andromacha.

– Nie dacie mi chwili spokoju? – spytał Argurios.

Twarz miała ściągniętą i smutną, a na jej policzkach dostrzegł ślady łez.

– Laodike cię potrzebuje – powiedziała.

– Nie chcę, żeby widziała mnie w takim stanie.

– Nie, musisz przyjść. Ona... ona też umiera, Arguriosie.

– Nie! – jęknął. – To niemożliwe!

– Jej rana była poważniejsza, niż nam się zdawało. Musisz do niej pójść.

Argurios spojrział na Helikaona.

– Pomóż mi wstać – powiedział.

Helikaon wziął go za rękę i postawił na nogi. Argurios jęknął, gdy grot trzały przemieścił się, znów powodując przeszywający ból. Zatoczył się na icianę, lecz Helikaon go przytrzymał. Powoli doszli do komnat królowej. Wszędzie leżeli tu ranni. Argurios zobaczył Laodike leżącą z zamkniętymi oczami na sofie. Wyprostował się, powiedział Helikaonowi, żeby go puścił, i potem podszedł do sofy i klęknął przy niej. Wyciągnął rękę i ujął dłoń Laodike. Otworzyła oczy. Twarz miała bladą, a powieki ciężkie. Argurios pomyślał, że nigdy nie widział tak pięknej kobiety. Na jego widok twarz ukochanej rozpromieniła się w uśmiechu.

– Och, Arguriosie – powiedziała. – Śniłam o tobie.

– Czy to był dobry sen? – zapytał ją.

– Tak. Wszystkie moje sny o tobie są cudowne.

– I co ci się śniło?

– Nasz dom. Byłam go obejrzyć. Ty... pokochasz go. Jest tam... duży ogród fontanna. Są kwitnące drzewa pod zachodnią ścianą. Możemy siadywać tam wieczorami, o zachodzie słońca.

– Będę na to czekał, moja ukochana.

– Widziałeś się z ojcem?

– Tak. Wszystko będzie dobrze, Laodike.

– Zatem nas nie rozdzieli?

Argurios otworzył miszek przy pasie i wyjął pogniecione łabędzie pióro.

– Zachowałeś je! – szepnęła.

– Tak, zachowałem. Nic nas nigdy nie rozdzieli. Nawet śmierć.

Złożył piórko w jej dłoni i splótł jej palce ze swoimi. Resztkami sił osunął się na podłogę i położył głowę na jej piersi.

– Jestem taka szczęśliwa, Arguriosie – powiedziała. – Chyba teraz się prześpię.

– Oboje zaśniemy. A kiedy się zbudzimy, pokażesz mi ten ogród.

2.

Kalliades wbiegł do megaronu i gorączkowo oceniał sytuację. Mając za plecami nadciągające oddziały, a przed sobą nieprzyjaciół broniących górnych pięter pałacu, Mykeńczycy byli zgubieni. Obrzuciwszy pałac okiem weterana, zrozumiał, że nie zdołają się tu długo utrzymać. Megaron miał prawie sto kroków długości i pięćdziesiąt szerokości. Za duży, żeby powstrzymać przeważającego liczebnie wroga – o czym Trojańczycy przekonali się zaledwie kilka godzin wcześniej. Teraz role miały się odwrócić, z tą różnicą, że Mykeńczycy nie będą mogli wycofać się na górne piętra. Będą atakowani z dwóch stron, przez wielkie drzwi i z galerii. Popatrzył na podparte kolumnami ściany. Jediną nadzieją – aczkolwiek kruchą – była obrona w zwartym szyku.

Wszędzie wokół leżeli ranni Mykeńczycy, z pozszywanymi lub obandażowanymi ranami. Zawołał do znajdujących się najbliżej:

– Zebrać rannych w jednym miejscu! Nadchodzą nowe oddziały wroga!

Wojownicy natychmiast zajęli się rannymi towarzyszami. Pomagali

im wstać lub przenosili ich pod ścianę. Potem zaczęli zbierać tarcze i hełmy. Kalliades przebiegł przez całą długość megaronu na koniec sali, gdzie wciąż trwała walka o schody. Argurios nadal walczył, lecz Kalliades nie patrzył na niego. Odszukał wzrokiem Kolanosa. Zobaczył, że kryje się za jedną z kolumn i mierzy z łuku. Strzała ze świstem pomknęła ku schodom. Kalliades błyskawicznie spojrzął w lewo i zobaczył, jak wbiła się w bok Arguriosa.

– Mam cię, draniu! – rzekł ucieszony Kolanos.

Kalliades podszedł do niego.

– Nadchodzą trojańskie posiłki – powiedział. – Bramy miasta są otwarte, a Trakowie uciekli.

W oczach Kolanosa zobaczył strach.

– Gdzie księżę Agaton?

Kalliades wzruszył ramionami.

– Znikł. Nie wiem, dokąd poszedł. Musimy przejść do obrony. Kazałem sformować ścianę tarcz.

– Obrona! Nie zamierzam tu ginać!

Kolanos odrzucił łuk i pomknął ku otwartym drzwiom megaronu. Kalliades ruszył za nim, czekając na rozkazy.

Nie doczekał się. Kolanos wybiegł na dziedziniec. Kalliades stanął w progu, zastanawiając się, co ten człowiek robi. Nagle zrozumiał. Kolanos zamierzał uciec z pałacu, nim przybędzie wróg. Był już przy bramie, gdy zjawili się w niej trojańscy żołnierze. Zawrócił i pobiegł z powrotem. Przecisnął się obok stojącego w progu Kalliadesa i wpadł do pałacu. Potem stanął, z wybałuszonymi oczami i twarzą wykrzywioną grymasem przerażenia.

Pogarda, jaką Kalliades miał dla tego człowieka, jeszcze się pogłębiła. Odwróciwszy się do niego plecami, pobiegł z powrotem do wojowników szturmujących schody.

– Odwrót! Odwrót! – wrzasnął. – Zostaliśmy zdradzeni! Sformować ścianę tarcz! Już!

Pierwszym, którego zobaczył, był Banokles. Zgubił gdzieś swój hełm i twarz miał szarą z bólu. Miecz przeszył mu ramię i wciąż tkwił w mięśniach.

– Wyciągnij to ze mnie! – wymamrotał do Kalliadesa.

Kalliades wyrwał klingę z rany. Banokles głośno zaklął.

– Ściana tarcz! – jeszcze raz zawołał Kalliades, przekrzykując bitewny zgiełk. Lata ćwiczeń przeważały nad bitewnym szaleństwem i Mykeńczycy zaczęli zbiegać ze schodów.

Przerzuciwszy tarczę z pleców na przedramię, Kalliades poszedł za nimi. Trojańscy żołnierze już wbiegali do środka, uzbrojeni we włócznie i chronieni tarczami. Kolanos schował się za plecami dwudziestu wojowników, a pozostali Mykeńczycy dołączyli do nich biegiem, otaczając rannych szczelną ścianą tarcz.

Siedmiu wojowników pobiegło do drzwi, próbując zagrozić drogę nieprzyjacielowi. Kalliades ujrzał ogromnego, uzbrojonego w dwa miecze złotowłosego Trojańczyka, który wszedł do megaronu. Nie miał na głowie hełmu i nosił zwykły skórzany napierśnik. Boki osłaniali mu żołnierze z tarczami. Kalliades spodziewał się, że atakujący Mykeńczycy zmiotą ich

z drogi. Olbrzym jednak runął na siedmiu nacierających wojowników i zabił dwóch, a trzeciego zwałił z nóg. Tej nocy wiele się wydarzyło, ale ten widok zadziwił Kalliadesa. Wielki Trojańczyk nie walczył jak człowiek, lecz parł jak huragan, niezwycześony i niepowstrzymany.

Patrząc na to z galerii gromadnie zakrzyknęli z radości. Potem zaczęli skandować:

– Hektor! Hektor! Hektor!

Kalliadesa nagle przeszedł dreszcz. Ze zgrozą patrzył, jak trojański heros atakuje stojących przed nim wojowników.

Jeden Mykeńczyk próbował pchnąć go włócznią, lecz Hektor się uchylił i rozplatał mu mieczem czaszkę. Głownia uwięzła i rzucili się na niego dwaj inni wojownicy. Nosiciel tarczy zablokował atak pierwszego, a Hektor wyszedł na spotkanie drugiemu. Gdy Mykeńczyk odchylił tarczę, żeby pchnąć włócznią, doskoczył do niego i rąbnął pięścią w jego hełm. Brzą zadźwięczał jak dzwon i wojownik padł. Ostatni Mykeńczyk uciekł za osłonę tarcz, a do megaronu wbiegło jeszcze więcej trojańskich żołnierzy.

Kalliades zabił jednego, a drugiego obalił, po czym pospiesznie stanął obok Banoklesa.

Ściana tarcz była najeżona włóczniami i Trojańczycy na moment się cofnęli, blokując Mykeńczyków, ale nie próbowali atakować.

– A więc to jest Hektor – rzekł Banokles. – Zawsze się zastanawiałem, czy jest tak dobry, jak o nim mówią. Wielki drań, no nie?

Kalliades nie odpowiedział. Mykeńczycy byli skończeni. Pozostało ich mniej niż pięćdziesięciu. To prawda, że mogli zabrać ze sobą jeszcze kilka tuzinów Trojańczyków, ale nie mogli wyrąbać sobie drogi z okrazenia.

– Myślisz, że może być gorzej? – spytał Banokles.

Kalliades ujrzał króla Priama, który wszedł do megaronu otoczony przez gwardzistów. Niegodziwy Helikaon też był z nim. Król zawołał Hektora po imieniu, a olbrzym podszedł do niego i mocno go uściskał. To było jak sen. Mykeńczycy czekali na śmierć otoczeni przez rozwścieczonych wrogów, a ci dwaj obejmowali się i śmiali. Trojańczycy wciąż skandowali imię Hektora.

Złotowłosy wojownik podniósł ręce, przyjmując ich pozdrowienia, po czym odwrócił się i zimnym spojrzeniem zmierzył pozostałych przy życiu Mykeńczyków.

– Nie widzę Arguriosa – rzekł Banokles. – Bogowie są choć odrobinę łaskawi. Nie chciałbym mieć przeciwko sobie jego i tego olbrzyma.

– Kolanos ustrzelił go z łuku.

– Do licha! Taki wielki wojownik nie powinien zginąć od strzały.

– Niechaj Zeus usłyszy cię i przeklnie za to Kolanosa – odparł ściszone glosem Kalliades. – Może Argurios zaczeka na nas na ciemnej drodze i pójdziemy nią razem.

– Bardzo bym chciał – odparł Banokles.

Usłyszeli głos Kolanosa:

– Królu Priamie, możemy paktować?

Król odsunął się od syna i spojrzął na mykeńskiego dowódcę. Potem dał mu znak, że może podejść. Kolanos przecisnął się przez pierwszy szereg swoich ludzi i przeszedł przez linię Trojan.

– Jeśli zdoła nas z tego wyciągnąć, chyba go pocałuję – powiedział Banokles.

– Szerniałyby ci wargi – mruknął Kalliades.

XXXVI. KRÓLEWSKA MĄDROŚĆ

Helikaon patrzył, jak zniechęcony Mykeńczyk wychodzi zza osłony tarcz. Mocniej ścisnął rękojeść miecza, starając się opanować wściekłość. To ten człowiek torturował Zidantasa, zamordował młodego Diomedesa, a teraz zabił Arguriosa. Instynkt nakazywał Helikaonowi doskoczyć i zdjąć mu głowę z ramion.

Jednak Mykeńczyk chciał paktować, a król zgodził się na to. Honor nakazywał, by Priam pozwolił mu mówić. A potem cię zabiję, pomyślał Helikaon. Kolanos podszedł do króla i skłonił się.

– Twoi ludzie dobrze walczyli, królu Priamie – powiedział.

– Nie masz czasu na próżną gadaninę – odparł król. – Mów, a potem wracaj do swoich ludzi i gin.

– Powiem tak. Mądry człowiek wie, kiedy opuściło go szczęście – odparł ścisłym głosem Kolanos. – Nie możemy zwyciężyć. Bogowie byli przeciwko nam. Natomiast możemy zabić jeszcze setkę twoich ludzi. Mogę temu zapobiec. I mogę również zaoferować swoje usługi Troi, królu Priamie.

Priam stał i milczał, przyglądając się Mykeńczykowi.

– Jak możesz zapobiec rozlewowi krwi? – zapytał w końcu. – Twoi ludzie wiedzą, że są zgubieni.

– Mogę im powiedzieć, że obiecałeś puścić ich wolno, jeśli złożą broń. Rozbrojonych będziecie mogli pozabijać bez własnych strat.

– To bardzo szlachetnie – zadrwił Priam.

– Oni i tak, jak sam powiedziałeś, są zgubieni. A tak przynajmniej nie zginie więcej Trojańczyków.

– I ty też przeżyjesz.

– Istotnie. Mogę ci się bardzo przydać. Znam wszystkie plany Agamemnona co do ziem na wschodzie. Wiem, gdzie zamierza uderzyć i których władców pozyskał dla swej sprawy. Znam imiona wszystkich sprzymierzeńców księcia Agatona w Troi, wiem, kogo chciał wynieść, kogo przeciągnąć ta swoją stronę.

– To w istocie cenne informacje – rzekł Priam.

– Czy mam twoje słowo, że mnie oszczędzisz?

– Gwarantuję ci, że żaden Trojanin nie podniesie na ciebie ręki.

– A co z Dardańczykiem? – zapytał Kolanos, zerknąwszy na Helikaona.

– Żaden z tych, którzy walczą za mnie, nie uczyni ci krzywdy – obiecał Priam.

– Nie! – sprzeciwił się Helikaon. – Nie dam się związać taką obietnicą. Ten człowiek to wąż i zasłużył na śmierć.

– W moim pałacu masz mnie słuchać, Eneaszu – uciał Priam. – Twoja waśń z Kolanosem może poczekać. Nie stracę kolejnych stu dzielnych ludzi z powodu twojej zemsty. Czy mam twoje słowo, czy też mam cię uwięzić?

Helikaon spojrział w wyblakłe oczy Kolanosa i zobaczył w nich drwinę. Tego było za wiele. Wyrwał miecz z pochwy. Priam zastąpił mu drogę. Dwaj gwardziści chwycili go za ręce. Priam przysunął się do

niego.

– Dobrze dla mnie walczyłeś, Eneaszu, i jestem ci wdzięczny. Nie pozwól, by twój gniew wszystko zniszczył. Rozejrzyj się. Są tu młodzi żołnierze, którzy za chwilę mogą być martwi lub okaleczeni. Ci młodzi ludzie mają żony i rodziny, narzeczone lub dzieci. Nie powinni umierać, byś mógł dopełnić zemsty.

Helikaon uspokoił się.

– Nie zabiję go dzisiaj w twoim pałacu. Tylko tyle mogę ci obiecać.

– To mi wystarczy – powiedział Priam. – Puśćcie go.

Helikaon schował miecz do pochwy. Odwróciwszy się znów do Mykeńczyka, Priam powiedział:

– Dobrze, Kolanosie. Każ swoim ludziom złożyć broń.

Kolanos skłonił się i wrócił do swoich. Wybuchł krótki spór, gdy kazał im złożyć broń. Helikaon zauważył, że młody wojownik z raną twarzy namawia pozostałych, aby odmówili wykonania tego rozkazu. Kolanos spokojnie zapewnił ich, że broń zostanie im zwrócona na plaży, zanim wejdą na statki. Helikaon widział, że wielu Mykeńczykom nie podoba się taki obrót sprawy. Ich twarze zdradzały niezdecydowanie. Byli wojownikami i niechętnie oddawali swą broń. Jednak dowódca wychwalał ich odwagę i proponował im ratunek. Wydawało się, że to zbyt dobra propozycja, żeby ją odrzucić.

Trojańscy żołnierze podeszli do Mykeńczyków i zabrali im tarcze, włócznie, miecze oraz hełmy. W końcu wojownicy pozdejmowali nawet napierśniki i całe uzbrojenie zostało złożone na wielką stertę pośrodku megaronu. Bez broni Mykeńczycy nie byli już przerażający – stali się po prostu grupką młodych ludzi czekających na swój los. Kolanos stanął obok Priama.

Król wydał rozkaz i otaczający Mykeńczyków Trojańczycy nastawili włócznie. Wtedy Mykeńczycy pojęli prawdę. Zostaną wycięci w pień. Priam wyszedł przed nich.

– Mykeńczycy – powiedział zimno. – Jestem Priam, król Troi, i nienawidzę was tak bardzo, że nie możecie sobie tego wyobrazić. Moja córka Laodike leży nieżywa w komnatach królowej. Wielu moich przyjaciół i wiernych doradców wyruszyło tej nocy ciemną drogą. Teraz wasz dowódca sprzedał was, bezbronnych jak stado baranów. Aby kupić swoją wolność, zdradził was wszystkich. – Priam obrócił się do Kolanosa. – Chcesz powiedzieć coś swoim ludziom?

Kolanos potrząsnął głową.

Priam spojrzał na ponure, wyzywające twarze Mykeńczyków.

– Dobrze zrozumcie moje słowa. Z przyjemnością ujrzałbym was rozsiekanych na kawałki, z poderżniętymi gardłami, broczących krwią. Wasze wrzaski uradowałyby moje serce. Zamiast tego pozwolę, byście wrócili na wasze statki. Oddam wam broń i daruję życie.

Helikaon ujrzał zdumienie na ich twarzach.

– Tak, dobrze mnie słyszeliście – ciągnął Priam drżącym z gniewu głosem. – Powiem wam, dlaczego was oszczędzę. Tej nocy poległ wielki człowiek i kiedy umierał, zapytałem go, czy mogę zrobić coś dla niego lub jego rodziny. Odpowiedział, że nie ma rodziny, lecz gdyby miał siłę, zszedłby do tego megaronu i uratował was. Ponieważ byliście jego

towarzyszami. Tak, wiecie, o kim mówię. Argurios chciał, żebyście żyli. Nie zrozumcie mnie źle. Ja pragnę waszej śmierci. Król Troi chciałby, żebyście wszyscy umarli. Jednak to jest noc Arguriosa. Tej nocy on jest większy od królów. Dlatego bęliście żyć.

Zapadła cisza, a Priam odwrócił się i wskazał na Kolanosa.

– Związać go!

Żołnierze doskoczyli do mykeńskiego dowódcy i wykręcili mu ręce.

– Daleś mi słowo! – krzyknął Kolanos.

– Owszem, dałem i dotrzymam go. Żaden Trojanin nie podniesie na ciebie ręki. Zdradziłeś tych dzielnych ludzi i chciałeś zdradzić swojego króla. Tak, Kolanosie, bardzo chciałbym poznać plany Agamemnona. Jednakże, jak powiedziałem, to noc Arguriosa. Sądzę, że on chciałby, żebyś odpłynął razem ze swoimi ludźmi. Może zostawia cię przy życiu, żebyś wytłumaczył się przed swoim królem. Może nie. – Priam przeszedł przez trojańskie linie stanął tuż przed Mykeńczykami. – Kto teraz dowodzi? – zapytał.

– Ja – powiedział ciemnowłosy młodzieniec o bystrych, szarych oczach, na twarzy miał poszarpaną ranę, zaszytą, lecz wciąż krwawiącą. – Jestem Kalliades.

– Poślę po medyków, żeby zajęli się waszymi rannymi. Będą czekali na brzegu. Moi żołnierze odprowadzą was tam teraz i zaniosą waszych rannych.

– Sami możemy zanieść naszych rannych, królu Priamie.

– Jak chcecie. Broń zostanie wam zwrócona na statkach. Pochowamy waszych zabitych z należnym szacunkiem.

– Argurios był moim kompanem – rzekł Kalliades. – To on zadał mi tę ranę. Będę cenił tę bliznę.

– A Kolanos?

– Chcesz, żebyśmy zawieźli go Agamemnonowi, królu Priamie?

– Nie. Kiedy będziecie odpływać, chciałbym stać na wieży i słyszeć, jak jego wrzaski niosą się po Wielkiej Zieleni. Chciałbym wiedzieć, że jego cierpienia będą długie, ból straszny, a śmierć pewna.

– Przrzekam ci to, królu Priamie.

Priam odwrócił się i podszedł do Helikaona.

– Czy teraz twoja żądza zemsty została zaspokojona, Eneaszu?

Helikaon spojrział na Kolanosa. Mykeńczyk był przerażony.

– Tak. Okazałeś swoją wielkość. Argurios byłby z tego zadowolony.

Otoczeni przez trojańskich żołnierzy, Mykeńczycy zaczęli wychodzić z megaronu. Helikaon podszedł do Hektora. Złotowłosy wojownik powitał go szerokim uśmiechem, otworzył ramiona i mocno go uściskał.

– Tym razem myślałem, że naprawdę cię zabili – rzekł Helikaon.

– Czyż nie ma w tobie wiary, chłopcze? Myślisz, że mogłoby mnie wykończyć kilku Egipcjan? Jak mógłbym nie wrócić, skoro ojciec zadał sobie tyle trudu, żeby znaleźć mi oblubienicę? – Hektor spojrział na galerię. – Czy to ona? Na bogów, mam nadzieję, że tak.

Helikaon spojrział na Andromachę. Stała tam w podartym białym chitonie, z łukiem w dłoni i rozpuszczonymi rudymi włosami.

– Tak – odparł z łamiącym się sercem. – To jest Andromacha.

Potem odwrócił się i wyszedł z pałacu.

Ruszył za trojańskimi żołnierzami, którzy zaprowadzili pięćdziesięciu Mykeńczyków na brzeg, do czekających okrętów. Znużony na duchu i ciele, usiadł na leżącej do góry dnem łodzi i patrzył, jak medycy i uzdrowiciele krążą między rannymi. Kolanos ze związanymi rękami siedział sam na plaży, spoglądając na morze.

Niebo na wschodzie pojaśniało zapowiedzią świtu.

Kilka wozów z turkotem zjechało na brzeg, przywożąc zbroje i oręż Mykeńczyków.

Teraz wszystko wydawało mu się snem – kałuże krwi i okropne rany, i bitwa w megaronie. Wprost trudno było uwierzyć, że jeszcze przed chwilą ginęli ludzie i ważyły się losy królestwa. A jednak, pomimo dramatyzmu tych gwałtownych wydarzeń, to nie myśli o bitwie legły brzemieniem na jego duszy. Myślał tylko o Andromasze i Hektorze. Był bardziej niż uradowany tym, że jego przyjaciel żyje. Pomyślał, że w innych okolicznościach nie posiadałby się z radości. Teraz miały nim sprzeczne uczucia. Powrót Hektora pozbawił go jedynej szansy na szczęście.

Nagle wezbrał w nim gniew.

– Nie pozwolę na to – powiedział głośno i wyobraził sobie, że wraca do pałacu po Andromachę. Mógłby pójść do Priama i zaproponować mu wszystko, byle tylko mu ją oddał. Zaraz jednak poczucie rzeczywistości ostudziło go niczym zimny wiatr. Priam nie oddałby mu dziewczyny. W obecności niezliczonych świadków ogłosił ją narzeczoną Hektora. Była ceną za traktat zawarty z królem Teb pod Plakos.

A więc wykradnę ją, postanowił. Razem pożeglujemy przez Wielką Zieleni i zamieszkamy gdzieś daleko od Troi.

I okryjesz wstydem Hektora, sprowadzisz nieszczęście i być może zgubę na Dardanię, a sam będziesz żył w nieustannym lęku przed odwetem i śmiercią.

Czy to jest miłość? – zadawał sobie pytanie. Czy takie życie chcesz zgotować Andromasze? Ma żyć na wygnaniu, wyklęta przez rodzinę, okrzyknięta wiarołomną, znieawidzona i opluwana? Helikaon poczuł się tak, jakby uszły z niego wszystkie siły.

Gdy niebo pojaśniało, powietrze wypełniło się krzykiem ptaków, krążących i nurkujących nad zatoką. Przenikliwymi głosami mówiły o głodzie i chęci życia.

Na brzegu za jego plecami Mykeńczycy zaczęli wchodzić na pokłady swych galer. W sieciach rybackich wciągnęli na nie swoich rannych, a potem swoją broń. Helikaon zobaczył, jak pędzą spętanego Kolanosa do statku. Więzień osunął się na kolana. Mykeński wojownik kopnął go, a potem brutalnie postawił na nogi.

Z nadejściem świtu galery zepchnięto na wodę i ostatni członkowie załóg wgramolili się na pokład. Helikaon patrzył, jak stawiają maszty i wyciągają wiosła. Trojańscy żołnierze pomaszerowali wzdłuż plaży, a potem na ivysokie wzgórze do bram miasta.

Gdy galery pożeglowały na zachód, nad wodą poniósł się przeraźliwy krzyk. Potem wrzask bólu. I jeszcze jeden. Okropne odgłosy

powoli cichły w oddali, gdy galery żwawo płynęły w stronę cypla.

Helikaon usłyszał ciche kroki. Odwrócił się i zobaczył idącą ku niemu Andromachę w długim zielonym płaszczu. Wstał z przewróconej łodzi i otworzył ramiona, a ona wpadła w jego objęcia. Pocałował ją w czoło.

– Kocham cię, Andromacho. Nic tego nie zmieni.

– Wiem. Tylko że nasze życie nigdy nie należało do nas.

Uniósł jej dłoń i pocałował.

– Cieszę się, że przyszłaś. Nie miałbym siły szukać cię w pałacu. Popęłniłbym jakieś szaleństwo i zgubił nas wszystkich.

– Nie sędzę, żebyś to zrobił – powiedziała łagodnie. – Laodike mówiła mi, że kochasz Hektora jak brata. Nie zrobiłbyś niczego, co okryłoby go hańbą. Znam cię, Helikaonie. A ty powinienes znać mnie. Nigdy nie okryłabym mojej rodziny niesławą. Wpojono nam poczucie obowiązku – ponad wszystko inne.

– Taki obowiązek to przekleństwo! – odparł, znów wybuchając gniewem. – Niczego na świecie nie pragnę bardziej, niż odpłynąć stąd z tobą, żyć z tobą, być razem.

Spojrzał w niebo. Wschodzące słońce zabarwiło obłoki szkarłatem i złotem, lecz morze na zachodzie było zupełnie czyste i błękitne.

– Muszę iść – powiedziała Andromacha.

– Zostań jeszcze chwilę – nalegał, biorąc ją za rękę.

– Nie – odparła ze smutkiem. – Z każdą chwilą moje postanowienie słabnie. – Zabrała dłoń i powiedziała: – Niechaj bogowie obdarzą cię szczęściem, ukochany.

– Już to zrobili, pozwalając mi cię poznać. To więcej, niż zasłużyłem.

– Czy wrócisz wiosną na mój ślub?

– A chcesz, żebym na nim był?

Wtedy łzy popłynęły jej z oczu i zobaczył, jak bardzo starała się nie zmienić zdania.

– Zawsze będę chciała, żebyś był blisko mnie, Helikaonie.

– Zatem będę.

Andromacha odwróciła się i popatrzyła na morze.

– Laodike i Argurios umarli, trzymając się za ręce. Myślisz, że teraz są razem? Na zawsze?

– Taką mam nadzieję, z całego serca.

Zebrawszy płaszcz, spojrzała mu w oczy.

– Zatem żegnaj, królu Eneaszu – powiedziała i odeszła.

– Żegnaj, bogini – szepnął.

Usłyszała to i przystanąła. Po chwili poszła dalej, nie odwracając się. Stał, patrząc na nią, aż zniknęła w bramie. Nie odwróciła się.

EPILOG. ŻŁOTA POCHODNIA

Z nadejściem wiosny w Dardanii zapanował spokój. Wojska Helikaona rozprawiły się z ostatnimi bandami rabusiów. Łatwiej teraz było podróżować między miasteczkami i osadami, dzięki czemu załatwiano spory, zanim zdążyły się zmienić w jątrzące waśnie. Przywódcy społeczności, mając dostęp do urzędników w Dardanos, nie czuli się osamotnieni i święto Persefony, na powitanie nowego sezonu, było niezwykle udane.

Królowa Halizja poprowadziła uroczystą procesję do świątyni na szczycie wzgórza. Na głowie miała złotą koronę, a w dłoni Laskę Demeter. Król Helikaon siedł obok niej. Powiadomiono lud o ciąży królowej, ale nikt tego nie komentował. To milczenie było trudne do zniesienia, gdyż Halizja uważała, że wie, co się za nim kryje. Poddani litowali się nad nią albo skrywali odrazę.

Kiedy zaczęły się tańce i śpiewy, wymknęła się i wróciła do fortecy, do ogrodów na szczycie urwiska. Były zaniedbane i zarośnięte, postanowiła więc spędzać tu więcej czasu, w spokoju i samotności pielęgnując rabaty i przycinając krzewy. Jednak teraz tylko siedziała sobie, spoglądając na migotliwe morze.

Służąca przyniosła jej chłodny napój. Podziękowała dziewczynie i odesłała ją. Zobaczyła, że w zatoce na dole znów zepchnięto *Ksantosa* na wodę i załoga krząta się na pokładzie, gotując się do rejsu na zachód. Pierwszy statek w tym sezonie zawinął dopiero poprzedniego dnia, przywożąc ładunek miedzi i cyny. A także dar dla Helikaona, na którego widok Złocisty parsknął śmiechem. Przyjaciel z Cypru przysłał mu kunsztownej roboty łuk inkrustowany srebrem. Oraz krótką wiadomość: „Teraz naprawdę możesz być Panem Srebrnego Łuku”.

Halizja zapytała go o to. Opowiedział jej o na pół zagłodzonym dziecku, które wzięło go za boskiego Apollina.

– Wydaje się, że to było tak dawno – powiedział.

– I pomogłeś jej? – Roześmiała się. – Głupie pytanie. Oczywiście, że jej pomogłeś. Taki już jesteś.

Były również wieści z Troi, którymi się z nią podzielił. Zbuntowanego księcia Agatona widziano w Milecie, kiedy wsiadał na statek płynący do Myken. Książę Antifones wszedł do kręgu najbardziej zaufanych doradców i dostał nowy pałac za rolę, jaką odegrał w udaremnieniu zamachu na życie Priama. Te ostatnie wieści uradowały Helikaona.

– To dobry człowiek – powiedział. – Bardzo go lubię.

Na szczycie wzgórza powiał lekki wietrzyk. Halizja opuściła ogród i poszła ścieżką wzdłuż krawędzi urwiska. Wciąż słyszała w oddali dźwięki piszczałek i śmiech gości. To były przyjemne odgłosy. Na świecie jest za mało śmiechu, pomyślała.

Usiadła w cieniu przewieszanej skały i obserwowała mewy kołujące nad *Ksantosem*. Potem zdrzemnęła się chwilę na słońcu. Gdy

się obudziła, popołudnie przechodziło w wieczór. Obejrzawszy się za siebie, ujrzała wychodzącego z ogrodów Helikaona. Zaparło jej dech i serce zaczęło bić mocniej. Zdjął królewskie szaty, które nosił podczas składania ofiar Persefonie. Teraz miał na sobie zwykły biały chiton do kolan, obszyty złotą nicią.

Przypomniały jej się obrazy z tamtej strasznej nocy, kiedy Mykeńczycy zgwałcili ją i zamordowali jej syna. Niemal zaczęła wierzyć, że były to przywidzenia, które zrodziło przerażenie. Jednak ujrzała wtedy Helikaona właśnie w takim chitonie, szukającego jej na szczycie urwiska.

Zaschło jej w ustach i chciała się przed nim ukryć. Jednak on już ją zobaczył i pomachał do niej.

Podniosła się z ziemi i czekała na niego. Niósł jakąś paczuszkę owiniętą muślinem.

– Pomyślałem, że znajdę cię tutaj, pani – powiedział. – Jest coś, o czym musimy porozmawiać.

– Nie! – powiedziała ostro. – Nie możesz! Wiem, co to jest. Nie możesz mi tego dać.

Miał zdziwioną minę.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Moje sny, Helikaonie. Pamiętasz? Morze pełne statków wiozących żądnych krwi ludzi. Płonące miasto. Strach i rozpacz! Widziałam niebo w ogniu i wzburzone morze. I ciebie, jak przychodzisz tu do mnie, trzymając złoty naszyjnik wysadzany lapis-lazuli. Rozumiesz? Jeśli mi go dasz, tamte wizje też okażą się prawdą.

Przez moment się nie odzywał.

– Rozumiem – rzekł w końcu. – Jednak posłuchaj mnie, Halizjo. Jeśli te wizje są prawdziwe, to ziszczą się, czy przyjmiesz ode mnie ten prezent czy nie. Gdyż jestem tutaj i trzymam go w dłoni, tak jak to widziałaś. I owszem, pewnego dnia wróg przepłynie przez Wielką Zieleń. Przyniesie wojnę i nieszczęście tym wschodnim krainom. To leży w naturze złych ludzi. Jednak my nie możemy żyć w nieustannym lęku przed nimi. Nie możemy kryć się za murami, drżąc ze strachu. To nie jest życie. Musimy się godzić z codziennymi problemami i obowiązkami i kolejno stawiać im czoło. Jesteś królową Dardanii i lud cię kocha. Ja jestem królem i mnie się boi. Wkrótce urodzisz dziecko – syna, jeśli twoje sny wróżą prawdę. Będzie lepiej dla niego, dla ciebie i dla królestwa, jeśli staniemy się prawdziwą rodziną. Powinniśmy się pobrać, Halizjo.

Odwróciła się.

– Nie kochasz mnie, Helikaonie. A obiecałeś sobie, że ożenisz się tylko z miłości.

Wziął ją za rękę i uśmiechnął się.

– Mylisz się. Naprawdę darzę cię miłością. A także szacunkiem i podziwem. Jeśli bogowie pozwolą, znajdziemy razem szczęście. A przynajmniej zadowolenie.

Chłodny wietrzyk zaszeleścił jej suknią. Zadrżała.

– Kiedy to zrobimy? – zapytała.

– Jutro, póki są tu wszyscy przybyli na święto.

– Tak się boję, Helikaonie.

Przyciągnął ją do siebie i objął.

– Bądź moją żoną, a ja będę tarczą, która osłoni cię przed wszystkimi twymi obawami.

Poczuła siłę jego ramion i ciepło jego ciała i przytuliła się do niego. Po raz pierwszy od wielu miesięcy czuła się naprawdę bezpieczna. Westchnęła i zamknęła oczy, pragnąc, by ta chwila trwała wiecznie.

Pogłodził jej złote włosy, a potem odsunął się od niej i podał jej ślubny prezent. Halizja wzięła go drżącymi palcami i rozwinęła muślin. Naszyjnik był wspaniały, zrobiony z tuzinów złotych kwadracików zdobionych jasnyniebieskim lazurytem. Wyjąwszy go z opakowania, Helikaon zapiął go na jej smukłej szyi. Metal był ciepły.

– Wygląda pięknie – powiedział z szerokim uśmiechem. – A teraz zejdźmy i ogłośmy tę wiadomość.

Wziął ją za rękę i poprowadził z powrotem ścieżką wzdłuż urwiska. Gdy dotarli do ogrodu, jeszcze raz obejrzała się za siebie, na morze.

I znów oczami duszy ujrzała ogromną flotę nieprzyjacielskich statków zmierzających ku wschodnim krainom.

Jednak na tę jedną, cudowną chwilę przestała się tym przejmować.